

**THOMAS HARRIS**

**HANNIBAL**

Przekład Jerzy Kozłowski

**CZEŚĆ I**  
**WASZYNGTON**

## ROZDZIAŁ 1

Mógłbyś pomyśleć, że dzień taki jak ten  
aż rwie się do świtania...

Ford mustang z Clarice Starling za kierownicą wtoczył się z łoskotem na podjazd budynku przy Massachusetts Avenue. Mieściła się tam siedziba BATF - agencji do spraw przestępstw związanych z alkoholem, tytoniem i bronią palną - wynajmowana w ramach oszczędności od sekty Sun Myung Moona.

Grupa uderzeniowa czekała w trzech samochodach: zdezelowanym wozie obserwacyjnym i dwóch czarnych furgonetkach jednostek specjalnych. Wszyscy tkwili beczynnym w ciemnym niczym jaskinia garażu.

Starling chwyciła torbę ze sprzętem i podbiegła do pierwszego pojazdu, brudnej białej furgonetki z bocznym napisem „Marcell's Crab House”.

Czterech mężczyzn obserwowało ją przez otwarte tylne drzwi. Nawet w mundurze Clarice wyglądała szczupłe. Choć obciążona torbą, poruszała się zwinnie. Jej włosy błyszczały w widmowym blasku świetlówek.

- Baby zawsze się spóźniają - mruknął funkcjonariusz waszyngtońskiej policji.

Grupą dowodził agent specjalny BATF John Brigham.

- Wcale się nie spóźniła. Wezwałem ją dopiero wtedy, gdy dostaliśmy cynk - sprostował. - Musiała tłuc się tutaj aż z Quantico. Cześć, Starling, rzuć torbę.

Przybiła mu szybką piątkę.

- Cześć, John.

Brigham dał sygnał kierowcy, agentowi przebranemu w zniszczone ciuchy. Zanim zamknięto tylne drzwi, furgonetka wyjechała na ulicę i wtopiła się w jesienne popołudnie.

Clarice Starling, weteranka furgonetek obserwacyjnych, dała nura pod okularem peryskopu i zajęła miejsce z tyłu, jak najbliżej siedemdziesięciokilogramowego bloku suchego lodu, który zastępował klimatyzację, gdy przyczajali się gdzieś z wyłączonym silnikiem.

W starym gruchocie cuchnęło strachem i potem jak w klatce z małpami. Takiego odoru nigdy nie daje się usunąć. Samochód zdobiło już wiele napisów. Ostatni - zabrudzony i wyblakły - umieszczono zaledwie trzydzieści minut wcześniej. Zalepione dziury po kulach były starsze.

Zmatowione okno z tyłu miało szyby przezroczyste tylko od wewnątrz. Starling

patrzyła przez nie na dwie jadące za nimi duże czarne furgonetki jednostek specjalnych. Miała nadzieję, że nie będą musieli godzinami warować w samochodach.

Gdy tylko odwracała się do okna, mężczyźni mierzyli ją wzrokiem.

Trzydziestodwuletnia agentka specjalna FBI Clarice Starling zawsze wyglądała na swój wiek i zawsze - bez względu na wiek - prezentowała się świetnie. Nawet w mundurze.

Brigham wziął notatki z fotela pasażera.

- Jak to jest, że zawsze dostaje ci się czarna robota, Starling? - zapytał z uśmiechem.

- Bo ty ciągle mnie wzywasz - odparła.

- Tym razem jesteś mi potrzebna. Ale widzę, że nie robisz nic innego, tylko rozwozisz nakazy. Nie chcę nic sugerować, ale ktoś w Buzzard's Point chyba niezbyt cię lubi. Powinnaś przyjść popracować do mnie. To moi ludzie: agenci Marquez Burkę i John Hare, a to funkcjonariusz Bolton z waszyngtońskiej policji.

Mieszana grupa uderzeniowa składała się z przedstawicieli BATF, jednostek specjalnych DEA - agencji do zwalczania narkotyków - i FBI. Była wymuszonym owocem cięć budżetowych w okresie, gdy nawet Akademia FBI została zamknięta z braku funduszy.

Burkę i Hare wyglądali jak agenci. Funkcjonariusz policji stołecznej Bolton mógł uchodzić za strażnika sądowego. Miał około czterdziestu pięciu lat, był tęgi i nalany.

Burmistrz Waszyngtonu sam miał na sumieniu wyrok za posiadanie narkotyków i koniecznie chciał sprawiać wrażenie nieustępliwego wobec handlarzy. Nalegał, aby w każdej większej akcji w Waszyngtonie uczestniczył funkcjonariusz stołecznej policji. Dlatego był tu Bolton.

- Dzisiaj robimy nalot na grupę Drumgo - oznajmił Brigham.

- Wiedziałam. Evelda Drumgo - w głosie Starling nie było entuzjazmu. Brigham kiwnął głową.

- Otworzyła fabrykę lodu przy targu rybnym Feliciano nad rzeką. Nasz człowiek twierdzi, że dziś szykuje partię kryształ. A na wieczór ma rezerwację na Kajmany. Nie możemy czekać.

Kryształowa metamfetamina, nazywana na ulicy „lodem”, wywołuje krótkie i silne odurzenie i jest morderczo uzależniająca.

- Narkotyki to wprawdzie działka DEA, ale Eveldę podejrzewamy również o międzystanowy przemyt broni. Na nakazie wyszczególniono kilka

pistoletów maszynowych beretta i MAC 10. Wie również, gdzie możemy znaleźć ich więcej. Chciałbym, żebyś się nią zajęła, Starling. Już kiedyś miałaś z nią do czynienia. Chłopcy będą cię osłaniać.

- Łatwe zadanie - odezwał się Bolton z satysfakcją.

- Opowiedz im o EVELDzie, Starling - poprosił Brigham.

Clarice odczekała, aż furgonetka przejedzie po torach i zrobi się ciszej.

- EVELDA to twarda sztuka - zaczęła. - Będzie walczyć do końca. Choć nie wygląda na taką: pracowała kiedyś jako modelka. Jest wdową po Dijonie Drumgo. Dwukrotnie ją aresztowałam, po raz pierwszy z mężem. Ostatnim razem miała przy sobie dziewiątkę z trzema magazynkami, w torebce gaz, a w staniku filipiński nóż. Nie wiem, jak jest teraz uzbrojona. Podczas drugiego aresztowania bardzo uprzejmie poprosiłam ją, żeby się poddała. Posłuchała mnie. Później w więzieniu stanowym zabiła współwięźniarkę Marszę Valentine trzonkiem łyżki. Więc nigdy z nią nic nie wiadomo... trudno cokolwiek wyczytać z jej twarzy. Sąd uznał, że działała w samoobronie. W obydwu przypadkach wywinęła się od odpowiedzialności. Oskarżenie o posiadanie broni oddalono, bo miała małe dziecko, a jej mąż został właśnie zastrzelony z samochodu jadącego Pleasant Avenue, prawdopodobnie przez gang Spliffów. Zażądam, żeby się poddała. Mam nadzieję, że posłucha. Urządzimy jej przedstawienie. Ale słuchajcie, jeśli trzeba będzie obezwładnić EVELDę Drumgo, musicie mi naprawdę pomóc. Chcę, żebyście ją porządnie przycisnęli. Niech się wam nie wydaje, że ja i EVELDA będziemy uprawiać zapasy w błocie.

Kiedyś Starling zależałoby na opinii tych mężczyzn. Teraz nie podobało im się to, co mówiła, ale ona już zbyt wiele widziała, żeby się tym przejmować.

- EVELDA Drumgo przez męża jest związana z gangiem Cripów - wtrącił Brigham. - Nasz człowiek twierdzi, że korzysta z ich ochrony, a oni rozprawdzają narkotyki na wybrzeżu. Cripowie chronią ją głównie przed Spliffami. Nie wiem, co zrobią, gdy zobaczą nas. Starają się nie wchodzić w drogę FBI.

- Musicie też wiedzieć, że EVELDA jest nosicielką wirusa HIV - dodała Starling. - Dijon zaraził ją brudną strzykawką. Dowiedziała się o tym w więzieniu i wpadła w furję. Tego dnia zabiła Marszę Valentine i wdała się w bójkę ze strażnikami. Jeśli nie jest uzbrojona, będzie pluć i gryźć, odda na was kał i mocz, więc zakładajcie rękawice i maski, zgodnie ze standardową procedurą operacyjną. Jak będziecie wprowadzać ją do samochodu i kłaść jej rękę na głowie, to uważajcie na igły we włosach i zabezpieczcie jej stopy.

Burke'owi i Hare'owi coraz bardziej rzedły miny. Bolton wyglądał na nieszczęśliwego. Wskazał swoim obwisłym podbródkiem na broń Starling, wysłużonego colta kaliber 45 z paskiem szorstkiej taśmy na uchwycie, zawieszony w luźnej indiańskiej kaburze na prawym biodrze. Chodzi pani cały czas z odbezpieczoną bronią?

- Odbezpieczoną przez cały boży dzień - odparła Starling.

- To niebezpieczne stwierdził Bolton.

Czekając na zmianę świateł, Brigham zdjął osłonę z okularów peryskopu i poklepał Boltona po kolanie.

- Rozejrzyj się, czy na chodniku nie paradują jakieś lokalne gwiazdy. Obiektyw peryskopu ukryty w wentylatorze na dachu dawał widok tylko na boki.

Bolton zrobił pełen obrót i zatrzymał się, przecierając oczy.

- Jak silnik pracuje, to wszystko się trzęsie - oświadczył. Brigham połączył się przez radio z łodzią.

- Przepłynęli czterysta metrów i posuwają się dalej - powtórzył swojej załodze.

Furgonetka stanęła na czerwonym świetle na Parcel Street, jedną przecznicę od sklepu, i pozostała w bezruchu przez jak się wydawało - bardzo długi czas. Kierowca rozejrzał się, niby sprawdzając lusterko z prawej strony, i powiedział półgębkiem do Brighamą:

- Mało chętnych na ryby. No to jazda.

Światło zmieniło się o czternastej pięćdziesiąt siedem, dokładnie trzy minuty przed godziną zero. Zdezelowany samochód zatrzymał się przed targiem rybnym Feliciana, zajmując dogodne miejsce na chodniku.

Kierowca zaciągnął ręczny hamulec. Zgrzyt słycać było w tylnej części furgonetki.

Brigham zwolnił miejsce przy peryskopie.

- Popatrz sobie - zwrócił się do Starling.

Obejrzała front budynku. Wystawione na chodnik stoły i lamy pełne ryb połyskiwały lodem pod płócienną markizą. Ryby były starannie ułożone gatunkami na kruszonym lodzie, kraby poruszały odnóżami w otwartych skrzyniach, homary włożyły jeden na drugiego w zbiorniku. Sprytny sprzedawca nałożył na oczy większych ryb wilgotne ściereczki, żeby błyszczały, gdy wieczorem napłynie fala niezbyt rozmownych, ale wybrednych gospodyń domowych, pochodzących z Karaibów.

Promienie słońca rozbłysły tęczą w pyle wodnym nad stołem do czyszczenia ryb, gdzie Latynos kroił silnymi rękoma rekina mako, posługując się sprawnie nożem o zakrzywionym ostrzu. Polewał wielką rybę szlauchem. Zabarwiona krwią woda spływała do rynsztoka. Starling słyszała, jak przepływa strumieniem pod furgonetką.

Obserwowała kierowcę, który zapytał o coś sprzedawcę ryb. Gość zerknął na zegarek, wzruszył ramionami i wskazał palcem pobliską knajpę. Kierowca pokręcił się po targu przez chwilę, zapalił papierosa i odszedł w stronę baru.

Z głośników dochodziły dźwięki *Macareny*, wystarczająco głośne, żeby Starling słyszała je wyraźnie w furgonetce. Ta piosenka zbrzydnie jej na całe życie.

Wejście, które ją interesowało - podwójne metalowe drzwi w metalowej framudze z pojedynczym betonowym stopniem - znajdowało się po prawej stronie.

Już miała oderwać wzrok od peryskopu, gdy nagle drzwi otworzyły się. Na ulicę wyszedł postawny biały mężczyzna w hawajskiej koszuli i sandałach. Do piersi przyciskał plecak, pod którym chował dłoń. Za nim szedł żylasty Murzyn z płaszczem przerzuconym przez rękę.

- Uwaga - powiedziała Starling.

Pojawiła się piękna twarz i długa egipska szyja Evely Drumgo.

- EVELDA wychodzi za tymi dwoma facetami. Chyba się zmywają - informowała Starling.

Okupowała peryskop tak długo, aż Brigham w końcu ją szturchnął. Włożyła kask.

Brigham mówił do laryngofonu.

- „Strike One” do wszystkich jednostek. Zaczyna się. Zaczyna się. Wyszła od naszej strony. Ruszamy. Zdejmijmy ich jak najspokojniej. - Przeładował broń. - Łódź będzie tu za trzydzieści sekund, jazda.

Starling wyskoczyła pierwsza. Warkoczyki Evely śmignęły w powietrzu, gdy odwróciła głowę w jej stronę.

- Na ziemię, na ziemię! - krzyknęła Starling. Wiedziała, że ma za sobą uzbrojoną eskortę.

Evela minęła swoich towarzyszy.

Na szyi miała zawieszone nosidełko z dzieckiem.

- Nie chcemy kłopotów. Czekać - rzuciła do swoich ludzi. Ruszyła do przodu. Szła dumnie jak królowa. Przed sobą, na tyle wysoko, na ile pozwalały szelki nosidełka, trzymała owinięte w koc dziecko.

Trzeba zrobić jej miejsce. Starling schowała broń do kabury i rozłożyła puste ręce.

- Evelda! Poddaj się! Podejź do mnie. - Usłyszała za sobą ryk potężnego ośmiozaworowego silnika i pisk opon. Nie mogła się odwrócić. To pewnie wsparcie.

Evela zignorowała ją. Podeszła do Brighama. Dziecięcy kocyk zafurkotał, gdy wystrzelił schowany pod nim MAC 10. Brigham runął na ziemię z twarzą zalaną krwią.

Postawny biały facet odrzucił plecak. Burkę zobaczył pistolet maszynowy i wystrzelił pocisk avona, tworząc obłoczek nieszkodliwego ołowianego pyłu. Przeładował broń, ale było za późno. Przeciwnik trafił go w krocze pod kamizelką i obrócił się w stronę Starling. Zanim nacisnął spust, wyciągnęła broń i strzeliła dwa razy w środek hawajskiej koszuli.

Strzały z tyłu. Żylasty Murzyn odchylił płaszcz zakrywający broń i cofnął się z

powrotem do drzwi. Jakaś siła, niczym potężny cios pięścią w plecy, pchnęła Starling do przodu, zapierając jej dech w piersiach. Odwróciła się i zobaczyła samochód Cripów: cadillac sedan z otwartymi bocznymi oknami, na których siedzieli okrakiem, niczym Indianie, dwaj mężczyźni. Strzelali nad dachem. Z tylnego siedzenia strzelał trzeci. Ogień i dym z trzech luf, świst kul w powietrzu.

Starling dała nura między zaparkowane samochody. Kątem oka dostrzegła, jak ciałem leżącego na jezdni Burke'a wstrząsają drgawki. Brigham leżał nieruchomo, pod jego kaskiem tworzyła się kałuża. Hare i Bolton strzelali spomiędzy samochodów po drugiej stronie ulicy, dokąd cofnęli się pod ostrzałem. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła i huk eksplodującej opony. Z jedną nogą w rynsztoku, wyrzała z ukrycia.

Dwaj siedzący okrakiem na oknach samochodu mężczyźni walili z broni maszynowej nad dachem. Kierowca wolną ręką strzelał z pistoletu. Czwarty mężczyzna, na tylnym siedzeniu wciągał Eveldę z dzieckiem przez otwarte drzwi wozu. Trzymała plecak. Kanonada trwała nadal, gdy Cadillac z dymiącymi tylnymi oponami ruszył z miejsca. Starling podniosła się, wycelowała i trafiła kierowcę w skroń. Dwukrotnie strzeliła do mężczyzny siedzącego na bocznym oknie. Osunął się do tyłu. Wyrzuciła pusty magazynek i wcisnęła następny, zanim pierwszy zdążył spaść na ziemię. Nie spuszczała oczu z samochodu.

Cadillac wpadł bokiem na wozy zaparkowane przy ulicy i zatrzymał się z hukiem.

Starling ruszyła w jego stronę. Drugi ze strzelających siedział wciąż na oknie i z oszalałym wzrokiem napierał rękoma na dach, wcisnięty między cadillaca i jeden z zaparkowanych samochodów. Broń zsunęła się z dachu. W oknie ukazały się puste ręce. Z samochodu wygramolił się mężczyzna z zawiązaną na głowie niebieską bandaną i zaczął uciekać z podniesionymi rękami. Starling zignorowała go.

Strzały z prawej strony i uciekinier runął na twarz, próbując wpełznąć pod samochód. W górze rozległ się warkot helikoptera.

- Na ziemię! - ktoś krzyknął dwa razy na targu. Ludzie ukryli się pod stoiskami. Woda z porzuconego węża tryskała w powietrze.

Starling zbliżała się do cadillaca. Ruch na tylnym siedzeniu. Samochód zakołysał się. Ze środka dochodziły krzyki dziecka. Strzał i szyba w tylnym oknie rozprysła się.

Starling podniosła broń.

- Stać! Nie strzelać! Uwaga na drzwi. Za mną! Uwaga na drzwi w sklepie rybnym.

- Evelda! - Ruch na tylnym siedzeniu. Krzyk dziecka. - Evelda, wystaw ręce przez okno.

Evelda Drumgo zaczęła wychodzić. Dziecko wciąż płakało. Z głośników na targu



dudniła *Macarena*. EVELDA ruszyła w stronę Starling z pochyloną głową, obejmując dziecko.

Burkę drgnął na ziemi między nimi. Konwulsje były słabsze teraz, gdy prawie się wykrwawił, w rytmie *Macareny*. Ktoś podbiegł, pochylił się i próbował zatamować krew.

Broń Starling była wycelowana w ziemię, tuż przed EVELDĄ.

- EVELDA, pokaż ręce! No dalej, pokaż mi ręce.

Wybrzuszenie pod kocem. EVELDA podniosła głowę i ciemne egipskie oczy. Spojrzała na Clarice.

- To ty, Starling.

- EVELDA, nie rób tego. Pomyśl o dziecku.

- Upuśćmy sobie trochę krwi, dziwko.

Koc zafurkotał, rozległ się huk. Kula z pistoletu Starling przestrzeliła górną wargę EVELDY Drumgo, przesywając głowę na wylot.

Oszołomiona Starling usiadła na ziemi bez tchu z dziwnym kluciem w boku głowy. EVELDA też usiadła. Pochyliła się do przodu nad krzyczącym dzieckiem. Zalewała je buchającą z ust krwią. Starling podczołgała się i szarpnęła za śliskie klamry nosidelka. Wyciągnęła filipiński nóż zza stanika EVELDY i przecięła uprząż krępującą dziecko. Było lepkie i czerwone, wyslizgiwało się z rąk.

Starling trzymała zakrwawione dziecko, rozglądając się rozpaczliwie. Zauważyła wodę tryskającą w powietrze przy sklepie rybnym. Pobiegnęła tam. Odsunęła noże i rybnie wnętrzności, położyła dziecko na stole i skierowała na nie silny strumień wody. Czarne dziecko na białym stole do czyszczenia ryb między nożami, rybimi wnętrznościami i głową rekina, obmywane z zakażonej wirusem HIV krwi. Krew Starling też leciała na niemowlę, mieszając się z krwią EVELDY i łącząc we wspólny strumień, słony jak morze.

W pyle wodnym błyszczała nadal drwiąca tęcza boskiej obietnicy - iskrząca się flaga nad dziełem Jego ślepej opatrności. Starling nie zauważyła żadnych ran na ciele chłopca. Z głośników rozbrzmiewała *Macarena*, światło flesza błyskało raz po raz, aż Hare odciągnął natrętnego fotografa.

## ROZDZIAŁ 2

Ślepa uliczka w robotniczej dzielnicy Arlington w stanie Wirginia, tuż po pomocy. Ciepła jesienna noc po deszczu. Powietrze drży niespokojnie przed chłodnym frontem. Pośród zapachów mokrej ziemi i liści swój koncert odgrywa świerszcz. Milknie, gdy dociera do niego silna wibracja: stłumiony warkot mustanga z pięciolitrowym silnikiem i stalowym orurowaniem. Skręca w uliczkę, a za nim pojawia się samochód policyjny. Oba samochody wjeżdżają na podjazd przed zadbanym bliźniakiem i zatrzymują się. Mustangiem trzęsie nieco na jałowym biegu. Gdy silniki cichną, świerszcz odczekuje chwilę i wznawia koncert - ostatni przed nadejściem mrozów, ostatni w ogóle. Umundurowany funkcjonariusz policji wysiada od strony kierowcy z mustanga. Obchodzi samochód i otwiera drzwi pasażerze. Biała opaska przytrzymuje opatrunek na uchu Clarice Starling. Nad zieloną szpitalną bluzą, którą ma na sobie zamiast koszuli, widać na szyi czerwonopomarańczowe plamy betadyny.

W zasuwanej plastikowej torbie niesie swoje rzeczy: trochę cukierków miętowych, klucze, identyfikator agentki specjalnej FBI, ładowarkę z pięcioma nabojami, mały pojemnik z gazem. Oprócz torby ma też pas z pustą kaburą.

Policjant podaje jej kluczyki od samochodu.

- Dziękuję, Bobby.

- Chcesz, żebyśmy przyszli z Pharon posiedzieć z tobą trochę? A może wolałabyś, żebym przysłał Sandrę? Nigdy nie kładzie się spać przed moim powrotem. Przywiozę ją tutaj na jakiś czas, potrzebujesz towarzystwa...

- Nie, pójdę już. Zaraz wróci Ardelia. Dziękuję, Bobby.

Policjant wsiada do samochodu, w którym czeka jego partner. Widząc, że Starling znika w drzwiach domu, odjeżdża.

Pralnia w domu Starling jest ciepła i pachnie odświeżaczem do tkanin. Wężę od pralki i suszarki są przymocowane plastikowymi uchwytami. Starling kładzie rzeczy na pralce. Klucze z głośnym brzękiem padają na metalową obudowę. Przenosi pranie z pralki do suszarki. Zdejmuje spodnie od munduru i wrzuca je do bębna, za nimi wędruje tam szpitalna bluzka i zakrwawiony stanik. Włącza pralkę. Ma na sobie tylko skarpetki, majtki i pistolet kaliber 38 z osłoniętym kurkiem w futerale przy kostce. Na plecach i żebrach wyraźnie odznaczają się siniaki, a na łokciu widać zadrapanie. Prawe oko i policzek są spuchnięte.

Pralka podgrzewa wodę i bęben zaczyna się obracać. Starling otula się wielkim ręcznikiem kąpielowym i cicho przechodzi do salonu. Wraca z napełnioną do połowy szklanką whisky. Siada na gumowej macie przed pralką, opierając się o nią w ciemnościach.

Ciepła maszyna pracuje, chlupocząc miarowo. Starling siedzi na podłodze z twarzą zwróconą do góry. Łka kilka razy na sucho, zanim oczy zajdą jej łzami. Łzy pieką, płynąc po policzkach.

Chłopak Ardelii Mapp przywiózł ją do domu mniej więcej za piętnaście pierwsza w nocy po długim wypadzie na Cape May. Pożegnali się przed drzwiami. W łazience Ardelia usłyszała szum wody i głuchy odgłos w rurach. Pralka realizowała swój program.

Przeszła na ryły domu i zapaliła światło w kuchni, którą dzieliła ze Starling. Zajrzała do pralni. Na podłodze siedziała Starling z obandażowaną głową.

- Starling! Co się stało? - Mapp przykucnęła przy niej.

- Przeszrzelono mi ucho, Ardelio. Zajęli się tym w szpitalu Waltera Reeda. Nie zapalaj światła, dobrze?

- Dobrze. Przyniosę ci coś. Nic nie wiem - w samochodzie słuchaliśmy kaset - opowiadaj.

- John nie żyje.

- John Brigham! - Mapp i Starling podkochiwały się w Brighamie, gdy był jeszcze instruktorem strzeleckim w Akademii FBI. Próbowaly wówczas odczytać tatuaż pod rękawem jego koszuli.

Starling kiwnęła głową i jak dziecko przetarła oczy wierzchem dłoni.

- EVELDA Drumgo i paru Cripów. Zastrzeliła go EVELDA. Rozwalili też BURKE'a, MARQUEZA BURKE'a z BATF. To była wspólna akcja. Ktoś ją ostrzegł. Dotarliśmy na miejsce w tym samym czasie, co telewizja. Mnie się dostała EVELDA. Nie chciała się poddać, ARDELIO. Nie chciała się poddać i trzymała dziecko. Strzeliliśmy do siebie. Ona zginęła.

Mapp nigdy nie widziała płaczącej Starling.

- Ardelio, zabiłam dzisiaj pięć osób.

Mapp usiadła na podłodze obok Starling i objęła ją ramieniem. Razem oparły się o szumiącą pralkę.

- A co z dzieckiem EVELDY?

- Obmyłam je z krwi. Widziałam, że nie miało żadnych ran. W szpitalu powiedzieli, że nic mu nie jest. Za parę dni mają je oddać matce EVELDY. Wiesz, jakie były ostatnie słowa EVELDY? „Upuścmy sobie trochę krwi, dziwko”.

- Chcesz się napić? - zapytała Mapp.

- Słucham?

### ROZDZIAŁ 3

Szary świt przyniósł nowe gazety i poranne wydania telewizyjnych dzienników.

Mapp usłyszała, że Starling kręci się po mieszkaniu, i poszła do niej z drożdżówkami. Razem obejrzały telewizję.

CNN i inne programy informacyjne kupiły od WFUL-TV film nakręcony z helikoptera. Niezwykłe ujęcia ukazywały całe wydarzenie bezpośrednio z góry.

Starling obejrzała relację. Chciała się przekonać, czy EVELDA strzeliła pierwsza. Zerknęła na Mapp i spostrzegła na jej brązowej twarzy gniew.

Wybiegła z pokoju, żeby wymiotować.

- Ciężko się to ogląda - stwierdziła, gdy wróciła blada na trzęsących się nogach.

Mapp miała zwyczaj natychmiast przechodzić do sedna sprawy.

- Chciałabyś wiedzieć, co myślę o tym, że zabiłaś tę Murzynkę z dzieckiem na rękach? No więc słuchaj. Strzeliła pierwsza. Ja chcę, żebyś żyła. Ale pomyśl, kto jest odpowiedzialny za tę chorą politykę. Co za popieprzony sposób myślenia doprowadził do tego, że musiałyście załatwić ten problem między sobą, używając spluw? Strasznie mądre. Mam nadzieję, że dobrze się

zastanowisz, czy nadal chcesz być marionetką w ich rękach. - Zrobiła wymowną przerwę, nalewając herbatę do filiżanki. - Chcesz, żebym z tobą została? Wezmę sobie wolne.

- Dzięki. Nie musisz. Zadzwoń do mnie.

„National Tattler”, który najbardziej skorzystał na brukowcowym boomie lat dziewięćdziesiątych, wydał dodatek specjalny, szokujący nawet jak na tę gazetę. Ktoś w południe podrzucił ją przed dom. Gdy Clarice wyszła na dwór, żeby zobaczyć, co to za hałas, znalazła egzemplarz. Oczekiwała najgorszego i przecucia jej nie zawiodły. Wielkie litery nagłówek krzyczały:

ANIÓŁ ŚMIERCI: CLARICE STARLING,

MASZYNA DO ZABIJANIA Z FBI

Trzy fotografie na pierwszej stronie przedstawiały Clarice Starling w mundurze z pistoletem kaliber 45 podczas zawodów strzeleckich, EVELDĘ Drumgo z dzieckiem, z przestrzeloną głową pochyloną jak na obrazie Madonny pędzla GIOVANNIEGO CIMABUE i jeszcze raz Clarice Starling, jak kładzie nagie czarne dziecko na białym stole do czyszczenia ryb między nożami, rybimi wnętrznościami i głową rekina. Podpis pod zdjęciami głosił:

Agentka specjalna FBI, Clarice Starling, pogromczyni seryjnego mordercy Jame'a

Gumba, może dodać co najmniej pięć nacięć na lufie. Matka z dzieckiem na ręku i dwaj policjanci to tylko niektóre ofiary nieudanej akcji antynarkotykowej.

Artykuł opisywał narkotykową karierę Eveldy i Dijona Drumgo oraz pojawienie się Cripów w wyniszczonym wojną gangów Waszyngtonie. Zamieszczono też krótką wzmiankę o przebiegu służby zabitego oficera Johna Brigham'a i wymieniono odznaczenia, które zdobył.

Starling poświęcono osobny artykuł ozdobiony zdjęciem zrobionym z ukrycia w restauracji. Przedstawiało zaperzoną agentkę Starling w wydekoltowanej sukni.

Clarice Starling, agentka specjalna FBI, miała swoje pięć minut sławy, gdy siedem lat temu zastrzeliła wielokrotnego mordercę Jame'a Gumba, zwanego Buffalo Billem. Teraz mogą zostać wyciągnięte wobec niej konsekwencje służbowe i cywilne w związku ze śmiercią mieszkanki Waszyngtonu oskarżonej o produkcję amfetaminy (patrz artykuł na pierwszej stronie).

„Może to oznaczać koniec jej kariery”, donosi jeden z naszych informatorów z BATF, siostrzanego biura FBI. „Nie znamy

jeszcze wszystkich szczegółów, ale John Brigham nie musiał zginąć. To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje FBI po aferze Ruby Ridge”, oświadczył nasz informator, który woli pozostać anonimowy.

Błyskotliwa kariera Clarice Starling rozpoczęła się tuż po rozpoczęciu przez nią szkolenia w Akademii FBI. Jako absolwentka Uniwersytetu Stanu Wirginia z tytułem magistra psychologii i kryminologii otrzymała zadanie przesłuchania niebezpiecznego szaleńca, dr. Hannibala Lectera, zwanego przez naszą gazetę „Hannibalem-Kanibalem”. Jego wskazówki pomogły w odnalezieniu Jame'a Gumba i uratowaniu przetrzymywanej przez niego Catherine Martin, córki byłej senator stanu Tennessee.

Agentka Starling przez trzy lata z rzędu wygrywała międzywydziałowe mistrzostwa w strzelaniu z pistoletu. Jak na ironię, oficer Brigham, który zginął u jej boku, był instruktorem strzeleckim Starling w Quantico i jej trenerem podczas zawodów.

Rzecznik FBI oświadczył, że agentka Starling zostanie zawieszona w czynnościach służbowych do czasu zakończenia wewnętrznego śledztwa FBI w tej sprawie. W tym tygodniu zostanie przesłuchana przez Urząd do spraw Odpowiedzialności Zawodowej, wzbudzającą strach Świętą Inkwizycją FBI.

Krewni zmarłej Eveldy Drumgo zapowiedzieli, że będą się domagać odszkodowania od rządu Stanów Zjednoczonych i osobiście od Starling.

Trzymiesięczny synek Eveldy, widoczny w ramionach matki na dramatycznych zdjęciach, które zrobiono podczas strzelaniny, nie odniósł obrażeń.

Adwokat Telford Higgins, który bronił rodziny Drumgo podczas licznych spraw sądowych, twierdzi, że półautomatyczny pistolet agentki specjalnej Starling, zmodyfikowany colt kaliber 45, nie może być używany przez policję w Waszyngtonie. „To śmiertelnie niebezpieczna broń, nieodpowiednia dla stróżów prawa”, oświadczył Higgins. „Jej użycie stwarza ogromne niebezpieczeństwo dla życia”, stwierdził adwokat.

„National Tattler” kupił od swojego informatora numer domowego telefonu Clarice Starling i aparat dzwonił, dopóki Starling nie zdjęła słuchawki z widełek. Do biura dzwoniła z telefonu komórkowego.

Ucho i spuchnięta twarz nie bolały, jeśli nie dotykała bandaży. Dwie tabletki tylenolu przyniosły ulgę. Nie musiała zażywać przepisanej przez lekarza percocetu. Zasnęła z drobinami prochu na dłoniach i zaschniętymi na twarzy łzami, „Washington Post” zsunął się z kółdzy na podłogę.

## ROZDZIAŁ 4

Ty zakochujesz się w Biurze,  
lecz Biuro nie zakochuje się w tobie.

Maksyma z poradni dla zwolnionych agentów FBI

O tak wczesnej porze hala sportowa w budynku imienia J. Edgara Hoovera była jeszcze niemal pusta. Dwaj mężczyźni w średnim wieku pokonywali w wolnym tempie kolejne okrążenia bieżni. W sali gimnastycznej odbijały się echem pobrzękiwania maszyn do ćwiczeń siłowych i odgłosy gry w squasha.

Głosy mężczyźni nie niosły się w powietrzu. Jack Crawford biegł z dyrektorem FBI, Tunberrym, na jego prośbę. Zrobili już ponad trzy kilometry i zaczynało ogarniać ich zmęczenie.

- Baylock z BATF musi ponieść konsekwencje za aferę w Waco. Jeszcze nie teraz, ale jest skończony, i wie o tym - powiedział dyrektor. - Może już powiadomić wielbnego Moona, że zwalnia biuro. - Wynajmowanie przez BATF lokalu w Waszyngtonie od sekty Sun Myung Moona wywoływało w FBI złośliwe komentarze.

- A Farriday wylatuje za Ruby Ridge - ciągnął dalej dyrektor.

- Tego nie rozumiem - odparł Crawford. Razem z Farridayem służył w Nowym Jorku w latach siedemdziesiątych, gdy pikietowano biura FBI przy Trzeciej Alei i Sześćdziesiątej Dziewiątej ulicy. - Farriday jest dobrym agentem. To nie on kierował przebiegiem akcji.

- Powiedziałem mu wczoraj rano.

- Przyjął to spokojnie? - zapytał Crawford.

- Powiedzmy, że zatrzymuje pewne przywileje. Żyjemy w niebezpiecznych czasach, Jack.

Obydwaj biegli z odchylonymi do tyłu głowami. Zwiększyli nieco tempo. Kątem oka Crawford zauważył, że dyrektor ocenia jego kondycję.

- Ile masz lat, Jack, pięćdziesiąt sześć?

- Zgadza się.

- Rok do obowiązkowej emerytury. Wielu odchodzi, mając czterdzieści osiem, pięćdziesiąt lat, gdy jeszcze mogą się gdzieś zatrudnić. Ale nie ty. Chciałeś się czymś zająć po śmierci Belli.

Crawford nie odpowiadał przez połowę okrążenia. Dyrektor zdał sobie sprawę, że popełnił nietakt.

- Wiem, jak to przeżyłeś, Jack. Doreen mówiła mi któregoś dnia...

- W Quantico zostało jeszcze trochę do zrobienia. Chcemy usprawnić bazę danych VICAP w Internecie, żeby każdy policjant mógł z niej skorzystać. Widziałeś to w budżecie.

- Myślałeś kiedyś o stanowisku dyrektora?

- Zawsze uważałem, że to nie dla mnie.

- Racja, Jack. Nie jesteś typem polityka. Nie mógłbyś być dyrektorem. Nie mógłbyś być Eisenhowerem czy Omarem Bradleyem. - Dyrektor pokazał ruchem ręki, że chce się zatrzymać. Stanęli na bieżni, dysząc ciężko. - Ale mógłbyś być Pattonem. Potrafisz poprowadzić ludzi przez piekło i sprawić, że będą cię uwielbiali. Ja nie mam takiego daru. Wszystkich muszę ciągnąć na siłę. - Tunberry rozejrzał się, podniósł z ławki ręcznik i zawiesił go na szyi jak pelerynę, którą zakłada sędzia, ogłaszając wyrok śmierci. Oczy mu błyszczały.

Niektórzy muszą okazać gniew, żeby zachować niezłomną postawę, pomyślał Crawford, obserwując poruszające się usta Tunberry'ego.

- Co do zastrzelonej z dzieckiem na rękach pani Drumgo i jej laboratorium narkotykowego, powiedzmy sobie, Komisja Sądowa Kongresu domaga się ofiar z ludzi. Świeżego, czerwonego mięsa. Domagają się go media. DEA musi im rzucić trochę tego mięsa. BATF musi rzucić trochę mięsa. I my też. Ale w naszym przypadku mogą zadowolić się płótką. Zdaniem Krendlera, jeśli damy im Clarice Starling, zostawią nas w spokoju. Zgadzam się z nim. BATF i DEA biorą na siebie winę za przygotowanie akcji. Starling pociągnęła za spust.

- Celując do zabójczynie policjanta, która strzeliła pierwsza.

- Chodzi o telewizję, Jack. Chyba tego nie rozumiesz. Ludzie nie widzieli, jak EVELDA Drumgo zastrzeliła Johna Brighamę. Nie widzieli, że EVELDA pierwsza strzeliła do Starling. Tego im nie pokazano. Za to dwieście milionów widzów, z których jedna dziesiąta bierze udział w wyborach, obejrzało, jak EVELDA Drumgo pochyla się nad dzieckiem w ochronnej pozie, siedząc na ulicy z przestreloną na wylot głową. Nic nie mów, Jack. Wiem, że przez pewien czas chciałeś zrobić Starling swoją protegowaną. Ale ona ma niewyparzony język i już na samym początku zraziła do siebie niektórych ludzi...

- Krendler to palant.

- Posłuchaj, co ci powiem, i nie przerywaj mi, dopóki nie skończę. Kariera Starling i tak stanęła w miejscu. Zostanie zwolniona z czystymi papierami i będzie mogła znaleźć pracę gdzie indziej. Jack, dokonałeś w FBI czegoś niezwykłego, rozwijając Sekcję Behawioralną. Wiele osób uważa, że gdybyś tylko bardziej zadbał o swoje własne interesy, zaszedłbyś znacznie wyżej i że zasługujesz na dużo więcej. Ja pierwszy to mówię. Jack, przejdiesz na



emeryturę jako zastępca dyrektora. Masz to u mnie.

- To znaczy, jeśli umyję od całej sprawy ręce?

- Przy normalnym rozwoju wypadków, Jack, jeśli znów zapanuje w naszym królestwie spokój, tak się stanie. Jack, spójrz na mnie.

- Tak, panie dyrektorze?

- Nie proszę cię, wydaję ci polecenie. Nie mieszaj się do tego. Nie odrzucaj szansy, Jack. Czasem trzeba się od kogoś odwrócić. Znam to z doświadczenia. Słuchaj, rozumiem, że jest ci ciężko, ale wierz mi, wiem też, jak się czujesz.

- Jak się czuję? Czuję, że chciałbym wziąć prysznic - powiedział Crawford.

## ROZDZIAŁ 5

Starling była sprawną, choć niezbyt skrupulatną gospodynią. Sprzątała swoją część domu, ale rzeczy zwykle miały tendencję do piętrzenia się - czyste, nieposortowane pranie, gazety, na które nie starczało miejsca. Należała do mistrzów w konkurencji prasowania ubrań w ostatniej chwili i nie musiała mizdrzyć się przed lustrem, więc jakoś sobie radziła.

Gdy tęskniła za ładem, przechodziła przez wspólną kuchnię do mieszkania Ardelii Mapp. Jeśli Ardelia była u siebie, Clarice mogła skorzystać z jej rad, zawsze pożytecznych, choć czasem szczerych aż do bólu. Jeśli jej nie było, Starling wiedziała, że może posiedzieć i porozmyślać w idealnym porządku panującym w mieszkaniu Mapp - pod warunkiem, że niczego nie przestawi. Dzisiaj też tam siedziała. To jedno z tych miejsc, w których zawsze czuje się osobowość właściciela, bez względu na to, czy jest obecny czy nie.

Wpatrywała się w polisę ubezpieczeniową babci Mapp, wiszącą na ścianie w ręcznie wykonanej ramce. Wcześniej wisiała w chacie babki, a później w skromnym mieszkaniu rodziców Ardelii, gdy była jeszcze dzieckiem. Babka sprzedawała uprawiane warzywa i kwiaty z ogródka. Za oszczędności opłacała składki. Pod zastaw polisy wzięła kredyt, żeby pomóc Ardelii skończyć szkołę. Na ścianie wisiało też zdjęcie drobniotkiej starowinki, która próbuje się uśmiechać nad wykrochmalonym białym kołnierzykiem. W jej czarnych oczach pod rondem słomianego kapelusza tliła się wiekowa mądrość.

Ardelia знаła swoje korzenie, czerpała z nich siłę każdego dnia. Starling chciała odnaleźć swoje, próbując dojść do siebie. Luterkański sierociniec w Bozeman karmił ją, ubierał i nauczył odpowiedniego zachowania. Ale teraz potrzebowała czegoś więcej: więzów krwi.

Cóż takiego ma ktoś, kto wywodzi się z biednej białej rodziny, z dziury, gdzie czas stanął w miejscu? Kto wychował się wśród ludzi, których mieszkańcy studenckich kampusów nazywają kmiotkami i wieśniakami czy protekcyjnie prostakami z Appalachów? Jeśli nawet wątpliwi arystokraci z Południa, którzy gardzą pracą fizyczną, odnoszą się do jego ziomków jak do buraków - z jakiej tradycji czerpie przykład? Że daliśmy im wycisk pod Bull Run? Że pradziadek spełnił swój obowiązek pod Vicksburgiem?

A jednak odwołanie do tego, co zostało z przeklętych czterdziestu arów i zabłoconego muła, przynosi zaszczyt i ma głębszy sens. Trzeba samemu do tego dojść. Nikt tego nie nauczy.

Starling odniosła sukces jako studentka w Akademii FBI, bo w niczym nie mogła znaleźć oparcia. Większość życia spędziła w różnych instytucjach. Szanowała je i przestrzegała ściśle panujących w nich zasad. Zawsze parła do przodu, zdobyła stypendium.

Po świetnym starcie załamanie kariery w FBI było dla niej nowym i strasznym przeżyciem. Tłukła się o szklane ściany jak pszczoła w butelce.

Miała cztery dni na opłakiwanie Johna Brigham, zastrzelonego na jej oczach. Dawno temu John Brigham zaproponował jej coś, a ona odmówiła. Potem zapytał, czy mogą zostać przyjaciółmi, i mówił poważnie. A ona zgodziła się, też na serio.

Musiała pogodzić się z tym, że na targu rybnym Feliciano uśmierciła pięć osób. Kilka razy przypominał jej się Crip; unieruchomiony między samochodami, rozpaczliwie drapał paznokciami dach samochodu, gdy z palców wysliznęła mu się broń.

Żeby ulżyć wyrzutom, poszła do szpitala. Chciała popatrzeć na dziecko Eveldy. Zastała tam matkę Eveldy, która zabierała właśnie wnuka do siebie. Rozpoznała Starling ze zdjęć w gazetach, oddała dziecko pielęgniarce i, zanim Starling zdołała cokolwiek zrobić, uderzyła ją mocno w zabandażowaną twarz.

Starling nie oddała jej, lecz przytrzymała za nadgarstki, przyciskając do szpitalnego okna, aż kobieta uspokoiła się, z twarzą wykrzywioną na umazanej ślinie szybie. Po szyi Clarice spływała krew, ból przyprawił ją o zawrót głowy. W szpitalu ponownie zszyto jej ucho. Zrezygnowała ze złożenia skargi. Pielęgniarsz ze szpitala opowiedział o incydencie dziennikarzowi „National Tattler”. Dostał za to trzysta dolarów.

Musiała wyjść z domu jeszcze dwa razy: żeby przygotować Brigham do pogrzebu i wziąć udział w uroczystości na cmentarzu Arlington. Brigham miał tylko nielicznych dalekich krewnych i w ostatniej woli prosił Starling, żeby zajęła się nim po śmierci.

Miał tak zmasakrowaną twarz, że w grę wchodziła wyłącznie zamknięta trumna. Mimo to Starling zrobiła wszystko, żeby zadbać o jego wygląd. Ubrała go w błękitny mundur piechoty morskiej ze Srebrną Gwiazdą i innymi odznaczeniami.

Po uroczystości dowódca Brigham przekazał Starling pudełko z osobistą bronią Johna, odznakami i kilkoma drobiazgami z jego wiecznie zagraconego biurka, między innymi kiczowatego szklanego ptaszka, który pił ze szklanki.

Za pięć dni czekało Starling przesłuchanie. Mogło oznaczać koniec jej kariery. Poza jedną wiadomością od Jacka Crawforda służbowy telefon milczał i nie mogła już porozmawiać z Johnem Brighamem.

Zadzwoiła do swojego przedstawiciela w Związku Agentów FBI. Poradził jej, żeby na przesłuchanie nie wkładała długich koleczków ani odkrytych pantofli.

Telewizja i prasa rozwodziły się codziennie na temat śmierci Eveldy Drumgo, robiąc wokół sprawy wiele hałasu.

Tutaj, w mieszkaniu Mapp, w otaczającym ją idealnym porządku, Starling próbowała

się skoncentrować.

Robakiem, który drąży cię od środka, jest chęć *przyznania* racji twoim wrogom, uzyskania ich przychylności.

Natrętny dźwięk.

Starling usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co mówiła w furgonetce. Czy powiedziała więcej, niż było konieczne? Natrętny dźwięk.

Brigham poprosił ją, żeby opowiedziała innym o Eveldzie. Czy okazała wrogość, mówiła za bardzo krytycznie?

Natrętny dźwięk.

Oprzytomniała. Zdała sobie sprawę, że ktoś dzwoni do drzwi. Prawdopodobnie reporter. Czekala też na wezwanie do sądu. Przesunęła zasłonę w oknie i *zobaczyła* odchodzącego listonosza. Otworzyła drzwi i dogoniła go. Podpisując odbiór przesyłki poleconej, odwróciła się plecami do samochodu prasowego po drugiej stronie ulicy z wycelowanymi w nią teleobiektywami. Koperta była w kolorze fioletoworóżowym z jedwabistymi włóknami na lnianym papierze. Coś jej to przypomniało. W domu, z dala od ludzkich oczu, odczytała adres. Piękne kaligraficzne pismo.

Bezustanny szum strachu w głowie przerodził się w wycie syreny. Poczula, że skóra na brzuchu zadrżała, jakby spadło na nią coś zimnego.

Wzięła kopertę za rogi i zaniósła do kuchni. Wyciągnęła z torebki białe rękawiczki do oglądania dowodów rzeczowych. Przycisnęła kopertę do twardej powierzchni kuchennego stołu i starannie ją obmacała. Choć papier był gruby, wyczułaby baterię gotową zdetonować materiał wybuchowy. Wiedziała, że powinna zbadać list pod fluoroskopem. Jeśli go otworzy, może mieć kłopoty. Kłopoty. Racja. A niech tam.

Rozcięła kopertę kuchennym nożem i wyjęła pojedynczą kartkę jedwabistego papieru. Zanim spojrzała na podpis, wiedziała już, kto do niej napisał.

Droga Clarice

Z entuzjazmem śledziłem przebieg twego publicznego zniesławienia i upokorzenia. Ja sam nigdy się tym nie przejmowałem - doskwierały mi jedynie niewygodny związane z odosobnieniem. Ale tobie może brakować dystansu.

Podczas naszych rozmów w podziemiach szpitala wydało mi się oczywiste, że postać twego ojca, zmarłego nocnego gliny, zajmuje poczesne miejsce w twoim systemie wartości. Fakt, iż położyłaś kres krawieckiej karierze Jame'a Gumba uszczęśliwił cię tak bardzo, ponieważ - jak sądzę - mogłaś sobie wyobrazić, że zrobił to twój ojciec.

Teraz masz w FBI bardzo źle notowania. Czy zawsze wyobrażałaś sobie, że masz nad

sobą ojca. Czy wyobrażałaś go sobie na stanowisku szefa sekcji, a może - wyżej niż sam Jack Crawford - jako zastępcę dyrektora, któryż dumą obserwuje twoje postępy? A teraz, czy widzisz go przybitego i zawstydzonego twoją hańbą? Twoją porażką? Przykrym, wstydliwym końcem obiecującej kariery? Czy widzisz siebie w roli sprzątaczkii, do której została zdegradowana twoja matka, gdy narkomani załatwili twego tatę? Hmm? Czy twoja porażka odbije się na nich? Czy ludzie już zawsze będą niesłusznie uważać, że twoi rodzice należeli do białej hołoty zamieszkującej pola przyczep w rejonach nawiedzanych przez tornada? Odpowiedz szczerze, agentko specjalna Starling.

Zanim przejdziemy dalej, odpocznij chwilę.

A teraz wskażę pewną cechę, którą posiadasz i która ci pomoże: twoje łyzy nie zaćmiewają ci wzroku, możesz dalej czytać.

Oto ćwiczenie, które może okazać się przydatne. Wykonaj, proszę, moje polecenia.

Masz w domu czarny żelazny rondel? Jesteś dziewczyną z południowych gór, na pewno masz. Postaw go na kuchennym stole. Zapal górne światło.

Mapp odziedziczyła po babce rondel i często go używała. Miał lśniąca czarną powierzchnię, której nigdy nie tknięto mydłem. Starling postawiła rondel na stole przed sobą.

Zajrzyj do niego, Clarice. Pochyl się i spójrz w dół. Jeśli to rondel twojej matki, co nie jest wykluczone, w jego cząsteczkach tkwią wibracje wszystkich rozmów, których był świadkiem. Wymiany zdań, drobne nieporozumienia, straszliwe wyznania, stanowcze zapowiedzi katastrof, westchnienia i poezja miłości.

Usiądź przy stole, Clarice. Zajrzyj do rondla. Jeśli jest dobrze osmolony, wygląda jak czarna kałuża, prawda? Jakbyś zaglądała do studni. Na dnie wprawdzie nie ma wyraźnego odbicia twojej twarzy, ale majaczysz tam na dole. Prawda? Światło jest za tobą i oto jesteś - czarna twarz w koronie płonących włosów.

Wszyscy jesteśmy węglem, Clarice. Ty, rondel i trup taty w ziemi, zimny jak ten rondel. Wszystko w nim zostaje. Słuchaj. Tak naprawdę żyli twoi strudzeni rodzice. To konkretne wspomnienia, nie wyobrażenia, które wypełniają twoje serce.

Czemu twój ojciec nie był zastępcą szeryfa ściśle współpracującym z wymiarem sprawiedliwości? Czemu twoja matka

sprzątała w motelach, żeby cię utrzymać? Nawet jeśli nie udało się jej zatrzymać cię przy sobie?

Twoje najbardziej żywe wspomnienie związane są z kuchnią. Nie ze szpitalem, z kuchnią.

Matka zmywa krew z czapki ojca.

Najmilsze wspomnienie związane z kuchnią.

Ojciec obiera pomarańcze starym scyzorykiem ze złamanym ostrzem i podaje nam kawałki.

Twój ojciec, Clarice, był nocnym gliną. Twoja matka była sprzątaczką.

Czy wielka kariera w służbach federalnych była spełnieniem twoich czy ich ambicji? Na ile twój ojciec zgiałby kark, żeby dać sobie radę ze skostniałą biurokracją? Ile pośladeków by wycalaował? Czy widziałas, żeby kiedykolwiek przed kimś się płaszczyl, komuś schlebiał?

Czy twoi zwierzchnicy prezentują jakiś system, Clarice? A twoi rodzice? Jeśli tak, czy to te same wartości?

Spójrz na dno rondla i wyznaj uczciwie. Czy zawiodłaś swoją nieżyjącą rodzinę? Czy chcieliby, żebyś się podlizywała? Czy cenili sobie hart ducha? Możesz być tak silna, jak tego chcesz.

Jesteś wojownikiem, Clarice. Wróg nie żyje, dziecko jest bezpieczne. Jesteś wojownikiem.

Najbardziej stabilne pierwiastki, Clarice, znajdują się w środku układu okresowego, z grubsza między żelazem i srebrem.

Między żelazem i srebrem. Sądzę, że to dla ciebie odpowiednie miejsce.

*Hannibal Lecter*

*PS. Wciąż jesteś mi winna pewną informację. Czy nadal budzisz się, słysząc owce? Zamieść ogłoszenie w którymś z niedzielnych wydań „Timesa”, „International Herald Tribune”, i „China Mail”. Zaadresuj je do A.A. Aarona, żeby ukazało się jako pierwsze, i podpisz się imieniem Hannah.*

Starling słyszała słowa wypowiedane tym samym głosem, który kpił z niej, przeszywał ją, analizował i oświecał w oddziale pod intensywnym nadzorem. W szpitalu dla psychicznie chorych, gdy musiała przehandlować swe bolesne doświadczenia za bezcenne wiadomości na temat Buffalo Billa. Metaliczna chrypka rzadko używanych strun głosowych wciąż pobrzmiwała w jej snach.

W rogu kuchennego sufitu wisiała świeża pajęczyna. Starling gapła się na nią, usiłując pozbierać myśli. Zadowolenie mieszało się ze smutkiem, smutek z zadowoleniem. Cieszyła się z pomocy, cieszyła się, że ujrzała światło w tunelu. Cieszyła się i smuciła zarazem, że poczta w Los Angeles, która przesyłała dalej pocztę doktora Lectera, zatrudniła tanią pomoc: tym razem przeciągnięto kopertę przez maszynę stemplującą. Ten list ucieszy Jacka Crawforda, kierownictwo poczty i laboratorium.

## ROZDZIAŁ 6

W pokoju, gdzie upływa życie Masona, panuje cisza, choć ma on swój własny, delikatny rytm: szumy i westchnienia respiratora dającego Masonowi oddech. Pokój spowija mrok, w którym jarzy się jedynie wielkie akwarium, gdzie murena kręci niestrudzenie ósemkę po ósemce, a jej cień porusza się niczym wstęga po pokoju.

Splecione włosy Masona tworzą gruby węzeł leżący na osłonie respiratora, która pokrywa jego pierś na podnoszonym łożku. Przed nim zawieszona jest urządzenie składające się z rurek przypominających piszczałki.

Długi język Masona wysuwa się zza zębów. Oplata nim końcówkę rurki i dmucha w nią przy następnym pulsie respiratora.

Z głośnika na ścianie natychmiast odzywa się głos.

- Słucham pana.

- „Tattler”. - Gubi pierwsze „t”, lecz głos jest głęboki i donośny, jak głos spikera radiowego.

- Na stronie pierwszej...

- Nie czytaj. Pokaż na monitorze. - Mason nie wymawia głosek „p” i „m”. Duży ekran na wysuwającym monitorze trzeszczy. Niebieskozielony obraz przechodzi w róż, gdy pojawia się tytuł gazety.

- „Anioł śmierci: Clarice Starling, maszyna do zabijania z FBI” - czyta Mason przez trzy powolne oddechy respiratora. Może powiększyć zdjęcia.

Tylko jedna ręka wystaje spod kołdry. Trochę może nią ruszać. Dłoń niczym blady krab przesuwa się bardziej dzięki ruchom palców niż sile wychudzonego ramienia. Głowa Masona jest w znacznym stopniu unieruchomiona, palec wskazujący i środkowy spełniają funkcję czułek, a kciuk, palec serdeczny i mały ciągną rękę do przodu. Dłoń trafia na pilota, którym można powiększać i przewracać strony.

Mason czyta powoli. Okular nad jego jedynym okiem dwa razy na minutę syczy cichutko, zwilżając pozbawioną powieki gałkę oczną. Na szkle często

pojawia się mgiełka. Przebrnięcie przez dwa artykuły zajmuje mu dwadzieścia minut.

- Pokaż prześwietlenie - zażądał Mason po skończeniu lektury.

Zajął to chwilę. Duża płachta zdjęcia rentgenowskiego wymagała odpowiedniego podświetlenia, żeby była czytelna na monitorze. Miał przed sobą ludzką rękę, która najwyraźniej uległa kontuzji. Na kolejnym zdjęciu pojawiła się dłoń i całe ramię. Strzałka wskazywała na stare pęknięcie kości ramiennej mniej więcej w połowie między łokciem i

barkiem.

Mason przyglądał się zdjęciu przez wiele oddechów.

- Teraz pokaż list - polecił w końcu.

Na ekranie pojawiło się piękne kaligraficzne pismo: litery powiększone do absurdalnych rozmiarów.

- „Droga Clarice - czytał Mason. - Z entuzjazmem śledziłem przebieg twego publicznego zniesławienia i upokorzenia...” - Sam rytm tego głosu przywołał stare myśli, które zakręciły Masonem, łóżkiem, pokojem, zerwały strupy z jego potwornych snów i przyspieszyły bicie serca, za którym nie nadążał oddech. Urządzenie natychmiast wyczuło podniecenie i szybciej wypełniło płuca powietrzem.

Przeczytał cały list w tym bolesnym tempie przy pracującym respiratorze, jakby jechał na koniu. Nie mógł zamykać oka, ale gdy skończył czytać, jego umysł odpłynął na chwilę. Musiał pomyśleć. Respirator zwolnił. Mason znów dmuchnął w rurkę.

- Słucham pana.

- Połącz mnie z kongresmenem Vellmore'em. Przynieś słuchawkę. Wyłącz głośnik.

- Clarice Starling - powiedział do siebie z następnym oddechem, na który pozwolił mu respirator. Imię i nazwisko nie posiadały głosek wybuchowych. Wymówił je całkiem wyraźnie. Nie opuścił żadnego dźwięku. Czekać na telefon, zdrzemnął się przez chwilę. Cień mureny pełzał po pościeli, twarzy i splecionych włosach.



## ROZDZIAŁ 7

Buzzard's Point, biuro terenowe FBI dla Waszyngtonu i Dystryktu Kolumbii, wzięło swoją nazwę od stada sępów krążących wokół szpitala, który stał w tym miejscu podczas wojny secesyjnej.

Teraz sępy z DEA, BATF i FBI zebrały się, żeby zadecydować o losie Clarice Starling.

Starling stała samotnie na grubym dywanie w biurze szefa. Czowała puls tętniący pod bandażem zawiniętym wokół głowy. Słyszała stłumione męskie głosy, dochodzące zza mlecznej szyby w drzwiach sali konferencyjnej.

Na szybie w obwódce złotych liści widniała wielka pieczęć FBI z mottem: „Wierność, Odwaga, Uczciwość”.

Rozgorączkowane głosy za drzwiami podnosiły się i cichły. Z niezrozumiałego szmeru rozmów Starling wyławiała tylko swoje nazwisko.

Z biura rozciągał się przepiękny widok na przystań i Fort McNair, gdzie powieszono spiskowców oskarżonych o zamach na prezydenta Lincolna.

Przypomniała sobie zdjęcia Mary Surratt, które kiedyś widziała: mija własną trumnę, wchodzi na szafot w Fort McNair, stoi z kapturem na głowie nad zapadnią. Ma przywiązaną do nóg spódnicę, żeby zapobiec zgorzeniu. Zostaje strącona w dół i rozlega się głośnie chrupnięcie.

Za drzwiami dobiegło szuranie odsuwanych krzeseł. Mężczyźni wychodzą z sali konferencyjnej. Niektóre twarze poznawała. Boże, był wśród nich Noonan, szef całej sekcji dochodzeniowej.

Zobaczyła swojego prześladowcę, Paula Krendlera z Departamentu Sprawiedliwości. Miał długą szyję i zaokrąglone uszy osadzone wysoko na głowie jak u hieny. Był karierowiczem, szarą eminencją u boku inspektora generalnego. Odkąd siedem lat temu w trakcie słynnej afery ubiegła go w poszukiwaniu Buffalo Billa, przy każdej okazji sączył jad do jej akt osobowych i utrudniał awans.

Żaden z tych mężczyzn nigdy nie towarzyszył jej podczas akcji, gdy dokonywała aresztowania, gdy strzelano do niej, gdy wyczesywała z włosów kawałki szkła.

Unikali jej wzroku, aż w końcu wszyscy spojrzeli na nią jednocześnie, jak skradająca się sfora wilków zwraca nagle uwagę na chore zwierzę w stadzie.

- Proszę usiąść, agentko Starling. - Jej szef, agent specjalny Clint Pearsall, pocierał gruby nadgarstek, jakby uwierał go zegarek.

Nie patrząc jej w oczy, wskazał na fotel ustawiony przodem do okien. Podczas przesłuchania nie jest to honorowe miejsce.

Żaden z siedmiu mężczyzn nie usiadł. Ich sylwetki odcinały się na tle jasnych okien. Starling nie widziała ich twarzy, ale mogła obserwować ich stopy i buty. Pięciu z nich miało na nogach mokasyny z frędzelkami, ulubione obuwie pochodzących ze wsi waszyngtońskich nuworosy. Pozostali dwaj nosili pantofle z dziurkowanymi noskami. W powietrzu unosił się zapach pasty do butów ogrzanej gorącymi stopami.

- Nie wiem, czy wszystkich pani zna, agentko Starling. To wicedyrektor Noonan: na pewno wie pani, kim jest. To John Eldredge z DEA, Bob Sneed z BATF. Benny Holcomb jest asystentem burmistrza, a Larkin Wainwright inspektorem naszego Urzędu do spraw Odpowiedzialności Zawodowej - przedstawiał Pearsall. - I Paul Krendler. Zna pani Paula. Przybył nieoficjalnie z Biura inspektora generalnego z Departamentu Sprawiedliwości. Paul wyświadczył nam przysługę, przychodząc tutaj. Oficjalnie go nie ma. Chce pomóc nam uniknąć pewnych problemów, jeśli wie pani, o czym mówię.

Starling знаła powiedzenie krążące w agencji: inspektor federalny to ktoś, kto pojawia się, na polu bitwy po zakończeniu walk i dobija rannych.

Głowy niektórych mężczyzn drgnęły w geście pozdrowienia. Wszyscy wyciągali szyje, mierząc wzrokiem kobietę, wokół której się zebrali. Przez kilka chwil nikt się nie odzywał.

Ciszę przerwał Bob Sneed. Clarice pamiętała, że jako agent BATF próbował oczyścić atmosferę po zakończonej katastrofą akcji w Waco. Był poplecznikiem Krendlera. Jego też uważano za karierowicza.

- Agentko Starling, czytała pani prasę i oglądała telewizję. W oczach opinii publicznej odpowiada pani za śmierć Evely Drumgo. Niestety, pani postać została nieco zdemonizowana.

Starling milczała.

- Agentko Starling?

- Nie mam wpływu na mój wizerunek w mediach, panie Sneed.

- Ta kobieta trzymała dziecko na rękach. Rozumie pani, jaki to stwarza problem.

- Nie trzymała dziecka na rękach: siedziało w nosidełku. Ręce miała pod kocem i trzymała w nich MAC-a 10.

- Czytała pani protokół z autopsji?

- Nie. - Ale nie zaprzecza pani, że to pani strzelała?

- Myśleliście, że wyprę się wszystkiego, bo nie znaleźliście kuli? - Clarice odwróciła

się do swojego szefa. - Panie Pearsall, czy to spotkanie ma charakter wewnętrzny?

- Jak najbardziej.

- Więc dlaczego pan Sneed zainstalował podsłuch? Sekcja techniczna już dawno zrezygnowała z tych przypinanych mikrofonów. W wewnętrznej kieszeni marynarki ma włączony magnetofon. Czy teraz odwiedzamy się z ukrytymi mikrofonami?

Twarz Pearsalla zrobiła się czerwona. Jeśli Sneed prowadził podsłuch, dopuścił się najgorszego rodzaju zdrady. Nikt nie chciał jednak, żeby na taśmie utrwalono jego głos, nakazujący wyłączyć magnetofon.

- Pani zuchwałość i oskarżenia są nie na miejscu - odezwał się blady z gniewu Sneed. - Zebraliśmy się tutaj, żeby pani pomóc.

- W czym? To przecież pańska agencja zwróciła się do FBI z prośbą o pomoc w tej akcji, do której zostałam przydzielona. Dwukrotnie prosiłam Eveldę, żeby się poddała. Pod kocem trzymała MAC-a 10. Zastrzeliła już Johna Brighamą. Żałuję, że się nie poddała. Nie zrobiła tego. Strzeliła do mnie. Ja strzeliłam do niej. Zginęła ona. Może zechce pan cofnąć i przesłuchać swoją taśmę, panie Sneed?

- Została pani uprzedzona, że będzie tam Evelda Drumgo? - dopytywał się Eldredge.

- Uprzedzona? Agent Brigham poinformował mnie w furgonetce w drodze na miejsce akcji, że Evelda Drumgo przygotowuje narkotyki w swoim strzeżonym laboratorium. Zlecił mi, żebym się nią zajęła.

- Proszę pamiętać, że Brigham nie żyje - przypomniał Krendler. - Tak jak Burkę. Dwaj cholernie dobrzy agenci. Nie mogą niczego potwierdzić ani niczemu zaprzeczyć.

Starling zrobiło się niedobrze, gdy usłyszała w ustach Krendlera nazwisko Brighamą.

- Nie trzeba mi przypominać, że John Brigham nie żyje, panie Krendler. Rzeczywiście był świetnym agentem i moim dobrym przyjacielem. Nie zmienia to faktu, że poprosił mnie o zajęcie się Eveldą.

- Brigham przydzielił pani to zadanie, mimo iż między panią i Eveldą Drumgo doszło już wcześniej do starć? - zdziwił się Krendler.

- Daj spokój, Paul - wtrącił się Clint Pearsall.

- Jakich starć? - zdziwiła się Starling. - Aresztowałam ją. Podczas aresztowań prowadzonych przez innych oficerów zwykle dochodziło do walk. Ale gdy ją aresztowałam, wszystko odbywało się spokojnie. Rozmawialiśmy ze sobą - była inteligentna. Odnosiłyśmy się do siebie uprzejmie. Miałam nadzieję, że i tym razem tak będzie.

- Czy zapowiedziała pani, że „zajmie się nią”? - zapytał Sneed.

- Przyjęłam tylko polecenie.

Holcomb z biura burmistrza i Sneed zaczęli szeptać między sobą.

Sneed jednym ruchem wysunął rękawy koszuli spod marynarki.

- Agentko Starling, z zeznań oficera Boltana z waszyngtońskiej policji wynika, że w furgonetce w drodze na miejsce konfrontacji podzegała pani przeciw EVELDIE DRUMGO. Chciałaby pani wypowiedzieć się na ten temat?

- Z polecenia agenta Brigham'a wyjaśniłam pozostałym oficerom, że Evelda dopuściła się w przeszłości aktów przemocy, że zwykle jest uzbrojona i że jest nosicielką wirusa HIV. Zapowiedziałam, że damy jej szansę, żeby mogła się poddać. Poprosiłam o wsparcie, gdyby zaszła konieczność obezwładnienia jej. Mogę panów zapewnić, że nie zgłosiło się wielu chętnych.

Wtrącił się Clint Pearsall.

- Gdy samochód Cripów rozbił się i jeden z przestępców zbiegł, zobaczyła pani, że w samochodzie ktoś się rusza i usłyszała płacz dziecka.

Dziecko darło się na całe gardło - poprawiła go Starling. - Podniosłam rękę, żeby wstrzymano ogień, i wyszłam z ukrycia.

- W ten sposób naruszyła pani przepisy - powiedział Eldredge. Starling nie zwróciła na niego uwagi.

- Podeszłam do samochodu, z wyciągniętą bronią i opuszczoną lufą. Na ziemi między mną i samochodem leżał konający Burkę. Ktoś podbiegł, żeby zatamować mu krew. Evelda wysiadła z dzieckiem. Poprosiłam, żeby pokazała mi ręce, powiedziałam coś w rodzaju: „Eveldo, nie rób tego”.

- Strzeliła najpierw ona, potem pani. Czy od razu upadła na ziemię? Starling skinęła głową.

- Nogi ugięły się pod nią i usiadła na ulicy, pochylając się nad dzieckiem. Już nie żyła.

- Chwyliła pani dziecko i pobiegła do wody. Wykazała się pani troską o jego dobro - przyznał Pearsall.

- Nie wiem, czym się wykazałam. Było całe zakrwawione. Nie wiedziałam, czy dziecko jest nosicielem HIV. Wiedziałam, że ona była nosicielką.

- I pomyślała pani, że kula mogła zranić dziecko podsunął Krendler.

- Nie. Wiedziałam, gdzie trafiła kula. Mogę mówić otwarcie, panie Pearsall? Nie spojrzał na nią, mówiła więc dalej:

- Ta akcja była fatalnie zorganizowana. Zostałam postawiona w sytuacji, w której musiałam wybierać między własną śmiercią a śmiercią kobiety z dzieckiem. Dokonałam wyboru i ubolewam nad tym, co musiałam zrobić. Zabiłam matkę trzymającą dziecko. Nawet

zwierzęta tego nie robią. Panie Sneed, może pan zechce spojrzeć na licznik w magnetofonie, żeby wiedzieć, w którym momencie się do tego przyznaje. To, że postawiono mnie w takiej sytuacji, cholernie mnie oburza. Irytuje mnie też to, co teraz czuję. - Przypomniała sobie Brighamę, który leżał na ulicy twarzą do ziemi, i posunęła się za daleko. - Niedobrze mi się robi, gdy patrzę, jak wszyscy umywacie ręce od całej sprawy.

- Starling... - Pearsall ze zmartwioną miną po raz pierwszy spojrzął jej w oczy.

- Wiem, że nie spisała pani jeszcze zeznania - wtrącił Larkin Wainwright. - Gdy zapoznamy się...

- Spisałam - odparła Starling. - Kopia została już wysłana do Urzędu do spraw Odpowiedzialności Zawodowej. Drugą kopię mam przy sobie, jeśli zależy panom na czasie. Napisałam o wszystkim, co tam zrobiłam i co widziałam. Panie Sneed, miał pan to przez cały czas.

Widziała ostrzej niż zwykle. To był dla niej sygnał ostrzegający o niebezpieczeństwie. Celowo zniżyła głos.

- Akcja nie udała się z kilku powodów. Informator BATF skłamał na temat miejsca pobytu dziecka, bo zależało mu, żeby akcja doszła do skutku -przed jego rozprawą sądową w Illinois. Evelda Drumgo wiedziała, że przyjedziemy. Wychodziła z pieniędzmi w jednej torbie i z narkotykami w drugiej. Jej pager nadal pokazywał numer WFUL-TV. Została ostrzeżona pięć minut przed naszym przybyciem. Helikopter WFUL-TV nadleciał razem z nami. Trzeba skonfiskować nagrania telefoniczne WFUL-TV i będzie wiadomo, skąd nastąpił przeciek. To ktoś, kto działa na miejscu. Gdyby przeciek był z BATF, tak jak podczas incydentu w Waco, albo z DEA, informacja trafiłaby do mediów ogólnokrajowych, a nie do lokalnej telewizji.

Benny Holcomb odezwał się w imieniu władz centralnych.

- Nie ma żadnych dowodów, że władze miejskie lub waszyngtońska policja mają coś wspólnego z przeciekiem.

- Skonfiskujcie nagrania telefoniczne i przekonacie się -poradziła Starling.

- Macie pager Drumgo? - zapytał Pearsall.

- Jest zabezpieczony w magazynie w Quantico.

Zabrzącał pager Noonana. Wicedyrektor skrzywił się na widok numeru, przeprosił obecnych i wyszedł z pokoju. Po chwili wywołał Pearsalla.

Wainwright, Eldredge i Holcomb wyglądali przez okno na Fort McNair. Trzymali ręce w kieszeniach. Zupełnie jakby znajdowali się w szpitalnej poczekalni. Paul Krendler ściągnął spojrzenie Sneedę i dał mu do zrozumienia, żeby podszedł do Starling.

Sneed położył rękę na oparciu fotela i pochylił się.

- Jeśli pani zezna, że podczas misji zleconej przez FBI z pani broni zginęła EVELDA Drumgo, BATF jest gotowe podpisać oświadczenie, że Brigham kazał pani zwrócić ... szczególną uwagę na Evelde, żeby aresztowanie odbyło się w sposób spokojny. Zginęła z pani broni i na tym kończy się pani odpowiedzialność. Nie będziemy się spierać na tematy regulaminowe ani przytaczać ostrych słów, które wypowiedziała pani o Eveldzie w furgonetce.

Starling ujrzała przez chwilę Evelde Drumgo, jak z dumnie uniesioną głową wychodzi z domu, wysiada z samochodu. Choć śmierć Eveldy była bezsensowna i niepotrzebna, Starling zrozumiała, dlaczego zabrała dziecko i stawiała czoło swoim wrogom.

Przysunęła twarz do mikrofonu na krawacie Sneeda.

- Z przyjemnością powiem, jaką osobą była Evelda Drumgo, panie Sneed - wycodziła wyraźnie. - Lepszą od pana.

Pearsall wszedł do biura bez Noonana i zamknął drzwi.

- Wicedyrektor Noonan wrócił do siebie. Panowie, kończymy spotkanie. Skontaktuję się telefonicznie z każdym z osobna - zapowiedział.

Głowa Krendlera podskoczyła do góry. Wywęszył zmianę i stał się czujny.

- Musimy podjąć jakąś decyzję... - zaczął Sneed.

- Nie musimy.

- Ale...

- Bob, nie musimy podejmować żadnych decyzji, wierz mi. Będę się z wami kontaktował. I jeszcze jedno, Bob.

-Tak?

Pearsall chwycił przewód za krawatem Sneeda i pociągnął mocno, wrywając guziki z koszuli i odklejając taśmę od skóry.

- Jeśli jeszcze raz przyjdiesz do mnie z mikrofonem, wcisnę ci go w dupę. Żaden z mężczyzn nie spojrzał na Starling. Oprócz Krendlera. Szedł do drzwi, powłócząc jak ślepiec nogami i maksymalnie wykręcał długą szyję, żeby spojrzeć na Clarice. Jak hiena, która krąży wokół stada, próbując wyłowić z niego ofiarę. Na jego twarzy malowały się różne pragnienia. Krendler podziwiał nogi Starling, a jednocześnie szukał jej achillesowej pięty.

## ROZDZIAŁ 8

Sekcja Behawioralna FBI zajmuje się wielokrotnymi mordercami. W jej piwnicznych biurach powietrze jest chłodne i nieruchome. Projektanci wnętrz ze swoimi paletami barw usiłowali w ostatnich latach rozweselić nieco podziemne lochy. Rezultaty były równie oplakane jak przy próbach ożywienia zakładu pogrzebowego.

Biuro szefa sekcji zachowało swój oryginalny kolor: brązowy z kawowymi zasłonami w kratę na wysoko umiejscowionych oknach. Właśnie tam Jack Crawford pisał coś przy biurku otoczony aktami krwawych spraw.

Rozległo się pukanie do drzwi. Crawford uniósł głowę i zobaczył Clarice Starling.

Uśmiechnął się i wstał z krzesła. Często rozmawiali na stojąco: była to reguła, którą z czasem narzucili sobie we wspólnych kontaktach. Nie musieli wymieniać uścisków dłoni.

- Słyszałam, że był pan w szpitalu - powiedziała Starling. - Przepraszam, że na pana nie poczekałam.

- Ucieszyłem się, że tak szybko cię wypuścili - odparł. - Jak ucho, wszystko w porządku?

- W porządku, jeśli lubi pan kalafiory. Mówią, że się zagoi. Częściowo. -Ucho przykrywały włosy, a ona nie zamierzała go odsłaniać. Zapadła chwila ciszy.

- Chcą na mnie zwałić odpowiedzialność za akcję, panie Crawford. Za śmierć Eveldy Drumgo, za wszystko. Zachowywali się jak hieny, a potem nagle wszyscy się rozeszli. Coś ich wypłoszyło.

- Może masz anioła stróża, Starling.

- Może. Ile to pana kosztowało, panie Crawford? Pokręcił głową.

- Proszę zamknąć drzwi, Starling. - Znalazł w kieszeni pomietą chusteczkę i przetarł okulary. - Nie mam wystarczających wpływów. Gdyby pani Martin nadal zajmowała swoje stanowisko, mogłaby się za tobą wstawić... Podczas tej akcji zmarnowali Johna Brighamą - zupełnie jakby wyrzucili go na śmietnik. Hańbą byłoby, gdyby ciebie spotkał podobny los.

Policzki Crawforda zaróżowiły się. Clarice przypomniała sobie jego smaganą zimnym wiatrem twarz pochyloną nad grobem Johna Brighamą. Crawford nigdy nie opowiadał jej o swojej wojnie.

- Ale coś pan zrobił, panie Crawford.

Skinął głową.

- No tak. Nie wiem, czy będziesz zadowolona. Jest robota.

Robota. W ich wspólnym języku było to dobre słowo. Oznaczało konkretne,

natychmiastowe zadanie. Oczyszczało atmosferę. Jeśli nie musieli, nie rozmawiali o biurokracji FBI. Crawford i Starling przypominali misjonarzy, którzy nie zajmują się teologią, lecz koncentrują na chorym dziecku. Wiedzą - choć nikomu o tym nie mówią- że nie mogą liczyć na boską pomoc. Że nawet dla tysiąca dzieci z plemienia Ibo Bóg nie zechce zesłać deszczu.

- Pośrednio twoim dobroczyńcą jest nadawca listu, który ostatnio dostałaś.

- Doktor Lecter. Już dawno zauważyła, że Crawford brzydzi się tym nazwiskiem.

- Tak, właśnie on. Przez cały czas pozostawał nieuchwytny, przebywał gdzieś daleko bezkarny, i teraz przesyła list. Po co?

Minęło siedem lat, odkąd doktor Lecter, dziesięciokrotny zabójca, uciekł z aresztu w Memphis, mordując po drodze pięć osób.

Później zapadł się pod ziemię. Sprawa pozostała otwarta i w FBI nie zamierzano jej zamknąć do chwili schwytania mordercy. Podobnie było w Tennessee i innych okręgach sądowych. Ale odwołano siły specjalne, które prowadziły pościg, choć krewni ofiar wylewali łzy złości przez sądem stanowym w Tennessee i domagali się działania.

Powstały całe tomy uczonych rozpraw na temat mentalności Lectera. Większość z nich wyszła spod pióra psychologów, którzy nigdy nie zetknęli się z doktorem osobiście. Pojawiło się kilka prac psychiatrów skompromitowanych przez doktora w specjalistycznej prasie. Najwidoczniej poczuli, że teraz mogą się bez obaw zrewanżować. Niektórzy z nich twierdzili, że jego chora psychika nieuchronnie popchnie go do samobójstwa i że prawdopodobnie już nie żyje.

Również w cyberprzestrzeni zainteresowanie doktorem Lecterem pozostawało wciąż żywe. Teorie na jego temat mnożyły się jak grzyby po deszczu, a on sam pojawiał się w różnych miejscach na świecie niemal tak często jak Elvis. Podszywający się pod niego oszuści byli zmorą internetowych grup dyskusyjnych, a z fosforyzującego bagna ciemnej strony cyberprzestrzeni wypływały policyjne zdjęcia jego ofiar. Fotografie te trafiały nielegalnie do kolekcjonerów okropności, a popularnością ustępowały jedynie scenom z egzekucji Fou-Tchou-Li.

I nagle po siedmiu latach ślad: list do ukamienowanej przez prasę brukową Clarice Starling.

Na liście nie znaleziono odcisków palców, ale FBI wierzyło w jego autentyczność. Clarice Starling nie miała żadnych wątpliwości.

- Dlaczego to zrobił, Starling? - Crawford sprawiał wrażenie, jakby był na nią zły. - Nigdy nie udawałem, że rozumiem go lepiej niż ci kretyni psychiatrzy. Powiedz mi.



- Myślał, że moje ostatnie doświadczenia... zburzą, zniechęcą mnie do FBI, a on uwielbia obserwować, jak załamuje się wiara. Kiedyś kolekcjonował zdjęcia ruin zburzonych kościołów. Sterta gruzów we Włoszech, gdzie zawalił się kościół pełen staruszek biorących udział we mszy, a na ruinach zatknięta przez kogoś choinka - bardzo mu się to podobało. Bawię go, traktuje mnie jak zabawkę. Gdy go przesłuchiwałam, lubił wytykać braki w moim wykształceniu. Sądzi, że jestem naiwna.

Przez Crawforda przemawiał jego wiek i samotność, gdy zadał kolejne pytanie.

- Czy pomyślałaś kiedyś, Starling, że on może cię lubić?

- Myślę, że go rozweselam. Albo coś go bawi, albo nie. Jeśli nie...

- Czy poczułaś kiedyś, że on cię lubi? - Crawford podkreślił różnicę między myślą i uczuciem, jak baptysta kładzie nacisk na całkowite zanurzenie podczas chrztu.

- Po bardzo krótkim spotkaniu powiedział o mnie parę prawdziwych rzeczy. Myślę, że łatwo pomylić zrozumienie z empatią: tak bardzo jej pragniemy. Może zrozumienie tej różnicy jest przejawem dojrzałości. Przykra jest świadomość, że ktoś może nas rozumieć, lecz niekoniecznie lubić. Najgorsze, że zrozumienie może być wykorzystane jako narzędzie drapieżnika. Nie... nie mam pojęcia, co doktor Lecter do mnie czuje.

- Co takiego o tobie powiedział, jeśli mogę zapytać?

- Powiedział, że jestem ambitna. Że przypominam mu prostą babę ze wsi, a oczy świecami się jak tanie szkiełka. Powiedział, że noszę tanie pantofle, choć mam gust.

- Uznałaś, że to wszystko prawda?

- Tak. Może nadal tak jest, choć staram się nosić lepsze buty.

- Myślisz, że chciał się przekonać, czy go wydasz, jeśli przyśle list ze słowami pocieszenia?

- Wiedział, że go wydam. Powinien to wiedzieć.

- Po wyroku sądu zabił jeszcze sześć osób - powiedział Crawford. - Zabił Miggsa w szpitalu za opryskanie cię spermą i pięć osób podczas ucieczki. Jeśli zostanie schwytany, czeka go kara śmierci. - Crawford uśmiechnął się na tę myśl. Był pionierem badań nad wielokrotnymi zabójcami. Teraz czekała go emerytura, a potwór, który był dla niego największym wyzwaniem, pozostawał na wolności. Perspektywa uśmiercenia doktora Lectera szalenie mu się podobała.

Starling wiedziała, że Crawford wspomniał o wyczynie Miggsa, chcąc przykuć jej uwagę, przenieść ją w przeszłość do tego straszliwego okresu, gdy przesłuchiwała Hannibala-Kanibala w jego podziemnej celi w Stanowym Szpitalu dla Psychiczenie Chorych Przeszpców. Lecter bawił się nią, a tymczasem w studni w piwnicy Jame'a Gumba czekała na

śmierć dziewczyna. Zwykle przechodząc do sedna sprawy, Crawford całkowicie absorbował uwagę rozmówcy, podobnie jak teraz.

- Wiesz, że jedna z pierwszych ofiar doktora Lectera wciąż żyje?

- Ten bogacz, którego rodzina wyznaczyła nagrodę?

- Tak, Mason Verger. Jest podłączony do respiratora w Marylandzie. W tym roku zmarł jego ojciec i zostawił mu swoje mięsne imperium. Po śmierci starego Vergera Mason został kongresmenem i członkiem Komisji Sądowej Kongresu, która bez niego nie byłaby w stanie związać końca z końcem. Mason twierdzi, że ma coś, co pomoże nam odnaleźć doktora. Chce rozmawiać z tobą.

- Ze mną?

- Tak. Domaga się tego i nagle wszyscy zgodnie twierdzą, że to świetny pomysł.

- Czuję tu pańską rękę.

- Chcieli się ciebie pozbyć, Starling, wyrzucić jak szmacianą lalkę. Poszłabyś na śmietnik w ślad za Johnem Brighamem. Po to, żeby ocalić głowy kilku biurokratów z BATF. Strach. Presja. Nic innego do nich nie dociera. Wysłałem kogoś, żeby szepnął słówko Masonowi i przekonał go, jak bardzo twoje odejście zaszkodziłoby poszukiwaniom Lectera. Co się stało później, do kogo Mason zadzwonił - tego nie chcę wiedzieć. Prawdopodobnie do kongresmena Vellmore'a.

Jeszcze rok wcześniej Crawford nie zagrałby w ten sposób. Starling przyjrzała się uważnie jego twarzy, szukając oznak szaleństwa, ogarniającego czasem ludzi, którym grozi rychła emerytura. Nic takiego nie dostrzegła, choć Crawford wyglądał na zmęczonego.

- Mason nie jest ładny, Starling, i nie mam na myśli tylko jego twarzy. Dowiedz się, co dla nas ma. Jak wrócisz, zabierzemy się do tego. W końcu.

Starling wiedziała od lat, że gdy tylko ukończyła Akademię, Crawford usiłował zatrudnić ją w Sekcji Behawioralnej.

Jako weteranka FBI i uczestniczka wielu akcji, które nie przyniosły jej awansu, zrozumiała, że pierwszy triumf - schwytanie wielokrotnego mordercy Jame'a Gumba - doprowadził ostatecznie do jej klęski w FBI. Była wschodzącą gwiazdą, która utknęła w miejscu. W trakcie poszukiwań Gumba zrobiła sobie co najmniej jednego śmiertelnego wroga i wzbudziła zazdrość wielu rówieśników płci brzydkiej. Brakowało jej też uległości, dlatego przez całe lata wysyłano ją do wręczania nakazów i udaremniania napadów na banki w biednych dzielnicach. W końcu uznano, że nie nadaje się do pracy w zespole, została więc agentem do spraw technicznych. Zakładała podsłuch w telefonach i samochodach gangsterów i handlarzy dziecięcą pornografią. Czuwała samotnie ze słuchawkami na uszach. I zawsze

była do dyspozycji, gdy siostrzana agencja potrzebowała wprawnej ręki podczas akcji. Była silna, choć szczupła, szybka i ostrożnie obchodziła się z bronią.

Crawford dostrzegł teraz dla niej szansę. Podejrzewał, że zawsze chciała ścigać Lectera. Prawda była nieco bardziej skomplikowana.

- Nigdy nie usunęłaś prochu z twarzy.

Okruchy spalonego prochu z rewolweru świętej pamięci Jame'a Gumba tworzyły na policzku czarne znamię.

- Nie miałam czasu.

- Wiesz, jak Francuzi nazywają taki pieprzyk wysoko na policzku? *Mouche*. Wiesz, co to znaczy? - Crawford zgromadził sporą bibliotekę na temat tatuaży, symboliki ciała i rytualnych okaleczeń.

Starling pokręciła głową.

- Takie znamię nazywają „odwagą”. Nie usuwałbym go na twoim miejscu.

## ROZDZIAŁ 9

Muskrat Farm, posiadłość Vergerów nad rzeką Susquehanna w północnej części stanu Maryland, ma w sobie nieco upiorny urok. Klan Vergerów zakupił ją w latach trzydziestych, przenosząc się na wschód z Chicago, żeby być bliżej Waszyngtonu. Mogli sobie pozwolić na taki wydatek: dzięki sprytowi w polityce i interesach zbijali fortunę na dostawach mięsa dla armii amerykańskiej od czasów wojny secesyjnej.

Afera z „zabalsamowaną wołowiną” podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej właściwie nie zaszkodziła Vergerom. Kiedy Upton Sinclair i jego wtyczki przeprowadzili inspekcję warunków pracy w zakładzie w Chicago, odkryto, iż kilku pracowników przez nieuwagę przerobiono na smalec, zapuszkowano i sprzedano jako „Czysty Łój Nerkowy Durhama”, rozchwytywany przez piekarzy. Ale Vergerowie wyszli z afery obronną ręką. Nie stracili ani jednego rządowego kontraktu.

Wymigiwali się od odpowiedzialności jeszcze wiele razy, przekupując polityków. Ich jedyną porażką była przyjęta przez Kongres ustawa o badaniu mięsa w tysiąc dziewięćset szóstym roku.

Teraz rzeźnie Vergerów ubijały dziennie osiemdziesiąt sześć tysięcy sztuk bydła i około trzydziestu sześciu tysięcy świń. Wielkości te wahały się w zależności od pory roku.

Świeżo przystrzyżone trawniki i bujne kołyszące się na wietrze lilie nie pachną jak rzeźnia. Jedynymi zwierzętami są tu kucyki dla zapraszanych dzieci i pocieszne stada gęsi, które pasą się na trawnikach z głowami nisko przy ziemi i ruchliwymi kuprami. Nie ma psów. Dom, stodoła i teren posiadłości znajdują się niemal w samym sercu lasów państwowych o powierzchni dziesięciu kilometrów kwadratowych dzięki bezterminowemu specjalnemu pozwoleniu Departamentu Spraw Wewnętrznych.

Jak wiele innych enklaw bogactwa Muskrat Farm jest trudno dostępna. Clarice zjechała z autostrady za daleko. Wracając równoległą do autostrady drogą lokalną, najpierw trafiła na wjazd służbowy: zamkniętą na kłódkę i zabezpieczoną łańcuchem wielką bramę w wysokim ogrodzeniu okalającym las. Za bramą droga niknęła wśród drzew. Nigdzie nie było telefonu. Cztery kilometry dalej natknęła się na budkę strażniczą stojącą przy pięknej alei dojazdowej. Strażnik w mundurze miał jej nazwisko zapisane w notatniku.

Przejechała jeszcze trzy kilometry wypielegnowaną drogą i dotarła do posiadłości.

Zatrzymała hałaśliwego mustanga, żeby przepuścić przechodzące właśnie drogą stado gęsi. Zobaczyła grupkę dzieci, które wyjeżdżały gęsiego na tłustych kucykach z pięknej stodoły oddalonej pół kilometra od domu. Główny budynek zaprojektowany przez Stanforda

White' a był rezydencją cudownie położoną wśród niskich wzgórz. Posiadłość wyglądała na solidną i dostatnią jak kraina ze słodkich snów. Starling była oczarowana.

Vergerowie mieli tyle oleju w głowie, że zachowali oryginalną sylwetkę domu. Wyjątkiem była jedynie przybudówka, której Starling jeszcze nie widziała: nowoczesne skrzydło wystające ze wschodniej elewacji niczym dodatkowa kończyna dołączona podczas groteskowego eksperymentu medycznego.

Starling zaparkowała przy głównym portyku. Gdy umilkł silnik, słyszała swój własny oddech. Zobaczyła w lusterku, że ktoś nadjeżdża na koniu. Gdy wysiadała z samochodu, na drodze zastukotały kopyta.

Jeździec miał szerokie barki i krótkie blond włosy. Zeskoczył z siodła i nie patrząc na służącego, podał mu lejce.

- Odprowadź go - zabrzmiał głęboki i ostry głos. - Jestem Margot Verger. - Z bliska okazało się, że to kobieta. Wyciągnęła rękę, nie zginając ramienia w łokciu. Miała sylwetkę kulturystki. Pod umięśnioną szyją potężne ramiona i barki rozciągały trykot sportowej koszulki. Oczy miały suchy połysk. Wyglądały na podrażnione, jak gdyby kobieta cierpiała na niedostatek łez. Miała na sobie bryczesy dojazdy konnej z diagonalu i buty bez ostróg.

- Czym pani jeździ? - zapytała. - Starym mustangiem?

- Z osiemdziesiątego ósmego.

- Pięciolitrowy? Trochę jakby przysiadł na kołach.

- Tak, to roush mustang.

- Lubi go pani?

- Bardzo.

- Jakie ma osiągi?

- Nie wiem. Ale chyba dobre.

- Boi się go pani?

- Szanuję go. Powiedziałabym, że traktuję go z szacunkiem - odparła Starling.

- Zna się pani na takim wozie czy po prostu go pani kupiła?

- Gdy kupowałam go na giełdzie, wiedziałam o nim dosyć dużo. Później dowiedziałam się więcej.

- Myśli pani, że dałby radę mojemu porsche?

- Zależy jakiemu porsche. Panno Verger, chciałabym porozmawiać z pani bratem.

- Skończą mycie za jakieś pięć minut. Możemy już iść. - Margot Verger ruszyła po schodach. Bryczesy z diagonalu szeleściły, pocierane potężnymi udami. Miała tak przerzedzone włosy, że Starling zastanawiała się, czy nie zażywa sterydów i nie musi

podpinać sobie lechtaczki.

Clarice spędziła dzieciństwo głównie w luterzańskim sierocińcu. W przestronnych salach rezydencji czuła się jak w muzeum z malowanymi stropami i obrazami poważnie wyglądających zmarłych ludzi na ścianach. Na podestach stały chińskie wazy, a marokańskie dywany zdobiły korytarze.

Wystrój wewnątrz raptownie zmieniał się w nowym skrzydle rezydencji Vergerów. Do nowoczesnej i funkcjonalnej części domu wchodziło się przez podwójne drzwi z mleczną szybą, zupełnie nie na miejscu w wysokim, zakończonym łukowatym sklepieniem holu.

Margot Verger zatrzymała się przed drzwiami. Spojrzała na Starling błyszczącymi, zaczerwienionymi oczami.

- Niektórzy nie potrafią znieść rozmów z Masonem - oznajmiła. - Jeśli się pani zmęczy lub będzie pani miała dość, mogę później odpowiedzieć na pytania, których zapomni pani zadać.

Istnieje wszystkim dobrze znane uczucie, które nie ma nazwy: radosne oczekiwanie na możliwość odczucia pogardy. Starling wyczytała to w twarzy Margot Verger.

- Dziękuję - powiedziała tylko.

Ku zaskoczeniu Clarice w pierwszym pomieszczeniu znajdował się duży i dobrze wyposażony pokój z zabawkami. Dwójka czarnych dzieci bawiła się wśród olbrzymich maskotek: jedno jeździło na obrotowej huśtawce, drugie ciągnęło po podłodze ciężarówkę. W kątach stały rowerki, a na środku znajdował się wielki zestaw drabinek do gimnastycznych ewolucji. Podłogę pod nim wyścielono miękkimi materacami.

W kącie pokoju na kanapie siedział wysoki pielęgniarz w białym fartuchu i czytał „Vogue”. Na ścianach zawieszono liczne kamery: niektóre wysoko, inne na poziomie oczu. Jedna z narożnych kamer śledziła Starling i Margot Verger. Jej obiektyw obracał się, ustawiając ostrość.

Starling jeszcze niedawno czuła ukłucie w sercu na widok czarnego dziecka, lecz te maluchy pochłonęły całkowicie jej uwagę. Miło było popatrzeć na ich zabawy, gdy przechodziła razem z Margot Verger przez pokój.

- Mason lubi obserwować dzieci - wyjaśniła Margot. - Jego widok przeraża wszystkie, oprócz najmniejszych, więc robi to w ten sposób. Później jeżdżą na kucykach. To dzieci z zakładów opiekuńczych w Baltimore.

Do pokoju Masona Vergera można było wejść tylko przez łazienkę - godną luksusowego sanatorium. Pomieszczenie ciągnęło się przez całą szerokość skrzydła. Miało chłodny, szpitalny wystrój. Było stalowo-chromowe, z szarymi dywanami, szerokimi

kabinami prysznicowymi, kranami z nierdzewnej stali, zwiniętymi pomarańczowymi węzami, sauną i szklanymi szafkami pełnymi maści z „Farmacia di Santa Maria Novella” we Florencji. W łazience unosiła się para po niedawnej kąpieli, zapach balsamu i olejków.

Starling dostrzegła światło pod drzwiami pokoju Masona Vergera. Zgasło, gdy jego siostra dotknęła klamki.

Kanapa i stół w kącie pokoju były mocno oświetlone z góry. Na ścianie wisiała dobrze zachowana rycina Williama Blake'a. Przedstawiała Boga z cyrklem w ręku. Udrapowano ją czernią na znak żałoby po niedawno zmarłym seniorze klanu Vergerów. Resztę pokoju spowijała ciemność.

Dochodziły z niej dźwięki pracującego rytmicznie urządzenia, regularne westchnienia.

- Dzień dobry, agentko federalna Starling - pozdrowił Clarice mechanicznie wzmocniony donośny głos, nie wymawiający szczelinowego „f”.

- Dzień dobry, panie Verger - rzuciła w ciemność, czując na czubku głowy ciepło górnych lamp. Dzień był gdzie indziej. Na pewno nie w tym pokoju.

- Proszę usiąść.

Muszę to zrobić. Teraz. Właśnie teraz.

- Panie Verger, rozmowa, którą z panem przeprowadzę, ma charakter zeznania i będę musiała ją nagrać. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Ależ skąd. - Głos zabrzmiał między westchnieniami aparatury bez syczącego „s”. - Margot, możesz nas już zostawić.

Margot wyszła z szelestem bryczesów, nie patrząc na Starling.

- Panie Verger, chciałabym przyczepić ten mikrofon do pana... ubrania lub poduszki, jeśli nie będzie to panu przeszkadzało. A może wolałby pan, żebym zawołała pielęgniarkę.

- W żadnym wypadku - odparł Verger, połykając „w”, „m” i „p”. Czekał na następny mechaniczny wydech. - Może to pani zrobić sama, agentko Starling. Proszę tutaj podejść.

Starling nie widziała nigdzie kontaktów. Pomyślała, że jeśli wyjdzie spod świetlnego kręgu, zobaczy więcej. Wkroczyła w ciemność, wyciągając przed siebie rękę i kierując się tam, skąd dochodził zapach balsamu i olejków.

Gdy włączył światło, była bliżej łóżka, niż myślała.

Nie zmieniła wyrazu twarzy. Tylko ręka trzymająca klips mikrofonu cofnęła się, może o centymetr.

Pierwsza myśl nie miała związku z uczuciami przepelniającymi jej serce; zrozumiała, skąd ta wadliwa wymowa. Mason nie miał warg. Druga myśl była odkryciem, że Verger nie jest niewidomy. Jego jedyne niebieskie oko spoglądało na Clarice przez coś w rodzaju

monokla z rurką, która zwilżała pozbawioną powieki gałkę. Co do reszty, chirurdzy przed laty zrobili wszystko, co było w ich mocy, rozciągając na kościach przeszczepy skóry.

Mason Verger, bez nosa i warg, bez miękkiej tkanki na twarzy, był samymi zębami, jak potwór z głębin oceanu. Przyzwyczajeni do masek, doznajemy szoku z opóźnieniem. Szok przychodzi z myślą, że to ludzka twarz, za którą kryje się sprawny umysł. Zapierające dech w piersi ruchy, mowa szczęki, poruszenie patrzącego na ciebie oka. Oka, które chłonnie normalną twarz.

Mason Verger miał piękne włosy i, co najdziwniejsze, najtrudniej było na nie patrzeć. Czarne, przyprószone siwizną, ściągnięte w kucyk, który sięgałby do podłogi, gdyby pozwolić mu zwisać z poduszki. Splecione włosy leżały w wielkim węźle na klatce piersiowej nad przypominającym żółwi pancerz respiratorem. Ludzkie włosy pod upiorną ruiną twarzy, kosmyki lśniące jak rybie łuski.

Pod kołdrą sparaliżowane od dawna ciało Masona Vergera leżało bezwładnie na podnoszonym szpitalnym łóżku.

Tuż przed nim znajdowało się urządzenie, które wyglądało jak organy czy plastikowa harmonijka. Mason zwinął język wokół jednej z rurek i dmuchnął w nią przy następnym wydechu respiratora. Łóżko odpowiedziało brzęczeniem, zrobiło niewielki zwrot w stronę Starling i podniosło wyżej zagłówek.

- Dziękuję Bogu za to, co się stało - oznajmił Verger. - To moje błogosławieństwo. Czy przyjęła pani do siebie Jezusa, panno Starling? Czy pani wierzy?

- Wychowałam się w religijnej atmosferze, panie Verger. Wierzę tak, jak mnie nauczono. Ale teraz, jeśli pan pozwoli, przyczepię mikrofon do poduszki. Nie będzie przeszkadzał? - Głos Starling brzmiał nienaturalnie: zbyt dziarsko i troskliwie.

Jej ręka przy jego głowie: zbliżenie ciał nie pomogło Clarice, podobnie jak widok pulsujących naczynek krwionośnych naciągniętych na kości czaszki. Rozszerzały się regularnie, wyglądały jak wijące się dżdżownice.

Z ulgą rozwinęła kabel i wycofała się do kanapy, magnetofonu i własnego mikrofonu.

- Mówi agentka specjalna Clarice M. Starling, numer identyfikacyjny pięć jeden cztery trzy sześć dziewięć zero. Przesłuchuję Masona R. Vergera, numer ubezpieczeniowy cztery siedem pięć dziewięć osiem dziewięć osiem dwa trzy w jego domu. Data widoczna powyżej, poświadczona. Pan Verger wie, że uzyskał zwolnienie od odpowiedzialności karnej od prokuratora Okręgu Trzydziestego Szóstego i od władz lokalnych we wspólnym memorandum, poświadczonym. A teraz, panie Verger...

- Chcę pani opowiedzieć o obozie - przerwał jej z następnym wydechem. -To było



cudowne doświadczenie z dzieciństwa, do którego wracam pamięcią.

- Zajmiemy się tym później, panie Verger, a tymczasem...

- Możemy zająć się tym już teraz, panno Starling. Widzi pani, wszystko się ze sobą wiąże. Tam przyszedł do mnie Jezus Chrystus. Nigdy nie opowiem

pani nic równie ważnego. - Poczekał na westchnienie maszyny. - To był obóz z okazji Bożego Narodzenia, za który zapłacił mój ojciec. Zapłacił za wszystko, za wszystkich stu dwudziestu pięciu uczestników obozu nad jeziorem Michigan. Niektórzy z tych nieszczęśników zrobiliby wszystko za tabliczkę czekolady. Może wykorzystywałem ten fakt, może traktowałem ich okrutnie, jeśli nie chcieli robić za słodycze tego, czego od nich żądałem. Niczego się nie wypieram, bo teraz jest już dobrze.

- Panie Verger, zajmijmy się może...

Nie słuchał jej, czekał tylko na kolejny oddech.

- Mam immunitet, panno Starling, i teraz jest już dobrze. Dostałem immunitet od Jezusa, dostałem immunitet od prokuratora stanowego, mam immunitet od prokuratora okręgowego z Owings Mills, alleluja. Jestem wolny, panno Starling, i teraz jest już dobrze. Oddałem się Jemu i jest już dobrze. Syn Boży, na obozie nazywaliśmy go w skrócie „Synem”. Nikt nie jest silniejszy od Syna. Syn brzmiał bardziej współcześnie. Służyłem mu w Afryce, alleluja, służyłem mu w Chicago, niech będzie pochwalone imię Jego, służę Jemu teraz i On podniesie mnie z tego łóżka, ukarze moich wrogów, sprowadzi ich przed moje oblicze i usłyszę lament ich kobiet, i teraz jest już dobrze. - Zakrztusił się śliną i zamilkł. Ciemne naczynka krwionośne na twarzy pulsowały szybko.

Starling wstała, żeby zawołać pielęgniarza, lecz głos Vergera zatrzymał ją, zanim doszła do drzwi.

- Nic mi nie jest, teraz jest już dobrze. Może lepsze będzie konkretne pytanie.

- Panie Verger, czy spotkał pan doktora Lectera, zanim sąd skierował pana do niego na terapię? Czy utrzymywał pan z nim stosunki towarzyskie?

- Nie.

- Obydwaj byliście członkami zarządu filharmonii w Baltimore.

- Moja rodzina zasiadała w zarządzie, bo dofinansowujemy filharmonię, ale na głosowania wysyłałem prawników.

- Nie zeznawał pan podczas procesu doktora Lectera. - Clarice uczyła się odpowiednio dawkować pytania, żeby starczyło mu tchu na odpowiedź.

- Podobno mieli na niego tyle, że mogli go skazać sześć czy dziewięć razy. Tymczasem on schował głowę w piasek, zasłaniając się chorobą psychiczną.

- To sąd uznał, że jest niepoczytalny. Doktor Lecter niczym się nie zasłaniał.

- Czy, pani zdaniem, ta różnica jest warta podkreślenia? - zapytał Mason.

Ta odpowiedź pozwoliła po raz pierwszy poznać jego myśli, sprawny, głęboki umysł, tak różny od frazesów, których używał w rozmowie.

Wielka murena przyzwyczaiła się już do światła i wypłynęła spomiędzy kamieni na dnie akwarium, rozpoczynając swój niezmordowany taniec niczym falująca brązowa wstęga ozdobiona nieregularnymi kremowymi plamkami.

Starling dostrzegała kątem oka jej ruchy.

- *Muraena kidako* - wyjaśnił Mason. - Jeszcze większy okaz znajduje się w Tokio. Ta jest druga co do wielkości. Powszechnie nazywana jest Okrutną Mureną. Chciałaby się pani przekonać dlaczego?

- Nie. - Starling przewróciła kartkę w notesie. - A więc w ramach zalecanej przez sąd terapii zaprosił pan doktora Lectera do swojego domu.

- Już się nie wstydzę. Powiem wszystko. Teraz jest już dobrze. Zostałem zwolniony warunkowo po tych wszystkich rozdmuchanych oskarżeniach o molestowanie. Miałem odpracować społecznie pięćset godzin, pracować w schronisku dla psów i uczęszczać na terapię do doktora Lectera. Pomyślałem sobie, że jeśli wpakuję w coś doktora, nie wyda mnie, gdy będę się spóźniał albo przyjdę pijany na spotkanie.

- Mieszkał pan wtedy w Owings Mills.

- Tak. Opowiedziałem doktorowi Lecterowi o wszystkim. O Afryce, o Idi Aminie, i powiedziałem, że pokażę mu swój sprzęt.

- Pański sprzęt?

- Moje zabawki. Tam w rogu stoi mała przenośna gilotyna, której używał Idi Amin. Można ją przewieźć dżipem i pojechać z nią wszędzie, nawet do najbardziej odległej wioski. Składa się w piętnaście minut. Skazany podnosi ostrze za pomocą kołowrotka w ciągu dziesięciu minut, trochę więcej czasu zajmuje to kobiecie lub dziecku. Już się tego nie wstydzę, zostałem oczyszczony.

- Doktor Lecter zjawił się w pańskim domu.

Tak. Otworzyłem drzwi w skórze, wie pani. Obserwowałem, jak zareaguje, ale nic nie dostrzegłem. Obawiałem się, że może się mnie przestraszyć, ale nie sprawiał takiego wrażenia. On miałby się mnie przestraszyć - jak to dzisiaj śmiesznie brzmi. Zaprosiłem go na górę. Pokazałem mu psy, które wziąłem ze schroniska: dwa zaprzyjaźnione psy. Trzymałem je razem w klatce bez jedzenia, pojąc tylko dużą ilością świeżej wody. Ciekaw byłem, co się w końcu stanie.

Pokazałem mu moją szubieniczkę - ciągnął dalej. - Wie pani, autoerotyczne duszenie. Człowiek wiesz się, ale nie naprawdę, i jest mu przyjemnie, gdy jednocześnie... wie pani, o co chodzi.

- Tak.

- On nie wiedział. Zapytał mnie, jak to działa, a ja na to, że dziwny z niego psychiatra, skoro nie wie, a on na to - nigdy nie zapomnę jego uśmiechu - „Proszę mi zademonstrować”. Pomyślałem sobie: „Mam cię!”

- I zademonstrował mu pan.

- Nie wstydę się tego. Uczymy się na naszych błędach. Jestem oczyszczony.

- Proszę mówić dalej, panie Verger.

- No więc stanąłem przed wielkim lustrem, założyłem sobie pętlę, trzymając w jednym ręku sznur, a drugą ręką onanizowałem się. Cały czas obserwowałem, jak reaguje, ale niczego po sobie nie pokazywał. Zwykle potrafię czytać

w ludzkich twarzach. Siedział w fotelu w kącie pokoju. Założył nogę na nogę, palce splótł na kolanie. Nagle wstał, sięgnął do kieszeni marynarki, elegancki, zupełnie jak James Mason sięgający po zapalniczkę. „Masz ochotę na amylowego poppera?” - zapytał. Rany! - pomyślałem. Częstoje mnie, więc będzie musiał częstować już zawsze, żeby nie stracić licencji. Rzecz dostępna tylko na receptę. Jeśli czytała pani raport, to wie pani, że amyłowy popper jest dużo silniejszy od azotynu amyłu.

- Fencyklidyna, jakieś inne metamfetaminy i trochę kwasu - powiedziała Starling.

- Rewelacja! Podszedł do lustra, w którym się przeglądałem, kopnął je i podniósł kawałek tafii. Odlatywałem. Podszedł do mnie, podał mi kawałek szkła, spojrzął mi w oczy i zapytał, czy nie zechciałbym zedrzeć sobie skóry z twarzy. Wypuścił psy. Nakarmiłem je własną twarzą. Mówią, że musiało to trwać bardzo długo. Nie pamiętam. Doktor Lecter złamał mi kark za pomocą pętli. Odzyskali nos, gdy zrobili psom płukanie żołądków, ale transplant się nie przyjął.

Układanie papierów na stole zajęło Starling więcej czasu, niż było to konieczne.

- Panie Verger, pańska rodzina wyznaczyła nagrodę po ucieczce doktora Lectera z Memphis.

- Tak, milion dolarów. Jeden milion. Ogłosiliśmy to na całym świecie.

- Zaproponował pan też zapłatę za wszelkie istotne dla sprawy informacje, nie tylko takie, które doprowadzą do zatrzymania poszukiwanego. Miał pan dzielić się tymi informacjami z nami. Zawsze pan to robił?

- Niezupełnie, ale też nie było się czym dzielić.

- Skąd pan wie? Zbadał pan na własną rękę niektóre tropy?

- Na tyle, żeby się przekonać, że są nic niewarte. Właśnie, dlaczego mielibyśmy się dzielić? Wy nigdy nam nic nie mówicie. Mieliśmy jeden sygnał z Krety, ale fałszywy, i jeden z Urugwaju, którego nie mogliśmy potwierdzić. Chcę, żeby pani zrozumiała. Nie chodzi mi o zemstę, panno Starling. Przebaczyłem doktorowi Lecterowi, tak jak Jezus przebaczył rzymskim żołnierzom.

- Panie Verger, zasugerował pan wcześniej, że teraz ma pan coś dla nas.

- Proszę zajrzeć do szuflady pod stołem.

Starling wyjęła z torebki białe bawełniane rękawiczki i założyła je. W szufladzie leżała duża szara koperta. Była sztywna i ciężka. Clarice wyciągnęła z niej zdjęcie rentgenowskie i podniosła wysoko do silnego górnego światła. Przedstawiało lewą rękę, która prawdopodobnie uległa kontuzji. Cztery palce, nie licząc kciuka.

- Proszę spojrzeć na śródreżce, wie pani, o czym mówię?

-Tak.

- Niech pani policzy knykcie.

Pięć.

- Razem z kciukiem ten ktoś miał sześć palców u lewej ręki. Tak jak doktor Lecter.

- Jak doktor Lecter.

Róg zdjęcia, gdzie powinny znajdować się dane, został odcięty.

- Skąd jest to zdjęcie, panie Verger?

- Z Rio de Janeiro. Żeby dowiedzieć się więcej, muszę zapłacić. I to dużo. Może pani potwierdzić, że to doktor Lecter? Powinienem wiedzieć, jeśli mam zapłacić.

- Spróbuję, panie Verger. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Ma pan kopertę, w której przysłano zdjęcie?

- Margot trzyma ją w plastikowej torbie, da ją pani. A teraz proszę mi wybaczyć, panno Starling, ale czuję się trochę zmęczony i muszę skorzystać z opieki.

- Odezwę się, panie Verger.

Niedługo po wyjściu Starling Mason Verger zatrąbił w ostatnią piszczałkę w rzędzie.

- Cordell? - przywołał z dziecięcego pokoju pielęgniarza, który przeczytał mu coś z folderu z napisem: WYDZIAŁ OPIEKI NAD DZIEĆMI, BALTIMORE.

- Franklin, tak? Przyślij do mnie Franklina - zażądał Mason, wyłączając światło.

Chłopczyk stał samotnie w kręgu mocnego, padającego z góry światła, wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność.

- Masz na imię Franklin - odezwał się donośny głos.

- Franklin - potwierdził chłopczyk.
- Gdzie mieszkasz, Franklin?
- Z mamą, Shirley i Stringbeanem.
- Stringbean jest z wami cały czas?
- Raz jest, raz go nie ma.
- Powiedziałaś: „Raz jest, raz go nie ma”?
- No.
- „Mama” nie jest twoją prawdziwą mamą. Wiesz o tym?
- To przyszywana mama.
- Nie jest twoją pierwszą przyszywaną mamą, prawda?
- Tak.
- Podoba ci się u nich, Franklin? Chłopczyk ożywił się.
- Mamy Kiciusia. Mama piecze ciasto w piecyku.
- Od jak dawna mieszkasz z mamą?
- Nie wiem.
- Obchodziłeś tam urodziny?
- Kiedyś tak. Shirley zrobiła koktajl.
- Lubisz koktajle?
- Truskawkowe.
- Kochasz mamę i Shirley?
- Kocham. Kiciusia też.
- Chcesz tam mieszkać? Czujesz się bezpiecznie, kiedy kładziesz się spać?
- Aha. Śpię w pokoju z Shirley. Shirley jest duża.
- Franklin, nie możesz już mieszkać z mamą, Shirley i kiciusiem. Musisz ich opuścić.
- Kto mi każe?
- Władze. Mama straciła pracę i nie może się już tobą opiekować. Policja znalazła papierosa z marihuaną w waszym domu. Od dziś nie możesz się już widywać z mamą. Ani z Shirley. Ani z kiciusiem.
- Nie.
- A może oni już ciebie nie chcą, Franklin. Czy coś z tobą nie tak? Masz jakąś bliznę, coś brzydkiego? Myślisz, że masz zbyt ciemną skórę, żeby cię pokochali?
- Franklin podciągnął bluzkę i spojrzał na swój mały brązowy brzuszek. Kręcił głową. Płakał.
- Wiesz, co się stanie z kiciusiem? Jak się nazywa kiciuś?

- Kiciuś, to jego imię.

- Wiesz, co się stanie z Kiciusiem? Policjanci zabiorą go do schroniska i weterynarz zrobi mu zastrzyk. Robiono ci kiedyś zastrzyk? Pielęgniarka robiła ci kiedyś zastrzyk? Błyszczącą igłą? Zrobią Kiciusiowi zastrzyk. Bardzo się przestraszy na widok igły. Wbiją mu ją, Kiciuś będzie cierpiał i umrze.

Franklin chwycił rąbek bluzki i przytknął go do twarzy. Zaczął ssać kciuk. Nie robił tego od roku, odkąd mama mu zabroniła.

- Podejź tu - zażądał głos z ciemności. - Podejź tu, to powiem ci, jak możesz uratować Kiciusia. Chcesz, żeby zrobili Kiciusiowi zastrzyk, Franklin? Nie? Więc podejź tutaj.

Franklin z kapiącymi z oczu łzami i z kciukiem w buzi powoli wszedł w ciemność. Gdy znalazł się w odległości dwóch metrów od łóżka, Mason dmuchnął w harmonijkę i zapaliło się światło.

Wrodzona odwaga lub chęć uratowania Kiciusia, a może nieszczęsna świadomość, że nie ma już dokąd uciec, sprawiła, że Franklin ani drgnął. Nie rzucił się do ucieczki. Stał w miejscu, patrząc w twarz Masona.

Mason zmarszczyłby brwi, gdyby je miał. Nie na taką reakcję czekał.

- Możesz uratować Kiciusia, jeśli sam podasz mu trutkę na szczury - powiedział. Nie wymówił wybuchowego „p”, ale Franklin i tak zrozumiał. Wyjął kciuk z buzi.

- Jesteś kupa - powiedział Franklin. - I jesteś brzydki. - Odwrócił się i przez pomieszczenie ze zwiniętymi wężami wymaszerował do pokoju z zabawkami.

Mason obserwował go na monitorze.

Pielęgniarz udawał, że czyta „Vogue”, ale też uważnie przyglądał się chłopczykowi.

Franklin nie zwracał już uwagi na zabawki. Usiadł pod wielką żyrafą, twarzą do ściany. To wszystko, co mógł zrobić, żeby nie ssać kciuka.

Cordell przyglądał mu się uważnie. Gdy zobaczył, że plecy dziecka drżą, podszedł do niego i delikatnie wytarł mu łzy sterylnymi wacikami. Wrzucił mokre waciki do szklanki Masona, która chłodziła się w lodówce obok soku pomarańczowego i coli.

## ROZDZIAŁ 10

Niełatwo było znaleźć informacje medyczne o doktorze Hannibalu Lecterze. Kiedy pomyśli się, jak bardzo gardził służbą zdrowia i większością jej pracowników, nie dziwi fakt, że nigdy nie miał osobistego lekarza.

Stanowy Szpital dla Psychiczenie Chorych Przestępców, gdzie więziono doktora Lectera aż do czasu niefortunnego przeniesienia go do Memphis, został zlikwidowany. Opuuszczony budynek czekał na rozbiórkę.

Policja stanu Tennessee, która opiekowała się doktorem Lecterem przed jego ucieczką, zaprzeczała, jakoby w jej posiadaniu znajdowały się jakiegokolwiek dokumenty medyczne związane z nim. Nieżyjący funkcjonariusze, którzy sprowadzili go z Baltimore do Memphis, poświadczali podpisami odbiór więźnia, ale nie dokumentów.

Starling spędziła cały dzień przy telefonie i komputerze. Przeszukała kartoteki w Quantico i budynku J. Edgara Hoovera. Przez cały ranek miotła się po zakurzonym, cuchnącym i zagraconym magazynie dowodów rzeczowych w policji w Baltimore. Spędziła szalone popołudnie, przeglądając nieskatalogowany Zespół Hannibala Lectera w Bibliotece Prawniczej Fitzhugh, gdzie czas stoi w miejscu, a bibliotekarki wiecznie szukają kluczy.

Zdobyła tylko jedną kartkę papieru: dowód pobieżnego badania lekarskiego, któremu poddano doktora Lectera zaraz po aresztowaniu przez policję stanu Maryland. Nie dołączono historii medycznej pacjenta.

Inelle Corey przetrwała agonię Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych Przestępców w Baltimore i podjęła atrakcyjniejszą pracę w Centrum Zdrowia w Marylandzie. Nie chciała rozmawiać ze Starling w swoim biurze. Spotkały się w kawiarni na parterze.

Starling lubiła przychodzić na spotkania przed czasem i obserwować miejsce z pewnej odległości. Inelle Corey zjawiała się punktualnie co do minuty. Mogła mieć około trzydziestu pięciu lat. Była ciężka i blada, bez makijażu i biżuterii. Włosy sięgały jej niemal do pasa -nie zmieniła fryzury od czasów liceum. Na nogach nosiła białe sandały i elastyczne obciskające rajstopy.

Starling wzięła kilka torebek cukru ze stoiska z przyprawami i obserwowała Corey, która usadowiła się w uzgodnionym miejscu.

Można upierać się przy opinii, że wszyscy protestanci wyglądają jednakowo, ale nie jest ona prawdziwa. Mieszkańcy Karaibów potrafią określić, z jakiej wyspy pochodzi dana osoba. Wychowanej przez luteran Starling wystarczył jeden rzut oka, żeby ustalić: „Kościół Chrystusowy, być może sekta nazareńczyków”.

Zdjęła biżuterię: prostą bransoletkę i złoty kolczyk ze zdrowego ucha i włożyła ją do torby. Zegarek był plastikowy - w porządku. Nie mogła już nic zmienić w swoim wyglądzie.

- Inelle Corey? Napije się pani kawy? - Starling przyniosła dwa kubki.

- Moje imię wymawia się „Ajnelle” - poprawiła ją Corey. - Nie pijam kawy.

- A więc wypiję dwie, życzy pani sobie coś innego? Nazywam się Clarice Starling.

- Nic nie chcę. Może mi pani pokazać jakiś identyfikator ze zdjęciem?

- Naturalnie. Pani Corey, mogę zwracać się do pani po imieniu? Kobieta wzruszyła ramionami.

- Inelle, potrzebuję pomocy w sprawie, z którą nie jest pani osobiście związana. Chcę tylko, żeby pomogła mi pani odnaleźć pewne dokumenty ze Stanowego Szpitala w Baltimore.

Inelle Corey cyzelowała słowa z przesadną precyzją, żeby podkreślić swoje czyste sumienie. Albo irytację.

- Już to przerabiałam z komisją stanową, gdy zamykano szpital, panno...

- Starling.

- Panno Starling. Przekona się pani, że ani jeden pacjent nie opuścił tego szpitala bez teczki. Przekona się pani, że ani jedna teczka nie opuściła tego szpitala bez akceptacji kierownika. Jeśli chodzi o zmarłych, Departament Zdrowia nie potrzebował ich teczek, Urząd Statystyczny też nie potrzebował ich teczek i z tego, co wiem, pozostały one w Stanowym Szpitalu w Baltimore po moim odejściu, a odeszłam jako jedna z ostatnich. Zbiegowe trafiły na policję i do biura szeryfa.

- Zbiegowe?

- Teczki tych, którzy uciekli. Niektórzy pacjenci dawali nogę.

- Czy teczka doktora Hannibala Lectera byłaby zaliczona do zbiegowych? Myśli pani, że jego dokumenty mogły trafić na policję?

- On nie był zbiegiem. Nie został zaliczony do naszych zbiegów. Gdy uciekł, nie był pod naszą opieką. Kiedyś zesłam na dół, żeby popatrzeć na doktora Lectera, pokazałam go mojej siostrze, gdy przyszła tam z chłopcami.

Czuję niesmak, kiedy wracam do tego dnia pamięcią. Namówił jednego z pacjentów, żeby opryskał nas - zniżyła głos - nasieniem. Wie pani, o czym mówię?

- Owszem, słyszałam już ten wyraz - odparła Starling. - A nie był to przypadkiem pan Miggs? Miał celne oko.

- Wolałam o tym zapomnieć. Ale panią pamiętam. Przyjechała pani do szpitala i rozmawiała z Fredem, to znaczy z doktorem Chiltonem, a potem zesłała pani do podziemia do doktora Lectera, prawda?



- Tak.

Doktor Frederick Chilton był dyrektorem Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych Przeszpców w Baltimore. Zaginał na urlopie po ucieczce doktora Lectera.

- Wie pani, że Fred zniknął?

- Tak, slyszalam.

W oczach Inelle zablysty szybko lzy.

- Był moim narzeczonym - wyznała. - Przepadł jak kamień, a później zamknęli szpital. Czulał się, jakby cały świat przewrócił się do góry nogami. Gdyby nie kościół, nie wiem, co bym zrobiła.

- Przykro mi - rzekła Starling. - Teraz ma pani dobrą pracę.

- Ale nie mam Freda. To był wspaniały człowiek. Kochaliśmy się, takiej miłości nie spotyka się często. W szkole został Chłopakiem Roku.

- Coś takiego. Inelle, proszę mi powiedzieć, czy Fred trzymał dokumenty w swoim biurze, a może przechowywano je w recepcji, gdzie pani...

- Trzymał je w segregatorach w swoim biurze, ale potem zrobiło się ich tyle, że sprowadziliśmy do recepcji nowe wielkie segregatory. Były oczywiście zawsze zamknięte na klucz. Kiedy się wyprowadziliśmy, tymczasowo przeniesiono tam klinikę dla narkomanów i wiele rzeczy poprzestawiano.

- Czy kiedykolwiek miała pani w rękę teczkę doktora Lectera?

- No pewnie.

- Pamięta pani, czy były w niej jakieś zdjęcia rentgenowskie? Trzymano je razem z dokumentami medycznymi czy osobno?

- Razem. W teczkach. Były większe od teczek i nie mieściły się. Mieliśmy na miejscu aparat rentgenowski, ale nie zatrudnialiśmy na pełen etat radiologa, który założyłby osobne tecki. Naprawdę nie pamiętam, czy w teczce doktora Lectera było zdjęcie. Był w niej elektrokardiogram, który Fred pokazywał ludziom. Doktor Lecter - nie chcę nawet nazywać go doktorem - był podłączony do elektrokardiografu, gdy dobrał się do tej biedaczki. Widzi pani, aż się nie chce wierzyć, że gdy ją zaatakował, nawet nie przyspieszył mu puls. Kiedy wszyscy sanitariusze rzucili się na niego, żeby go z niej ściągnąć, miał tylko wybity bark. Pewnie zrobili mu wtedy prześwietlenie. Gdybym ja miała coś do powiedzenia, nie skończyłby tylko z wybitym barkiem.

- Jeśli przypomni sobie pani, gdzie może być tateczka, proszę do mnie zadzwonić.

- Przeprowadzę globalne poszukiwania, jak to nazywamy - Inelle Corey delektowała się tym określeniem - ale nie sądzę, żebym cokolwiek znalazła. Dużo papierów zostało

zagubionych. Nie przez nas, przez ludzi z kliniki.

Kubki miały grube ścianki, po których skapywała kawa. Starling patrzyła, jak Inelle Corey odchodzi ciężkim krokiem. Wypiła pół kubka kawy z serwetką wetkniętą pod brodę.

Dochodziła już do siebie. Wiedziała, że jest czymś zmęczona. Może bezbarwnością albo, jeszcze gorzej, nijakością. Obojętnością wobec rzeczy, które cieszą oko. Może tęskniła za stylem. Nawet styl gwiazdy porno jest lepszy niż jego brak: to przecież powszechnie zrozumiałe.

Zastanawiała się, czy przypadkiem nie kieruje nią snobizm, ale stwierdziła ze smutkiem, że nie ma się na co snobować. Rozmyślając o stylu, przypomniała sobie Evelde. Jej na pewno nie brakowało stylu. Pod wpływem tej myśli Clarice znów rozpaczliwie zapragnęła odejść od siebie.

## ROZDZIAŁ 11

Wróciła więc do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło, do Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych Przeszypców w Baltimore, obecnie zlikwidowanego. Stary brązowy budynek, w którym tyle wycierpiano, został zamknięty na łańcuch i zaryglowany. Upstrzony graffiti czekał tylko na kulę do burzenia ścian.

Szpital podupadał przez kilka lat przed zniknięciem jego dyrektora, doktora Fredericka Chiltona. Późniejsze rewelacje o marnotrawstwie i złym kierownictwie, a także oplakany stan budynku sprawiły, że władze odcięły fundusze. Niektórych pacjentów przeniesiono do innych instytucji państwowych, niektórzy zmarli, a kilku wypuszczono na wolność w ramach chybionego programu rehabilitacyjnego. Błąkali się więc jak nafaszerowane chloropromazyną zjawy po ulicach Baltimore. Niejeden zamarzył na śmierć.

Czekając przed frontonem starego budynku, Clarice uświadomiła sobie, że wcześniej wyczerpała wszelkie inne możliwości, żeby tylko nie wracać w to miejsce.

Stróż spóźnił się czterdzieści pięć minut. Był krępy starszym mężczyzną w stukających butach na grubych podszewkach i czupryną w stylu wschodnioeuropejskim, którą zapewne strzygł w domu. Miał świszczący oddech, gdy prowadził ją do bocznych drzwi, kilka stopni w dół od strony chodnika. Zamek wybili wandale, drzwi zabezpieczono łańcuchem i dwiema kłódkami. Ogniwa łańcucha spowijały puszyste pajęczyny. Trawa wyrastająca z pęknięć w stopniach łaskotała Clarice w kostki, gdy stróż dłubał kluczami w kłódkach. Było

późne popołudnie, słońce chowało się za chmurami. W sinym świetle przedmioty nie rzucały cienia.

- Tego budynku ja nie znam dobrze, sprawdzam tylko alarm przeciwpożarowy - wyjaśnił stróż.

- Czy wie pan o jakichś dokumentach, które są tutaj przechowywane? Jakies segregatory, teczki? Wzruszył ramionami.

- Po szpitalu kilka miesięcy mieli my tu kliniki dla narkomanów. Wszystko przenieśli do piwnic, łóżki, pościele i nie wiem co tam jeszcze. Przy mojej astmie lepiej tam nie schodzić: straszna pleśń, straszna. Materacy na łóżki były zapleśniałe, na łóżki pleśń. Nie mogę tam dychać. Schody wysokie na moje nogi. Pokazałbym pani, ale...

Starling ucieszyłaby się z towarzystwa nawet tego półgłówka, ale musiałaby dostosować się do jego tempa.

- Nie, może pan wracać. Gdzie jest pańska stróżówka?

- Na tej ulicy, gdzie kiedyś było biuro wydziału komunikacji.

- Jeśli nie wrócę za godzinę... Zerknął na zegarek.

- Ale ja kończę za pół godziny. Dosyć tego, do jasnej cholery.

- Proszę mnie uważnie posłuchać, ma pan poczekać na klucze w swojej stróżówce.

Jeśli nie wrócę za godzinę, proszę zadzwonić pod ten numer i powiedzieć im, dokąd poszłam.

Jeśli wrócę i nie zastanę pana, rano osobiście złożę na pana skargę u pańskiego szefa. Poza tym... poza tym nasię na pana kontrolę z urzędu skarbowego oraz z Biura Imigracji i... i Naturalizacji. Czy to jasne? Czekam na odpowiedź.

- Pewno, że bym na panią poczekał. I po co takie rzeczy wygadywać?

- Bardzo panu dziękuję - rzuciła Starling.

Stróż położył wielkie dłonie na poręczy, żeby wspiąć się po schodach na chodnik. Starling słyszała jego niepewny krok cichnący w oddali. Pchnęła drzwi i znalazła się na podeście schodów. Wysokie zakratowane okna na klatce schodowej przepuszczały anemiczne światło. Wahala się, czy zamknąć za sobą drzwi. W końcu postanowiła związać łańcuch w węzeł po wewnętrznej stronie, żeby mogła je otworzyć, gdyby zgubiła klucz.

Podczas poprzednich wypraw do szpitala na rozmowy z doktorem Hannibalem Lecterem wchodziła głównym wejściem. Teraz zajęło jej chwilę, żeby ustalić, gdzie jest.

Weszła schodami na główny poziom. Mleczne szyby w oknach jeszcze bardziej tłumili słabnące światło. Panował półmrok. W blasku swej ciężkiej latarki znalazła kontakt i włączyła górne światło: trzy świetlówki wciąż jarzyły się w zdewastowanej instalacji świetlnej. Końcówki odłączonych kabli telefonicznych leżały na biurku w recepcji.

Budynek nosił ślady obecności wandalów ze sprejem. Ścianę w recepcji zdobił dwuipółmetrowy penis z jądrami oraz napis: FARON LALA DAJE MI CIPALA.

Drzwi do gabinetu dyrektora były otwarte. Starling stanęła w progu. Tutaj przyszła z pierwszym zleceniem z FBI, gdy była jeszcze studentką i wierzyła we wszystko. Była przekonana, że jeśli ktoś potrafi wykonać zadanie, jeśli sobie poradzi, zostanie zaakceptowany bez względu na rasę, wiarę, kolor skóry, pochodzenie i płeć. Z tego wszystkiego zostało jej tylko jedno: wierzyła, że sobie poradzi.

W tym pokoju dyrektor szpitala wyciągnął pulchną dłoń i powitał ją. To tu zdradzał tajemnice i prowadził podsłuch. Wierzył, że dorównuje sprytem Hannibalowi Lecterowi. Podjął decyzje, które pozwoliły doktorowi uciec i zostawić po sobie scenę krwawej zbrodni.

Biurko Chiltona nadal stało w gabinecie, ale zniknęło krzesło. Było małe i łatwe do wyniesienia. Szuflady opróżniono, jeśli nie liczyć rozgniecionej pastylki alka-seltzer. Obok stały dwie biurowe szafki. Była agentka do spraw technicznych Starling poradziła sobie z

prostymi zamkami w niespełna minutę. W dolnej szufladzie obok odświeżacza do ust, tubki żelu do włosów, grzebienia i kilku prezerwatyw znalazła tylko wyschniętą kanapkę w papierowej torbie i kilka formularzy z kliniki dla narkomanów.

Pomyślała o przypominającej lochy piwnicy szpitala, gdzie przez osiem lat przetrzymywano doktora Lectera. Nie chciała tam schodzić. Mogła wezwać przez komórkę jednostkę policji, żeby jej towarzyszyła. Mogła poprosić o przysłanie jeszcze jednego agenta FBI z biura terenowego w Baltimore. Było późne szare popołudnie i nawet teraz nie ominęłaby godziny szczytu na ulicach Waszyngtonu. Z czasem ruch nasili się jeszcze bardziej.

Nie zważając na kurz, oparła się o biurko Chiltona. Usiłowała podjąć decyzję. Czy naprawdę sądzi, że w piwnicy są jakieś dokumenty? Może ciągnie ją tam, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Hannibala Lectera?

Praca w służbach policyjnych nauczyła ją czegoś o sobie. Lekcja brzmiała następująco: nie szukam wrażeń i byłabym szczęśliwa, gdybym już nigdy nie poczuła strachu. Ale w piwnicy rzeczywiście mogły być jakieś papiery. Wystarczy pięć minut, żeby się o tym przekonać.

Zapamiętała głośny trzask zamykanych drzwi, gdy weszła tam po raz pierwszy przed kilku laty. Na wypadek, gdyby i tym razem zatrzęsnęły się za nią, zadzwoniła do biura terenowego w Baltimore. Poinformowała, gdzie jest i umówiła się, że zadzwoni jeszcze raz za godzinę i potwierdzi, że wyszła.

Na klatce schodowej, przez którą Chilton sprowadził ją wtedy na dół, światła działały. Tutaj dyrektor wyjaśniał jej regulamin stosowany przy kontaktach z Hannibalem Lecterem, a tu, pod tą lampą, zatrzymał się, żeby pokazać fotografię pielęgniarki, której język zjadł doktor Lecter, gdy próbowała go zbadać. Gdy odciągano go od niej, wybito mu bark, więc gdzieś musiało być zdjęcie rentgenowskie.

Na schodach ciąg powietrza musnął szyję Clarice, jak gdyby gdzieś było otwarte okno.

Na podeście leżało pudełko po hamburgerze z McDonalda i rozrzucone serwetki. Brudny kubek, z którego kiedyś jedzono fasolę. Odpadki. W kącie gówna i serwetki. Światło kończyło się na samym dole przed wielkimi stalowymi drzwiami, prowadzącymi do oddziału dla najbardziej niebezpiecznych pacjentów. Teraz były otwarte, zaczezione haczykiem o ścianę. Latarka Starling miała pięć baterii i rzucała mocny, szeroki snop światła.

Clarice oświetliła długi korytarz dawnego oddziału pod intensywnym nadzorem. Dostrzegła coś dużego na samym końcu. Poczowała się dziwnie na widok otwartych drzwi do

cel. Na podłodze wały się opakowania po chlebie i papierowe kubki. Na dawnym biurku sanitariusza leżała poczerniała puszką po wodzie sodowej, służąca za fajkę do kokainy.

Starling wcisnęła kontakty. Nic. Wyjęła komórkę. Czerwona dioda świeciła w mroku intensywnie. W podziemiach telefon był bezużyteczny, ale i tak zaczęła do niego głośno mówić.

- Barry, podjedź ciężarówką do bocznego wejścia. Weź reflektor. Będziesz potrzebował pomocy, żeby to wszystko stąd wyciągnąć... tak, schodź zaraz. Zawołała w ciemność:

- Uwaga! Jestem agentką FBI. Jeśli mieszkacie tu nielegalnie, możecie wyjść. Nie aresztuję was. Nie interesujecie mnie. Jeśli tu wrócicie, gdy skończę, nic mnie to nie obchodzi. Jeśli będziecie próbowali mi przeszkadzać, poprzeszrzelałam wam tyłki. Dziękuję za uwagę.

Jej głos odbijał się echem na korytarzu, gdzie tylu ludzi zachrypło od krzyków i zgubiło zęby od wgrzyzania się w kraty.

Przypomniała sobie krzepiącą obecność postawnego sanitariusza, Barneya, gdy przysłała na rozmowę z doktorem Lecterem. Zagadkową uprzejmość, z jaką Barney i doktor Lecter odnosili się do siebie. Teraz Barneya nie było. W jej głowie kołatał się wierszyk z czasów szkolnych. Wreszcie przypomniała sobie:

Dudni w pamięci echo kroków

Wzdłuż korytarza, którym nie przeszliśmy

Do furtki, której nie otworzyliśmy nigdy

Do różanego ogrodu.\*<sup>1</sup>

Różany ogród, dobre sobie. Różany ogród, jak cholera, pomyślała.

Ostatnie artykuły prasowe zniechęcały ją do broni i do samej siebie. Teraz jednak odkryła, że przyjemnie jest poczuć broń pod ręką, szczególnie, gdy się człowiek boi. Przycisnęła colta kaliber 45 do nogi i ruszyła korytarzem, oświetlając sobie drogę latarką. Trudno obserwować obie flanki jednocześnie, a na pewno nie wolno zostawić nikogo za sobą. Gdzieś kapiała woda.

W celach leżały zdemontowane łóżka. Gdzieniedzie materace. Na środku korytarza stała woda. Starling jak zwykle uważała na buty i przechodziła z jednej strony wąskiej kałuży na drugą, posuwając się do przodu. Przypomniała sobie ostrzeżenie Barneya sprzed lat, kiedy wszystkie cele były zajęte. Idąc, niech pani trzyma się środka korytarza.

Zobaczyła szafki z dokumentacją. Stały na samym końcu korytarza. W świetle latarki

---

<sup>1</sup>\* *Burt Norton* ze zbioru *Cztery kwartety* T.S. Eliota, przekład Krzysztof Boczkowski

miały matowy oliwkowy kolor.

W tej celi siedział Miggs - obok niego najmniej lubiła przechodzić. Miggs, który szeptał jej sprośności, i opryskał spermą. Miggs, którego doktor Lecter uśmiercił, nakłaniając go do połknięcia jego niewyparzonego języka. A gdy Miggs umarł, jego miejsce zajął Sammie. Doktor Lecter zachęcał go do pisania poezji i osiągał zdumiewające rezultaty. Nawet teraz słyszała wycie Sammiego, który recytował wiersz:

CHCE PUDŹ DO JEZUSA  
CHCE PUDŹ Z CHRYSTUSEM  
MOGĘ PUDŹ Z JEZUSEM JEŚLI BĘDĘ CZYNIDŹ  
PRAWDZIWE DOBRO

Wciąż jeszcze miała gdzieś na kawałku tektury ten mozolnie nabazgrany tekst. Teraz cela była zawalona materacami i powiązaną w bele bielizną pościelową. I wreszcie - cela doktora Lectera.

Na środku wciąż stał przyśrubowany do podłogi prosty stół, przy którym czytał. Z półek, na których trzymał książki, zniknęły deski, ale stelaże wciąż odstawały od ścian.

Wiedziała, że powinna zainteresować się kartoteką, ale nie mogła odwrócić wzroku od celi. Tutaj miało miejsce najbardziej niesamowite spotkanie w jej życiu. Tutaj odczuła zdziwienie, zaciekawienie, szok.

Tutaj usłyszała o sobie słowa tak prawdziwe, że jej serce dudniło jak dzwon.

Chciała wejść do środka. Cela kusiła ją, tak jak czasem kusi barierka balkonu, z którego można wyskoczyć, lub połyskujące tory, gdy słyhać nadjeżdżający pociąg.

Starling poświeciła latarką dookoła, spojrzała na rząd szafek, omiotła światłem pobliskie cele.

Ciekawość pchnęła ją za próg. Stała na środku celi, gdzie doktor Hannibal Lecter spędził osiem lat, w miejscu, w którym kiedyś stał. Spodziewała się, że poczuje dreszcz, ale nie poczuła. Położyła pistolet i latarkę na stole, uważając, żeby latarka nie stoczyła się na ziemię. Przycisnęła otwarte dłonie do blatu, czując pod nimi tylko okruchy.

Była rozczarowana. Cela przypominała zrzuconą skórę węża, w której próżno doszukiwać się śladów dawnego właściciela. Clarice zrozumiała, że śmierć i niebezpieczeństwo nie muszą zjawiać się z wielką pompą. Mogą przyjść w słodkim oddechu ukochanego. Lub w słoneczne popołudnie na targu rybnym przy dźwiękach *Macareny*.

Do dzieła. Cztery sięgające jej do brody szafki miały szerokość około dwóch i pół metra. W każdej było pięć zabezpieczonych blokadą szuflad z zamkiem w górnej szufladzie. Żadna nie była zamknięta. Wypełniały je dokumenty w teczkach. Stare teuczki z

marmurkowego papieru z czasem straciły sztywność, nowsze wykonano z szarej tektury. Dokumenty dotyczące zdrowia dawno zmarłych ludzi sięgały nawet roku tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego, kiedy szpital powstał. Teczki ułożono z grubsza w porządku alfabetycznym, choć niektóre dokumenty piętrzyły się w długich szufladach za teczkami. Starling wertowała je szybko. Trzymała latarkę pod pachą, palcami wolnej ręki przebierała w teczkach. Żałowała, że nie wzięła małej latarki, którą można trzymać w zębach. Gdy tylko zorientowała się trochę w rozmieszczeniu teczek, opuszczała całe szuflady. Przez literę J, nieliczne teuczki na K, dotarła do L i proszę: Lecter, Hannibal.

Wyciągnęła długą tekturową teczkę. Natychmiast zbadała palcami, czy jest w niej sztywne zdjęcie rentgenowskie. Położyła teczkę na innych i otworzyła. Znalazła historię chorób świętej pamięci I. J. Miggsa. Do diabła. Miggs prześladowuje ją nawet po śmierci. Odłożyła teczkę na szafkę i rzuciła się na szufladę z literą M. W odpowiednim miejscu według porządku alfabetycznego znalazła tekturową teczkę Miggsa. Była pusta. Błąd przy katalogowaniu? Ktoś przypadkowo włożył dokumenty Miggsa doeczki Hannibala Lectera? Przejrzała wszystkie teuczki na literę M, szukała w luźnych dokumentach. Wróciła do litery J. Czowała, że narasta w niej złość. Coraz bardziej przeszkadzał jej zapach tego miejsca. Stróż miał rację: trudno tu oddychać. Doszła do połowy litery J, gdy zdała sobie sprawę, że smród nagle się nasilił.

Usłyszała za sobą plusk wody. Odwróciła się szybko z przygotowaną do ciosu latarką, wsuwając rękę pod kurtkę, żeby sięgnąć po broń. W słupie światła, ze spuchniętą stopą w wodzie, stał wysoki mężczyzna w łachmanach. Wyciągnął jedną rękę, w drugiej trzymał kawałek potłuczonego talerza. Obydwie stopy owinięte miał szmatami.

- Cześć - powiedział. Język pokrywały mu pleśniawki. Z odległości półtora metra Starling czowała smród bijący z jego ust. Pod kurtką przesunęła rękę z pistoletu na sprej z gazem.

- Cześć - odpowiedziała. - Mógłbyś stanąć pod kratą?

Mężczyzna nie poruszył się.

- Jesteś Jezusem? - zapytał.

- Nie - odparła Starling. - Nie jestem Jezusem. - Ten głos. Pamiętała skądś ten głos.

- Jesteś Jezusem! - Przez twarz przebiegł mu dreszcz. Ten głos. Skup się.

- Witaj, Sammie - powiedziała. - Jak leci? Właśnie o tobie myślałam.

Kim jest Sammie? Przywołane szybko informacje nie pojawiły się w idealnym porządku. Położył głowę swojej matki na tacy, gdy wierni śpiewali „Oddaj Panu, co masz najlepszego”. Według niego, oddał najwspanialszą rzecz, jaką posiadał. Kościół baptystów w



jakiejs dziurze. Jest rozgniewany, powiedział doktor Lecter, ponieważ Jezus tak bardzo się spóźnia.

- Jesteś Jezusem? - powtórzył, tym razem płaczącym głosem. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął niedopałek papierosa: dobry, bo niemal pięciocentymetrowy. Położył go na kawałku talerza i wyciągnął do niej jako podarunek.

- Sammie, przykro mi, ale nie jestem. Ja...

Sammie wściekł się, rozczarowany, że Starling nie jest Jezusem. Jego głos dudnił w mokrym korytarzu:

CHCE PUDŹ Z JEZUSEM

CHCE PUDŹ Z CHRYSZTUSEM!

Podniósł kawałek talerza o ostrej krawędzi jak motykę i zrobił krok w kierunku Starling. Stał już obiema nogami w wodzie, z wykrzywioną twarzą. Wolną ręką chwycił dzielące ich powietrze.

Poczuła na plecach opór szafek.

-MOŻESZ PÓJŚĆ Z JEZUSEM... JEŚLI BĘDZIESZ CZYNIĆ PRAWDZIWE DOBRO - wyrecytowała, czysto i wysoko, jakby wołała do niego z daleka.

- Aha - odpowiedział spokojnie Sammie i zatrzymał się. Starling poszperała w torebce i znalazła coś słodkiego.

- Sammie, mam dla ciebie snickersa. Lubisz snickersy?

Nie odpowiedział.

Położyła batonik na tekturowej teczce i wyciągnęła w jego stronę, tak jak on wcześniej podsunął jej kawałek talerza.

Ugryzł, nie zrywając opakowania, wypuścił papier i jednym kęsem odgryzł pół batona.

- Sammie, czy był tu ktoś jeszcze?

Nie odpowiedział, odłożył resztkę batona na talerz i zniknął za stertą materacy w swojej starej celi.

- Co to u diabła? - odezwał się kobiecy głos. - Dziękuję, Sammie.

- Kto tam jest?! - zawołała Starling.

- Nie twój zasrany interes.

- Mieszka tu pani z Sammiem?

- Skąd! Przyszłam tylko na randkę. Mogłabyś zostawić nas samych?

- Tak. Ale proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Od jak dawna pani tu mieszka?

- Od dwóch tygodni.

- Czy był tu ktoś jeszcze?

- Jacyś gówniarze. Sammie ich przegonił.

- Sammie panią chroni?

- Podskocz mi, to się przekonasz. Mogę chodzić. Zdobywam jedzenie, a on ma bezpieczną metę, gdzie można się najeść. Wielu ludzi żyje w ten sposób.

- Czy któreś z was jest objęte jakimś programem rehabilitacyjnym? Chcecie się załapać? Mogę wam pomóc.

- On ma to już za sobą. Wysyłają człowieka na wolność, w całe to gówno, a on wraca do tego, co zna. Czego szukasz? Czego chcesz?

- Szukam dokumentów.

- Skoro nie ma ich tutaj, to ktoś je ukradł, chyba nietrudno się domyślić?

- Sammie?! - zawołała Starling. - Sammie?! Sammie nie odpowiadał.

- Śpi -wyjaśniła jego przyjaciółka.

- Jeśli zostawię wam trochę pieniędzy, kupi pani jedzenie? - zapytała Starling.

- Nie, gorzałę. Jedzenie można znaleźć. A gorzały nie. Jak będziesz wychodzić, nie zahacz tyłkiem o klamkę.

- Położę pieniądze na biurku - powiedziała Starling. Chciała stąd uciec. Przypomniła sobie, jak po zakończeniu rozmowy z doktorem Lecterem, zebrawszy wszystkie siły, szła korytarzem w stronę stanowiska Barneya, które wtedy wydawało jej się oazą spokoju.

Przy świetle padającym z klatki schodowej wyluskała z portmonetki dwadzieścia dolarów. Położyła banknot na porysowanym, porzuconym biurku Barneya, przyciskając go pustą butelką po winie. Rozwinęła plastikową torbę, włożyła do niej teczkę Lectera z dokumentami Miggsa i pustą teczkę Miggsa.

- Do widzenia. Cześć, Sammie! - zawołała do człowieka, który wędrował po świecie i wracał do znanego mu piekła. Chciała mu powiedzieć, że Jezus na pewno do niego przyjdzie, ale zabrzmiałoby to głupio.

Ruszyła w górę po schodach w stronę światła, żeby podjąć na nowo swoją wędrówkę po świecie.

## ROZDZIAŁ 12

Jeśli po drodze do piekła istnieją przystanki, muszą przypominać wjazd dla karettek pogotowia w Szpitalu Miejskim Maryland-Misericordia. Nad zamierającym zawodzeniem syren, zawodzeniem umierających, stukotem ociekających krwią łóżek na kółkach, krzykami i jękami, słupy pary ze studzienek kanalizacyjnych, zabarwione na czerwono wielkim neonem IZBA PRZYJĘĆ, wznoszą się w ciemnościach jak moźszowy gorejący krzak i zamieniają się za dnia w chmury.

Barney przeszedł przez kłęby pary, narzucił kurtkę na potężne ramiona. Pokonał długimi krokami popękaną jezdnię. Ruszył z pochyloną, krótko ostrzyżoną głową na wschód, w stronę świtu.

Wyszedł z pracy dwadzieścia pięć minut po czasie: policja przywiozła pijanego alfonsa z raną postrzałową. Facet lubił bić się z kobietami, więc siostra przełożona poprosiła Barneya, żeby został. Zawsze prosili go, żeby został, gdy przyjmowano kłopotliwego pacjenta.

Clarice Starling obserwowała Barneya spod wielkiego kaptura kurtki. Pozwoliła mu przejść połowę drogi do następnej przecznicy po drugiej stronie jezdni, zarzuciła sobie na ramię worek i ruszyła za nim. Gdy minął parking i przystanek autobusowy, odetchnęła z ulgą. Łatwiej śledzić Barneya na piechotę. Nie była pewna, gdzie mieszka, a musiała się tego dowiedzieć przed spotkaniem.

Dzielnica za szpitalem była spokojną okolicą, zamieszkaną przez robotników wielu narodowości. Miejscem, gdzie zakłada się blokadę na kierownicę, ale nie trzeba na noc wyjmować z samochodu akumulatora, a dzieci mogą się bawić na dworze.

Minąwszy trzy przecznice, Barney przepuścił na pasach furgonetkę i skręcił na północ w ulicę wąskich domków. Niektóre miały marmurowe schody i schludne ogródki. Kilka nienaruszonych witryn było zamazanych białą farbą. Zaczęto otwierać sklepy, parę osób wyszło już na ulicę. Zaparkowane na noc ciężarówki zasłaniały Starling widok przez pół minuty, ale szła dalej, zanim zdała sobie sprawę, że Barney się zatrzymał. Gdy znów go zobaczyła, była po drugiej stronie ulicy dokładnie na tej samej wysokości, co on. Może też ją widział.

Stał z rękami w kieszeniach kurtki z pochyloną głową. Spoglądał spode łba na coś, co ruszało się pośrodku ulicy. Na jezdni leżała martwa gołębica, a podmuch przejeżdżających samochodów podnosił jedno z jej skrzydeł. Drugi ptak deptał wokół ciała, jego mała główka podskakiwała z każdym krokiem różowych łapek. Krążył i krążył, wyrażając cichym

gruchaniem żal. Przejechało kilka samochodów i furgonetek, lecz ptak odlatywał w ostatniej chwili, unikając śmierci pod kołami.

Może Barney widział ją, nie była pewna. Musiała iść dalej, w przeciwnym razie zwróciłyby na siebie uwagę. Spojrzała przez ramię. Barney kuczał na jezdni, zatrzymując samochody podniesioną ręką.

Skręciła w boczną ulicę, zdjęła kaptur, wyciągnęła sweter, baseballówkę i sportową torbę. Przebrała się szybko, wpychając do torby kurtkę i worek. Natknęła się na idące do domu sprzątaczkę i wróciła na ulicę Barneya.

Trzymał martwą gołębicę w złączonych dłoniach. Jej towarzysz wzbił się w powietrze i zasiadł na przewodach nad ulicą, przyglądając się mu z góry. Barney położył martwego ptaka na trawniku i wygładził mu pióra. Odwrócił swoją szeroką twarz w stronę siedzącego wysoko gołębia i coś powiedział. Gdy ruszył dalej, ptak sfrunął na trawę i znów zaczął krążyć wokół ciała partnerki. Barney nie odwrócił się. Sto metrów dalej wszedł na schody domu, gdzie mieszkał, i sięgnął po klucze. Starling podbiegła do niego, zanim zdążył otworzyć drzwi.

- Cześć, Barney.

Niespiesznie odwrócił się i spojrzał w dół. Zapomniała, że miał nienaturalnie szeroki rozstaw oczu. Dostrzegła w nich inteligencję i poczuła, że ją rozpoznał.

Zdjęła czapkę, rozpuszczając włosy.

- Jestem Clarice Starling. Pamiętasz mnie? Jestem...

- Z FBI - dokończył za nią beznamiętnie. Złożyła dłonie i kiwnęła głową.

- No tak, jestem z FBI. Barney, muszę z tobą porozmawiać. Nieoficjalnie. Chciałabym zapytać o parę rzeczy.

Barney zszedł po schodach. Stał na chodniku przed Starling. Wciąż musiała patrzeć do góry. Ale była kobietą i nie czuła się zagrożona jego wzrostem.

-Napisze pani w raporcie, że nie odczytano mi moich praw, agentko Starling? - Miał wysoki i chrapliwy głos jak Johnny Weissmuller w roli Tarzana.

- Oczywiście. Nie pouczyłam cię o przysługujących ci prawach.

- Może pani powiedzieć to do torby? Starling otworzyła torbę.

- Nie pouczyłam Barneya o przysługujących mu prawach, nie jest świadomy swych praw - oznajmiła głośno, jakby zwracała się do schowanego tam krasnoludka.

- Na tej ulicy można dostać niezłą kawę - powiedział Barney. - Ile nakryć głowy ma pani w tej torbie? - zapytał, gdy ruszyli.

- Trzy.

Minęła ich furgonetka z inwalidzką naklejką. Starling czuła na sobie spojrzenia pasażerów; niepełnosprawni często odznaczają się bardzo dużym popędem seksualnym; zresztą mają do tego całkowite prawo. Młodzi mężczyźni z samochodu na następnym skrzyżowaniu też się jej przyglądali, ale nie zaczepili jej, bo była z Barneyem. Natychmiast zauważyłaby, gdyby coś wystawało z okna samochodu. Zachowywała czujność, wiedziała, że Cripowie chcą się na niej zemścić. Na zwykłe pożeranie jej wzrokiem nie mogła nic poradzić.

Gdy przekroczyli próg kawiarni, furgonetka wjechała tyłem w boczną uliczkę, zawróciła i odjechała tą samą drogą.

Musieli poczekać, aż zwolni się miejsce w zatłoczonym lokalu. Kelner wydzieriał się w hindi do kucharza, który obracał mięso długimi szczypcami. Był najwyraźniej zmieszany.

- Zjedzmy coś - zaproponowała Starling, gdy wreszcie usiedli. - Stawia FBI. Jak leci, Barney?

- Na robotę nie narzekam.

- Co robisz?

- Jestem sanitariuszem w szpitalu.

- Myślałam, że do tej pory zostałeś już dyplomowanym pielęgniarzem, może nawet po studiach.

Barney wrzucił ramionami i sięgnął po śmietankę. Zerknął na Starling.

- Wyrzucą panią za śmierć Eveldy?

- Zobaczymy. Znałeś ją?

- Widziałem ją tylko raz, gdy przywieźli do nas jej męża, Dijona. Nie żył już, wykrwawił się na śmierć, zanim wpakowali go do karetki. Gdy znalazł się u nas, był już zimny. Nie chciała go puścić, wszczęła bójkę z pielęgniarzami. Musiałem... no wie pani... Piękna kobieta, i silna. Nie przywieźli jej po...

- Nie, stwierdzono zgon na miejscu.

- Tak też myślałem.

- Barney, gdy przekazałeś doktora Lectera policjantom z Tennessee...

- Nie odnosili się do niego uprzejmie.

- Gdy...

- A teraz wszyscy nie żyją.

- Tak. Jego strażnikom udało się pozostać przy życiu tylko przez trzy dni. A ty opiekowałeś się doktorem Lecterem osiem lat.

- Właściwie sześć. Gdy przyszedłem do pracy, już tam był.

- Jak ci się to udało? Wybacz mi to pytanie, ale jak udało ci się przy nim przetrwać?

Przecież nie chodziło tylko o uprzejmość.

Barney spojrział na swoje odbicie w łyżce. Najpierw po stronie wypukłej, a później wklęsłej. Zamyślił się.

- Doktor Lecter miał nienaganne maniery. To nie było wymuszone, tylko swobodne i eleganckie. Uczestniczyłem w kilku kursach korespondencyjnych, a on dzielił się ze mną swoją wiedzą. To nie znaczy, że nie zabiłby mnie, gdyby nadarzyła się taka okazja: jedna cecha charakteru nie wyklucza innych. Mogą współistnieć ze sobą, te dobre i te potworne. Sokrates wyraził to dużo lepiej. Na oddziale pod intensywnym nadzorem nigdy nie można o tym zapominać. Wtedy nic ci się nie stanie. Doktor Lecter być może żałował, że odkrył przede mną Sokratesa.

Dla Barneya spotkanie z Sokratesem było świeżym i bardzo głębokim doświadczeniem.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o środkach bezpieczeństwa - mówił. - Nawet gdy musiałem pozbawić go korespondencji lub ograniczyć swobodę ruchów, nie odbierał tego osobiście.

- Często rozmawiałeś z doktorem Lecterem?

- Bywało, że nie odzywał się całymi miesiącami, ale czasem rozmawialiśmy późno w nocy, gdy ustawały krzyki. Te korespondencyjne kursy nic mi nie dawały, a on odkrywał przede mną nowe światy, dosłownie: Swetoniusz, Gibbon. - Barney podniósł kubek. Na zewnętrznej stronie dłoni miał pomarańczową smugę betadyny na świeżym zadrapaniu.

- Czy po jego ucieczce nie bałeś się, że cię zabije? Barney pokręcił wielką głową.

- Kiedyś mi powiedział, że gdy tylko jest to „wykonalne”, woli zjadać „pasące się ludzkie bydło”, jak ich nazywał. Barney roześmiał się. Rzadki widok. Miał małe dziecięce zęby, a jego rozbawienie wydawało się nieco absurdalne, jak radość dziecka, gdy wypłuwa papkę na twarz strojącego miny wujka.

Starling pomyślała, że Barney chyba zbyt długo przebywał wśród wariatów.

- Nigdy nie czuła pani... strachu po tym, jak zwiął? Nie bała się pani, że panią zabije? - zapytał Barney.

- Nie.

- Dlaczego?

- Powiedział, że tego nie robi. Odpowiedź, o dziwo, usatysfakcjonowała oboje. Kelner przyniósł zamówione jajka. Byli głodni i przez kilka minut jedli z apetytem. W końcu Clarice odezwała się:

- Kiedy przeniesiono doktora Lectera do Memphis, poprosiłam cię o rysunki z jego

celi i dałeś mi je. Co się stało z resztą - z książkami, papierami? W szpitalu nie ma nawet jego dokumentów medycznych.

- Było wielkie zamieszanie. - Barney przerwał, uderzając lekko solniczką o dłoń. - No wie pani, w szpitalu. Zostałem zwolniony, mnóstwo ludzi straciło pracę, rzeczy po prostu się pogubiły. Nie wiadomo...

Co mówisz? - przerwała Starling. - Nie zrozumiałam, co mówiłeś, taki tu hałas. Wczoraj dowiedziałam się, że podpisany przez doktora Lectera i uzupełniony jego notatkami egzemplarz *Grand dictionnaire de cuisine* Aleksandra Dumasa ojca pojawił się na aukcji w Nowym Jorku dwa lata temu. Został sprzedany prywatnemu kolekcjonerowi za tysiąc sześćset dolarów. Osoba, która sprzedawała książkę, podpisała się na potwierdzeniu własności imieniem i nazwiskiem „Cary Phlox”. Znasz go, Barney? Mam nadzieję, że tak, bo ten sam charakter pisma znalazłam na twoim podaniu o przyjęcie do pracy w szpitalu, choć jest podpisane „Barney”. Tym samym charakterem wypełniono też twój formularz podatkowy. Przepraszam, ale nie usłyszałam, co mówiłeś na początku. Możesz powtórzyć? Ile dostałeś za książkę, Barney?

- Około tysiąca - odparł Barney, patrząc jej prosto w oczy. Starling pokiwała głową.

- Rachunek wystawiono na tysiąc pięćset. Ile zgarnąłeś za wywiad dla „National Tattler” po ucieczce doktora Lectera?

- Piętnaście tysięcy.

- Nieźle. Sam wymyśliłeś wszystkie te brednie, które im naopowiadałeś?

- Wiedziałem, że doktor Lecter nie miałby nic przeciwko temu. Byłby zawiedziony, gdybym nie zrobił ich w konia.

- Zanim przyjęto cię do szpitala w Baltimore, doktor Lecter zaatakował pielęgniarkę, prawda?

- Tak.

- Miał wybity bark.

- Tak słyszałem.

- Zrobiono prześwietlenie?

- Prawdopodobnie.

- Potrzebuję tego zdjęcia.

- Hmm.

- Dowiedziałam się, że autografy Lectera dzielą się na dwie grupy: te sprzed uwięzienia, gdy używał pióra, i z okresu szpitalnego, gdy pisał kredką lub flamastrem. Kredka warta jest więcej, ale pewnie już o tym wiesz. Sądzę, Barney, że trzymasz wszystko u siebie i

zamierzasz stopniowo wyprzedawać te skarby kolekcjonerom.

Barney wzruszył ramionami. Nic nie powiedział.

- Pewnie czekasz, aż znów zrobi się o nim głośno. Czego ty chcesz, człowieku?

- Chcę przed śmiercią obejrzeć wszystkie obrazy Vermeera.

- Chyba nie muszę pytać, kto zainteresował cię sztuką Vermeera?

- Rozmawialiśmy w nocy o wielu sprawach.

- Czy mówił o tym, co chciałby robić, gdyby był na wolności?

- Nie. Doktora Lectera nie interesują hipotezy. Nie wierzy w sylogizm, syntezę czy jakiegokolwiek prawdy absolutne.

- A w co wierzy?

- W chaos. W to nie trzeba nawet wierzyć. Nie ma nic bardziej oczywistego.

Starling przez chwilę miała ochotę przyznać mu rację.

- Mówisz tak, jakbyś też w to wierzył. A przecież twoja praca w szpitalu w Baltimore polegała na utrzymywaniu porządku. Byłeś głównym sanitariuszem. Obydwoje zajmujemy się porządkiem. Doktor Lecter nigdy ci się nie wymknął.

- Już to wyjaśniłem.

- Bo zawsze miałeś się na baczności. Chociaż w pewnym sensie zbratałeś...

- Nie zbratałem się z nim - przerwał jej Barney. - On nie jest niczym bratem. Dyskutowaliśmy tylko o interesujących nas obu sprawach. Przynajmniej dla mnie były interesujące, gdy się o nich dowiadywałem.

- Czy doktor Lecter żartował kiedyś z ciebie, bo czegoś nie wiedziałeś?

- Nie. A z pani?

- Nie - odparła Starling, nie chcąc robić przykrości Barneyowi. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z komplementu zawartego w drwinach monstrum. - A mógłby, gdyby chciał. Wiesz, gdzie są jego rzeczy, Barney?

-A jest jakaś nagroda za ich odnalezienie?

Starling złożyła na pół papierową serwetkę i wsunęła ją pod talerz.

- Nie oskarżę cię o utrudnianie śledztwa. Kiedy założyłeś podsłuch pod moim biurkiem w szpitalu, też ci darowałam.

- Podsłuch kazał mi założyć nieżyjący doktor Chilton.

- Nieżyjący? Skąd wiesz, że nie żyje?

- W każdym razie od siedmiu lat nie daje znaku życia. Niech mi będzie wolno spytać, agentko specjalna Starling: co panią zadowoli?

- Chcę obejrzeć zdjęcie rentgenowskie. Chcę je dostać. Jeśli są jakieś książki doktora



Lectera, też chciałabym je zobaczyć.

- Powiedzmy, że przypadkiem poznajdujemy te rzeczy. Co się z nimi później stanie?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Prokurator może przejąć wszystkie materiały jako dowody w sprawie jego ucieczki. Później spleśnieją w magazynie. Ale jeśli wszystko przejrzę i nie znajdę w książkach nic godnego uwagi, będziesz mógł oświadczyć, że dostałeś je od doktora Lectera. Pozostaje *in absentia* od siedmiu lat, więc możesz rościć sobie do nich prawo. Nie wiadomo nic o jego krewnych. Wystąpię z rekomendacją, aby przekazano ci wszelkie nieprzydatne dla sprawy materiały. Ale moja rekomendacja nie jest dzisiaj wiele warta. Prawdopodobnie nie odzyskasz zdjęcia rentgenowskiego i dokumentów medycznych. Nie należały do doktora i nie mógł ich oddać.

- A jeśli powiem, że nic nie mam?

- Będzie bardzo trudno sprzedać materiały związane z Lecterem. Opublikujemy komunikat, w którym zapowiemy, że ich kupowanie i posiadanie jest karalne. Zdobędę pozwolenie na przeszukanie twojego mieszkania.

- Teraz już pani wie, gdzie zamieszkiwani. Czy raczej zamieszkuję. Jak się mówi?

- Nie jestem pewna. Słuchaj, jeśli przekażesz mi te materiały, nic ci nie grozi za ich przywłaszczenie, biorąc pod uwagę to, co by się z nimi stało, gdybyś je zostawił w szpitalu. Co do obietnicy, że dostaniesz je z powrotem, nie mogę niczego zagwarantować. - Poszperała w torebce, żeby zrobić przerwę. - Wiesz co, Barney, coś mi się zdaje, że nie możesz zdobyć dyplomu pielęgniarzkiego, bo masz na sumieniu jakiś wyrok. Tak? A teraz posłuchaj: nigdy ci nic nie zarzuciłam, nigdy cię nie sprawdzałam.

-Nie, obejrzała pani tylko moją deklarację podatkową i podanie o przyjęcie do pracy. Jestem wzruszony.

- Jeśli masz spaprane akta, może prokurator okręgowy szepnie słówko w sądzie, w którym zapadł wyrok, i załatwi ci wykreślenie. Barney wytarł talerz kawałkiem chleba.

- Skończyła pani? Przejdźmy się.

- Spotkałam Sammiego, pamiętasz go? Zajął celę po Miggsie. Wciąż tam mieszka - powiedziała Starling, gdy wyszli na ulicę.

- Myślałem, że budynek przeznaczony jest do rozbiórki.

- Bo jest.

- Sammie jest objęty programem?

- Nie, po prostu mieszka tam w ciemnościach.

- Myślę, że powinniście coś z nim zrobić. Ma zaawansowaną cukrzycę, umrze. Wie pani, dlaczego doktor Lecter namówił Miggsa do połknięcia języka?

- Chyba tak.

- Zabił go, bo panią obraził. Właśnie za to. Niech się pani nie przejmuję, i tak mógł go zabić.

Minęli dom Barneya i doszli do trawnika, gdzie gołąb wciąż krążył wokół ciała martwej towarzyszki. Barney przegonił go, machając rękami.

- Już mi stąd - powiedział do ptaka. - Wystarczy tej żałoby. W końcu dopadnie cię kot.  
- Gołąb odfrunął, łopocząc skrzydłami. Nie widzieli, gdzie przysiadł.

Barney podniósł martwego ptaka. Ciało o gładkich piórach z łatwością wśliznęło się do kieszeni.

- Doktor Lecter mówił kiedyś trochę o pani. Może ostatnim razem, kiedy z nim rozmawiałem, a w każdym razie podczas jednej z ostatnich rozmów. Ptak mi o tym przypomniał. Chce pani wiedzieć, co mi powiedział?

- Pewnie. - Starling czuła, że śniadanie podchodzi jej do gardła. Postanowiła, że zachowa zimną krew.

- Rozmawialiśmy o dziedzicznych zachowaniach. Za przykład podał genetykę gołębi, zwanych fajferami. Wzbijają się wysoko w powietrze i, obracając do tyłu, spadają w dół. Są płytkie i głębokie fajfery. Nie można łączyć w pary dwóch głębokich fajferów, bo młode będą obracać się dotąd, aż spadną na ziemię i zginą. Powiedział wtedy: „Agentka Starling jest głębokim fajferem, Barney. Miejmy nadzieję, że jej rodzice nimi nie byli”.

Starling zamyśliła się.

- Co zrobisz z ptakiem? - zapytała.

- Oskubię i zjem - odparł Barney - Chodźmy do domu, dam pani zdjęcie i książki.

Gdy Starling wracała obładowana do samochodu, usłyszała z drzew pojedynczy, żalospny krzyk gołębia.

## ROZDZIAŁ 13

Starania jednego szaleńca i obsesja drugiego sprawiły, że marzenia Starling wreszcie się spełniły: zajęła gabinet w podziemnej siedzibie Sekcji Behawioralnej. Żałowała tylko, że dostała się tam w taki sposób.

Nigdy nie przypuszczała, że po ukończeniu Akademii FBI trafi prosto do elitarniej sekcji, ale wierzyła, że w końcu zasłuży sobie na to miejsce. Wiedziała, że najpierw spędzi kilka lat w biurach terenowych.

Była świetną agentką, ale niezbyt dobrym dyplomata. Dopiero po drugim czasie zrozumiała, że nigdy nie dostanie się do Sekcji Behawioralnej, pomimo przychylności jej szefa, Jacka Crawforda.

Głównej przyczyny długo nie dostrzegała, dopóki niczym astronom, który odkrywa czarną dziurę, obserwując jej wpływ na otaczające ją ciała niebieskie, nie zwróciła uwagi na zastępcę inspektora generalnego, Paula Krendlera. Nigdy jej nie wybaczył, że przed nim odnalazła wielokrotnego mordercę Jame'a Gumba i nie mógł znieść popularności, jaką przyniosły jej media.

Pewnego słotnego zimowego wieczora Krendler zadzwonił do niej do domu. Odebrała telefon w szlafroku, kapciach i z ręcznikiem na głowie. Nigdy nie zapomni dokładnej daty; był to pierwszy tydzień operacji „Pustynna Burza”. Starling, wówczas agentka do spraw technicznych, wróciła właśnie z Nowego Jorku, gdzie wymieniła radio w limuzynie należącej do misji Narodów Zjednoczonych w Iraku. Nowe radio nie różniło się od starego, ale przekazywało rozmowy z samochodu do satelity Departamentu Obrony. Było to ryzykowne zadanie, które wykonała w prywatnym garażu, i wciąż miała napięte nerwy.

Przez sekundę pomyślała, że Krendler zadzwonił z gratulacjami.

Pamiętała stukot deszczu o szyby i głos Krendlera w telefonie; mówił z lekkim pijackim bełkotem, w tle słychać było odgłosy baru.

Zaproponował jej randkę. Powiedział, że przyjedzie po nią za pół godziny. Był żonaty.

- Nie sądzę, panie Krendler - powiedziała i nacisnęła nagrywanie na automatycznej sekretarce. Urządzenie wydało z siebie obowiązkowy krótki sygnał. Połączenie zostało przerwane.

Od tamtej pory minęło kilka lat. Teraz, w biurze, do którego tak bardzo chciała się dostać, Starling napisała na kawałku papieru swoje nazwisko i przykleiła je taśmą do drzwi. Niezadowolona zerwała kartkę i wrzuciła ją do kosza.

W swojej przegródce na korespondencję znalazła tylko jeden list. Kwestionariusz

przysłany przez wydawców *Księgi rekordów Guinnessa*. Zamierzali umieścić ją jako policjantkę, która zabiła najwięcej przestępców w historii Stanów Zjednoczonych. Słowo „przestępcy” zostało użyte celowo, wyjaśniał wydawca, ponieważ wszystkie te osoby były wielokrotnie karane, a nad trzema z nich wisały nie zrealizowane nakazy aresztowania. Kwestionariusz powędrował do kosza w ślad za kartką z nazwiskiem.

Mijała druga godzina dziubania w klawiaturę komputera i zdmuchiwania z twarzy spadających kosmyków włosów, gdy do drzwi zapukał Crawford i wsunął głowę do środka.

- Dzwonił Brian z laboratorium. Zdjęcie rentgenowskie od Masona i zdjęcie od Barneya pasują do siebie. To ramię Lectera. Teraz dokonają porównania

cyfrowego, ale Brian mówi, że nie ma wątpliwości. Prześlemy wszystko do bazy danych VICAP.

- A co z Masonem Vergerem?

- Powiemy mu prawdę. Oboje wiemy, że nie podzieli się z nami niczym, chyba że ma coś, z czym nie da sobie rady. Ale jeśli na tym etapie zaczniemy węszyć w Brazylii, trop wyparuje.

- Powiedział pan, że bym dała spokój, i tak zrobiłam.

- Ale nad czymś tu pracowałaś.

- Zdjęcie rentgenowskie Masona przyszło DHL-em. Na podstawie kodu kreskowego i informacji na kopercie ustalono, skąd nadano przesyłkę. Z hotelu „Ibarra” w Rio. - Uniesioną dłonią dała Crawfordowi znak, żeby jej nie przerywał. - Wszystkiego dowiedziałam się ze źródeł nowojorskich. W Brazylii o nic nie pytano. Mason prowadzi rozmowy telefoniczne, bardzo często za pośrednictwem łącznicy firmy bukmacherskiej w Las Vegas. Można sobie wyobrazić, jaką masę telefonów odbierają.

- Mam pytać, skąd o tym wiesz?

- Czysta sprawa - odparła Starling. - No, dosyć czysta. Nic nie zostawiłam w jego domu. Mam tylko kod do sprawdzania jego rachunków telefonicznych. Wszyscy agenci do spraw technicznych je mają. Powiedzmy, że utrudnia dochodzenie. Przy jego wpływach długo musielibyśmy błagać o nakaz. Co można by mu zrobić, nawet gdyby został skazany? Ale korzysta z firmy bukmacherskiej.

- Rozumiem - powiedział Crawford. - Komisja Zakładów Sportowych w Nevadzie mogłaby założyć podsłuch albo wyciągnąć od nich, dokąd dzwoni. Clarice kiwnęła głową.

- Zostawiłam Masona w spokoju, tak jak pan kazał.

- Widzę właśnie. Możesz powiedzieć Masonowi, że uzyskam pomoc Interpolu i ambasady. Przekaż mu, że musimy wysłać tam ludzi i rozpocząć przygotowania do

ekstradycji. Lecter pewnie popełnił jakieś zbrodnie w Ameryce Południowej, więc musimy się pospieszyć, zanim policja w Rio zacznie szperać w aktach z nagłówkiem „Kanibalizm”. Jeśli on w ogóle jest w Ameryce Południowej. Starling, robi ci się niedobrze na myśl o kolejnej rozmowie z Masonem?

- Muszę się nastawić psychicznie. Dzięki panu przebrnęłam przez oględziny tej topielicy z Wirginii Zachodniej. Co ja mówię: „topielicy”. To była konkretna osoba, nazywała się Fredericka Bimmel. Tak, Mason przyprawia mnie o mdłości. Ale ostatnio na wiele rzeczy tak reaguję, Jack.

Zamilkła zdziwiona własnymi słowami. Nigdy nie zwracała się do szefa po imieniu, nigdy to jej nawet nie przyszło do głowy. Zmieszała się. Przyjrzała się uważnie jego twarzy - słynnej nieprzeniknionej twarzy Jacka Crawforda.

Kiwnął głową z wymuszonym smutnym uśmiechem.

- Ja też, Starling. Chcesz kilka tabletek peptobismolu przed rozmową z Masonem?

Mason nawet nie raczył odebrać telefonu Starling. Sekretarka podziękowała jej za wiadomość i obiecała, że oddzwoni. Ale nie oddzwonił. Do Masona nowiny docierały szybciej niż do Starling. Wiadomość o zidentyfikowaniu zdjęcia rentgenowskiego nie była już dla niego niczym nowym.

## ROZDZIAŁ 14

Mason o wiele wcześniej niż Starling wiedział, że zdjęcie rentgenowskie przedstawia ramię doktora Lectera. Miał lepsze niż ona źródła w Departamencie Sprawiedliwości.

E-mail z tą informacją podpisany był „Token dwieście osiemdziesiąt siedem”. Tego pseudonimu używał asystent kongresmena Partona Vellmore’a z Komisji Sądowej Kongresu. Do jego biura nadszedł e-mail od samego Paula Krendlera z Departamentu Sprawiedliwości. Krendler podpisywał się „Cassius sto dziewięćdziesiąt dziewięć”.

Mason był podekscytowany. Nie sądził, by doktor Lecter przebywał w Brazylii, ale zdjęcie rentgenowskie dowodziło, że miał teraz normalną liczbę palców u lewej ręki. Informacja ta znalazła potwierdzenie w najnowszych sygnałach o miejscu pobytu doktora, które docierały z Europy. Pochodziły od włoskiej policji. Był to najwyraźniejszy trop Lectera od dłuższego czasu.

Mason nie miał zamiaru dzielić się tymi wiadomościami z FBI. Siedem lat wyłożonych wysiłków, dostęp do poufnych dokumentów federalnych, bogata korespondencja, omijanie barier granicznych i duże wydatki sprawiły, że zostawił FBI w tyle w poszukiwaniach Lectera. Dzielił się z biurem informacjami tylko wtedy, gdy miał w tym jakiś interes.

Musiał zachować pozory. Poinstruował sekretarkę, żeby i tak wydzwaniała do Starling i dopytywała się o rozwój wypadków. Polecił jej, żeby telefonowała do Clarice co najmniej trzy razy dziennie.

Natychmiast wysłał pięć tysięcy dolarów swojemu informatorowi z Brazylii, żeby zbadał pochodzenie zdjęcia rentgenowskiego. Fundusze, które przesłał do Szwajcarii, były znacznie większe. Gotów był wysłać jeszcze więcej, jeśli otrzyma istotne informacje.

Wierzył, że jego informator z Europy odnalazł doktora Lectera, ale zawiódł się już tyle razy, że nauczył się podchodzić do kolejnych rewelacji ostrożnie. Wkrótce miały nadejść dowody. Na razie, żeby zabić czas, Mason zajął się czymś, co miało nastąpić po schwytaniu doktora. Do tego też przygotowywał się od dawna, bo pilnie studiował cierpienie...

Wybory dokonywane przez Boga przy zadawaniu cierpienia nie są zadowalające ani zrozumiałe, chyba że niewinność Go obraża. Na pewno potrzebuje pomocy w kierowaniu ślełą furją, którą smaga ziemię.

Mason zrozumiał swoją rolę w tym wszystkim w dwunastym roku paraliżu, kiedy jego ciało zmarniało pod kołdrą i wiedział, że już nigdy się nie podniesie. Jego kwatery w rezydencji Muskrat Farm była gotowa i miał środki, choć ograniczone - wtedy jeszcze żył

senior rodu Vergerów, Molson.

W czasie świąt tego roku, gdy uciekł doktor Lecter, pod wpływem uczuć, które zwykle towarzyszą Bożemu Narodzeniu, Mason pożałował gorzko, że nie zaaranżował morderstwa Lectera w szpitalu psychiatrycznym. Wiedział, że Hannibal chodzi sobie teraz gdzieś po świecie i prawdopodobnie doskonale się bawi.

Tymczasem on leżał podłączony do respiratora, przykryty lekką kołdrą. Towarzysząca mu siostra przestępowała z nogi na nogę, żałując, że nie może usiąść. Do Muskrat Farm spędzono jakieś biedne dzieci, żeby śpiewały kolędy. Za zgodą lekarza na krótko otwarto okna w pokoju, wpuszczając do środka rześkie powietrze. Z zewnątrz dobiegły go głosy śpiewających dzieci, które w zaciśniętych rączkach trzymały świece.

W pokoju zgaszono światła. Na czarnym niebie nad posiadłością zawisły gwiazdy.

Tam ci zawsze służyły, służyły prześliczne Anioły,

A tu sam leżysz, sam leżysz jako palec goły

Przeszywała go kpina zawarta w słowach kolędy. A tu sam leżysz, sam leżysz, Masonie!

Świąteczne gwiazdy za oknem zachowywały grobowe milczenie. Gwiazdy nie odezwały się, gdy zwrócił ku nim błagalne spojrzenie wylupiastego oka i dał znak palcami, którymi mógł poruszyć. Nie mógł sam oddychać. Gdyby dusił się w kosmosie, ostatnią rzeczą, którą by zobaczył, byłyby piękne, nieme gwiazdy. Duszę się, pomyślał. Respirator nie nadażał, Mason musiał czekać na oddech. Linie na monitorach w bożonarodzeniowym zielonym kolorze podskakiwały, tworząc małe choinki w czarnej leśnej nocy ekranu. Krzywa pracy serca, skurcz, rozkurcz.

Przeżrana pielęgniarka już miała wzywać pomoc, sięgać po adrenalinę.

Kpina w słowach: „a tu sam leżysz, sam leżysz, Masonie”.

Objawienie podczas świąt Bożego Narodzenia. Zanim pielęgniarka zdążyła wezwać pomoc czy sięgnąć po lekarstwo, pierwszy szorstki dotyk myśli o zemście musnął jego bładą, upiorną, krabowatą ręką i Mason zaczął się uspokajać.

Podczas komunii w Boże Narodzenie chrześcijanie na całym świecie wierzą, że dzięki cudowi przeistoczenia spożywają ciało i krew Chrystusa. Mason rozpoczął przygotowania do jeszcze bardziej imponującej ceremonii, podczas której transsubstancja miała być niepotrzebna. Zaczął czynić przygotowania do dnia, w którym Hannibal Lecter zostanie pożarty żywcem.

## ROZDZIAŁ 15

Mason otrzymał edukację osobiłą, lecz - jak się okazało idealną do życia, które ojciec dla niego zaplanował, i do zadania, które go teraz czekało.

Jako dziecko uczył się w szkole z internatem, którą ojciec hojnie dofinansowywał. Dlatego przymykano oko na częste nieobecności Masona. Starszy Verger zabierał syna ze szkoły na całe tygodnie i przekazywał mu prawdziwą wiedzę, prowadząc chłopca do klatek dla zwierząt i rzeźni, które stanowiły podstawę ich fortuny.

Molson Verger był pionierem w wielu sferach związanych z hodowlą zwierząt rzeźnych, szczególnie w sferze oszczędności. Jego wczesne eksperymenty związane z tanią paszą dorównywały inwencją eksperymentom Batterhama sprzed pół wieku. Molson oszukiwał świńskie żołądki, dodając do karmy szczecinę, przerabiając kurze pióra i odchody. W tym czasie uznawano to za śmiałe rozwiązania. W latach czterdziestych miał opinię szalonego wizjonera, gdy po raz pierwszy przestał poić świnię świeżą wodą, zamieniając ją na poiwo ze sfermentowanego zwierzęcego moczu. To przyspieszało wzrost zwierząt. Śmiechy ucichły, gdy zaczął zarabiać krocie, a konkurenci natychmiast poszli w jego ślady.

Na tym nie kończyło się nowatorstwo Molsona Vergera w przemyśle mięsnym. Z czysto ekonomicznych pobudek odważnie walczył, nie szczędząc pieniędzy z własnej kiesy, z ustawą o humanitarnym uboju zwierząt. Udało mu się zapobiec delegalizacji piętnowania, choć musiał sporo wydać na łapówki. Z Masonem u boku nadzorował zakrojone na szeroką skalę eksperymenty, które miały ustalić, jak długo przed ubojem można pozbawić zwierzę wody i pożywienia bez znacznej utraty wagi.

Sponsorowane przez Vergera badania genetyczne doprowadziły wreszcie do wyhodowania świetnie umięśnionego gatunku świni belgijskiej, co nie udawało się Belgom. Molson Verger kupował zwierzęta na całym świecie i sponsorował wiele zagranicznych programów hodowlanych.

Przemysł mięsny opiera się w gruncie rzeczy na potencjale ludzkim. Nikt nie rozumiał tego lepiej niż Molson Verger. Udawało mu się zastraszać przywódców związkowych, gdy zagrażali jego zyskom, żądając wyższych płac i lepszych warunków pracy. W tej dziedzinie przez trzydzieści lat bardzo mu się przydawały ścisłe koneksje ze światem zorganizowanej przestępczości.

Mason był wówczas bardzo podobny do ojca. Miał ciemne lśniące brwi nad bladoniebieskimi oczyma rzeźnika i niskie czoło, nad którym linia włosów opadała na lewą stronę. Molson Verger często w przypływie czułości brał głowę syna w ręce i po prostu



dotykał jej, jak gdyby potwierdzał swoje ojcostwo. Tak samo dotykał świńskich ryjów, oceniając na podstawie budowy kostnej strukturę genetyczną.

Mason uczył się szybko i nawet teraz, gdy nie mógł wstać z łóżka, podejmował w interesach trafne decyzje, które wprowadzali w życie jego pełnomocnicy. W głowie Masona zrodził się pomysł, żeby namówić rząd Stanów Zjednoczonych i państwa Unii Europejskiej do wyrznięcia wszystkich świń na Haiti, powołując się na zagrożenie afrykańską świńską gripą. Potem udało mu się wpechnąć rządowi białe amerykańskie świnię, które miały zastąpić haitańskie. Nieprzystosowane do tamtejszych warunków zwierzęta padały jak muchy, pogłowie trzeba było ciągle uzupełniać, dopóki Haitańczycy nie sprowadzili wytrzymałych świń z Dominikany.

Teraz Mason posiadał ogromną wiedzę i doświadczenie. Budując narzędzia zemsty, czuł się jak Stradivari, który przystępuje do pracy.

Co za bogactwo wiadomości i pomysłów gromadziło się w tej czaszce bez twarzy! Leżąc w łóżku, komponując w myślach jak głuchy Beethoven, przypominał sobie wizyty na świńskich targach, gdzie podpatrywali konkurencję. Molson zawsze trzymał w pogotowiu srebrny nożyk, który zwykle wyslizgiwał się z kurtki i wbijał w kark zwierzęcia. Sprawdzał w ten sposób grubość warstwy tłuszczu. Nikt nie śmiał mu czegokolwiek zarzucić, a on oddalał się od przeraźliwych kwików zwierzęcia, trzymając rękę w kieszeni i zaznaczając kciukiem miejsce na ostrzu.

Mason uśmiechnąłby się, gdyby miał wargi. Przypominał sobie, jak ojciec dźgnął konkursową świnię, której wydawało się, że wszyscy są jej przyjaciółmi. Dzieciak, do którego zwierzę należało, rozplakał się. Nadbiegł rozwścieczony ojciec, ale zbiry Molsona wyprowadziły go za namiot. Co za wspaniałe, szczęśliwe czasy.

Na świńskich targach Mason widział egzotyczne zwierzęta z całego świata. Do swojego nowego przedsięwzięcia sprowadził najlepsze okazy spośród wszystkich gatunków, które wtedy poznał.

Mason rozpoczął swój program hodowlany natychmiast po Objawieniu. Wybrał niewielkie gospodarstwo Vergerów na Sardynii. Miejsce było odosobnione i miało wygodne połączenie z kontynentem.

Wierzył - nie bez racji - że pierwszym przystankiem doktora Lectera po ucieczce ze Stanów Zjednoczonych była Ameryka Południowa. Ale zawsze przypuszczał, że człowiek z zamiłowaniem doktora Lectera osiedli się w Europie, więc co roku jego ludzie obserwowali gości na Festiwalu w Salzburgu i podczas innych imprez kulturalnych.

Oto, co wysłał swoim hodowcom na Sardynii, którzy przygotowywali arenę śmierci

doktora Lectera.

Wielka świnia leśna *Hylochoerus meinertzhageni*, sześć sutfków i trzydzieści osiem chromosomów, pomysłowa w wynajdywaniu pożywienia, niewybredny wszystkożerca, tak jak człowiek. Odmiana górską: dwa metry długości, waga około dwustu siedemdziesięciu pięciu kilogramów. Wielka świnia leśna nadała tonację kompozycji Masona.

Europejski dzik, *S. scrofa scrofa*, trzydzieści sześć chromosomów w najczystszej odmianie, brak narośli na ryju, sama szczecina i wielkie ostre kry. Duże, szybkie i agresywne zwierzę, które zabija żmiję ostrymi racicami i zjada węża jak kabanosa. W trakcie rui lub w obronie młodych rozjuszone zwierzę atakuje wszystko, co uzna za zagrożenie. Lochy mają dwanaście sutfków i są dobrymi matkami. W *S. scrofa scrofa* Mason znalazł nowy motyw kompozycji. Ryj dzika miał ukazać konsumowanemu doktorowi Lecterowi ostatnią, piekielną wizję samego siebie.

Kupił też świnię z wyspy Ossabaw, ze względu na jej agresywność, i czarną świnię z Jiaxing, ze względu na wysoki poziom estradiolu.

Fałszywa nuta zabrzmiała, gdy wprowadził babirusę, *Babyrousa babyrussa*, ze wschodniej Indonezji, zwaną również jelenioswinem z powodu wyjątkowo drugich kłów. Rozmnażała się powoli, miała tylko dwa sutfki i przy wadze stu kilogramów kosztowała go zbyt dużo jak na swoje rozmiary. Czas nie został jednak stracony, bo równocześnie pojawiły się inne młode.

Jeśli chodzi o uzębienie Mason nie miał zbyt dużego wyboru. Prawie każdy gatunek dysponował zębami odpowiednimi do swojego zadania. Trzy pary ostrych siekaczy, para przedłużonych kłów, cztery pary zębów przedtrzonowych i trzy miażdżące pary zębów trzonowych, w górnej i dolnej szczęce - w sumie czterdzieści cztery zęby.

Każda świnia zje martwego człowieka, ale żeby zmusić ją do zjedzenia żywego, konieczna jest odpowiednia tresura. Sardyńscy Masona byli w stanie poradzić sobie z tym problemem.

Teraz po siedmiu latach prób i licznych miotach rezultaty były... imponujące.

## ROZDZIAŁ 16

Zgromadziwszy wszystkich aktorów - oprócz doktora Lectera - w górach Gennargentu na Sardynii, Mason zajął się sprawą zarejestrowania śmierci doktora dla potomności i własnej przyjemności. Już dawno wszystko zaplanował, teraz wystarczyło tylko dać sygnał.

Tę delikatną sprawę załatwił telefonicznie za pośrednictwem łącznicy firmy bukmacherskiej w Las Vegas. Jego telefony były ziarenkiem piasku na pustyni weekendowych połączeń.

Radiowy głos Masona, pozbawiony głosek wybuchowych i szczelinowych, powędrował z lasów państwowych niedaleko Zatoki Chesapeake na pustynię i z powrotem przez Atlantyk, do Rzymu.

W apartamencie na siódmym piętrze budynku na Via Archimede za hotelem o tej samej nazwie zadzwonił telefon, wydając chrapliwy podwójny dźwięk charakterystyczny dla włoskich operatorów. W ciemności odezwały się senne głosy.

- Cóża? Cóża c'e?

- Accendi la luce, idiota.

Zapaliła się nocna lampka. W łóżku leżały trzy osoby. Młody chłopak najbliżej telefonu podniósł słuchawkę i podał ją tęgiemu mężczyźnie w średnim wieku. Po drugiej stronie spała dwudziestokilkuletnia blondynka. Podniosła zaspaną twarz do światła, po czym jej głowa znów opadła na poduszkę.

-Pronto, chi? Chiparla?

- Oreste, przyjacielu. Mówi Mason.

Korpulentny mężczyzna poprawił się na łóżku i dał znak młodszemu, żeby podał mu szklankę wody mineralnej.

- Ach, Mason, przyjacielu, przepraszam, ale spałem. Która u ciebie godzina?

- Wszędzie jest późno, Oreste. Pamiętasz, co ci obiecałem i co musisz dla mnie zrobić?

- Oczywiście.

- Już pora, przyjacielu. Wiesz, czego chcę. Potrzebne będą dwie kamery, dźwięk ma być lepszy niż w twoich pornosach i musisz korzystać z własnej elektryczności, więc w pobliżu planu zdjęciowego ma być generator. Chcę też trochę ładnych zdjęć przyrody, które później zostaną wmontowane do filmu, i śpiew ptaków. Masz jutro sprawdzić lokalizację i ustawić sprzęt. Zatrudniłem ochronę, więc będziesz mógł zostawić sprzęt na miejscu i wrócić do Rzymu przed rozpoczęciem zdjęć. Ale bądź przygotowany, że w każdej chwili dostaniesz

wezwanie i za dwie godziny kręcisz. Rozumiesz, Oreste? W Citibanku czeka na ciebie przelew, jasne?

- Mason, teraz kręcę...

- Chcesz to zrobić, Oreste? Mówiłeś przecież, że masz już dość kręcenia pornosów i historycznych gniotów dla RAI. Jesteś poważnie zainteresowany zrobieniem filmu kinowego?

-Tak.

- Więc wyruszasz dzisiaj. W Citibanku czeka gotówka. Chcę, żebyś wyjechał.

- Dokąd?

-Na Sycylię. Polecisz do Cagliari. Ktoś tam po ciebie wyjdzie.

Potem Mason połączył się z Porto Torres na wschodnim wybrzeżu Sycylii. Rozmowa była krótka. Nie musiał dużo mówić, bo cała maszyna została już dawno przygotowana i była sprawna jak jego przenośna gilotyna. Była też praktyczniejsza, choć nie tak szybka.

**CZEŚĆ II**  
**FLORENCJA**

## ROZDZIAŁ 17

Noc w samym sercu Florencji, efektownie oświetlone Stare Miasto. Z ciemnego *piazza* wylania się w świetle reflektorów średniowieczny w każdym calu Palazzo Vecchio z hakowatymi oknami, zębatymi blankami i dzwonnica strzelającą w czarne niebo.

Przed rozjarzoną tarczą zegara nietoperze do świtu uganiają się za komarami, rankiem w rozedrgane od bicia dzwonów powietrze wzbijają się jaskółki.

Rinaldo Pazzi, główny inspektor z komendy policji, w czarnym płaszczu na tle marmurowych rzeźb postaci, zastygłych w chwili gwałtu lub mordy, wyszedł na plac z zacienionej Loggia dei Lanzi. Jego blada twarz odwróciła się jak słonecznik w stronę pałacowego światła. Stał tam, gdzie spalono na stosie Savonarolę, i podniósł wzrok w stronę okien, w których jego przodek spotkał się oko w oko ze śmiercią.

Właśnie z jednego z tych wysokich okien strącono nagiego Francesca de'Pazziego z pętlą na szyi, żeby szczył, wijąc się i objając o szorstki mur. Powieszony obok Pazziego arcybiskup w świętych szatach nie zdołał udzielić mu duchowego pocieszenia. Oczy wyszły mu na wierzch i w przedśmiertnym szale zatopił zęby w ciele Pazziego.

Tamtej niedzieli, dwudziestego szóstego kwietnia tysiąc czterysta siedemdziesiątego ósmego roku, prześladowania dotknęły całą rodzinę Pazzich. Była to kara za zamordowanie Giuliana de'Medici i próbę zamachu na Wawrzyńca Wspaniałego podczas mszy w katedrze.

Teraz Rinaldo Pazzi - z tych Pazzich - nienawidząc rządu równie mocno jak jego przodek, zhańbiony i prześladowany przez zły los, czekał na świst karzącego topora. Przyszedł w to miejsce, żeby podjąć decyzję, w jaki sposób najlepiej wykorzystać wyjątkowy łut szczęścia.

Główny inspektor Pazzi sądził bowiem, że odnalazł we Florencji Hannibala Lectera. Schwytanie go dawało mu szansę naprawienia reputacji i odzyskania dobrego imienia w pracy. Pazzi miał również szansę sprzedania Hannibala Lectera Masonowi Vergerowi za sumę, której nie był sobie w stanie nawet wyobrazić. Gdyby podejrzany rzeczywiście okazał się Lecterem, Pazzi sprzedałby również swój zszargany honor.

Pazzi nie bez powodu kierował sekcją dochodzeniową w komendzie policji - był zdolny i w swoim czasie trawiła go żądza zawodowego sukcesu. Ale nosił też na sobie blizny jak człowiek, który oślepiiony ambicją, nieraz już się sparzył.

Przyszedł tutaj, żeby podjąć decyzję. Kiedyś doznał tu olśnienia, które najpierw uczyniło go sławnym, a później doprowadziło do upadku.

Pazziemu nie brakowało włoskiego wycucia ironii: co za traf, że natchnienie spłynęło

na niego pod oknem, gdzie rozwścieczony duch jego przodka pewnie nadal kołysał się na wisielczym sznurze. W tym miejscu mógł raz na zawsze skończyć z fatum, które prześladowało Pazzich.

Sławę, a następnie upokorzenie, przyniosło Pazziemu odnalezienie innego seryjnego mordercy, Il Mostro. Bez tego doświadczenia nie dokonałby swojego nowego odkrycia. Lecz sprawa Il Mostro zostawiła w ustach Pazziego smak goryczy i skłoniła go do podjęcia niebezpiecznej gry poza prawem.

Il Mostro, „Wampir z Florencji”, prześladował zakochanych w Toskanii przez siedemnaście lat w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Atakował pary, które tuliły się do siebie w uroczych tokańskich zaułkach. Zwykle zabijał kochanków strzałami z pistoletu małego kalibru, a następnie tworzył z ciał i kwiatów kompozycję, zawsze odsłaniając lewą pierś kobiety. Jego koláže wydawały się znajome i wywoływały wrażenie *deja vu*.

Wampir wycinał również trofea anatomiczne, poza jednym przypadkiem, gdy najwidoczniej przez pomyłkę uśmiercił dwóch długowłosych niemieckich homoseksualistów.

Opinia publiczna domagała się schwytania Il Mostro i doprowadziła do odwołania ze stanowiska poprzednika Rinalda Pazziego. Gdy Pazzi stanął na czele sekcji dochodzeniowej, przypominał człowieka ściganego przez rój pszczoł: dziennikarze nawiedzali tłumnie jego biuro, gdy tylko im na to pozwalano, a na Via Zara za budynkiem policji czaili się paparazzi, tamtędy bowiem zawsze wyjeżdżał samochodem.

Turyści, którzy w tym czasie zwiedzali Florencję, zapamiętali na pewno rozklejone wszędzie plakaty ostrzegawcze, ukazujące jedno czujne oko.

Pazzi pracował jak opętany.

Kontaktował się z Sekcją Behawioralną, aby uzyskać pomoc w stworzeniu portretu psychologicznego zabójcy, i czytał wszystko na temat metod stosowanych przez FBI przy poszukiwaniu wielokrotnych morderców.

Prowadził również działania prewencyjne: doszło do tego, że w niektórych zaułkach i miejscach schadzek na cmentarzach więcej było par policjantów w samochodach niż zakochanych. Brakowało policjantek. Mężczyźni

nosili na zmianę peruki, wielu z nich złożyło w ofierze wąsy. Pazzi dał przykład innym, goląc własne.

Wampir zachowywał ostrożność. Napadał, ale nie miał potrzeby częstego atakowania.

Pazzi zauważył, że w ubiegłych latach następowały długie okresy, kiedy Wampir w ogóle nie atakował - jedna z przerw trwała osiem lat. Poszedł tym tropem. Żądał pomocy od

każdego, kogo zdołał sterroryzować, i skonfiskował komputer swojego siostrzeńca, żeby nie opierać się na jedynym komputerze w komendzie policji. Mozolnie, w pocie czoła, sporządził listę wszystkich przestępców z północnych Włoch, których pobyt w więzieniu zbiegał się w czasie z przerwami w serii morderstw Il Mostro. Na liście znalazło się dziewięćdziesiąt siedem osób.

Pazzi posłużył się szybkim, wygodnym starym alfa romeo GTV uwiecznionego złodzieja. Nabijając w ciągu miesiąca ponad pięć tysięcy kilometrów, osobiście przesłuchał dziewięćdziesięciu czterech skazanych. Pozostali zmarli albo byli inwalidami.

Na miejscach zbrodni nie znaleziono dowodu, który pozwoliłby mu zawęzić poszukiwania. Sprawca nie zostawił żadnych śladów, żadnych odcisków palców.

Tylko w Impruneta natrafiono na pojedynczą łuskę. Był to nabój kaliber 22 winchester-western ze śladami wyrzutnika pasującymi do samopowtarzalnego colta, może woodsmana. Każdej zbrodni dokonano nabojami kaliber 22 z tej samej broni.

Naboje nie miały śladów tłumika, ale nie można było wykluczyć możliwości jego zastosowania.

Pazzi godnie reprezentował swe nazwisko: przede wszystkim ambitny, miał też młodą, śliczną żonę, którą trudno było zadowolić. Dodatkowy wysiłek kosztował go dwadzieścia kilogramów, które zrzucił z i tak szczupłego ciała. Młodszy funkcjonariusze policji mówili między sobą, że przypomina kojota z kreskówek.

Gdy jacyś sprytni dowcipnicy z komendy zainstalowali w komputerze program, który zmieniał twarze trzech tenorów w pyski osła, świni i kozy, Pazzi nie mógł oderwać wzroku od ekranu, wyobrażając sobie, że to jego twarz przekształca się za każdym razem w pysk osła.

W oknie laboratorium komendy wisiały girlandy czosnku, żeby odegnać złe duchy. Po bezowocnej wizycie i przesłuchaniu ostatniego podejrzanego Pazzi stanął pod główkami czosnku, wyglądając na brudne podwórze. Stracił nadzieję.

Pomyślał o swojej nowej żonie, jej wspaniałych twardych kostkach i wgłębieniu na plecach. Pomyślał o jej drgających i podskakujących podczas mycia zębów piersiach i śmiechu, gdy dostrzegła, że ją obserwuje. Pomyślał o rzeczach, które chciał jej dać. Wyobrażał sobie, jak otwiera podarunki. Myślał

o niej obrazami. Owszem, pięknie pachniała i cudownie było ją dotykać, ale obrazy zajmowały poczesne miejsce w jego pamięci.

Zastanawiał się, jak chciałby być przez nią postrzegany. Na pewno nie w roli pośmiewiska dziennikarza. Siedziba komendy policji we Florencji mieści się w dawnym szpitalu psychiatrycznym. Ten fakt w pełni wykorzystywali liczni karykaturzyści.



Pazzi oczekiwał, że sukces przyjdzie jako olśnienie. Miał doskonałą pamięć wzrokową i jak wielu wzrokowców uważał, że objawienie ma formę obrazu, początkowo zamazanego, lecz z czasem nabierającego ostrości. Rozmyślał, tak jak większość z nas szuka zgubionego przedmiotu: przywołujemy z pamięci jego wizję, porównując go z tym, co widzimy, odświeżając obraz w myślach wiele razy w ciągu minuty i obracając w przestrzeni.

Wybuch bomby w Galerii Uffizi odwrócił na krótko uwagę opinii publicznej i Pazziego od sprawy Il Mostro.

Gdy prowadził dochodzenie w sprawie zamachu bombowego, obrazy Il Mostro pozostały w jego umyśle. Widział komponowane przez Wampira *tableaux* kątem oka, tak jak patrzymy na zarysy przedmiotu, chcąc zobaczyć go w ciemnościach. Szczególnie zaabsorbowała go para znaleziona w ciężarówce w Impruneta: Wampir starannie ułożył ciała i udekorował je kwietnymi girlandami. Pamiętał o odsłonięciu lewej piersi kobiety.

Ktoregoś dnia po wyjściu z Galerii Uffizi Pazzi znalazł się na pobliskim Piazza Signoria. Coś na stoisku sprzedawcy pocztówek przykuło jego uwagę.

Oszołomiony przystanął dokładnie w tym samym miejscu, gdzie spalono na stosie Savonarolę. Rozejrzał się dookoła. Plac aż roił się od turystów. Poczul na plecach zimny dreszcz. Może obraz, który ujrzał, był wytworem jego wyobraźni. Zawrócił i przeszedł tę samą trasę.

I znów ujrzał przed sobą mały, zapaskudzony przez muchy, pofałdowany od deszczu plakat z *Wiosną* Botticellego. Oryginał znajdował się za nim, w Galerii Uffizi. *Wiosna*. Po prawej stronie przybrana girlandami nimfa z wyeksponowaną lewą piersią i wysypującymi się strumieniem z ust kwiatami. Błady Zefir wyciąga do niej ręce spośród drzew.

Wspomnienie zamordowanej pary w ciężarówce. Przykryci kwiatami, kwiaty w ustach dziewczyny. Klik. Klik.

Właśnie tutaj, gdzie zawisł na sznurze jego przodek, Pazzi doznał olśnienia. Odnalazł pierwowzór, obraz stworzony pięćset lat wcześniej przez Botticellego tego samego, który za czterdzieści florenów namalował na ścianie więzienia Bargello wizerunek powieszzonego Francesca de'Pazziego. Jak mógł oprzeć się natchnieniu doznanemu w tak niesamowitych okolicznościach?

Musiał usiąść. Wszystkie ławki były zajęte. W końcu pokazał odznakę i zarekwirował miejsce na ławce zajmowane przez staruszkę. Nie zauważył kul, dopóki stary weteran nie wstał na swoją jedyną nogę i nie zaczął bardzo głośno, wulgarnie pomstować.

Pazzi był podekscytowany z dwóch powodów. Odnalezienie wizerunku, który inspirował Il Mostro, już było triumfem, lecz ważniejsze, widział reprodukcję *Wiosny* w

mieszkańcu jednego z przesłuchiwanym przestępców.

Wiedział, że nie powinien katować pamięci, tylko powoli i łagodnie nakłonić ją do współpracy. Wrócił do Uffizi i stanął przed oryginałem *Wiosny*. Nie zabawił tam długo. Wyszedł na rynek i dotknął ryjka brązowego dzika *Il Porcelino*. Potem pojechał do Ippocampo i oparty o maskę zakurzonego samochodu, czując wciąż w nozdrzach zapach rozgrzanego oleju, obserwował grające w piłkę dzieci....

Najpierw wygrzebał z pamięci korytarz i podest na schodach. Plakat z *Wiosną* wyłaniał się stopniowo, gdy wchodził po schodach. Cofnął się i przez chwilę widział drzwi wejściowe, ale nie pamiętał żadnych ulic, żadnych twarzy.

Znał zasady przesłuchania, zadał więc sobie pytania dotyczące pozostałych zmysłów:

Co słyszałeś, kiedy ujrzałeś plakat?... Garnki pobrząkujące w kuchni na parterze. Co słyszałeś, gdy stanąłeś na podeście i oglądałeś plakat? Telewizję. Telewizor stał w sypialni. Robert Stack grał Eliota Nessa w *Nietykalnych*. Czy czułeś zapachy gotowania? Tak, coś się gotowało. Jakies inne zapachy? Wciąż czułem zapach rozgrzanej alfy, zapach gorącego oleju, gorącego od... Raccordo. Pędziłeś autostradą Raccordo, ale dokąd? San Casciano. Słyszałem szczekanie psa w San Casciano. Włamywacz i gwałciiciel, Girolamo Tocca.

W chwilach, gdy skojarzenie nadchodzi w synaptycznym spazmie spełnienia, kiedy jedna myśl niczym zapalony lont doprowadza do eksplozji innej myśli, doświadczamy największej przyjemności. Dla Rinalda Pazziego był to najwspanialszy moment życia.

Po półtorej godziny Pazzi doprowadził do aresztowania Girolama Tocci. Żona rzucała kamieniami za małym konwojem, który zabrał jej męża.

## ROZDZIAŁ 18

Tocca był wymarzoną podejrzanym. W młodości odsiedział dziewięć lat za zamordowanie mężczyzny, którego przyłapał na amorach z narzeczoną w zaułku dla zakochanych. Oskarżano go również o molestowanie seksualne córek i przemoc wobec rodziny. Ponadto odsiadywał kiedyś karę więzienia za gwałt.

Funkcjonariusze policji omal nie zmiotli domu gwałciciela z powierzchni ziemi w poszukiwaniu dowodów. W końcu sam Pazzi, przeszukując podwórze, znalazł łuskę od naboju. Był to jeden z niewielu dowodów przedstawionych przez prokuratora.

Proces okazał się sensacją. Odbywał się w budynku pod specjalnym nadzorem, zwanym „bunkrem”, gdzie w latach siedemdziesiątych toczyły się procesy terrorystów - naprzeciw florenckich biur „La Nazione”. Przepasani

szarfami członkowie ławy przysięgłych - pięciu mężczyzn i pięć kobiet - uznali Toccę za winnego. Brali pod uwagę nie tyle dowody, ile jego charakter. Opinia publiczna w większości wierzyła w jego niewinność, lecz wielu ludzi twierdziło, że Tocca jest wariatem i lepiej go trzymać pod kluczem. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat został skazany na czterdzieści lat w więzieniu Volterra.

Następne miesiące były dla Pazziego złotym okresem. Żadnemu z Pazzich nie oddawano takich honorów we Florencji w ciągu ostatnich pięciuset lat, odkąd Pazzo de'Pazzi wrócił z pierwszej krucjaty z kawałkami krzemienia ze Świętego Grobu.

Rinaldo Pazzi i jego piękna żona stali obok arcybiskupa w Duomo, gdy podczas tradycyjnego wielkanocnego obrzędu te same święte kawałki krzemienia wykorzystano do odpalenia rakiety w kształcie gołębia, która wyleciała z katedry i wysadziła pojemnik z fajerwerkami dla wiwatującego tłumu.

Gazety spijały każde słowo z ust Pazziego, gdy dziękował - w granicach zdrowego rozsądku swoim podwładnym za ciężką pracę, którą wykonali. *Signora* Pazzi stała się wyrocznią w sprawach mody; wyglądała wspaniale w strojach, do których zakładania namawiali ją projektanci. Zapraszano ich na wykwintne herbatki w domach bogaczy, jedli kolację z pewnym hrabią w jego zamku, w otoczeniu licznych starych zbroi.

Wspominano o powierzeniu Pazziemu jednego ze stanowisk politycznych, chwalono go we włoskim, wiecznie rozgadanyim parlamencie i zlecono mu poprowadzenie wspólnej akcji włoskiej policji i amerykańskiego FBI przeciw mafii.

Zadanie to, a także stypendium na odbycie studiów kryminologicznych na uniwersytecie w Georgetown, sprowadziły Pazzich do Waszyngtonu. Główny inspektor

spędził wiele czasu w Sekcji Behawioralnej w Quantico i marzyło stworzeniu jej odpowiednika w Rzymie.

Nagle po dwóch latach nastąpiła katastrofa: w spokojniejszej atmosferze sąd apelacyjny pod presją opinii publicznej wniósł o rewizję wyroku Tocci. Pazzię sprowadzono do kraju, żeby wziął udział w procesie. Wśród byłych kolegów, których zostawił daleko w tyle, nie znalazł ani jednego sprzymierzeńca.

Sąd apelacyjny uchylił wyrok i udzielił nagany Pazziemu, twierdząc, że prawdopodobnie podłożył dowód rzeczowy.

Dawni wielbiciele z wyższych sfer opuścili go nagle, jakby zamienił się w śmierdzące jajo. Nadal zajmował ważne stanowisko, lecz wszyscy wiedzieli, że jest przegrany. Rząd włoski działa powoli, ale wkrótce topór sprawiedliwości miał spaść na szyję Pazzięgo.

## ROZDZIAŁ 19

Właśnie wtedy, w tak niepewnym dla Pazziego okresie, gdy w każdej chwili spodziewał się, że spadnie na niego cios karzącego topora, po raz pierwszy spotkał człowieka, znanego w kręgach florenckich uczonych jako doktor Fell...

Rinaldo Pazzi wchodził po schodach Palazzo Vecchio z polecenia swoich byłych podwładnych z komendy. Napawając się jego porażką, traktowali go jak chłopca na posyłki. Pazziego interesowały jedynie czubki własnych butów na lekko wklęsłych kamiennych stopniach. Nie zwracał uwagi na pokryte freskami ściany i otaczające go dzieła sztuki. Pięćset lat wcześniej po tych samych schodach wleczono na śmierć jego przodka.

Na podeście wyprężył pierś jak za dawnych czasów i zmusił się, żeby spojrzeć w oczy postaciom z fresków. Z niektórymi łączyły go więzy krwi. Słyszał już dochodzące z góry odgłosy kłótni: w Sali Lili odbywało się właśnie wspólne posiedzenie szefów Galerii Uffizi i Komisji Sztuk Pięknych.

Tego dnia Pazzi przybył w sprawie zaginięcia długoletniego kustosza Palazzo Capponi. Wszyscy byli pewni, że staruszek ulotnił się z kochanką lub z czyimiś pieniędzmi, ewentualnie zabrał ze sobą obydwie źródła przyjemności. Od czterech miesięcy nie stawiał się na comiesięczne spotkania z przełożonymi w Palazzo Vecchio.

Przysłano Pazziego, aby przeprowadził śledztwo. Główny inspektor jeszcze niedawno, po zamachu bombowym w galerii, pouczał bladoliczych dyrektorów Galerii Uffizi i członków rywalizującej z nimi Komisji Sztuk Pięknych o koniecznych środkach bezpieczeństwa. Teraz musiał zjawić się przed tymi samymi ludźmi w mniej pomyślnych okolicznościach i zadawać im pytania dotyczące życia prywatnego zaginionego kustosza. Taka perspektywa wcale mu się nie uśmiechała.

Obydwa gremia tworzyły swarliwe i skłócone zgromadzenie. Przez wiele lat nie mogły uzgodnić miejsca spotkań, bo żadna ze stron nie zamierzała spotykać się w siedzibie konkurentów. Posiedzenia odbywały się zatem w przepięknej Sali Lili w Palazzo Vecchio. Każdy z uczestników spotkania miał o sobie tak wysokie mniemanie, że uważał tę wytworną komnatę za godną właśnie jego znamienitej osoby. Gdy już się tam zdomowili, nie chcieli słyszeć o spotkaniach w innym miejscu, choć w Palazzo Vecchio trwały niekończące się prace renowacyjne. Ciągłe więc wpadali na rusztowania, płachty materiału i różne urządzenia.

Przed drzwiami sali stał profesor Ricci, szkolny kolega Pazziego. Kichnął od gipsowego pyłu. Gdy atak minął, spozjrzał zażawionymi oczyma na Pazziego.

- *La solita arringa* - obwieścił. - Jak zwykle się kłóć. Jesteś tu w sprawie zaginionego

kustosza z Palazzo Capponi? W tej chwili żrą się o jego posadę. Sogliato widzi na tym stanowisku swojego siostrzeńca, uczeni są oczarowani doktorem Fellem. Zatrudniono go tymczasowo, kilka miesięcy temu. Chcieliby go zatrzymać.

Pazzi zostawił na korytarzu kolegę, który obmacywał kieszenie w poszukiwaniu chusteczek higienicznych, i wszedł do historycznej komnaty, ozdobionej złotymi liliami na suficie. Wiszące na dwóch ścianach płachty nieco tłumiły odgłosy dysputy.

Przemawiał właśnie nepotysta Sogliato. Robił dobry użytek ze swojego donośnego głosu.

- Korespondencja Capponich sięga trzynastego wieku. W ręce doktora Fella, w jego niewłoskie ręce, mógłby wpaść list od samego Dantego. Czy rozpoznałby autora? Wątpię. Przepytaliście go ze starowłoskiego i nie zamierzam przeczyć, że włada nim doskonale. Jak na obcokrajowca. Ale czy zna wystarczająco dobrze florenckie osobistości okresu średniowiecza? Wątpię. A gdyby natknął się w bibliotece Capponich na list od... na przykład od Guida de'Cavalcantiego? Rozpoznałby autora? Wątpię. Czy zechciałby pan zająć stanowisko w tej sprawie, doktorze?

Rinaldo Pazzi rozejrzał się po sali. Nie widział nikogo podobnego do doktora Fella, chociaż niespełna godzinę wcześniej dokładnie obejrzał jego fotografię. Nie widział go, bo doktor Fell nie siedział razem z innymi. Pazzi najpierw usłyszał głos, a dopiero później umiejscowił mówiącego.

Doktor Fell stał nieruchomo tyłem do uczestników spotkania przy brązowej rzeźbie Judyty i Holofernesa. Odpowiadając na zarzuty, nie odwrócił się. Trudno było stwierdzić, kto naprawdę przemówił: Judyta ze wzniesionym mieczem, gotowym do zadania ciosu pijanemu królowi, przytrzymywany za włosy Holofernes czy też smukła i nieruchoma postać doktora, stojącego przy figurach z brązu Donatella. Jego głos przebił się przez hałas rozmów jak laser przez dym. Rozgadani mężczyźni natychmiast umilkli.

- Cavalcanti publicznie zrecenzował pierwszy sonet z *Nowego życia*, w którym Dante opisuje przedziwny sen o Beatrice Portinari - mówił doktor Fell. - Być może Cavalcanti wyraził swoją opinię także w liście prywatnym. Gdyby miał pisać do kogoś z rodziny Capponich, prawdopodobnie byłby to Andrea, najbardziej zainteresowany literaturą ze wszystkich braci. - Doktor Fell zrobił przerwę, niezręczną dla wszystkich oprócz niego, i powoli odwrócił się do zebranych. - Zna pan pierwszy sonet Dantego, profesorze Sogliato? Tak czy nie? Zafascynował Cavalcantiego, więc warto go posłuchać. Oto fragment:

Trzecia część nocy schodziła; nad ranem,  
Kiedy gwiazd jeszcze widno migotanie,

Znienacka Amor żyw przede mną stanie;  
To dziś dzień straszy mnie samym swym mianem.  
Radosny zdał się; w ręce niósł wyrwany  
Rozpłomieniony serca mego kawał;  
Postać niewiasty w zasłone odzianej  
W ramionach dzierzył; zbudziwszy, rumiany  
Ów kęs przelęklej za pokarm podawał,  
Potem z nią w górę wzlatał, rozplakany.\*

- Proszę posłuchać, w jaki sposób czerpie z mowy potocznej, którą nazywa *vulgari eloquentia*.

Allegro mi sembrava Amor tenendo  
Meo córę in mano, ene le braccia avea  
Madonna involta in un drappo dormendo.  
Poi la svegliava, e d'esto córe ardendo  
Lei paventosa umilmente pascea  
Appreso gir lo ne vedea piangendo.

Nawet najbardziej zatwardziali florentyńczycy zmiękli, słysząc wersy Dantego w pokrytych freskami murach pałacu, recytowane przez doktora Fella czystym tokańskim dialektem. Bijąc brawo, ze łzami w oczach członkowie zgromadzenia - ku wielkiemu rozdrażnieniu profesora Sogliato - wyrazili aprobatę dla kandydatury doktora Fella. Pazzi nie był w stanie określić, czy zwycięstwo ucieszyło doktora. Fell znowu odwrócił się do wszystkich plecami. Sogliato nie dawał jeszcze za wygraną.

- Skoro jest takim ekspertem od Dantego, niech się w takim razie wykaże przed Studiolo. - Ostatnie słowo zasyczało w jego ustach, jakby wspominał o Świętej Inkwizycji. - Niech stanie przed nimi jak najszybciej, choćby w najbliższy piątek. - Grupę nazwaną Studiolo, od bogato zdobionego prywatnego gabinetu, tworzyła garstka surowych uczonych, którzy zrujnowali niejedną akademicką karierę i często spotykali się w Palazzo Vecchio. Przygotowanie się do spotkania z nimi uważano za prawdziwą męczarnię, a stawienie się przed nimi za śmiertelne niebezpieczeństwo. Wuj profesora Sogliato poparł jego wniosek, a szwagier zażądał głosowania, którego wyniki siostra profesora zanotowała w protokole. Wniosek przeszedł. Nie odrzucono kandydatury doktora, lecz ostatnie słowo należało do uczonych ze Studiolo.

Zgromadzenie miało nowego kustosza, nie tęskniło za jego poprzednikiem i

---

\* Dante *Nowe życie*, przekład Edward Porębowicz

lekceważąco potraktowało pytania skompromitowanego Pazziego. Pazzi trzymał się dzielnie.

Jak każdy dobry detektyw analizował sytuację pod kątem zysków i strat. Kto mógłby skorzystać ze zniknięcia starego kustosa? Zaginiony był kawalerem, szanowanym, spokojnym uczonym, który prowadził uporządkowany żywot. Miał oszczędności, lecz niewielkie. Wszystko co posiadał, to posada, a dzięki niej przywilej mieszkania na poddaszu Palazzo Capponi.

A oto jego następca, którego przyjęto po dokładnym egzaminie z historii Florencji i staro włoskiego. Pazzi już wcześniej przejrzał podanie o pracę doktora Fella i jego deklarację o stanie zdrowia.

Podszedł do niego, gdy członkowie zgromadzenia szykowali się do wyjścia.

- Doktorze.

- Tak, Commendatore?

Nowy kustosz był drobnym, schludnym mężczyzną. Nosił okulary, których szkła były od połowy przyciemniane, i doskonale skrojone - nawet według włoskich norm - ciemne ubranie.

- Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek spotkał pan swego poprzednika? - Doświadczony policjant potrafi szóstym zmysłem wyczuć strach. Obserwując uważnie doktora Fella, zarejestrował tylko absolutny spokój.

- Nigdy. Owszem, przeczytałem kilka jego monografii w *Nuova Antologia*. - Dialekt tokański w wydaniu potocznym brzmiał w ustach doktora równie czysto jak recytacja wiersza. Jeśli nawet krył ślad obcego akcentu, Pazzi go nie wychwytał.

- Wiem, że policjanci, którzy rozpoczęli śledztwo, szukali w Palazzo Capponi listu pożegnalnego, wiadomości o planowanym samobójstwie lub czegoś w tym rodzaju, ale niczego nie znaleźli. Jeśli trafi pan na coś w papierach, na coś osobistego, choćby najmniej istotnego, zawiadomi mnie pan? Oczywiście, *Commendatore Pazzi*.

- Jego rzeczy nadal są w pałacu?

- Zapakowane w dwóch walizkach i zinwentaryzowane.

- Przyślę kogoś... albo sam po nie przyjdę.

- Proszę najpierw do mnie zadzwonić, *Commendatore*. Przed pańską wizytą wyłączę system alarmowy, żeby zaoszczędzić panu czasu.

Jest zbyt opanowany. Powinien okazywać lekki strach. Prosi, żebyśmy uprzedził go przed wizytą.

Członkowie zgromadzenia trochę wyprowadzili Pazziego z równowagi. Nic nie mógł na to poradzić. Teraz czuł się urażony arogancją tego człowieka. Zamierzał odplacić mu



pięknym za nadobne.

- Doktorze, czy mogę zadać panu osobiste pytanie?

- Jeśli obowiązki zmuszają pana do tego, *Commendatore*.

- Na lewej dłoni ma pan stosunkowo świeżą bliznę.

- A na pańskiej widzę nową obrączkę. *Nowe życie?* - Doktor Fell uśmiechnął się. Miał małe, bardzo białe zęby. Wykorzystując element zaskoczenia, zanim Pazzi zdążył się obrazić, doktor Fell podniósł rękę z widoczną blizną i powiedział: - Zespół cieśni nadgarstka, *Commendatore*. Historia to niebezpieczny zawód.

- Dlaczego nie wymienił pan tej choroby w deklaracji o stanie zdrowia, gdy przyjechał pan tu do pracy?

- Wydawało mi się, *Commendatore*, że podanie takiej informacji byłoby zasadne, gdybym pobierał rentę inwalidzką. A tak nie jest. Nie jestem inwalidą.

- Zatem operację przeprowadzono w Brazylii, skąd pan pochodzi.

- Nie we Włoszech, od rządu włoskiego nic nie otrzymałem - oznajmił doktor Fell, jakby był przeświadczony, że udzielił wyczerpującej odpowiedzi.

Opuszczali Salę Lili ostatni. Pazzi doszedł do drzwi, gdy doktor Fell zawołał za nim:

- *Commendatore* Pazzi?

Czarna sylwetka doktora rysowała się na tle wysokich okien. Za nim w oddali wznosił się budynek florenckiej katedry.

- Słucham?

- Zdaje się, że wywodzi się pan z tych Pazzich, nieprawdaż?

- Owszem, skąd pan wie? - Gdyby doktor nawiązał do niedawnych artykułów prasowych, Pazzi uznałby to za szczyt bezczelności.

- Przypomina pan postać, którą wyrzeźbił Luca delia Robbia w waszej rodzinnej kaplicy w kościele Santa Croce.

- Ach, to Andrea de'Pazzi przedstawiony jako Jan Chrzciciel. - Pazzi poczuł, jak do jego zgorzkniałego serca spływa kropla słodczy.

Zostawiając drobną postać w sali narad, Pazzi nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest coś dziwnego w bezruchu doktora Fella.

Wkrótce wrażenie to miało się pogłębić.

## ROZDZIAŁ 20

W czasach gdy nasza wrażliwość uległa stępieniu pod wpływem wszechobecnej wulgarności i wyuzdania, warto przekonać się, co wciąż może nami wstrząsnąć. Co poruszy zwiotczałe ciało uśpionej świadomości na tyle mocno, żeby przykuć naszą uwagę?

We Florencji była to wystawa pod nazwą „Okrutne narzędzia tortur”. Właśnie tam Rinaldo Pazzi spotkał powtórnie doktora Fella.

Ekspozycję - ponad dwadzieścia klasycznych narzędzi tortur i szczegółową dokumentację - umieszczono w nieprzystępnych murach Forte di Belvedere, szesnastowiecznej warowni Medyceuszów, która strzegła miasta od strony południowej. Na otwarciu wystawy niespodziewanie zjawily się tłumy. Emocje sięgały zenitu.

Pierwotnie planowano zamknąć wystawę po miesiącu. Tymczasem „Okrutne narzędzia tortur” można było podziwiać przez pół roku. Ekspozycja była nie mniejszą atrakcją turystyczną niż Galeria Uffizi. Popularnością prześcignęła muzeum w Palazzo Pitti.

Organizatorzy wystawy, dwaj nieudolni wypychacze zwierząt, których przed śmiercią głodową ratowało jedynie jedzenie podrobów z preparowanych trofeów, zarobili na wystawie krocie i w nowiutkich smokingach objechali z nią całą Europę.

Zwiedzający ze wszystkich zakątków Starego Kontynentu przybywali głównie parami, korzystając z przedłużonych godzin otwarcia i tłocząc się przy machinach do zadawania bólu. Z uwagą czytali podane w czterech językach informacje o pochodzeniu narzędzi i sposobach ich wykorzystania. Ilustracje Dürera i fragmenty dawnych pamiątek pozwalały zwiedzającym poznać w najdrobniejszych szczegółach tajniki takich zabiegów jak łamanie kołem.

Na jednej z tablic można było przeczytać:

Włoscy książęta woleli łamać swe ofiary na ziemi, przygniatając je okutym żelazem kołem, uprzednio podkładając pod kończyny - jak widać na rysunku - drewniane bloki. W północnej Europie przywiązywano zazwyczaj ofiarę do koła, łamano jej kości żelaznym prętem, a następnie przeplatano kończyny przez szprychy koła na obrzeżach, łącząc złamania tak, aby ciało stało się bardziej giętkie, przy czym głowa i korpus torturowanego znajdowały się pośrodku koła. Ta druga metoda zapewniała bardziej efektowny spektakl, lecz zabawa mogła się szybko skończyć, jeśli do serca dostał się kawałek szpiku kostnego.

Wystawa „Okrutne narzędzia tortur” nie mogła nie zainteresować konesera tego, co w człowieku najgorsze. Lecz esencji zła, czarciego łajna ludzkiej duszy, daremnie byłoby szukać wśród szpikulców i ostrzy. Pierwotna brzydota tkwiła w twarzach tłumy.

Doktor Fell, znawca ludzkiej ohydy, stał w półmroku wielkiego kamiennego pomieszczenia pod podświetlonymi wiszącymi klatkami dla potępieńców. W oszpeconej blizną dłoni trzymał okulary. Dotykał ust koniuszkiem oprawki i przyglądał się jak urzeczonego zwiedzającym.

Tam zobaczył go Rinaldo Pazzi.

Odwalał właśnie kolejną tego dnia czarną robotę. Zamiast jeść kolację w towarzystwie żony, przedzierał się przez tłum, żeby powiesić nowy plakat ostrzegający pary przed nieuchwytnym dotąd Wampirem z Florencji. Identyczny plakat zawisnął obok innych poszukiwanych zbrodniarzy z całego świata nad jego biurkiem. Znalazł się tam z inicjatywy nowych przełożonych Pazziego.

Organizatorzy - dawni wypychacze zwierząt - pilnując wspólnie kasy z wpływami ze sprzedaży biletów, byli zadowoleni, że na ich wystawie znajdzie się również element współczesnej grozy. Poprosili jednak Pazziego, żeby sam powiesił plakat. Żaden z nich nie miał zamiaru zostawiać współlnika sam na sam z gotówką. Kilku florentyńczyków rozpoznało Pazziego, usłyszał odgłosy dezaprobaty z anonimowego tłumu.

Pazzi przyczepił pineskami niebieski plakat do tablicy ogłoszeń przy wyjściu, gdzie wielkie pojedyncze oko mogło przykuć wzrok największej liczby zwiedzających, i zapalił kinkiet nad tablicą. Zauważył, że wiele wychodzących par ocierało się o siebie lubieżnie w panującym przy wyjściu ścisisku. Nie chciał oglądać kolejnego żywego obrazu autorstwa Il Mostro. Miał już dość widoku krwi i kwiatów.

Chciał natomiast porozmawiać z doktorem Fellem. Korzystając z okazji, że jest tak blisko Palazzo Capponi, zamierzał odebrać rzeczy zaginionego kustosza. Gdy Pazzi jednak odwrócił się od tablicy ogłoszeń, doktora już nie było. Nie było go też w tłumie opuszczających wystawę. Pozostała tylko kamienna ściana, przy której stał, miejsce pod klatką dla skazanych na śmierć głodową, gdzie szkielet w pozycji embrionalnej wciąż zdawał się błagać o jedzenie.

Pazzi wpadł w złość. Rozpychając się łokciami, wydostał się na zewnątrz, ale i tu nie dostrzegł doktora.

Ochroniarz przy wyjściu rozpoznał inspektora i nie zareagował, gdy Pazzi minął barierkę i zszedł z wyznaczonej ścieżki na pogrążony w mroku teren przy Forte di Belvedere. Podszedł do muru obronnego i spojrzął na północ, na drugi brzeg Arno. Miał u stóp całe florenckie Stare Miasto: wielki garb katedry, oświetloną wieżę Palazzo Vecchio.

Dusza przodków Pazziego wiła się, przebita włócznią kompromitacji. Drwiło z niego nawet jego miasto.

Agenci FBI zadali mu ostateczny cios nożem w plecy. Oświadczyli w prasie, że człowiek aresztowany przez Pazziego zupełnie nie odpowiada sporządzonej przez FBI charakterystyce Il Mostro. Gazeta „La Nazione” dodała jeszcze, że Pazzi „zrobił wszystko, aby Tocca jak najszybciej znalazł się w więzieniu”.

Ostatni raz rozwieszał niebieski plakat Il Mostro w Ameryce. Było to wówczas dumne trofeum, które powiesił na ścianie w siedzibie Sekcji Behawioralnej w Quantico i na prośbę amerykańskich agentów FBI zostawił na nim swój autograf. Wiedzieli o nim wszystko, podziwiali go i zaprosili do siebie. Wraz z żoną pojechał więc na gościnne wybrzeże stanu Maryland.

Gdy stał przy ciemnym murze i spoglądał na prastare miasto, poczuł nagle słony zapach Zatoki Chesapeake i przywołał z pamięci obraz żony, która stała na brzegu w nowiutkich białych adidasach.

W siedzibie sekcji obejrzał obraz Florencji, który pokazano mu jako ciekawostkę. Ten sam widok rozciągał się przed nim w tej chwili: Stare Miasto od strony Belvedere, najlepsza możliwa panorama miasta. Nie kolorowy pejzaż, lecz rysunek ołówkiem, cieniowany węglem. Obraz znajdował się w tle fotografii amerykańskiego seryjnego zabójcy, doktora Hannibala Lectera. Hannibala-Kanibala. Lecter narysował pejzaż z pamięci, a rysunek wisiał w celi szpitala psychiatrycznego, w którym się znajdował, miejsca równie ponurego jak Forte di Belvedere.

W którym momencie kielkująca myśl dojrzała w głowie Pazziego? Dwa obrazy: prawdziwa Florencja rozciągająca się przed nim i wyłowiony z pamięci rysunek. Plakat Il Mostro zawieszony kilka minut temu. Plakat Hannibala Lectera na ścianie w biurze Pazziiego z informacją o ogromnej nagrodzie i napisem ostrzegawczym:

DOKTOR LECTER MUSI UKRYWAĆ LEWĄ RĘKĘ

I BYĆ MOŻE SPRÓBUJE JĄ ZOPEROWAĆ,

PONIEWAŻ WYSTĘPUJĄCY U NIEGO

RODZAJ NADLICZBOWOŚCI PALCÓW

JEST NIEZWYKLE RZADKI I POZWALA NA SZYBKĄ IDENTYFIKACJĘ

Widoczna blizna na dłoni doktora Fella, który przytrzymał przy ustach uchwyt okularów.

Szczegółowy szkic panoramy Florencji na ścianie w celi Hannibala Lectera.

Czy ta myśl nasunęła mu się, gdy patrzył na florencką Starówkę po drugiej stronie rzeki, czy może natchnęła go nieprzenikniona ciemność nad światłami miasta? I dlaczego jej zwiastunem był aromat słonej bryzy znad zatoki Chesapeake?

Skojarzenie nadeszło z dźwiękiem; dziwne jak na wzrokowca. Z odgłosem kropli, która wpada do wysychającej kałuży.

Hannibal Lecter zbiegł do Florencji.

kap

Hannibal Lecter to doktor Fell.

Wewnętrzny głos Rinalda Pazziego podpowiadał mu, że być może postradał zmysły, przygnieciony troskami i kłopotami. Jego roztrzęsiony umysł wbił zęby w kraty niczym szkielet w klatce dla głodzonych.

Nie pamiętał, jak się tam znalazł, kiedy stanął przy renesansowej bramie Belvedere wychodzącej na wąską i stromą uliczkę Costa di San Giorgio, która wiła się i opadała aż do odległego o niespełna kilometr serca Starego Miasta. Nogi zdawały się nieść go po bruku wbrew woli, szybciej, niż tego chciał. Bez przerwy rozglądał się za człowiekiem, znanym jako doktor Fell. Tędy mógł dojść do jego domu. W połowie drogi Pazzi skręcił w Costa Scarpuccia. Schodził coraz niżej, aż wyszedł na Via de'Bardi, która ciągnęła się wzdłuż rzeki. Niedaleko był Palazzo Capponi, gdzie mieszkał doktor Fell.

Pazzi - dysząc ciężko po szybkim marszu - znalazł miejsce, którego nie oświetlały uliczne latarnie: wejście do domu mieszkalnego po drugiej stronie ulicy. Gdyby ktoś przechodził, mógł odwrócić się i udać, że naciska dzwonek.

Pałac tonął w ciemnościach. Pazzi dostrzegł nad wielkimi podwójnymi drzwiami czerwone światło kamery. Nie wiedział, czy jest włączona stale, czy tylko wtedy, gdy ktoś naciska dzwonek. Kamera była skierowana na wejście do pałacu. Pazzi wątpił, żeby obejmowała również fasadę.

Czuwał przez pół godziny, wsłuchując się we własny oddech. Doktor nie nadchodził. Może był w środku, lecz nie zapalił światła.

Pazzi przeszedł szybko przez wyludnioną ulicę i stanął przy murze.

Z wewnątrz dochodził słaby, bardzo słaby dźwięk. Pazzi przysunął głowę do zimnych krat okiennych, nasłuchując. Fortepian. *Wariacje Goldbergowskie* Bacha w doskonałym wykonaniu.

Powinien poczekać, przyciąć się i zastanowić. Mógłby przedwcześnie spłoszyć ofiarę. Trzeba postanowić co dalej. Nie chciał znów wyjść na głupca. Cofnął się w cień po drugiej stronie ulicy. Na końcu zniknął w mroku jego nos.

## ROZDZIAŁ 21

Według legendy chrześcijański męczennik San Miniato podniósł swą ściętą głowę z piasku rzymskiego amfiteatru we Florencji i powędrował z nią pod pachą na wzgórze po drugiej stronie rzeki, gdzie po dziś dzień leży we wspaniałym kościele.

Niewątpliwie ciało San Miniato - w pozycji pionowej czy poziomej - minęło po drodze starożytną ulicę Bardi, na której teraz stoimy. Na pustej ulicy zapada zmierzch, a w zimowym deszczu, który nie jest wystarczająco mroźny, żeby zabić koci odór, połyskują ułożone wachlarzowato kostki bruku. Znajdujemy się wśród pałaców wybudowanych sześćset lat temu przez bogatych kupców. To oni wynosili na tron królów i spiskowali przeciw nim we Florencji doby renesansu. Na drugim brzegu rzeki Arno widać spiczaste wieże Piazza Signoria, gdzie powieszono i spalono mnicha Savonarolę, oraz wielką galerię ukrzyżowanych Chrystusów - Uffizi.

Te rodzinne pałace, stłoczone na starej ulicy, zamrożone we współczesnej włoskiej biurokracji, przypominają z zewnątrz architekturę więzienną. Kryją jednak w sobie ogromne, pełne uroku przestrzenie, wysokie i ciche pomieszczenia, których nikt nigdy nie ogląda, udrapowane gnijącym, wyblakłym od deszczu jedwabiem. Wiszą tam w ciemnościach od lat mniej znane dzieła mistrzów renesansu, które po opadnięciu draperii oświetla jedynie światło błyskawicy.

Tutaj znajduje się pałac Capponich, znamienitej rodziny, która podarła na oczach króla Francji jego ultimatum i podarowała światu papieża.

W oknach Palazzo Capponi, za żelaznymi kratami, jest teraz ciemno. Podstawki na pochodnie są puste. W popękanej starej szybie widać dziurę po kuli z lat czterdziestych. Podejdź bliżej. Przyłóż rękę do zimnego żelaza, tak jak Pazzi, i zacznij nasłuchiwać. Słysząc ciche dźwięki fortepianu. *Wariacje Goldbergowskie* Bacha zagrane nie doskonale, lecz całkiem przyzwoicie, z prawdziwym zrozumieniem muzyki. Zagrane nie doskonale, lecz całkiem przyzwoicie; lewa ręka jest chyba trochę usztywniona.

Wejdiesz do środka, jeśli uwierzysz, że nie spotka cię żadna krzywda? Wstąpisz do tego pałacu, którego historia pełna jest krwi i chwały? Przejdiesz przez ciemność i pajęczyny w stronę urokliwych dźwięków fortepianu? Alarmy nas nie wyczują. Zmoknięty policjant czający się po drugiej stronie ulicy nie widzi nas. Chodź...

W głównym holu panuje niemal absolutna ciemność. Długie kamienne schody, zimna balustrada pod ślizgającą się ręką, wklęsłe od milionów kroków stopnie, nierówne pod stopami, kiedy wchodzimy po nich w stronę muzyki.

Wysokie podwójne drzwi do głównego salonu zaskrzypiałyby, gdybyśmy musieli je otworzyć. Ale dla ciebie są otwarte. Muzyka dochodzi z odległego krańca pokoju, skąd bije również jedyne światło, światło wielu świec, które rzucają czerwony blask przez małe drzwi przyległej do salonu kaplicy.

Dalej w stronę muzyki. Niejasno zdajemy sobie sprawę, że mijamy pokryte płótnem meble. Rozmazane kształty wydają się ruchome w blasku świec, jak śpiące stado zwierząt. Sklepienie nad nami tonie w mroku.

Światło pada czerwienią na ozdobny instrument i mężczyznę, znanego w kręgu florenckich uczonych jako doktor Fell. Jest elegancki, wyprostowany, wsłuchany w muzykę. Blask świec odbija się w jego włosach i na plecach, w jedwabnym, pikowanym szlafroku, który lśni jak skóra.

Uniesiona pokrywa fortepianu jest misternie rzeźbiona. Przedstawia scenę biesiady: maleńkie figurki zdają się kłębić w migotaniu świec nad strunami. Doktor gra z zamkniętymi oczami. Nie musi czytać nut. Przed nim, na podstawce w kształcie liry, leży egzemplarz amerykańskiego brukowca „National Tattler”. Gazeta została złożona tak, żeby ukazać twarz na pierwszej stronie, twarz Clarice Starling.

Muzyk uśmiecha się, kończy utwór, powtarza sarabandę dla własnej przyjemności. Gdy ostatnia poruszona plektronem struna wibruje i cichnie gdzieś w wielkiej sali, otwiera oczy. W jego źrenicach iskrzy się czerwony światek. Odwraca głowę i spogląda na gazetę.

Bezszelestnie wstaje i niesie amerykańską gazetę do maleńkiej, bogato zdobionej kapliczki, wybudowanej przed odkryciem Ameryki. Gdy podnosi strony do świecznika i przewraca je, wydaje się, że święci z obrazów nad ołtarzem czytają mu przez ramię, jak w kolejce w sklepie spożywczym. Duża czcionka Railroad Gothic.

ANIOŁ ŚMIERCI: CLARICE STARLING,

MASZYNA DO ZABIJANIA Z FBI

Twarze zastygłe w cierpieniu lub szczęściu wokół ołtarza rozplywają się, gdy zdmuchuje świece. Nie potrzebuje światła, żeby przejść przez wielką salę. Gdy doktor Hannibal Lecter mija nas, czujemy ruch powietrza. Wielkie drzwi skrzypią, zamykają się z głuchym łoskotem, który czujemy od podłogi. Cisza.

Kroki w następnym pokoju. Tutaj ściany wydają się bliższe, choć sklepienie musi być także wysokie - ostre dźwięki odbijają się echem z opóźnieniem - a nieruchome powietrze wciąż jest nasycone zapachem papieru welinowego, pergaminu i zgaszonych knotów.

W mroku słychać szelest papierów, skrzypnięcie fotela. Doktor Lecter zasiada w wielkim fotelu w legendarnej bibliotece Capponich. Światło odbija się wprawdzie czerwono

w jego oczach, lecz źrenice nie jarzą się czerwienią w ciemności, jak zapewniali niektórzy z jego opiekunów. Panuje absolutna ciemność. Lecter zastanawia się...

Jest prawdą, że stworzył wakat w Palazzo Capponi, pozbywając się poprzedniego kustosza. Proste zadanie wymagało zaledwie chwili wysiłku i skromnego wydatku na dwie torby cementu. Lecz gdy już oczyścił sobie pole, zdobył stanowisko uczciwie, demonstrując przed Komisją Sztuk Pięknych wspaniałe zdolności lingwistyczne: tłumaczył średniowieczne włoskie i łacińskie teksty z manuskryptów zapisanych zbitym gotyckim pismem.

Odnalazł tutaj spokój - poza swoim poprzednikiem nie zabił nikogo - i chciał go zachować podczas pobytu we Florencji.

Stanowisko tłumacza i kustosza biblioteki Capponich było dla niego łakomym kąskiem z kilku powodów.

Przestrzenie, wysokość pałacowych pomieszczeń przedstawiały dużą wartość dla człowieka, który lata spędził w ciasnej klatce. Co ważniejsze, czuł w pałacu odpowiednie wibracje. Był to jedyny prywatny budynek, który przypominał pałac wspomnień zachowywany od czasów młodości.

W bibliotece z unikatową kolekcją manuskryptów i listów pamiętających początek trzynastego wieku mógł zaspokoić ciekawość na własny temat.

Fragmentaryczne rodzinne zapiski przekonały doktora Lectera, że wywodzi się od niejakiego Giuliana Bevisanguero, przerażającej postaci dwunastowiecznej Toskanii, a także od Machiavellego i Viscontich. Znalazł się więc w idealnym miejscu do prowadzenia badań. Choć cała sprawa wzbudzała pewną ciekawość doktora, nie miała związku z jego *ego*. Doktor Lecter nie potrzebuje konwencjonalnego wzmocnienia psychologicznego. Jego *ego*, współczynnik inteligencji i stopień racjonalności nie mogą być mierzone konwencjonalnymi sposobami.

Wśród psychiatrów nie ma nawet zgody na to, czy doktora Lectera można określać mianem człowieka. Od dawna uważany był przez swoich kolegów po fachu - wielu obawia się jego złośliwych komentarzy w specjalistycznych pismach - za coś zupełnie innego. Dla wygody używają terminu „potwór”.

Potwór siedzi w ciemnej bibliotece, jego umysł maluje kolory w ciemności, a przez głowę przelatuje średniowieczne powietrze. Myśli o policjancie.

Pstryknięcie i zapala się lampa.

Teraz widzimy, że doktor Lecter siedzi w bibliotece Capponich przy szesnastowiecznym stole z refektarza. Ma za sobą ścianę posegregowanych w przegródkach manuskryptów i wielkie, oprawne w płótno księgi sprzed ośmiuset lat. Przed nim spoczywa



sterta szesnastowiecznej korespondencji z ministrem Republiki Wenecji, przyciśnięta małym odlewem, który Michał Anioł zrobił jako studium rzeźby swojego Mojżesza. Obok kałamarza leży laptop z dostępem do Internetu przez uniwersytet w Mediolanie.

Wśród ciemnobrązowych i żółtych stert pergaminu i welinu odcina się czerwienią i błękitem numer „National Tattler”. A obok niego florenckie wydanie „LaNazione”.

Doktor Lecter wybiera włoską gazetę i czyta najnowszy atak na Rinalda Pazzięgo, sprowokowany wyparciem się FBI odpowiedzialności za sprawę Il Mostro. „Tocca nigdy nie odpowiadał sporządzonemu przez nas portretowi psychologicznemu”, oświadczył rzecznik FBI.

W „La Nazione” powołano się na przeszłość Pazzięgo i jego szkolenie w Ameryce w słynnej akademii w Quantico. Z takim przygotowaniem nie powinien był się pomylić.

Sprawa Il Mostro w ogóle nie interesowała doktora Lectera, zainteresowała go natomiast przeszłość Pazzięgo. Co za nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że spotkał policjanta szkolonego w Quantico, gdzie przypadek Hannibala Lectera omawiano w podręcznikach.

Doktor Lecter spojrzał Pazzięmu w twarz w Palazzo Vecchio i stał wystarczająco blisko, żeby go obwąchać. Wiedział na pewno, że Pazzi niczego nie podejrzewa, mimo iż zapytał o bliznę na lewej ręce. Nie wykazywał nawet większego zainteresowania sprawą zaginięcia kustosa.

Policjant zauważył go na wystawie narzędzi tortur. Szkoda, że do spotkania nie doszło na wystawie kwiatów.

Doktor Lecter doskonale zdawał sobie sprawę, że w głowie policjanta znajdują się wszystkie elementy układanki konieczne do dokonania odkrycia, lecz na razie objają się przypadkowo o siebie z milionami innych wiadomości.

Czy Rinaldo Pazzi powinien dołączyć do świętej pamięci kustosa Palazzo Vecchio na dnie rzeki? Czy ciało Pazzięgo powinno być znalezione po upozorowanym samobójstwie? Dziennikarze z „La Nazione” byliby zadowoleni, że udało im się zaszczyć go na śmierć.

Nie teraz, pomyślał potwór, odwracając się do pergaminowych i welinowych zwojów manuskryptów.

Doktor Lecter nigdy się nie martwił. Delektował się stylem Neriego Capponi, piętnastowiecznego bankiera i posła do Wenecji. Do późna w nocy czytał jego listy, od czasu do czasu - dla własnej przyjemności - na głos.

## ROZDZIAŁ 22

Przed świtem Pazzi miał w rękach fotografie doktora Lectera dołączone do pozwolenia na pracę i negatywy do *permesso di soggiorno* z akt karabinierów. Dysponował również wspaniałymi zbliżeniami z plakatu Masona Vergera. Twarze miały podobny kształt, ale jeśli doktor Fell był doktorem Hannibalem Lecterem, przeprowadzono korektę nosa i policzków, prawdopodobnie za pomocą zastrzyków kolagenowych.

Uszy wyglądały obiecująco. Niczym Alphonse Bertillon przed stu laty, Pazzi pochylał się ze szkłem powiększającym nad uszami. Wydawało się, że są takie same.

Na przestarzałym komputerze w komendzie policji Pazzi wstukał kod wstępu do amerykańskiej bazy danych FBI i otworzył przebogaty plik Lectera. Przeklinał powolny modem i próbował odczytywać zamazany tekst, zanim litery pojawiały się wyraźniej na ekranie. Znał większość tych materiałów, lecz dwie rzeczy zapały mu dech w piersiach. Jedna stara i jedna nowa. Według najnowszych doniesień Lecter przeszedł prawdopodobnie operację ręki. Dowodzi tego zdjęcie rentgenowskie. Z kolei w starym zeskanowanym raporcie policji stanu Tennessee Pazzi przeczytał, że Hannibal Lecter odtwarzał z taśmy *Wariacje Goldbergowskie*, gdy zabijał w Memphis strażników.

Plakat zamieszczony przez bogatego Amerykanina, Masona Vergera, nakłaniał do przekazywania nowych informacji pod podany numer FBI. Jak zwykle ostrzegano, że doktor Lecter jest uzbrojony i bardzo niebezpieczny. Podano również prywatny numer telefonu, tuż pod wiadomością o ogromnej nagrodzie.

Bilet lotniczy z Florencji do Paryża jest skandalicznie drogi, a Pazzi musiał go kupić, płacąc z własnej kieszeni. Nie wierzył, że francuska policja nie wmiesza się do sprawy, więc skorzystał z aparatu na karty kredytowe American Express, niedaleko budynku Opery i wybrał prywatny numer z plakatu Masona. Przypuszczał, że rozmowa będzie kontrolowana. Dość dobrze mówił po angielsku, ale wiedział, że akcent zdradzi, skąd pochodzi.

Męski głos w słuchawce był bardzo spokojny, mówił z amerykańskim akcentem.

- W jakiej sprawie pan dzwoni?
- Mogę mieć informację dotyczącą Hannibala Lectera.
- W takim razie dziękuję za telefon. Wie pan, gdzie on teraz przebywa?
- Chyba tak. Czy nagroda jest wciąż aktualna?
- Owszem. Jakie ma pan dowody? Musi pan zrozumieć, że dostajemy mnóstwo fałszywych sygnałów.
- Mogę powiedzieć, że przeszedł operację plastyczną twarzy i zoperował lewą rękę.

Jest w stanie zagrać *Wariacje Goldbergowskie*. Ma brazylijskie dokumenty.

Cisza. I pytanie.

- Dlaczego nie zadzwonił pan na policję? Moim obowiązkiem jest nakłonienie pana do tego.

- Czy nagroda zostanie wypłacona w każdym przypadku?

- Nagroda przysługuje w przypadku, gdy podana informacja doprowadzi do aresztowania i skazania.

- A czy zostanie wypłacona w... specjalnych okolicznościach?

- Ma pan na myśli osobę, która normalnie nie mogłaby przyjąć nagrody?

-Tak.

- Przyświeca nam ten sam cel. Proszę więc się nie rozłączać, a ja coś zaproponuję. Wyznaczanie nagrody za czyjąś śmierć jest wbrew międzynarodowym konwencjom i amerykańskiemu prawu. Proszę się nie rozłączać. Mogę zapytać, czy dzwoni pan z Europy?

- Tak i nie powiem już nic więcej.

- Dobrze, ale proszę wysłuchać mnie do końca. Proponuję, żeby skontaktował się pan z prawnikiem i omówił prawną stronę przyjęcia takiej nagrody. Proszę nie podejmować żadnych nielegalnych kroków przeciw doktorowi Lecterowi. Czy mogę polecić panu prawnika? W Genewie mamy kogoś, kto doskonale zna się na tych sprawach. Dam panu jego numer, rozmowy będą bezpłatne. Gorąco zachęcam, żeby szczerze pan z nim porozmawiał.

Pazzi kupił kartę telefoniczną. Następną rozmowę - z osobą o suchym szwajcarskim głosie - przeprowadził z budki w supermarkecie „Bon Marche”. Trwała niespełna pięć minut.

Mason miał wypłacić milion amerykańskich dolarów za głowę i rękę doktora Hannibala Lectera. Taką samą sumę był gotów wypłacić za informację, która doprowadzi do jego aresztowania. Prywatnie natomiast miał wypłacić trzy miliony dolarów za żywego doktora - bez żadnych pytań, dyskrecja gwarantowana. Umowa przewidywała sto tysięcy dolarów zaliczki. Żeby ubiegać się o zaliczkę, Pazzi musiałby dostarczyć rozpoznawalny ponad wszelką wątpliwość odcisk palca doktora Lectera, odcisk *in situ* na jakimś przedmiocie. Gdyby to zrobił, resztę gotówki mógłby odebrać w dowolnym czasie z bankowego sejfów w Szwajcarii.

Przed udaniem się na lotnisko Pazzi kupił w „Bon Marche” peniuar dla żony z brzoskwiniowej mory.

## ROZDZIAŁ 23

Jak zachowuje się ktoś, kto dochodzi do wniosku, że zwykle zaszczyty są do niczego? Kto powtarza za Markiem Aureliuszem, że opinia przyszłych pokoleń będzie warta tyle, ile opinia współczesnych? Czy w takiej sytuacji można się zachowywać godnie? Czy takie zachowanie jest pożądane?

Rinaldo Pazzi - z tych Pazzich - główny inspektor florenckiej policji, musiał zdecydować, jak bardzo zależy mu na dobrym imieniu i czy istnieje trwalsza mądrość niż względy honoru.

Wrócił z Paryża przed kolacją i pospał trochę. Chciał zasięgnąć opinii żony, ale nie mógł, choć znalazł w niej pocieszenie. Gdy jej oddech uspokoił się, leżał długo, nie mogąc zasnąć. Późno w nocy zrezygnował ze snu i wyszedł, żeby pospacerować i pomyśleć.

Chciwość nie jest rzadkością we Włoszech. Rinaldo Pazzi przesiąknął nią bardzo, wdychając włoskie powietrze. Jego naturalna zachłanność i ambicja pogłębiły się w Ameryce, gdzie szybciej ulega się wpływom okoliczności takich, jak śmierć Jehowy czy potęga Mamony.

Pazzi wyszedł z zacienionej Loggia dei Lanzi i stanął na Piazza Signoria w miejscu, gdzie spalono Savonarolę. Spojrzał na okno oświetlonego Palazzo Vecchio, gdzie zginął jego przodek. Wierzył, że wciąż się zastanawia. Ale tak nie było. Decyzję podjął już wcześniej.

Przeznaczamy na decyzję jakiś moment w czasie, żeby uczcić wydarzenie, będące ukoronowaniem racjonalnego i świadomego procesu myślenia. Ale decyzje powstają ze zwichrowanych uczuć. Często są składnikami, a nie sumą.

Pazzi podjął decyzję, zanim wszedł na pokład samolotu do Paryża. Podjął decyzję godzinę temu, gdy żona w nowym peniarze posłusznie mu się oddała. Kilka minut później, leżąc w ciemności, wyciągnął rękę, żeby przyłożyć dłoń do jej policzka i pocałować ją czule na dobranoc. Wyczuł pod palcami łzę. Później, nieświadomie, zjadła jego serce.

Zaszczyty? Kolejna szansa, żeby znosić oddech arcybiskupa, gdy świętym krzemieniem odpalano raketę w kształcie gołębia? Pochwały od polityków, których prywatne grzeszki znał aż za dobrze? Cóż warta była sława policjanta, który schwytał doktora Hannibala Lectera? Sława policjanta ma krótki żywot. Lepiej GO SPRZEDAĆ.

Myśl ta przeszła i wstrząsnęła Rinaldem. Był błąd, ale utwierdził się w swoim postanowieniu. Kiedy wzrokowiec Pazzi podejmował decyzję, w jego umyśle mieszały się dwa zapachy: żony i Zatoki Chesapeake.

SPRZEDAĆ GO. SPRZEDAĆ GO. SPRZEDAĆ GO. SPRZEDAĆ GO. SPRZEDAĆ

GO. SPRZEDAĆ GO.

Francesco de'Pazzi nie uderzył mocniej w tydzień czterysta siedemdziesiątym ósmym, zakłuwając na śmierć Guiliana na posadzce katedry, gdy w morderczym szale zadał sobie cios nożem w udo.

## ROZDZIAŁ 24

Karta z odciskami palców doktora Hannibala Lectera jest ciekawostką i przedmiotem swoistego kultu. Jej oprawiony w ramkę oryginał wisi na ścianie w Sekcji Identyfikacyjnej FBI. Zgodnie ze zwyczajem FBI, przy pobieraniu odcisków od osób z więcej niż pięcioma palcami u ręki, kciuk i cztery sąsiednie palce są odcisnięte na awersie karty, a szósty odcisk znajduje się na odwrocie.

Odbitki karty powędrowały we wszystkie strony świata, gdy doktorowi udało się zbiec, a odcisk jego kciuka widnieje powiększony na plakacie Masona Vergera. Zaznaczono na nim tyle charakterystycznych punktów, że nawet osoba z minimalną praktyką potrafiłaby rozpoznać linie papilarne doktora.

Zdejmowanie odcisków palców nie jest trudną sztuką. Pazzi mógłby dokonać tego samodzielnie, a potem dla pewności przeprowadzić prostą analizę porównawczą. Ale Mason Verger domagał się świeżych odcisków, *in situ*, i nie zdjętych, aby jego eksperci mogli niezależnie je zbadać. Mason został już oszukany, gdy podesłano mu stare odciski palców zdjęte w miejscach pierwszych zbrodni doktora Lectera.

Ale jak zdobyć odciski palców doktora Fella, nie wzbudzając w nim podejrzeń? Przede wszystkim nie wolno przestraszyć doktora, który mógłby z łatwością zniknąć. Wtedy Pazzi zostałby z pustymi rękami.

Doktor rzadko opuszczał Palazzo Capponi, a następne spotkanie Komisji miało odbyć się dopiero za miesiąc. Pazzi musiałby czekać zbyt długo, żeby postawić szklanekę z wodą na miejscu dla doktora. A właściwie na wszystkich miejscach, bo Komisja Sztuk Pięknych nigdy nie zapewniała takich wygód.

Postanowiwszy sprzedać Hannibala Lectera Masonowi Vergerowi, Pazzi musiał działać sam. Nie mógł sobie pozwolić na zainteresowanie policji doktorem Fellem, starając się o nakaz rewizji Palazzo. Budynek był zbyt dobrze uzbrojony w alarmy, żeby mógł się włamać i zebrać odciski palców.

Pojemnik na śmieci doktora Fella wyglądał czyściej od innych na tej samej ulicy. Pazzi kupił nowy pojemnik i w środku nocy zamienił pokrywy. Galwanizowana powierzchnia nie była idealna i w rezultacie całonocnych wysiłków zdobył koszmarną plataninę odcisków, których nie potrafił zidentyfikować.

Następnego dnia rano pojawił się z zaczerwienionymi oczami na Ponte Vecchio. W sklepie jubilerskim kupił szeroką, polerowaną srebrną bransoletę i aksamitną podstawkę, na której ją wystawiono. W rzemieślniczej dzielnicy miasta na południe od Arno, w wąskich

uliczkach naprzeciw pałacu Pittich, zlecił innemu jubilerowi, żeby usunął z bransolety dane producenta. Jubiler zaproponował pokrycie jej powłoką zapobiegającą matowieniu srebra, ale Pazzi nie zgodził się.

Sollicciano, budzące strach florenckie więzienie przy drodze do Prato. Na pierwszym piętrze oddziału żeńskiego Romula Cjesku pochyliła się nad głębokim zlewem, namydliła piersi, obmyła je i starannie wytarła przed założeniem czystej luźnej bawełnianej koszuli. Inna Cyganka, która wracała właśnie z sali odwiedzin, powiedziała coś w przelocie do Romuli. Między brwiami Romuli pojawiła się małe zmarszczka. Jej piękna twarz zachowała swój zwyczajny poważny wyraz.

Pozwolono jej zejść ze stanowiska w pralni jak zwykle o ósmej trzydzieści rano, lecz gdy zbliżała się do sali odwiedzin, strażnik zagroził jej drogę i zaprowadził do prywatnego pokoju widzeń na parterze więzienia. Tam zamiast pielęgniarki stał Rinaldo Pazzi i trzymał na rękach jej maleńkiego synka...

- Witaj, Romulo - powiedział.

Podeszła od razu do wysokiego policjanta. Nie było mowy, żeby nie oddał jej dziecka. Niemowlę było głodne i rwało się do jej piersi. Ruchem głowy Pazzi wskazał parawan w kącie pokoju.

- Za parawanem stoi krzesło. Porozmawiamy sobie podczas karmienia.

- O czym, *Dottore*? - Romula mówiła znośnie po włosku, tak jak po francusku, angielsku, hiszpańsku i romsku. Mówiła bez afektacji - aktorskie wysiłki nie ochroniły jej przed trzymiesięczną karą więzienia, którą odsiadywała za kradzież.

Przeszła za parawan. W plastikowej torebce ukrytej w dziecięcych pieluchach znalazła czterdzieści papierosów i sześćdziesiąt pięć tysięcy lirów w zniszczonych banknotach, równowartość ponad czterdziestu dolarów. Musiała podjąć decyzję. Jeśli policjant przeszukał dziecko, mógł oskarżyć ją o zabranie przemyconych rzeczy, a wtedy odebrano by jej wszystkie przywileje. Pomyślała przez chwilę, spoglądając na sufit, gdy dziecko ssało pierś. Nie zawracałyby sobie tym głowy. I tak miał nad nią przewagę. Wyjęła torebkę i ukryła ją w bieliźnie. Zza parawanu rozległ się jego głos.

- Tylko tu z tobą kłopot, Romulo. Karmiące matki w więzieniu to strata czasu. Pielęgniarki mają tu naprawdę chorych ludzi do opieki. Pewnie nie znosisz chwili, kiedy widzenie się kończy i musisz oddać chłopca?

Czego mógł chcieć? Dobrze wiedziała, kim jest: szyczą, *Pezzo da novanta*, niezłym draniem.

Romula żyła z obserwacji ulic i okradania przechodniów. Była zahartowaną

trzydziestopięciolatką i miała czułki jak wielka ćma księżycowa. Policjant - przyglądała mu się znad parawanu - wygląda bardzo schludnie: obrączka, wypolerowane buty. Mieszka z żoną, lecz zatrudniają służącą - po prasowaniu włożyła mu pod kołnierz wkładki usztywniające. Portfel w kieszeni marynarki, klucze w prawej przedniej kieszeni spodni, pieniądze w lewej przedniej kieszeni, złożone płasko, prawdopodobnie spięte gumką. Między kieszeniami penis. Sylwetka płaska i męska, ucho nieco poszarpane, blizna od ciosu na czole. Nie przyszedł tutaj, żeby prosić ją o seks - gdyby miał taki zamiar, nie przynosiłby dziecka. Nie wyglądał jak model, ale też nie musiał chyba uprawiać seksu z więźniarkami. Lepiej nie patrzeć w jego zgorzkniałe czarne oczy podczas karmienia. Po co przyniósł dziecko? Bo chce jej pokazać, że ma władzę, zasugerować, że mógłby odebrać jej syna. Czego chce? Informacji? Powie mu, cokolwiek zechce, o piętnastu Cyganach, którzy nigdy nie istnieli. Dobra, a co będę z tego miała? Zobaczmy. Pokażmy mu kawałek brodawki.

Wychodząc zza parawanu, obserwowała jego twarz, gdy patrzył na brązową aureolę przy główce dziecka.

- Gorąco tutaj - oznajmiła. - Można otworzyć okno?

- Mógłbym się postarać o więcej, Romulo. Mógłbym otworzyć drzwi, i dobrze o tym wiesz.

Cisza w pokoju. Na zewnątrz odgłosy Sollicciano jak nieustanny, przytępiony ból głowy.

- Czego pan chce? Z przyjemnością coś zrobię, ale nie wszystko. - Instynkt słusznie jej odpowiedział, że tym zastrzeżeniem zaskarbi sobie szacunek policjanta.

- To tylko *la tua solita cosa*, coś, czym się zwykle zajmujesz - odparł Pazzi - ale chciałbym, żebyś tym razem odstawiła fuszerkę.



## ROZDZIAŁ 25

Za dnia obserwowali fronton Palazzo Capponi zza żaluzji wysokiego okna w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy - Romula, starsza Cyganka, która pomagała przy dziecku i mogła być kuzynką Romuli, oraz Pazzi. Wykradał jak najwięcej czasu z godzin pracy.

Drewniane ramie, z którego Romula korzystała w pracy, czekało na fotelu w sypialni.

Pazzi uzyskał zgodę na korzystanie z mieszkania za dnia od nauczyciela z pobliskiej szkoły imienia Dantego Alighieri. Romula natychmiast zarekwirowała jedną półkę w małej lodówce dla siebie i dziecka.

Nie musieli czekać długo.

Drugiego dnia o dziewiątej trzydzieści rano pomocnica Romuli syknęła ze swojego miejsca przy oknie. Po drugiej stronie ukazała się czarna otchłań, gdy potężne drzwi pałacu otworzyły się do środka.

I oto pojawił się on: człowiek znany we Florencji jako doktor Fell, niski i drobny, w ciemnym ubraniu, z włosami błyszczącymi jak futro norki. Wyszedł na dwór, rozglądając się po ulicy w jedną i drugą stronę. Wcisnął pilota, żeby uruchomić urządzenia alarmowe i zatrzasnął drzwi, ciągnąc za masywną klamkę z kutego żelaza. Była przeżarta rdzą, więc zdjęcie odcisków było niemożliwe. Niósł w rękę torbę na zakupy.

Widząc doktora Fella po raz pierwszy przez szpary w żaluzjach, starsza Cyganka chwyciła Romulę za rękę, jak gdyby chciała ją powstrzymać. Spojrzała jej w twarz i pokręciła gwałtownie głową, gdy policjant nie patrzył w ich stronę.

Pazzi wiedział od razu, gdzie wybiera się doktor.

W śmieciach doktora Fella Pazzi znalazł charakterystyczne papierowe opakowania ze znakomitego sklepu spożywczego „Vera dal 1926” na San Jacopo, niedaleko mostu Santa Trinita. Doktor ruszył teraz w tym kierunku. Romula zarzuciła na siebie kostium, a Pazzi wyglądał przez okno.

- *Dunque*, idzie na zakupy - powiedział Pazzi. Nie mógł się powstrzymać i po raz piąty poinstruował Romulę, co ma robić. - Idź za nim. Poczekasz po tej stronie Ponte Vecchio, aż będzie wracał z pełną torbą w rękę. Ja będę szedł kilkanaście metrów przed nim, więc najpierw zobaczysz mnie. Będę się tu kręcił w pobliżu. Jeśli wyniknie jakiś problem, jeśli zostaniesz aresztowana, zajmę się tym. Jeśli pójdzie gdzieś indziej, wróc do mieszkania. Zadzwoń do ciebie. Pokaż tę przepustkę taksówkarzowi i przyjedź do mnie.

- *Eminenza* - powiedziała Romula z ironicznym uniżeniem - jeśli będą jakieś kłopoty i ktoś mi pomoże, proszę nie robić mu krzywdy. Mój przyjaciel nic nie weźmie, niech ucieka.

Pazzi nie czekał na windę i zbiegł pędem po schodach w zabrudzonym kombinezonie i czapce na głowie. We Florencji trudno kogoś śledzić. Chodniki są wąskie, a kierowcy nie mają żadnego szacunku dla ludzkiego życia. Na Pazziego czekał przy krawężniku wysłużony skuter z pękiem przywiązanych do niego mioteł. Zapalił przy pierwszym kopie i główny inspektor pomknął w obłoczku niebieskiego dymu po kocich łbach. Mały pojazd podskakiwał i Pazzi czuł się, jakby miał pod sobą małego rozbrykanego osła.

Zwolnił, ściągając na siebie gniew trąbiących kierowców. Kupił papierosy i zabijał czas, trzymając się z tyłu, aż upewnił się, dokąd zmierza doktor Fell. Skończyła się Via de'Bardi, a zaczęła Borgo San Jacopo, jednokierunkowa ulica z zakazem wjazdu. Zostawił skuter na chodniku i ruszył dalej pieszo, manewrując szczupłym ciałem, żeby przedrzeć się przez tłum turystów na południowym krańcu Ponte Vecchio.

Florentyńczycy twierdzą, że „Vera dal 1926” z wystawianą tam obfitością serów i trufli pachnie jak stopy Boga.

Doktor zniknął na długo. Wybierał pierwsze białe trufle w tym sezonie. Pazzi widział jego plecy przez szybę za wspaniałą ekspozycją szynek i makaronów.

Doszedł do skrzyżowania i zawrócił. Umył twarz w fontannie, gdzie woda tryskała z innej, wąsatej twarzy o lwich uszach.

- Musiałbyś zgolić te wąsy, żeby dla mnie pracować - powiedział do fontanny nad zimną kulą brzucha.

Doktor wyszedł ze sklepu z kilkoma lekkimi pakunkami w torbie. Szedł ulicą Borgo San Jacopo w stronę domu. Pazzi ruszył do przodu po drugiej stronie ulicy. Tłum na wąskim chodniku zmusił go do zejścia na jezdnię. Boczne lusterko przejeżdżającego samochodu patrolowego karabinierów uderzyło go boleśnie w nadgarstek.

- *Stromo! Analfabeta!* - ryknął przez okno kierowca i Pazzi poprzysiągł zemstę. Gdy dotarł do Ponte Vecchio, miał już czterdziestometrową przewagę.

Romula stała w drzwiach z dzieckiem na drewnianym ramieniu, wyciągając drugą dłoń do przechodniów. Pod luźnym ubraniem trzymała wolną rękę, żeby wyciągnąć kolejny portfel, a ukradła ich już w swoim życiu ponad dwieście. Na ukrytej ręce miała szeroką, dobrze wypolerowaną srebrną bransoletę.

Za chwilę ofiara przejdzie przez tłum schodzący ze starego mostu. Gdy wyjdzie na Via de'Bardi, Romula zbliży się do niego, wykona zadanie i wtopi się w strumień turystów na moście.

W tłumie czekał przyjaciel Romuli. Mogła na nim polegać. Nic nie wiedziała o swojej ofierze. Nie wierzyła, że policjant ją ochroni. Giles Prevert, znany w niektórych policyjnych

kartotekach jako Giles Dumain lub Roger LeDuc, przez miejscowych nazywany Gnocco, czekał w tłumie na południowym krańcu Ponte Vecchio, aż Romuła zrobi swoje. Był wychudzony, jego twarz powoli zaczynała przypominać czaszkę, choć wciąż był energiczny i silny. Romuła mogła liczyć na jego pomoc, gdyby zadanie się nie powiodło.

W garniturze nie odróżniał się od tłumu. Od czasu do czasu wyciągał szyję jak pies stepowy. Gdyby okradany złapał Romułę, Gnocco miał się potknąć, wpaść na niego i przytrzymać, wylewnie przepraszając, aż Romuła się ulotni. Tę sztuczkę wykonywał już wielokrotnie.

Pazzi minął Romułę i stanął w kolejce do baru z napojami, skąd mógł ją obserwować.

Romuła wyszła z drzwi. Wprawnym okiem oceniła przechodniów na chodniku między nią a drobną figurą zmierzającą w jej stronę. Potrafiła bardzo sprawnie poruszać się w tłumie z dzieckiem wspartym na drewniano-płóciennym ramieniu. W porządku. Jak zwykle zamierzała pocałować dłoń i dotknąć nią jego twarzy. Wolną ręką miała pogrzebać przy żebrach w okolicach portfela, żeby chwycił ją za nadgarstek. Wtedy mu się wyrwie.

Pazzi zapewnił ją, że ten człowiek nie może sobie pozwolić na zawiadomienie policji, że będzie się chciał od niej uwolnić. Podczas wszystkich jej złodziejskich prób nikt nie użył przemocy wobec kobiety z dzieckiem na rękach. Ofiary często myślały, że to ktoś inny grzebał w ich kurtkach. Sama Romuła kilka razy oskarżyła niewinnych gapiów o kradzież.

Poruszała się w tłumie na chodniku, uwolniła ukrytą rękę, ale trzymała ją pod kikutem obejmującym dziecko. Widziała punkt, który przesuwiał się przez pole podskakujących głów w odległości dziesięciu metrów, coraz bliżej.

*Madonna!* Doktor Fell skręcił z tłumem na Ponte Vecchio. Nie wracał do domu. Wcisnęła się w tłum, ale nie mogła się do niego dostać. Twarz Gnocca, który wciąż wyprzedzał ofiarę, spoglądała w jej stronę pytająco. Pokręciła głową i Gnocco przepuścił doktora. Na nic by się zdało, gdyby ukradł mu teraz portfel.

- Wracaj do mieszkania. - Pazzi warknął na nią, jak gdyby była czemuś wina. - Zadzwoń do ciebie. Masz przepustkę na Stare Miasto? Idź. Idź już!

Wrócił do skutera i przepchnął go przez Ponte Vecchio nad mętną jak jadeit rzeką Arno. Pomyślał, że zgubił Fella, ale zaraz wyłowił go z tłumu: po drugiej stronie rzeki pod arkadą. Fell zajrzał na chwilę przez ramię rysownika i poszedł dalej szybkim, lekkim krokiem. Pazzi zgadł, że doktor kieruje się do kościoła Santa Croce i ruszył za nim z zachowaniem odpowiedniej odległości, przedzierając się przez piekielną ciżbę.

## ROZDZIAŁ 26

Przestronne wnętrza kościoła Santa Croce, siedziby zakonu franciszkanów, rozbrzmiewają ośmioma językami, gdy hordy turystów powłóczą nogami, sunąc za jaskrawymi parasolami przewodników i wygrzebując z kieszeni dwustulirówki, żeby zapłacić za oświetlenie wspianiałych fresków w kaplicach przez jedną ceną minutę życia.

Romula wkroczyła do kościoła, zostawiając za sobą poranne słońce. Musiała zatrzymać się na chwilę przy nagrobku Michała Anioła, żeby pozwolić oczom przyzwyczać się do mroku. Gdy zobaczyła, że stoi na płycie nagrobnej, szepnęła „M” *dispiacer* i natychmiast się odsunęła. Dla Romuli tłum martwych pod podłogą był równie rzeczywisty, i być może nawet bardziej znaczący, niż ludzie w kościele. Była córką i wnuczką spirytystów i chiromantów. Postrzegała ludzi w kościele i pochowanych tam zmarłych jako dwie grupy przedzielone szybą śmiertelności. Ci na dole - starsi i mądrzejsi - mieli, jej zdaniem, przewagę.

Rozejrzała się za kościelnym - bardzo uprzedzonym do Cyganów - schroniła się za pierwszym filarem przy obrazie *Madonna del Latte* Rosselina. Dziecko wciskało twarz między jej piersi. Wkrótce znalazł ją Pazzi, który czaił się przy grobowcu Galileusza.

Ruchem głowy wskazał tylną część kościoła, gdzie za transeptem reflektory i zakazane flesze aparatów rozświetlały głęboki mrok niczym błyskawice, a trzaskające liczniki połykały monety dwustulirowe, żetony i australijskie ćwierćdolarówki.

Chrystus nieustannie rodził się, był zdradzany i umierał na krzyżu. Wielkie freski ukazywały się przez chwilę w jasnym świetle, po czym znów spowijał je mrok. Stłoczeni turyści ściskali w rękach przewodniki, których nie widzieli, a odór ludzkich ciał wzlatywał do góry, gotując się w żarze lamp.

W lewej nawie poprzecznej doktor Fell pracował w kaplicy Capponich. Przepiękna kaplica Santa Felicita, odnowiona w dwudziestym wieku, zainteresowała doktora Fella, ponieważ potrafił czytać przeszłość przez zasłonę renowacji. Kalkował węglem na papierze napis w kamieniu, tak zniszczony, że nawet ukośne światło nie pozwalało go odczytać.

Patrząc przez mały monokl, Pazzi zrozumiał, dlaczego doktor wyszedł z domu tylko z torbą na zakupy: narzędzia miał schowane za ołtarzem kaplicy. Przez chwilę zastanawiał się nad odwołaniem Romuli. Mógł przecież zdjąć odciski z narzędzi. Ale doktor pracował w bawełnianych rękawiczkach, które chroniły jego ręce przed węglem.

Sytuacja stawała się kłopotliwa. Technika Romuli przystosowana była do warunków ulicznych. Cyganka przynajmniej jednak nie spłoszy doktora. Nie skłoni go do ucieczki. Nie.

Jeśli ją złapie, odda w ręce kościelnego i Pazzi później się o nią zatroszczy.

Ale to szalenięć. A jeśli ją zabije? Jeśli zabije dziecko? Pazzi zadał sobie dwa pytania. Czy stanie do walki z doktorem, jeśli sytuacja zrobi się groźna? Tak. Czy jest skłonny narazić Romulę i jej dziecko na niewielkie obrażenia, żeby dostać nagrodę? Tak.

Będą musieli po prostu poczekać, aż doktor Fell zdejmie rękawiczki i pójdzie na obiad. Snując się po transepcie w jedną i drugą stronę, Pazzi i Romula mieli okazję zamienić słówko. Pazzi zauważył czyjąś twarz w tłumie.

- Kto za tobą chodzi, Romulo? Lepiej mi powiedz. Już widziałem tę twarz za kratkami.

- Mój przyjaciel, zablokuje drogę, jeśli będę musiała uciekać. Nic nie wie. Zupełnie nic. Lepiej dla pana. Nie musi pan się narażać.

Żeby zabić czas, modlili się w kilku kaplicach. Romula szeptała w języku, którego Pazzi nie rozumiał, a on miał długą listę życzeń do uwzględnienia w modlitwach, zwłaszcza dom na wybrzeżu Chesapeake i coś, o czym nie powinien był myśleć w kościele.

Nad ogólnym hałasem wzniosły się słodkie głosy chóru.

Zabrział dzwon. O tej porze zamykano kościół na parę godzin. Zjawili się kościelni, pobrękując kluczami, gotowi do opróżnienia pojemników z monet.

Doktor Fell przerwał pracę i wyszedł zza zdobiącej kaplicę *Piety* Andreottiego, zdjął rękawiczki i założył kurtkę. Stłoczona w świątyni duża grupa Japończyków wydała już wszystkie monety i tkwiła w ciemnościach, nie rozumiejąc jeszcze, że musi wyjść.

Pazzi szturchnął Romulę. Niepotrzebnie. Wiedziała, że nadszedł jej czas. Ucałowała główkę dziecka, które leżało na drewnianym ramieniu.

W panującym tłoku doktor musiał przejść obok Cyganki. Zbliżyła się do niego trzema długimi krokami i podniosła rękę do góry, żeby zwrócić jego uwagę. Pocałowała palce u dłoni i przygotowała się, żeby przycisnąć je do policzka doktora, gdy tymczasem ukryta ręka czekała na swoją kolej.

Ktoś w tłumie znalazł jeszcze jedną dwustulirową monetę i w chwili, gdy Romula dotykała doktora Fella, rozbłysło światło. Ujrzała jego twarz. Poczwała, jak czerwone ogniki w jego źrenicach wsysają ją, poczuła jak wielka zimna próżnia chwyta ją przez zębra za serce. Błyskawicznie oderwała rękę od jego twarzy i zasłoniła główkę dziecka. Usłyszała swój głos: „*Perdonami, per-donami, signore* ...”. Odwróciła się i odbiegła, a on przez długą chwilę patrzył za nią. Światło zgasło i znów stał się sylwetką na tle świec w kaplicy. Wtedy szybkimi, lekkimi krokami ruszył w swoją stronę.

Błady ze złości Pazzi znalazł Romulę. Opierała się o chrzcielnicę, obmywając

święconą wodą główkę dziecka i oczy, na wypadek, gdyby spojrzało na doktora Fella. Przekleństwa uwięzły mu w gardle, gdy ujrzał jej przerażoną twarz.

Oczy Cyganki wydawały się ogromne w mroku.

- To diabeł - powiedziała. - Szatan, syn ciemności, widziałam go.

- Odwiozę cię do więzienia - oznajmił Pazzi.

Romula spojrzała na twarz dziecka i westchnęła. Westchnienie było tak głębokie i pełne rezygnacji, że Pazziemu zrobiło się nieprzyjemnie. Zdjęła szeroką srebrną bransoletę i umyła ją w święconej wodzie.

- Jeszcze nie - odparła.

## ROZDZIAŁ 27

Gdyby Rinaldo Pazzi zdecydował się spełnić swój policyjny obowiązek, mógłby zatrzymać doktora Fella i bardzo szybko ustalić, czy jest on Hannibalem Lecterem. W ciągu pół godziny mógł zdobyć pozwolenie na usunięcie doktora Fella z Palazzo Capponi i wszystkie zainstalowane w pałacu systemy alarmowe nie zdołałyby go powstrzymać. Na własną rękę mógł zatrzymać doktora Fella na wystarczająco długo, żeby ustalić jego tożsamość.

Policja w ciągu dziesięciu minut mogła określić na podstawie odcisków palców, czy Fell i doktor Lecter to ta sama osoba. Testy DNA potwierdziłyby identyfikację.

Ale teraz Pazzi musiał obyć się bez tych udogodnień. Z chwilą, gdy postanowił sprzedać doktora Lectera, przedzierzgnął się z policjanta w łowcę nagród. Musiał działać samotnie, poza prawem. Nie miał żadnego pożytku nawet z policyjnych kapusiów, których trzymał w garści. Szybko donieśliby również na niego.

Te utrudnienia denerwowały go, ale się nie poddawał. Skorzysta z pomocy tych cholernych Cyganów...

- Czy Gnocco zrobiłby to dla ciebie, Romulo? Możesz go odnaleźć? - Znajdowali się w salonie wynajętego mieszkania na Via de'Bardi, naprzeciw Palazzo Capponi, dwanaście godzin po nieudanej akcji w kościele Santa Croce. Niska lampa na stole oświetlała pokój do połowy jego wysokości. Czarne oczy Pazziego błyszczały w półmroku nad kręgiem światła.

- Sama to zrobię, ale bez dziecka - zapewniła Romula. - Ale musi mi pan dać...

- Nie. Nie może cię zobaczyć po raz drugi. Czy Gnocco robi to dla ciebie?

Romula siedziała zgięta w pół w długiej kolorowej sukience. Jej pełne piersi dotykały ud, a głowa niemal kolan. Drewniana ręka leżała porzucona na krześle. W kącie starsza kobieta, prawdopodobnie kuzynka Romuli, trzymała dziecko. Okna były zasłonięte. Wyglądając przez maleńką szparkę zza zasłon, Pazzi widział wysoko w Palazzo Capponi słabe światelko.

- Sama sobie poradzę, mogę zmienić wygląd, żeby mnie nie poznał. Mogę...

- Nie.

- No więc zrobi to Esmeralda.

- Nie. - Głos dobiegł z kąta, starsza kobieta odezwała się po raz pierwszy. - Będę się opiekować dzieckiem do śmierci, Romulo. Ale nigdy nie dotknę Szatana. - Pazzi ledwo mógł zrozumieć jej włoski.

Wyprostuj się, Romulo - poprosił Pazzi. - Spójrz na mnie. Czy Gnocco zrobi to dla

ciebie? Romulo, dziś wieczorem wracasz do Sollicciano. Masz jeszcze do odsiedzenia trzy miesiące. Możliwe, że gdy następnym razem dostaniesz pieniądze i papierosy w pieluchach dziecka, złapię cię... Mógłbym załatwić ci dodatkowe sześć miesięcy za ostami przemyt. Mógłbym z łatwością doprowadzić do odebrania ci dziecka przez sąd. Ale jeśli zdobęde odciski palców, zostaniesz zwolniona, dostaniesz dwa miliony lirów, twoje akta znikną i pomogę wam załatwić wizę do Australii. Czy Gnocco zrobi to dla ciebie?

Nie odpowiedziała.

- Możesz go odnaleźć? - Pazzi wciągnął głośno powietrze przez nos. - *Senti*, zbieraj swoje rzeczy, możesz odebrać z przechowalni sztuczną rękę za trzy miesiące lub w przyszłym roku. Dziecko pójdzie do przytułka. Staruszka może je tam odwiedzać.

- Je? Może je odwiedzać, *Commendatore*? Chłopiec ma na imię... - Pokręciła głową, nie chcąc wyjawiać przy nim imienia dziecka. Ukryła twarz w dłoniach, wyczuwając dwa bijące razem tętna: na twarzy i w rękach. Odezwała się wreszcie zza zasłony rąk. - Mogę go znaleźć.

- Gdzie?

- Na placu Santo Spirito przy fontannie. Rozpalają tam ognisko i piją wino.

- Pójdę z tobą.

- Lepiej nie. Zrujnowałbyś mu reputację. Będziesz tu miał Esmeraldę i dziecko: gwarancję, że wrócę!

Santo Spirito, urokliwy plac na zachodnim brzegu rzeki Arno, w nocy zrobił się mniej przyjazny. O tak późnej porze kościół był zamknięty i ciemny, a z popularnego baru „Casalinga” dobiegał gwar i zapachy jedzenia.

Przy fontannie słyhać było trzaski małego ogniska i dźwięki cygańskiej gitary. Grał ktoś, kto brak talentu nadrabiał entuzjazmem. Wśród zebranych był jeden dobry śpiewak *fado*. Gdy się ujawnił, wypchnięto go do przodu i napojono winem z kilku butelek. Zaczął pieśń o przeznaczeniu, lecz przerwały mu natarczywe prośby o coś weselszego.

Roger LeDuc, znany również jako Gnocco, siedział na murku fontanny. Musiał coś wypalić. Miał zamglony wzrok, ale dostrzegł w tłumie za ogniskiem Romulę. Kupił dwie pomarańcze od ulicznego sprzedawcy i poszedł za nią, oddalając się od śpiewów. Zatrzymali się pod uliczną lampą, z dala od ognia. Tutaj światło było zimniejsze i przefiltrowane przez liście pozostałe na schnącym klonie. Błada twarz Gnocca w tym oświetleniu miała zielonkawy kolor i gdy Romula spojrzała na niego, kładąc mu rękę na ramieniu, cienie liści wyglądały jak ruchome sińce.

Wysunął z garści ostrze jak mały połyskujący język i zaczął obierać pomarańczę.



Skórka zwisała w jednym długim kawałku. Podał jej pierwszą pomarańczę. Cyganka włożyła do ust jedną część, gdy on obierał już drugi owoc.

Rozmawiali krótko po cygańsku. Raz wzruszył ramionami. Podała mu telefon komórkowy i pokazała przyciski. W uchu Gnocco zabrzmiał głos Pazziego. Po chwili Gnocco złożył telefon i wsunął go do kieszeni.

Romula zdjęła wisiołek na łańcuszku, pocałowała i zawiesiła na szyi drobnego, brudnego mężczyzny mały medalik. Podskoczył, udawał, że święty wizerunek parzy go. Wywołał na twarzy Romuli słaby uśmiech. Zdjęła szeroką bransoletę, którą wsunęła mu na rękę. Weszła z łatwością. Gnocco miał ręce nie większe niż Romula.

- Możesz zostać ze mną godzinę? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała.

## ROZDZIAŁ 28

Znów noc, przestronna kamienna sala w Forte di Belvedere, wystawa „Okrutne narzędzia tortur”. Doktor Fell opiera się swobodnie o ścianę pod wiszącymi klatkami dla skazańców.

Rejestruje przejawy potępienia na żądnych wrażeń twarzach zwiedzających, którzy tłoczą się wokół narzędzi tortur, uprawiając erotyczny *frottage*. Mają szeroko otwarte oczy, włosy stają im na karku i czują gorące oddechy na szyjach i policzkach. Czasem doktor przyciska perfumowaną chusteczkę do twarzy, chroniąc się od zbyt dużego stężenia w powietrzu wody kolońskiej i zapachu ludzkich wydzielin.

Ci, którzy czyhają na doktora, czekają na zewnątrz.

Mijają godziny. Doktor Fell, który prawie nie dostrzegał wystawionych eksponatów, nie może się napatrzeć na ludzki rój. Kilka osób czuje na sobie

jego wzrok i robi im się nieswojo. Często kobiety z tłumu spoglądają na niego ze szczególnym zainteresowaniem, zanim strumień przesuwających się ludzi nie pociągnie ich ze sobą. Mała sumka wypłacona organizatorom wystawy pozwala doktorowi na swobodne poruszanie się. Jest nietykalny za wytyczającymi trasę wystawy sznurami, stoi nieruchomo oparty o kamienny mur.

Na zewnątrz w siąpiącym deszczu Rinaldo Pazzi trzyma wartę przy murze obronnym. Jest przyzwyczajony do czekania.

Pazzi wiedział, że doktor nie wróci do domu na piechotę. Za fortem, na małym placu czekał na niego samochód. Czarny jaguar sedan ze szwajcarskimi numerami rejestracyjnymi, elegancki, lśniący w deszczu trzydziestoletni mark II. Pazzi nie widział nigdy ładniejszego jaguara. Najwyraźniej doktor Fell nie musiał pracować dla pieniędzy. Pazzi spisał numery, ale nie mógł zaryzykować, sprawdzając je za pośrednictwem Interpolu.

Na stromej, brukowanej Via San Leonardo między Forte Belvedere i zaparkowanym samochodem czekał Gnocco. Po obu stronach słabo oświetlonej ulicy ciągnęły się wysokie kamienne mury, za którymi kryły się bogate wille. Gnocco znalazł ciemną niszę przed zakratowaną bramą wjazdową, gdzie mógł schronić się przed strumieniem wylewających się z fortu turystów. Co dziesięć minut czuł na udzie wibracje telefonu komórkowego i musiał potwierdzić, że jest na stanowisku.

Niektórzy przechodzący turyści mapami i programami zakrywali głowy przed drobnym deszczem. Wąski chodnik był zatłoczony, a ludzie schodzili na jezdnię, zmuszając kilka taksówek, które wyjeżdżały spod fortu, do zmniejszenia prędkości.

W wysokiej sali z narzędziami tortur doktor Fell wreszcie odkleił się od ściany, o którą się opierał. Zwrócił oczy ku szkieletowi w wiszącej nad nim klatce, jak gdyby mieli jakiś wspólny sekret, po czym ruszył przez tłum w stronę wyjścia.

Pazzi zobaczył jego sylwetkę w drzwiach i po chwili raz jeszcze w świetle reflektora. Szedł za nim w pewnej odległości. Gdy upewnił się, że doktor wraca do samochodu, wyjął telefon komórkowy i uprzedził Gnocca.

Głowa Cygana wysunęła się z kołnierza jak głowa żółwia ze skorupy. Przy zapadniętych - jak u żółwia - oczach, przypominała czaszkę. Podciągnął rękaw aż za łokieć i splunął na bransoletę, wycierając ją do sucha szmatką. Teraz, gdy srebro zostało wypolerowane śliną i święconą wodą, schował rękę za siebie pod płaszcz, żeby nie zamoczyć bransolety, gdy będzie wyglądał z bramy. Nadchodziła kolumna podskakujących głów. Gnocco precyzyjnie przeszedł przez ciżbę na ulicę, gdzie mógł iść pod prąd i mieć lepszy widok. Bez pomocnika musiał sam wpaść na ofiarę i zanurzyć rękę pod ubranie. Żaden problem, skoro próba miała zakończyć się niepowodzeniem. Wtem ujrzał drobnego mężczyznę - przy krawężniku, dzięki Bogu. Pazzi szedł trzydzieści metrów za doktorem.

Gnocco błyskawicznie znalazł się przy chodniku. Wykorzystał fakt, że akurat przejeżdżała taksówka. Oskoczył od niej i oglądając się za siebie, żeby

zwymsłać taksówkarza, wpadł na doktora Fella. Wsunął rękę pod jego kurtkę. Poczul silny uścisk, cios i wyrwał się doktorowi, który nawet nie przystanął, tylko oddalił się ze strumieniem turystów, zostawiając Gnocca za sobą.

Niemal natychmiast w niszy przed żelazną bramą znalazł się Pazzi. Gnocco pochylił się na chwilę i wyprostował, dysząc ciężko.

- Udało się. Złapał mnie za rękę. *Cornuto* chciał uderzyć mnie w jaja, ale spudłował - relacjonował Gnocco.

Pazzi przykleknął i ostrożnie próbował ściągnąć bransoletę z jego ramienia. Gnocco poczuł na nodze coś ciepłego i mokrego. Poruszył się, gorący strumień krwi tętniczej trysnął przez dziurę w spodniach na twarz i rękę Pazziego, który usiłował zsunąć bransoletę, trzymając ją tylko za krawędzie. Krew tryskała wszędzie. Oblała twarz Gnocca, gdy pochylił się, żeby sprawdzić, co mu się stało. Nogi ugięły się pod nim. Padł na kolana przy bramie, przytrzymując się jedną ręką krat, a drugą próbując zatamować krew buchającą z rozciętej tętnicy.

Czując lodowaty dreszcz, który zawsze towarzyszył mu w ciężkich chwilach, Pazzi objął Gnocca ramieniem, odwrócił od przechodniów w stronę zalanej krwią bramy i położył na boku.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i udał, że wzywa karetkę. Telefon był jednak wyłączony. Rozpiął płaszcz i rozpostarł go jak jastrząb spadający na ofiarę. Mijali ich przechodnie, ale nie okazywali zainteresowania. Pazzi włożył bransoletę do małego pudełka, które miał przy sobie. Schował do kieszeni telefon Gnocca.

Cygan poruszył ustami.

- Madonna, che freddo.

Wysiłkiem woli Pazzi odsunął słabnącą rękę Gnocca od rany i trzymał ją w fałszywym geście pocieszenia, pozwalając mu się wykrwawić. Gdy miał już pewność, że Gnocco nie żyje, zostawił go przy bramie z głową opartą na ramieniu, jakby spał, i wmieszał się w tłum.

Na placu wypatrzył puste miejsce parkingowe. Deszcz zaczął moczyć bruk osłonięty wcześniej przez jaguara doktora Lectera.

Doktor Lecter. Pazzi nie nazywał go już w myślach doktorem Fellem. To był doktor Hannibal Lecter.

Dowód satysfakcjonujący Masona mógł znajdować się w kieszeni płaszcza Pazziego. Dowód satysfakcjonujący Pazziego skapywał przez kieszeń na jego buty.

## ROZDZIAŁ 29

Rozlewający się od wschodu świt gasił gwiazdy na niebie nad Genuą. Stare alfa romeo Rinalda Pazziego zajechało z cichym szmerem silnika do portu.

Chłodny wiatr marszczył wodę. Na zacumowanym frachtowcu ktoś wziął się do spawania, a deszcz pomarańczowych iskier spadał do czarnej wody.

Romula została w samochodzie z dzieckiem na kolanach, osłonięta przed wiatrem. Esmeralda siedziała z podkurczonymi nogami, wciśnięta w tylny fotel małego coupe. Odkąd zapowiedziała, że nie dotknie Szatana, nie odezwała się ani słowem.

Piły gęstą czarną kawę z papierowych kubków i jadły *pasticcini*.

Rinaldo Pazzi wszedł do portowego biura. Kiedy z niego wyszedł, słońce podniosło się, rzucając pomarańczowe światło na zardzewiały kadłub frachtowca „Astra Philogenes”, gdzie kończono załadunek. Skinął na kobiety w samochodzie.

„Astra Philogenes”, frachtowiec pod grecką banderą o wyporności dwudziestu siedmiu ton, mógł legalnie wziąć na pokład dwunastu pasażerów na trasie do Rio. Tam, jak tłumaczył Romuli Pazzi, przesiądą się na statek do Sydney w Australii pod nadzorem płatnika „Astry”. Koszty podróży zostały bezzwrotnie opłacone. We Włoszech Australię uważa się za miejsce atrakcyjne, gdzie można znaleźć pracę i gdzie mieszka wielu Romów.

Pazzi wcześniej obiecał Romuli dwa miliony lirów, około tysiąca dwustu pięćdziesięciu dolarów według bieżącego kursu, teraz dał jej pieniądze w grubej kopercie.

Bagaż Cyganek składał się jedynie z małej walizki i futerału po waltorni, do którego włożyły drewnianą rękę Romuli.

Większą część następnego miesiąca miały spędzić na statku, odcięte od reszty świata.

Pazzi po raz dziesiąty zapewnił Romule, że Gnocco do nich dołączy, ale nie dzisiaj. Zostawi im wiadomość na poste-restante na Poczcie Głównej w Sydney.

- Dotrzymam obietnicy jemu, tak jak dotrzymałem obietnicy wam -oświadczył, gdy stali razem przy trapie, a ich długie cienie padały w porannym słońcu na nierówną nawierzchnię doku.

W chwili rozstania, gdy Romula z dzieckiem na rękach wchodziła na pokład statku, stara Cyganka odezwała się do Pazziego po raz drugi i ostatni.

Spojrzała mu w twarz czarnymi jak greckie oliwki oczami.

- Wydałeś Gnocca w ręce Szatana - powiedziała cicho. - On nie żyje. - Pochyliła się sztywno, jakby chciała zamachnąć się siekierą na kurczaka ułożonego na pieńku, splunęła starannie na cień Pazziego i ruszyła spieszenie po trapie za Romula i dzieckiem.

## ROZDZIAŁ 30

Przesyłka DHL Express została solidnie zapakowana. Specjalista od odcisków palców, siedząc w pokoju Masona przy stole pod gorącym światłem, ostrożnie odkręcił śruby elektrycznym śrubokrętem.

Szeroką srebrną bransoletę umocowaną na aksamitnej jubilerskiej podstawie umieszczono w pudełku tak, aby jej zewnętrzna powierzchnia niczego nie dotykała.

- Proszę mi to pokazać - powiedział Mason.

Badanie odcisków palców na bransolecie odbyłoby się dużo sprawniej w sekcji identyfikacyjnej policji w Baltimore, gdzie specjalista pracował za dnia, ale Mason płacił wysokie honorarium w gotówce za dokonanie całej operacji na jego oczach. A raczej na jego oku, pomyślał z obrzydzeniem specjalista, stawiając bransoletę z podkładką na porcelanowym talerzu trzymanym przez służącego.

Służący trzymał talerz przed gałką oczną Masona. Nie mógł położyć go na zwoju włosów na piersi, ponieważ respirator bez przerwy poruszał klatką piersiową Masona, raz w górę, raz w dół.

Ciężka bransoleta pokryta była smugami zaschniętej krwi, której płatki spadały na porcelanowy talerz. Mason przyglądał się jej jedynym wyłupiastym okiem. Twarz pozbawiona tkanki mięśniowej nie miała żadnego wyrazu, ale oko błyszczało.

- Posyp ją - polecił.

Specjalista miał kopię odcisków doktora Lectera z karty FBI. Szósty odcisk i dane identyfikacyjne nie zostały skopiowane.

Posypał bransoletę proszkiem między smugami krwi. Proszek, którego używał zwykle, zbyt przypominał barwę zaschniętą krew, więc wybrał czarny.

- Mamy odciski - przerwał na chwilę swe zajęcie, żeby otrzeć czoło pod gorącym światłem przy stole. Światło było na tyle dobre, że mógł sfotografować odciski, zanim zdjął je do analizy mikroskopowej. - Środkowy palec i kciuk lewej ręki. Szesnaście odpowiadających punktów. W sądzie wystarczy - powiedział wreszcie. - Bez wątplenia, to ten sam facet.

Sąd nie obchodził Masona. Jego blada ręka sunęła po pościeli w stronę telefonu.

## ROZDZIAŁ 31

Słoneczny poranek na pastwisku, daleko w górach Gennargentu w centralnej Sardynii.

Sześciu mężczyzn, czterech Sardyńczyków i dwóch rzymian, pracuje w przewiewnej szopie zbudowanej z pni drzew wyciętych w okolicznych lasach. Wszechogarniająca cisza gór potęguje wytwarzane przez nich dźwięki. W szopie, na obłożonych z kory krokwiach, wisi ogromne lustro w złoczonej rokokowej ramie. Umieszczono je nad zagrodą dla świń z dwiema furtkami. Jedna furka wychodzi na pastwisko. Druga zbudowana jest tak, że górna i dolna część drzwi otwiera się osobno. Przy wyjściu z zagrody wylano cement, natomiast pozostałą część posypano słomą, jak posypuje się typowe miejsce egzekucji.

Lustro z wyrzeźbionymi na ramie amorkami można przechylać, żeby dawało widok z góry na zagrodę, tak jak w szkole gastronomicznej pokazuje się praktykantom widok z góry na kuchnię.

Filmowiec Oreste Pini i człowiek Masona na Sardynii, zawodowy porywacz Carlo, od samego początku nie przypadli sobie do gustu.

Krępy, rumiany. Carlo Deogracias nosił góralski kapelusz ozdobiony świńską szczeciną. Miał zwyczaj przeżuwać chrząstki z pary świńskich zębów, które trzymał w kieszeni kamizelki. Był czołowym przedstawicielem prastarej sardyńskiej profesji, kidnappingu, a także zawodowym mścicielem.

Każdy zamożny Włoch ci powie, że jeśli już masz być porwany dla okupu, najlepiej trafić w ręce Sardyńczyków. Przynajmniej są zawodowcami i nie zabiją cię przez przypadek lub w panice. Jeżeli rodzina zapłaci, możesz liczyć na to, że wrócisz cały, zdrowy i nie zmasakrowany. Jeżeli nie zapłaci, najprawdopodobniej zostaniesz zwrócony pocztą w kawałkach.

Carlowi nie podobały się drobiazgowo przygotowania zlecone przez Masona. Miał doświadczenie w tej dziedzinie i już kiedyś rzucił człowieka na pożarcie świniom. Dwadzieścia lat temu w Toskanii, gdzie były nazista podszywający się pod hrabiego utrzymywał nieczyste stosunki z wiejskimi dziećmi: dziewczynkami i chłopcami. Do roboty zaangażowano Carla. Porwał nazistę z jego własnego ogrodu, odległego o trzy mile od Badia di Passignano, i nakarmił nim pięć dużych domowych świń na farmie pod Poggio alle Corti. Głodził zwierzęta przez trzy dni, podczas których nazista usiłował oswobodzić się z pęt, błagając o litość i obficie się pocąc. Mimo to świnie nadal nie miały odwagi wgryźć się w jego ruchliwe palce u nóg. Wreszcie Carlo, niezadowolony, że musi odejść od oryginalnego scenariusza, nakarmił nazistę sałatką z ulubionych warzyw świń, po czym podciął mu gardło,

żeby zachęcić zwierzęta.

Carlo był z natury pogodny i energiczny, lecz obecność filmowca działała mu na nerwy. Na rozkaz Masona Vergera sprowadził lustro z burdelu w Cagliari, żeby zadowolić tego mistrza pornografii, Oresta Piniego.

Lustro bardzo przydało się Piniemu. Był to jego ulubiony rekwizyt przy kręceniu filmów. Zainspirowany napisem na lusterku samochodowym jako jeden z pierwszych wykorzystał wypaczone lustrzane odbicia, żeby uczynić niektóre rzeczy większymi, niż są w rzeczywistości.

Zgodnie z poleceniami Masona, Oreste miał zainstalować dwie kamery z dobrym dźwiękiem, pamiętając, że powtórek nie będzie. Mason zażyczył sobie, aby cały czas filmowano twarz w zbliżeniu.

Carlo odnosił wrażenie, że Oreste grzebie się bez końca.

- Możesz stać tam i mleć ozorem jak baba albo obejrzyć próbę i pytać mnie, jeśli czegoś nie wiesz - powiedział.

- Chcę sfilmować całą symulację.

- *Va bene*. Więc bierz się za ten cholerny sprzęt i zaczynajmy wreszcie.

Oreste ustawiał kamery, a Carlo i trzech milczący Sardyjczycy zabrali się do swojej roboty.

Przy długim stole pod jedną ze ścian szopy brat Carla Matteo, wypakował kłęb starych ubrań. Ze sterty wybrał koszulę i spodnie, a tymczasem pozostali dwaj Sardyjczycy, bracia Piero i Tommaso Falcione, wtoczyli do szopy szpitalne łóżko na kółkach. Było poplamione i zniszczone.

Matteo przygotował wcześniej kilka wiader mielonego mięsa, kilka nie oskubanych kurczaków, trochę zgniłych owoców, do których zlatywały się już muchy, a także wiadro wołowych jelit.

Rozłożył na łóżku znoszone spodnie khaki i zaczął wpychać w nie kurczaki, mięso i owoce. Później wziął parę bawełnianych rękawiczek, wypełnił je mielonym mięsem i żołądkami, ostrożnie nadziewając każdy palec z osobna, i ułożył przy nogawkach spodni. Następnie rozpostarł na łóżku koszulę i nappełnił ją wołowymi jelitami. Zanim zapiął guziki i starannie wsunął koniec koszuli do spodni, poprawił kontury chlebem. Para wypchanych rękawiczek znalazła się przy mankietach. Na melon, który zastępował głowę, naciągnął siatkę na włosy wypchaną mielonym mięsem, a w miejsce oczu przytwierdził dwa ugotowane jajka. Gdy dzieło zostało zakończone, powstało coś w rodzaju pokrytego guzami manekina, który wyglądał lepiej niż niektórzy samobójcy po skoku z wysokiego piętra. Na koniec Matteo



spryskał melon i rękawiczki przy mankietach bardzo drogą wodą po goleniu.

Carlo wskazał głową na drobnego asystenta Piniego, który wychylał się przez ogrodzenie, mierząc zasięg umieszczonego nad zagrodą mikrofonu.

- Powiedz temu palantowi, że jeśli tam wpadnie, nie zamierzam go wyciągać.

Wreszcie przygotowania dobiegły końca. Piero i Tommaso opuścili łóżko na najniższy poziom i przetoczyli je do furtki.

Carlo przyniósł z domu magnetofon i oddzielny wzmacniacz. Miał kilka taśm. Niektóre nagrał sam, odcinając swym ofiarom uszy, które potem przysyłał rodzinie porwanego. Carlo zawsze odtwarzał te nagrania świniom podczas posiłku.

Dwa słowiałe głośniki zostały przybite do słupów w szopie. Słońce jasno oświetlało malowniczą łąkę, która opadała w stronę lasu. Solidne ogrodzenie wokół pastwiska niknęło wśród leśnych drzew. W południowej ciszy Oreste słyszał pszczołę bzyczącą pod dachem szopy.

- Gotowi? - zapytał Carlo. Oreste włączył ustawioną kamerę.

- *Giriamo!* - zawołał do operatora.

- *Pronti!* - nadeszła odpowiedź.

- *Motore!* - Kamery zaczęły pracować.

- *Partito!* - Nagrywał się dźwięk.

- *Azione!* - Oreste szturchnął Carla.

Sardyńczyk włączył magnetofon i rozległy się piekielne krzyki, płacze, błagania. Kamerzysta wzdrygnął się, ale po chwili się opanował. Wrzaski były przykre dla ucha, lecz stanowiły stosowną uverturę dla ryjów, które wyłoniły się z lasu, zwabione dźwiękami zapowiadającymi posiłek.

## ROZDZIAŁ 32

Podróż do Genewy i z powrotem tego samego dnia, żeby zobaczyć pieniądze.

Samolot pasażerski do Mediolanu, turbośmigłowiec *Aerospatiale*, wystartował z lotniska we Florencji wcześnie rano, kołysząc się nad winnicami. Szeroko rozstawione rzędy winorośli wyglądały z góry jak prymitywna makieta Toskanii. Jaskrawoniebieskie plamy basenów przy willach bogatych cudzoziemców odcinały się od pastelowych barw krajobrazu.

Im wyżej wzbijał się samolot, tym lepsze było samopoczucie Pazziego. Z zadowoleniem myślał o tym, że nie zestarzeje się tutaj, uzależniony od kaprysów swoich policyjnych zwierzchników, robiąc wszystko, byle tylko dotrzeć do emerytury.

Bardzo się bał, że doktor Lecter zniknie po zamordowaniu Gnocca. Gdy ponownie ujrzał lampkę Lectera w Santa Croce, poczuł ulgę; doktor sądził, iż jest bezpieczny.

Śmierć Cygana nie pomarszczyła spokojnych wód komendy policji, gdzie uznano, że miała związek z narkotykami. Na szczęście wokół ciała znaleziono porzucane używane strzykawki - częsty widok we Florencji, gdzie strzykawki dostaje się za darmo.

Pazzi nalegał, żeby pokazano mu pieniądze.

Rinaldo Pazzi był wzrokowcem. Jego wspomnienia miały formę obrazów. Pamiętał, jak po raz pierwszy ujrzał swoją erekcję i pierwszy raz, gdy zobaczył własną krew. Pamiętał jak pierwszy raz patrzył na nagą kobietę i zamazany kształt pierwszej pięści, która go uderzyła. Pamiętał, jak wszedł kiedyś przypadkowo do bocznej kaplicy kościoła w Sienie i spojrzał na twarz świętej Katarzyny ze Sieny: jej zmumifikowana głowa spoczywała w relikwiarzu w kształcie kościoła.

Widok trzech milionów dolarów wywarł na nim podobne wrażenie.

Trzysta obanderolowanych paczek z banknotami studolarowymi o różnych numerach seryjnych.

W mrocznym, przypominającym kaplicę pokoju w genewskim banku Credit Suisse prawnik Masona Vergera pokazał Pazziemu pieniądze. Wyjęte

z bankowego sejfów i umieszczone w czterech zamkniętych skrzyniach z mosiężnymi tablicami numerowymi. Bank dostarczył również maszynkę do liczenia banknotów, wagę oraz urzędnika, który je obsługiwał. Pazzi odesłał urzędnika.

Rinaldo Pazzi był bardzo kompetentnym policjantem. Od dwudziestu lat odnajdywał i zatrzymywał mistrzów hochsztaplerstwa. Patrząc na paczki banknotów i słuchając warunków układu, nie wyłapał ani jednej fałszywej nuty. Jeśli wyda im Hannibala Lectera, Mason przekaże mu pieniądze.

Pazzi był pewien, że ci ludzie nie blefują: Mason Verger naprawdę wypłaci mu nagrodę. Nie miał też złudzeń co do losu Lectera. Skazywał go na tortury i śmierć. Trzeba przyznać Pazziemu, że nie okłamywał samego siebie i wiedział, co robi.

Nasza wolność więcej jest warta od życia tego potwora. Nasze szczęście jest ważniejsze od jego cierpienia, pomyślał z zimnym egoizmem potępionych. Trudno stwierdzić, czy zastosował liczbę mnoga, bo myślał jednocześnie o żonie, czy tylko wpadł w mentorski ton.

W tym pokoju, jak przystało na Szwajcarię, sterylnym i nieskazitelnym jak kwef świętej Katarzyny, Pazzi złożył ostateczną obietnicę. Odwrócił się od pieniędzy i skinął na prawnika, pana Konie. Z pierwszej skrzyni prawnik odliczył sto tysięcy dolarów i wręczył je policjantowi.

Podszedł do telefonu, powiedział coś do słuchawki i podał ją Pazziemu.

- Połączenie lądowe, utajnione - zapewnił.

Głos, który Rinaldo usłyszał w słuchawce, miał specyficzny rytm: wyrzucane na wydechu słowa, chwile przerwy, brak głosek zwartych. Dźwięk tego głosu przyprawił Pazziego o zawrót głowy, jak gdyby razem z mową walczył o każdy oddech.

- Gdzie jest doktor Lecter? - padło pytanie.

Pazzi z pieniędzmi w jednej i słuchawką w drugiej ręce, nie wahał się.

- W Palazzo Capponi we Florencji. Jest tam... kustoszem.

- Proszę okazać panu Konie dowód tożsamości i oddać mu słuchawkę. Nie wypowie pańskiego nazwiska przez telefon.

Prawniki zerknął na dowód wydobyty z kieszeni, podał Masonowi jakieś zaszyfrowane hasło i zwrócił słuchawkę Pazziemu.

- Dostanie pan resztę pieniędzy, gdy znajdzie się żywy w naszych rękach - obiecał Mason. - Nie musi pan sam zatrzymywać doktora, ale musi pan go zidentyfikować i nam dostarczyć. Poproszę też o dokumentację, wszystko, co ma pan na jego temat. Wczoraj wraca pan do Florencji? Jeszcze dzisiaj otrzyma pan instrukcje dotyczące spotkania. Dojdzie do niego nie później niż jutro w nocy. Tam otrzyma pan instrukcje od człowieka, który porwie doktora Lectera. Zapyta, czy zna pan kwiaciarkę. Proszę odpowiedzieć, że wszystkie kwiaciarki są złodziejkami. Rozumie pan? Będzie pan z nim współpracował.

- Nie chcę, żeby doktor Lecter... Nie chcę, żeby był w pobliżu Florencji, kiedy...

- Rozumiem pańskie obawy. Proszę się nie martwić, nie będzie.

Połączenie zostało przerwane.

W ciągu kilku minut dopełniono formalności i dwa miliony dolarów zamknięto z

powrotem w depozycie. Mason nie mógł odzyskać pieniędzy, mógł natomiast zlecić przekazanie ich Pazziemu. Wezwany urzędnik z Credit Suisse poinformował Pazziego, że bank obciąży go odsetkami ujemnymi, żeby udostępnić mu zdeponowane pieniądze, jeśli zamieni dolary na franki szwajcarskie. Ponadto bank zapłaci trzy procent odsetek składanych tylko od pierwszych stu tysięcy franków. Urzędnik wręczył Pazziemu kopię artykułu dotyczącego tajemnicy bankowej i zaproponował, że dokona przelewu do Royal Bank w Nowej Szkocji lub na Kajmany natychmiast po zwolnieniu funduszy.

W obecności notariusza Pazzi upoważnił swoją żonę do korzystania z rachunku na wypadek jego śmierci. Gdy sfinalizowali wszystkie sprawy, tylko urzędnik bankowy wyciągnął rękę na pożegnanie. Pazzi i pan Konie nie patrzyli sobie w oczy, choć prawnik rzucił na odchodnym „do widzenia”.

Ostatni etap podróży do domu. Samolot z Mediolanu przebijał się przez burzę. Śmigło po stronie Pazziego wyglądało jak ciemne koło na tle szarego nieba. Grzmoty i błyskawice przypominały mu te, które pamiętał z czasów dzieciństwa, gdy Niemcy wysadzali mosty na Arno, oszczędzając tylko Ponte Vecchio. I przez chwilę krótką jak błyskawica przypomniał sobie z czasów dzieciństwa widok schwytanego snajpera, którego przykuto łańcuchami do posągu Madonny, żeby pomodlił się przed śmiercią.

Wdychając woń ozonu i czując wstrząsy od grzmotów w kadłubie samolotu, Pazzi ze starej rodziny Pazzich wracał do starego miasta z zamysłami starymi jak świat.

### ROZDZIAŁ 33

Rinaldo Pazzi wolałby prowadzić stałą obserwację swojej nagrody w Palazzo Capponi, ale nie było to możliwe. Musiał wskoczyć w strój wieczorowy i spotkać się z żoną na od dawna wyczekiwany koncert Florenckiej Orkiestry Kameralnej.

Teatro Piccolomini, wzniesiona w dziewiętnastym wieku mniejsza kopia weneckiego Teatro La Fenice, wygląda jak barokowa szkatułka ze złota i pluszu, gdzie amorki pod imponującym sklepieniem łamią prawo ciężenia.

Dobrze się składa, że teatr jest tak piękny, wykonawcy potrzebują bowiem często każdego rodzaju wsparcia.

A muzykom występującym we Florencji niełatwo zdobyć uznanie publiczności. Florentyńczycy - jak przystało na Włochów - sanie tylko miłośnikami, ale i znawcami muzyki. Potrafią odróżnić prawdziwych wirtuozów od zwykłych wyrobników.

Pazzi wśliznął się na miejsce obok żony w trakcie oklasków po uwerturze.

Nadstawiła pachnący policzek. Rozpierała go duma, gdy na nią patrzył: ubrana w wieczorową suknię, wyciętą na tyle głęboko, że z dekoltu unosił się ciepły aromat, trzymała partyturę w szykownej oprawie od Gucciego, którą podarował jej Pazzi.

- Brzmiało o niebo lepiej z nowym alceistą - szepnęła mężowi do ucha. Znakomity muzyk został sprowadzony w miejsce koszmarnie nieudolnego alceisty, kuzyna Sogliato, który kilka tygodni wcześniej zaginął w tajemniczych okolicznościach.

Doktor Hannibal Lecter spoglądał w dół z łoża, samotny, nieskazitelnym w białym krawacie. Jego twarz i koszula zdawały się unosić w powietrzu na tle ciemnej łoża w ramie złożonych barokowych rzeźb.

Pazzi dostrzegł go, gdy po pierwszej części utworu na krótko zwrócono reflektory ku górze. Zanim spojrzał gdzie indziej, doktor obrócił głowę i ich oczy spotkały się. Pazzi odruchowo ścisnął rękę żony wystarczająco mocno, żeby na niego spojrzała. Później nie spuszczał wzroku ze sceny, trzymając dłoń na ciepłym udzie żony, w uścisku jej dłoni.

Podczas przerwy, gdy Pazzi odwrócił się od baru, aby podać żonie napój, Lecter stał przy niej.

- Dobry wieczór, doktorze Fell - przywitał go Pazzi.

- Dobry wieczór, *Commendatore* - odparł doktor. Czekał z lekko pochyloną głową, aż Pazzi dokona prezentacji.

- Lauro, pozwól, że ci przedstawię. Doktor Fell. Doktorze, moja żona, *signora Pazzi*.

*Signora Pazzi*, przyzwyczajona do pochwał dotyczących jej urody, uznała wynikłą

rozmowę za nader czarującą, choć jej mąż miał inne zdanie.

- Dziękuję za ten honor, *Commendatore* - rzekł doktor. Jego czerwony, spiczasty język ukazał się na moment, kiedy pochylał się, żeby pocałować dłoń *signory* Pazzi. Usta przycisnął do skóry nieco mocniej, niż było w zwyczaju we Florencji, a już na pewno na tyle blisko, że poczuła jego oddech.

Spojrzał na nią, zanim jeszcze podniósł gładko uczesaną głowę.

- Odniosłem wrażenie, że znajduje pani szczególną przyjemność w słuchaniu Scarlattiego, *signora* Pazzi.

- Owszem.

- Zauważyłem, że śledzi pani partyturę. Teraz już prawie nikt tego nie robi. Pomyślałem, że to może panią zainteresować. - Wyjął spod pachy teczkę, w której znajdowała się stara partytura, zapisana ręcznie na pergaminie. - Pochodzi z Teatro Capranica w Rzymie z tysiąc sześćset osiemdziesiątego ósmego. Z roku, w którym napisano ten utwór.

- *Meraviglioso!* Spójrz tylko, Rinaldo!

- Podczas pierwszej części zaznaczyłem niektóre różnice między oryginalną i współczesną wersją - oznajmił doktor Lecter. - Może pani teraz dokonać porównania drugiej części. Odbiorę partyturę od *signora* Pazziego. Czy to dozwolone, *Commendatore*? - spytał, patrząc Pazziemu prosto w oczy.

- Jeśli sprawi ci to przyjemność, Lauro - odparł Rinaldo i po chwili dodał: - Wkrótce występuje pan przed Studiolo, czy tak, doktorze?

- Tak, w piątek wieczorem. Soglioto nie może się doczekać mojej kompromitacji.

- Będę na występie - rzekł Pazzi. - Wtedy oddam panu partyturę. Lauro, doktor musi wystąpić przed smokami ze Studiolo.

- Jestem przekonana, że występ wypadnie znakomicie, doktorze - powiedziała, zwracając ku niemu ogromne ciemne oczy. - Doktor Lecter uśmiechnął się, ukazując swe drobne białe zęby. - *Madame*, gdybym to ja produkował perfumy *Fleur du Ciel*, oddałbym największy diament świata, żeby tylko ich pani używała. Do piątku, *Commendatore*.

*Pazzi*, upewniwszy się, że doktor wrócił do swej łoży, nie spojrzał na niego ani razu do chwili, gdy pomachali sobie na pożegnanie na schodach teatru.

- Podarowałem ci *Fleur du Ciel* na urodziny - przypomniał żonie Pazzi.

- Tak, ogromnie mi się podobają, Rinaldo - odparła *signora* Pazzi. - Masz doskonały gust.

## ROZDZIAŁ 34

Impruneta to stare toskańskie miasteczko, w którym wyrabiano dachówkę dla Duomo. Na miejscowy cmentarz nietrudno trafić. Widać go z willi położonych na okolicznych wzgórzach nawet nocą, ponieważ na grobach stale płoną znicze. Małe światełka pozwalają przechodniom znaleźć drogę między grobami, choć do odczytywania epitafiów potrzebna jest latarka.

Rinaldo Pazzi przybył za pięć dziewiąta z małym bukietem, który zamierzał położyć na przypadkowym grobie. Szedł powoli żwirową dróżką między mogiłami.

Poczuł obecność Carla, zanim go zobaczył.

- Zna pan w mieście dobrą kwiaciarkę? - przemówił Carlo zza wysokiego pomnika.

Ma sardyński akcent. Świetnie, pewnie zna się na swoim fachu, pomyślał Pazzi.

- Wszystkie kwiaciarki to złodziejki - rzekł głośno. Carlo wyszedł zza marmurowego pomnika.

Pazzi pomyślał, że Sardyńczyk wygląda jak dzikus: niski, krępy, barczysty, o ruchliwych ramionach. Miał na sobie skórzaną kamizelkę, a za taśmę

kapelusza zatknął świńską szczecinę. Rinaldo był wprawdzie znacznie wyższy, ale wazyli mniej więcej tyle samo. Carlo nie miał kciuka u jednej ręki. Pazzi przypuszczał, że w ciągu pięciu minut mógłby odnaleźć go w archiwum komendy.

- Ma w domu nowoczesne alarmy - powiedział policjant.

- Widziałem. Musisz mi go wystawić.

- Jutro wieczorem wystąpi na spotkaniu. Nie za wcześnie dla ciebie?

- W porządku - odparł Carlo i dodał ironicznym tonem: - A ty? Będziesz z nim szedł, czy może się go boisz? Zrobisz to, za co ci zapłacono. Wystawisz mi gościa.

- Uważaj, co mówisz. Zrobię to, za co mi zapłacono, i ty też. Albo spędzisz resztę życia w więzieniu Volterra, świadcząc usługi erotyczne.

Carlo był równie nieczuły na zniewagi jak na okrzyki cierpiących. Zrozumiał, że nie docenił policjanta.

- Powiedz, o czym powinienem wiedzieć - rzekł i stanął koło Pazziego, jak gdyby modlili się razem przy grobowcu.

Przeszła obok nich jakaś para, trzymając się za ręce. Carlo zdjął kapelusz i dwaj mężczyźni stali przez chwilę z pochylonymi głowami. Pazzi położył kwiaty przy drzwiach grobowca. Z kapelusza Carla wydobywał się paskudny odór nieświeżego mięsa. Pazzi podniósł głowę, oddalając twarz od smrodu.

- Znakomicie posługuje się nożem. Tnie nisko - powiedział.
- Ma broń? Nie mam pojęcia. Z tego, co wiem, nigdy nie użył broni palnej.
- Nie chcę wyciągać go z samochodu. Dopadnę go na ulicy, w takim miejscu, gdzie nie kręci się dużo ludzi.
- Jak zamierzasz go obezwładnić?
- To moja sprawa. - Carlo włożył do ust świński ząb i zaczął żuć chrząstkę.
- Moja też - nalegał Pazzi. - Jak zamierzasz to zrobić?
- Ogłuszę go pistoletem, omotam siecią, a potem zrobię mu zastrzyk. Muszę szybko sprawdzić zęby na wypadek, gdyby ukrył w nich kapsułkę z trucizną.
- Ma wygłosić wykład. Spotkanie zaczyna się o siódmej w Palazzo Vecchio. Jeśli w piątek będzie pracował w kaplicy Capponich w Santa Croce, pójdzie stamtąd do Palazzo Vecchio na piechotę. Znasz Florencję?
- I to dobrze. Możesz załatwić mi pozwolenie na jazdę po Starym Mieście?
- Tak.
- Nie zgarnę go po wyjściu z kościoła - rzekł Carlo. Pazzi kiwnął głową.
- Powinien pojawić się na spotkaniu. Później przez dwa tygodnie nikt nie zauważy jego zniknięcia. Mam pretekst, żeby odprowadzić go do Palazzo Capponi...
- Nie chcę tego robić u niego w domu. To jego teren. Zna każdy kąt, a ja nie. Będzie czujny, rozejrzy się przy drzwiach. Chcę go dopaść na ulicy.
- Więc posłuchaj mnie. Wyjdziemy z Palazzo Vecchio głównym wejściem, drzwi od strony Via dei Leoni będą zamknięte. Pójdziemy wzdłuż Via Neri, a potem przedostaniemy się na drugi brzeg przez Ponte alle Grazie. Przed Museo Bardini rosną drzewa, które zasłaniają uliczne latarnie. O tej porze będzie tam spokojnie.
- Powiedzmy więc, że przed Museo Bardini. Jeśli jednak nadarzy się okazja, zrobię to szybciej, bliżej pałacu, albo wcześniej tego dnia, gdyby się przestraszył i próbował uciekać. Możemy podjechać karetką pogotowia. Poczekaj, aż go ogłuszę, a potem zmyj się szybko.
- Chciałbym, żeby nic mu się nie stało, dopóki będzie w Toskanii.
- Wierz mi, zniknie z powierzchni ziemi, nie tylko z Toskanii - zapewnił go Carlo, ciesząc się z własnego dowcipu i ukazując w uśmiechu świński ząb.



## ROZDZIAŁ 35

Piątkowy ranek. Mały pokój na poddaszu Palazzo Capponi. Trzy bielone wapnem ściany są gołe. Na czwartej wisi duży obraz namalowany w trzynastym wieku przez ucznia Giovanniego Cimabue. Przedstawia Matkę Boską. Wydaje się ogromny w tym niewielkim pomieszczeniu. Madonna, z przechyloną lekko głową jak u zaciekawionego ptaka, spogląda spod wółprzymkniętych powiek na małą postać śpiącą pod obrazem.

Doktor Hannibal Lecter, weteran więziennych i szpitalnych łóżek, leży nieruchomo na wąskiej prycy z rękami na klatce piersiowej.

Otwiera oczy i w tej samej chwili jest całkowicie rozbudzony; sen o dawno zmarłej i strawionej siostrze Miszy przechodzi gładko w jawę: niebezpieczeństwo wtedy, niebezpieczeństwo teraz.

Świadomość zagrożenia nie zakłóca mu snu, podobnie jak zabicie kieszonkowca.

Szczupły, ubrany w ciemny jedwabny garnitur doktor wyłącza czujniki ruchu na szczycie schodów dla służby i schodzi do przestronnych salonów pałacu.

Mija kolejne komnaty, kierując się do biblioteki. Możliwość swobodnego poruszania się po tylu latach zamknięcia w podziemnej celi przyprawia go o zawrót głowy.

Tak jak pokryte freskami ściany Santa Croce lub Palazzo Vecchio są przesycone myślą, tak powietrze w bibliotece Capponich tętni osobowością doktora, gdy pracuje przy wielkiej ścianie posegregowanych manuskryptów. Lecter wybiera zwinięte pergaminy i zdmuchuje z nich kurz. Drobinki kurzu tańczą w promieniach słońca, jak gdyby umarli, którzy zamienili się w pył, współzawodniczyli ze sobą, żeby opowiedzieć doktorowi o swoim i jego losie.

Pracuje sprawnie, lecz bez zbytniego pośpiechu. Wkłada do teczki manuskrypty, które zamierza przejrzeć przed wieczornym wykładem. Tyle rzeczy chciałby przeczytać.

Doktor Lecter otwiera laptopa i łącząc się przez wydział kryminologii uniwersytetu w Mediolanie, sprawdza stronę FBI pod adresem [www.fbi.gov](http://www.fbi.gov), którą może otworzyć każdy śmiertelnik. Dowiaduje się, że Urząd do spraw Odpowiedzialności Zawodowej jeszcze nie wyznaczył terminu przesłuchania w sprawie nieudanej akcji antynarkotykowej Clarice Starling. Próbuje otworzyć plik opatrzony jego nazwiskiem, ale nie udaje mu się odgadnąć kodu. Wybiera stronę poświęconą najbardziej poszukiwanym przestępcom. Na ekranie pojawia się jego dawne oblicze, obok wizerunków terrorysty i podpalacza.

Doktor Lecter podnosi ze sterty pergaminów kolorową gazetę i patrzy na zdjęcie Clarice Starling na pierwszej stronie. Dotyka jej twarzy palcem. W jego dłoni pojawia się

lśniące ząbkowane ostrze w kształcie szponu. Harpia - tak nazywa się ten nóż - tnie papier „National Tattler” równie gładko, jak ciął tętnicę udową Cygana. Doktor Lecter wycina zdjęcie Clarice Starling i przykleja je na kawałku czystego pergaminu.

Bierze do ręki pióro i płynnymi ruchami rysuje sylwetkę skrzydlatej lwicy, gryfa z twarzą Starling. Pod spodem pisze: „Czy zastanawiałaś się kiedyś, Clarice, dlaczego Filistyni cienie rozumieją? Ponieważ jesteś odpowiedzią na zagadkę Samsona: jesteś miodem w ciele lwa”.

Carlo Deogracias zaparkował furgonetkę za wysokim kamiennym murem w Impruneta, niespełna piętnaście kilometrów od Palazzo Capponi. Sprawdzał sprzęt, gdy tymczasem jego brat Matteo ćwiczył na miękkiej trawie chwyt dzudo z dwoma pozostałymi Sardyńczykami, Piero i Tommaso Falcione. Bracia Falcione byli szybcy i bardzo silni. Piero grał kiedyś w zawodowej drużynie piłkarskiej w Cagliari. Tommaso, były student seminarium duchownego, mówił niezle po angielsku. Czasami modlił się ze swymi ofiarami.

Białą furgonetkę, fiata na rzymskich numerach, Carlo wypożyczył legalnie. Przygotował tablice z napisem: OSPEDALE DELLA MISERICORDIA, które zamierzali przytwierdzić na bocznych ścianach auta. Wewnętrzne ściany i podłogę wyłożyli materacami, na wypadek gdyby ofiara szamotała się w furgonetce.

Carlo zamierzał przeprowadzić akcję zgodnie z wytycznymi Masona, ale gdyby musiał zabić doktora Lectera we Włoszech, odwołując sesję zdjęciową na Sardynii, nie wszystko byłoby stracone. Mógł zarznąć doktora Lectera i obciąć mu głowę i ręce w niespełna minutę.

A gdyby nie miał nawet tyle czasu, zawsze zdążył odciąć penisa i palec, a te po analizie DNA wystarczą jako dowód. Zabezpieczone w plastikowej torbie i obłożone lodem, dotarłyby do Masona w ciągu doby, a Carl poza należnym mu honorarium otrzymałby dodatkową nagrodę.

Za siedzeniami samochodu ułożyli małą piłę łańcuchową, metalowe nożyce z długimi uchwytami, piłę chirurgiczną, ostre noże, plastikowe torby na suwaki, sznury i skrzynię na przesyłkę z opłaconym porto - ciężar głowy doktora Lectera oszacowali na sześć kilogramów, a jego rąk na dwa.

Carlo był pewien, że jeśli zdoła zarejestrować śmierć doktora na taśmie wideo, Mason wypłaci mu dodatkową premię. Dlatego zaopatrzył się w dobrą kamerę, lampę oraz stojak i poinstruował Mattea, jak obsługiwać sprzęt.

Nie mniej uwagi poświęcił narzędziom, które miały usprawnić porwanie. Piero i Tommaso byli ekspertami w posługiwaniu się siecią, złożoną teraz starannie niczym

spadochron. Carlo miał karabinek pneumatyczny i strzykawkę naładowaną taką ilością środka uspokajającego, że w ciągu kilku sekund powaliłby z nóg zwierzę rozmiarów doktora Lectera. Powiedział Pazziemu, że najpierw ogłuszy doktora, ale wolałby od razu użyć strzykawki.

Po porwaniu pozostaną na kontynencie około czterdziestu minut - tyle czasu zajmie dojazd do lotniska w Pizie, gdzie będzie na nich czekał samolot sanitarny. Wprawdzie lotnisko florenckie znajdowało się bliżej, ale ruch był tu znacznie mniejszy i każdy dodatkowy lot byłby bardziej widoczny.

W ciągu półtorej godziny mieli znaleźć się na Sardynii, gdzie będzie czekał na doktora komitet powitalny.

Carlo rozważył wszystko raz jeszcze. Mason nie był głupcem. Wyraźnie zapowiedział, że nie życzy sobie, aby jakakolwiek krzywda spotkała Rinalda Pazzięgo. Gdyby Carlo zabił Pazzięgo, nie zobaczyłby ani grasza. Mason nie chciał zamieszania związanego ze śmiercią policjanta. Miał rację. Ale Carla aż nosiło na myśl o tym, co mógłby osiągnąć kilkoma posunięciami piły.

Wypróbował piłę łańcuchową. Ruszyła za pierwszym szarpnięciem.

Carlo przeprowadził krótką naradę z pozostałymi Sardyńczykami i odjechał do miasta na motorynce, uzbrojony tylko w nóż, broń i strzykawkę.

Wczesnie rano doktor Hannibal Lecter wszedł z hałaśliwej ulicy do „Farmacia di Santa Maria Novella”, jednego z najwspanialej pachnących miejsc na ziemi. Przez kilka minut stał z odchylną do tyłu głową i zamkniętymi oczami, wdychając aromaty wspaniałych mydeł, toników, kremów oraz składników z pracowni. Portier dobrze go znał, a sprzedawcy, choć mieli skłonności do wyniosłego zachowania wobec klientów, traktowali doktora z wielkim szacunkiem. Zakupy doktora Fella przez kilka miesięcy jego pobytu we Florencji nie były warte więcej niż sto tysięcy lirów, lecz wybierał i łączył aromaty z wrażliwością, która zaskakiwała i cieszyła tych handlarzy zapachów, żyjących wszak ze swych nosów.

Właśnie ze względu na tego rodzaju przyjemności doktor Lecter nie zoperował chirurgicznie nosa, ograniczając się do zastrzyków kolagenowych. Dla niego powietrze było zabarwione aromatami tak żywymi i wyraźnymi, jak kolory, którymi posługiwał się niczym malarz. Tutaj nic nie przypominało mu więzienia. Tutaj powietrze było muzyką. Tutaj znajdowały się blade łyżki kadzidła przed ekstrakcją, harmonijnie współgrające żółta bergamota, drzewo sandałowe, cynamon i mimoza - nad przewodnimi nutami prawdziwej ambry, cybetu, bobra i esencją piżmowca.

Doktor Lecter miał czasem wrażenie, że potrafi wąchać rękami, ramionami i policzkami, że zapachy przenikają całe jego ciało. Że potrafi wąchać twarzą i sercem.

Pewne przyczyny anatomiczne sprawiają, iż węch bardziej niż jakikolwiek inny zmysł przywołuje wspomnienia.

Stojąc pod delikatnym światłem lamp w stylu *art deco* i oddychając głęboko, doktor Lecter odnajdywał fragmenty i przebłyski przeszłości. Tutaj nic nie przypominało mu o więzieniu. Oprócz... Cóż to było takiego? Clarice Starling. Dlaczego? Nie zapach *l'Air du Temps*, który poczuł, gdy otworzyła torebkę blisko krat celi w szpitalu. Coś innego. Takich perfum nie sprzedawano w „Farmacia”. Tonik do twarzy? Też nie. Ach. *Sapone di mandorle*. Słynne mydło migdałowe z „Farmacia”. Gdzie poczuł ten zapach? W Memphis, gdy stała przed celą, a on na chwilę musnął jej palec tuż przed ucieczką. Starling. Czysta, o bogatej teksturze. Wyschnięta na słońcu i wyprasowana bawełna. Clarice Starling. Ujmująca i apetyczna. Męcząca w swej gorliwości i absurdalna ze swymi zasadami. Wybujały zdrowy rozsądek. Hmm.

Złe wspomnienia kojarzyły się doktorowi Lecterowi z nieprzyjemnymi zapachami, więc tutaj, w „Farmacia”, najbardziej oddalał się od cuchnących ciemnych lochów.

Tym razem, tego szarego piątku, doktor wyjątkowo kupił sporą ilość mydła, toników i olejków do kąpieli. Część zabrał ze sobą, resztę kazał przesłać za granicę. Wypełnił druki wysyłkowe swoim charakterystycznym, kaligraficznym pismem.

- Czy *Dottore* życzy sobie dołączyć liścik? - zapytał sprzedawca.

- Czemu nie? - odparł Lecter i wsunął do pudełka złożony rysunek gryfa.

„Farmacia di Santa Maria Novella” sąsiaduje z klasztorem na Via Scala. Carlo, jak zwykle pobożny, zdjął kapelusz i przyciął się pod wizerunkiem Madonny przy wejściu. Zauważył, że prąd powietrza od strony wewnętrznych drzwi uchyla drzwi zewnętrzne kilka sekund przed tym, nim ktoś wyjdzie z apteki. Miał więc czas, żeby się ukryć i wyglądać dyskretnie za każdym razem, gdy z apteki wychodził klient.

Kiedy wyszedł doktor Lecter, Carlo schował się za stoiskiem sprzedawcy kart pocztowych. Doktor ruszył przed siebie. Mijając wizerunek Madonny, podniósł głowę i rozszerzył nozdrza, żeby ocenić zapach powietrza.

Carlo pomyślał, że doktor w ten sposób wyraża pobożność. Zastanawiał się, czy Lecter jest religijny jak wielu innych szaleńców. Być może uda mu się sprawić, że doktor będzie przeklinał Boga - ku uciesze Masona. Musi jednak najpierw odesłać gdzieś świątobliwego Tommasa.

Późnym popołudniem Rinaldo Pazzi napisał list do żony. Dołączył do niego sonet, który spłodził na początku ich znajomości. Wtedy wstydził się pokazać jej wiersz. Załączył również szyfr potrzebny do pobrania pieniędzy z depozytu w banku szwajcarskim, a także

list, który miała wysłać do Masona, gdyby próbował wycofać się z umowy. Schował list w takim miejscu, by żona na pewno go znalazła.

O osiemnastej podpłynął swoją motorówką do Museo Bardini i przywiązał łódkę łańcuchem do żelaznego ogrodzenia. Zobaczył białą furgonetkę ze szpitalnymi oznaczeniami, zaparkowaną niedaleko muzeum. Uznał, że może należeć do Carla. W furgonetce siedziało dwóch mężczyzn. Odwróciwszy się, Pazzi poczuł na plecach ich spojrzenia.

Miał mnóstwo czasu. Uliczne latarnie już się paliły, gdy Pazzi ruszył wolno w stronę rzeki. Przechodząc przez Ponte alle Grazie, patrzył na leniwy nurt rzeki i delektował się ostatnimi niespiesznymi myślami, na jakie miał czas. Zapowiadała się ciemna noc. To dobrze. Nisko wiszące chmury mknęły na wschód nad Florencją, a wzmagający się wiatr porywał kurz i sproszkowane gołębie odchody z placu przed Santa Croce. Pazzi szedł teraz w stronę placu. Kieszenie miał ciężkie od broni: trzymał w nich berettę, płaską skórzaną pałkę i nóż. Uznał, że broń może mu się przydać.

Kościół Santa Croce jest zamykany o osiemnastej, ale kościelny wpuścił Pazziego przez małe drzwi przy głównym wejściu. Rinaldo nie chciał go pytać, czy doktor Fell jeszcze pracuje, wolał sam to sprawdzić. Świece płonące na ołtarzach w bocznych nawach dawały wystarczająco dużo światła. Minął główny ołtarz i skierował się do kaplicy Capponich. Trudno było stwierdzić przy palących się świecach wotywnych, czy doktor Fell znajduje się w kaplicy Capponich. Pazzi cicho sunął prawym transeptem. Rozglądał się. Na ścianie kaplicy wyrósł ogromny cień i przez chwilę Pazzi wstrzymał oddech. Nad stojącą na posadzce lampą pochylał się doktor Lecter, pracując nad swoimi odbitkami. Doktor wyprostował się i wbił wzrok w ciemność jak sowa, obracając tylko głowę, którą od dołu podświetlała lampa. Po chwili znów się pochylał i wrócił do pracy.

Pazzi poczuł, że po plecach spływa mu kropla potu, choć twarz miał zimną.

Do rozpoczęcia zebrania w Palazzo Vecchio została jeszcze godzina, a Pazzi chciał się spóźnić na wykład.

Kaplica, którą Brunelleschi wznosił dla rodziny Pazzich, jest jedną z pereł renesansowej architektury. Przylega do kościoła Santa Croce, a dochodzi się do niej krużgankiem o łukowatym sklepieniu.

Dotarłszy do kaplicy, Pazzi klęknął na kamiennej posadzce i zaczął się modlić. Pragnął, by jego modlitwy pomknęły ciemnym krużgankiem i stamtąd pofrunęły w stronę ciemnego nieba i Boga.

Myślał o dobrych uczynkach, na jakie będzie go stać za pieniądze, które otrzyma za doktora Lectera. Wyobraził sobie, jak razem z żoną rozdają pieniądze biednym dzieciom i

przekazują do szpitala jakąś aparaturę medyczną. Ujrzał oczyma wyobraźni fale jeziora Genezaret, które przypominało mu Chesapeake. Ujrzał kształtną rękę swej żony zaciśniętą wokół jego penisa.

Rozejrzał się, a nie dostrzegłszy nikogo, zaczął się modlić na głos.

- Dziękuję ci, Ojcze, że pozwoliłeś mi usunąć tego potwora, najgorszego z potworów, z powierzchni ziemi. Dziękuję w imieniu istot, którym oszczędzimy cierpienia. - Trudno stwierdzić, czy użył liczby mnogiej, bo wpadł w mentorski ton, czy nawiązywał do swego partnerstwa z Bogiem. Odpowiedzi może być więcej niż jedna.

Wewnętrzny głos przypomniał Pazziemu, że zabił razem z doktorem Lecterem. Ich ofiarą był Gnocco. Nie zrobił nic, aby ocalić Gnocca, i cieszył się, że śmierć na zawsze zamknęła mu usta.

Modlitwa przynosi ukojenie, pomyślał Rinaldo, wychodząc z kaplicy. Gdy szedł ciemnym krużgankiem, miał dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Carlo czekał przed głównym wejściem do Palazzo Piccolomini. Gdy Pazzi go mijiał, dołączył do policjanta. Nie rozmawiali długo.

Przeszli na tył pałacu i upewnili się, że wyjście na Via dei Leone i okna nad nim są zamknięte. Z pałacu można było się wydostać tylko przez główne wejście.

- Zejdziemy po schodach i skierujemy się na Via Neri - powiedział Pazzi.

- Ja i mój brat będziemy czekać na placu od strony Loggi. Pójdziemy za wami w bezpiecznej odległości. Pozostali czekają już pod Museo Bardini.

- Widziałem ich.

- A oni ciebie - odparł Carlo.

- Czy broń do ogłuszania robi dużo hałasu?

- Nie, ale na pewno ją usłyszysz. - Carlo nie uprzedził Pazziego, że Piero strzeli, gdy on i Lecter będą jeszcze oświetleni. Nie chciał, żeby policjant odsunął się od doktora, dając tym samym do zrozumienia, że coś mu grozi.

- Kiedy go złapiesz, musisz zawiadomić Masona. Powinieneś to zrobić jeszcze dzisiaj - po wiedział Pazzi.

- Nie martw się.. Ten kutas spędzi całą noc, błagając Masona o litość - oświadczył Carlo, spoglądając na Pazziego z ukosa. - Najpierw będzie błagał o życie, a później o śmierć.

## ROZDZIAŁ 36

Nadeszła noc i z Palazzo Vecchio wyszli ostatni turyści. Wielu z nich, idąc w stronę placu, czuło na plecach oddech średniowiecznego zamku - musieli się obejrzeć i po raz ostatni spojrzeć wysoko w górę na zębate blanki.

Zapalono reflektory, światło obmyło chropowate kamienie, wyostrzając cienie pod wysokim krenelażem. Gdy jaskółki wróciły do gniazd, pojawiły się pierwsze nietoperze.

Prowadzone w pałacu prace konserwatorskie i renowacyjne miały potrwać jeszcze godzinę. Przerwano je tylko w Sali Lili, gdzie doktor Lecter rozmawiał z szefem ekipy konserwatorskiej.

Kierownikowi robót, przyzwyczajonemu do skąpstwa i wysokich wymagań Komisji Sztuk Pięknych, doktor wydał się nie tylko uprzejmy, ale i niesamowicie hojny.

W ciągu kilku minut robotnicy uprzątnęli sprzęt, przesunęli pod ścianę maszyny do polerowania podłóg i kompresory, zwinęli linki i przewody elektryczne. Błyskawicznie ustawili składane krzesła dla uczestników spotkania - potrzebowano tylko dwunastu krzeseł - i otworzyli okna, żeby wywietrzyć zapach farby, pasty do podłogi i materiałów do złączenia.

Na prośbę doktora z dawnego gabinetu Niccola Machiavellego, przylegającego do Sali Lili, sprowadzono na ręcznym wózku pałacowy rzutnik i pulpit wielkości ambony.

Mały ekran, który nadjechał razem z rzutnikiem, nie odpowiadał doktorowi Lecterowi, więc odesłał go z powrotem. Spróbował natomiast wyświetlić swoje obrazy na jednym z płócien, którymi zasłonięte odnawianą ścianę. Po wygładzeniu fałd uznał, że będzie odpowiednie.

Zaznaczył strony w kilku opasłych tomach rozłożonych na pulpicie i stanął przy oknie, obrócony plecami do sali, w której zaczęli się zbierać członkowie Studiolo. Ich cichy sceptycyzm stał się ewidentny, gdy ustawili krzesła na podobieństwo łąwy przysięgłych.

Przez wysokie okna Sali Lili doktor Lecter widział katedrę i kampanilę Giotto, czarne na tle zachodniego nieba, natomiast uwielbiane przez Dantego baptysterium kryło się w mroku. Zwrócone do góry reflektory nie pozwoliły zlustrować ciemnego placu, gdzie czekali mordercy.

Gdy najstłynniejsi znawcy średniowiecza i renesansu zajmowali miejsca, doktor układał w myślach swoje wystąpienie. Zajęło mu to nieco ponad trzy minuty. Wykład miał traktować o „Piekło” Dantego i Judaszu Iskariocie.

Doktor Lecter znał zamięłowanie członków Studiolo do okresu przedrenesansowego. Rozpoczął wykład od przypadku Piera delia Vigna, logotety królestwa Sycylii. Chciwość

zapewniła mu miejsce w „Piekłach” Dantego. Opowiadał o intrygach, które doprowadziły do upadku Piera delia Vignę.

- Delia Vigna popadł w niełaskę i został oślepiiony za zdradę - mówił Lecter. - Pielgrzym Dantego znalazł go w siódmym kręgu Piekła, zarezerwowanym dla samobójców. Powiesił się tak jak Judasz Iskariota. Judasza, Piera delia Vignę i Achitofela, ambitnego doradcę Absaloma, łączyła według Dantego chciwość i późniejsza śmierć przez powieszenie. W umysłowości starożytnej i średniowiecznej chciwość i śmierć przez powieszenie są ze sobą powiązane: święty Hieronim pisze, że nazwisko Judasza, Iskariota, oznacza „pieniądze” lub „nagrodę”, natomiast Orygenes utrzymuje, iż „Iskariota” wywodzi się z hebrajskiego „od uduszenia”, zatem jego imię oznacza „Judasz Uduszony”.

Doktor Lecter przerwał na chwilę i spojrzał znad okularów w stronę drzwi.

- Ach, *Commendatore Pazzi*, prosimy. Skoro jest pan najbliżej drzwi, czy mógłby pan zgasić światło? Zainteresuje to pana, *Commendatore*, ponieważ w „Piekłach” Dantego znajduje się dwóch Pazzich... - Profesorowie ze Studiolo zachichotali złośliwie. - Camicion de'Pazzi, który zamordował krewniaka i oczekuje nadejścia drugiego Pazziego. Ale nie pana, tylko Carlina. Ten zaś zostanie umieszczony jeszcze niżej w „Piekłach” za zdradę i nielojalność wobec stronnictwa Białych, do którego należał sam Dante.

Przez okno wleciał mały nietoperz. Zrobił kilka okrążeń nad głowami profesorów. W Toskanii był to zwyczajny widok, więc nikt nie zainteresował się zwierzątkiem. Doktor Lecter kontynuował wykład.

- A więc chciwość i śmierć przez powieszenie są kojarzone od czasów starożytnych, a w sztuce wizerunek ten pojawiał się wielokrotnie. - Doktor nacisnął przycisk na pilocie, budząc do życia rzutnik. Na płótnie zakrywającym ścianę ukazał się pierwszy obraz. Kolejne, szybko następujące po sobie obrazy, ilustrowały wypowiedź Lectera.

- Oto najwcześniejszy ze znanych nam wizerunków ukrzyżowania, wyrzeźbiony na pudełku z kości słoniowej w Galii w czwartym wieku naszej ery. Jest tu między innymi wizerunek Judasza z twarzą zwróconą ku gałęzi, na której zawisł. A tutaj na mediolańskim relikwiarzu z czwartego wieku oraz na dyptyku z kości słoniowej z dziewiątego stulecia Judasz również patrzy do góry.

Przed ekranem przeleciał mały nietoperz w pogoni za owadami.

- Na tej płycie z drzwi katedry Benevento widzimy Judasza wiszącego z wnętrzościami na wierzchu, tak jak opisał go w *Dziejach Apostolskich* lekarz, święty Łukasz. Tutaj Iskariota wisi otoczony przez Harpie, a nad nim na niebie widnieje twarz Kaina w Księżycu. Tutaj z kolei przedstawiony jest przez waszego Giotta, znów z wiszącymi



trzewiami. I wreszcie mamy czternastowieczne wydanie „Piekle”, gdzie ciało Piera delia Vigny wisi na krwawiącym drzewie. Nie muszę chyba wyjaśniać oczywistej analogii do Judasza Iskarioty.

- Ale Dante - kontynuował doktor - nie potrzebował ilustracji. Dante Alighieri dzięki swemu geniuszowi sprawił, że Piero delia Vigna, który znalazł się w „Piekle”, używa syczących i zdławionych dźwięków z przewagą głosek szczelinowych, jak gdyby wciąż się dusił. Proszę posłuchać, jak opowiada o zawleczeniu i powieszeniu na ciernistym drzewie jego martwego ciała wraz z innymi potępieńcami:

Surge in vermena e in pianta silvestra:

I 'Arpie, pascendo poi de le suefoglie,  
fanno dolore, e al dolor fenestm.

Zwykle błąd doktor Lecter rumieni się, gdy recytuje przed członkami Studiolo charczące, zduszone słowa Piera delia Vigny, wyświetlając jednocześnie na wielkim polu białego płótna wizerunki Piera i Judasza z rozdartymi wnętrzościami.

Come l'atre verrem per nostre spoglie,  
ma non pero ch 'alcuna sen rivesta,  
che non e giusto aver do ch 'om si toglie.

Qui le strascineremo, eper la mesta  
selva saranno i nostri corpi appesi,  
ciascuno al prun de l'ombra sua molesta.

- A więc Dante nawiązuje do śmierci Judasza, opisując śmierć Piera delia Vigny. Popełnili takie same zbrodnie, chciwości i zdrady. Achitofel, Judasz, wasz Piero delia Vigna. Chciwość, powieszenie, samodestrukcja, przy czym chciwość jest równie samodestrukcyjna, jak powieszenie. I cóż anonimowy samobójca z Florencji oznajmia w męczarniach na koniec pieśni?

lofei gibetto a me de le mie case.

„Wiedz, jam obwiesił się we własnym domu”.\*

- Przy innej okazji możemy zająć się synem Dantego, Pierem. To niezwykle, ale jako jedyny spośród recenzentów trzynastej pieśni połączył Piera delia Vignę z Judaszem. Myślę też, że interesujące mogłoby być omówienie kwestii jedzenia w utworze Dantego. Hrabia Ugolina wgryza się w potylicę arcybiskupa, szatan z trzema licami przeżuwa Judasza, Brutusa i Kasjusza, samych zdrajców, takich tak jak Piero delia Vigna. Dziękuję panom za uwagę.

Uczeni nagrodzili go gromkimi brawami. Doktor Lecter żegnał się ze wszystkimi po

---

\* Dante *Boska komedia*, przekład Edward Porębowicz

kolei, zwracając się do każdego po nazwisku. W rękach trzymał książki, żeby nie musieć ścisnąć im dłoni. Gdy uczeni opuszczali łagodnie oświetloną Salę Lili, wydawało się, że wciąż są pod wrażeniem wykładu.

Doktor Lecter i Rinaldo Pazzi pozostali sami w wielkiej sali. Słyszeli dobiegające ze schodów odgłosy dyskusji, która wywiązała się wśród uczonych.

- Myśli pan, że pozostanę na stanowisku, *Commendatore*

- Nie jestem uczonym, doktorze Fell, ale każdy by przyznał, że zaimponował im pan. Doktorze, jeśli to panu odpowiada, pójdę z panem do pałacu i odbiorę rzeczy pańskiego poprzednika.

- Mieszczą się w dwóch walizkach, *Commendatore*, a pan ma już neseser. Poradzi pan sobie?

- Pod Palazzo Capponi podjedzie wóz patrolowy. - Pazzi nie dał się zapędzić w kozi róg.

- Świetnie - odparł doktor Lecter. Proszę dać mi minutę na uporządkowanie rzeczy.

Pazzi kiwnął głową, wyjął z neseseru telefon komórkowy i podszedł do wysokich okien, nie spuszczać oczu z Lectera. Widział, że doktor jest zupełnie spokojny. Z niższych kondygnacji rozbrzmiały dźwięki maszyn załogi remontowej.

Wybrał numer.

- Lauro, *amore*, niedługo wracam do domu - powiedział, gdy odebrał Carlo Deogracias.

Doktor Lecter pozbierał książki z podium i zapakował je do torby. Odwrócił się do rzutnika; wentylator wciąż szumiał, a drobinki kurzu tańczyły w snopie światła.

- Powinienem był im pokazać ten wizerunek. Jak mogłem go przegapić? - Doktor wyświetlił rysunek przedstawiający nagiego mężczyznę wiszącego pod blankami pałacu. - Ten powinien pana zainteresować, *Commendatore Pazzi*, muszę tylko poprawić ostrość.

Przez chwilę manipulował przy urządzeniu. Podszedł do obrazu na ścianie, rzucając na płótno czarny cień tego samego rozmiaru co sylwetka powieszona.

- Dobrze pan widzi? Bardziej nie da się powiększyć. W tym miejscu ugryzł go arcybiskup. A pod spodem jest jego nazwisko.

Pazzi nie zbliżył się do doktora Lectera, ale gdy podchodził do ściany, poczuł zapach jakiejś substancji. To pewnie coś, czego używają konserwatorzy.

- Odczyta pan litery? Przy tym wierszu napisane jest „Pazzi”. To pański przodek, Francesco, powieszony przed Palazzo Vecchio pod tymi oknami - informował doktor.

Wpatrywali się w siebie rozdzieleni snopem światła z projektora.

- Jeśli już o tym mowa, *signore Pazzi*, muszę panu coś wyznać: poważnie się zastanawiam, czy nie skonsumować pańskiej żony.

Doktor zarzucił na Pazziego wielkie płótno ze ściany. Policjant zaczął młócić rękami, żeby odsłonić głowę. Lecter błyskawicznie znalazł się za Pazzim, z potworną siłą chwycił go za szyję i do płótna zakrywającego mu twarz przytknął gąbkę nasączoną eterem.

Rinaldo Pazzi nie poddawał się. Choć stopy i ramiona miał zaplątane w płótno, udało mu się sięgnąć po pistolet. Gdy obaj padli na ziemię, pod duszącym płótnem wycelował berettę i pociągnął za spust. Przestrzelił sobie udo. Po chwili stracił przytomność...

Strzał z małego pistoletu pod płótnem nie zrobił więcej hałasu niż stukania i zgrzyty dochodzące z niższych pięter. Nikt nie wszedł na górę. Doktor Lecter zamknął wielkie drzwi Sali Lili i zasunął rygle.

Pazzi powoli odzyskiwał przytomność. Kręciło mu się w głowie, miał mdłości. W gardle czuł smak eteru, a w klatce piersiowej ucisk.

Zorientował się, że wciąż jest w Sali Lili i nie może się poruszyć. Rinaldo Pazzi był skrupowany sznurem i płótnem, sztywno jak wielki stojący zegar, i przywiązany do wysokiego ręcznego wózka, którym robotnicy wcześniej przywieźli pulpit. Usta miał zaklejone taśmą. Opaska uciskowa powstrzymywała krwawienie z rany postarzałowej w udzie.

Obserwując policjanta, doktor Lecter przypomniał sobie, że i jego kiedyś związane w podobny sposób i wożono po szpitalu na ręcznym wózku.

- Słyszysz mnie pan, *signore Pazzi*? Proszę kilka razy głęboko odetchnąć i oprzytomnieć.

Jego ręce nie próżnowały. Wcześniej wtoczył do sali wielką maszynę do polerowania podłogi i teraz manipulował przy grubym pomarańczowym przewodzie elektrycznym, zawiązując na jego końcu wisielczy stryczek. Pokryty gumą przewód skrzypiał, gdy doktor zwijał linę tradycyjnie trzynaście razy.

Ostatnie szarpnięcie i pętla była gotowa. Odłożył ją na pulpit. Ze splotów na końcówce pętli wystawała wtyczka.

Broń Pazziego, plastikowa opaska, zawartość jego kieszeni i neseser leżały na blacie mównicy.

Doktor Lecter poszperał w papierach i schował za pazuchę dotyczące go dokumenty. Było wśród nich pozwolenie na pracę, zdjęcia i negatywy jego nowej twarzy.

I partytura, którą doktor pożyczył pani Pazzi. Wziął nuty do ręki i popukał nimi w zęby. Jego nozdrza rozszerzyły się, gdy zbliżał twarz do twarzy Pazziego.

- Laura, jeśli mogę ją tak nazywać, używa wspaniałego kremu do rąk na noc. Jest śliski, najpierw zimny, potem ciepły. Zapach kwiatu pomarańczy. Laura, *l'orange*. Hmm. Przez cały dzień nic nie miałem w ustach. Właściwie wątroba i nerki nadawałyby się na kolację od razu, ale reszta mięsa powinna przez tydzień wisieć w warunkach chłodniczych. Oglądał pan prognozę pogody? Sądzę, że nie.

- Jeśli powie mi pan to, czego chcę się dowiedzieć, *Commendatore* - kontynuował - wygodniej będzie mi wyjechać bez posiłku; *signora* Pazzi pozostanie nietknięta. Zadam panu pytania i zobaczymy. Może mi pan zaufać, choć wiem, że ufanie komukolwiek przychodzi panu z trudem.

- W teatrze zauważyłem, że rozpoznał mnie pan, *Commendatore*. Nie narobił pan w majtki, gdy pochylałem się nad dłonią *signory*? Ponieważ nie przyjechała po mnie policja, doszedłem do wniosku, że sprzedał mnie pan. Czyż nie niejakiemu Masonowi Vergerowi? Proszę mrugnąć dwa razy na potwierdzenie.

- Dziękuję, tak też myślałem - ciągnął dalej. - Kiedyś zadzwoniłem pod numer podany na jego wszędobylskim plakacie, daleko stąd, ot tak, dla zabawy. Jego ludzie czekają na zewnątrz? Mhm. A jeden z nich śmierdzi jak zjełczała kiełbasa? Właśnie. Powiedział pan o mnie komuś w komendzie? Mrugnął pan tylko raz? Tak myślałem. Teraz proszę się skoncentrować i podać mi kod dostępu do bazy danych VICAP w Quantico.

Doktor Lecter otworzył swój składany nóż.

- Zdejmę taśmę i wtedy mi pan powie. - Podniósł nóż. - Tylko niech pan nie próbuje krzyczeć. Myśli pan, że zdoła się od tego powstrzymać?

- Przysięgam na Boga, że nie znam tego kodu. - Głos Pazziego był ochrypły od eteru. - Nie mogę zebrać myśli. Może pójdziemy do mojego samochodu, mam tam papiery...

Doktor Lecter odwrócił Pazziego przodem do ekranu, na którym wyświetlał wizerunki wiszącego Piera delia Vigny i wiszącego z wyprutymi wnętrznościami Judasza.

- Co pan woli, *Commendatore*! Trzewia w brzuchu czy na wierzchu?

- Kod jest zapisany w moim notatniku.

Doktor Lecter trzymał notatnik przed twarzą Pazziego, aż ten znalazł zapis wśród numerów telefonicznych.

- I może się pan załogować z zewnątrz, jako gość?

- Tak - wychrypiął policjant.

- Dziękuję, *Commendatore*. - Doktor Lecter odchylił wózek do tyłu i podjechał z Pazzim do wielkich okien.

- Posłuchaj mnie! Mam pieniądze, człowieku! Będziesz miał pieniądze na ucieczkę.

Mason Verger nigdy ci nie daruje. Nigdy. Nie możesz wrócić do domu po pieniądze, obserwują twój dom.

Doktor Lecter położył dwie deski z rusztowania nad niskim parapetem okiennym i wtoczył po nich wózek z Pazzim na balkon.

Policjant poczuł zimną bryzę na mokrej twarzy. Mówił teraz bardzo szybko.

- Nigdy nie wyjdiesz z tego budynku żywy. Ja mam pieniądze. Mam sto sześćdziesiąt milionów lirów w gotówce. Sto tysięcy dolarów amerykańskich! Zadzwoń tylko do żony. Powiem jej, żeby zabrała pieniądze, schowała je w samochodzie i zostawiła samochód tuż przed pałacem.

Doktor Lecter zabrał pętlę z pulpitu i przyniósł ją na balkon, ciągnąc za sobą pomarańczowy przewód. Jego drugi koniec był przywiązany kilkoma węzłami do ciężkiej maszyny do polerowania podłóg. Pazzi nie przestawał mówić.

- Zadzwoń do mnie na komórkę, gdy tu dojedzie, i zostawi ci samochód. Ma przepustkę policyjną, więc może podjechać tuż pod wejście. Zrobi, co jej każę. Człowieku, przez okno będziesz mógł sprawdzić, czy wóz jest na chodzie, kluczyki zostaną w środku.

Doktor Lecter pchnął Pazziego dalej do balkonowej balustrady, która dotknęła jego ud. Policjant miał przed sobą widok na miejsce, gdzie spalono Savonarolę i gdzie przysięgł sobie, że sprzeda doktora Lectera Masonowi Vergerowi. Spojrzał w górę na sunące nisko, zabarwione reflektorami chmury i zapragnął, żeby dojrzał go Bóg.

Nie mógł nie spojrzeć w dół, w tę straszną otchłań, w stronę śmierci. Miał absurdalną nadzieję, że reflektory utwardzą powietrze, że w jakiś sposób uda mu się zatrzymać na snopach światła.

Poczuł zimno pomarańczowej gumy na drucianej pętli wokół szyi. Doktor Lecter stał przy nim tak blisko.

- Arrivederci, Commendatore. -

Błyskawicznie rozplątał Pazziemu brzuch. Drugim ciosem odciął go od wózka. Policjant przechylił się i wypadł przez balustradę, ciągnąc za sobą pomarańczowy przewód. Ziemia zbliżała się w okamgnieniu, usta mogły wreszcie krzyknąć, a w salonie maszyna do polerowania podłóg sunęła po podłodze, zatrzymując się z łoskotem na balustradzie. Poczuł szarpnięcie, głowa odskoczyła mu do góry, a trzewia wypadły na zewnątrz.

Martwe ciało Pazziego kołysało się przy chropowatej ścianie zalanego światłem pałacu, wstrząsane pośmiertnymi drgawkami, rzucając ogromny cień na mur. Wnętrznosci kołysały się pod nim, na krótszym i szybszym łuku, a z rozdartych spodni wystawało nabrzmiałe w śmiertelnej erekcji przyrodzenie.

Carlo wyskoczył z ukrycia, a za nim Matteo. Pobiegli przez plac do wejścia do pałacu, roztrącając turystów.

- Jakaś sztuczka - powiedział ktoś po angielsku.

- Matteo, pilnuj tylnych drzwi. Jeśli wyjdzie, zabij go i potnij - polecił Carlo, manipulując w biegu przy telefonie komórkowym. Wpadł do pałacu i popędził po schodach na pierwsze, a później na drugie piętro.

Wielkie drzwi prowadzące do Sali Lili stwały otworem. Carlo wycelował broń w postać wyświetloną na ścianie, wybiegł na balkon, w ciągu kilku sekund przeszukał gabinet Machiavellego.

Za pomocą telefonu komórkowego skontaktował się z Pierem i Tommasem, którzy czekali w furgonetce przed muzeum.

- Wejdźcie do jego domu, kryjcie go od przodu i tyłu. Zabijcie go i potnijcie.

Carlo wybrał inny numer.

- Matteo?

Matteo stał, dysząc ciężko, przed zamkniętym tylnym wejściem do pałacu. Zlustrował dach i ciemne okna, sprawdził drzwi i dopiero wtedy sięgnął po telefon.

-Pronto!

- Co widzisz?

- Drzwi są zamknięte.

-A dach?

Matteo znów spojrział w górę, ale za późno. Nie zauważył, że nad nim otwierają się okiennice.

Carlo usłyszał w telefonie chrzęst i krzyk. Zbiegł po schodach, upadł na podeście, podniósł się i popędził dalej. Minął strażnika przed wejściem, minął rzeźby ustawione pod frontową ścianą, skręcił za narożnikiem i pobiegł na tyły pałacu. Nagle na ulicę wtargnęła jakaś postać spowita białym całunem. Wpadła prosto na jadący skuter, runęła na ziemię, podniosła się i uderzyła o szybę wystawy sklepowej po drugiej stronie wąskiej ulicy. Biała zjawą odwróciła się i pobiegła dalej na oślep, krzycząc: „Carlo! Carlo!” Na rozprutym płótnie powiększały się czerwone plamy. Carlo chwycił brata w ramiona i przeciął plastikową opaskę, która ciasno opinała płótno wokół jego szyi. Zerwał zakrwawiony materiał. Twarz Mattea przypominała krwawą maskę, miał też głębokie rany na piersiach. Zostawił go na chodniku i pobiegł za róg, żeby się rozejrzeć, po czym wrócił do brata.

Przez Piazza Signoria przemknęły policyjne samochody z włączonymi syrenami. Doktor Hannibal Lecter poprawił marynarkę i spokojnym krokiem pomaszerował do

*gelateria* na pobliskim Piazza de Giudici. Przy krawężniku stały motocykle i motorynki.

Podszedł do młodego mężczyzny w skórze, który zapalał wielkiego ducati.

- Młody człowieku, jestem w tarapatkach - powiedział do niego, uśmiechając się smutno. - Jeśli za dziesięć minut nie znajdę się na Piazza Bellosguardo,

żona mnie zabije - wyjaśnił, pokazując chłopakowi banknot o nominale pięćdziesięciu tysięcy lirów. - Tyle warte jest moje życie.

- Mam pana tylko podwieźć? - zapytał młody człowiek. Lecter skinął głową.

- Tylko.

Szybki motocykl przeciął pasy ruchu na Lungarno. Doktor skulił się za motocyklistą, wcisnąwszy na głowę kask, który pachniał lakierem do włosów i perfumami. Młody człowiek znał drogę. Zjechał z Via de'Serragli w stronę Piazza Tasso i z Via Włani trafił w maleńki przejazd przy kościele San Francesco di Paola. Kręta ulica prowadziła do Bellosguardo, malowniczo położonej dzielnicy willowej. Warkot potężnego silnika odbijał się echem od kamiennych murów. Przypominał rozdieranie płótna - dźwięk miły dla ucha doktora Lectera, który przechylał się na zakrętach i z trudem znosił zapach lakieru i tanich perfum z kasku. Poprosił młodego mężczyznę, żeby zatrzymał się przy *Piazza Bellosguardo*, niedaleko domu hrabiego Montauto, gdzie mieszkał kiedyś Nathaniel Hawthorne. Chłopak wetknął banknot do kieszeni skórzanej kurtki i tylne światło motocykla oddaliło się szybko krętą ulicą.

Podniecony jazdą doktor Lecter przeszedł jeszcze czterdzieści metrów do czarnego jaguara, wyciągnął kluczyki zza zderzaka i zapalił silnik. Miał lekko startą rękę w miejscu, gdzie zsunęła mu się rękawiczka, gdy zarzucił płachtę na Mattea i zeskoczył na niego z okna pałacu. Posmarował ranę maścią antybakteryjną i ból natychmiast zelżał.

Gdy silnik się rozgrzewał, doktor Lecter przeglądał kasety magnetofonowe. Wybrał Scarlattiego.

## ROZDZIAŁ 37

Samolot sanitarny wzniósł się nad czerwone dachy i skierował na południowy zachód w stronę Sardynii. Krzywa Wieża w Pizie wyłoniła się nad skrzydłem podczas ostrego zwrotu, którego pilot nie wykonałby, gdyby na pokładzie znajdował się żywy pacjent.

Nosze przeznaczone dla doktora Hannibala Lectera zajmowało stygnące ciało Mattea Deograciasa. Jego starszy brat Carlo siedział przy zwłokach w ubraniu sztywnym od zaschniętej krwi.

Carlo Deogracias kazał sanitariuszowi włożyć na uszy słuchawki i włączyć muzykę, a sam za pośrednictwem centrali w Las Vegas połączył się z wybrzeżem Marylandu...

Dla Masona Vergera nie było większej różnicy między dniem i nocą. Teraz spał. Wyłączono nawet światła w akwarium. Głowa Masona spoczywała

bokiem na poduszce z jak zawsze otwartym okiem. Jedynymi dźwiękami były regularne odgłosy respiratora i ciche bulgotanie w akwarium.

W pewnej chwili dołączył do nich nowy dźwięk, cichy, ale natarczywy: brzęczenie prywatnego telefonu Masona. Verger obudził się i namacał przycisk aparatu. Głośnik był pod poduszką, a mikrofon tuż przy jego twarzy.

Najpierw Mason usłyszał w tle samolot, a następnie słodką melodię *Gli Innamorati*.

- Słucham.

- Krwawe *casino* - powiedział Carlo.

- Mów.

- Mój brat Matteo nie żyje. Jest tu przy mnie. Pazzi też nie żyje. Doktor Fell zamordował ich i uciekł.

Mason nie odpowiedział od razu.

- Jest mi pan winien dwieście tysięcy dolarów za Mattea - przypomniał Carlo. - Dla jego rodziny. - W umowach Sardyńczyków zawsze jest klauzula o odszkodowaniu na wypadek śmierci.

- Rozumiem.

- Sprawa Pazziego będzie śmierdziała.

- Lepiej, żeby wyszło na jaw, że Pazzi był skorumpowany - orzekł Mason. - Wtedy lepiej to przyjmą. A był skorumpowany?

- Poza tą sprawą, nie wiem. A jeśli dojdą przez Pazziego do pana?

- Poradzę sobie.

- A ja muszę zadbać o siebie - powiedział Carlo. - Za dużo tego dobrego. Główny



inspektor komendy policji nie żyje, z tego się nie wywinę.

- Przecież nic nie zrobiłeś, prawda?

-Fakt, ale jeśli policja powiąże mnie z tą sprawą... Matko Boska! Przez resztę życia będą mnie obserwować. Nikt nie da mi już żadnego zlecenia, nie będę mógł nawet pierdnąć na ulicy. A co z Orestem? Wiedział, kogo ma filmować?

- Nie sądzę.

- Jutro lub pojutrze komenda zidentyfikuje doktora Fella. Oreste skojarzy fakty, gdy tylko obejrzy wiadomości w telewizji.

- Oreste jest dobrze opłacany. Nic nie może nam zrobić.

- Panu nie, ale w przyszłym miesiącu ma w Rzymie sprawę. Został oskarżony o rozpowszechnianie pornografii. Teraz ma w ręku atut. Trzeba zadziałać ostro. Czy Oreste jest niezastąpiony?

- Porozmawiam z nim - obiecał Mason. - Czy nadal mogę na ciebie liczyć, Carlo? Chcesz odnaleźć doktora Fella? Musisz to zrobić, dla Mattea.

- Tak, ale za pańskie pieniądze.

- Więc pilnuj stada. Zdobądź szczepionki na świńską grypę i cholere. Zdobądź kontenery dla świń. Masz dobry paszport?

- Tak.

- Chodzi mi o naprawdę dobry paszport, Carlo, a nie o jakąś podrzędną podróbkę.

- Mam dobry paszport.

- Odezwę się.

Kończąc rozmowę, Carlo mimowolnie nacisnął przycisk automatycznego wybierania na swoim telefonie komórkowym. Telefon Mattea zapikał głośno w jego martwej ręce, wciąż zaciśniętej w pośmiertnym spazmie. Przez chwilę Carlo myślał, że brat podniesie słuchawkę do ucha. Widząc jednak, że Matteo nie reaguje, wcisnął przycisk kończący połączenie. Wykrzywił twarz, a sanitariusz odwrócił głowę.

## ROZDZIAŁ 38

Diabelska zbroja z rogatym hełmem od tysiąc pięćset pierwszego roku wisiała na ścianie wiejskiego kościoła Santa Reparata na południe od Florencji. Tam, gdzie powinny znajdować się buty, wetknięto rękawice. Ich spiczaste końcówki wystające z nagolenników przypominają rozszczerzone kopyta szatana.

Według miejscowej legendy młody mężczyzna w tej zbroi przechodził kiedyś obok kościoła i wymówił imię Matki Boskiej nadaremno. Później okazało się, że nie może zdjąć zbroi. Gdy wreszcie wybłagał u Madonny przebaczenie, podarował zbroję kościołowi jako ofiarę dziękczynną. Prezentuje się imponująco i nosi zaszczytne ślady po pocisku artyleryjskim, który eksplodował w kościele w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku.

Pokryta filcowatą warstwą kurzu zbrój a spogląda z góry na małą świątynię, w której dobiega końca msza. Dym z kadzidła unosi się do góry i przenika przez pustą przyłbicę.

W nabożeństwie uczestniczą tylko trzy osoby: dwie ubrane na czarno staruszki i doktor Hannibal Lecter. Cała trójka przyjmuje komunię, choć doktor dotyka ustami kielicha z pewną niechęcią.

Ksiądz udziela błogosławieństwa i oddala się. Kobiety wychodzą. Doktor Lecter nie przerywa modłów do chwili, gdy zostaje sam w świątyni.

Wchodzi na chór, sięga przez balustradę między rogi diabelskiej zbroi i zdejmuje zakurzoną przyłbicę. Na krawędzi naszyjnika zaczepiony jest wędkarski haczyk ze sznurkiem. Na sznurku wisi mała paczuszka. Doktor Lecter ostrożnie wyciąga zawiniątko.

W środku znajduje paszporty z najlepszych brazylijskich wytwórni, dowód osobisty, gotówkę, książeczki czekowe, klucze. Wszystko chowa pod kurtkę.

Doktor Lecter nie jest sentymentalny, ale żal mu opuszczać Włochy. W Palazzo Capponi pozostało jeszcze wiele ciekawych manuskryptów. Lubił grać na fortepianie, być może zacząłby komponować. Mógł też przygotować posiłek dla pani Pazzi, gdy wdowa ukończyła swój żal.

## ROZDZIAŁ 39

Krew Rinalda Pazziego kapłała na rozpalone reflektory przy Palazzo Vecchio. Policja wezwała straż pożarną, żeby ściągnąć zwłoki na dół.

*Pompieri* skorzystali z wysuwanej drabiny na wozie strażackim. Pewni, że powieszony mężczyzna nie żyje, nie spieszyli się zbytnio. Zadanie było delikatne - musieli zebrać dyndające wnętrzności i owinąć zwłoki w siatkę przed opuszczeniem ich na linie.

Gdy ciało dotarło do wyciągniętych w górę ramion strażaków, reporterowi „La Nazione” udało się zrobić rewelacyjną fotografię, która wielu czytelnikom przypominała wielkie dzieła malarskie, ukazujące zdjęcie Jezusa z krzyża.

Policja zostawiła stryczek na miejscu, żeby można było zdjąć odciski palców. Mocny przewód na środku pętli tak przecięto, aby nie naruszyć węzła.

Wielu florentyńczyków uznało, że Pazzi popełnił samobójstwo i sam związał sobie ręce, jak robią samobójcy więzienni. Fakt, iż miał również związane nogi, pominięto. Jeszcze tego samego wieczoru lokalna stacja radiowa podała, że Pazzi wykonał harakiri, a następnie się powiesił.

Ale policja nie dała się zwieść - przecięte pęta na balkonie i ręczny wózek, zniknięcie broni Pazziego, relacje świadków o Carlo, który wpadł do pałacu, i o zakrwawionej, okrytej całunem postaci biegnącej ulicą wskazywały, że policjant został zamordowany.

Później włoska opinia publiczna uznała, iż Pazzi padł ofiarą Il Mostro.

Policja przypomniała sobie o nieszczęsnym Girolamie Tocce, któremu już kiedyś przypisano tożsamość Il Mostro. Został aresztowany, miał jednak mocne alibi. Pił *ramazzotti* w kawiarni na oczach księdza. Tocce zwolniono, ale musiał wracać do San Casciano autobusem na własny koszt.

W ciągu pierwszych kilku godzin przesłuchano personel Palazzo Vecchio i członków Studiolo.

Policja nie mogła znaleźć doktora Fella, którego uznano za głównego podejrzanego. Przypomniano jednak sobie, że Pazzi prowadził śledztwo w sprawie zaginięcia poprzednika doktora Fella. Ustalono także, że w ostatnich dniach sprawdzał pozwolenie na pracę doktora. Dokumenty Fella, między innymi fotografie, dołączone negatywy i odciski palców zostały wydane na fałszywe nazwisko, ale podpis skreślono pismem podobnym do pisma Pazziego.

Urząd imigracyjny ujawnił numer paszportu Fella, który wydano w Brazylii.

Mimo to policja nie zdołała ustalić prawdziwej tożsamości Fella. Zdjęto odciski palców z węzłów na stryczku, z mównicy, z ręcznego wózka i z kuchni w Palazzo Capponi.

Mając tylu artystów pod ręką, portret pamięciowy doktora Fella przygotowano w ciągu kilku minut.

W niedzielę rano specjalista od daktyloskopii ustalił, że na mównicy, na pętli i na urządzeniach kuchennych doktora Fella w Palazzo Capponi znajdują się odciski palców tej samej osoby.

Odcisk kciuka Hannibala Lectera z plakatu w siedzibie komendy policji nie został zbadany.

W niedzielę wieczorem odciski palców z miejsca zbrodni powędrowały do Interpolu, po czym trafiły do kwatery FBI w Waszyngtonie, wraz z siedmioma tysiącami innych odcisków. Odciski z Florencji wprowadzono do systemu automatycznej klasyfikacji. Wkrótce oficer pełniący nocną służbę ujrzał, jak z drukarki wypelza wizerunek Hannibala Lectera. Natychmiast zatelefonował do zastępcy dyrektora Sekcji Identyfikacyjnej, a on z kolei zawiadomił dyrektora oraz Krendlera z Departamentu Sprawiedliwości.

Telefon Masona zadzwonił o pierwszej trzydzieści. Verger udał zdziwienie i zainteresowanie.

Telefon Jacka Crawforda zadzwonił o pierwszej trzydzieści pięć. Crawford chrząknął kilka razy i przeturlał się na pustą część małżeńskiego łóża, którą kiedyś zajmowała jego zmarła żona. Pościel była tam chłodna i szybciej udało mu się pozbierać myśli.

Clarice Starling jako ostatnia dowiedziała się, że doktor Lecter znów zabił. Odłożyła słuchawkę i przez dłuższy czas leżała nieruchomo w ciemnościach. Piekły ją oczy, choć nie płakała. Wpatrywała się w ciemny sufit i wydawało jej się, że dostrzega tam znajomą twarz. Była to dawna twarz doktora Lectera.

## ROZDZIAŁ 40

Pilot samolotu sanitarnego nie chciał po ciemku lądować na krótkim pasie startowym w Arbatrax. Wylądowali więc w Cagliari. Uzupełnili zapas paliwa i poczekali do świtu, żeby wystartować przy bajecznym wschodzie słońca, który nadawał martwym policzkom Mattea złudne kolory.

Ciężarówka z trumną czekała już przy pasie startowym w Arbatrax. Pilot wyklócał się o pieniądze. Tommaso zdążył interweniować, zanim Carlo uderzył go w twarz.

Po trzech godzinach jazdy górskimi drogami dotarli na miejsce.

Carlo podszedł do szopy, którą zbudował razem z bratem. Wszystko zostało przygotowane, ustawiono kamery, które miały sfilmować śmierć Lectera.

Stanął przed drewnianą ścianą i spojrzał na swoje odbicie w wielkim rokokowym zwierciadle nad zagrodą dla zwierząt. Patrząc na drewniane bale, które razem piłowali, myślał o potężnych, kanciastych dłoniach Mattea. Z piersi wyrwał mu się rozdzierający krzyk, tak głośny, że odbił się echem od ściany lasu. W zaroślach górskiego pastwiska pojawiły się ryje z kłami.

Bracia Piero i Tommaso zostawili go samego.

Na górskim pastwisku śpiewały ptaki.

Z domu wyszedł Oreste Pini. Jedną ręką zapinał rozporek, a drugą wymachiwał telefonem komórkowym.

- Więc nie udało ci się z Lecterem. Co za pech! Carlo sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał.

- Słuchaj, nie wszystko stracone - mówił Pini. - Na linii mam Masona. Chce, żebyśmy nakręcili *simulado*. Coś, co będzie mógł pokazać Lecterowi, kiedy już go schwyta. Wszystko jest przygotowane. Mamy ciało. Mason mówi, że to jakiś zbir, którego wynająłeś. Mówi, że moglibyśmy po prostu przetrzucić go *przez* ogrodzenie, gdy zbiegną się świny, i włączyć nagranie z taśmy. Masz, porozmawiaj z Masonem.

Carlo odwrócił się i patrzył na Orestego, jakby był przybyszem z kosmosu. Wreszcie wziął telefon. Gdy rozmawiał z Masonem, jego twarz rozjaśniła się. Już spokojny, zamknął telefon.

- Przygotuj się - powiedział do Piniego.

Zawołał Piera i Tommasa. Z pomocą kamerzysty przenieśli trumnę do szopy.

- Nie stawiajcie jej za blisko. Nie może znaleźć się w kadrze - rzekł Oreste. - Najpierw nakręcmy zbiegające się zwierzęta, a później przejdziemy do sedna.

Widząc ruch w szopie, pierwsze świnie wyszły z ukrycia.

Przybiegły truchtem. Dzikie świnie o zapadniętych piersiach i potężnych mięśniach karku pod grzebieniem stojącej szczeciny. Poruszały się na małych racicach z prędkością wilka i mogły unieść na wielkich ostrych kłach człowieka.

- *Pronti!* - zawołał kamerzysta.

Zbliżały się pozostałe zwierzęta. Nie odstraszały ich ludzie za ogrodzeniem. Nie jadły od trzech dni.

- *Motore!* - zawołał Oreste.

- *Partito!* - krzyknął kamerzysta.

Świnie zatrzymały się dziesięć metrów przed szopą, przepychając się i kopiąc racicami w ziemi - gąszcz nóg i kłów z ciężarną lochą w środku. Oreste przyglądał im się przez złożone w kadr ręce.

- *Azione!* - zawołał do Sardyńczyków.

Carlo podszedł do Orestego i wbił mu nóż między pośladki. Powietrze rozdarł krzyk. Carlo chwycił Piniego za biodra i wrzucił głową do przodu do

zagrody. Świnie ruszyły. Oreste próbował się podnieść. Klęknął na jedno kolano, ale locha huknęła go w żebra. Rozpłaszczył się na ziemi jak długi. Zwierzęta opadły go, charcząc i kwicząc. Dwa dziki wgrzyzały się w jego twarz. Oderwały szczękę i podzieliły się nią jak obojczykiem kurczęcia. Oreste nadal próbował się podnieść. Prawie mu się udało, lecz po chwili znów wylądował na plecach z odsłoniętym brzuchem, wymachując rękami i nogami wśród kłębiących się ciał. Krzyczał, ale bez szczęki nie był w stanie wyartykułować żadnych słów.

Operator porzucił włączoną kamerę. Próbował uciec, lecz nie zdołał umknąć kuli z broni Piera.

Świnie wgrzyzały się w ciało Orestego coraz głębiej, rozciągając kawałki po zagrodzie.

- *Masz swoje azione* ~ splunął na ziemię Carlo.

**CZEŚĆ III**  
**DO NOWEGO ŚWIATA**

## ROZDZIAŁ 41

Masona Vergera otaczała grobowa cisza. Traktowano go jak matkę, która właśnie straciła dziecko.

- Czuję się, jakbym zapłacił mnóstwo pieniędzy za martwego makaroniarza - oznajmił.

Po kilkugodzinnym śnie zażądał, aby do pokoju z zabawkami sprowadzono dzieci. Chciał porozmawiać z tymi najbardziej smutnymi. Lecz zdobycie smutnych dzieci w tak krótkim czasie okazało się niemożliwe, a dostawca ze slumsów w Baltimore nie miał czasu, żeby je zasmucić dla Masona.

Niepocieszony, kazał swojemu służącemu Cordellowi okaleczyć ozdobne karpie i rzucić je na pożarcie murenie. Kiedy murena nie mogła już przełknąć ani kęsa, schował się za skałką w zabarwionej na różowo wodzie pełnej opalizujących złotych strzępów.

Mason próbował jeszcze podręczyć swoją siostrę Margot, ale zamknęła się w siłowni i przez kilka godzin ignorowała jego wezwania. Była jedyną osobą w Muskrat Farm, która miała odwagę ignorować Masona.

W wieczornym wydaniu sobotnich wiadomości pojawił się krótki i bardzo pocięty fragment amatorskiego nagrania wideo ukazującego śmierć Rinalda Pazziego. Część obrazu specjalnie zamazano, żeby oszczędzić widzom drastycznych szczegółów.

Sekretarka Masona natychmiast postarała się o oryginalną taśmę, która przyleciała helikopterem cztery godziny później.

Nagranie miało ciekawą historię.

W chwili śmierci Rinalda Pazziego dwóch turystów filmowało Palazzo Vecchio. Jeden z nich w krytycznym momencie przestraszył się i opuścił kamerę. Drugiemu, Szwajcarowi, ręka nie zadrżała ani przez chwilę, a nawet zrobił długie ujęcie, prowadząc kamerę do góry wzdłuż drgającego, kołyszącego się przewodu.

Filmowiec amator, urzędnik o nazwisku Viggert, obawiał się, że policja zarekwiruje kasetę i telewizja RAI dostanie ją za darmo. Natychmiast skontaktował się telefonicznie ze swoim prawnikiem w Lozannie, zastrzegł sobie prawa autorskie do filmu i po burzy przetargowej sprzedał je sieci ABC. Pierwsze prawa do przedruku prasowego w Ameryce uzyskał „New York Post”, a w dalszej kolejności „National Tattler”.

Film natychmiast zapewnił sobie miejsce wśród klasycznych spektakli grozy, takich jak Zapruder, zabójstwo Lee Harveya Oswalda i samobójstwo Edgara Bolgera, lecz Viggert później żałował, że sprzedał prawa tak szybko, zanim o zbrodnię oskarżono doktora Lectera.

Mason otrzymał kopię wakacyjnego filmu rodziny Viggertów. Szwajcarska rodzina



posłusznie krąży wokół genitaliów Dawida w godzinach otwarcia Galleria dell' Academia przed incydem w Palazzo Vecchio.

Mason przyglądał się nagraniu swoim pojedynczym wylupiastym okiem. Niewiele interesował go drogi kawałek mięsa kiwający się na końcu przewodu elektrycznego. Nie zainteresowała go również mała lekcja historii, zamieszczona w „La Nazione” i „Corriere della Sera”, o dwóch Pazzich, których powieszono w tym samym miejscu w odstępie pięciuset dwudziestu lat. Jego uwagę przykuło długie ujęcie wzdłuż drgającego przewodu aż do balkonu, gdzie na tle słabego światła z wewnątrz rysowała się zamazana drobna sylwetka. Postać machała ręką. Machała do Masona. Doktor Lecter machał do Masona, poruszając tylko dłonią nad nadgarstkiem, tak jak macha się do dziecka.

- Do widzenia - odpowiedział z ciemności Mason. - Do widzenia. - Jego głęboki głos drżał z wściekłości.

## ROZDZIAŁ 42

Przypisanie morderstwa Rinalda Pazziego doktorowi Hannibalowi Lecterowi pozwoliło Clarice Starling zająć się wreszcie czymś poważnym. Została łączniczką między FBI i włoską policją. Cieszyła się, że może skupić się na jednym konkretnym zadaniu.

Świat Starling uległ zmianie od czasu strzelaniny przy targu rybnym Feliciana. Wraz z innymi ocalałymi uczestnikami akcji znalazła się w administracyjnym czyścicu, oczekując na raport Departamentu Sprawiedliwości w tej sprawie.

Po odnalezieniu zdjęcia rentgenowskiego Lectera Starling dreptała w miejscu. Wykładała w Akademii Policyjnej w Quantico, gdzie zastępowała chorych lub przebywających na urlopie instruktorów.

Jesienią i zimą Waszyngton żył skandalem w Białym Domu. Zaciętrzewieni reformatorzy wytoczyli więcej śliny, niż zużyto podczas tego żalostnego erotycznego występu, i w rezultacie prezydent Stanów Zjednoczonych, żeby uniknąć *impeachmentu*, musiał publicznie giąć kark częściej i niżej niż zwykle.

W całym tym cyrku drobny incydent przy sklepie rybnym zszedł na boczny tor.

Z każdym dniem w Starling narastała ponura świadomość: służba w FBI już nigdy nie będzie dla niej tym, czym była kiedyś. Została napiętnowana. Współpracownicy obchodzili się z nią jak ze śmierdzącym jajkiem. Starling była na tyle młoda, że takie zachowanie zaskakiwało ją i rozczarowywało.

Z zadowoleniem rzuciła się w wir pracy. Do Sekcji Behawioralnej napływały prośby Włochów o informacje dotyczące Hannibala Lectera, zwykle w dwóch egzemplarzach: jedną kopię przysyłał Departament Stanu. Starling chętnie odpowiadała, okupując faksy i przysyłając e-mailem pliki na temat Lectera. Była zaskoczona, że w ciągu siedmiu lat od ucieczki doktora zebrano tak wiele materiałów.

Jej maleńka klitka w piwnicach Sekcji Behawioralnej tonęła w papierach, zamazanych faksach z Włoch i kopiach włoskich dokumentów.

Cóż wartościowego mogła wysłać Włochom? Odkryli, że kilka dni przed śmiercią Pazziego na jedynym z komputerów w komendzie policji ktoś otworzył plik Lectera z bazy danych VICAP w Quantico. Na podstawie tej informacji włoska prasa zrehabilitowała Pazziego. Uznano, że w tajemnicy pracował nad schwytaniem doktora Lectera, pragnąc w ten sposób odzyskać dobre imię.

Starling zastanawiała się także, jakie informacje dotyczące zabójstwa Pazziego mogłyby przydać się jej na wypadek, gdyby doktor postanowił wrócić do Stanów

Zjednoczonych.

Nie mogła liczyć na rady Jacka Crawforda, który wielkimi krokami zbliżał się do emerytury. Często bywał w sądzie i zeznawał w wielu otwartych procesach. Brał coraz więcej zwolnień chorobowych, a kiedy już przychodził do biura, wydawał się coraz bardziej niedostępny.

Myśl o braku wsparcia z jego strony przyprawiała Starling o ataki paniki.

Przez lata służby w FBI Starling widziała bardzo dużo. Zdawała sobie sprawę, że jeśli doktor Lecter znów zabije w USA, Kongres zachłyśnie się świętym oburzeniem, z Departamentu Sprawiedliwości dobiegnie głośny ryk spóźnionych oskarżeń i zacznie się na dobre zabawa w „Kogo udupić?”. W pierwszej kolejności dostanie się służbom granicznym za wpuszczenie Lectera do kraju.

Lokalna policja zażąda wszystkich materiałów związanych z doktorem, a wysiłki FBI skupią się wokół miejscowego biura. A kiedy Lecter zabije w jakimś innym miejscu, cała procedura się powtórzy.

Jeśli zostanie schwytany, wszyscy będą wynosić pod niebiosa swe zasługi i gryźć się między sobą jak niedźwiedzie wokół rannej fokii.

Zadanie Starling polegało na przygotowaniu się na ewentualność powrotu doktora. Zadała sobie proste pytanie, które dla karierowicza w Waszyngtonie

brzmiałoby banalnie: Jak zdoła dochować złożonej przysięgi? Jak zdoła ochronić obywateli i schwycić go, jeśli wróci?

Doktor Lecter niewątpliwie miał dobre papiery i sporo pieniędzy. Wspaniale opanował sztukę kamuflażu. Weźmy na przykład elegancką prostotę jego pierwszej kryjówki po ucieczce z Memphis - zameldował się w czterogwiazdkowym hotelu przy wielkiej klinice chirurgii plastycznej w St. Louis. Połowa gości chodziła z zabandażowanymi twarzami. Więc i on zabandażował sobie twarz i płacił się w luksusie za pieniądze zabitego mężczyzny.

Wśród setek dokumentów miała jego rachunki hotelowe z St. Louis. Astronomiczne. Butelka Batard-Montrachet sto dwadzieścia pięć dolarów. Jak cudownie musiało smakować wino po latach więziennej diety.

Poprosiła o kopie wszystkich materiałów pozostałych po doktorze we Florencji. Włosi spełnili jej prośbę. Patrząc na niewyraźne, zamazane litery, pomyślała, że do kopiowania używają sadzy.

W przesłanych papierach panował chaos. Wśród dokumentów doktora Lectera z Palazzo Capponi znalazło się kilka skreślonych jego charakterystycznym pismem notatek o Dantem, liścik do sprzątaczkii oraz rachunek z florenckich delikatesów „Vera dal 1926” za

dwie butelki Batard-Montrachet i *tartufi bianchi*. Znów ten sam gatunek wina, ale cóż znaczy *tartufl bianchil*.

We włosko-angielskim słowniku sprawdziła, że *tartufi bianchi* to białe trufle. Zadzwoniła do szefa kuchni dobrej waszyngtońskiej restauracji i zapytała o nie. Zaczął rozwodzić się nad ich smakiem. Po pięciu minutach z trudem przerwała mu wykład.

Smak. Wino, trufle. Dobry smak stanowił wspólny mianownik egzystencji Lectera w Ameryce i Europie. Doktor mógł zmienić twarz, ale nie gust, a był człowiekiem, który lubi sobie pofolgować.

Dla Starling kwestia dobrego smaku była dość drażliwa, gdyż właśnie w tej sferze doktor Lecter po raz pierwszy dotknął ją do żywego, chwaląc torebkę i kpiąc z tanich butów. Jak ją wtedy nazwał? Wyszorowanym mydłem, pozbawionym smaku wiejskim popychadłem.

Właśnie dobry smak nie dawał jej spokoju w codziennym trybie instytucjonalnej egzystencji wśród czysto funkcjonalnych sprzętów.

W tym samym czasie Starling traciła wiarę w technikę. Była znużona techniką. Wiara w technikę jest religią tych, którzy uprawiają niebezpieczne zawody. Aby wziąć udział w pojedynku z uzbrojonym przestępcą, trzeba wierzyć, że perfekcyjna technika i dobre wyszkolenie uczynią cię niezwyciężonym. Nieprawda, zwłaszcza w wypadku pojedynków strzeleckich. Możesz mieć przewagę techniczną, ale jeśli będziesz uczestniczył w wielu strzelaninach, w końcu przyjdzie na ciebie kolej i zginiesz.

Starling wszystko to widziała.

Zwątpiwszy w starą religię, ku jakiej wierze mogła się teraz zwrócić?

Pośród codziennych zmartwień i dręczącej monotonii życia zaczęła zwracać uwagę na kształt rzeczy. Zaczęła ufać swym instynktownym reakcjom. Zauważyła też zmianę w swych przyzwyczajeniach czytelniczych. Do tej pory, zanim spojrziała na zdjęcie, czytała podpis pod nim. Teraz nie. Teraz często w ogóle nie czytała podpisów.

Od lat czytywała magazyny mody. Robiła to w tajemnicy, dręczona wyrzutami sumienia, jak gdyby miała do czynienia z pornografią. Teraz zaczęła przyznawać się przed samą sobą, że coś w tych zdjęciach rozbudza jej apetyt. Odnosiła wrażenie, że oddaje się jakiejś ponętnej perwersji.

Zapewne w dużej mierze dzięki wewnętrznej przemianie, jaka się w niej dokonała, Starling doszła do wniosku, że zamięłowanie doktora Lectera do rarytasów, *rzeczy* ekskluzywnych może być płetwą grzbietową potwora, widoczną nad powierzchnią wody.

Analizując i porównując komputerowe listy sklepowych klientów, mogła wpaść na trop któregoś z jego fałszywych wcieleń. Ale najpierw musiała poznać jego gust. Poznać

dobrze, lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Co on lubi? - zastanawiała się. Muzykę, wino, książki, jedzenie. I mnie.

Pierwszym krokiem przy wyrabianiu w sobie dobrego smaku jest chęć polegania na własnych opiniach. Co do potraw, wina i muzyki Starling musiała prześledzić dawne preferencje doktora, lecz w jednej dziedzinie jej wiedza nie ustępowała wiedzy Lectera. Samochody. Starling była maniaczką motoryzacji, co potwierdziłby każdy, kto widział jej samochód.

Przed aresztowaniem doktor Lecter jeździł bentleyem z doładowaniem. Z doładowaniem, a nie z turbodoładowaniem. Robiony na zamówienie model z dmuchawą waporową. Starling szybko zrozumiała, że rynek produkowanych na zamówienie bentleyów jest tak mały, że doktor za bardzo by ryzykował, chcąc wrócić do tego modelu.

Co zatem mógłby kupić teraz? Znała jego upodobania. Jakiś duży samochód z silnikiem ośmiozaworowym o wysokim momencie obrotowym i dmuchawą waporową, coś z wykopem. Co wybrałby z bieżącej oferty?

Bez wątplenia jaguara XJR z doładowaniem. Posłała faks do dystrybutorów jaguara na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu, prosząc o cotygodniowe raporty sprzedaży.

Jakie jeszcze upodobania doktora Lectera znała?

Pomyślała, że przecież lubi ją.

Bardzo szybko zareagował na jej nieszczęście, a przecież korespondencja ze Stanów docierała do niego z opóźnieniem. Fatalnie, że trop związany z maszyną stemplującą rozmył się - maszyna znajdowała się w miejscu ogólnie dostępnym, mógł więc z niej skorzystać każdy.

Jak szybko „National Tattler” dotarł do Włoch? Z tego źródła doktor dowiedział się o kłopotach Starling - egzemplarz znaleziono w Palazzo Capponi. A może skandalowi z jej udziałem poświęcono stronę w Internecie? Jeśli

Lecter miał we Włoszech komputer, mógł otworzyć strony FBI i przeczytać o strzelaninie. Na liście rzeczy doktora znalezionych w Palazzo Capponi nie było komputera. Ona jednak coś widziała. Wyciągnęła zdjęcia biblioteki w Palazzo Capponi. Fotografia pięknego biurka, przy którym pisał do niej list. Na biurku stoi komputer. Laptop Philipsa. Na zdjęciach wykonanych później, już go nie ma.

Zaglądając raz po raz do słownika, Starling z trudem skleciła faks do komendy policji we Florencji:

Fra le cose personali del dottor Lecter, c'e un computerportatile?

I tak, małymi krokami, Clarice Starling ruszyła śladem wyznaczonym przez

upodobania doktora Lectera, choć jej wiara w słuszność tej drogi nie była całkowicie racjonalna.

## ROZDZIAŁ 43

Cordell, asystent Masona Vergera, natychmiast rozpoznał charakterystyczne pismo, kiedy porównał je z próbką ustawioną w ramce na jego biurku. Papeteria pochodziła z hotelu „Excelsior” we Florencji.

Mason - tak jak wiele innych bogatych osób w dobie zminiaturyzowanych bomb - miał własny fluoroskop, podobny do urządzenia stosowanego przez amerykańską pocztę.

Cordell założył rękawiczki i zbadał list. Fluoroskop nie wykrył żadnych przewodów czy baterii. Cordell zgodnie ze ścisłymi poleceniami Masona skopiował list i kopertę, obracając je szczypcami. Zanim wziął do ręki kopię, którą zaniósł Masonowi, zmienił rękawiczki.

Doktor Lecter pisał:

Drogi Masonie,

Dziękuję, że wyznaczyłeś za mnie tak wysoką nagrodę. Chciałbym, żebyś jeszcze ją podniósł. Jako system wczesnego ostrzegania nagroda w takich przypadkach jest lepsza niż radar. Skłania policjantów do porzucania służbowych obowiązków i podejmowania prób samodzielnego schwywania mnie. Rezultaty sam mogłeś ostatnio obejrzeć.

Właściwie piszę po to, żeby odświeżyć ci pamięć. Chodzi o twój dawny nos. W natchnionym wywiadzie antynarkotykowym udzielonym jakiś czas temu „Ladies Home Journal” stwierdziłeś, że nakarmiłeś swym nosem i resztą twarzy parę machających ogonami psiaków o imionach Skippy i Spot. Niezupełnie tak: sam go zjadłeś, na przekąskę. Odgłosy jego przeżuwania pozwalają mi

wnioskować, że miał konsystencję podobną do kurzego żołądka. „Smakuje jak kurczak”, stwierdziłeś wówczas. Dźwięk ten przypomni mi się w bistro, gdy pewien Francuz chrupał sałatkę gesier.

Czyżbyś zapomniał, Masonie?

A propos smakowitych kąsków, wyznałeś podczas terapii, że gdy demoralizowałeś ubogie dzieci w czasie letniego obozu, odkryłeś, iż czekolada podrażnia twoją cewkę moczową. Tego też sobie nie przypominasz, prawda?

Nie uważasz za prawdopodobne, że powiedziałeś mi o wielu rzeczach, których teraz nie pamiętasz?

Istnieje niezaprzeczalna paralela między tobą, Masonie a Jezabel. Skoro tak pilnie studiujesz Biblię, powinieneś sobie przypomnieć, że psy zjadły jej twarz i całą resztę, gdy eunuchowie wyrzucili ją przez okno.

Twoi ludzie mogli zamordować mnie na ulicy. Ale chciałeś dostać mnie żywego, prawda? Zapach twoich zbirów nie pozostawiał mi żadnych wątpliwości co do sposobu, w jaki chciałeś mnie zabawić. Masonie, Masonie. Skoro tak bardzo chcesz się ze mną zobaczyć, mam dla ciebie słowa pocieszenia, a wiesz, że nigdy nie kłamię.

Przed śmiercią ujrzysz moją twarz.

Serdeczności dr Hannibal Lecter

PS. Martwię się jednak, że nie dożyjesz tej chwili, Masonie. Wcześniej bowiem zapadniesz na zapalenie płuc. Jesteś na nie bardzo podatny, leżąc tak nieruchomo (co się już nie zmieni). Polecałbym natychmiastowe szczepienie, a także zastrzyki przeciw wirusowemu zapaleniu wątroby A i B. Nie chcę cię przedwcześnie stracić.

Gdy Mason zakończył lekturę, sprawiał wrażenie, jakby zabrakło mu tchu. Czekał i po długim czasie powiedział do Cordella coś, czego ten nie dosłyszał. Cordell pochylił się nisko, a Mason znów przemówił: - Połącz mnie z Pauliem Krendlerem. I z opiekunem świń.



## ROZDZIAŁ 44

Na pokładzie helikoptera, którym sprowadzano codziennie zagraniczną prasę dla Masona Vergera, przyleciał do Muskrat Farm zastępca inspektora generalnego Paul Krendler.

Złowroga obecność Masona, jego mroczny pokój z syczącymi, wzdychającymi urządzeniami i pływającą mureną wystarczyłyby, żeby Krendler poczuł się nieswojo. A musiał jeszcze kilkakrotnie obejrzeć na wideo śmierć Pazziego.

Siedem razy patrzył na Viggertów krążących wokół Dawida, na lot Pazziego i jego wypadające trzewia. Za siódmym razem miał wrażenie, że trzewia Dawida też wypadną.

Wreszcie nad fotelem w pokoju Masona zapaliły się jasne światła, grzejąc Krendlera w czubek głowy, gdzie pod rzednącymi krótkimi włosami lśniła skóra.

Vergerowie jak nikt inny potrafią wyczuć ludzką zachłanność, Mason rozpoczął więc od tego, co Krendler chciał uzyskać dla siebie. Jego głos wydobywał się z mroku, a zdania odmierzały oddechy respiratora.

- Nie muszę wysłuchiwać... pańskich politycznych wywodów... ile to będzie kosztowało?

Krendler chciał porozmawiać z Masonem na osobności, tymczasem towarzyszył im ktoś jeszcze. Na tle podświetlonego akwarium widać było zarys szerokich ramion i wspaniale umięśnionej sylwetki. Krendlerowi nie spodobała się myśl, że ich rozmowie będzie się przysłuchiwał ochroniarz.

- Wolałbym pomówić w cztery oczy. Mógłby pan go wyprosić?

- To moja siostra Margot - odparł Mason. - Może zostać.

Margot wyłoniła się z mroku, ubrana w obcisłe spodenki do jazdy na rowerze.

- Najmocniej przepraszam - wybąkał Krendler. Podniósł się z fotela i wyciągnął dłoń.

- Witam - rzuciła, ale zamiast ucisnąć wyciągniętą rękę, wzięła z miski na stole dwa orzechy włoskie. Rozłupała je głośno w dłoni i wtopiła się w mrok przed akwarium. Krendler słyszał, jak łupiny spadają na podłogę.

- No dobrze, niech pan mówi - zwrócił się do niego Mason.

- Na pokonanie Lowensteina w dwudziestym siódmym okręgu potrzebuję minimum dziesięciu milionów dolarów. - Krendler założył nogę na nogę i odwrócił wzrok, wpatrując się gdzieś w ciemność. Nie wiedział, czy Mason go obserwuje. - Tyle będą mnie kosztować media. Ale mam na niego haka. Dowiedziałem się czegoś. Cóż takiego przeszkrobał?

- Powiemy tylko, że jego postępowanie.

- Chodzi o forszę czy o cipę?

W obecności Margot Krendler wolał nie powtarzać słowa „cipa”, choć Mason najwyraźniej nie miał takich skrupułów.

- Jest żonaty i od dawna ma romans z sędzią stanowego sądu apelacyjnego, który łagodnie potraktował kilku jego sponsorów. Wyroki te są prawdopodobnie zbiegiem okoliczności, lecz wystarczy, by telewizja go ukamienowała.

- Sędzia jest kobietą? - zapytała Margot. Krendler kiwnął głową.

- Tak - dodał, nie wiedząc, czy Mason widział jego gest.

- Niedobrze - ocenił Mason. - Lepiej gdyby był pedałem, prawda Margot? W każdym razie sam nie może pan tego wyciągnąć, Krendler. Sprawa nie może wyjść od pana.

- Obmyśliliśmy plan, który pozwala wyborcom...

- Sam nie może pan tego wyciągnąć - powtórzył Mason.

- Zadbam tylko o to, by członkowie komisji sądowej wiedzieli, do czego się przyczepić, żeby Lowenstein się nie wykiął, gdy go zaatakujemy. A więc może mi pan pomóc?

- Mogę sfinansować połowę.

- Pięć?

- Wolałbym, żeby nie bagatelizował pan sprawy, rzucając od niechcienia „pięć”. Wyrażmy się z całym szacunkiem, na jaki ta suma zasługuje: pięć milionów dolarów. Bóg zesłał mi te pieniądze i dzięki nim spełnią jego wolę: dostanie je pan tylko wtedy, gdy Hannibal Lecter wpadnie w moje ręce. -Mason zrobił przerwę na kilka oddechów. - Jeśli tak się stanie, zostanie pan kongresmenem Krendlerem z dwudziestego siódmego okręgu, niezależnym i czystym. Jediną rzeczą, o jaką będę prosił, to sprzeciw wobec ustawy o humanitarnym uboju. Jeśli FBI dopadnie Lectera, po czym gliny zamkną go i zaaplikują mu śmiertelny zastrzyk, nie będę chciał pana znać.

- Nic na to nie poradzę, jeśli schwyta go miejscowa policja. Lub jeśli szczęście dopisze ludziom Crawforda.

- W ilu stanach grozi doktorowi Lecterowi kara śmierci? - zapytała Margot. Miała nieco zachrypnięty, głęboki głos.

- W trzech stanach jest oskarżony o wielokrotne morderstwa pierwszego stopnia.

- Jeśli zostanie aresztowany, chcę, żeby jego proces prowadzono na poziomie stanowym - zażądał Mason. - Żadnych spraw o porwanie, naruszenie praw obywatelskich, żadnych działań międzystanowych. Chcę, żeby uszedł z życiem i trafił do stanowego więzienia. Nie może otrzymać najwyższego wymiaru kary.

- Powinienem zapytać dlaczego?

- Jeśli tylko chce pan wiedzieć. Ale ostrzegam, że odpowiedź nie zadowoliliby sympatyków ustawy o humanitarnym uboju. - Mason zachichotał. Rozmowa wyczerpała go. Dał znak Margot.

Podeszła z notatkami do światła i przeczytała je Krendlerowi.

- Chcemy dostawać od pana wszystkie informacje, zanim dotrą do Sekcji Behawioralnej, oraz otrzymywać raporty Sekcji Behawioralnej natychmiast po ich sporządzeniu. Prosimy też o kody dostępu do bazy danych VICAP i Państwowego Centrum Informacji Kryminalnej.

- Żeby wejść do VICAP, trzeba korzystać z telefonów publicznych - powiedział Krendler, wciąż zwracając się w stronę ciemności, jak gdyby nie zauważał siostry Masona. - Jak pan to zrobi?

- Ja się tym zajmę - zapewniła Margot.

- Ona się tym zajmie - szepnął Mason z mroku. - Tworzy programy treningowe dla kulturystów. To jej mały interes i nie musi żyć z pieniędzy brata.

- FBI ma zamknięty system, którego część jest zakodowana. Będziecie się musieli logować dokładnie według moich instrukcji i ściągać informacje do laptopa zaprogramowanego w Departamencie Sprawiedliwości - informował Krendler. - Dzięki temu, jeśli będą was chcieli namierzyć, zostaną nakierowani na Departament Sprawiedliwości. Kupcie za gotówkę na giełdzie laptopa z szybkim modemem i nie odsyłajcie żadnych certyfikatów. Kupcie też program archiwizujący. Trzymajcie się z dala od Internetu. Będę go potrzebował na jeden dzień, a po wszystkim chcę go z powrotem. Odezwę się. To wszystko. - Krendler wstał i zaczął zbierać swoje papiery.

- Niezupełnie wszystko, panie Krendler... - powiedział Mason. - Lecter nie musi się ujawniać. Ma tyle pieniędzy, że może siedzieć w ukryciu do końca życia.

- Skąd ma tyle pieniędzy? - zapytała Margot.

- Podczas swej praktyki psychiatrycznej leczył bardzo bogatych klientów w podeszłym wieku - wyjaśnił Krendler. - Nakłonił ich do przekazania mu znacznych sum pieniędzy i papierów wartościowych i dobrze je ukrył. Urząd skarbowy niczego nie znalazł. Ekshumowali ciała kilku jego dobroczyńców, żeby się przekonać, czy ich zabił, ale niczego nie znaleziono. Badania nie wykazały obecności toksyn.

- A zatem na pewno nie zostanie schwytany podczas kradzieży - orzekł Mason. - Musimy wywabić go z kryjóWKi. Niech pan myśli, jak to zrobić.

- Będzie wiedział, kto stał za akcją we Florencji - ostrzegł Krendler.

- Oczywiście.

- Więc będzie chciał pana dopaść.

- Nie wiem - odparł Mason. - Podobam mu się w takim stanie, w jakim jestem. Niech pan myśli, Krendler - dodał i zaczął nucić jakąś melodię. Często podśpiewywał, kiedy coś knuł.

Wychodząc z pokoju, zastępca inspektora generalnego Krendler słyszał tylko melodię. Słów nie rozróżniał.

„Masz doskonałą przynętę, Krendler, ale pomówimy o niej, gdy już przyjmiesz kompromitującą cię sumę, gdy już będę cię miał w garści” - nucił Mason.

## ROZDZIAŁ 45

W pokoju zostają tylko oni dwoje: brat i siostra. Przyćmione światło i muzyka. Muzyka z Afryki Północnej, arabska lutnia i bębny. Margot siedzi na sofie z opuszczoną głową i łokciami wspartymi o kolana. Wygląda jak odpoczywający miotacz lub ciężarowiec po

wyczerpującym treningu na siłowni. Oddycha nieco szybciej niż respirator Masona.

Utwór kończy się. Margot wstaje, podchodzi do łóżka. Murena wystawia głowę z kryjówki za sztuczną skałą, żeby się przekonać, czy z falistego, srebrnego nieba i tym razem nie spadnie karpiowy deszcz. Chrapliwy głos Margot rozlega się w najsubtelniejszym wydaniu:

- Nie śpisz?

Po chwili wiecznie otwarte oko Masona budzi się.

- Nadeszła pora, żeby porozmawiać - odzywa się westchnięcie respiratora - o tym, czego chce Margot? Usiądź koło mnie.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Powiedz.

- Judy i ja chcemy mieć dziecko. Chcemy mieć dziecko Vergerów, nasze dziecko.

- Czemu nie kupisz małego Chińczyka? Są tańsi od prosiaków.

- Tego nie wykluczamy. To dobry pomysł.

- Co jest napisane w testamencie papy... „Po śmierci mego ukochanego syna, Masona... - Ukochany syn, Mason, to ja... - całą posiadłość przejmuje mój potomek, którego prawa do majątku mają być potwierdzone w Cellmark Laboratory lub w wyniku równoważnego badania DNA. W wypadku braku potomka jedynym beneficjentem będzie Konwencja Południowych Baptystów, ze specjalnymi klauzulami dotyczącymi Uniwersytetu Waco w Teksasie”. Margot, te twoje lesbijskie dziwactwa naprawdę zraziły do ciebie papę.

- Możesz mi nie wierzyć, ale nie chodzi mi o pieniądze. No może trochę. Ale przede wszystkim pragnę dziecka. To byłby też twój dziedzic, Masonie.

- Czemu nie znajdziesz jakiegoś przystojniaka i nie dasz mu dupy, Margot? Przecież znasz się na tym.

Marokańska muzyka znów narasta, a obsesyjne dźwięki lutni pobrzmiwają w uszach Margot.

- Pokpiłam sprawę, Masonie. Przez te sterydy moje jajniki są do niczego. Poza tym chcę, żeby uczestniczyła w tym Judy. Judy zamierza być biologiczną matką. Masonie,

powiedziałeś, że jeśli ci pomogę... obiecałeś mi swoją spermę.

Pająkowate palce Masona poruszyły się.

- Proszę bardzo, nie krępuj się, chyba ciągle ją mam.

- Masonie, są duże szanse, że masz pełnowartościowy ejakulat, który moglibyśmy bezboleśnie pobrać...

- Pobrać mój pełnowartościowy ejakulat? Chyba już rozmawiałaś ze specjalistą.

- Poufnie konsultowałam się z ośrodkiem leczenia bezpłodności. - Twarz Margot złagodniała, nawet w zimnym świetle akwarium. - Dziecko miałoby

z nami dobrze, Masonie. Chodzimy na kurs przygotowawczy dla przyszłych rodziców. Judy pochodzi z licznej i bardzo tolerancyjnej rodziny, a dla kobiet wychowujących wspólnie dzieci jest poradnia.

- Kiedy byliśmy dziećmi, nieźle obciążałaś mi druta. Strzelałem jak z moździerza. I to bardzo szybko.

- Zraniłeś mnie, kiedy byłam mała, Masonie. Zraniłeś mnie i wybiłeś mi łokieć, gdy zmuszałeś mnie do... Nadal nie mogą podnieść lewą ręką więcej niż czterdzieści kilogramów.

- Nie chciałaś czekolady. Powiedziałem, siostrzyczko, że porozmawiamy o tym, gdy załatwię swoje sprawy.

- Przebadajmy cię już teraz - nalegała Margot. - Lekarz może bezboleśnie pobrać próbkę...

- Bezboleśnie, o czym ty mówisz? Przecież jestem sparalizowany, nic nie czuję. Mogłabyś ssać go, aż zrobisz się zielona na twarzy, a i tak nic mnie nie zabolii. W każdym razie już kiedyś przeprowadziłem próbę i nic się nie stało.

- Lekarz pobierze bezboleśnie próbkę, żeby zbadać ruchliwość plemników. Judy już zażywa leki. Śledzimy jej cykl menstruacyjny. Jest tyle do zrobienia.

- Do tej pory nie miałem przyjemności poznać Judy. Cordell twierdzi, że ma krzywe nogi. Jak długo jesteście razem, Margot?

- Od pięciu lat.

- Czemu więc mi jej nie przedstawisz? Wspólnie, że tak powiem, może coś wymyślimy...

Rozległo się ostatnie uderzenie w afrykański bęben i zapadła cisza.

- Czemu sam nie zajmiesz się tym przekrętem z Departamentem Sprawiedliwości? - zapytała, pochylając się nisko nad jego uchem. - Czemu sam nie wgramolisz się do budki telefonicznej ze swoim pieprzonym laptopem? Czemu nie wybulisz jeszcze trochę forsy, żeby złapać tego gościa, który zrobił z twojej twarzy karmę dla psów? Obiecałeś, że mi pomożesz,

Masonie.

- Pomogę. Muszę się tylko zastanowić kiedy.

Margot zmiążdżyła w dłoni dwa orzechy włoskie. Pozwoliła, żeby łupiny opadły na pościel Masona.

- Tylko nie zastanawiaj się zbyt długo, zębaczu. Gdy wychodziła z pokoju, jej spodenki świstały jak para buchająca z lokomotywy.

## ROZDZIAŁ 46

Ardelia Mapp zabierała się do gotowania tylko wtedy, gdy miała ochotę, ale kiedy już gotowała, rezultaty były nadspodziewanie dobre. Jej kuchnia łączyła przepisy jamajskie i murzyńskie z Południowo-Wschodniego Wybrzeża. Teraz przyrządzała potrawę z suszonego na słońcu kurczaka. Oskubywała z owoców roślinę pieprzu, trzymając ją delikatnie za łodygę. Ani jej się śniło płacić drożej za pokrojonego kurczaka; ustawiła przy desce do krojenia Starling, wręczając jej rzeźniczy toporek.

- Cały kurczak, Starling, nie wchłania przypraw tak dobrze, jak pokrojony - tłumaczyła nie pierwszy raz. Popatrz - powiedziała, odbierając Clarice toporek, i lupnęła w korpus tak mocno, że kawałki kości utkwily w jej fartuchu. - W ten sposób. No i dlaczego wyrzucasz szyjkę? Proszę te pyszności włożyć z powrotem.

Minutę później znów się odezwała.

- Byłam dzisiaj na poczcie. Wysyłałam mamie buty.

- Ja też byłam na poczcie, mogłam je wysłać.

- Słyszałaś tam coś?

-Nie.

Mapp nie była zdziwiona.

- Wieść niesie, że twoje listy są czytane.

- Na czyje polecenie?

- Poufna dyrektywa inspektora poczty. Nie wiedziałaś o tym, prawda?

- Nie.

- Więc dowiedz się o tym w jakiś inny sposób. Musimy osłaniać mojego przyjaciela z poczty.

- Okay. - Starling odłożyła na chwilę toporek. - Jezus Maria, Ardelio.

Gdy tego ranka Clarice stała przy okienku pocztowym, kupując znaczki, nie wyczytała zupełnie nic z nieprzeniknionych twarzy zapracowanych urzędniczek. W większości były to Murzynki. Kilka z nich znała. Najwyraźniej ktoś chciał jej pomóc, lecz wiązało się to z ogromnym ryzykiem, groźbą poniesienia kary i utraty emerytury. Najwyraźniej ten ktoś ufał bardziej Ardelii niż Starling. Ogarnął ją niepokój, ale poczuła też radość, że ostrzeżenie nadeszło z „czarnego” źródła. Może społeczność murzyńska dawała w ten sposób do zrozumienia, że wybaczyła jej śmierć Evely Drumgo, uznając, iż Starling działała w obronie własnej.

- A teraz weź młode cebulki i rozgnieć je trzonkiem noża. Rozgnieć wszystko, to



zielone też - instruowała Ardelia.

Po wykonaniu zadania Starling umyła ręce i usiadła w salonie, gdzie jak zwykle panował idealny porządek. Wkrótce dołączyła do niej Ardelia, wycierając ręce w ścierkę.

- Co to za kurewstwo? - zapytała.

Przed rozpoczęciem szczególnie ponurych rozmów miały w zwyczaju ciskać siarczyste przekleństwa.

- Niech mnie cholera, jeśli wiem - odparła Starling. - Trzeba ustalić, który sukinsyn kazał przeglądać moje listy.

- Moje źródło dotarło tylko do biura inspektora poczty.

- Nie chodzi o strzelaninę, nie chodzi o Eveldę - domyślała się Starling. - Skoro czytają moją korespondencję, musi chodzić o doktora Lectera.

- Zawsze przekazywałaś wszystko, co ci przysłał. Ty i Crawford.

- Masz rację. Mogę wywęszyć, czy sprawdza mnie UOZ z FBI. Ale jeśli to UOZ z Departamentu Sprawiedliwości?

W Departamencie Sprawiedliwości i zależnym od niego FBI funkcjonują oddzielne Urzędy do spraw Odpowiedzialności Zawodowej. Teoretycznie współpracują ze sobą, ale czasem występuje konflikt interesów. Niektórzy agenci padają ofiarą takich wewnętrznych sporów. Poza tym inspektor generalny Departamentu Sprawiedliwości mianowany z politycznego klucza może w każdej chwili interweniować i przejąć drażliwą sprawę.

- Jeśli wiedzą, że Hannibal Lecter coś knuje, jeśli wiedzą, że jest blisko, powinni cię zawiadomić, żebyś zachowywała ostrożność. Starling, czy kiedykolwiek... wyczuwałaś w pobliżu jego obecność?

Clarice pokręciła głową.

- Nie zamartwiam się nim. Nie w ten sposób. Bywają okresy, kiedy w ogóle o nim nie myślę. Znasz to paskudne uczucie, kiedy się czegoś boisz? Już mnie nie ogarnia. Gdyby coś mi groziło, chyba bym o tym wiedziała.

- Co byś zrobiła, Starling? Co byś zrobiła, gdybyś zobaczyła go przed sobą? Zmienacka. Masz jakiś plan? Wycelujesz w niego giwerę?

- Wyciągnę ją ze spodni jak najszybciej i wyceluję mu w jaja. Ardelia roześmiała się.

- I co potem?

Uśmiech zniknął z twarzy Starling.

- To zależy od niego.

- Zastrzełiłabyś go?

- Żeby skończyć z flakami na wierzchu, chyba żartujesz? Mój Boże, mam nadzieję, że

nigdy do tego nie dojdzie, Ardelio. Byłabym zadowolona, gdyby został aresztowany i nikt by przy tym nie zginął, łącznie z nim samym. Ale powiem ci, że czasem tak sobie myślę: gdyby ustalono, gdzie się ukrywa, chciałabym, żeby mnie po niego wysłali.

- Nawet o tym nie wspominaj.

- Ze mną miałyby większe szansę przeżycia. Nie zastrzeliłabym go, bo się go boję. Nie jest wilkołakiem. Wszystko zależałoby od niego.

- Naprawdę się go boisz? Chyba jednak za mało.

- Wiesz, co jest przerażające, Ardelio? Kiedy ktoś mówi ci prawdę. Nie chciałabym, żeby go skazali na śmierć. Gdyby mu się udało i trafiłby do więzienia, jest tak interesującym przypadkiem dla świata akademickiego, że miałyby zapewnione dobre traktowanie. I nie miałyby problemów ze współwięźniami. Gdyby znalazł się za kratkami, podziękowałabym mu za list. Nie można zmarnować człowieka, który jest na tyle szalony, by mówić prawdę.

- Musi być jakiś powód, że sprawdzają twoją pocztę. Pewnie mają utajniony nakaz sądowy. Jeszcze nas nie obserwują, bo zauważyłybyśmy, gdyby

tak było - powiedziała Ardelia. - Nie darowałabym sukinsynom, gdyby wiedzieli, że się tu kręci i nie ostrzegli cię. Lepiej uważaj.

- Crawford by nam powiedział. Nie mogą zbyt wiele zdziałać przeciw Lecterowi bez wiedzy Crawforda.

- Jack Crawford to już historia, Starling. Jesteś chyba niedoinformowana. A jeśli chodzi im o ciebie? Bo masz niewyparzony język, bo nie wpuściłaś do łóżka Krendlera? A jeśli ktoś chce ciebie zniszczyć? Słuchaj, naprawdę muszę kryć mojego informatora.

- Możemy coś zrobić dla twojego kumpla z poczty? Powinnyśmy coś robić?

- A myślisz, że kto przychodzi na kolację?

- No nie!... Chwileczkę, myślałam, że to ja przychodzę na kolację.

- Możesz wziąć sobie trochę.

-Wielkie dzięki.

- Nie ma sprawy. Cała przyjemność po mojej stronie.

## ROZDZIAŁ 47

Jako dziecko Starling przeniosła się z drewnianego domu, który skrzypiał przy silnym wietrze, do solidnego luterańskiego sierocińca z czerwonej cegły.

Drewniany dom, choć skromny i zniszczony, był pełen ciepła. Często siadywali z ojcem w przytulnej kuchni i jedli pomarańcze. Ale śmierć wie, gdzie ma szukać domów, których mieszkańcy wykonują niebezpieczne zawody za niewielkie pieniądze. Ojciec pojechał kiedyś na nocny patrol starym pikapem i nie wrócił.

Starling uciekła z domu swoich krewnych na klaczy przeznaczonej na rzeź, kiedy zabijano owce, i znalazła coś w rodzaju schronienia w luterańskim sierocińcu. Od tamtej pory wielkie, solidne publiczne budynki dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Luteranie oszczędzili Clarice ciepła i pomarańczy, lecz nauczyli ją przestrzegania zasad.

Dopóki poddawano ją bezosobowym testom lub wysyłano do akcji na mieście, wiedziała, że jej pozycja nie jest zagrożona. Ale Starling nie miała zmysłu dyplomatycznego.

Gdy wczesnym rankiem wysiadała ze starego mustanga, wysokie fasady budynków Quantico nie tworzyły już wielkiego ceglano-łona, w którym mogła się schronić. Przy porywistym wietrze nawet drzwi wydawały się przekrzywione.

Chciała zobaczyć się z Jackiem Crawfordem, ale nie było na to czasu. Zdjęcia w Hogan's Alley zaczynały się już wkrótce.

Śledztwo w sprawie masakry przy targu rybnym Feliciana wymagało nakręcenia filmowej symulacji tego wydarzenia na strzelnicy Hogan's Alley w Quantico, z uwzględnieniem każdego strzału, każdego toru pocisku.

Starling musiała zagrać samą siebie. Sprowadzono oryginalną furgonetkę, której nie pomalowano, lecz zaklejono ostatnie dziury po kulach. Raz za razem wyskakiwali ze starej furgonetki. Agent odgrywający rolę Johna Brigham'a padał na twarz, a nowy Burke wiał się na ziemi. Gdy symulacja z użyciem hałaśliwych ślepych nabożów dobiegła końca, Starling była wykończona.

Odwiesiła broń i znalazła Jacka Crawforda w jego gabinecie. Wydawał jej się coraz bardziej zamyślony i nieobecny.

- Chcesz alka-seltzer, Starling? - zapytał. W ciągu dnia zażywał sporo różnych specyfików. Przyjmował rozmaite zioła i aspirynę dla dzieci. Połykał tabletki w ustalonej kolejności, za każdym razem gwałtownie odchylając głowę.

W ciągu ostatnich tygodni zdejmował w gabinecie marynarkę i zakładał sweter, który zrobiła mu kiedyś na drutach zmarła żona, Bella. Teraz wyglądał znacznie starzej niż ojciec

Starling taki, jakim go zapamiętała.

- Panie Crawford, ktoś kontroluje moje listy. W dodatku robi to nieudolnie. Zupełnie jakby otwierał je nad parą.

- Dzieje się tak, odkąd napisał do ciebie Lecter.

- Tylko sprawdzali pocztę pod fluoroskopem. Nie miałam nic przeciwko temu, ale wolałabym sama czytać zaadresowane do mnie prywatne listy. Nikt nic mi nie powiedział.

- Tym nie zajmuje się nasz Urząd do spraw Odpowiedzialności Zawodowej.

- Ani Dawg, panie Crawford. Żeby zdobyć taki nakaz, trzeba mieć niezłe wpływy.

- Wygląda to na amatorską robotę? - Clarice nie odpowiadała. - Chyba lepiej, że sama to zauważyłaś, prawda?

-Tak jest.

Zacisnął usta i kiwnął głową.

- Zajmę się sprawą. - Ułożył buteleczki z lekarstwami w pierwszej szufladzie biurka. Porozmawiam z Carlem Schirmerem z Departamentu Sprawiedliwości, wyjaśnimy to.

Kariera Schirmera dobiegała końca. Nieoficjalnie mówiło się, że przechodzi na emeryturę pod koniec roku. Wszyscy kumple Crawforda przechodzili na emeryturę.

-Dziękuję panu.

- Czy któryś z twoich kursantów dobrze się zapowiada? Ktoś, kogo powinniśmy szybko zwerbować?

- W grupie medycyny sądowej trudno powiedzieć. Czują się skrepowani, gdy omawiamy zbrodnie na tle seksualnym. Ale jest kilku dobrych strzelców.

- Tych mamy w nadmiarze. - Zerknął na nią. - To nie była aluzja do ciebie.

Wieczorem Starling wybrała się na cmentarz Arlington na grób Johna Brigham.

Położyła dłoń na płycie, wciąż pokrytej pyłem po pracach kamieniarskich. Nagle poczuła na ustach wyraźny dotyk jego czoła, zimnego jak marmur i przyprószonego prochem. Pożegnalny pocałunek. Stała wtedy przy otwartej trumnie, wsunęła w martwą rękę Johna swój ostatni medal zdobyty podczas otwartych mistrzostw w strzelaniu z pistoletu.

Na cmentarzu opadały liście, ścieląc się na ziemi między nagrobkami. Starling zastanawiała się, ilu straciło życie tak jak John, przez głupotę, egoizm i matactwa starych, zmęczonych ludzi.

Dla człowieka o duszy wojownika Arlington to święte miejsce, a tragedią nie jest śmierć sama w sobie, lecz śmierć bezsensowna.

Czuła się związana z Brighamem. Tej więzi nie osłabiał fakt, że nie zostali kochankami. Gdy klęczała przy jego grobie, wróciły wspomnienia. Kiedyś zaproponował jej

coś nieśmiało, a ona odmówiła. Potem zapytał, czy mogą zostać przyjaciółmi, i mówił serio. Zgodziła się, też na serio.

Klęcząc na cmentarzu Arlington, pomyślała o odległym grobie ojca. Nie odwiedziła go, odkąd skończyła pierwszą klasę college'u. Zastanawiała się, czy nie nadszedł czas, żeby tam wrócić.

Zachodzące słońce miało kolor pomarańczy. Odległy dźwięk trąbki wyrwał Clarice z zamyślenia; zadrżała, czując pod dłonią zimną płytę nagrobka.

## ROZDZIAŁ 48

Na bezchmurnym nocnym niebie nad Nową Fundlandią widać jasny punkcik poruszający się przez konstelację Oriona: boeing 747 leci na zachód, zmagając się z przeciwnym wiatrem, który wieje z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Z tyłu w trzeciej klasie, zajmowanej zwykle przez turystów, siedzi pięćdziesięciu dwóch uczestników siedemnastodniowej wycieczki po jedenastu krajach Starego Kontynentu. Wracają do Detroit i Windsor w Kanadzie. Pięćdziesiąt centymetrów musi starczyć na ramiona, tyle samo na biodra między oparciami fotela - pięć centymetrów więcej, niż zapewniono niewolnikom w drodze z Afryki Zachodniej przez Atlantyk do Ameryki.

Pasażerom podaje się lodowate kanapki ze śliską wędliną i topionym serem. Wdychają własne gazy i wyziewy innych w oszczędnie wentylowanym powietrzu - nowy wariant zasady podawania zwierzętom ich własnych odchodów, opracowanej przez hodowców w latach pięćdziesiątych.

Doktor Hannibal Lecter siedzi w połowie środkowego rzędu, otoczony z obu stron dziećmi. Miejsce na końcu rzędu zajmuje kobieta z niemowlęciem na kolanach. Po tylu latach spędzonych w odosobnieniu doktor Lecter

nie znosi ciasnoty. Gra komputerowa siedzącego obok małego chłopca nieustannie pika.

Doktor Lecter - jak wiele innych osób zajmujących najtańsze miejsca - ma przypiętą żółtą plakietkę w kształcie uśmiechniętego słoneczka z napisem CANAM TOURS. Jak inni turyści ubrany jest w sportowy dres. Na bluzie widnieją insygnia drużyny hokejowej Toronto Mapie Leafs. Pod ubraniem ma przyczepiony do ciała spory plik banknotów.

Lecter dołączył do wycieczki przed trzema dniami, korzystając w paryskim biurze podróży z oferty zwolnionych w ostatniej chwili miejsc. Zajął miejsce mężczyzny, który wrócił do Kanady w trumnie: nie wytrzymało mu serce, gdy wspinał się po schodach w Bazylice Świętego Piotra.

W Detroit doktora Lectera czekała odprawa celna i paszportowa. Był pewien, że pracownicy ochrony i urzędnicy imigracyjni na wszystkich ważniejszych lotniskach Zachodu zostali powiadomieni o poszukiwaniach. Jeśli jego zdjęcie nie wisi na ścianie budki kontroli paszportowej, to czeka pod przyciskiem alarmowym komputera urzędników imigracyjnych i celnych.

Doktor liczy na łut szczęścia: zdjęcia mogą przedstawiać jego dawną twarz. Fałszywy paszport okazany przy wjeździe do Włoch nie ma odpowiednika w aktach, a zatem jego

obecny wygląd pozostaje nieznany. We Włoszech Rinaldo Pazzi próbował ułatwić sobie życie i zadowolić Masona Vergera, zabierając dokumenty z archiwum karabinierów, w tym zdjęcie i negatyw wykorzystane na pozwoleniu na pracę doktora Fella. Lecter znalazł je w neseserze Pazziego i zniszczył.

Jeśli Pazzi nie zrobił doktorowi Fellowi zdjęć z ukrycia, istnieje duża szansa, że na całym świecie nie ma ani jednej aktualnej podobizny Lectera. Jego nowa twarz nie różni się aż tak bardzo od starej - wokół nosa i na policzkach dodano trochę kolagenu. Ma też inne włosy i okulary. Jeśli nie zwróci na siebie uwagi, pozostanie nie rozpoznany. Bliznę na dłoni posmarował maskującym kosmetykiem i kremem samoopalającym.

Oczekuje, że na lotnisku w Detroit pasażerowie zostaną podzieleni na dwie grupy: tych z amerykańskimi paszportami i pozostałych. Wybrał przygraniczne miasto, żeby kolejka „pozostałych” była odpowiednio długa. Samolot pełen jest Kanadyjczyków. Doktor Lecter ma nadzieję, że wtopi się w stado, jeśli tylko stado go zaakceptuje. Zwiedzał z nimi zabytki i galerie, kisił się z nimi w samolocie, ale wszystko ma swoje granice: nie zamierzał kosztować tych świńskich pomyj, którymi częstowano ich podczas lotu.

Zmęczeni, z obolałymi stopami, znudzeni towarzyszami podróży turyści sięgają do toreb z prowiantem i z wyłowionych kanapek wyrzucają zwiędłą sałatę.

Doktor Lecter, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, czeka, aż pozostali pasażerowie przeżują ten żaloszny posiłek, czeka, aż skorzystają z łazienki i zasną. Z przodu na ekranie telewizora wyświetlany jest jakiś stary film. Doktor nadal czeka z cierpliwością pytona. Chłopiec obok niego zasnął nad komputerową grą. Na całej długości szerokiego samolotu gasną ostatnie lampki do czytania.

Dopiero wtedy, zerkając ukradkiem na boki, doktor Lecter wyciąga spod fotela przed nim posiłek zapakowany w eleganckie żółte pudełko z brązowymi krawędziami. Pudełko związane jest dwiema jedwabnymi wstążkami w dopasowanych kolorach. W środku znajduje się, rozsiewający cudowny aromat, *pate de faie gras* z truflami oraz świeże, ociekające sokiem anatolijskie figi. Jest też pół butelki St. Estephe, w którym doktor szczególnie gustuje. Jedwabna kokarda rozwiązuje się z szelestem.

Doktor Lecter zamierza zacząć od figi. Trzyma owoc na wysokości ust, chłonąc aromat rozszerzonymi nozdrzami. Zastanawia się, czy zjeść całą figę od razu, czy może ugryźć tylko połowę, gdy obok niego rozlega się piknięcie gry komputerowej. Drugie piknięcie. Nie odwracając głowy, doktor ukrywa owoc w dłoni i spogląda na małego sąsiada. Z otwartego pudełka wydobywają się zapachy truflి, pasztetu i koniaku.

Chłopiec zaczyna węszyć. Wąskimi, błyszczącymi jak u szczura oczami spogląda z

ukosa na jedzenie doktora Lectera. Odzywa się piskliwym głosem:

- Proszę pana, proszę pana.

- O co chodzi?

- Zamówił pan coś?

- Nie.

- Więc co pan tam trzyma? - Chłopiec spojrział na doktora, przybierając przymilny ton.

- Da pan kawałek?

- Bardzo bym chciał - Lecter zauważył, że szyja dziecka ma rozmiary wieprzowej polędwicy. - Ale pewnie tego nie lubisz. To z wątroby.

- Wątrobianka! Super! Mama się zgodzi, maaaaaamo!

Dziwne dziecko. Lubi wątrobę i albo skamle, albo wrzeszczy.

Kobieta z niemowlęciem na kolanach na końcu rzędu podskoczyła w fotelu, wyrwana z drzemki.

Podróżni w rzędzie przed nimi odwrócili się, spoglądając przez szpary w fotelach.

- Próbuujemy zasnąć. - Mają rozłożone siedzenia, a doktor Lecter czuje zapach ich włosów.

- Maaaaamo, mogę wziąć od pana gryza?

Niemowlę obudziło się i zaczęło płakać. Matka wetknęła palec w pieluchę i podała dziecku smoczek.

- Czym go pan częstuje?

- Pasztetem z wątroby, proszę pani - odpowiedział doktor najciszej, jak umiał. - Jeszcze go nie...

- Wątrobianka, uwielbiam ją, chcę trochę. Pan powiedział, że mogę... -Chłopiec przeciągnął ostatnie słowo w przenikliwy skowyt.

- Jeśli częstuje pan czymś dziecko, chciałabym to obejrzeć. Przy siedzeniu kobiety z niemowlęciem zatrzymała się stewardesa.

- Wszystko w porządku? Mogę w czymś pomóc? Może podgrzać butelkę? Kobieta wyciągnęła zakorkowaną butelkę i podała ją stewardesie. Włączyła lampkę do czytania i zaczęła szukać smoczka.

- Może mi pan podać pudełko?! - zawołała do doktora Lectera. - Chciałabym zobaczyć, czym częstuje pan moje dziecko. Bez obrazy, ma taki delikatny żołądek.

Lecter podał pudełko kobiecie.

- Co za pyszności - oceniła, dotykając jedzenia tym samym palcem, którym wcześniej sprawdzała pieluchę.



- Może je pani zatrzymać.

- Nie miałam na myśli alkoholu rozejrzała się, oczekując wybuchów śmiechu. - Nie wiedziałam, że można pić na pokładzie swój alkohol. To whisky? Wolno panu wypić ją w samolocie? Zatrzymam tę wstążkę, jeśli pan pozwoli.

- Proszę pana, nie może pan spożywać własnych napojów wysokokowych na pokładzie - oznajmiła stewardesa. - Przechowam panu butelkę, odbierze ją pan przy wyjściu.

- Naturalnie. Bardzo pani dziękuję - odparł Lecter.

Doktor umiał odizolować się od otoczenia. Potrafił sprawić, że wszystko wokół niego cichło. Pikania gry komputerowej, pochrapywania i pierdnięcia były niczym w porównaniu z piekielnymi wrzaskami, które pamiętał ze szpitala psychiatrycznego. Fotel nie był ciaśniejszy od krępujących go pęt. Tak jak dawniej, gdy więziono go w szpitalnej celi, odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i poszukał ukojenia w ciszy swego pałacu pamięci, miejsca w przeważającej części bardzo pięknego.

Tym razem metalowy cylinder zmagający się ze wschodnim wiatrem mieści w sobie pałac z tysiącem pokoiów.

Tak jak kiedyś odwiedziliśmy doktora Lectera w Palazzo Capponi, teraz wejdziemy razem z nim do pałacu jego umysłu...

*Foyer* tworzy Kaplica Normañska z Palermo surowa, piękna, ponadczasowa. I tylko czaszka wyrzeźbiona na posadzce przypomina o śmiertelności. Jeśli nie zależy mu na szybkim wydobyciu informacji z pałacu, Lecter często przystaje tutaj, tak jak teraz, i rozkoszuje się pięknem kaplicy. Za nią znajduje się odległa budowla stworzona przez doktora.

Pałac pamięci jest systemem mnemonicznym, dobrze znanym dawnym uczonym, dzięki którym wiele informacji przetrwało czasy średniowiecza i palenia ksiąg przez Wandalów. Tak jak uczeni przed nim, doktor Lecter magazynuje bogate zasoby wiedzy w przedmiotach zamkniętych w tysiącu pokoiów, lecz w przeciwieństwie do swoich poprzedników wykorzystuje pałac do jeszcze jednego celu: czasami tam mieszka. Spędził wiele lat w przepięknych wnętrzach, gdy tymczasem jego ciało leżało związane na oddziale pod specjalnym nadzorem, gdzie wrzaski jak harpie z piekła wstrząsały kratami.

Pałac Hannibala Lectera jest przestronny, nawet według średniowiecznych norm. W przełożeniu na świat namacalny dorównywałby rozmiarami i złożonością Topkapi w Stambule.

Doganiamy doktora, gdy szybkie trzewiki jego umysłu przechodzą *T. foyer* do Wielkiego Holu Pór Roku. Pałac wybudowano według zasad odkrytych przez Symonidesa z

Ceos i rozwiniętych przez Cycerona czterysta lat później; jest przewiewny, wysoki, ozdobiony przedmiotami i żywymi obrazami, imponującymi, czasem szokującymi i absurdalnymi, ale często pięknymi. Ekspozyty są starannie rozmieszczone i dobrze oświetlone, jak w wielkim muzeum. Ale ściany nie mają neutralnych barw muzealnych ścian. Doktor Lecter, tak jak Giotto, pokrył je freskami.

Korzystając z pobytu w pałacu, postanowił zdobyć adres Clarice Starling. Nie spieszy mu się jednak, przystaje u stóp wielkich schodów, gdzie stoją rzeźby Riace. Ci potężni wojownicy z brązu przypisywani Fidiuszowi, wydobyli z morskiego dna w czasach współczesnych, są główną ozdobą pokrytej freskami przestrzeni, która bogactwem dorównuje dziełom Homera i Sofoklesa.

Doktor Lecter mógł kazać brązowym twarzom przemówić głosem Meleagera, gdyby chciał, ale dziś pragnie tylko na nie popatrzeć.

Tysiąc pokojów, kilometry korytarzy, setki faktów związanych z każdym przedmiotem; przyjemny odpoczynek dla doktora, gdy chce się tam zaszyć.

Ale w jednym jesteśmy podobni do Lectera: w kazamatach naszych serc i umysłów czai się niebezpieczeństwo. Nie wszystkie pomieszczenia są piękne, jasne i przestronne. W umyśle, tak jak w średniowiecznych lochach, kryją się pułapki: śmierdzące cele wykute w skale, do których wpada się przez ukryte w podłodze zapadnie. Stamtąd nie wydostanie się nic, co może nas uspokoić. Nagły ruch, nieuwaga strażników i iskry wspomnień zapalają trujące gazy: więzione długie lata wydostają się na wolność, gotowe eksplodować bólem i popychać nas do niebezpiecznych zachowań...

Ostrożnie posuwamy się za nim, gdy kroczy lekko i zwiewnie wymyślonym przez siebie korytarzem, przenikając przez zapach gardenii, przez obecność ogromnych posągów, które napierają na nas, przez światło obrazów.

Skreca w prawo, mija popiersie Pliniusza i schodami kieruje się do Holu Adresów - sali wypełnionej rzeźbami i obrazami, rozstawionymi w dużych odstępach i dobrze oświetlonymi, zgodnie z zaleceniami Cycerona.

Ach... Trzecią alkowę od drzwi po prawej stronie zdobi obraz przedstawiający świętego Franciszka, który podaje szpakowi ćmę. Na podłodze przed obrazem znajduje się *tableau* naturalnej wielkości:

Parada na cmentarzu Arlington prowadzona przez trzydziestotrzyletnie-go Jezusa, który siedzi za kierownicą forda T z tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku. W przyczepie ciężarówki stoi J. Edgar Hoover ubrany w spódniczkę baletnicy i macha do niewidocznego tłumu. Za samochodem maszeruje Clarice Starling z enfieldem 308 na

ramieniu.

Doktor Lecter najwyraźniej cieszy się na widok Starling. Dawno temu zdobył jej adres w Stowarzyszeniu Absolwentów Uniwersytetu Wirginia. Przechowuje go w tym żywym obrazie i teraz, dla własnej przyjemności, przywołuje liczby i nazwę ulicy, przy której mieszka Starling:

3327 TINDAL

ARLINGTON, VA 22308

Doktor Lecter potrafi poruszać się po przestronnych korytarzach swego pałacu pamięci z nienaturalną prędkością. Jego refleks i siła, bystrość i sprawność umysłu stanowią wspaniałą pancierz ochronny przed światem fizycznym. Ale są miejsca, gdzie czyha niebezpieczeństwo, gdzie zasady logiki Cycerona, zasady uporządkowanej przestrzeni i światła nie mają zastosowania...

Postanowił obejrzeć kolekcję starych tkanin. Chce przypomnieć sobie tekst Owidiusza na temat aromatyzowanych olejków do twarzy, który przyczepiony jest do tkanin.

Stąpa po interesującym, płasko tkanym kilimie w stronę korytarza warsztatów tkackich i materii.

W świetle boeinga 747 głowa doktora spoczywa na oparciu fotela. Lecter ma zamknięte oczy. Głowa podskakuje mu lekko, gdy samolotem wstrząsają turbulencje.

Niemowlę na końcu rzędu wypilo całą butelkę i jeszcze nie usnęło. Twarz dziecka robi się czerwona. Matka czuje, że drobne ciało pręży się pod kocem i po chwili rozluźnia. Wiadomo, co się stało. Nie musi sprawdzać palcem pieluchy.

- O Jeeezu - jęczy ktoś w rzędzie przed nimi.

W stęchłym powietrzu pojawia się nowa nuta zapachowa. Chłopiec siedzący obok doktora Lectera, przyzwyczajony do niemowlęcych niespodzianek, nie przerywa posiłku.

Pod pałacem pamięci otwierają się zapadnie, a lochy zieją ohydny smrodem...

Kilka zwierząt przetrwało ostrzał z dział artyleryjskich i broni maszynowej podczas walk, które osierociły Hannibala Lectera i zamieniły w zgliszcza wielkie połacie lasu należące do posiadłości jego rodziców.

Dezerterzy zajęli ukryty w lesie domek myśliwski i żywili się tym, co znaleźli. Raz trafili na wygłodzoną, raną kościstą sarnę. Przeżyła, wydobywając pożywienie spod śniegu. Poprowadzili sarnę do obozu. Nie chcieli jej nieść, żeby nie tracić sił.

Sześćoletni Hannibal Lecter obserwował przez szparę w oborze, jak prowadzili zwierzę wyrwijące się z okręconego wokół szyi sznura. Nie chcieli marnować amunicji, zwalili sarnę z chuderlawych nóg i toporem rozcięli jej gardło. Klnąc jeden przez drugiego w

różnych językach, krzyczeli, że trzeba przynieść miskę, zanim cała krew się zmarnuje.

Na kościstym zwierzęciu nie było dużo mięsa, więc po dwóch dniach, może trzech, dezenterzy dobrnęli po śniegu do obory, żeby znów wybrać jedno dziecko ze stłoczonej na słomie gromadki. Żadne nie zamarzło, więc wzięli żywe.

Pomacali udo, ramiona i klatkę piersiową Hannibala Lectera, ale ostatecznie wybrali jego siostrę Misze. Wyprowadzili ją z obory. Powiedzieli, że chcą się pobawić. Żadne dziecko, które wyszło się z nimi pobawić, nigdy nie wróciło.

Hannibal trzymał się kurczowo Miszy, uczepiwszy się jej chudziutkimi rączkami, aż zamknęli oborę. Ciężkie drzwi ogłuszyły go i spowodowały pęknięcie kości ramiennej.

Prowadzili dziewczynkę po śniegu splamionym jeszcze krwią sarny.

Modlił się żarliwie, żeby znów zobaczyć Misze. Modlitwa całkowicie pochłonęła sześćioletni umysł, lecz nie zagłuszyła dźwięku topora. Została jednak częściowo wysłuchana: kilka mlecznych zębów Miszy zobaczył w śmierdzącej kloace między domkiem myśliwskim, gdzie spali ich prześladowcy, a oborą, gdzie trzymali dzieci, które w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym po załamaniu się frontu wschodniego służyły im za żywność.

Od tamtej pory Hannibal Lecter całkowicie stracił zainteresowanie sprawami boskimi, czasem tylko przyznając, jak bardzo jego skromne przejawy barbarzyństwa bledną przy okrucieństwie Boga, którego sarkazm jest niezrównany, a przewrotna złośliwość bez miary.

Doktor Lecter, z głową podskakującą lekko na zagłówniku, tkwi w zawieszeniu między ostatnim widokiem Miszy, idącej po zakrwawionym śniegu a dźwiękiem topora. Dłużej nie może tego znieść. Z jego gardła wydobywa się krótki krzyk. Wysoki, przesywający.

Siedzący przed nim pasażerowie odwracają się, niektórzy wyrwani ze snu.

- Rany boskie, co pan wyprawia? Boże mój - słyhać warkliwe komentarze.

Doktor Lecter otwiera oczy i patrzy prosto przed siebie. Czuje na swojej dłoni rękę. Rękę małego sąsiada.

- Coś się panu przyśniło, tak? - Dziecko nie jest przestraszone, nie zwraca uwagi na skargi z innych rzędów.

-Tak.

- Ja też czasem mam straszne sny. Nie ma się z czego śmiać.

Doktor Lecter odetchnął kilka razy, wciskając głowę w oparcie fotela. Znów ogarnął go spokój, jak gdyby z czubka głowy opadła mu na twarz zasłona opanowania. Pochylił głowę do dziecka i odezwał się do niego konfidencjonalnym tonem:

- Dobrze, że nie jesz świństw, którymi tu częstują. Nigdy ich nie jedz.

Linie lotnicze nie zaopatrują pasażerów w papeterię. Doktor Lecter, już spokojny, wyjął z wewnętrznej kieszeni hotelowy papier listowy i zaczął pisać list do Clarice Starling. Najpierw naszkicował jej twarz. Ten szkic znajduje się teraz na Uniwersytecie w Chicago i jest udostępniany badaczom. Starling wygląda na nim jak dziecko, a jej wilgotne od łez włosy, jak włosy Miszy, przylepiają się do policzka...

Na bezchmurnym nocnym niebie widać jasny punkcik światła. Mija Gwiazdę Polarną i wykonuje wielki łuk w stronę Ziemi, w stronę jutra, w stronę Nowego Świata.

## ROZDZIAŁ 49

Stery papierów, teczek i dyskietek w maleńkim gabinecie Starling osiągnęły krytyczny poziom nagromadzenia. Jej prośba o przyznanie większej przestrzeni nie doczekała się odpowiedzi. Clarice miała tego dość. Z determinacją skazańca zarekwirowała spore pomieszczenie w podziemiach Quantico. Zamierzano urządzić w nim ciemnię Sekcji Behawioralnej, gdy tylko Kongres wysupła trochę pieniędzy. Nie było tam okien, lecz nie brakowało półek, a zamiast drzwi wisiała podwójna zasłona zaciemniająca.

Jakiś anonimowy sąsiad wydrukował gotycką czcionką napis DOM HANNIBALA i przypiął kartkę do zasłony. Nie chcąc stracić pokoju, Starling przeniosła kartkę do środka.

Szybko odkryła prawdziwą skarbnicę materiałów dotyczących Hannibala Lectera w bibliotece sądownictwa kryminalnego Columbia College, gdzie poświęcono doktorowi osobny pokój. Były tam oryginalne dokumenty z czasów jego praktyki medycznej i psychiatrycznej oraz protokoły z rozpraw sądowych przeciw niemu. Podczas pierwszej wizyty w bibliotece Starling przez czterdzieści minut czekała, aż dozorca znajdzie klucze do pokoju Lectera -na próżno. Podczas drugiej wizyty okazało się, że nadzór nad kolekcją Lectera sprawuje apatyczny absolwent, a materiały są nie skatalogowane.

Dzięki poparciu Jacka Crawforda zdobyła w biurze prokuratora generalnego nakaz sądowy na przeniesienie wszystkich materiałów z biblioteki do podziemnego gabinetu w Quantico. Funkcjonariusze przetransportowali wszystko jedną furgonetką.

Po długich dwóch tygodniach Starling uporządkowała większość materiałów z biblioteki w swoim prowizorycznym centrum. Późnym piątkowym popołudniem umyła twarz i ręce z książkowego kurzu, przygasiła światła i usiadła na podłodze w kącie, spoglądając na półki wypełnione książkami i papierami. Niewykluczone, że na chwilę się zdrzemnęła...

Obudził ją jakiś zapach. Uświadomiła sobie, że nie jest sama. Czowała woń pasty do butów.

Pokój tonął w półmroku. Zastępca inspektora generalnego Paul Krendler powoli sunął wzdłuż półek, oglądając książki i zdjęcia. Nie zadał sobie trudu, żeby zapukać. Zresztą zwykle nie zwracał sobie głowy pukaniem, zwłaszcza w podległych mu biurach. W podziemiach Quantico na pewno czuł się jak arystokrata odwiedzający slumsy.

Na jednej ścianie pokoju Clarice powiesiła zdjęcia dokumentujące pobyt doktora Lectera we Włoszech. Znajdowała się tam duża fotografia Rinalda Pazziego zwisającego z okna Palazzo Vecchio. Ścianę po przeciwnej stronie zajmowały materiały dotyczące zbrodni popełnionych w Stanach Zjednoczonych. Dominowało duże policyjne zdjęcie

zamordowanego przed laty przez doktora Lectera myśliwego. Ciało wisiało na kołku i było straszliwie zmasakrowane. Na półkach piętrzyły się dokumenty z procesów, które rodziny ofiar wytaczały Lecterowi.

Prywatne książki doktora z czasów jego praktyki medycznej były poukładane identycznie jak w jego starym gabinecie lekarskim. Starling ustawiła je, wzorując się na oglądanych pod szkłem powiększającym policyjnych fotografiach gabinetu.

Światło w mrocznym pokoju pochodziło głównie z podświetlacza na ścianie ze zdjęciami rentgenowskimi głowy i szyi doktora. Innym źródłem blasku był włączony komputer na stoliku w kącie. Motyw na ekranie przedstawiał „niebezpieczne stworzenia”. Co jakiś czas komputer pomrukiwał.

Obok komputera piętrzyły się owoce poszukiwań prowadzonych przez Starling. Z trudem zdobyte skrawki papieru, rachunki ujawniające, jakie życie prowadził doktor Lecter we Włoszech i w Ameryce przed wysłaniem go do szpitala. Sporządzany naprędce katalog jego preferencji.

Zamieniwszy pokrywę skanera w stół, Starling rozłożyła jedyną zastawę pozostałą z domu doktora w Baltimore: porcelana, srebra, kryształy, nieskazitelnie białe obrusy, lichtarz. Sto centymetrów kwadratowych elegancji pośród dziwnego wystroju gabinetu.

Krendler podniósł duży kieliszek do wina i puknął w szkło paznokciem.

Nigdy nie stanął twarzą w twarz z groźnym przestępcą, nigdy nie walczył z żadnym kryminalistą. Uważał doktora Lectera za telewizyjne straszycło i szansę dla siebie. Oczyma wyobraźni widział swoją fotografię w muzeum FBI na wystawie dotyczącej Lectera. Wiedział, jak bardzo skorzystałaby na tym jego kampania wyborcza. Przysunął nos do zdjęcia rentgenowskiego pojemnej czaszki doktora.

- Mogę panu w czymś pomóc, panie Krendler? - odezwała się Starling, Gwałtownie odsunął głowę. Na kliszy pozostała kropelka potu.

- Czemu siedzi tu pani po ciemku?

- Rozmyślam, panie Krendler.

- Członkowie Kongresu chcą wiedzieć, co robimy w sprawie Lectera.

- Oto, co robimy.

- Proszę mnie oświecić, Starling. Chcę być na bieżąco.

- A może pan Crawford...

- Gdzie jest Crawford?

- Jest teraz w sądzie.

- On się chyba kończy, nie uważa pani?

- Nie, proszę pana, nie uważam.

- Co pani tu robi? Dostaliśmy skargę z Columbia College, gdy zarekwirowała pani wszystkie materiały z ich biblioteki. Można to było załatwić delikatniej.

- Zgromadziliśmy tutaj wszystko, co można znaleźć na temat doktora Lectera, zarówno przedmioty, jak i dokumenty. Jego broń znajduje się w magazynie Firearms & Toolmarks, ale mamy duplikaty. Mamy wszystko, co pozostało z jego osobistych zapisków.

- Po co to wszystko? Albo się szuka potwora, albo się pisze doktorat. - Krendler zamilkł, żeby zapisać ten efektowny rym w swoim werbalnym archiwum. - Jeśli, powiedzmy, jakiś liczący się republikanin z Komisji Sądowej Kongresu zapyta mnie, co pani, agentko specjalna Starling, robi w celu schwytania Hannibala Lectera, co mam mu powiedzieć?

Starling zapaliła wszystkie światła. Zauważyła, że Krendler nadal kupuje drogie garnitury, a oszczędza na koszulach i krawatach. Jego włochate nadgarstki wystawały z mankietów.

Patrzyła przez chwilę przed siebie. Jej wzrok przebił ścianę i powędrował w nieskończoność. Uspokoiła się. Wyobraziła sobie, że nie stoi przed Krendlerem, lecz przed grupą studentów z akademii policyjnej.

- Wiemy, że doktor Lecter dysponuje bardzo dobrymi dokumentami - zaczęła. - Zmienił tożsamość i ma co najmniej dwie nowe, może więcej. Zachowuje się bardzo ostrożnie. Nie popełni głupiego błędu.

- Do rzeczy.

- Jest człowiekiem o bardzo wyrafinowanych gustach, czasem dość egzotycznych, jeśli chodzi o jedzenie, wino, muzykę. Jeśli wróci tutaj, będzie poszukiwał tych rzeczy. Będzie musiał je zdobyć. Nie odmówi ich sobie. Razem z panem Crawfordem przeanalizowaliśmy rachunki i papiery pozostałe po pobycie doktora Lectera w Baltimore, zanim został aresztowany, wszystkie rachunki, które przesłała nam włoska policja, i materiały z procesów wytaczanych przez jego wierzycieli po aresztowaniu. Sporządziliśmy listę ulubionych rzeczy Lectera. Proszę spojrzeć: w tym samym miesiącu, w którym doktor Lecter podał potrawę z narządów flecisty Benjamin Raspaila podczas obiadu wydanego na cześć dyrektora i dyrygenta orkiestry symfonicznej z Baltimore, kupił dwie skrzynki bordeaux Château Pétrus po trzy tysiące sześćset dolarów za skrzynkę. Kupił też pięć skrzynek Batard-Montrachet po tysiąc sto dolarów za skrzynkę i różne tańsze wina.

- Te same wina - ciągnęła dalej Starling - zamówił w hotelu w St. Louis po ucieczce i we Florencji z delikatesów „Vera dal 1926”. To dosyć luksusowe towary. Sprawdzamy zamówienia u importerów i handlowców.



- Z Iron Gate w Nowym Jorku - Starling wróciła do obiadu w Baltimore - zamówił najwyższej jakości *foie gras* po dwieście dolarów za kilogram, a przez Grand Central Oyster Bar zdobył francuskie zielone ostrygi z Gironde. Uroczysty obiad rozpoczął się od ostryg, po których podano nerkówkę, sorbet, a następnie - o czym można przeczytać w artykule z „Town & Country” - „wyborne ciemne i soczyste ragout z nieznanymi składnikami na szafranowym ryżu. Jego smak był tajemniczo poruszający, o wspaniałej basowej nucie, co można osiągnąć jedynie poprzez staranną redukcję fundów.” Nigdy nie ustalono, czy któraś z ofiar Lectera znalazła się w składzie ragout. I tak dalej, i tak dalej. Tutaj szczegółowo opisują jego wspaniałą zastawę. Sprawdzamy posiadaczy kart kredytowych, którzy zaopatrywali się w sklepach z porcelaną i kryształami.

- Proszę spojrzeć, wciąż jest winien Steuben pieniądze za żyrandol, a Galeazzo Motor Company z Baltimore chce odzyskać swojego bentleya. Śledzimy sprzedaż bentleyów - nowych i używanych. Nie ma ich aż tak dużo. A także sprzedaż jaguarów z doładowaniem. Wysłaliśmy do dostawców dziczyzny faksy z pytaniem o klientów kupujących mięso z dzika i wysłaliśmy odpowiedni komunikat tydzień przed sprowadzeniem ze Szkocji kuropatw. - Postukała w klawiaturę i przestudiowała listę, po czym odsunęła się od komputera, czując na plecach oddech Krendlera.

- Ubiegam się o fundusze, żeby opłacić koników obsługujących ważne imprezy kulturalne w Nowym Jorku i San Francisco. Jest kilka orkiestr i kwartetów smyczkowych, które szczególnie lubi. Wybiera zwykle szósty lub siódmy rząd, zawsze miejsce przy przejściu. Przesłałam najlepsze podobizny, jakimi dysponujemy, do Centrum Lincolna i Centrum Kennedy'ego oraz do większości filharmonii. Może wygospodaruje pan na ten cel jakąś sumę z budżetu Departamentu Sprawiedliwości, panie Krendler. - Ponieważ nie odpowiedział, ciągnęła dalej. - Sprawdzamy nowe zgłoszenia dotyczące prenumeraty niektórych magazynów kulturalnych, które w przeszłości zamawiał:

pisma antropologiczne, lingwistyczne, „Physical Review”, periodyki matematyczne i muzyczne.

- Korzysta z usług dziwek sado-maso, coś w tym rodzaju? Może sprowadza męskie prostytutki?

Starling czuła, jak bardzo Krendler delectuje się tym pytaniem.

- Nic nam na ten temat nie wiadomo, panie Krendler. W Baltimore widywano go na koncertach w towarzystwie kilku atrakcyjnych pań. Niektóre były znane w Baltimore z działalności charytatywnej. Pamięamy o ich urodzinach, gdyż wtedy może kupić któregoś z nich prezent. Z tego, co wiemy, żadnej z nich nigdy się nic nie stało i żadna z nich nie

wyraziła zgody na rozmowę o doktorze. Nie znamy jego preferencji seksualnych.

- Zawsze podejrzewałem, że jest homo.

- A to dlaczego, panie Krendler?

- Te jego artystyczno-snobistyczne zainteresowania. Muzyka kameralna i delikatne potrawy. Nie mam nic przeciwko gejom, jeśli darzy pani sympatią tych ludzi lub ma przyjaciół w tych kręgach. W każdym razie, Starling, proszę sobie dobrze zapamiętać: żądam współpracy w tej sprawie. Żadnej autonomii. Mam dostawać kopie wszystkich raportów i dokumentów, mam wiedzieć o wszystkich poszlakach. Czy to jasne, Starling?

- Tak, proszę pana.

- Oby tak było - rzucił w drzwiach. - Może istnieje szansa, że pani sytuacja tutaj ulegnie poprawie. Pani tak zwanej karierze przydałaby się każda pomoc.

W przyszłej ciemni zainstalowano już wentylatory. Starling włączyła je, niwelując zapach jego wody po goleniu i pasty do butów. Krendler bez słowa pożegnania zniknął za zasłonami.

Powietrze tańczyło przed Starling jak upał falujący na poligonie.

Na korytarzu Krendler usłyszał za sobą głos Clarice:

- Wyjdę z panem, panie Krendler.

Na Krendlera czekał samochód z kierowcą. Na swoim stanowisku musiał zadowolić się sedanem mercury grand marquis.

- Chwileczkę, panie Krendler - usłyszał, zanim zdążył wsiąść do samochodu.

Odwrócił się do Starling z zaciekawieniem. Może coś podejrzewa? A może to gniewna kapitulacja?

- Jesteśmy na dworze - powiedziała Starling. - Nie ma tu żadnych urządzeń podsłuchowych, chyba że chowa pan coś przy sobie.

Opanowała ją pokusa, której nie potrafiła się oprzeć. Pracowała wśród zakurzonych książek i miała na sobie luźną dżinsową koszulę, a pod nią obcisłą bluzkę na ramiączka.

Jednym ruchem rozpięła zatrzaski koszuli i rozchyliła ją.

-Widzi pan, ja nie noszę mikrofonu. - Nie nosiła też stanika. - Może już nie będziemy mieli okazji porozmawiać na osobności, więc chcę panu zadać

pytanie. Pracuję tu od lat, a pan przy każdej okazji wbija mi nóż w plecy. Dlaczego, panie Krendler?

- Umówmy się na rozmowę... Wygospodaruję dla pani trochę czasu, jeśli chce pani powspominać...

- Porozmawiamy teraz.

- Domyśl się, Starling.

- Bo nie chciałam się z panem umówić? Wtedy, gdy kazałam panu wracać do żony?

Znów na nią spojrział. Rzeczywiście nie miała przy sobie mikrofonu.

- Nie pochlebiaj sobie, Starling. W mieście pełno jest czerstwych wiejskich dziewczyn.

Zajął miejsce obok kierowcy, klepnął w deskę rozdzielczą i samochód ruszył. Krendler, żałował, że nie powiedział „wiejskich cip, takich jak ty”. Wierzył, iż w przyszłości czeka go wiele politycznych wystąpień. Musiał doskonalić werbalne karate i przyswoić sobie sztukę kąsania słowami.

## ROZDZIAŁ 50

Zapewniam pana, to może się udać - powiedział Krendler w stronę dyszącej ciemności, gdzie leżał Mason. - Dziesięć lat temu było to niemożliwe, ale teraz ona może przepuścić przez komputer listy klientów jak gówno przez maszynkę do mięsa. - Poruszył się na sofie pod jasnymi światłami w pokoju Masona.

Krendler widział sylwetkę Margot rysującą się na tle akwarium. Był już przyzwyczajony do przeklinania w jej obecności i nawet robił to z przyjemnością. Mógł się założyć, że Margot wolałaby mieć coś innego między nogami. Ogarnęła go ochota wypowiedzenia słowa „kutas” w jej obecności i znalazł sposób.

- Zebrała wszystkie materiały o Lecterze i ustaliła jego preferencje. Pewnie dowiedziała się też, po której stronie układa kutasa w majtkach.

- A propos, Margot, sprowadź doktora Doemlinga - zażyczył sobie Mason.

Doktor Doemling czekał w pokoju z zabawkami wśród gigantycznych maskotek. Mason obserwował go na wideo. Doktor badał pluszową mosznę wielkiej żyrafy, zupełnie jak Viggertowie krążący wokół posągu Dawida. Na ekranie wydawał się niższy niż zabawki. Jakby się skurczył, chcąc wniknąć niczym robak w miąższ czyjegoś dzieciństwa.

Psycholog był kościstym, bardzo czystym, choć nie wyleczonym z łupieżu osobnikiem z pasmem włosów zaczesanym na zaczerwienioną łysinę. Przy łańcuszku zegarka miał kluczyk Phi Beta Kappa. Usiadł przy stoliku naprzeciw Krendlera. Sprawiał wrażenie, jakby dobrze znał ten pokój.

Jabłko po jego stronie misy z owocami i orzechami było robaczywe. Doemling odwrócił od siebie stronę nadjedzoną przez robaki. Śledził zza okularów Margot, która wzięła kolejną parę orzechów i wróciła na miejsce przy akwarium. Jego wzrok wyrażał zdumienie graniczące z otępieniem.

- Doktor Doemling kieruje wydziałem psychologii na Uniwersytecie Baylora. Objął katedrę utworzoną przez Vergerów - poinformował Krendlera Mason. - Zapytałem go, jaki rodzaj więzi może łączyć doktora Lectera z agentką FBI Clarice Starling. Doktorze...

Doemling usadowił się, jakby zajmował miejsce dla świadków w sądzie, i zwrócił się do Masona jak do ławy przysięgłych. Krendler dostrzegł jego wystudiowane ruchy, ostrożną stroniczość świadka inkasującego za wystąpienie dwa tysiące dolarów.

- Pan Verger, oczywiście, zna moje kwalifikacje. Chciałby pan o nich usłyszeć? - zapytał Doemling.

- Nie - odparł Krendler.

- Studiowałem notatki Starling z jej rozmów z Hannibalem Lecterem, jego listy do niej i dostarczone przez pana materiały dotyczące ich przeszłości - rozpoczął psycholog.

Krendler skrzywił się, lecz Mason uspokoił go.

- Doktor Doemling podpisał oświadczenie, zobowiązując się do milczenia.

- Cordell będzie wyświetlał slajdy na pańskie życzenie, doktorze - powiedziała Margot.

- Najpierw trochę historii. - Doemling zajął do notatek. - Wiemy, że Hannibal Lecter urodził się na Litwie. Jego ojciec był hrabią z tytułem sięgającym dziesiątego wieku, a matka wysoko urodzoną Włoszką z rodziny Viscontich. Podczas odwrotu z Rosji niemieckie oddziały pancerne ostrzelały ich posiadłość pod Wilnem. Obydwoje rodzice zginęli, tak jak większość służby. Dzieci zaginęły. Było ich dwoje: Hannibal i jego siostra. Nie wiemy, co stało się z dziewczynką. Rzecz w tym, że Lecter był sierotą, tak jak Clarice Starling.

- O czym wie pan ode mnie wtrącił niecierpliwie Mason.

- Ale jakie wyciągnął pan z tego wnioski? - zapytał doktor Doemling. -Ja nie sugerowałbym, że obydwie sieroty łączy jakiś rodzaj współczucia, panie Verger. Tu nie chodzi o współczucie. Współczucie nie wchodzi w grę. O litości już nie wspomnę. Proszę posłuchać. Dzięki podobnym doświadczeniom z dzieciństwa doktor Lecter lepiej rozumie Starling, a tym samym łatwiej może ją kontrolować. Chodzi mu tylko o kontrolę nad nią.

- Ta Starling - ciągnął dalej - spędziła dzieciństwo w sierocińcu, a z waszych informacji wynika, że nie ma stałego partnera. Mieszka z koleżanką ze studiów, młodą Murzynką.

- Bardzo możliwe, że uprawiają seks - oświadczył Krendler. Psychiatra nawet nie raczył spojrzeć na Krendlera, bagatelizując jego sugestię.

- Nigdy nie wiadomo na pewno, dlaczego ktoś z kimś mieszka.

- To jedna z rzeczy, które są ukryte, jak napisano w Biblii - wtrącił Mason.

- Starling wygląda całkiem apetycznie, jeśli ktoś lubi razowy chleb -oceniła Margot.

- Wydaje mi się, że to Lecter jest stroną przyciągającą, nie ona - oznajmił Krendler. - Widzieliście ją: jest zimna jak ryba.

- Czyżby, panie Krendler? - Margot sprawiała wrażenie rozbawionej.

- Myślisz, że jest lesbijką, Margot? - zapytał Mason.

- Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Odniosłam tylko wrażenie, że te sprawy traktuje z cholernym dystansem. Wydaje się twarda, nic nie można wyczytać z jej twarzy, ale nie powiedziałabym, że jest zimna. Nie rozmawialiśmy długo, ale tak mi się wydaje. To było, zanim potrzebowałeś mojej pomocy, Masonie. Wyprosiłeś mnie wtedy, pamiętasz? Nie

uważam, że jest zimna. Dziewczyna, która wygląda jak Starling, musi zachowywać pewien dystans, bo w przeciwnym razie nie opędziłaby się od różnych dupków.

Krendler poczuł, że Margot wpatruje się w niego trochę zbyt długo, choć widział tylko zarys jej postaci.

Jakie ciekawe jest zestawienie głosów, które rozbrzmiewają w tym pokoju. Ostrożny, urzędniczy ton Krendlera, pedantyczne popiskiwanie Doemlinga, głęboki, donośny głos Masona ze słabo uformowanymi głoskami wybuchowymi i rozmytymi głoskami szczelinowymi oraz chrapliwy, niski głos Margot, złośliwej niczym kucyk nie znoszący wędzidła. Ponad tym wszystkim sapiąca maszyna, która wspomaga oddech Masona.

- Co do życia prywatnego Starling, mam pewien pomysł związany z jej rzekomą obsesją na punkcie ojca - kontynuował Doemling. - Za chwilę do tego przejdę. Tymczasem omówię trzy dokumenty doktora Lectera związane z Clarice Starling. Dwa listy i rysunek. Rysunek przedstawia zegarek z krucyfiksem, który doktor zaprojektował w szpitalu. - Doemling podniósł wzrok i spojrzał na monitor. - Proszę o slajd.

Gdzieś spoza pokoju Cordell wyświetlił na podnoszonym monitorze niezwykle rysunek. Oryginał sporządzono węglem na papierze pakowym. Kopia Masona była odbitką światłodrukową o liniach koloru siniaka.

- Starał się o patent - wyjaśnił doktor Doemling. - Jak państwo widzą, mamy tutaj Chrystusa ukrzyżowanego na tarczy zegara, przy czym godzinę wskazują jego obracające się ramiona, tak jak w zegarkach z Myszka Miki. Co ciekawe, twarz na pochylonej głowie ma rysy Clarice Starling. Rysunek powstał w czasie, gdy odwiedzała Lectera w szpitalu. Proszę popatrzeć na fotografię tej kobiety. Cordell, prosimy o fotografię.

Bez wątpienia twarz Jezusa miała rysy Starling.

- Inną anomalią jest fakt, że do krzyża przybito nie dłonie, tylko nadgarstki.

- To się zgadza - wtrącił Mason. - Trzeba przybijać nadgarstki i używać dużych drewnianych podkładek, w przeciwnym razie gwoździe nie będą się dobrze trzymały. Przekonaliśmy się o tym z Idi Aminem, gdy na Wielkanoc w Ugandzie zaaranżowaliśmy spektakl prawdziwego ukrzyżowania. W rzeczywistości do krzyża przybito nadgarstki, nie dłonie naszego Zbawiciela. Wyobrażenia męki pańskiej w malarstwie są mylne. Wynikają z przekłamania w tłumaczeniu Biblii z hebrajskiego na łacinę.

- Dziękuję - wyraził fałszywą wdzięczność doktor Doemling. - Proszę zauważyć, że ramię tworzące wskazówkę minutową znajduje się na szóstce, wstydliwie zakrywając genitalia. Wskazówka godzinowa pokazuje dziewiątą lub trochę po dziewiątej. Wyrażna aluzja do tradycyjnej godziny ukrzyżowania Jezusa.

- A jeśli połączy się szóstkę i dziewiątkę, otrzymamy sześćdziesiąt dziewięć, popularną pozycję w sztuce miłości. - Margot nie mogła się powstrzymać przed wygłoszeniem tej uwagi. W odpowiedzi na karcące spojrzenie Doemlinga rozłupała orzechy, a łupiny zagrzechotały na podłodze.

- Zajmijmy się teraz listami doktora Lectera do Clarice Starling. Cordell, mógłbyś je wyświetlić? - Doktor Doemling wyjął z kieszeni laserowy wskaźnik. - Proszę zauważyć, że jego pismo, sprawna kaligrafia z użyciem wiecznego pióra, charakteryzuje się mechaniczną regularnością. Tego typu pismo widuje się w średniowiecznych bullach papieskich. Jest bardzo piękne, lecz przerażająco regularne. Nie ma tu żadnej spontaniczności. Jakby coś planował. Pierwszy list napisał tuż po swej ucieczce, podczas której zabił pięć osób. Przeczytajmy:

Cóż, Clarice, czy owce umilkły?

Jesteś mi winna pewną informację, wiesz o tym, i w tej właśnie sprawie piszę.

Wy starczy, jeśli pierwszego dnia dowolnego miesiąca zamieścisz ogłoszenie w krajowym wydaniu „Timesa „ oraz „International Herald-Tribune „, Nie zaszkodzi wysiać je także do „China Mail”.

Nie zdziwię się, jeśli odpowiedź będzie brzmiała: i tak, i nie. Owce na razie umilkną. Przekonasz się jednak sama, Clarice, jak krótkotrwałe jest miłosierdzie, odmierzane na tajemnych szalach Dobra i Zła; na błogosławione milczenie będziesz musiała sobie znowu zasłużyć. A potem jeszcze raz i jeszcze, i tak bez końca. To właśnie bowiem poczucie zagrożenia, fakt, że je dostrzegasz, jest siłą, która cię prowadzi. Zagrożenie zaś nigdy nie ustanie.

Nie zamierzam składać ci wizyty, Clarice, uznając świat z tobą za bardziej interesujący niż bez ciebie. Pewien jestem, że wyświadczysz mi tę samą grzeczność...

Doktor Doemling poprawił na nosie bezoprawkowe okulary i odchrząknął.

- Oto klasyczny przykład zjawiska, które określam w swych pracach mianem awunkulizmu, a które w literaturze specjalistycznej zaczęto powszechnie nazywać „awunkulizmem Doemlinga”. Niewykluczone, że termin ten pojawi się w następnym wydaniu *Podręcznika diagnostycznego i statystycznego*. Upraszczając, można to zdefiniować jako pozowanie na mądrego i troskliwego opiekuna, by zrealizować prywatne cele.

- Z dokumentów wynika, że pytanie Lectera o owce jest nawiązaniem do przeżyć Clarice Starling z dzieciństwa, do rzezi owiec na ranczu w Montanie, gdzie mieszkała u kuzynów - mówił dalej beznamietnym głosem.

- Wymieniała informacje z Lecterem - pospieszył z wyjaśnieniem Krendler - który

wiedział coś o seryjnym mordercy Buffalo Billu.

- Drugi list, napisany siedem lat później, na pierwszy rzut oka zawiera słowa pociechy i wsparcia - perorował Doemling. - Najpierw drażni ją uwagami na temat jej rodziców, których Starling najwyraźniej adoruje. Nazywa jej ojca „zmarłym nocnym stróżem”, a matkę „sprzątaczką”. Następnie przypisuje im wspaniałe cechy, które w jej wyobrażeniu posiadali, i wymienia te cechy, żeby usprawiedliwić jej zawodową porażkę. Próbuje się tu wkraść w jej łaski, chce ją sobie podporządkować.

- Myślę - ciągnął dalej - że Starling jest trwale przywiązana do swego ojca, do jego *image'u*. To utrudnia jej nawiązywanie kontaktów seksualnych i w jakiś sposób rodzi słabość do doktora Lectera, z czego on w swej perwersyjności natychmiast skorzysta. W drugim liście ponownie ją namawia, żeby się z nim skontaktowała w formie ogłoszenia, i podaje jej hasło.

Boże jedyny, ten człowiek gada i gada! Zniecierpliwienie i nuda były dla Masona torturą, nie mógł się przecież poruszyć.

- Dobrze, świetnie, doskonale, doktorze - przerwał mu. - Margot, uchyl na chwilę okno. Mam nowe źródło, doktorze Doemling. Kogoś, kto zna i Starling, i Lectera, i widział ich razem. Towarzyszył Lecterowi dłużej niż ktokolwiek inny. Chcę, żeby pan z nim porozmawiał.

Krendler zmienił pozycję na sofie. Poczł ucisk w żołądku, gdy zorientował się, co się święci.



## ROZDZIAŁ 51

Mason przemówił do głośnika i po chwili do pokoju wszedł wysoki mężczyzna. Muskulaturą dorównywał Margot i był ubrany na biało. - Oto Barney - przedstawił go Mason. - Kierował oddziałem pod specjalnym nadzorem Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych Przeszpców w Baltimore, kiedy przebywał tam Lecter. Teraz pracuje dla mnie.

Barney wolał stać przed akwariem obok Margot, lecz doktor Doemling chciał ujrzeć go w świetle. Zajął więc miejsce obok Krendlera.

- Barney, dobrze mówię? No więc, Barney, jakie masz kwalifikacje?

- Jestem przyuczonym pielęgniarzem z prawem praktyki.

- Ach tak? Świetnie. To wszystko?

- Mam stopień magisterski z nauk humanistycznych otwartego uniwersytetu - kontynuował beznamytnie Barney. - Posiadam również kwalifikacje do pracy w kostnicy. Skończyłem kurs wieczorowy, kiedy chodziłem do szkoły pielęgniarzkiej.

- Ucząc się na pielęgniarza, pracowałeś jako asystent w kostnicy?

- Tak, zwoziłem ciała z miejsc zbrodni i asystowałem przy sekcjach zwłok.

- A przedtem?

- Korpus piechoty morskiej.

- Rozumiem. I kiedy pracowałeś w szpitalu stanowym, widziałeś interakcję między Clarice Starling i Hannibalem Lecterem? To znaczy widziałeś, jak rozmawiali ze sobą?

- Wydawało mi się, że...

- Zaczniemy od tego, co widziałeś, a nie co ci się wydawało, dobrze?

- Barney jest na tyle inteligentny, że możemy wysłuchać jego opinii - wtrącił się Mason. - Barney, znasz Clarice Starling?

- Tak.

- Znałeś Hannibala Lectera przez sześć lat.

- Tak.

- Co zaszło między nimi?

Początkowo Krendler miał trudności ze zrozumieniem wysokiego, chropowatego głosu Barneya, ale to właśnie on zadał mu kluczowe pytanie.

- Czy podczas wizyt Starling Lecter zachowywał się inaczej?

- Tak. Najczęściej ignorował swoich gości - odparł Barney. - Czasem otwierał usta, żeby znieważać jakiegoś profesora, który próbował go przesłuchiwać. Jednego doprowadził nawet do łez. Był surowy dla Starling, ale robił się przy niej wyjątkowo rozmowny.

Zainteresowała go. Zaintrygowała.

-W jaki sposób?

Barney wzruszył ramionami.

- Prawie w ogóle nie widywał kobiet. A ona jest niebrzydka...

- Nie interesuje mnie twoja opinia na ten temat - przerwał mu Krendler. -Wiesz coś jeszcze?

Barney nie odpowiedział, spojrzał tylko na Krendlera z lekceważącą miną. Margot rozłupała kolejny orzech.

- Mów dalej, Barney - zachęcił go Mason.

- Byli ze sobą szczerzy. On potrafi być rozbrajający. Odnosi się wtedy wrażenie, że nie miałby czelności skłamać.

- Nie miałby czego? - nie zrozumiał Krendler.

- Czelności - powtórzył Barney.

- C-Z-E-L-N-O-Ś-Ć - przeliterowała z ciemności Margot Verger. - To znaczy śmiałość lub tupet, panie Krendler. Barney mówił dalej.

- Doktor Lecter najpierw powiedział jej trochę nieprzyjemnych *rzeczy*, po czym przeszedł do komplementów. Słyszając wcześniej przykre słowa, tym bardziej ucieszyła się z pochlebstw. Wiedziała, że są szczerze. Doktor uważał, że jest czarująca i zabawna.

- Skąd możesz wiedzieć, co Hannibal Lecter uznawał za „zabawne”? -zapytał Doemling. - Jak do tego doszedłeś, pielęgniarzu Barney?

- Słyszając jego śmiech, doktorze Doemling. Uczyli nas o tym w szkole na wykładzie pod tytułem „Pogoda ducha a zdrowie”.

Albo Margot parsknęła, albo z akwarium za nią wydobył się podobny dźwięk.

- Daj spokój, Barney. Opowiedz nam resztę - zachęcał Mason.

- Tak, proszę pana. Czasem rozmawiałem z doktorem Lecterem późno w nocy, gdy robiło się wystarczająco cicho. Rozmawialiśmy o moich kursach i innych rzeczach. On...

- Czy przypadkiem nie zapisał się pan na korespondencyjny kurs psychologii? - zapytał Doemling.

- Nie, proszę pana, nie uważam psychologii za naukę. Doktor Lecter też nie - dodał szybko, zanim Mason zdążył wypowiedzieć słowa reprimendy. - Mogę tylko powtórzyć, co mi powiedział. Dostrzegał w niej zmianę. Była czarująca niczym młode lwiątko, zanim przeistoczy się w wielkiego kota, z którym już nie można się bawić. Mówił, że widzi w niej młodzieńczą gorliwość. Jej zęby i pazury nie były jeszcze w pełni rozwinięte i póki co wiedziała tylko, jak mocować się z innymi lwiątkami. To go bawiło.

- Znaczący jest sposób, w jaki to wszystko zaczęło się między nimi -kontynuował. - Za pierwszym razem rozmawiał z nią uprzejmie, lecz w dużej mierze bawił się nią. Kiedy odchodziła, jeden z pacjentów prysnął jej w twarz spermą. Doktor Lecter był poruszony i zażenowany. Wtedy po raz pierwszy i ostatni widziałem go zdenerwowanego. Ona też to spostrzegła i próbowała skorzystać z okazji. Myślę, że zaimponowała mu swoim opanowaniem.

- Jak doktor odnosił się do tamtego pacjenta, który prysnął spermą? Coś ich łączyło?

- Niezupełnie - odparł Barney. - Doktor Lecter po prostu zabił go tamtej nocy.

- Przecież byli zamknięci w osobnych celach - zdziwił się Doemling. -Jak tego dokonał?

- Dzieliły ich trzy cele i korytarz - uściślił Barney. - W środku nocy doktor Lecter porozmawiał z nim chwilę, po czym nakłonił go, żeby połknął język.

- Więc stosunki między Clarice Starling i Hannibalem Lecterem stały się... przyjazne? - zapytał Mason.

- W ramach pewnego rodzaju formalnej struktury - dodał Barney. -Wymieniali się informacjami. Doktor Lecter dzielił się z nią wiedzą na temat wielokrotnego mordercy, którego ściagała, za co płaciła mu informacjami o sobie. Lecter powiedział mi, że zuchwałość Starling może jej kiedyś zaszkodzić. Nazwał to „nadmiarem zapału”. Uważał, że Starling byłaby skłonna narazić się na duże niebezpieczeństwo, gdyby wymagało tego zadanie. A raz powiedział, że „ciąży nad nią klątwa smaku”. Nie wiem, co miał na myśli.

- Doktorze Doemling, czy on chce ją pieprzyć, zabić czy zjeść? - zapytał Mason, wyczerpując wszystkie przychodzące mu do głowy możliwości.

- Prawdopodobnie wszystko - odparł psycholog. - Wolałbym nie przewidywać, w jakiej kolejności zechce dokonać tych czynów. A oto istota tego, co mogę wam powiedzieć. Nie zważając na fakt, że brukowce - i mentalność, którą reprezentują - zechcą nadać sprawie wymiar sentymentalny, zamienić ją w historię o Pięknej i Bestii, musimy wiedzieć, iż celem Lectera jest degradacja tej kobiety, jej cierpienie i śmierć. Dwukrotnie wyciągnął do niej rękę: kiedy jej twarz została skalana spermą i kiedy stała się obiektem wściekłych ataków gazet po owej feralnej strzelaninie. Zakłada maskę jej mentora, lecz tak naprawdę podnieca go jej cierpienie. Kiedy historia Hannibala Lectera zostanie spisana, a tak się niewątpliwie stanie, jego przypadek zostanie uznany za przykład „awunkulizmu Doemlinga”. Żeby zwabić doktora, trzeba unieszczęśliwić Starling.

Między szeroko rozstawionymi oczami Barneya pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Mogę coś wtrącić, panie Verger, skoro już mnie pan tu wezwał? - Nie czekał na

pozwolenie. - W szpitalu doktor Lecter pomógł jej, kiedy okazała zimną krew, stojąc tam i wycierając z twarzy nasienie. W liście nazywa ją wojownikiem i podkreśla, że podczas strzelaniny uratowała dziecko. Podziwia i szanuje jej odwagę i dyscyplinę. Sam napisał, że nie ma zamiaru jej odwiedzać. A trzeba mu przyznać jedno: nigdy nie kłamie.

- Właśnie o tego typu myśleniu mówiłem - odezwał się Doemling. - Hannibal Lecter nie odczuwa ani podziwu, ani szacunku. Nie ma w nim ciepła, żadnych uczuć. To romantyczna ułuda, która dowodzi, czym może grozić kiepskie wykształcenie.

- Doktorze Doemling, pan naprawdę mnie nie pamięta? - zapytał Barney. - Kierowałem oddziałem, kiedy i pan próbował rozmawiać z doktorem Lecterem. Tak jak wielu innych, ale pan jako jedyny wyszedł z płaczem, o ile dobrze pamiętam. Później doktor Lecter zrecenzował pańską książkę w „American Journal of Psychiatry”. Nie dziwiłbym się, gdyby i ta recenzja doprowadziła pana do łez.

- Dość tego, Barney - przerwał mu Mason. - Dowiedz się, co z moim obiadem.

- Nie ma nic gorszego niż niedorobiony samouk - oświadczył Doemling, kiedy Barney wyszedł z pokoju.

- Nie wspominał pan o swej rozmowie z Lecterem, doktorze - powiedział Mason.

- W tym czasie zapadł w osłupienie katatoniczne i nic nie można było z niego wyciągnąć.

- I dlatego się pan rozplakał?

- To nieprawda.

- I przeczy pan wypowiedzi Barneya.

- Kłamie jak pies.

- Pewnie sam jest napalony na Starling - stwierdził Krendler.

Margot zaśmiała się w kulak, co jednak nie umknęło uwadze Krendlera.

- Jeśli chce pan przyciągnąć doktora Lectera do Clarice Starling, trzeba sprawić, żeby zobaczył jej krzywdę - zawyrokował Doemling. - Niech zasugeruje mu krzywdę, którą może jej wyrządzić. Widok jej nieszczęścia pobudzi go jakby podglądał ją podczas nieprzyzwoitych zabaw. Kiedy lis słyszy pisk królika, przybiega natychmiast, ale nie po to, żeby mu pomóc.

## ROZDZIAŁ 52

Jest pewien problem z Clarice Starling oznajmił Krendler po wyjściu Doemlinga. - Mogę dość precyzyjnie określić, co teraz robi, ale nie jestem w stanie kontrolować działań FBI. I jeśli FBI wystawi ją jako przynętę, wierzcie mi, że będą ją kryć. - Krendler wymierzył palec w ciemność, w której krył się Mason, żeby podkreślić wagę swych słów. - Nie może pan obrócić tej akcji na swoją korzyść. Nie zdoła pan przebić się przez ochronę i porwać Lectera. Agenci natychmiast wychwycą pańskich ludzi. Po drugie, FBI nie zainicjuje działań, jeśli Lecter nie skontaktuje się ponownie ze Starling lub jeśli nie pojawią się dowody na to, że jest blisko. Już raz do niej napisał i nic. Potrzeba będzie co najmniej dwunastu ludzi, żeby zapewnić jej ochronę. Droga sprawa. Lepiej by było, gdyby nie wydobył jej pan z tarapatów po tamtej strzelaninie. Trudno będzie całkowicie zmienić front i próbować jej teraz zaszkodzić, wyciągając ponownie tę samą sprawę.

- Gdyby tak, gdyby siak - powiedział Mason, nieźle jak na niego radząc sobie z głoską „s”. - Margot, zerknij no do „Corriere della Sera” z soboty po śmierci Pazziiego i sprawdź pierwszą pozycję w ogłoszeniach dla samotnych. Przeczytaj nam.

Margot przysunęła gazetę do światła.

- Napisane po angielsku, zaadresowane do A. A. Aarona. Brzmi tak: „Oddaj się w ręce miejscowej policji, wrogowie są blisko. Hannah”. Kim jest Hannah?

- Takie imię nosiła klacz, którą Starling miała w dzieciństwie - wyjaśnił Mason. - Jest to ostrzeżenie Starling skierowane do Lectera. Wyjaśnił jej w swym liście, jak ma się z nim kontaktować.

Krendler zerwał się na równe nogi.

- Jezus Maria. Niemożliwe, żeby wiedziała o Florencji. Jeśli tak, to musi też wiedzieć, że przekazuję panu wszystkie te informacje.

Mason westchnął, zastanawiając się, czy Krendler nie jest zbyt głupi, żeby w przyszłości służyć mu jako polityk.

- O niczym nie wiedziała. To ja zamieściłem ogłoszenia w „La Nazione”, „Corriere della Sera” i „International Herald Tribune”. Miały się ukazać dzień po próbie porwania Lectera. W ten sposób, gdyby nam się nie powiodło, Lecter pomyślałby, że Starling próbowała mu pomóc. Wciąż mielibyśmy dojście do niego poprzez Starling.

- Nikt nie zrozumiał tego ogłoszenia.

- Nikt. Z wyjątkiem Hannibala Lectera. Może zechce jej podziękować -listownie, osobiście, kto wie? A teraz niech pan słucha: nadal ma pan wgląd w jej korespondencję?

Krendler kiwnął głową.

- Tak. Jeśli coś jej prześle, zobaczy to pan wcześniej niż ona.

- Posłuchaj uważnie, Krendler. Ogłoszenie zamówiono i opłacono w taki sposób, aby Clarice Starling nie była w stanie udowodnić, że sama go nie zamieściła. A to jest przestępstwo. Złamanie przepisów. Możesz jarym skrzywdzić, Krendler. Wie pan, jak FBI traktuje tych, którzy wylecieli od nich. Gównu ich obchodzą. Nawet nie zachowa pozwolenia na broń. Nikt nie będzie jej obserwował oprócz mnie. A Lecter będzie wiedział, że została sama. Ale najpierw wypróbujemy coś innego. - Mason przerwał, żeby złapać oddech. - Jeśli to nie zadziała, zrobimy, co nam radzi Doemling: „skrzywdzimy” ją tym ogłoszeniem. Co tam skrzywdzimy, złamiemy ją na pół. Radzę panu, żeby zachował pan połowę z cipką. Ta druga połowa jest, do diabła, zbyt gorliwa.

## ROZDZIAŁ 53

Clarice Starling biegła wśród opadających liści w parku stanowym Wirginii, położonym godzinę jazdy od jej domu. Ulubione miejsce, zupełnie wyludnione o tej porze w środku jesiennego tygodnia. Potrzebowała wolnego dnia. Biegła znaną sobie dróżką na porośniętych lasem wzgórzach wzdłuż rzeki Shenandoah. Wczesne słońce ogrzewało powietrze na szczytach, lecz niżej było zimno. Czasem jednocześnie czuła ciepłe powietrze na twarzy i zimne na nogach.

W tych dniach Starling czuła się bardziej pewnie, gdy biegła; chodząc, miała wrażenie, że ziemia chwieje się pod jej stopami.

Biegła wśród roztańczonych eksplozji światła przebijającego się przez liście. Biegła cętkowaną ścieżką, miejscami poprzecinaną cieniami pni drzew. Przed nią spłoszyły się dwie łanie i jeleń. Jednym susem umknęły ze ścieżki. W mroku zamigotały tylko ich białe plamy pod ogonkiem, gdy zwierzęta lekko pobiegły w głąb lasu. Starling sama dała susa z radości.

Hannibal Lecter siedział nieruchomo jak postać ze średniowiecznych gobelinów wśród opadłych liści na zboczu wzgórza nad rzeką. Miał przed sobą widok na stu pięćdziesięciometrowy odcinek ścieżki. Obserwował ją przez lornetkę polową zabezpieczoną przed refleksami światła osłoną z tektury. Najpierw ujrzał spłoszone zwierzęta, które śmignęły obok niego po zboczu, a potem, po raz pierwszy od siedmiu lat, Clarice Starling w całej okazałości.

Twarz doktora nie zmieniła wyrazu, lecz jego nozdrza rozszerzyły się, kiedy brał głęboki wdech, jak gdyby z tak dużej odległości mógł poczuć zapach Starling.

Powietrze niesło woń suchych i pleśniejących liści zmieszaną z zapachem gnijących żołądzi. A także odór zajęczych bobków i głębokiego dzikiego piżma postrzępionej wiewiórczej skóry. Brakowało jednak zapachu Starling. Doktor rozpoznałby go wszędzie. Zobaczył spłoszone zwierzęta i obserwował ich ucieczkę jeszcze długo po tym, gdy zniknęły z oczu Starling.

Miał ją w zasięgu wzroku przez niespełną minutę: biegła swobodnie i lekko, z małym plecaczkiem z butelką wody. Oświetlające ją od tyłu promienie porannego słońca rozmazały zarys sylwetki, jakby została posypana pyłkiem kwiatowym. Lornetka Lectera trafiła na odbicie słońca w wodzie i przez kilka minut doktor miał plamki przed oczami. Starling zniknęła w miejscu, gdzie ścieżka opadała w dół po stoku wzgórza. Zdołał jeszcze dostrzec jej podskakujący kucyk, przypominający puszysty ogonek jelenia wirgińskiego.

Doktor Lecter nie poruszył się, nie próbował jej gonić. W umyśle wyraźnie

zarejestrował jej obraz. Mogła być w jego myślach tak długo, jak sobie życzył. Pierwsze spojrzenie na nią po siedmiu latach, nie licząc zdjęć z gazet i przelotnych spojrzeń z daleka na jej głowę w samochodzie. Wyciągnął się na wznak wśród liści, podłożywszy ręce pod głowę i patrzył na rzednący klon. Liście drżały na tle ciemnego, niemal fioletowego nieba. Fiolet, fiolet, kiść dzikich ciemnych winogron, które zerwał po drodze, jest fioletowa. Pełne, nie umyte owoce zaczynają się marszczyć. Zjadł kilka, resztę zmiążdżył w dłoni i zliżał sok. Fiolet, fiolet.

Fiolet oberżyny w ogrodzie.

W domku myśliwskim nie było gorącej wody, więc opiekunka Miszy wyniosła balię z kutej miedzi do ogrodu, żeby południowe słońce ogrzało kąpiel dwuletniego dziecka. Misza siedziała w połyskującej wodzie, a wokół niej fruwały bielinki kapustniki. Woda nie była głęboka, zakrywała tylko pulchne nóżki dziewczynki, lecz jej brat Hannibal i wielki pies czuwali, gdy opiekunka poszła do domku po koc.

Niektórym służącym Hannibal Lecter wydawał się dziwnym dzieckiem, przerażająco poważnym i nad wiek mądrym. Nie przerażał jednak starej opiekunki, która знаła się na swoim fachu, i nie przerażał Miszy, która rozpląszczała swe dziecięce rączki na jego policzkach i śmiała mu się w twarz. Misza wyciągnęła rączki jeszcze dalej, w stronę oberżyny, na którą uwielbiała patrzeć. Nie miała kasztanowych oczu jak jej brat Hannibal, lecz niebieskie. Kiedy wpatrywała się w fioletową oberżynę, jej oczy ciemniały. Hannibal Lecter wiedział, że Misza uwielbia ten odcień fioletu. Gdy dziewczynkę wniesiono do domku, a pomocnica kucharki wyszła, żeby opróżnić balię w ogrodzie, Hannibal przyklęknął przy zagonie oberżyn. Wyjął z kieszeni mały scyzoryk i przeciął łodygę jednego z bakłazanów. Wypolerował skórkę chusteczką i zaniósł nagrzaną od słońca warzywę, ciepłą jak zwierzę, do pokoju siostry, gdzie położył je w widocznym miejscu. Misza uwielbiała ciemny fiolet, uwielbiała kolor oberżyny do końca swoich dni.

Hannibal Lecter zamknął oczy, żeby jeszcze raz ujrzeć zwierzęta umykające przed Starling, żeby zobaczyć ją, jak biegnie ścieżką, otoczona złotymi promieniami wschodzącego słońca. Ale ujrzął inne zwierzę, małą ranną sarnę, która szarpie się, prowadzona na śmierć na sznurze okręconym wokół szyi, sarnę, którą zjedli, zanim zjedli Misze. Nie mógł dłużej usiedzieć w miejscu. Wstał. Ręce i usta miał poplamione fioletowym sokiem winogron. Spojrzał na ścieżkę, którą biegła Starling. Wciągnął nosem powietrze, wdychając oczyszczający aromat lasu. Wpatrywał się w miejsce, gdzie zniknęła. Ścieżka wydawała się jaśniejsza niż otaczający ją las, jak gdyby Starling zostawiła za sobą świetlną smugę.

Szybko wdrapał się na wzgórze i zszedł po drugiej stronie w kierunku parkingu przy



pobliskim polu kempingowym, gdzie zostawił samochód. Chciał wyjść z parku przed powrotem Starling, która zaparkowała swój wóz trzy kilometry dalej, na głównym parkingu przy zamkniętej po sezonie budce strażników leśnych.

Powrót do samochodu zajmie jej co najmniej kwadrans.

Doktor zaparkował przy mustangu Starling, ale nie wyłączył silnika. Miał już kilka okazji, by obejrzeć jej samochód. Zwykle zostawiała go na parkingu przy sklepie spożywczym, niedaleko swojego domu. Zauważył wówczas niskowy bilet wstępu do parku stanowego przyklejony do szyby. Natychmiast kupił mapy parku i w wolnym czasie przeprowadził rekonesans.

Samochód był zamknięty i wyglądał, jakby spał przycupnięty na szerokich kołach. Stary mustang Starling rozśmieszał doktora. Był cudaczny i jednocześnie niesamowicie wydajny. Choć doktor przysunął nos bardzo blisko chromowej klamki, nie wyczuł nic. Otworzył scyzoryk i wsunął cienkie ostrze do szpary w drzwiach nad zanikiem. Alarm? Tak? Nie? Klik. Nie.

Lecter wszedł do samochodu, zanurzając się w intensywny zapach Clarice Starling. Gruba kierownica miała skórzany pokrowiec. Na klaksonie widniał napis MOMO. Doktor przyglądał się literom z przekrzywioną głową, a jego usta układały się w kształt słów „mo mo”. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, zamknął oczy i wdychał powietrze z uniesionymi brwiami, jak gdyby delectował się muzyką podczas koncertu.

Spomiędzy jego warg wysunął się ostro zakończony różowy język, niczym mały wąż. Nie zmieniając wyrazu twarzy, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z ruchów języka, doktor pochylił się do przodu, odnalazł węchem skórzaną kierownicę. Owinął wokół niej język, dotykając wgłębień na palce pod spodem. Posmakował wytarte miejsce na kierownicy, gdzie zwykle spoczywała jej dłoń. Znowy usiadł prosto i zamknął usta. Poruszał nimi, jak gdyby smakował wino. Wziął głęboki wdech, wysiadł i zamknął mustanga. Dopiero gdy jego stara ciężarówka wyjechała z parkingu, wypuścił z ust i z płuc powietrze przesycone zapachem Clarice Starling.

## ROZDZIAŁ 54

W Sekcji Behawioralnej uznaje się, że wampiry grasują na określonym obszarze, natomiast kanibale przenoszą się z miejsca na miejsce.

Doktorowi Lecterowi wędrowny tryb życia zupełnie jednak nie odpowiadał. Nieuchwytność zawdzięczał głównie jakości swoich alternatywnych tożsamości, dbałości o ich utrzymanie oraz łatwemu dostępowi do pieniędzy. Przypadkowe i częste podróże nie miały z tym nic wspólnego.

Posługiwał się na zmianę dwoma kompletami dokumentów, a na trzecie nazwisko rejestrował samochody, bez żadnych problemów wymościł sobie więc wygodne gniazdko w ciągu tygodnia od powrotu do Stanów Zjednoczonych.

Wybrał Maryland, około godziny jazdy samochodem na południe od Muskrat Farm Masona Vergera. Miał stąd wygodny dojazd do sal koncertowych i teatrów w Waszyngtonie i Nowym Jorku.

Unikał wszystkiego, co mogłoby zwrócić nań uwagę otoczenia, a oba jego główne wcielenia przeszłyby pozytywnie każdą standardową kontrolę. Odwiedziwszy jedną ze swoich skrytek w Miami, wynajął na rok od niemieckiego lobbysty przyjemny dom na odludziu nad Zatoką Chesapeake.

W razie konieczności podawał numery dwóch telefonów z taniego mieszkania w Filadelfii. Stamtąd rozmowy były automatycznie przełączane do jego nowego domu i sygnalizowane charakterystycznym dzwonkiem.

Płacąc zawsze gotówką, zaopatrzył się u koników w bilety na koncerty symfoniczne, przedstawienia baletowe i operowe, które go interesowały.

Jedną z zalet wynajętego domu był przestronny podwójny garaż z warsztatem i solidnymi podnoszonymi drzwiami. Tam doktor zaparkował swoje dwa wozy: sześcioletniego chevroleta pikapa z orurowaniem nad otwartą przyczepą i dołączonym imadłem, kupionego od hydraulika i malarza, oraz jaguara sedana z doładowaniem, którego wydzierżawił od spółki holdingowej w Delaware. Wyposażenie pikapa Lecter zmieniał codziennie. Wśród sprzętów, które ładował na przyczepę, były: drabina malarska, rury, płytki PCV, zestaw do grilla i zbiornik z butanem.

Uporawszy się z problemem wyboru domu, Lecter pozwolił sobie na tydzień obcowania z muzyką i sztuką w Nowym Jorku. Katalogi najbardziej interesujących wystaw wysłał do swojego kuzyna Balthusa, wybitnego malarza mieszkającego w Paryżu.

W domu aukcyjnym Sotheby's w Nowym Jorku kupił dwa wspaniałe, bardzo rzadkie

instrumenty muzyczne. Pierwszy to flamandzki klawesyn z końca osiemnastego wieku, bardzo podobny do Dulcina z tysiąc siedemset czterdziestego piątego roku z górnym manuałem przystosowanym do utworów Bacha. Instrument ten był godnym następcą *gravicembalo*, na którym grywał we Florencji. Drugim zakupem był elektroniczny theremin, skonstruowany w latach trzydziestych przez profesora Theremina. Od dawna fascynował doktora Lectera i jako dziecko nawet sam skonstruował podobny instrument. Gra na thereminie polega na przesuwaniu dłoni w polu elektronicznym. Dźwięki wydobywa się gestem.

Doktor Lecter zadomowił się i mógł teraz pozwolić sobie na rozrywkę...

Po poranku spędzonym w parku doktor wrócił do swojego przyjemnego azylu na wybrzeżu Marylandu. Widok Clarice Starling biegnącej wśród opadających liści leśną ścieżką zapadł mu głęboko w pamięć. Jest dla niego źródłem przyjemności, do którego może dotrzeć w sekundę, mijając *foyer* swego pałacu pamięci. Widzi biegnącą Starling, a dzięki perfekcyjnej pamięci wzrokowej wynajduje w tej scenie nowe szczegóły: słyszy tętent jeleni, mijających go na zboczu wzgórza, widzi zgrubienia na ich kończynach, żdźbła trawy na brzuchu najbliższego zwierzęcia. Umieścił to wspomnienie w słonecznym pokoju swój ego pałacu, jak najdalej od małej zranionej sarny...

Jest znów w domu, drzwi garażu opadają z delikatnym szumem za jego pikapem.

Gdy w południe znów się podniosły, z garażu wyjechał czarny jaguar z elegancko ubranym doktorem za kierownicą. Jechał do miasta.

Doktor Lecter bardzo lubił robić zakupy. Pojechał prosto do Hammacher Schlemmer, dostawcy wyszukanych domowych, sportowych i kuchennych akcesoriów, gdzie spędził mnóstwo czasu. Wciąż pod wrażeniem porannej wyprawy, obejrzał dokładnie trzy kosze piknikowe - wszystkie wykonane z lakierowanej wikliny z wszytymi skórzanymi pasami i solidnymi mosiężnymi dodatkami. Zdecydował się na kosz średniej wielkości, mieszczący zastawę tylko dla jednej osoby.

W koszyku znajdował się termos, tandetne kubki, toporne talerze i sztucce z nierdzewnej stali. Akcesoria tworzyły komplet z koszykiem i doktor Lecter musiał je kupić. Nie zamierzał jednak używać tak pospolitych i niegustownych przedmiotów.

U Tiffany'ego kupił talerze z francuskiej porcelany ze wzorem *chasse* przedstawiającym liście i górskie ptaki. U Christofle'a nabył dziewiętnastowieczne srebra stołowe ze wzorem kardynalskim. Symbol producenta był odcisnięty we wgłębieniu łyżek, których ręczki miały charakterystyczny kształt szczurzego ogona. Widelce były głęboko wygięte, a ich zęby szeroko rozstawione, uchwyty noży miały przyjemny ciężar. Sztucce układały się w dłoni jak dobre pistolety do pojedynków. Doktor długo nie mógł się

zdecydować na rozmiar kieliszków do mocnych alkoholi. W końcu wybrał długie *ballon* do brandy. W kwestii kieliszków do wina nie miał żadnych wątpliwości: wybrał kieliszki riedel, o krawędziach rozstawionych tak szeroko, że pozostawało mnóstwo miejsca na nos.

U Christofle'a znalazł również obrusy z kremowobiałego lnu i piękne adamaszkowe serwetki z maleńkimi wyhaftowanymi w rogu różyczkami przypominającymi krople krwi. Wzór tak bardzo spodobał się doktorowi, że nabył aż sześć serwetek.

Kupił też dwa przenośne palniki gazowe, jakich używa się w restauracjach do przyrządzania potraw przy stolikach, wspaniałą miedzianą patelnię, miedziane *fait-tout* do sosów i dwie trzepaczki. Nie mógł nigdzie znaleźć kuchennych noży ze stali węglowej, którą przedkładał nad nierdzewną, ani noży specjalistycznych, takich jak te, które pozostawił we Włoszech.

Na koniec odwiedził sklep z instrumentami medycznymi niedaleko Mercy General Hospital, gdzie okazji kupił prawie nową piłę do sekcji zwłok, która zajęła miejsce termosu w koszyku. Była wciąż na gwarancji, a ponadto dołączono do niej ostrze uniwersalne i czaszkowe. *Batterie de cuisine* została skompletowana.

Przez otwarte drzwi balkonowe do pokoju płynie rześkie wieczorne powietrze. Zatoka mieni się srebrzyście w bladym świetle księżyca. Na trójnogim stoliku przy klawesynie stoi kieliszek z winem. Aromat trunku miesza się ze słonym powietrzem. Doktor Lecter napawa się nim, nie zdejmując rąk z klawiatury.

W swoim czasie miał już klawikordy, wirginały i inne dawne instrumenty klawiszowe. Ale najbardziej lubi dźwięk i dotyk klawesynu.

Doktor Lecter spogląda na instrument, otwierając i zamykając dłonie. Obchodzi się z nowym nabytkiem jak z nieznaną, którą chce oczarować: wybiera melodię *Green Grows the Holly*, skomponowaną przez Henryka VIII.

Zachęcony, gra sonatę B-dur Mozarta. Nie jest jeszcze na stopie wielkiej zażyłości z klawesynem, ale reakcje instrumentu podpowiadają mu, że wkrótce bardzo się zżyją. Wiatr nasila się, poruszając płomień świec, lecz oczy doktora

są zamknięte. Mydlane bańki sfruwają z rączek Miszy. Lecter rozpoczyna trzecią część sonaty. Przez las lekko biegnie Clarice Starling, pod jej stopami szeleszczą liście. Wiatr szeleści w koronach drzew, spłoszone zwierzęta rzucają się do ucieczki, dwie łanie i jeleni. Skaczą przez ścieżkę, tak jak czasem skacze serce. Nagle ziemia robi się zimna. Mężczyźni w łachmanach wyprowadzają z lasu ranną sarnę, która szarpie sznur opleciony wokół jej szyi. Ciągną zwierzę, bo nie chcą go nieść. Muzyka urywa się nad zakrwawionym śniegiem. Doktor Lecter przytrzymuje się krawędzi stołka i dyszy ciężko. Podnosi rękę do klawiatury, z

trudem wykonuje frazę, po niej jeszcze dwie i przestaje grać.

Z gardła wydobywa mu się cienki krzyk, który urywa się raptownie, tak jak muzyka. Doktor siedzi nieruchomo z głową pochyloną nad klawiaturą. Potem bezszelestnie wstaje i opuszcza pokój. Nie wiadomo dokąd idzie w pogrążonym w ciemności domu. Wiatr wiejący od zatoki przybiera na sile i smaga płomienie świec, aż gasną. Porusza struny klawesynu w ciemności - odgrywa to przypadkową melodię, to cienki krzyk z odległej przeszłości.

## ROZDZIAŁ 55

Środkowoatlantycka regionalna wystawa broni palnej i noży w War Memorial Auditorium. Akry stołów pełnych pistoletów i strzelb myśliwskich. Na suficie migoczą czerwone promienie laserowych celowników.

Na takie wystawy przychodzi niewielu myśliwych z krwi i kości - kwestia gustu. Są nijakie, bezbarwne i smętne, jak dusze większości ludzi, którzy na nich bywają.

Wystarczy na nich spojrzeć: brudni, mrużący oczy, wulgarni, skrzywieni, z żywicą zamiast krwi. Są największym zagrożeniem dla prawa posiadania broni przez zwykłego obywatela.

Podoba im się broń produkowana masowo, zapewniająca dużą siłę ognia nie wyszkolonym ignorantom.

Wśród wydętych od piwa brzuchów i bladych, ziemistych twarzy domorosłych strzelców poruszał się imponująco szczupły doktor Hannibal Lecter. Broń palna w ogóle go nie interesowała. Podszedł do stoiska najlepszego na wystawie sprzedawcy broni białej.

Nazywa się Buck i waży sto czterdzieści kilogramów. Ma mnóstwo fantazyjnych mieczy i kopie oręża średniowiecznego, ale ma również najlepsze niepodrabiane noże. Doktor Lecter szybko dostrzegł większość przedmiotów, które musiał zostawić we Włoszech.

- Mogę w czymś pomóc? - Buck ma życzliwy uśmiech, lecz podejrzliwe oczy.

- Tak, poproszę nóż Harpy, prosty ząbkowany Spyderco z dziesięcio-centymetrowym ostrzem i nóż do cięcia skór, tamten z tyłu.

Buck zebrał wskazane noże.

- Potrzebna mi też dobra piła myśliwska. Nie ta, tamta. Chciałbym obejrzeć ten płaski skórzany nóż saperski, czarny. - Doktor Lecter zbadał wygięcie rączki. - Biorę.

- Coś jeszcze?

- Tak. Chciałbym też Spyderco Civilian, ale nie widzę go.

- Niewielu zna ten typ. Zawsze mam na stanie tylko jeden.

- Tylko jeden jest mi potrzebny.

- Normalnie kosztuje dwieście dwadzieścia dolarów, ale panu sprzedam za sto dziewięćdziesiąt z futerałem.

- Świetnie. Ma pan kuchenne noże ze stali węglowej? Buck pokręcił potężną głową.

- Może pan je znaleźć na pchlim targu. Tam kupiłem swoje. Można je ostrzyć o dno talerza.

- Proszę zapakować, wrócę za kilka minut.

Buckowi rzadko się zdarzało, żeby klient prosił o zapakowanie zakupów, dlatego wykonywał tę czynność z uniesionymi brwiami.

Wystawa broni palnej i noży nie była, rzecz jasna, wystawą, tylko giełdą. Stało tam kilka stołów z zakurzonymi pamiątkami z czasów drugiej wojny światowej, które zaczynały przypominać antyki. Można było kupić karabiny M-1, maski gazowe z porysowanymi szybkami, menażki. Były też stoiska z hitlerowskimi pamiątkami. Jeśli masz ochotę, możesz tam kupić nawet autentyczny pojemnik z cyklonem B.

Na wystawie nie było prawie żadnych pamiątek z wojen w Korei i w Wietnamie i niczego, co wiązałoby się z operacją „Pustynna Burza”.

Wielu klientów nosiło ubrania maskujące, jak gdyby tylko na krótko opuścili linię frontu. Można je było również kupić, na przykład pełny kombinezon *ghillie* używany przez snajperów i myśliwych. Sporą część wystawy zajmowały stoiska ze sprzętem łuczniczym dla myśliwych.

Doktor Lecter oglądał właśnie *ghillie*, gdy dostrzegł dwóch umundurowanych mężczyzn. Wziął do ręki rękawicę łuczniczą i odwrócił się do światła, udając, że chce przyjrzeć się etykiecie. Zauważył, że dwaj funkcjonariusze obok niego są strażnikami z Departamentu Myśliwstwa i Rybołówstwa Słodkowodnego stanu Wirginia, który na wystawie miał swoje stoisko.

- Donnie Barber - powiedział starszy strażnik, wskazując na kogoś ruchem głowy. - Daj mi znać, jeśli kiedyś trafi do sądu. Chciałbym raz na zawsze pozbyć się tego sukinsyna z lasu.

Obserwowali mężczyznę około trzydziestki na drugim końcu stoisk ze sprzętem łuczniczym. Stał twarzą do nich, wpatrzony w ekran telewizora. Donnie Barber miał na sobie ubranie maskujące i bejsbolówkę założoną daszkiem do tyłu. Podkoszulek w kolorze khaki nie zasłaniał licznych tatuaży na rękach i barkach.

Doktor Lecter oddalił się powoli od strażników, oglądając po drodze różne przedmioty. Zatrzymał się przy ekspozycji laserowych celowników. Przez kratę obwieszoną kaburami widział film, który przykuł uwagę Donniego Barbery.

Film pokazywał polowanie z łukiem na jelenia mulaka.

Najwyraźniej ktoś spoza kadru nagał zwierzę wzdłuż ogrodzenia przez porośniętą drzewami działkę, gdy tymczasem myśliwy napiął łuk. Myśliwy miał doczepiony mikrofon. *Zaczai* oddychać szybciej. „Lepiej nie będzie” - szepnął do mikrofonu. Jeleń wygiął się, gdy trafiła go strzała, i dwukrotnie staranował ogrodzenie, zanim je przeskoczył i uciekł.

Kiedy strzała wbiła się w zwierzę, Donnie Barber zadrżał i chrząknął.

Teraz filmowy myśliwy miał oprawić jelenia. Zamierzał zacząć, jak to określił, od „części analnej”.

Donnie Barber kilkakrotnie zatrzymywał film i cofał do fragmentu, w którym nastąpił strzał, aż interweniował koncesjonariusz.

- Pieprz się, dupku - powiedział Donnie Barber. - Nie będę u ciebie kupował tego gówna.

Przy następnym stoisku Barber nabył kilka żółtych strzał z szerokimi grotami i metalowymi lotkami. Zakup upoważnił go do uczestnictwa w losowaniu nagrody: pozwolenia na dwudniowe polowanie na jelenie.

Wypełnił otrzymany kupon i wrzucił go do skrzynki. Zatrzymawszy sobie długopis sprzedawcy, zniknął w tłumie młodych mężczyzn w ubraniach maskujących.

Tak jak oczy żaby rejestrują każdy ruch, tak oczy sprzedawcy kusz wychwytyują bezruch w przewalającym się tłumie. Teraz ktoś stał przed nim całkowicie nieruchomo.

- Czy to pańska najlepsza kusza? - zapytał doktor Lecter.

- Nie. - Mężczyzna wyjął futerał spod lady. - Ta jest najlepsza. Można ją napinać kołowrotkiem ręcznie lub za pomocą wiertarki. Wie pan, że w Wirginii nie wolno polować z kuszami, chyba że jest się inwalidą?

- Mój brat stracił jedną rękę i bardzo zależy mu na tym, żeby zabić coś drugą - wyjaśnił doktor Lecter.

- Ach, rozumiem.

W ciągu pięciu minut doktor kupił doskonałą kuszę oraz dwa tuziny krótkich, grubych strzał.

- Proszę zapakować - zażyczył sobie.

- Niech pan wypełni ten kupon. Może pan wygrać pozwolenie na dwudniowe polowanie na jelenie - zachęcał sprzedawca.

Doktor wypełnił kupon i wrzucił do skrzynki.

Gdy tylko sprzedawca zajął się następnym klientem, Lecter odwrócił się do niego.

- Do diabła! - powiedział. - Nie dopisałem numeru telefonu. Mogę?

- Jasne, śmiało.

Doktor Lecter uniósł pokrywę skrzyni i wyjął dwa kupony z wierzchu. Na swoim dopisał kolejną fałszywą informację, a potem przyjrzał się danym na kuponie pod spodem.



## ROZDZIAŁ 56

Siłownia na Muskrat Farm ma nowoczesny czarno-chromowy wystrój i jest wyposażona w komplet sprzętu kulturystycznego Nautilus, sztangi, przyrządy do aerobiku oraz barek z napojami.

Barney kończył już trening. Pedałował na stacjonarnym rowerze. Zorientował się, że nie jest sam w sali. Dostrzegł Margot Verger. Zdejmowała w kącie dresy. Miała na sobie elastyczne spodenki i koszulkę na ramiączkach. Teraz jeszcze założyła pas dla ciężarowców. Barney usłyszał brzęk hantli w kącie i jej głośny oddech, gdy robiła rozgrzewkę.

Pedałował bez wysiłku z ręcznikiem zakreconym na głowie, kiedy podeszła do niego.

Spojrzała na jego ramiona, potem na swoje. Miały mniej więcej te same rozmiary.

- Ile wyciskasz? - zapytała.

- Nie wiem.

- A mnie się wydaje, że wiesz, i to bardzo dobrze.

- Może sto siedemdziesiąt, coś koło tego.

- Sto siedemdziesiąt? Nie sądzę, chłopcze. Nie wyciśniesz stu siedemdziesięciu.

- Może i nie.

- Stawiam sto dolarów, że nie wyciśniesz stu siedemdziesięciu.

- Przeciw?

- Przeciw stu dolarom. Stanę za tobą. Barney spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Dobra - powiedział.

Przygotowali sztangę. Margot sprawdziła pierścienie, które zakładał Barney, jakby miał ją oszukać. Więc on z przesadną uwagą sprawdził wagę pierścieni założonych przez Margot.

Położył się płasko na ławeczce i przyjął pozycję, Margot stanęła przy jego głowie. Jej potężny tors zdawał się sięgać niemal sufitu, nogi śmierdziały jakąś mazią. Dotykała lekko drążka kształtnymi dłońmi z pomalowanymi na koralowo paznokciami.

- Gotowy? - spytała.

- Tak.

Swobodnie wycisnął ciężar w stronę nachylonej nad nim twarzy. Odłożył sztangę z powrotem na stojak. Margot wyjęła pieniądze z treningowej torby.

- Dziękuję - powiedział Barney.

- Robię więcej przysiadów od ciebie.

- Wiem.

- Skąd wiesz?

- Ja nie muszę robić przysiadu, żeby się wysikać. Jej potężna szyja zaczerwieniła się.

- Ja też.

- Sto dolarów? - zapytał Barney.

- Zrób mi koktajl z owoców - powiedziała Margot. W barku stała miska z owocami i orzechami. Gdy Barney przygotowywał koktajl w mikserze, Margot ścisnęła w pięści dwa orzechy i rozłupała je.

- Potrafisz rozłupać jeden orzech w rękę? - zapytał. Rozbił dwa jajka o krawędź miksera i wrzucił je do środka.

- A ty? - spytała Margot, wręczając mu jeden orzech.

- Nie wiem - odparł.

Uprzątnął miejsce przed sobą; po stronie Margot z blatu spadła pomarańcza.

- Oj, przepraszam - powiedział.

Podniosła owoc i odłożyła z powrotem do miski.

Barney zacisnął dłoń. Margot patrzyła to na jego pięść, to na czerwoną z wysiłku twarz. Zaczął drżeć, a z jego zaciśniętej dłoni dobiegł cichy trzask. Margot zrzędała mina, gdy przeniósł drżącą pięść nad mikser i usłyszała głośniejszy trzask. Żółtko i białko zachlupotały w mikserze. Barney włączył urządzenie i oblizwał koniuszki palców. Margot roześmiała się.

Barney rozlał koktajl do szklanek.

- Czujesz, że musisz we wszystkim naśladować facetów? - zapytał.

- Z wyjątkiem niektórych debilnych rzeczy.

- A co powiesz na męską przyjaźń? Uśmiech zniknął z twarzy Margot.

- Mam nadzieję, że w nic mnie nie wrabiasz, Barney. Pokręcił głową.

- Przekonaj się - powiedział.

## ROZDZIAŁ 57

Plony Clarice Starling powiększały się z każdym dniem. Rachel Du Berry, nieco starsza od doktora Lectera, niegdyś aktywnie patronowała orkiestrze symfonicznej z Baltimore. Była piękną kobietą, o czym

Starling mogła się przekonać, oglądając zdjęcia z „Vogue” z tego okresu. Od tamtej pory zaliczyła dwóch bogatych mężów. Teraz była żoną Franza Rosencranza z rodziny wielkich przemysłowców. Starling połączyła z panią Rosencranz jej asystentka.

- Teraz, złotko, tylko wysyłam orkiestrze pieniądze. Jesteśmy zbyt często w rozjazdach, żebyśmy mogła aktywnie działać - wyjaśniała Rachel Rosencranz z domu DuBerry. Jeśli chodzi pani o kwestie podatkowe, mogę podać numer moich księgowych.

- Pani Rosencranz, kiedy patronowała pani orkiestrze i szkole Westover, znała pani doktora Hannibala Lectera. Dość długa cisza.

- Pani Rosencranz?

- Lepiej będzie, jeśli da mi pani swój numer, a ja oddzwonię przez centralę FBI.

-Naturalnie.

Po chwili na nowo podjęły rozmowę.

- Tak, znałam Hannibala Lectera na stopie towarzyskiej jakiś czas temu i od tej pory dziennikarze koczują na schodach mojego domu. Był szalenie czarującym mężczyzną, zupełnie wyjątkowym. Wiedział, jak zawrócić kobiecie w głowie, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Przez wiele lat nie mogłam uwierzyć w jego drugie oblicze.

- Czy dostawała pani kiedyś od niego prezenty, pani Rosencranz?

- Zwykle otrzymywałam od niego liścik na urodziny, nawet wtedy, gdy został aresztowany. Czasem też dostawałam prezenty, zanim go skazano. Były to rzeczy w wyjątkowo dobrym guście.

- Doktor Lecter wydał słynny obiad na pani cześć. Wszystkie wina pochodziły z tego roku, w którym się pani urodziła.

- Tak. Suzy powiedziała, że było to najbardziej niezwykle przyjęcie od czarno-białego balu Capote'a.

- Pani Rosencranz, jeśli doktor skontaktuje się z panią, proszę zawiadomić FBI, dzwoniąc pod numer, który pani podam. Chciałabym zapytać o jeszcze jedno. Czy pani i doktor Lecter obchodzą jakieś wspólne rocznice? Pani Rosencranz, muszę panią zapytać o datę urodzin.

Ze słuchawki powiało chłodem.

- Myślałam, że bez trudu potraficie zdobyć taką informację.

- Tak, ale są pewne niezgodności w datach na pani dokumentach ubezpieczeniowych, metryce urodzin i prawie jazdy. Prawdę mówiąc, wszędzie podane są inne daty. Bardzo przepraszam, ale sprawdzamy zamówienia na wszelkie luksusowe prezenty w terminach urodzin rozpoznanych znajomych doktora Lectera.

- "Rozpoznanych znajomych". Więc jestem teraz rozpoznaną znajomą. Co za potworne określenie. - Pani Rosencranz zachichotała. Należała do pokolenia koktajli i papierosów i miała głęboki głos. - Agentko Starling, a pani ile ma lat?

- Trzydzieści dwa. Dwa dni przed Bożym Narodzeniem skończę trzydzieści trzy.

- Życzę pani z całego serca, żeby miała pani w swoim życiu kilku „rozpoznanych znajomych”. Naprawdę umilają czas.

- Dziękuję pani. A więc kiedy się pani urodziła?

Pani Rosencranz wyjawiała wreszcie prawdziwą datę, dodając, że „doktor Lecter jest z nią zaznajomiony”.

- Proszę wybaczyć, że pytam: nie dziwi mnie zmiana roku, ale dlaczego zmieniała pani też dzień i miesiąc?

- Chciałam być Panną, ten znak bardziej odpowiadał panu Rosencranz.

Ludzie, których doktor Lecter spotkał jako więźniów, mieli o nim zgoła odmienną opinię.

Z piekielnego lochu w domu seryjnego mordercy Jame'a Gumba Starling uratowała córkę byłej senator Ruth Martin, Catherine. Gdyby senator Martin nie przegrała w następnych wyborach, mogłaby bardzo pomóc Clarice. Przez telefon odnosiła się do niej życzliwie - opowiedziała, co słyhać u Catherine, i zapytała, co słyhać u Starling.

- Starling, nigdy mnie pani o nic nie prosiła. Jeśli będzie pani szukać pracy...

- Dziękuję, pani senator.

- Co do tego cholernego Lectera, to oczywiście powiadomiłabym FBI, gdyby się ze mną skontaktował. Trzymam pani numer przy aparacie. Charlsie wie, jak się obchodzić z pocztą. Nie oczekuję od niego żadnych wiadomości. Ostatnie słowa, które ten palant powiedział wtedy do mnie w Memphis, to: „Masz uroczy kostium”. Nikt nigdy nie potraktował mnie z większym okrucieństwem. Wie pani, co zrobił?

- Wiem, że zakpił sobie z pani.

- Kiedy zaginęła Catherine, kiedy byliśmy zrozpaczeni i powiedział, że ma informacje na temat Jame'a Gumba, kiedy błagałam go o pomoc, on spojrzał mi w twarz tym swoimi oczami węża i zapytał, czy niańczyłam Catherine. Chciał wiedzieć, czy karmiłam ją piersią.

Powiedziałam, że tak. A wtedy zapytał: „Łapczywie ssała?”. Nagle wróciły do mnie wszystkie wspomnienia, jak trzymałam ją głodną przy piersi i czekałam, aż się naje. Strasznie mnie to zabolalo, a on wyraźnie delektował się moim bólem.

- Co to było, pani senator?

- Słucham?

- Co to był za kostium, który spodobał się doktorowi Lecterowi?

- Niech pomyślę... granatowy Givenchy o bardzo prostej linii - odparła senator Martin, nieco zbity z tropu pytaniem Starling. - Kiedy już go pani wsadzi za kratki, proszę mnie odwiedzić, pojeździmy konno.

- Dziękuję, pani senator, będę pamiętać.

Dwie rozmowy telefoniczne, z których każda ukazywała inne oblicze doktora Lectera: jedna przypominała o jego uroku, druga o okrucieństwie. Starling zapisała: „Rocznik win dopasowany do daty urodzin”. Do listy luksusowych towarów dodała „Givenchy”. Po chwili zastanowienia dopisała jeszcze „karmienie piersią”. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Sekcja Behawioralna? Chcę rozmawiać z Jackiem Crawfordem, mówi szeryf Dumas z okręgu Clarendon w stanie Wirginia.

- Tu agentka specjalna Starling, asystentka Jacka Crawforda. Szef jest dzisiaj w sądzie. Ale może ja mogę w czymś pomóc?

- Muszę porozmawiać z Jackiem Crawfordem. Mamy tu w kostnicy faceta, któremu wycięto kawałki mięsa. Połączyłem się z właściwą sekcją?

- Tak, tu sekcja mię... tak, oczywiście. Proszę powiedzieć, gdzie pan jest, a ja już jadę. Zawiadomię pana Crawforda, gdy tylko skończy zeznania.

## ROZDZIAŁ 58

Kostnica okręgu Clarendon w północnej Wirginii jest połączona ze szpitalem okręgowym krótką komorą powietrzną z wentylatorem w suficie i szerokimi podwójnymi drzwiami po każdej stronie, żeby ułatwić transport zwłok. Zastępca szeryfa stał przed tymi drzwiami, zagradzając drogę pięciu dziennikarzom i fotoreporterom, którzy go oblegali.

Za grupką dziennikarzy stanęła na palcach Starling, podnosząc wysoko swoją odznakę. Zastępca szeryfa zobaczył ją i kiwnął głową. Starling przecisnęła się do środka. Za nią zamigotały natychmiast flesze aparatów fotograficznych.

W sali sekcyjnej panuje cisza, słychać tylko metaliczny brzęk odkładanych na tacę narzędzi.

W kostnicy są cztery stoły sekcyjne z nierdzewnej stali, przy każdym waga i umywalka. Dwa stoły okrywają płachty materiału, zasłonięte szczątki w przedziwny sposób tworzą coś na kształt namiotów.

Przy stole najbliższej okien trwała rutynowa szpitalna sekcja zwłok. Patolog i jego asystentka wykonywali właśnie jakąś skomplikowaną czynność i nie podnieśli wzroku, gdy do sali weszła Starling.

Rozległ się cienki pisk elektrycznej piły. Patolog ostrożnie odłożył górną część czaszki i wydobyl mózg, który umieścił na wadze. Odczytał półgłosem wskazanie, przyjrzał się mózgowi, a na koniec dotknął go palcem w rękawiczce. Zauważył Starling nad ramieniem asystentki, wrzucił mózg do otwartej klatki piersiowej, strzelił wyrzucanymi do kosza gumowymi rękawiczkami i podszedł do Clarice.

Uścisnęli sobie dłonie. Starling przyprawiło to o gęsią skórkę.

- Clarice Starling, agentka specjalna FBI.

- Doktor Hollingsworth, szpitalny patolog, kucharz i sprzątac w jednej osobie. - Nie spuszczać z Clarice jasnoniebieskich oczu, zwrócił się do asystentki: - Marleno, wezwij szeryfa z oddziału kardiologicznego i proszę, odkryj te szczątki.

Doświadczenie nauczyło Starling, że patolodzy, choć zazwyczaj inteligentni, lubią się popisywać, a podczas rozmów towarzyskich często sprawiają wrażenie niemądrych i nonszalanckich. Hollingsworth spojrział w ślad za wzrokiem agentki.

- Zastanawia się pani, co z mózgiem? - spytał. Kiwnęła głową i rozłożyła ręce.

- To nie niechlujstwo, agentko specjalna Starling. Po prostu oddają przysługę pracownikom zakładu pogrzebowego, nie wkładając mózgu z powrotem do czaszki. W tym przypadku odbędzie się długie czuwanie przy otwartej trumnie, a mózg wyciekłby na

poduszkę. Zapychamy więc czymś czaszkę i zamykamy ją. Robię nacięcia nad uszami, żeby skalp się nie ześliznął. Rodzina dostaje całe ciało z powrotem i wszyscy są szczęśliwi.

- Rozumiem.

- Proszę mi powiedzieć, czy rozumie pani coś z tego - rzekł Hollingsworth. Jego asystentka ściągnęła płachty ze stołów.

Starling odwróciła się. Tego, co ujrzała, nie zapomni do końca życia. Na stołach z nierdzewnej stali leżały obok siebie ciała jelenia i mężczyzny. W ciele jelenia tkwiła żółta strzała. Strzała i rogi zwierzęcia przytrzymały płachtę jak drążki namiot.

Krótsza i grubsza żółta strzała przeszły przez czaszkę mężczyzny poprzecznie nad uszami. Przytwierdzała do głowy odwróconą daszkiem do tyłu bejsbolówkę.

Gdy Starling spojrzała na martwego mężczyznę, ogarnęła ją absurdałna wesołość. Pohamowała śmiech na tyle szybko, że zabrzmiał jak jęk konsternacji. Oba ciała - człowieka i zwierzęcia - zostały pocięte niemal identycznie: starannie i oszczędnie usunięto krzyżówkę, comber oraz małe filety pod kręgosłupem. Oczy mężczyzny były otwarte i trochę krwi wyciekło z kanalików łzowych.

- Dziwne uczucie widzieć ich razem - stwierdził doktor Hollingsworth. - Ich serca ważyły dokładnie tyle samo. - Spojrzał na Starling i przekonał się, że nic jej nie jest. - Choć mężczyzna czymś się wyróżnia: proszę spojrzeć tutaj, gdzie oddzielono od kręgosłupa krótkie żebra i wyciągnięto z tyłu płuca. Wyglądają trochę jak skrzydła, prawda?

- Krwawy orzeł - wybąkała Starling po chwili zastanowienia.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

- Ja też - powiedziała Clarice.

- A więc jest na to określenie. Jak pani to nazwała?

- Krwawy orzeł. W Quantico mamy literaturę na ten temat. Nordycki obrzęd ofiarny. Polega na przebiciu się przez krótkie żebra, wyciągnięciu z tyłu płuc i spłaszczeniu ich na kształt skrzydeł. W latach trzydziestych pewien neowiking uprawiał ten proceder w Minnesocie.

- Często widuje pani takie rzeczy, no, może nie dokładnie takie, ale tego rodzaju?

- Owszem, od czasu do czasu.

- Dla mnie to właściwie coś nowego. Zwykle przyjmujemy tu ofiary zwykłych morderstw, zastrzelone lub zasztyletowane. Może jednak chce pani wiedzieć, co o tym myślę?

- Bardzo, doktorze.

- Ten człowiek, według dowodu osobistego nazywa się Donnie Barber. Upolował jelenia wczoraj, dzień przed początkiem sezonu. Strzała pasuje do reszty sprzętu łuczniczego.

Potem facet zaczął oporządzać zwierzę. Nie robiłem jeszcze analizy krwi na jego rękach, ale to na pewno krew jelenia. Zabierał się właśnie nieudolnie do roboty, o tutaj widać krótkie poszarpane nacięcie, i wtedy spotkała go niespodzianka: strzała przebiła mu głowę. Ten sam kolor, ale inny rodzaj. Bez rowka na końcu. Poznaje pani?

- Wygląda jak belt do kuszy - oceniła Starling.

- Drugi osobnik - kontynuował doktor - zapewne ten od kuszy, dokończył robotę, i to dużo sprawniej. A potem, mój Boże, oprawił też kłusownika. Proszę spojrzeć, nacięcia wykonano dokładnie w tych samych miejscach pewną ręką. Nic się nie zmarnowało. Michael DeBakey nie zrobiłby tego lepiej. Nie znaleziono żadnych śladów, które wskazywałyby na seksualne wykorzystanie ofiar. W obu przypadkach mamy do czynienia z czysto rzeźniczą robotą.

Starling dotknęła ust zaciśniętą pięścią. Przez chwilę patolog myślał, że agentka całuje amulet.

- Doktorze Hollingsworth, czy wyjęto wątroby? Lekarz odczekał chwilę, zanim odpowiedział, spoglądając na nią znad okularów:

- Wątrobę jelenia tak. Wątroba pana Barbera najwyraźniej nie odpowiadała wymaganiom. Została częściowo wycięta i zbadana, nacięcie biegnie wzdłuż żyły wrotnej. Jego wątroba jest marska i odbarwiona. Pozostała w ciele, chce pani obejrzyć?

-Nie, dziękuję. A grasica?

- Właśnie, brakuje nerkówek. Agentko Starling, nikt jeszcze nie wymienił jego nazwiska, prawda?

- Nie - przyznała Starling. - Przynajmniej na razie. Podmuch od strony komory powietrznej. W drzwiach stanął szczupły, ogorzały mężczyzna w tweedowej sportowej kurtce i spodniach khaki.

- Jak się czuje Carleton, szeryfie? - zapytał Hollingsworth. - Agentko Starling, to jest szeryf Dumas. Brat szeryfa leży teraz na oddziale kadriologicznym.

- Jakoś się trzyma. Mówią, że jego stan jest stabilny i że jest „pod kontrolą”, cokolwiek miałyby to znaczyć - odpowiedział szeryf. - Chodź no tutaj, Wilburn - zawołał do kogoś na zewnątrz.

Uściskał dłoń Starling i przedstawił swojego towarzysza:

- Wilburn Moody, strażnik leśny.

- Jeśli chce pan być blisko brata, szeryfie, możemy przejść na górę - zaproponowała Starling. Dumas pokręcił głową.

- Przez najbliższe półtorej godziny nie wpuszczą mnie do niego. Bez obrazy,



dziewczyno, ale dzwoniłem po Jacka Crawforda. Kiedy przyjedzie?

- Zasiedział się w sądzie. Kiedy pan dzwonił, właśnie zeznawał. Oczekuję, że wkrótce skontaktuje się z nami. Jesteśmy bardzo wdzięczni, że zadzwonił pan do nas tak szybko.

- Stary Crawford uczył moją grupę w Quantico kilkanaście lat temu. Gość pierwsza klasa. Skoro panią przysłał, to pewnie zna się pani na swym fachu. Możemy zaczynać?

~ Proszę bardzo, szeryfie.

Dumas wyjął notes z kieszeni kurtki.

- Ten facet ze strzałą w głowie nazywa się Donnie Leo Barber. Mężczyzna rasy białej, trzydzieści dwa lata, mieszkał w przyczepie w Cameron. Nie wiadomo, żeby był gdzieś zatrudniony. Cztery lata temu wyrzucony z sił powietrznych. Ma legitymację FAA. Kiedyś pracował jako mechanik przy samolotach. Dwukrotnie karany grzywną, raz za użycie broni palnej w mieście, a podczas ostatniego sezonu myśliwskiego za nielegalne wejście na prywatny teren. Udowodniono mu też kłusownictwo. Kiedy to było, Wilburn?

- Dwa lata temu, właśnie dostał z powrotem licencję łowiecką. Jest znany w naszym departamencie. Nigdy nie zadaje sobie trudu, żeby pójść za rannym zwierzęciem. Jeśli zwierzę nie padnie, po prostu czeka na następne... A kiedyś...

- Powiedz, co się stało dzisiaj, Wilburn.

- No więc jechałem drogą czterdzieści siedem, jakiś kilometr na zachód od mostu. Było koło siódmej, kiedy patrzę, a tu stary Peckman macha, żebym się zatrzymał. Ciężko dycha i trzyma się za serce. Otwiera tylko usta jak ryba i pokazuje palcem na las. Przechodzę jakieś, no, nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów w gęstym lesie, a tam leży pod drzewem ten Barber z przesyżytą głową i ten zabity jeleń. Leżały tam zimne co najmniej od wczoraj.

- Od wczoraj rana, sądząc po temperaturze.

- Sezon zaczął się dzisiaj rano - ciągnął strażnik. - Ten Donnie Barber miał ze sobą drabinę, ale jeszcze jej nie ustawił. Wygląda, jakby wybrał się tam wczoraj, żeby przygotować wszystko na dzisiaj, a może i kłusować chciał. Bo po co by brał łuk, jeśli tylko szykował sobie stanowisko? Pojawił się

dorodny jeleń i nie mógł się powstrzymać - ludzie często tak robią. Takie to teraz zwyczaje. I kiedy oprowiał jelenia, pojawił się ten drugi. Ze śladów nic się nie dało powiedzieć, bo lało jak z cebra, podmyło teren...

- Dlatego zrobiliśmy trochę zdjęć i wyciągnęliśmy ciała - powiedział szeryf Dumas. - Las należy do starego Peckmana. Ten Donnie miał zezwolenie na dwudniowe legalne polowanie, poczynszy od dzisiaj, podpisane przez samego Peckmana. Peckman co roku sprzedaje takie pozwolenia. Zamieszcza ogłoszenia i korzysta z pomocy pośredników. W

tylnej kieszeni Donnie miał list, w którym napisano: „Wygrał pan zezwolenie na polowanie, moje gratulacje”. Papiery są mokre, panno Starling. Nie mam nic przeciwko naszym, ale może powinna pani zbadać odciski palców w waszym laboratorium. I strzały też, wszystko było mokre, kiedy tam dotarliśmy. Staraliśmy się ich nie dotykać.

- Chce pani zabrać te strzały, agentko Starling? W jaki sposób mam je wyjąć? - zapytał doktor Hollingsworth.

-Niech pan przytrzyma je rozwieraczami, przepiłuje przy skórce po stronie lotki i wyciągnie resztę z drugiej strony. Przyczepię je do tablicy - wyjaśniła Starling.

- Wątpię, czy doszło tam do walki, ale może chce pani materiał spod paznokci?

- Wolałabym obciąć paznokcie do badania DNA. Nie musi ich pan dokładnie opisywać, ale proszę rozdzielić paznokcie z prawej i lewej ręki, dobrze, doktorze?

- Może przeprowadzić PCR-STR?

- Zrobią to w głównym laboratorium. Za trzy, cztery dni będziemy coś dla pana mieli, szeryfie.

- Będziecie badali krew jelenia? - zapytał Moody.

- Nie, sprawdzimy tylko, czy to zwierzęca krew - powiedziała Starling.

- A gdyby znaleziono mięso jelenia w czyjejś lodówce? - zasugerował strażnik. - Chcielibyście wiedzieć, czy to z tego jelenia, nie? My czasem musimy odróżnić jednego jelenia od drugiego na podstawie krwi, żeby wniesić do sądu sprawę o kłusownictwo. Każdy jelen jest inny. Nigdy by pani nie pomyślała, co? Musimy wysłać krew do ośrodka w Portland w stanie Oregon i jeśli się odczeka swoje, odpowiedzą. Piszą wtedy: „To jest jelen numer jeden” albo nazywają go „Jeleń A” i dodają numer sprawy, bo wiadomo, że jelenie imion nie mają.

Starling podobała się ogorzała twarz Moody'ego.

- Tego nazwiemy „John Doe”, strażniku Moody. Warto wiedzieć o ośrodku w Portland, może nawiążemy z nimi współpracę. Dziękuję - uśmiechnęła się do niego, aż oblał się rumieńcem i zaczął miętosić w rękach czapkę.

Kiedy pochyliła głowę, żeby poszperać w torebce, doktor Hollingsworth rozkoszował się jej widokiem. Podczas rozmowy z Moodym jej twarz rozjaśniła się.

- W co włożyliście papiery, w folię? - zwróciła się do szeryfa.

- Nie, w torby z szarego papieru. Torby z szarego papieru dobrze się sprawują. - Szeryf potarł ręką tył głowy i spojrzał na Starling. - Wie pani, dlaczego was zawiadomiłem, dlaczego wzywałem Jacka Crawforda. Cieszę się, że przyjechała pani, teraz sobie panią przypominam. Nikt nie wspominał o Kanibalu poza tym pokojem, bo prasa zaraz

stratowałyby nasze lasy, gdyby się wydało. Wiedzą tylko, że wydarzył się jakiś wypadek na polowaniu. Może słyszeli, że znaleziono zmasakrowane ciało. Ale nie wiedzą, że Donniemu Barberowi wycięto organy wewnętrzne. Kanibali nie ma zbyt wielu, agentko Starling.

- Racja, szeryfie, nie ma.

- To bardzo solidna robota.

- Tak jest, szeryfie.

- Pomyślałem sobie, że może to on, bo tyle się o nim pisało w gazetach. Ale czy pani podejrzewa, że to sprawka Hannibala Lectera?

Starling zauważyła pająka, który schował się w drenie wolnego stołu do sekcji zwłok.

- Szóstą ofiarą doktora Lectera był myśliwy-łucznik - powiedziała.

- Zjadł go?

- Jego nie. Powiesił go strasznie poranionego na ścianie. Wyglądał jak mężczyzna ze średniowiecznej ryciny przedstawiającej różne rodzaje ran. Doktor Lecter interesuje się średniowieczem.

Patolog wskazał na płuca wystające z pleców Donniego Barbery.

- Mówiła pani, że to stary rytuał.

- Tak mi się wydaje. Nie wiem, czy to robota doktora Lectera. Jeśli tak, okaleczenie nie ma charakteru fetyszystycznego. Nie działał pod wpływem przymusu.

- Po co więc to zrobił?

- Fanaberia - zawyrokowała, sprawdzając, czy zaskoczyła ich tym słowem. - Fanaberia. Przez nią wpadł ostatnim razem.

## ROZDZIAŁ 59

Nowe laboratorium DNA wręcz pachniało nowością, a ludzie, którzy tam pracowali, byli młodszy od Starling. Cóż, trzeba się do tego przyzwyczajać, pomyślała z goryczą. Wkrótce będzie o rok starsza.

Młoda kobieta z napisem A. BENNING na identyfikatorze pokwitowała odbiór dwóch strzał przyniesionych przez Clarice.

A. Benning odetchnęła z wyraźną ulgą, widząc, że strzały są starannie przymocowane do tablicy.

- Wolę nie mówić, co mi tu czasem przynoszą - oznajmiła. - Na wyniki trzeba trochę poczekać, nie da się w ciągu pięciu minut...

- Oczywiście - przerwała jej Starling. - Nie ma wyników RFLP doktora Lectera. Uciekł zbyt dawno temu i materiały po nim zostały zanieczyszczone, przeszły przez ręce setek ludzi.

- Nasz czas jest zbyt cenny, żeby poddawać badaniu każdą próbkę, na przykład czternaście włosów znalezionych w pokoju motelowym. Jeśli przyniesie mi pani...

- Proszę najpierw mnie wysłuchać - wtrąciła Starling - później będzie mówiła pani. Poprosiłam włoską policję, żeby przysłali mi szczoteczkę do zębów, która prawdopodobnie należała do doktora Lectera. Znajdziecie na niej komórki nabłonkowe z policzka. Proszę przeprowadzić RFLP oraz STR. Tę strzałę zmoczył deszcz. Wątpię więc, czy coś na niej znajdziecie. Ale proszę tutaj spojrzeć...

- Przepraszam, nie sądziłam, że pani... Starling zdobyła się na uśmiech.

- Proszę się nie martwić, dogadamy się. Widzi pani, obie strzały są żółte. Strzała z kuszy została pomalowana ręcznie, całkiem niezłe, ale widać pewne niedoskonałości. Proszę spojrzeć, co tutaj mamy pod farbą?

- Może włos z pędzla?

- Może. Ale jest z jednej strony zawinięty, a z drugiej ma małe zgrubienie. Może to rzęsa?

- Jeżeli ma cebulkę...

- Właśnie.

- Mogę wykonać PCR-STR - trzy kolory naraz - w tej samej linii w żelu i uzyskać jednocześnie trzy części DNA. Wystarczy kilka dni, żeby ustalić, czy to on.

- Wiedziałam, że mi pani pomoże.

- Pani jest Starling, to znaczy agentką specjalną Starling. Przepraszam, że na początku

byłam nieprzyjemna, ale gliny przysyłają nam tyle naprawdę paskudnych materiałów. Nie pani wina.

- Wiem.

- Myślałam, że jest pani starsza. Wszystkie dziewczyny słyszały o pani, to znaczy wszyscy słyszeli, ale dla nas... - odwróciła wzrok - ... jest pani kimś szczególnym. - A. Benning wystawiła do góry swój mały pulchny kciuk. - Powodzenia z potworem. Jeśli mogę się tak wyrazić.

## ROZDZIAŁ 60

Majordomus Masona Vergera, Cordell, był postawnym mężczyzną o wyrazistych rysach. Można by go nawet uznać za przystojnego, gdyby jego twarz miała w sobie więcej życia. Trzydziestosiedmioletni Cordell nie mógł wrócić do pracy w szwajcarskiej służbie zdrowia ani wykonywać tam jakiegokolwiek zajęcia, które pozwalałoby mu na bliski kontakt z dziećmi.

Cordell kierował skrzydłem Masona. Opiekował się swoim panem i karmił go. Dostawał za to dobrą pensję. Mason wiedział, że Cordell zrobi dla niego wszystko i można na nim całkowicie polegać. Kiedy Mason rozmawiał z małymi dziećmi, majordomus był świadkiem aktów okrucieństwa, które kogoś innego doprowadziłyby do wściekłości lub łez.

Teraz Cordella obchodziło tylko jedno: pieniądze.

Jak zwykle zapukał dwa razy i wszedł do pokoju Masona. Ciemność wnętrza rozjaśniało tylko światło padające z akwarium. Murena dostrzegła Cordella i pełna nadziei opuściła swoją kryjówkę.

- Panie Verger?

Masonowi wystarczyła chwila, żeby się obudzić.

- Muszę pana o czymś zawiadomić. W tym tygodniu powinienem w Baltimore dokonać wypłaty osobie, o której już rozmawialiśmy. Nie jest to bardzo pilna sprawa, ale dobrze byłoby ją załatwić. Ten mały Murzyn Franklin zjadł trutkę na szczury. Teraz leży w szpitalu w stanie krytycznym. Powiedział swojej przybranej matce, że namówił go pan do otrucia kota, aby ocalić zwierzaka przed torturami z rąk policjantów. Chłopak oddał kota sąsiadowi, a sam zjadł trutkę.

- To absurd - skomentował Mason. - Nie mam z tym nic wspólnego.

- Oczywiście, panie Verger.

- Kto się skarży? Kobieta, od której bierzesz dzieciaki?

- Nie, ale właśnie jej należy natychmiast wypłacić pieniądze.

- Cordell, nic nie zrobiłeś temu małemu bękartowi? Nie odkryli niczego w szpitalu?

Wiesz, że i tak o wszystkim się dowiem.

- Nie, proszę pana. W pańskim domu? Nigdy, przysięgam. Nie jestem głupcem. Uwielbiam pracę u pana.

- Gdzie leży ten Franklin?

- W szpitalu Maryland-Misericordia. Jak wyjdzie, zostanie umieszczony w domu dziecka. Kobieta, u której mieszkał, została skreślona z listy opiekunów za palenie

marihuany. Właśnie ona rozpowiada te bzdury. Chyba trzeba się nią zająć.

- Czarna ćpunka, z taką nie będzie problemu.

- Nie zna nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić ze skargą. Myślę, że trzeba jej to delikatnie wyperswadować. Pracownica opieki społecznej też chce, żeby ta kobieta przestała kłapać dziobem.

- Pomyślę o tym. No dobrze, zapłać pracownicy opieki społecznej.

- Tysiąc dolarów?

- Tylko daj jej do zrozumienia, że więcej już nie dostanie.

Margot Verger leżała na sofie w pokoju Masona. Skórę na policzkach miała ściągniętą od wyschniętych łez. Cały czas przysłuchiwała się rozmowie obu mężczyzn. Próbowała przemówić Masonowi do rozumu, ale on usnął. Oczywiście myślał, że już dawno wyszła z pokoju. Otworzyła usta, żeby oddychać jak najciszej. Usiłowała skoordynować swój oddech z westchnięciami respiratora. Puls szarego światła w pokoju - to Cordell otworzył drzwi i wyszedł. Margot leżała płasko na sofie. Oczekała prawie dwadzieścia minut, aż pompa przystosowała się do sennego rytmu Masona, i dopiero wtedy opuściła pokój. Murena zauważyła jej wyjście, Mason nie.

## ROZDZIAŁ 61

Margot Verger i Barney spędzali ze sobą dużo czasu. Nie rozmawiali wiele, ale oglądali razem mecze piłkarskie drużyny *Simpsonów*, czasem koncerty w telewizji edukacyjnej. Śledzili też kolejne odcinki serialu *Ja, Klaudiusz*. Jeśli praca uniemożliwiała Barneyowi obejrzenie któregoś odcinka, zamawiali kasetę z wypożyczalni.

Margot lubiła Barneya. Traktował ją jak jednego ze swych kumpli. Nikt inny nie zachowywał się wobec niej w podobny sposób. Barney był bardzo bystry i miał w sobie coś nierealnego. To też się jej podobało.

Margot otrzymała solidne wykształcenie humanistyczne, poznała też podstawy informatyki. Opinie samouka Barneya wahały się od dziecinnych po wnikliwe. Ona mogła zapewnić mu odpowiedni kontekst. Wykształcenie Margot przypominało szeroką, otwartą równinę, której granice wyznaczał rozsądek. Lecz równina ta spoczywała na podłożu jej mentalności, tak jak dawniej wierzono, że płaska ziemia spoczywa na skorupie żółwia.

Margot Verger ukarała Barneya za żart o oddawaniu moczu na stojąco. Wierzyła, że ma od niego silniejsze nogi i z czasem się okazało, że to prawda. Udawała wysiłek podczas przysiadów z niniejszym obciążeniem i w ten sposób sprowokowała Barneya do przyjęcia zakładu. Przyjaciel przegrał, a ona odzyskała sto dolarów. Wykorzystała fakt, że jest od Barneya lżejsza i pokonała go również w pompkach na jednej ręce. A mogła polegać tylko na swoim prawym ramieniu - lewe było słabsze po urazie odniesionym w dzieciństwie podczas bójki z Masonem.

Czasem wieczorem, gdy Barney kończył dyżur przy Masonie, ćwiczyli razem w siłowni. Asekurowali się wzajemnie. Treningi były intensywne i ciche, nie licząc głośnych sapań. Niekiedy mówili sobie tylko „dobranoc” i Margot po spakowaniu się odchodziła do rodzinnego domu, niedostępnego dla personelu.

Tego wieczora przyszła do czarno-chromowej sali gimnastycznej prosto z pokoju Masona ze łzami w oczach.

- Hej, hej - powiedział Barney. - Co się stało?

- Sprawy rodzinne. Nic mi nie jest - odparła Margot.

Trenowała jak szalona: zbyt duże obciążenia, zbyt wiele powtórzeń.

Raz Barney pomógł jej odstawić sztangę i pokręcił głową.

- Uważaj, naderwiesz sobie ścięgna - ostrzegł.

Margot wyciskała z siebie siódme poty na rowerze stacjonarnym, kiedy Barney skończył trening i stanął pod prysznicem. Czekał, aż z rur spłynie gorąca woda. We wspólnej



łaźni znajdowały się cztery prysznice oraz kilka dodatkowych sitek do opłukiwania brzucha i ud. Barney lubił puszczać wodę z dwóch sitek i obmywać swoje wielkie ciało podwójnym strumieniem.

Po chwili gęsta mgła spowiła Barneya i zasłoniła wszystko oprócz wody lejącej mu się na głowę. Barney uwielbiał medytować pod prysznicem: obłoki pary. *Chmury*. Arystofanes. Wyjaśnienia doktora Lectera o jaszczurce, która obsikała Sokratesa. Pomyślał sobie, że zanim został ukształtowany pod niezmordowanym młotem logiki doktora Lectera, ludzie tacy jak Doemling mogli nim pomiatać.

Kiedy usłyszał, że ktoś puścił wodę z sąsiedniego prysznica, nie zainteresował się tym specjalnie. Nie przestawał się szorować. Z siłowni korzystali inni pracownicy, lecz głównie wczesnie rano lub późnym popołudniem. Jedną z zasad męskiej etykiety nakazywała, żeby nie zwracać uwagi na pozostałych kąpiących się we wspólnej łaźni. Barney jednak był ciekaw, kto to taki. Miał nadzieję, że nie Cordell. Majordomus przyprawiał go o gęsią skórę. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś jeszcze korzystał z prysznica o tak późnej porze. Kto to, u diabła, mógł być? Barney odwrócił się, żeby woda spłynęła mu po plecach. W obłokach pary części ciała przypominały fragmenty fresków wyłaniające się spod warstw schodzącej farby. Tu potężne ramię, tam noga. Kształtna dłoń masuje muskularny kark i szyję. Koralowe paznokcie, to ręka Margot. Pomalowane paznokcie u nóg. To stopy Margot.

Barney z powrotem podstawił głowę pod pulsujący strumień i zrobił głęboki wdech. Postać obok niego obracała się, dokładnie szorowała skórę. Teraz zaczęła myć włosy. Płaski rzeźbiony brzuch Margot. Małe piersi sterczące na wielkich mięśniach, z sutkami wzniesionymi ku tryskającej wodzie. To pachwina Margot, a to z pewnością cipka Margot ozdobiona blond czuprynką ostrzyżoną na irokeza.

Barney zrobił bardzo głęboki wdech i nie wypuszczał powietrza... czuł, że powstaje pewien problem. Maksymalnie wyćwiczone kobiece ciało lśniło jak grzbiet konia. Barney odwrócił się do Margot plecami, gdy jego zainteresowanie robiło się coraz bardziej wyraźne. Postara się ją zignorować.

Woda w sąsiednim prysznicu przestała lecieć. Ale usłyszał jej głos.

- Hej, Barney, jakie notowania ma drużyna Patriots?

- Według... według najnowszych doniesień wygrają mecz w Miami. -Spojrzał przez ramię.

Wycierała się tuż poza zasięgiem strumienia prysznica Barneya. Włosy Margot przylegały płasko do głowy. Jej twarz wyglądała świeżo, po łzach nie zostało ani śladu. Miała piękną skórę.

- Postawisz na nich? - zapytała. - U Judy w pracy robią zakłady...

Barney nie zwracał uwagi na ciąg dalszy. Włosy łonowe Margot z kropelkami jak klejnoty, różowa skóra. Poczul gorąco na twarzy i dostał potężnej erekcji. Był zażenowany i zaniepokojony. Znow wstrząsnął nim zimny dreszcz paniki. Mężczyźni nigdy go nie pociągali. Margot mimo mocno rozbudowanych mięśni z pewnością nie była mężczyzną i bardzo mu się podobała.

A w ogóle, co to za cholerny pomysł, żeby przychodzić za nim pod prysznic?

Zakręcił wodę i odwrócił się do Margot. Bez zastanowienia przyłożył wielką dłoń do jej policzka.

- Na miłość boską, Margot - wykrztusił z trudem. Spojrzała w dół.

- Cholera jasna, Barney. Przestań...

Barney wyciągnął szyję i pochylił się do przodu. Próbował delikatnie pocałować kobietę gdzieś w twarz, nie dotykając ponętne ciała wzwiedzionym członkiem. Bezskutecznie. Wyrwała mu się, spojrzała na zwodzony most rozciągający się między nim a jej płaskim brzuchem. Odepchnęła Barneya przedramieniem godnym gracza rugby. Mężczyzna klapnął ciężko na podłogę łaźni.

- Ty sukinsynu - syknęła. - Mogłam się domyślić. Ciota! Wiesz, gdzie możesz go sobie...

Barney podniósł się i wyszedł z łaźni. Mokry wskoczył w ubranie i bez słowa opuścił siłownię.

Mieszkanie Barneya znajdowało się w wolno stojącym budynku pokrytym łupkową dachówką, w dawnej stajni zamienionej na garaże z mieszkaniami po obu stronach. Barney siedział późno w nocy przy laptopie. Był członkiem internetowego kursu korespondencyjnego. Poczul, jak zadrżała podłoga: ktoś ciężki wchodził po schodach.

Ciche pukanie do drzwi. Otworzył i zobaczył Margot opatuloną w grubą bluzę, i w sterczącej czapce z pomponem na głowie.

- Mogę wejść na chwilkę?

Barney wbił wzrok w swoje stopy i po paru sekundach odsunął się od drzwi.

- Barney, posłuchaj, przepraszam... - zaczęła. - Chyba spanikowałam. To znaczy, najpierw się wygłupiłam, a później przestraszyłam. Cieszyłam się, że jesteś moim kumplem.

- Ja też.

- Myślałam, że możemy... No wiesz, po prostu się kolegować.

- Margot, daj spokój. Powiedziałem, że zostaniemy przyjaciółmi, ale przecież nie jestem cholernym eunuchem. Przyszłaś za mną pod prysznic. Spodobałaś mi się, nic na to nie

poradzę. Wchodzisz goła pod prysznic, a ja widzę te dwie rzeczy, które na mnie tak działają.

- To znaczy mnie i moją piczkę. Zdziwili się, że razem wybuchnęli śmiechem.

Podeszła do niego i ścisnęła tak mocno, że ktoś bardziej wątły doznałby kontuzji.

- Słuchaj, gdyby podobali mi się faceci, wybrałabym ciebie. Ale to nie dla mnie.

Naprawdę. Ani teraz, ani nigdy. Barney pokiwał głową.

- Wiem. Poniosło mnie. Stali przez jakiś czas objęci.

- Nadal jesteśmy kumplami? - zapytała. Zastanowił się przez chwilę.

- Tak. Ale musisz mi trochę pomóc. Oto moja propozycja: postaram się, choć nie przyjdzie mi to łatwo, zapomnieć, co widziałem pod prysznicem, a ty nigdy już mi tego nie pokażesz. I zasłaniaj też cycki. Co ty na to?

- Potrafię być dobrym przyjacielem, Barney. Przyjdź jutro do domu. Judy i ja gotujemy.

- Dobrze, ale wątpię, czy gotujecie lepiej ode mnie.

- Przekonaj się - zaproponowała Margot.

## ROZDZIAŁ 62

Doktor Lecter obejrzał przy świetle butelkę Château Pétrus. Dzień wcześniej ustawił ją pionowo, żeby się przekonać, czy wino ma osad. Zerknął na zegarek i uznał, że najwyższa pora otworzyć trunek.

Ryzyko, jakie się z tym wiązało, było dla doktora Lectera zbyt duże. Nie chciał działać pochopnie. Pragnął delektować się kolorem wina w kryształowej karafce. A jeśli się okaże, że wyciągnął korek zbyt wcześnie i że wino nie ma boskiego tchnienia, które można utracić przy przelewaniu? Światło ujawniło obecność osadu.

Wyjął korek tak ostrożnie, jakby trepanował czaszkę. Umieścił butelkę w urządzeniu z korbką, które pozwalało bardzo precyzyjnie przechylać naczynia. Niech najpierw słone powietrze zrobi swoje.

Rozpalił ogień z kawałków węgla drzewnego i zrobił sobie drinka. Lillet z plasterkiem pomarańczy i lodem. Zbadał *fond*, nad którym pracował od kilku dni. Przyrządzając wywar, doktor Lecter posługiwał się recepturą z natchnieniem opisaną przez Aleksandra Dumasa. Zaledwie trzy dni wcześniej, po powrocie z polowania, dodał do mikstury tłustą wronę z żołądkiem pełnym jagód jałowca. Małe czarne pióra pływały na spokojnych wodach zatoki. Zatrzymał pióra ze skrzydeł, aby potem zrobić z nich plektrony do klawesynu.

Rozgniół świeże jagody jałowca i zaczął podgrzewać szalotki na miedzianej patelni. Kawalek bawełnianego sznurka starannie zawiązał w mocny chirurgiczny węzeł wokół świeżego *bouquet garni*, które polewał w garnku wywarem.

Ociekająca polędwica, wyjęta z glinianego garnka, była ciemna od marynaty. Doktor Lecter osuszył mięso, podwinął cieńszy koniec i podwiązał sznurkiem, żeby całość miała tę samą średnicę.

Ogień rozpalił się prawidłowo. Polędwica zasyczała na żelazie. Ogród wypełnił się błękitnym dymem. Zdawało się, że smugi tańczą przy płynącej z głośników muzyce. Doktor Lecter włączył wzruszającą kompozycję Henryka VIII *If True Love Reigned*.

Późno w nocy, z ustami zaczerwienionymi od Château Pétrus i małym kryształowym kieliszkiem Château d'Yquem w kolorze miodu na stoliku, doktor Lecter gra Bacha. W jego myślach Starling biegnie wśród liści. Spłoszone zwierzęta gnają po zboczu wzgórza. Mijają siedzącego nieruchomo doktora Lectera. Biegnie, biegnie... zaczął część drugą *Wariacji Goldbergowskich*. Światło drga na jego poruszających się dłoniach - udręka w muzyce, przebłysk zakrwawionego śniegu i brudnych zębów. Tym razem tylko przebłysk, który znika przy charakterystycznym, głuchym dźwięku; strzała z kuszy przeszywa czaszkę. I znów

pojawia się malowniczy las, lekka muzyka i Starling rozświetlona porannym słońcem, jakby obsypana pyłkami kwiatów. Znika mu z pola widzenia, a jej kucyk podskakuje jak ogon jelenia. Bez żadnych przerw dogrywa utwór do końca i zapada słodka cisza, przypominająca bogactwem smak Château d'Yquem.

Doktor Lecter przystawia kieliszek do świecy. Płomień iskrzy się za szkłem jak słońce na wodzie, a wino ma kolor zimowego słońca na skórze Clarice Starling. Wkrótce jej urodziny. Ciekawe, czy ocalała butelka Château d'Yquem z roku, w którym się urodziła. Może wypada przesłać prezent Clarice Starling. Za trzy dni ma dożyć wieku Chrystusowego.

## ROZDZIAŁ 63

W chwili gdy doktor Lecter podniósł kieliszek do świecy, A. Benning, pochłonięta pracą w laboratorium DNA, uniosła do światła ostatni żel. Spojrzała na linie elektroforetyczne z czerwonymi, niebieskimi i żółtymi plamkami. Analizie poddano komórki nabłonkowe ze szczoteczki do zębów sprowadzonej z Palazzo Capponi razem z włoskimi listami dyplomatycznymi.

- Hmm - zamruczała i wykręciła numer Starling w Quantico. Odebrał Eric Pickford.

- Dzień dobry, jest Clarice Starling?

- Nie, dziś ja mam dyżur. Mogę w czymś pomóc?

- Ma pan numer jej pagera?

- Właśnie z nią rozmawiam na drugiej linii. Coś przekazać?

- Tak, dzwoni Benning z laboratorium DNA. Proszę jej powtórzyć, że szczoteczka do zębów i rzęsa ze strzały należą do tej samej osoby. Doktora Lectera. Niech Clarice do mnie zadzwoni.

- Proszę podać swój numer. Zaraz wszystko przekażę. Dziękuję.

Ale Starling nie było na drugiej linii. Pickford zadzwonił do domu Paula Krendlera.

Starling nie oddzwoniła, laborantka poczuła się trochę rozczarowana. Poświęciła jej zleceniu mnóstwo prywatnego czasu. Zanim Pickford zawiadomił Starling, Benning już dawno wróciła do domu.

Mason dowiedział się o odkryciu godzinę przed Starling.

Odbył krótką rozmowę z Paulem Krendlerem. Nie spieszył się, spokojnie czekał na każdy oddech respiratora. Myślał bardzo trzeźwo.

- Pora wyeliminować Starling, zanim popsuje nam szyki. Trzeba wystawić ją na przynętę. Jest piątek, masz cały weekend. Zaczynij działać, Krendler. Zawiadom makaroniarzy o ogłoszeniu. Starling nam przeszkadza. Czas, żeby odeszła. I jeszcze jedno, Krendler.

- Wolałbym, żebyśmy tylko...

- Rób, co ci każe. W następnej widokówce z Kajmanów pod znaczkami znajdziesz zupełnie nowy numer konta.

- W porządku, ja... - zaczął Krendler, ale nie dokończył. W słuchawce rozległ się sygnał.

Ta krótka rozmowa jak nigdy wyczerpała Masona. Zanim jednak zapadł w niespokojny sen, wezwał Cordella.

- Sprowadź świnię - rozkazał.

## ROZDZIAŁ 64

Przetransportowanie półdzikiej świni wbrew jej woli sprawia więcej kłopotu niż porwanie człowieka. Świnie trudniej chwycić, a te wielkie są niezwykle silne. Nie można ich postraszyć bronią. Trzeba uważać na kły, żeby zachować brzuch i nogi w całości.

Podczas walki z człowiekiem lub niedźwiedziem świni instynktownie rozpruwają przeciwnikom brzuchy. Zwykle nie atakują ścięgien podkolanowych, choć można je tego nauczyć.

Jeśli chce się utrzymać zwierzę przy życiu, nie wolno ogłuszać go prądem. Serce świni często tego nie wytrzymuje.

Carlo Deogracias, opiekun świń, miał anielską cierpliwość. W ramach eksperymentu podawał zwierzętom ten sam środek uspokajający, którym zamierzał poczęstować doktora Lectera. Teraz wiedział dokładnie, ile preparatu

potrzebuje, aby uspić stukilową dziką świnię, i jak go bezpiecznie dozować, żeby leżała spokojnie przez czternaście godzin.

Firma Vergerów zajmowała się importem i eksportem zwierząt na wielką skalę. Uczestniczyła także w eksperymentalnych programach hodowlanych pod patronatem Departamentu Rolnictwa. Bez przeszkód więc załatwiono wszelkie formalności związane z przyjęciem świń Masona. Zgodnie z wymogami do inspektoratu rolniczego w Riverdale w stanie Maryland przefaksowano formularz 17-129, a także odpowiednie papiery weterynaryjne z Sardynii. Uiszczono również opłatę w wysokości trzydziestu dziewięciu dolarów i pięćdziesięciu centów za pięćdziesiąt fiolek zamrożonego nasienia, które Carlo chciał sprowadzić.

Zezwolenia na przewóz świń i nasienia wróciły faksem razem z pisemnym zwolnieniem inwentarza ze zwyczajowej kwarantanny w Key West. Przesłano też potwierdzenie, że inspektor odprawi zwierzęta na międzynarodowym lotnisku Baltimore-Waszyngton.

Carlo oraz jego pomocnicy, Piero i Tommaso Falcione, zmontowali klatki. Były to solidne konstrukcje z przesuwanymi drzwiami po obu stronach, wysypane piaskiem i odpowiednio wymoszczone. W ostatniej chwili przypomnieli sobie, żeby załadować też burdelowe lustro. Masona zachwycały zdjęcia ukazujące rokokową oprawę wokół odbitych świńskich ryjów.

Carlo ostrożnie uspił szesnaście zwierząt: pięć knurów chowanych w tej samej zagrodzie i jednaście loch. Jedna była ciężarna, żadna w trakcie rui. Kiedy świnię posnęły,

dokładnie je zbadał. Sprawdził palcami ostre zęby i koniuszki kłów. Trzymał w rękach potworne łby, zaglądał do maleńkich szklistych oczek i nasłuchiwał, czy drogi oddechowe są w porządku. Potem spętał eleganckie raciczki. Na płachtach wciągnął cielska do klatek i zasunął dokładnie drzwi.

Ciężarówki, pojękując, pokonały trasę z gór Gennargentu do Cagliari. Na lotnisku czekał samolot linii lotniczych Count Fleet Airlines specjalizujących się w transporcie koni wyścigowych. Zazwyczaj transportował amerykańskie konie na gonitwy do Dubaju. Teraz na pokładzie był jeden koń z Rzymu. Nie chciał ustać w miejscu, gdy poczuł zapach dzikich świń. Zaczął rzeć i kopać w boksie. Trzeba go było wyprowadzić z samolotu i zostawić w Cagliari. Później kosztowało to sporo Masona, który musiał odstawić zwierzę do właściciela i zapłacić odszkodowanie, żeby uniknąć procesu.

Carlo i jego pomocnicy lecieli razem z trzodą w kabinie ciśnieniowej. Co pół godziny nad wzburzonym morzem Carlo badał każdą świnię z osobna. Przykładał rękę do pokrytego szczecina boku i wyczuwał bicie serca.

Nie można było oczekiwać, że nawet szesnaście zdrowych i głodnych świń od razu skonsumuje doktora Lectera. Pożarcie pewnego reżysera zabrało bestiom cały dzień.

Mason zażyczył sobie, aby pierwszego dnia Lecter patrzył, jak zjadają mu stopy. Na noc doktor miał zostać podłączony do kroplówki i czekać na ciąg dalszy.

Mason obiecał Carlowi podczas tej przerwy godzinę na osobności z doktorem Lecterem.

Na drugie danie świnię w ciągu godziny miary wyżreć Lecterowi wnętrzności i twarz. Kiedy już pierwsza grupa największych świń naje się do syta, dopuszczona zostanie druga tura. Ale wtedy najlepsza zabawa i tak już się skończy.



## ROZDZIAŁ 65

Barney nie był jeszcze w stodole. Wszedł bocznymi drzwiami pod rządami ławek, które z trzech stron otaczały starą arenę. Pusta i cicha, nie licząc szemrań gołębi na krokwiach, arena wciąż wzbudzała dreszczyk emocji. Za stanowiskiem licytatora widać było otwartą stodołę. Za wielkimi podwójnymi drzwiami znajdowały się pomieszczenia: stajnia i magazyn ze sprzętem jeździeckim.

Barney usłyszał jakieś głosy.

- Halo! -zawołał.

- Jestem w magazynie, Barney. Chodź tu - rozległ się głęboki głos Margot.

Magazyn był obwieszony uprzężą i siodłami w najróżniejszych kształtach. Wnętrze sprawiało przyjemne wrażenie. W powietrzu unosił się zapach skóry i siana. Przez przybrudzone okna pod okapem wdierały się ciepłe promienie słońca. Na otwartym poddaszu był skład siana.

Margot zawieszała zgrzebła i uzdy. Jej włosy były jaśniejsze od słomy, a oczy niebieskie jak stempel weterynaryjny na zbadanym mięsie.

- Cześć - przywitał się z progu Barney. Wydawało mu się, że magazyn jest nieco teatralny, urządony specjalnie dla goszczących tu dzieci. Wysokością i światłem wpadającym ukośnie do środka przywodził na myśl kościół.

- Cześć, Barney. Będziemy jeść za jakieś dwadzieścia minut. Z poddasza dobiegł głos Judy Ingram.

- Barneeeeey! Dzień dobry. Poczekaj, a zobaczysz, co przygotowaliśmy na obiad! Margot, chcesz jeść na świeżym powietrzu?

Co sobota Margot i Judy wyczesywały gromadkę tłustych szetlandzkich kucyków, na których jeździły dzieci. Kobiety zawsze zabierały ze sobą prowiant.

- Może od południowej strony, w słońcu - zaproponowała Margot.

Przyjaciółki wydawały się nieco zbyt szczebiotliwe. Osoba ze szpitalnym doświadczeniem Barneya wiedziała, że przesadna szczebiotliwość nie wróży nic dobrego.

Na ścianie magazynu, nieco ponad poziomem głowy, wisiała końska czaszka z uzdą i okularami, zdobiona wyścigowymi barwami Vergerów.

- To Fleet Shadow. Wygrał wyścig w Lodgepole w pięćdziesiątym drugim. Jedyne zwycięzca z ojcowskiej stajni - wyjaśniła Margot. - Był zbyt tani, żeby go wypychać. - Spojrzała na czaszkę. - Co za uderzające podobieństwo do Masona, prawda?

W kącie stał piec z miechami. Panował chłód, więc Margot rozpałała niewielki ogień.

Nad paleniskiem grzał się garnek z czymś, co pachniało jak zupa.

Na stole leżał komplet narzędzi kowalskich. Wzięła do ręki młotek z krótką rączką i ciężką główką. Potężnie zbudowana Margot z powodzeniem mogła być kowalem o dziwnie sterczących mięśniach klatki piersiowej.

- Rzuć mi koce - zawołała Judy.

Margot podniosła stertę świeżo upranych derek i jednym hakowatym ruchem potężnego ramienia posłała je na poddasze.

- Dobra, teraz umyję ręce i przyniosę jedzenie z jeepa. Za kwadrans zaczynamy - powiedziała Judy, schodząc po drabinie.

Barney czuł na sobie uważne spojrzenie Margot; nawet nie śmiał sprawdzić, jak wygląda tyłek Judy. Usiedli na przykrytych kocami belach siana.

- Spóźniłeś się. Kucyki odjechały do stajni w Lester - oznajmiła Margot.

- Słyszałem rano ciężarówkę. Co się stało?

- Polecenie Masona. - Zapadła cisza. Milczenie zawsze przychodziło im z łatwością. Tym razem było inaczej. - Słuchaj, Barney. Właśnie nadeszła chwila, kiedy nie można już rozmawiać, trzeba działać.

- Jak w miłości - uznał Barney. Jego niefortunna uwaga zawisła w powietrzu.

- W miłości - powtórzyła w zamyśleniu Margot. - Mam dla ciebie coś dużo lepszego. Wiesz, o czym mowa.

- Mniej więcej - odparł Barney.

- Ale gdybyś się wycofał, a to i tak by się stało, wiesz, że nie możesz mnie wydać? - Uderzyła młotkiem w otwartą dłoń. Być może nieświadomie. Wpatrywała się w przyjaciela niebieskimi oczami rzeźnika.

Barney przetrwał w życiu dlatego, że potrafił czytać z twarzy. Był pewien, że Margot mówiła prawdę.

- Oczywiście.

- Tak samo, gdybyś się zdecydował współpracować. Będę bardzo hojna, ale tylko raz. Musi ci wystarczyć. Wiesz, jaką sumę mam na myśli?

- Margot, na moim dyżurze nic się nie stanie. Nie wtedy, gdy biorę pieniądze za opiekę nad Masonem.

- Dlaczego?

Barney wzruszył potężnymi ramionami.

- Umowa jest umową.

- Ja ci proponuję prawdziwy interes - powiedziała Margot. - Pięć milionów dolarów,

Barney. Tyle samo ma dostać Krendler za oszukanie FBI.

- Mówimy o zdobyciu nasienia Masona, które pozwoli zapłodnić Judy.

- Ale to nie wszystko, Barney. Jeśli pobierzesz od niego spermę, i zostawisz go przy życiu, będzie na ciebie polował. Nie uciekniesz daleko. Pośle cię do tych pieprzonych świń.

- Dokąd mnie pośle?

- O co chodzi, Barney? „Semper Fi”\*, jak masz wytatuowane na ramieniu?

- Kiedy wziąłem pieniądze, obiecałem, że będę się nim opiekował. Pracuję dla niego i nie zrobię mu żadnej krzywdy.

- Przecież tylko pobierzesz nasienie. Ja nie mogę tam go dotknąć. Nigdy więcej. Pewnie będziesz musiał mi pomóc unieszkodliwić Cordella.

-Jeśli zabijesz Masona, dostaniesz zaledwie jedną porcję - powiedział Barney.

- Pięć centymetrów sześciennych, nawet przy małej liczbie plemników, wystarczy na pięć prób zapłodnienia, na przykład *in vitro*. Rodzina Judy jest bardzo płodna.

- Myślałaś o przekupieniu Cordella?

- Nie. Nigdy nie dotrzymałby umowy. Jego słowo jest nic niewarte. Wcześniej czy później wydałby mnie. Muszę się go pozbyć.

- Wszystko dokładnie przemyślałaś.

- Tak, Barney. Musiałbyś pilnować stanowiska dla pielęgniarki. Ja wkładam rękę pod osłonę respiratora i unieruchamiam klatkę piersiową Masona. Monitor będzie pokazywał, że respirator nadal pracuje. Zanim urządzenie wykaże zmianę rytmu serca i ciśnienia, wbiegasz do pokoju. Mason jest nieprzytomny, możesz go próbować cucić. Tyle tylko, że nie zwracasz na mnie uwagi. Ja cały czas uciskam klatkę piersiową, aż Mason wyzionie ducha. Asystowałeś przy wielu sekcjach zwłok, Barney. Co sprawdzają przy podejrzeniu o uduszenie?

- Czy jest krwotok pod powiekami.

- Mason nie ma powiek.

Dobrze się przygotowała. Była przyzwyczajona do zdobywania wszystkiego i wszystkich za pieniądze.

Barney spojrzał jej w twarz, lecz kątem oka obserwował trzymany przez nią młotek.

- Nie, Margot.

- Gdybyś mógł mnie przelecieć, zrobiłbyś to?

- Nie.

- A gdybym ja cię przeleciała?

---

\* *Semper fidelis* (łac.) - zawsze wierny, motto amerykańskiej piechoty morskiej (przyp. tłum.).

- Nie.

- Gdybyś tu nie pracował, nie miał żadnych obowiązków wobec niego?

- Prawdopodobnie nie.

- Względy etyczne czy może tchórz cię obleciał?

- Nie wiem.

- No to się przekonajmy. Jesteś zwolniony. Kiwnął głową niezbyt zaskoczony.

- Barney, tylko... - Podniosła palec do ust. - Ciii. Daj mi słowo. Nie muszę chyba wspominać, że mogę cię udupić? Wiem o twoim wyroku w Kalifornii.

- Możesz być spokojna - odparł Barney. - Za to ja mam zmartwienie. Ciekawe, jak Mason rozstaje się z pracownikami. Może po prostu znikają.

- Nie martw się stary. Powiem Masonowi, że zachorowałeś na zapalenie wątroby. Nie wiesz dużo o tym, co knuje. Tyle tylko, że chce pomóc policji. Mamy cię w garści, więc pozwoli ci odejść.

Barney zastanawiał się, kto doktorowi Lecterowi wydał się bardziej interesujący podczas terapii - Mason Verger czyjego siostra.

## ROZDZIAŁ 66

W nocy pod stodołą na Muskrat Farm zatrzymała się długa srebrna ciężarówka. Spóźnili się i byli w złych humorach.

Na międzynarodowym lotnisku Baltimore-Waszyngton początkowo wszystko szło bardzo sprawnie. Przedstawiciel z Departamentu Rolnictwa podstemplował zgodę na ekspedycję szesnastu zwierząt. Inspektor wiedział bardzo wiele o świniach, ale takich okazów jeszcze nie widział.

Carlo Deogracias zajrzał do ciężarówki. Pojazd był przeznaczony do transportu inwentarza. Wewnątrz panował smród. W szczelinach pozostały ślady po pasażerach. Carlo nie pozwolił na wyładunek świń. Samolot czekał, a tymczasem Carlo i Piero Falcione znaleźli inny samochód, bardziej przystosowany do przewozu klatek. Poszukali myjni i wyczyścili ładownię.

Przy głównej bramie Muskrat Farm czekała ich ostatnia przykra niespodzianka. Strażnik sprawdził tonaż i nie pozwolił im wjechać: ozdobny most miał ograniczoną nośność. Skierował ich na drogę okrężną przez las. Gałęzie zaczepiały o wysoki dach, gdy ciężarówka pokonywała ostatnie trzy kilometry.

Carlowi podobała się wielka czysta stodoła na Muskrat Farm. Przypadł mu też do gustu mały podnośnik, który delikatnie przeniósł klatki do boksów dla kucyków.

Kierowca ciężarówki wyciągnął widelki do porażania bydła prądem. Dla żartu zaproponował, żeby połaskotać jedną ze świń. Chciał się przekonać, jak głęboko jest uspiona. Carlo wyrwał mężczyźnie narzędzie i tak go nastraszył, że kierowca bał się poprosić o zwrot swojej własności.

Carlo chciał, aby zwierzęta doszły do siebie w półmroku i nie zamierzał wypuszczać ich z klatek, dopóki nie odzyskają formy. Obawiał się, że świnie, które pierwsze się obudzą, skonsumują jakiegoś śpiącego marudera. Każda leżąca postać zwracała ich uwagę.

Piero i Tommaso musieli zachowywać zdwojoną ostrożność, odkąd stado zjadło reżysera, a później zamrożonego kamerzystę. Nie mogli przebywać w zagrodzie lub na pastwisku razem ze świniami. Zwierzęta nie zachowywały się groźnie, nie zgrzytały zębami jak dzikie świnie. Po prostu obserwowały swoje ofiary ze straszliwym skupieniem i przysuwały się blisko, żeby zaatakować.

Carlo, równie skoncentrowany na zadaniu, nie spoczął, dopóki nie obszedł z latarką całego ogrodzonego pastwiska sąsiadującego z wielkim lasem.

Scyzorykiem rozkopał ziemię, zbadał podłoże pod drzewami i znalazł żołędzie. Kiedy

wjeżdżali, usłyszał sójkę i wtedy pomyślał, że muszą tu być żołądźcie. Na ogrodzonym polu rosło niewiele dębów. Nie chciał, żeby świnię znajdowały pożywienie w ziemi, jak ich leśne kuzynki.

Mason wybudował przy stodole mocną barierę z taką samą furtką, jaką Carlo miał u siebie na Sardynii.

Zza bezpiecznego ogrodzenia Carlo spokojnie karmił świnię. Przerzucał im ubrania wypchane kurczakami, baraniną i warzywami.

Świnię nie były oswojone, ale nie bały się ludzi i hałasu. Nawet Carlo nie mógł wejść do zagrody. Świnia, w odróżnieniu od wielu innych zwierząt, ma iskrę inteligencji i jest niesamowicie zaradna. Szczeciniaste bestie nie traktowały ludzi wrogo, po prostu lubiły ich zjadać. Poruszały się lekko jak byki Miura i potrafiły wykonywać nagłe zwroty jak owczarki. Krążyły wokół opiekunów ze złowrogą premedytacją. Piero ledwo uszedł z życiem, gdy próbował odzyskać koszulę, którą chcieli ponownie wykorzystać.

Nigdy nie było takich świń: większych od europejskiego dzika i równie dzikich. Carlo czuł, że je stworzył. Wiedział, że dzięki nim zniszczy zło i zasłuży sobie na życie wieczne.

Zanim wybiła północ, w stodole wszyscy spali. Carlo, Piero i Tommaso zasnęli na poddaszu nad magazynem. Świnię chrapały w klatkach. Zgrabne małe raciczki zaczęły wierzcąc we śnie. Któreś zwierzę poruszyło się na czystych płachtach. Czaszka wyścigowego konia, lekko oświetlona ogniem z pieca, spoglądała z góry pustymi oczodołami.

## ROZDZIAŁ 67

Atak na agentkę FBI z wykorzystaniem fałszywych dowodów Masona był dla Krendlera ryzykownym przedsięwzięciem. Czuł, że trochę brakuje mu tchu. Zostałby rozdeptany jak mrówka, gdyby go przyłapał prokurator generalny.

Krendler przejął się sprawą Clarice Starling jedynie w obawie o własną głowę. Co innego, gdyby chodziło o karierę mężczyzny. Faceci mają rodziny na utrzymaniu. Krendler wiedział coś na ten temat.

Starling musiała odejść. Gdyby ją zostawili w spokoju, doszłaby po nitce do kłębka. Dzięki swej kobiecej drobiazgowości i pedantyczności, odnalazłaby Hannibala Lectera. Gdyby tak się stało, Mason Verger pokazałby Krendlerowi figę z makiem.

Im szybciej zostanie odsunięta od sprawy i wystawiona na przynętę, tym lepiej.

W drodze na szczyt Krendler już wcześniej rujnował ludziom kariery. Najpierw jako aktywny politycznie prokurator stanowy i później w Departamencie Sprawiedliwości. Wiedział z doświadczenia, że kobietę łatwiej zniszczyć. Jeśli kobieta awansuje, zawsze można zasugerować, że osiągnęła to w pozycji leżącej.

Taka etykieta nie przyłgnęłaby do Clarice Starling, pomyślał. Właściwie nie znał osoby, którą bardziej przydałoby się posunąć gdzieś przy drodze. Czasem myślał o tym brutalnym akcie, kiedy kręcił palcem w nosie.

Krendler nie potrafił wyjaśnić swojej niechęci do Starling. Tkwiła w nim bardzo głęboko. Miejsce z pokrowcami na siedzeniach, sufitowym światłem, klamkami i szparami w oknie. Dziewczyna podobna do Starling, lecz bez jej rozumu, ze spodniami opuszczonymi do kostek, pyta go, co się z nim dzieje. Dlaczego tego nie robi, może jest jakimś pedałem? Jakimś pedałem?

Uważał Starling za żołą, ale jej dokonania czarno na białym prezentowały się dużo lepiej, niż mógł na to wskazywać przebieg jej nieudanej kariery. Starling na szczęście rzadko otrzymywała nagrody. Krendler przez lata psuł jej opinię. W ten sposób udawało mu się blokować najbardziej atrakcyjne zlecenia, które powinna otrzymywać. Niezależność i cięty język Starling tylko ułatwiały zadanie.

Mason nie chciał czekać na rozstrzygnięcia w sprawie strzelaniny przy targu rybnym. Zresztą nie było pewności, czy śledztwo zaszkodzi Starling. Śmierć Eveldy Drumgo i pozostałych osób była bez wątpienia efektem złej organizacji całej akcji. Starling cudem udało się uratować tego bękarta. Jeszcze jedna gęba do wyżywienia. Krendler z łatwością mógł wrócić do tamtych feralnych wydarzeń, ale nie miał gwarancji, że ucierpi na tym kariera

Starling.

Wpadł na lepszy pomysł. Starling mogła szybko wylecieć z FBI - w tak sprzyjającym okresie.

W Waszyngtonie pewna zasada sprawdzała się częściej niż twierdzenie Pitagorasa: jedno głośne pierdnięcie wiadomego pochodzenia zagłuszy liczne pomniejsze emisje, pod warunkiem, że wszystko nastąpi mniej więcej równocześnie.

*Impeachment* na tyle absorbował Departament Sprawiedliwości, że Krendler mógł niepostrzeżenie zająć się Starling.

Mason chciał, aby sprawę Starling zrelacjonowano w gazetach, żeby przeczytał o niej doktor Lecter. Lecz Krendler musiał sprawić, aby doniesienia

prasowe wydawały się przypadkowe. Na szczęście zbliżała się wysmienita okazja: urodziny FBI.

Krendler zachował spokojne sumienie i wciąż uzyskiwał od niego rozgrzeszenie.

Teraz też znalazł w nim pociechę: jeśli Starling straci pracę, w najgorszym razie to cholerne lesbijskie gniazdo, w którym mieszka, będzie musiało się obyć bez telewizji satelitarnej. W najgorszym przypadku przesunie niewygodny balast na drugą burzę, więc nikomu już nie będzie zagrażał.

Wtedy łódź przestanie się kołysać, pomyślał z zadowoleniem, jak gdyby te dwie morskie metafory tworzyły logiczne równanie. To, że rozkołysana łódź ciągle przesuwa obciążenie, w ogóle mu nie przeszkadzało.

Krendler fantazjował tak często, na ile pozwalała mu jego wyobraźnia. Teraz widział w myślach starą, kuśtykającą Starling. Kształtne nogi są spuchnięte i pokryte niebieskimi żyłkami. Nosi brudną pościel z góry na dół po schodach i odwraca głowę od plam na prześcieradle. Zarabia na życie w hoteliku prowadzonym przez parę stetryczalnych włochatych lesbijek.

Wyobrażał sobie, co jej powie następnym razem. Dobrze pamiętał swój ostatni triumf. Nazwał ją „czerstwą wiejską dziewczyną”.

Uzbrojony we wnikliwe uwagi doktora Doemlinga, chciał stanąć tuż przy Starling, kiedy już odbiorą jej broń, i powiedzieć, nie poruszając ustami: „Za stara jesteś, żeby ciągle pieprzyć się ze swoim tatusiem, nawet jak na białą szmatę z Południa”. Powtórzył zdanie w myślach. Może zapisze sobie te słowa w notesie.

Krendler miał odpowiednie instrumenty, czas i truciznę, żeby zniszczyć karierę Starling. Gdy zabrał się do dzieła, w sukurs przyszła mu odrobina szczęścia i włoska poczta.



## ROZDZIAŁ 68

Cmentarz Battle Creek pod Hubbard wygląda w grudniu jak niewielka blizna na żółtej skórze środkowego Teksasu. Zawsze tam gwiżdże wiatr. Nigdy nie przestanie.

Płaskie płyty nagrobkowe w nowej części cmentarza są wpuszczone w ziemię. To ułatwia strzyżenie trawy. Nad grobem dziewczynki, która obchodziłaby dzisiaj urodziny, tańczy srebrny balon w kształcie serca. W starszej części cmentarza strzygą trawę wzdłuż alejek i między grobami, jeśli zdołają tam wjechać kosiarki. Z ziemią mieszają się kawałki wstążek i łodygi zwiędłych roślin. Na samym końcu cmentarza jest sterta kompostowa, gdzie trafiają stare kwiaty. Między tańczącym srebrnym balonem a stosem odpadów terkocze koparka. Za sterami siedzi młody Murzyn. Drugi stoi obok i usiłuje zapalić papierosa. Osłania przed wiatrem zapalkę...

- Panie Closter, chciałem, żeby przekonał się pan na własne oczy, na co się natkniemy. Jestem pewien, że odradzi pan bliskim, żeby cokolwiek oglądali oznajmił Greenlea, dyrektor Domu Pogrzebowego Hubbard. - Znow muszę panu pogratulować doskonałego wyboru. Trumna będzie prezentować się bardzo okazale. I to powinno im wystarczyć. Z przyjemnością udzielię panu rabatu. Mój ojciec, świeć Panie nad jego duszą, spoczywa w identycznej.

Ruchem głowy dał znać operatorowi koparki. Kleszcze maszyny wgryzły się w porośnięty chwastami, zapadnięty grób.

- Jest pan pewien co do płyty nagrobkowej, panie Closter?

- Tak - odparł doktor Lecter. - Dzieci zamówiły wspólną płytę dla matki i ojca.

Stali w milczeniu. Tylko nogawki spodni łopotwały na wietrze. Maszyna przestała kopać na głębokości metra.

- Odtąd lepiej wziąć się za łopaty - powiedział Greenlea. Dwaj pracownicy zeskoczyli do dołu i zabrali się do roboty. Wprawnymi ruchami wyrzucali ziemię.

- Ostrożnie - ostrzegł dyrektor domu pogrzebowego. - To nie była porządna trumna. Nie taka, jaką dostanie teraz.

Tania trumna ze sklejki rzeczywiście zapadła się na swojego właściciela. Greenlea polecił pracownikom, żeby odkopali trumnę i wsunęli pod nią płótno. Ładunek podniesiono na noszach i przetransportowano do ciężarówki.

Na stole w garażu Domu Pogrzebowego Hubbard usunięto kawałki zmurszałego wieka, spod którego wyłonił się spory szkielet.

Doktor Lecter szybko zlustrował szczątki. Kula wyszczerbiła krótkie zebro nad

wątroba. Wysoko na czole z lewej strony znajdowało się wgniecenie i dziura po kolejnej kuli. Omszała, zabrudzona i tylko częściowo widoczna czaszka miała wydatne kości policzkowe, które już kiedyś widział.

- Ziemia nie zostawia wiele - skomentował Greenlea.

Kości były pokryte zbutwiałymi strzępami spodni i kowbojskiej koszuli. Guziki z masy perłowej przeleciały przez zębra. Na klatce piersiowej spoczywał kowbojski kapelusz z obszarpanym w jednym miejscu rondem i dziurą w denku.

- Znał pan zmarłego? - zapytał doktor Lecter.

- Nasza firma wykupiła ten zakład i przejęła cmentarz w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku - odpowiedział dyrektor. - Teraz mieszkam w pobliżu, ale siedziba naszej firmy znajduje się w St. Louis. Chce pan zachować ubranie? Mógłbym sprzedać garnitur, ale nie sądzę...

- Nie - uciął doktor Lecter. - Proszę oczyścić kości i zostawić tylko kapelusz, sprzączkę, buty. Proszę zebrać do torebek kości krótkie rąk i stóp a potem owinąć je w najlepszy jedwabny całun razem z czaszką i kośćmi długimi. Nie trzeba ich układać, tylko żeby niczego nie zabrakło. Czy stara płyta nagrobkowa zrekompensuje panu koszty zamknięcia grobu?

- Tak, proszę podpisać tutaj. Dam panu kopie pozostałych dokumentów. - Greenlea był ogromnie zadowolony ze sprzedaży trumny. Każdy pracownik domu pogrzebowego po prostu przewiózłby kości w kartonowym pudełku i sprzedał rodzinie nową trumnę.

Dokumenty ekshumacyjne przedstawione przez doktora Lectera były całkowicie zgodne z obowiązującymi przepisami. Doktor nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Sam sprokurował formularze na podstawie wzorów ściągniętych z Internetu.

Dwaj pracownicy, zadowoleni, że wypożyczona ciężarówka doktora Lectera ma opuszczaną klapę z tyłu, wtoczyli trumnę do środka i przywiązali ją do wózka. W samochodzie znajdował się jeszcze jeden przedmiot: wisząca drewniana szafka.

- Świetny pomysł, żeby urządzić sobie garderobę w aucie. Przynajmniej nie pogniecie się panu strój żałobny - stwierdził Greenlea.

W Dallas doktor wyjął z szafy futerał po waltorni i włożył do niego jedwabne zawiniątko z kośćmi. Czaszka wtulona w kapelusz z łatwością zmieściła się w dolnej części futerału.

Lecter wypchnął trumnę przez tylną klapę na cmentarzu Fish Trap, oddał wypożyczoną ciężarówkę na lotnisku Dallas-Fort Worth i wysłał stamtąd futerał po waltorni prosto do Filadelfii.

**CZEŚĆ IV**  
**ZNACZĄCE DATY W KALENDARZY**  
**GROZY**

## ROZDZIAŁ 69

W poniedziałek Clarice Starling musiała sprawdzić weekendowe raporty sprzedaży egzotycznych artykułów spożywczych. Sprowadziła też informatyka z Sekcji Technicznej, żeby naprawił usterkę w jej komputerze. Mocno ograniczyła listę dystrybutorów: pięciu winiarzy, trzy najbardziej oryginalne gatunki win, dwóch dostawców amerykańskiego *foie gras* i pięć luksusowych delikatesów... Mimo wszystko liczba zakupów była nadal zastraszająco długa. Pojedyncze zgłoszenia ze sklepów monopolowych, przekazywane pod specjalny policyjny numer, trzeba było wprowadzać do komputera ręcznie.

Starling założyła, że mordercą kłusownika z Wirginii był doktor Lecter. Skróciła więc spis do zakupów ze Wschodniego Wybrzeża, z wyjątkiem *foie gras* z Sonomy. Firma Fauchon z Paryża nie zgodziła się na współpracę, a z kierownikiem z delikatesów „Vera dal 1926” we Florencji Starling w ogóle nie potrafiła się porozumieć. Wysłała więc faks do włoskiej policji z prośbą o pomoc, na wypadek gdyby doktor Lecter zamówił białe trufle.

Na koniec pracowitego dnia, w poniedziałek siedemnastego grudnia, zostało jej dwanaście możliwości do zbadania. Były to kompilacje zakupów na kartę kredytową. Jeden klient zapłacił tą samą kartą American Express za skrzynkę Pétrusa i jaguara.

Ktoś inny złożył zamówienie na skrzynkę wina Batard-Montrachet i skrzynkę zielonych ostryg z Gironde.

Clarice zawiadomiła lokalne biura FBI, żeby zbadały każdą z możliwości.

Starling i Eric Pickford pracowali na różne zmiany, tak żeby w biurze ktoś był w godzinach otwarcia sklepów.

Pickford już czwarty dzień pracował przy sprawie Lectera. Większą część czasu spędził na wpisywaniu numerów do pamięci nowego telefonu. Nie oznaczył jednak przycisków.

Kiedy wyszedł na kawę, Starling nacisnęła pierwszy guzik na jego telefonie. Po drugiej stronie usłyszała głos samego Paula Krendlera.

Przerwała połączenie i przez chwilę siedziała nieruchomo. Czas do domu. Zaczęła powoli obracać się na krześle. Przyglądała się wszystkim przedmiotom zgromadzonym w DOMU HANNIBALA. Zdjęcia rentgenowskie, książki, zastawa stołowa dla jednej osoby. Przeszła przez zasłony dzielące dwa pomieszczenia.

Biuro Crawforda było otwarte i puste. W rogu na wieszaku wisiał sweter, który zrobiła na drutach jego zmarła żona. Starling wyciągnęła rękę, ale nie dotknęła swetra. Zarzuciła kurtkę na ramię i rozpoczęła długi spacer do samochodu.

Już nigdy nie zobaczy Quantico.

## ROZDZIAŁ 70

Wieczorem siedemnastego grudnia w mieszkaniu Clarice Starling zadzwieczał dzwonek. Za zaparkowanym na podjeździe mustangiem dostrzegła radiowóz.

Okazało się, że to Bobby, policjant, który odwiózł ją ze szpitala do domu po incydencie z Eveldą Drumgo.

- Cześć, Starling.

- Cześć, Bobby. Wejdz.

- Chciałbym, ale najpierw obowiązek. Mam dla ciebie wezwanie.

- No i co z tego, do diabła. Dasz mi je w domu, tam jest cieplej - powiedziała Starling. Poczwała, że ciało jej drętwieje.

Bobby przyniósł nakaz od inspektora generalnego Departamentu Sprawiedliwości. Musiała stawić się na przesłuchanie nazajutrz, osiemnastego grudnia, o godzinie dziewiątej rano w budynku imienia J. Edgara Hoovera.

- Podwieźć cię jutro? - zapytał policjant. Pokręciła głową.

- Dzięki, Booby, wezmę swój samochód. Chcesz kawy?

- Nie, dziękuję. Przykro mi, Starling. - Najwyraźniej chciał już sobie pójść. Zapadło niezręczne milczenie. - Ucho wygląda nieźle - stwierdził na koniec.

Pomachała mu, kiedy wycofywał samochód z podjazdu.

Kazano jej się po prostu stawić. Nie podano żadnego powodu.

Ardelia Mapp, weteranka biurowych wojen i cierń w boku koterii męskich szowinistów, natychmiast zaparzyła najmocniejszą herbatkę ziołową swojej babki, znaną z dobroczynnego wpływu na sprawność umysłu. Starling nie cierpiała tego naparu, ale nie mogła się wymigać.

Mapp popukała palcem w list.

- Inspektor generalny nie musi ci nic wyjaśniać - oznajmiła między łykami ziółek. - Gdyby nasz Urząd do spraw Odpowiedzialności Zawodowej miał jakieś zarzuty przeciw tobie albo UOZ z Departamentu Sprawiedliwości, dostałabyś zarzuty na piśmie. Gdyby była to sprawa kryminalna, miałabyś prawnika, pełną jasność co do oskarżeń, wszystko, co przysługuje każdemu przestępcy, mam rację?

- Jak cholera.

- A tutaj nic z góry nie wiadomo. Inspektor generalny jest polityczny, może przejąć każdą sprawę.

-Przejął moją.

- Tyle że nasrał ci Krendler. Tak czy inaczej, jeśli uznasz, że jesteś dyskryminowana, mam wszystkie potrzebne telefony i kontakty. A teraz posłuchaj uważnie, Starling. Musisz im powiedzieć, że chcesz nagrywać. Inspektor generalny nie używa podpisanych zeznań. Lonnie Gains wpadła przez to w niezłe tarapaty. Zeznania, które przechowują, czasem zmieniają treść. Nigdy nie dostajesz kopii.

Starling zadzwoniła do Jacka Crawforda. Telefon najwyraźniej wyrwał go ze snu.

- Nie wiem, co jest grane, Starling - powiedział zaspanym głosem. - Spróbuję się zorientować. Jednego możesz być pewna, jutro przyjdę.

## ROZDZIAŁ 71

Jest rano, opancerzona betonowa bryła Hoover Building strzela w zachmurzone, mleczone niebo.

Ze względu na częste zamachy bombowe główne wejście i dziedziniec są zazwyczaj zamknięte, a budynek jest otoczony starymi pojazdami FBI, które tworzą prowizoryczną barierę.

Policjanci z drogówki bezmyślnie codziennie wypisują mandaty, których pliki piętrzą się pod wycieraczkami tych samochodów i sfruwają z wiatrem na ulicę.

Jakiś włóczęga ogrzewający się przy studziencie kanalizacyjnej na chodniku zawołał Starling i podniósł rękę, gdy go mijala. Twarz miał z jednej strony pomarańczową od betadyny. Pewnie niedawno wyszedł ze szpitala. Wyciągnął zniszczony styropianowy kubek. Starling zanurzyła rękę w torebce. Wyjęła dwa dolary i dała je włóczędze, pochylając się w stronę stęchłego powietrza i pary.

- Niech cię Bóg prowadzi - podziękował.

- Oj tak - odparła Starling. - Bardzo tego potrzebuję. Zamówiła dużą kawę w „Au Bon Pain” na Dziesiątej ulicy przy Hoover Building: robiła to tyle razy przez te wszystkie lata. Potrzebowała kawy po

niespokojnym śnie, ale bała się, że podczas przesłuchania zachce jej się. siusiu. Postanowiła wypić pół kubka.

Przez okno zauważyła Crawforda. Dogoniła go na chodniku.

- Chce pan połowę kawy, panie Crawford? Wezmę drugi kubek.

- Bezkofeinowa?

- Nie.

- To dziękuję. Serce mi wyskoczy. - Wyglądał staro i szaro. Z koniuszka nosa zwisała mu przezroczysta kropla. Odsunęli się od strumienia przechodniów, który wpływał do bocznego wejścia siedziby FBI.

- Nie wiem, co to za przesłuchanie, Starling. Nie wezwano żadnego innego uczestnika incydentu na targu rybnym. Będę ci towarzyszył. - Starling podała mu chusteczkę i wtopili się w tłum pracowników dziennej zmiany.

Zauważyła, że wszyscy wyglądają dziś szczególnie elegancko.

- Dziewiętnaste urodziny FBI. Przyjeżdża Bush - przypomniał jej Crawford

Na bocznej ulicy czekały cztery telewizyjne wozy transmisyjne.

Ekipa WFUL-TV ustawiła się z kamerą na chodniku. Filmowali młodego,



krótko ostrzyżonego mężczyznę, który mówił coś do ręcznego mikrofonu.

Usadowiony na dachu furgonetki asystent dostrzegł Starling i Crawforda.

- To ona, w granatowym płaszczu! - zawołał,

- Zaczynamy - powiedział mężczyzna z mikrofonem. - Kręcimy. Ekipa ruszyła pod prąd, żeby zdobyć ujęcie twarzy Starling.

- Agentko Starling, prosimy o komentarz na temat śledztwa w sprawie masakry, w której zginęła EVELDA DRUMGO. Raport jest już gotowy? Czy oskarżono panią o spowodowanie śmierci pięciu... - Crawford zdjął kapelusz. Udając, że chroni oczy przed reflektorami, zdołał na chwilę zasłonić obiektyw kamery. Ekipę telewizyjną zatrzymała dopiero ochrona w drzwiach.

Ktoś uprzedził te hieny.

Kiedy już przeszli przez kontrolę, przystanęli w holu. Lekka mgła pokryła Starling i Crawforda maleńkimi kropelkami. Crawford połknął na sucho tabletkę.

- Starling, pewnie wybrali dzisiejszy dzień ze względu na zamieszanie z *impeachmentem* i rocznicą. Wiedzą, że cokolwiek zrobią, rozplynie się w bałaganie.

- Po co więc sprowadzili dziennikarzy?

- Bo nie wszyscy z tego grona śpiewają tę samą piosenkę. Masz dziesięć minut, chcesz przypudrować nos?

## Rozdział 72

Starling rzadko bywała na siódmej, kierowniczej kondygnacji Hoover Building. Zabrano ją tam razem z pozostałymi członkami grupy siedem lat temu po promocji. Mieli obojętność, jak dyrektor składa gratulacje najlepszej studentce, Ardellii Mapp. A raz wicedyrektor wezwał Starling, żeby odebrała mistrzowski medal z zawodów strzeleckich.

Dywan w gabinecie wicedyrektora był grubszy, niż pamiętała. W klubowej atmosferze, wśród skórzanych foteli roznosił się intensywny zapach papierosów. Starling miała wątpliwości, czy przed jej przyjściem wyrzucili niedopałki i przewietrzyli pokój.

Kiedy weszła do pokoju razem z Crawfordem, trzy osoby wstały, jedna nie ruszyła się z miejsca. Podniósł się dawny szef Starling, Clint Pearsall z waszyngtońskiego biura terenowego w Buzzard's Point, wicedyrektor Noonan z FBI i wysoki rudy mężczyzna w garniturze z surowego jedwabiu. Na miejscu pozostał Paul Krendler z biura inspektora generalnego. Odwrócił głowę na długiej szyi, jak gdyby węchem lokalizował agentkę. Kiedy zwrócił twarz w jej stronę, mogła podziwiać jego okrągłe uszy z obu stron głowy jednocześnie. W kącie pokoju stał nie znany jej funkcjonariusz policji federalnej. Dziwne.

Pracownicy FBI i Departamentu Sprawiedliwości zwykle prezentują się schludnie, ale

zebrani mężczyźni specjalnie wystroili się dla telewizji. Starling zdała sobie sprawę, że później pewnie wezmą udział w uroczystościach na dole, uświetnionych obecnością byłego prezydenta Busha. W przeciwnym razie zostałyby wezwane do Departamentu Sprawiedliwości, a nie do Hoover Building.

Krendler skrzywił się na widok Jacka Crawforda u boku Starling.

- Panie Crawford, nie sądzę, że powinien pan brać udział w przesłuchaniu.

- Jako bezpośredni przełożony agentki specjalnej Starling mam prawo być tutaj.

- Jestem innego zdania - odparł Krendler i zwrócił się do Noonana: - Oficjalnie jej szefem pozostaje Clint Pearsall. Do Crawforda została przydzielona tymczasowo. Myślę, że agentkę Starling należy przesłuchać indywidualnie - oświadczył. - Na wypadek gdybyśmy potrzebowali dodatkowych informacji, szef sekcji, pan Crawford, może poczekać, aż go ewentualnie wezwiemy.

Noonan kiwnął głową.

- Naturalnie twoja opinia, Jack, jest dla nas cenna. Najpierw jednak chcielibyśmy wysłuchać niezależnego zeznania agentki specjalnej Starling. Proszę więc, zjedź do czytelnicy. Zobaczymy się później.

Crawford podniósł się z miejsca.

- Dyrektorze Noonan, czy mogę...

- Może pan tylko wyjść - przerwał mu Krendler. Noonan wstał.

- Zaraz, zaraz, panie Krendler. Na razie ja prowadzę spotkanie. Jack, znamy się tak długo. Ten pan z Departamentu Sprawiedliwości zajmuje swoje stanowisko od niedawna i nie rozumie pewnych rzeczy. Damy ci się

wypowiedzieć, ale teraz zostaw nas samych i pozwól, żeby Starling mówiła za siebie - poprosił. Pochylił się do Krendlera i szepnął mu coś na ucho. Twarz zastępcy inspektora generalnego poczerwieniała. Crawford spojrział na Starling. Nie mógł nic wskórać.

- Dziękuję, że przyszedł pan ze mną - powiedziała.

Funkcjonariusz wyprowadził Crawforda z pokoju.

Drzwi zamknęły się głośno. Starling wyprostowała się i samotnie stawiała czoło zebrany.

Od tej pory przesłuchanie ciągnęło się jak amputacja w osiemnastym wieku.

Noonan był najwyżej postawionym przedstawicielem FBI, lecz podlegał inspektorowi generalnemu, który najwyraźniej przysłał Krendlera jako swojego pełnomocnika.

Noonan wziął do ręki leżącą przed nim teczkę.

- Proszę podać do protokołu imię i nazwisko.

- Agentka specjalna Clarice Starling. Przesłuchanie jest protokołowane, dyrektorze Noonan? Cieszyłabym się, gdyby tak było. Nie odpowiedział, więc mówiła dalej:

- Czy nie mają panowie nic przeciwko temu, żebym nagrywała? - Wyjęła z torebki mały magnetofon.

- Tego typu przesłuchanie wstępne zwykle odbywa się w biurze inspektora generalnego w Departamencie Sprawiedliwości - odezwał się Krendler. - Spotykamy się tutaj, ponieważ tak jest wszystkim wygodnie ze względu na dzisiejszą ceremonię. Obowiązują nas jednak przepisy Departamentu Sprawiedliwości. Sprawa ma pewien wydźwięk dyplomatyczny. Żadnych nagrań.

- Proszę wymienić zarzuty, panie Krendler - poprosił Noonan.

- Agentko Starling, została pani oskarżona o bezprawne ujawnienie poufnych informacji zbiegłemu przestępcy - wyrecytował z kamienną twarzą Krendler. - Konkretnie zarzuca się pani zamieszczenie ogłoszenia w dwóch włoskich gazetach. Tekst ostrzegł poszukiwanego Hannibala Lectera, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Funkcjonariusz podał Starling kartkę z rozmazanym drukiem z „La Nazione”. Przyniosła ją do okna, żeby przeczytać zakreślony fragment:

„A.A. Aaron - Oddaj się w ręce miejscowej policji. Wrogowie są blisko. Hannah”.

- Co ma pani do powiedzenia?

- Nigdy tego nie widziałam.

- A jak wytłumaczy pani fakt, że w ogłoszeniu użyto hasła „Hannah” znanego tylko Hannibalowi Lecterowi i FBI?

- Nie wiem. Kto to znalazł?

- Pracownicy archiwum w Langley przypadkiem natknęli się na ogłoszenie. Tłumaczyli z „LaNazione” materiały dotyczące doktora Lectera.

- Skoro hasło jest tajemnicą strzeżoną przez FBI, jakim cudem archiwum w Langley zwróciło na nie uwagę? Archiwum podlega CIA. Zapytajmy, kto kazał im zainteresować się ogłoszeniem.

- Jestem pewien, że tłumacz znał sprawę.

- Aż tak dobrze? Wątpię. Ponawiam prośbę: zapytajmy, z czyjego polecenia zainteresował się ogłoszeniem. Skąd miałam wiedzieć, że doktor Lecter przebywa we Florencji?

- To pani odkryła, że jakiś człowiek z florenckiej komendy policji zaglądał do pliku Lectera w bazie danych VICAP - odparł Krendler. - Dobrał się do informacji na kilka dni przed śmiercią Pazziego. Nie wiemy, kiedy pani się zorientowała. Niby po co ktoś z Florencji

pytałby o Lectera?

- Jaki miałabym powód, żeby go ostrzegać? Dyrektorze Noonan, dlaczego sprawą zajmuje się inspektor generalny? Jestem gotowa w każdej chwili poddać się testowi wariograficznemu.

- Włosi wnieśli protest drogą dyplomatyczną w sprawie próby ostrzeżenia znanego przestępcy w ich kraju - odparł Noonan. Wskazał na rudego mężczyznę. - To pan Montenegro z ambasady włoskiej.

- Dzień dobry panu. A Włosi, jak się dowiedzieli? - spytała Starling. -Przecież nie od CIA.

- Włosi oczekują od nas natychmiastowych działań - wtrącił Krendler, zanim Montenegro zdążył otworzyć usta. - Chcę wyjaśnić sprawę, aby zadośćuczynić włoskim władzom, sobie i inspektorowi generalnemu. I to bezzwłocznie. Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli razem przyjrzymy się faktom. Jakie stosunki łączą panią i doktora Lectera, agentko Starling?

- Przesłuchiwałam doktora Lectera kilka razy z polecenia szefa sekcji, Crawforda. Od ucieczki Lectera, w ciągu siedmiu lat otrzymałam od niego dwa listy. Macie obydwie powiedziała Starling.

- Właściwie mamy coś jeszcze - oznajmił Krendler. - Dostaliśmy to wczoraj. - Sięgnął za siebie i wyciągnął dość sfatygowaną tekturową paczkę z dużą ilością stempli pocztowych.

Krendler udał, że napawa się dochodzącymi ze środka zapachami. Wskazał palcem na nalepkę z adresem. Nawet nie raczył pokazać jej Starling.

- Przesyłkę nadano do pani domu w Arlington, agentko specjalna Starling. Panie Montenegro, mógłby nam pan powiedzieć, co to za artykuły?

Włoski dyplomata przez chwilę grzebał w zapakowanych w bibułę podarunkach, pobłyskując spinkami do mankietów.

- Mamy tutaj toniki, *sapone di mandorle*, słynne mydło migdałowe z „Farmacia di Santa Maria Novella” we Florencji i perfumy. Takie prezenty dają sobie zakochani.

- Zostały przebadane pod kątem toksyn i środków drażniących. Zgadza się, Clint? - Noonan zwrócił się do byłego przełożonego Starling. Pearsall wydawał się zawstydzony.

- Tak - odpowiedział. - Są w porządku.

- Podarunki zakochanych. - Krendler wypowiedział te słowa z pewną satysfakcją. -A oto romantyczny liścik. - Wydobył z paczki pergamin i podniósł go do góry, ukazując gazetowe zdjęcie twarzy Starling w uskrzydłonej postaci lwicy. Odwrócił kartkę, żeby odczytać wiadomość od doktora Lectera skreśloną jego kaligraficznym pismem: „Czy

zastanawiałaś się kiedyś, Clarice, dlaczego Filistyni cienie rozumieją? Ponieważ jesteś odpowiedzią na zagadkę Samsona: jesteś miodem w ciele lwa”.

- *Il miele dentro la leonessa*. Niezłe - skomentował Montenegro. Zapisał sentencję Lectera w pamięci, żeby ją później wykorzystać.

- Naprawdę? - zdziwił się Krendler.

Włoch machnął ręką. Zrozumiał, że zastępca inspektora generalnego nigdy nie usłyszy muzyki w metaforze doktora Lectera ani nie dostrzeże jej wyraźnych korzeni.

- Inspektor generalny chce podjąć odpowiednie kroki z uwagi na komplikacje międzynarodowe - powiedział Krendler. - Czy będą to sankcje karne, czy administracyjne, wszystko zależy od wyników trwającego dochodzenia. Jeśli karne, sprawa trafi do Sekcji do spraw Etyki Departamentu Sprawiedliwości. Potem SE prześle ją do sądu. Zostanie pani poinformowana odpowiednio wcześniej, żeby mieć czas na przygotowanie się do obrony. Dyrektorze Noonan...

Noonan zrobił głęboki wdech i zadał cios toporem.

- Clarice Starling, zostaje pani wysłana na urlop do czasu rozstrzygnięcia sprawy. Odda pani broń i odznakę FBI. Od tej pory ma pani wstęp tylko do budynków federalnych użyteczności publicznej. Zostanie pani wyprowadzona z tego gmachu pod eskortą. Proszę oddać broń i identyfikator agentowi specjalnemu Pearsallowi. Natychmiast.

Starling podeszła do stołu. Przez sekundę widziała uczestników przesłuchania jako kręgle na zawodach strzeleckich. Mogłaby zabić wszystkich czterech, zanim którykolwiek zdążyłby wystrzelić. Sekunda minęła. Wyjęła czterdziestkę piątkę. Spokojnie patrzyła na Krendlera, wysuwając magazynek, kładąc go na stole i wyrzucając nabój z komory. Krendler złapał nabój w powietrzu i zacisnął pięść, aż zbieleły mu kostki.

Clarice rozstała się z odznaką i identyfikatorem.

- Ma pani pistolet zapasowy? - zapytał Krendler. - A karabin?

- Starling? - ponaglił ją Noonan.

- Zostały w samochodzie.

- Inny sprzęt taktyczny?

- Kask i kamizelka.

- Panie Marshal, proszę odebrać te rzeczy, gdy odprowadzi pan Clarice Starling do samochodu - polecił Krendler. - Ma pani służbowy telefon komórkowy?

-Tak.

Krendler podniósł brwi i odwrócił się do Noonana.

- Proszę oddać - zażądał dyrektor.

- Chciałabym coś powiedzieć. Chyba mam prawo? Noonan zerknął na zegarek.

- Proszę bardzo.

- To podstęp. Sądzę, że Mason Verger próbuje sam schwytać doktora Lectera, żeby osobiście się na nim zemścić. Podejrzewam, że nie udało mu się we Florencji. Pan Krendler prawdopodobnie jest w zмовie z Vergerem i przekazuje mu wyniki pracy FBI. Myślę, że Paul Krendler z Departamentu Sprawiedliwości robi to dla pieniędzy i dla nich jest skłonny mnie zniszczyć. Pan Krendler już wcześniej zachowywał się wobec mnie niewłaściwie. Teraz kieruje się niechęcią do mnie i chciwością. Nie dalej jak w rym tygodniu nazwał mnie „czerstwą wiejską dziewczyną”. Jestem gotowa zakwestionować zarzuty pana Krendlera i w obecności tego zgromadzenia poddać się badaniu prawdomówności na wykrywaczu kłamstw. Oddaję się do panów dyspozycji. Możemy to zrobić już teraz.

- Dobrze, że dzisiaj nie zeznaje pani pod przysięgą... - zaczął Krendler.

- Mogę złożyć przysięgę. Ale i niech pan to zrobi.

- Zapewniam, że jeśli dowody okażą się niewystarczające, zostanie pani bezzwłocznie przyjęta z powrotem bez żadnych konsekwencji - obiecał Krendler najłagodniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. - Tymczasem nadal przysługuje pani pensja oraz prawo do ubezpieczenia i opieki lekarskiej. Urlop nie ma charakteru karnego. Proszę jak najlepiej go wykorzystać. - Krendler przyjął konfidencjonalny ton. - Gdyby zechciała pani w tym czasie usunąć ten piasek z policzka, jestem przekonany, że...

- To nie piasek - przerwała mu Starling. - Tylko proch. Ale nic dziwnego, że pan nie wie.

Funkcjonariusz już czekał na Clarice.

- Przykro mi, Starling - powiedział Clint Pearsall. W obu rękach trzymał jej rzeczy.

Spojrzała na niego, i odwróciła wzrok. Paul Krendler przysunął się do agentki. Pozostali czekali, aż dyplomata opuści pokój jako pierwszy. Krendler zaczął recytować przez zaciśnięte zęby tekst, który sobie wcześniej przygotował.

- Starling, za stara jesteś, żeby ciągle...

- Pan wybaczy. - Wysoki Włoch zawrócił spod drzwi i podszedł do Starling. - Pan wybaczy - powtórzył, wbijając wzrok w twarz Krendlera, aż ten odszedł z kwaśną miną.

- Przykro mi, że pani się to przytrafiło - powiedział Montenegro. - Mam nadzieję, że jest pani niewinna. Obiecuję, że będę naciskać policję we Florencji, żeby dowiedziała się, w jaki sposób zapłacono za ogłoszenie. Jeśli dojdzie pani do wniosku, że mogę coś dla pani zrobić we Włoszech, proszę mi powiedzieć.

Uczynię wszystko, co w mojej mocy. - Montenegro wręczył Clarice wizytówkę: małą,

szttywną, drukowaną wypukłymi literami. Kiedy wychodził, udał, że nie zauważa wyciągniętej dłoni Krendlera.

Reporterzy wpuszczeni przez główne wejście na zbliżającą się ceremonię rocznicową, kłębili się na dziedzińcu. Kilku z nich chyba wiedziało, kogo mają wypatrywać.

- Musi pan trzymać mnie za łokieć? - zapytała Starling funkcjonariusza.

- Nie, proszę pani, nie muszę - odpowiedział, torując jej drogę przez gąszcz mikrofonów.

Dziennikarz z WFUL-TV najwyraźniej znał całą historię. Zarzucił Starling pytaniami.

- Czy to prawda, że została pani odsunięta od sprawy Hannibala Lectera? Czy oczekuje pani sankcji karnych? Co ma pani do powiedzenia na temat włoskich zarzutów?

W garażu Starling oddała kamizelkę kuloodporną, kask, karabin i zapasowy pistolet. Funkcjonariusz czekał, aż rozładuje i wytrze broń tłustą ściereczką.

- Widziałem, jak pani strzelała na zawodach w Quantico, agentko Starling - powiedział. - Sam dotarłem do ćwierćfinałów. Wyczyszczę pani colta, zanim pójdzie do magazynu.

- Dziękuję.

Nie odchodził, kiedy usiadła za kierownicą. Mówił coś, ale jego słowa zagłuszał warkot pracującego silnika. Opuściła szybę.

- Jest mi bardzo przykro, że panią to spotkało powtórzył.

- Dziękuję panu.

Przy wyjeździe z garażu czekał na nią samochód reporterski. Starling przyspieszyła, żeby go zgubić. Trzy przecznice od Hoover Building dostała mandat za szybką jazdę. Kiedy policjant wypisywał druczek, fotoreporterzy pstrykali zdjęcia.

Wicedyrektor Noonan siedział przy biurku po zakończonym przesłuchaniu. Zdjął okulary i masował nos.

Nie przejmował się specjalnie zwolnieniem Starling. Uważał, że kobiece emocje często kłóć się z charakterem pracy w FBI. Ale zrobiło mu się przykro, gdy przypomniał sobie, jak potraktowano Crawforda. Jack był przecież „swoim chłopakiem”. Może miał słabość do tej całej Starling, ale nic dziwnego: przecież jego żona od dawna nie żyje. Noonan kiedyś przez tydzień nie mógł oderwać oczu od pewnej atrakcyjnej stenotypistki. Musiał się jej pozbyć, zanim narobiła kłopotów.

Załżył okulary i zjechał windą do biblioteki. Znalazł Crawforda w czytelnii. Jack siedział w fotelu z głową opartą o ścianę. Noonan pomyślał, że stary znajomy zasnął. Jego twarz była szara i spocona. Crawford otworzył oczy i zrobił gwałtowny wdech.

- Jack? - Noonan poklepał go po ramieniu, dotknął jego wilgotnej twarzy i krzyknął na całą bibliotekę. - Wezwać pogotowie!

Crawford trafił do szpitala FBI, a potem na kardiologiczny oddział intensywnej terapii w szpitalu imienia Jeffersona.



## ROZDZIAŁ 73

Krendler nie mógł sobie wymarzyć lepszego audytorium. Dziewiętnaste urodziny FBI połączono ze zorganizowanym dla dziennikarzy obchodem po nowym centrum kryzysowym w Hoover Building. Sieci telewizyjne w pełni wykorzystały niecodzienną okazję: stacja C-SPAN w programie na żywo nadawała w całości wypowiedzi byłego prezydenta Busha i dyrektora FBI. CNN transmitowała niektóre przemówienia. Inne sieci zdobywały materiał do wieczornych wiadomości. Kiedy dygnitarze zeszli rzędem z podium, Krendler miał swoje pięć minut. Młody dziennikarz z WFUL-TV, stojący blisko podium, zadał pierwsze pytanie.

- Panie Krendler, czy to prawda, że agentka specjalna Clarice Starling została odsunięta od śledztwa w sprawie Hannibala Lectera?

- Uważam, że wszelkie komentarze na ten temat byłyby przedwczesne i krzywdzące dla agentki Starling. Powiem tylko, że biuro inspektora generalnego zajmuje się sprawą Lectera. Na razie nie wniesiono przeciw nikomu żadnych oskarżeń.

Sieć CNN podchwyciła temat.

- Panie Krendler, dzienniki włoskie podają, że doktor Lecter prawdopodobnie otrzymał ostrzeżenie ze źródła policyjnego. Ktoś nakłonił go do ucieczki. Czy jest to powód zawieszenia agentki specjalnej Starling? Dlatego sprawą zajmuje się biuro inspektora generalnego, a nie Urząd do spraw Odpowiedzialności Zawodowej?

- Nie mogę komentować zagranicznych relacji prasowych, Jeff. Powiem tylko, że biuro inspektora generalnego bada zarzuty i zbiera dowody. Mamy zobowiązania wobec naszych funkcjonariuszy, tak jak wobec naszych przyjaciół za granicą - oznajmił Krendler, przeszywając powietrze palcem jak Kennedy. - Sprawa Hannibala Lectera znajduje się w dobrych rękach. Nie tylko w moich, ale i ekspertów ze wszystkich dziedzin z FBI i Departamentu Sprawiedliwości. Przygotowujemy właśnie projekt, który przedstawimy w odpowiednim czasie, gdy przyniesie owoce.

Niemiecki lobbysta, gospodarz Lectera, wyposażył dom w wielki telewizor Grundiga. Próbował jakoś dopasować nowoczesne urządzenie do wystroju wnętrza, więc ustawił na obudowie posążek Ledy z łabędziem.

Doktor Lecter po raz kolejny oglądał film *Krótką historią czasu* o wielkim astrofizyku Stephenie Hawkingu i jego dokonaniach. A to ulubiony fragment doktora - filiżanka spada ze stołu i roztrzaskuje się na podłodze.

Hawking, powykręcany w fotelu inwalidzkim, mówi swoim komputerowo generowanym głosem:

„Skąd się bierze różnica między przeszłością i przyszłością? Prawa fizyki nie odróżniają przeszłości od przyszłości. Ale w zwykłym życiu różnica między przeszłością i przyszłością jest ogromna.

Można zobaczyć filiżankę, która spada ze stołu i rozpada się na kawałki. Ale nigdy nie zobaczymy, jak jej kawałki na nowo się łączą i filiżanka wskakuje z powrotem na stół”.

Cofnięty na podglądzie film pokazuje filiżankę, która wraca w całości na stół. Hawking mówi dalej:

„Co odróżnia przeszłość od przyszłości, co nadaje kierunek czasowi, to wzrost chaosu lub entropii”.

Doktor Lecter bardzo podziwiał dokonania Hawkinga. W miarę możliwości śledził jego prace w pismach matematycznych. Wielki astrofizyk wierzył kiedyś, iż wszechświat zacznie się kurczyć, a wówczas dojdzie do odwrócenia entropii. Później oznajmił, że się mylił.

Lecter dość dobrze się orientował w zagadnieniach wyższej matematyki, lecz Stephen Hawking znajdował się na zupełnie innym poziomie niż reszta ludzkości. Lecter bardzo pragnął, żeby Hawking miał słuszość za pierwszym razem, żeby wszechświat przestał się rozszerzać, żeby entropia się cofnęła, żeby pożarta Misza znów była cała.

Czas. Doktor Lecter zatrzymał kasetę i włączył wiadomości.

Spis programów telewizyjnych związanych z FBI jest codziennie podawany na stronie FBI w Internecie. Doktor Lecter każdego dnia otwierał tę stronę, żeby się przekonać, czy w rankingu „Dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców” nadal używają jego starej fotografii. O urodzinach FBI dowiedział się dużo wcześniej. Siedział w wielkim fotelu, w szlafroku, z zawiązanym wokół szyi halsztukiem. Patrzył, jak Krendler kłamie. Obserwował zastępcę inspektora generalnego na w półprzymkniętych oczach. Tuż pod nosem trzymał kieliszek brandy i delikatnie mieszał jego zawartość. Nie widział tej bladej twarzy od czasu, gdy Krendler stał przy jego klatce w Memphis siedem lat temu, na krótko przed ucieczką.

W lokalnych wiadomościach z Waszyngtonu obejrzał, jak Starling dostaje mandat. Dziennikarze wpychali mikrofony do okna jej samochodu. Wiadomości telewizyjne podawały już, że agentka została „oskarżona o pogwałcenie zasad bezpieczeństwa” w sprawie Lectera.

Kasztanowe oczy doktora zaiskrzyły i otworzyły szeroko na widok Clarice. Długo po zniknięciu Starling z ekranu telewizora zachowywał w myślach jej doskonałe oblicze. Na wizerunek Starling nałożył wizerunek Miszy. Połączył dwa obrazy, aż z czerwonego plazmowego rdzenia tej fuzji buchnęły do góry iskry, niosąc pojedynczy wizerunek na wschód, w stronę nocnego nieba, do gwiazd.

Gdyby teraz wszechświat zaczął się kurczyć, a czas cofać i rozbite filiżanki znów wróciłyby do dawnej formy, musiałby przygotować na świecie miejsce na powrót Miszy. Najbardziej godnym miejscem znanym doktorowi Lecterowi było miejsce Starling. Misza mogła zastąpić Starling na ziemi. Gdyby do tego doszło, gdyby czas się cofnął, odejście Starling pozostawiłoby dla Miszy miejsce równie błyszczące i czyste niczym miedziana balia w ogrodzie.

## ROZDZIAŁ 74

Doktor Lecter zaparkował swego pikapa niedaleko szpitala Maryland-Misericordia i starannie wytarł monety, zanim wrzucił je do parkometru. Ubrany w watowany kombinezon i czapkę z długim daszkiem chroniącym przed kamerami ruszył do głównego wejścia.

Ostatni raz doktor Lecter był w Maryland-Misericordia ponad piętnaście lat temu, lecz podstawowy rozkład budynku pozostał taki sam. Powrót do miejsca, gdzie rozpoczął praktykę medyczną, nic dla niego nie znaczył. Na górze wprawdzie przeprowadzono renowację operacyjnej części szpitala, lecz generalnie prawie nic się nie zmieniło od czasu, gdy Lecter tu pracował.

Uzyskana w recepcji przepustka umożliwiła mu dostęp do sal zajmowanych przez pacjentów. Szedł korytarzem, czytając nazwiska na tabliczkach. Był to oddział pooperacyjny, na który trafiały osoby z oddziału intensywnej terapii po operacjach na sercu i mózgu.

Doktor Lecter czytał bardzo wolno - poruszał bezgłośnie ustami i od czasu do czasu drapał się głupkowato po głowie. Usiadł w poczekalni; stąd miał dobry widok na korytarz. Czekał półtorej godziny wśród starych kobiet opowiadających ze szczegółami o rodzinnych tragediach. Ku jego rozpaczy w telewizji nadawano kolejny odcinek teleturnieju *Jaka cena?*. W końcu się doczekał: zauważył mężczyznę w zielonym kitlu, samotnie prowadzącego obchód. Lekarz wszedł do sali, gdzie leżał pacjent... doktora Silvermana. Lecter wstał i znów podrapał się w głowę. Podniósł ze stolika wymiętoszoną gazetę i opuścił poczekalnię. Wślizgnął się do następnej sali, gdzie leżał pacjent Silvermana. Pokój pogrążony był w półmroku. Chory spał. Głowę i część twarzy miał obandażowaną. Na monitorze rytmicznie podskakiwała kropka światła.

Doktor Lecter szybko zdjął ocieplany kombinezon. Pod nim miał zielony kitel. Założył pokrowce na buty, czepek, maskę i rękawiczki. Wyjął z kieszeni biały worek na śmieci.

Doktor Silverman otworzył drzwi. Przez chwilę stał w progu, rozmawiając przez ramię z kimś na korytarzu. Czyżby towarzyszyła mu pielęgniarka? Nie.

Doktor Lecter podniósł pojemnik na śmieci i zaczął wsypywać jego zawartość do worka, odwrócony plecami do drzwi.

- Przepraszam, doktorze, już wychodzę - powiedział.

- Nic nie szkodzi - Silverman wziął do ręki kartę choroby pacjenta. - Proszę sobie nie przeszkadzać.

- Dziękuję - rzekł Lecter i uderzył doktora w podstawę czaszki skórzaną pałką.

Wystarczył tylko niewielki ruch nadgarstka. Nogi ugięły się pod Silvermanem. Lecter objął go na wysokości klatki piersiowej. Zawsze dziwi widok Lectera dźwigającego czyjeś ciało; doktor przypomina wówczas mrówkę, która przenosi rzeczy dużo większe od niej samej. Lecter przeniósł Silvermana do łazienki, ściągnął mu spodnie i posadził na muszli klozetowej.

Zajrzał chirurgowi do oczu i odpiął kilka identyfikatorów przyczepionych do bluzy.

Na ich miejsce wpiął do góry nogami swoją przepustkę. Wziął stetoskop Silvermana i owinał go sobie z fasonem wokół szyi jak boa. Na czubku głowy zatknął lekarskie szło powiększające. Skórzaną pałkę schował w rękawie.

Był gotów odbyć podróż do serca Maryland-Misericordia.

W szpitalu obowiązują rygorystyczne przepisy dotyczące wydawania anestetyków. Na oddziałach rekonwalescencyjnych szafki z lekarskami na wszystkich stanowiskach pielęgniarskich są zamknięte. Żeby się do nich dostać, potrzebne są dwa klucze: przechowują je pielęgniarka dyżurna i jej asystentka. Skrupulatnie prowadzony jest rejestr wydawanych leków.

W blokach operacyjnych, w części szpitala o najostrożniejszych rygorach bezpieczeństwa, leki przygotowywane są do kolejnej operacji na kilka minut przed sprowadzeniem pacjenta. Lekarstwa dla anestezjologa znajdują się przy stole operacyjnym w specjalnej szafce wyposażonej w chłodziwo.

Zapas medykamentów mieści się w oddzielnym magazynie niedaleko umywalni przy sali operacyjnej. Trzymane są tam specyfiki, niedostępne w magazynie ogólnym na dole: silne środki uspokajające i znieczulające, które pozwalają przeprowadzać operacje na otwartym sercu i mózgu przy utrzymaniu pacjenta w stanie pełnej świadomości.

W magazynie zawsze dyżurują farmaceuci. Gabloty nie są zamykane. Na bloku operacyjnym nie ma czasu, żeby szukać kluczy. Doktor Lecter z maską na twarzy przeszedł przez wahadłowe drzwi do bloku operacyjnego.

Ściany bloku pomalowano kilkoma jasnymi kolorami. Takie zestawienie miało dać efekt rozweselający, lecz w rzeczywistości melanż zirytowałby nawet umierającego. Kilku lekarzy przed doktorem Lecterem wpisało się, do rejestru i przeszło do umywalni. Doktor Lecter wziął długopis i poruszał nim, jakby się podpisywał, lecz nie zostawił na kartce żadnego śladu.

Z grafiku operacji wynikało, że w Bloku B za dwadzieścia minut rozpocznie się usuwanie guza mózgu, pierwsze tego dnia. W umywalni doktor Lecter ściągnął rękawiczki, schował je do kieszeni, dokładnie umył ręce, aż do łokci, osuszył i przypudrował dłonie zasypką, po czym z powrotem włożył rękawiczki. Wyszedł na korytarz. Magazyn powinien

znajdować się za drugimi drzwiami po prawej. Nie. Na pomalowanych na morelowo drzwiach widniał napis PRĄDNICE AWARYJNE, a dalej podwójne drzwi prowadziły do Bloku B. Zatrzymała się przy nim pielęgniarka.

- Dzień dobry, doktorze.

Lecter zakasłał i zza maski wybełkotał pozdrowienie. Zawrócił do umywalni. Mamrotał coś pod nosem, jakby o czymś zapomniał. Pielęgniarka popatrzyła za nim przez chwilę i poszła dalej do sali operacyjnej. Lecter ściągnął rękawiczki i cisnął je do kosza. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wziął następną parę. Ciałem znajdował się w umywalni, lecz duchem pędził przez *foyer* pałacu pamięci. Minał popiersie Pliniusza i pomknął po schodach do Holu Architektury. W dobrze oświetlonej sali, nad którą górował model katedry Świętego Pawła projektu Christophera Wrena, na stole kreślarskim czekały na niego szkice. Dokładne, szczegółowe plany bloków operacyjnych szpitala Maryland-Misericordia z Departamentu Budownictwa. On jest tu, magazyn tam. Nie. Do planów wkradł się jakiś błąd. Zapewne coś zmieniono po przedstawieniu projektu w Departamencie Budownictwa. Prądnice na planie znajdowały się po drugiej stronie w zwierciadlanym odbiciu na korytarzu do Bloku A. Być może zmieniono oznakowanie. Na pewno. Nie mógł sobie pozwolić na myszkowanie po szpitalu.

Wyszedł z umywalni i ruszył korytarzem do Bloku A. Drzwi na lewo. Napis MRI. Dalej. Następne drzwi, jest magazyn. Na planie podzielono jedno pomieszczenie na laboratorium obrazowania metodą rezonansu magnetycznego i magazyn z lekami.

Ciężkie drzwi do magazynu były uchylone, zablokowane klinem. Doktor Lecter wpadł do środka i zatrzasnął je za sobą. Przy gablocie kuczał pękaty mężczyzna. Ustawiał coś na dolnej półce.

- Mogę w czymś pomóc, doktorze?

- Bardzo proszę.

Młody farmaceuta nie zdążył wstać. Głuchy odgłos ciosu pałką i chłopak zwinął się na podłodze, wypuszczając gazy.

Doktor Lecter podwinał poły swojego kitla i wetknął je za ogrodniczy fartuch, który miał pod spodem.

Szybko ogarnął wzrokiem półki. Czytał etykiety z prędkością światła -Ambien, amobarbital, Amytal, wodzian chloralowy, Dalmane, flurazepam, Halcion - i zgarniał buteleczki do kieszeni. Otworzył lodówkę, znów czytał i zgarniał - midazolam, Noctec, skopolamina, Pentothal, quazepam, solzidem. Po niespełna czterdziestu sekundach zatrzasnął za sobą drzwi i znalazł się z powrotem na korytarzu.

Przeszedł przez umywalnię i sprawdził w lustrze, czy nie widać na fartuchu żadnych wypukłości. Niespiesznie minął wahadłowe drzwi z celowo przekrzywionym do góry nogami identyfikatorem, maską na twarzy, okularami na nosie i podniesionym szkłem powiększającym. Burkliwie wymienił pozdrowienia z innymi lekarzami. Puls siedemdziesiąt dwa. Jechał windą w dół, coraz niżej i niżej, z maską na twarzy, wpatrując się w przypadkowo wybraną kartę choroby.

Odwiedzający mogli uznać za dziwne, że chodzi po korytarzach w masce. Zdjął ją dopiero na schodach, gdy znalazł się poza zasięgiem kamer. Włóczędzy na ulicy pewnie się zastanawiali, czemu lekarz jeździ takim starym gruchotem.

W szpitalu anestezjolog znalazł nieprzytomnego farmaceutę. Dopiero po kolejnych piętnastu minutach zorientowano się, że skradziono lekarstwa.

Kiedy doktor Silverman odzyskał przytomność, odkrył, że leży przy muszli klozetowej z opuszczonymi spodniami. Nie pamiętał, żeby wchodził do toalety. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie doznał niegroźnego udaru wywołanego wysiłkiem podczas załatwiania się. Bardzo ostrożnie, żeby nie poruszyć skrzepu, podczołgał się do drzwi i wystawił rękę na korytarz. Badanie wykazało lekki wstrząs mózgu.

Przed powrotem do domu doktor Lecter odwiedził jeszcze dwa miejsca. Zatrzymał się na poczcie na przedmieściach Baltimore. Odebrał zamówioną przez Internet paczkę od dostawcy artykułów pogrzebowych. W środku był smoking z wszytą koszulą i krawatem, rozcięty z tyłu na całej długości.

Teraz potrzebował tylko wina, jakiegoś naprawdę wyjątkowego. Dlatego musiał pojechać do Annapolis. Byłoby miło odbyć tę podróż jaguarem.

## ROZDZIAŁ 75

Krendler założył już ciepły strój do joggingu, musiał więc rozpiąć bluzę, żeby się nie zgrzać, kiedy Eric Pickford zadzwonił do jego domu w Georgetown.

- Eric, zjedź do kawiarni i zadzwoń do mnie z publicznego telefonu.

- Co takiego, panie Krendler?

- Rób, co każe.

Krendler ściągnął opaskę i rękawiczki. Rzucił je na fortepian w salonie. Jednym palcem wystukiwał melodię, gdy telefon zadzwonił ponownie.

- Starling była agentką techniczną, Eric. Nie wiadomo, w co wyposażyla te telefony. Nie możemy dopuścić do przecieku w tak ważnej sprawie.

- Oczywiście, panie Krendler. Dzwoniła Starling. Chce zabrać swoją roślinę i resztę rzeczy... tego głupiego szklanego ptaka, który pije ze szklanki. Ale pomogła mi też dokonać pewnego odkrycia. Kazała porównać kody pocztowe prenumeratorów podejrzanych magazynów. Powiedziała, że doktor Lecter może korzystać z kilku skrytek pocztowych, które usytuowane są dość blisko siebie.

-I?

- Mam coś. „Journal of Neurophysiology” zostanie wysłany do jednej skrzynki, a „Physica Scripta” i „Ikarus” do drugiej. Skrzynki oddalone są od siebie o jakieś piętnaście kilometrów. Prenumeraty zrobiono na różne nazwiska i opłacono przekazami pieniężnymi.

- Co to jest „Ikarus”?

- Międzynarodowe pismo poświęcone układowi słonecznemu. Zamawiał je regularnie dwadzieścia lat temu. Skrzynki znajdują się w Baltimore. Pisma są dostarczane zwykle koło dziesiątego każdego miesiąca. A minutę temu dowiedziałem się jeszcze jednego. Sprzedano butelkę Château, jak to tam, Yuckum?

- Tak, wymawia się „iii-kim”. No i co?

- W ekskluzywnym sklepie winiarskim w Annapolis. Wprowadziłem zakup do komputera i został dopasowany do jednej z dat, które wpisała Starling. Program wskazał na datę urodzin Starling. W tym samym roku wyprodukowano wino. Podejrzany zapłacił za nie trzysta dwadzieścia pięć dolarów gotówką i...

- To było przed rozmową ze Starling?

- Tuż po, jakąś minutę temu...

- Więc nic nie wie.

- Nie, powinienem zadzwonić...



- Twierdzisz, że winiarz poinformował cię o sprzedaży jednej butelki?

- Tak, proszę pana. Starling zostawiła notatki: na Wschodnim Wybrzeżu są tylko trzy butelki tego wina. Każdą odnotowała. Naprawdę niezła robota.

- Kto był nabywcą, jak wyglądał?

- Mężczyzna, biały, średniego wzrostu, z brodą. Ciepło ubrany.

- Mają w sklepie kamerę?

- Tak, od razu o to zapytałem. Powiedziałem, że wyślemy kogoś po kasetę. Jeszcze tego nie zrobiłem. Sprzedawca nie przeczytał naszego komunikatu, ale zakup był tak niezwykły, że pracownik natychmiast zawiadomił właściciela sklepu. Właściciel wybiegł i w ostatniej chwili zobaczył podejrzanego. Według niego to nasz poszukiwany. Odjechał starym pikapem. Szary wóz z imadłem z tyłu. Jeśli to Lecter, sądzi pan, że będzie chciał dostarczyć Starling wino? Może powinniśmy ją ostrzec?

- Nie - odparł Krendler. - Proszę nic jej nie mówić.

- Mogę przesłać informację do pliku Lectera w bazie danych VICAP?

- Nie - powiedział Krendler. Usiłował szybko zebrać myśli. - Przyszła odpowiedź z włoskiej policji w sprawie komputera Lectera?

- Nie, proszę pana.

- Więc nie można aktualizować VICAP, póki nie jesteśmy pewni, czy nie korzysta z niego Lecter. Być może zdobył kod dostępu Pazziego. A może Starling czyta dane i w jakiś sposób przekazuje je Lecterowi, tak jak we Florencji.

- Aha, rozumiem. Biuro terenowe w Annapolis odbierze kasetę.

- Zostaw wszystko mnie.

Pickford podyktował adres sklepu winiarskiego.

- Zajmuj się nadal prenumeratami - poinstruował Krendler. - Możesz o nich powiedzieć Crawfordowi. Zorganizuje ludzi do obserwacji skrzynek po dziesiątym.

Krendler zadzwonił do Masona, po czym rozpoczął trening. Wybiegł z domu i ruszył truchtem w stronę parku Rock Creek.

W gęstniejącym mroku nie widać postaci, tylko białą opaskę Nike'a, białe buty Nike'a i białe pasy po obu stronach ciemnych dresów Nike'a.

Biegał przez pół godziny. Kiedy zbliżał się do polany niedaleko zoo, usłyszał warkot helikoptera. Dał nura pod obracające się śmigło i wskoczył na stopień. Start helikoptera podniecił Krendlera: miasto z oświetlonymi posągami zostało w dole. Śmigłowiec wynosił go na wyżyny, na które sobie zasłużył. Najpierw do Annapolis po kasetę, a później do Masona.

## ROZDZIAŁ 76

Cordell, nastawisz wreszcie ostrość na tym cholernym wideo? - Wypowiedziane głębokim radiowym głosem słowa „wreszcie” i „wideo” brzmiały bardziej jak „hreszcie” i „hideo”.

Krendler stał obok Masona w ciemnej części pokoju, żeby lepiej widzieć monitor. W pomieszczeniu było ciepło. Krendler zdjął bluzę i zawiązał rękawy wokół bioder, eksponując podkoszulek z Princeton. Opaska na głowie i buty odbijały światło akwarium.

Zdaniem Margot, miał sylwetkę kurczaka. Traktowali się bardzo lekceważąco.

Film ze sklepu winiarskiego nie pokazywał godziny, a klientów w okresie przedświątecznym nie brakowało. Cordell przewijał kasetę na podglądzie. Mason zabijał czas, popisując się grubiaństwem.

- Co powiedziałaś, kiedy wparowałaś do sklepu w dresach i pokazałaś im odznakę? Że startujesz w olimpiadzie dla niepełnosprawnych? - Odkąd Krendler inkasował jego чеки, Mason okazywał mu dużo mniej szacunku.

Ale Krendlera nie można było łatwo obrazić, jeśli w grę wchodziły jego osobiste korzyści.

- Wyjaśniłem im, że się maskuję. Kogo zatrudniście do obserwacji Starling?

- Powiedz mu, Margot. - Wydawało się, że Mason chce zachować oddech na dalsze zniewagi.

- Sprowadziliśmy naszych dwunastu ochroniarzy z Chicago. Są w Waszyngtonie. Trzy zespoły, przy czym w każdym jeden człowiek jest zastępcą szeryfa ze stanu Illinois. Jeśli w trakcie zgarniania doktora Lectera natkną się na policję, wyjaśnią, że rozpoznali przestępcę... i że to areszt obywatelski. Zespół, który schwyta Lectera, przekaze go Carlowi. Wrócą do Chicago i na tym skończy się ich udział.

Na ekranie nadal wyświetlano film.

- Chwileczkę... Cordell, cofnij o pół minuty - polecił Mason. - Popatrzcie.

Kamera sklepowa obejmowała swoim zasięgiem obszar od drzwi wejściowych do kasy.

Na niemym, rozmazanym obrazie pojawił się mężczyzna w czapce z długim daszkiem, ocieplonej kurtce i w jednopalczastych rękawicach. Miał bokobrody i okulary przeciwsłoneczne. Odwrócił się plecami do kamery i starannie zamknął za sobą drzwi.

Złożenie zamówienia zajęło kupującemu niewiele czasu. Potem klient i sprzedawca zniknęli między półkami.

Trzy minuty ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie z powrotem znaleźli się w polu widzenia kamery. Sprzedawca stał kurz z butelki, zapakował ją i włożył do torby. Klient ściągnął prawą rękawicę, żeby zapłacić. Gotówką. Usta sprzedawcy poruszyły się do słów „dziękuję panu”, wypowiedzianych do pleców klienta.

Kilka sekund przerwy i sprzedawca coś krzyknął. Kolejne kadry pokazały przysadzistego mężczyznę. Pojawił się i natychmiast wybiegł przez drzwi.

- To właściciel. Facet, który widział jego samochód - wyjaśnił Krendler.

- Cordell, zrób powiększenie głowy klienta.

- Sekundę, panie Verger. Obraz będzie zamazany.

- Nie szkodzi - mruknął Mason. - Nie zdjął lewej rękawicy - zauważył po chwili. - Może dałem się zrobić w konia z tym zdjęciem rentgenowskim, które kupilem.

- Pazzi twierdził, że Lecter usunął dodatkowy palec - przypomniał Krendler.

- Pazzi mógł sobie włożyć jego palec w dupę. Już sam nie wiem, komu wierzyć. Widziałeś Lectera, Margot. Jak myślisz, to on?

- Minęło osiemnaście lat - odparła Margot. - Miałam z nim tylko trzy sesje. Zawsze kiedy wchodziłam, stał za biurkiem i nie ruszał się stamtąd. W ogóle się nie ruszał. Najlepiej pamiętam jego głos.

- Panie Verger, przyszedł Carlo - poinformował Cordell.

Carlo śmierdział świniami i nie tylko. Wszedł do pokoju. Kapelusz przyciskał do piersi. Zapach zjełczalej kielbasy sprawił, że Krendler zaczął oddychać wyłącznie ustami. Sardyński porywacz schował w ustach przeżuwany świński ząb. W ten sposób okazał zebrany szacunek.

- Carlo, popatrz! Cordell, przewiń taśmę do momentu, gdy klient wchodzi do sklepu.

- To ten skurwysyn - oświadczył Carlo, zanim podejrzany na ekranie zdążył zrobić cztery kroki. - Broda jest nowa, ale on tak właśnie się porusza.

- Widziałeś jego ręce we Florencji?

- Si.

- Pięć czy sześć palców u lewej ręki?

- Mmm... Pięć.

- Zawahałeś się.

- Przypomniałem sobie, jak jest *cinque* po angielsku. Na pewno pięć. Mason rozchylił zęby. Tylko na taki uśmiech było go stać.

- Sprytnie. Nosi rękawiczki, żeby w rysopisie pozostawiono: sześć palców. Smród Carla chyba dostał się do akwarium przez aerator. Murena wypłynęła z ukrycia i zaczęła

kręcić ósemki.

- Carlo, myślę, że już niedługo zakończymy sprawę - powiedział Mason. - Ty, Piero i Tomaso jesteście moim pierwszym zespołem. Wierzę w was, mimo iż daciecie uciec Lecterowi z Florencji. Macie obserwować Clarice Starling dzień przed jej urodzinami, w dzień urodzin i dzień później. Zostaniecie odciążeni, gdy będzie spała w domu. Dam wam kierowcę i furgonetkę.

- *Padrone* - powiedział Carlo.

- Tak?

- Chciałbym trochę побыć z *dottore* na osobności. Przez wzgląd na mego brata, Mattea. Obiecał pan. - Przeżegnał się, kiedy wymieniał imię zmarłego.

- Rozumiem, co czujesz, Carlo. Głęboko ci współczuję. Chcę, żeby doktor Lecter został skonsumowany w dwóch ratach. Pierwszego dnia świnię odgryzą mu stopy, a on będzie się temu przyglądał zza krat. Ma być wtedy w dobrym stanie. Żadnych ciosów w głowę, złamań, uszkodzeń oczu. Później bez stóp przeczeka noc. Świnię dokończą go następnego dnia. Przez chwilę z nim porozmawiam, a później ty dostaniesz godzinę przed finałową ucztą. Tylko zostaw mu jedno oko. Musi widzieć, jak do niego dochodzą. Patrzyć na ich ryje, kiedy będą zjadały mu twarz. Jeśli, powiedzmy, postanowisz pozbawić go męskości, proszę bardzo, ale w towarzystwie Cordella. Chodzi o to, aby ktoś kontrolował sytuację. Chcę mieć wszystko na filmie.

- A jeśli wykrwawi się za pierwszym razem?

- Nie wykrwawi się. Przez całą noc będzie czekał w pełni świadomy z odgryzionymi stopami. Cordell wszystkiego dopilnuje. Pewnie podłączy go do kroplówki albo do dwóch.

- A nawet do czterech, jeśli zajdzie taka potrzeba - odezwał się z głośników beznamiętny głos majordomusa. - W razie potrzeby zastosuję wenostromię na nogach.

- Pozwalam nawet napluć albo nasikać mu do kroplówki, zanim wywiozą go do zagrody - zwrócił się Mason do Carla swoim najbardziej życzliwym tonem. - A jeśli chcesz, możesz się do niej spuścić.

Oczy Carla rozbłyły na tę myśl. Sardynczyk nagle przypomniał sobie o muskularnej *signorinie* i zerknął na nią z miną winowajcy.

- *Grazie mille, Padrone*. Będzie pan przy jego śmierci?

- Nie wiem, Carlo. Nie znoszę kurzu ze stodoły. Obejrzę wszystko na wideo. Możesz sprowadzić mi jedną świnię? Chcę położyć na niej rękę.

- Do tego pokoju, *Padrone*?

- Nie, na chwilę przetransportują mnie na dół.

- Musiałbym uśpić zwierzę, *Padrone* - rzekł niepewnie Carlo.

- Najlepiej lochę. Sprowadź ją przed windę. Możesz przejechać podnośnikiem po trawie.

- Potrzebna ci tylko furgonetka czy samochód awaryjny? - zapytał Krendler.

- Carlo?

- Wystarczy furgonetka. Dajcie mi zastępcę szeryfa jako kierowcę.

- Mam jeszcze coś dla ciebie - powiedział Krendler. - Proszę o światło.

Margot przesunęła reostat, a Krendler położył swój plecak na stole obok miski z owocami. Założył bawełniane rękawiczki i wyjął urządzenie, które składało się z małego monitora, anteny, podstawki, a także zewnętrznego napędu i kompletu akumulatorów.

- Obserwacja Starling jest trudna, bo agentka mieszka przy ślepej uliczce. Nie ma się gdzie ustawić. Starling musi jednak wychodzić z domu: ma bzika na punkcie sprawności fizycznej - powiedział Krendler. - Zapisała się na siłownię, odkąd nie może korzystać z obiektów FBI. Przyuważyliśmy ją, gdy zaparkowała przed siłownią w czwartek. Podłożyliśmy jej pod samochód radiolatarnię. Niklowo-kadmowa, ładuje się przy pracującym silniku, więc nie wyczerpuje akumulatora. Ma zasięg na pięć sąsiadujących stanów. Kto będzie to obsługiwał?

- Cordell, przyjdź tutaj - polecił Mason.

Majordomus i Margot przyklękli obok Krendlera. Carlo stał nad nimi, trzymając kapelusz na wysokości ich nozdrzy.

- Spójrzcie. - Krendler włączył monitor. - Działa jak samochodowy system nawigacyjny. Tyle że pokazuje lokalizację samochodu Starling. - Na ekranie ukazał się widok centrum Waszyngtonu. - Zbliżymy ten fragment, przesuniemy go strzałkami, jasne? Dobra, nic nie wykrywa. Radiolatarnia z samochodu Starling włączy sygnał świetlny i dźwiękowy. Wtedy można ustalić miejsce źródła na planie ogólnym, a później zrobić zbliżenie. Kiedy się przybliżacie, sygnał

dźwiękowy pika coraz szybciej. Tutaj widzimy dzielnicę Starling w skali mapy miasta. Nie mamy żadnych sygnałów z jej samochodu, bo jesteśmy poza zasięgiem. Co innego, gdybyśmy byli na przykład w Waszyngtonie lub Arlington. Ta zabawka pochodzi z nowego helikoptera, którego jeszcze nie wprowadzono na rynek. Tu jest konwertor do wtyczki prądu zmiennego w waszej furgonetce. I jeszcze jedna sprawa. Musicie mi zagwarantować, że urządzenie nie dostanie się w niepowołane ręce. Wyleciałbym za to z pracy. Albo wróci do mnie, albo znajdzie się na dnie Potomacu.

- Zrozumiałaś, Margot? - zapytał Mason. - A ty, Cordell? Kierowcą może być Mogli.

Sprawdźcie go i wytłumaczcie, o co chodzi.

**CZEŚĆ V**  
**FUNT CIAŁA**

## ROZDZIAŁ 77

Doskonałość broni pneumatycznej polega na tym, że można z niej strzelać z samochodu, nie ogłuszając wszystkich pasażerów. Nie trzeba wystawiać lufy przez okno i narażać się na wścibskie spojrzenia przechodniów.

Wystarczy opuścić nieco szybą i posłać mały pocisk z silnym ładunkiem acepromazyny w kark lub pośladki doktora Lectera.

Rozlegnie się tylko cichy trzask, jak przy łamaniu młodej gałązki. Żadnych huków i innych groźnych dźwięków, które zwracałyby uwagę.

Przećwiczyli tę scenę wielokrotnie: kiedy doktor Lecter zacznie się słaniać na nogach, ubrani w białe fartuchy Piero i Tommaso „pomogą” mu dostać się do furgonetki. Zapewnią gapiów, że zabierają biedaka do szpitala. Tommaso mówił najlepiej po angielsku, bo chodził na kurs językowy w seminarium, ale próby wypowiedzenia głoski „h” w słowie „hospital” i tak doprowadzały go do szału.

Mason miał rację, że zlecił Włochom porwanie doktora Lectera. Pomimo porażki we Florencji byli zdecydowanie najzdolniejszymi porywaczami. I Mason mógł się spodziewać, że dostanie doktora żywego.

Verger pozwolił im zabrać ze sobą tylko jedną sztukę broni, nie licząc strzelby z ładunkami usypiającymi. Miał ją kierowca, zastępca szeryfa, Johnny Mogli z Illinois. Od dawna pracował dla Vergerów. Dorastał w domu, gdzie mówiło się po włosku. Przed zabiciem swojej ofiary miał zwyczaj we wszystkim jej przytakiwać.

Carlo, Piero i Tommaso dysponowali siatką, bronią gładkolufową, sprejem z gazem i całą kolekcją akcesoriów do krępowania porwanego. Wystarczy.

O świcie ustawili się pięć przecznic dalej od domu Starling w Arlington, na miejscu dla inwalidy.

Furgonetkę ozdobił samoprzylepny napis TRANSPORT MEDYCZNY OSÓB STARSZYCH. Na lusterku zawiesili kartę inwalidzką, a do zderzaka

przytwierdzili inwalidzkie numery rejestracyjne. W skrytce trzymali rachunek z warsztatu za wymianę zderzaka: gdyby ktoś przyczepił się do numerów na karcie, mogliby skłamać, że w garażu przez pomyłkę zamieniono tablice. Przynajmniej na jakiś czas zagmatwaliby sprawę. Dokumenty samochodu nie były sfałszowane, tak jak zwinięte w nich banknoty studolarowe, przeznaczone na łapówkę.

Rozjarzony monitor na tablicy rozdzielczej, podłączony do gniazda zapalniczki samochodowej, pokazywał mapę okolicy, w której mieszkała Starling. Ten sam system



satelitarny, który nanosił na mapę pozycję furgonetki, wskazywał również miejsce parkowania samochodu Starling.

O dziewiątej rano Carlo pozwolił Pierowi coś zjeść. O wpół do jedenastej posilił się Tommaso. Carlo nie chciał, żeby napychali żołądki w tym samym czasie, na wypadek, gdyby musieli ścigać na piechotę cel. Popołudniowe posiłki również zostały odpowiednio rozplanowane. Tommaso właśnie szukał kanapki w podręcznej lodówce, kiedy usłyszeli sygnał.

Śmierdząca głowa Carlo błyskawicznie odwróciła się do monitora.

- Ruszyła - powiedział Mogli. Włączył silnik. Tommaso zamknął lodówkę.

- Dobra, dobra... Jedzie wzdłuż Tindal w stronę głównej ulicy. - Mogli włączył się do ruchu. Dzięki urządzeniu radiolokacyjnemu był w komfortowej sytuacji. Mógł zachować dużą odległość i nie martwić się, czy Starling ich zauważy.

Nie dostrzegł jednak starego szarego pikapa z choinką na platformie, który pomknął w ślad za wozem agentki.

Prowadzenie mustanga sprawiało Starling przyjemność. Potężny wóz bez ABS-u zachowywał się niesfornie na śliskich ulicach przez większą część zimy. Przy pustych drogach fajnie było przycisnąć gaz na drugim biegu i posłuchać, jak ryczy silnik.

Mapp, mistrzyni świata w kolekcjonowaniu kuponów rabatowych, wysłała Starling do sklepu z plikiem takich karteczek przypiętych do listy zakupów. Razem ze Starling miały przyrządzić szynkę, potrawkę z kurczaka i dwie zapiekanki. Pozostałe dziewczyny przyniosą indyka.

Urodzinowa kolacja była ostatnią rzeczą, na której Starling zależało. Ale nic nie mogła poradzić. Zaskakująco duża grupa agentek z Mapp na czele - niektóre znała tylko przelotnie i nie pałała do nich wielką sympatią - zapowiedziała się z wizytą, żeby wesprzeć w niedoli przymusowo urlopowaną koleżankę.

Myślała dużo o Jacku Crawfordzie. Nie mogła odwiedzić go w szpitalu ani do niego zadzwonić. Na stanowisku pielęgniarskim zostawiała dla niego przesyłki: śmieszne rysunki psów i najzabawniejsze liściki, na jakie potrafiła się zdobyć.

Odrywała myśli od swojego żalosego położenia, bawiąc się mustangiem: wrzucała luz i redukowała biegi. Wykorzystywała sprzężenie silnika do przyhamowania przed skrętem na parking supermarketu „Safeway”. Dotykała pedału hamulca tylko po to, żeby zasygnalizować zmniejszenie prędkości kierowcom jadącym z tyłu.

Parking był wypełniony po brzegi. Starling zrobiła cztery okrążenia. W końcu znalazła miejsce. Było wolne, bo zostało zastawione porzuconym wózkiem na zakupy. Wsiadła z

auta i przestawiła wózek. Ale zanim zaparkowała, ktoś już go zabrał.

Znalazła następny przy wejściu.

Mogli śledził trasę samochodu Starling na monitorze i w oddali zauważył wielki napis SAFEWAY, który zbliżał się po prawej stronie.

- Zatrzymała się przy supermarkecie. - Wjechał na parking i po kilku sekundach ujrzął samochód agentki. Młoda kobieta pchała wózek w stronę wejścia. Carlo przyjrzał jej się przez lornetkę.

- To Starling. Wygląda jak na fotografiach. - Podał lornetkę Pierowi.

- Chciałbym zrobić jej zdjęcie - powiedział Piero. - Mam aparat z zoomem.

Naprzeciw samochodu Starling było puste miejsce dla inwalidy. Mogli zająć je, ubiegając wielkiego lincolna z inwalidzką rejestracją. Kierowca zatrąbił ze złością.

Przez tylne okno furgonetki mieli widok na tył samochodu Starling.

Mogli, przyzwyczajony do amerykańskich samochodów, pierwszy zwrócił uwagę na starego pikapa stojącego na odległym stanowisku na końcu parkingu. Widział tylko szarą tylną klapę samochodu.

Pokazał pikapa Carlowi.

- Ma z tyłu imadło? Tak jak mówił ten gość ze sklepu? Zobacz przez lornetkę, bo ja nie widzę przez to pieprzone drzewo. *Carlo, c'e una morsa sul camione?*

- *Si.* Tak, jest imadło. W środku nie ma nikogo.

- Może powinniśmy pójść za nią do sklepu? - Tommaso rzadko sprzeciwiał się Carlowi.

- Nie, jeśli Lecter coś zrobi, to tutaj - zawyrokował Carlo.

Najpierw nabrała. Starling przejrzała kupony i wybrała ser do zapiekanek. Cholera, nie ma co robić, tylko piec chrupiące bułeczki. Kiedy dotarła do działu mięsnego, zdała sobie sprawę, że zapomniała o maśle. Zostawiła wózek i wróciła do chłodni z nabiałem.

Po powrocie do działu mięsnego okazało się, że wózek zniknął. Ktoś wyłożył jej zakupy na pobliską półkę. Ale zabrał kupony i listę.

- Cholera jasna - zaklęła tak głośno, że parę osób zwróciło na to uwagę. Rozejrzała się. Nikt w polu widzenia nie trzymał grubego pliku kuponów. Wzięła kilka głębokich wdechów. Mogła przyciąć się przy kasach i spróbować zlokalizować swoją listę, jeśli nadal była przypięta do kuponów. Co tam, strata kilku dolarów. Nie mogła przejmować się takimi drobiazgami.

W pobliżu kas nie znalazła ani jednego pustego wózka. Ruszyła więc na parking po następny.

- *Ecco!* - Carlo zobaczył Lectera. Doktor szedł między samochodami szybkim, lekkim krokiem. Był w płaszczu z wielbłądziej wełny i w filcowym kapeluszu. Niósł podarunek, przejaw szalonej fanaberii. - *Madonna!* Podchodzi do jej samochodu. - W Sardyńczyku obudził się łowca. Kontrolował oddech i przygotował się do oddania strzału. Przeżuwany świński ząb wychylił się na chwilę spomiędzy warg.

Carlo nie mógł opuścić szyby w tylnym oknie furgonetki.

- *Metti in moto!* Cofnij i stań bokiem do niego - zażądał.

Doktor Lecter zatrzymał się przy mustangu po stronie pasażera, ale rozmyślił się i podszedł do drzwi kierowcy. Pewnie nie chciał rezygnować z przyjemności obwąchania kierownicy.

Rozejrzał się i wysunął z rękawa nóż.

Furgonetka ustawiła się bokiem do doktora. Carlo był gotowy do oddania strzału. Dotknął przycisku elektrycznego opuszczania szyb. Nic.

- *Mogli, il finestrino!* - odezwał się nienaturalnie spokojnym głosem.

Pewnie włączono blokadę, pomyślał Mogli i zaczął szukać odpowiedniego przełącznika.

Doktor Lecter wsunął ostrze noża do szpary w oknie i otworzył drzwi samochodu Starling. Zaczął wsiadać.

Przeklinając, Carlo wreszcie trochę opuścił boczną szybę i podniósł strzelbę. Piero odsunął się. Kiedy padł strzał, furgonetką zakołysało.

Pocisk błysnął w słońcu i z głuchym odgłosem wbił się przez wykrochmalony kołnierzyk w szyję doktora Lectera. Środek, wprowadzony w tak dużej dawce i w tak krytyczne miejsce, zadziałał natychmiast. Doktor próbował się wyprostować, ale zawiodły go kolana. Paczka wypadła mu z rąk i potoczyła się pod samochód. Zdołał tylko wyciągnąć z kieszeni nóż i wysunąć ostrze, lecz zaraz osunął się przy otwartych drzwiach. Środek usypiający zamienił jego kończyny w watę.

- Misza - szepnął, tracąc przytomność.

Piero i Tommaso rzucili się na Lectera jak tygrysy i przycisnęli go do ziemi między samochodami. Puścili dopiero wtedy, gdy się upewnili, że jest nieprzytomny.

Pchając kolejny wózek w kierunku wejścia, Starling usłyszała charakterystyczny trzask broni pneumatycznej. Rozpoznała go natychmiast. Odruchowo schyliła się, mijana przez niczego nieświadomych ludzi. Nie potrafiła ustalić, gdzie padł strzał. Spojrzała na swój wóz. Zobaczyła czyjeś nogi znikające w furgonetce. Pomyślała, że to porwanie.

Sięgnęła ręką do biodra, ale nie znalazła tam pistoletu. Biegła w stronę furgonetki,

manewrując wózkiem między samochodami.

Lincoln wrócił w to samo miejsce. Starszy mężczyzna za kierownicą zaczął trąbić na nieprawidłowo zaparkowaną furgonetkę. Klakson zagłuszył głos Starling.

- Stać! FBI! Stać, bo strzelam! - Może chociaż zapamięta numery rejestracyjne.

Na widok nadbiegającej Starling, Piero przeciął zabranym Lecterowi nożem trzonek zaworu w lewej przedniej oponie mustanga. Wskoczył do furgonetki. Wóz przejechał przez pas zieleni i oddalił się w stronę wyjazdu. Starling przyjrzała się tablicy rejestracyjnej. Palcem zapisała numery na zabrudzonej masce samochodu.

Wyjęła z torebki kluczyki. Gdy wsiadła do samochodu, usłyszała syk powietrza uchodzącego z trzonka zaworu. Widziała dach wyjeżdżającej furgonetki.

Zapukała w szybę lincolna.

- Mają państwo telefon komórkowy? Jestem z FBI. Mają państwo czy nie?

- Odjeżdżaj, Noel - powtarzała pasażerka, szczypiąc kierowcę w nogę. - Chcesz mieć kłopoty? To jakiś podstęp. Nie mieszaj się. - Lincoln odjechał.

Starling pobiegła do automatu i zadzwoniła pod 911.

Zastępca szeryfa Mogli przejechał piętnaście przecznic przy maksymalnej dopuszczalnej prędkości.

Carlo wyciągnął z szyi doktora Lectera nabój. Odetchnął z ulgą, kiedy z dziury nie trysnęła krew. Pod skórą powstał krwiał wielkości ćwierćdolarówki. Środek usypiający miał się rozprzestrzenić po ciele. Inaczej sukinsyn umarłby, zanim dobrałyby się do niego świnię.

W furgonetce nikt się nie odzywał. Słyszał tylko ciężkie oddechy mężczyzny i bełkot policyjnego radia pod deską rozdzielczą. Lecter leżał na podłodze w swoim eleganckim płaszczu. Kapelusz zsunął się z gładko zaczesanych włosów. Na kołnierzyku widniała jedna plamka krwi. Doktor wyglądał jak bażant w rzeźniczej klatce.

Mogli skręcił do garażu, wjechał na trzeci poziom i zatrzymał się po to tylko, żeby odkleić napisy z boków furgonetki i zmienić tablice rejestracyjne.

Nie musiał się wysilać. Zaśmiał się do siebie, gdy policyjne radio podało komunikat. Dyżurny pod 911 najwyraźniej źle zrozumiał opis Starling. Agentka powiedziała „szara furgonetka”, a policjant zarządził poszukiwania szarego forda

Ka. Zastępca szeryfa musiał przyznać, że operator dobrze spisał prawie cały numer rejestracyjny. Pomylił tylko jedną cyfrę.

- Zupełnie jak w Illinois - skomentował Mogli.

- Kiedy zobaczyłem nóż, pomyślałem, że spróbuje się zabić, żeby uniknąć tego, co go czeka - wyznał kompanom Carlo. - Będzie żałował, że nie poderznął sobie gardła.

Kiedy Starling sprawdzała pozostałe opony, zauważyła paczkę pod samochodem.

Butelka Château d'Yquem za trzysta dolarów i życzenia:

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Clarice.

Rozpoznała charakter pisma.

Wtedy dopiero zrozumiała, czego była świadkiem.

## ROZDZIAŁ 78

Starling pamiętała wszystkie potrzebne numery. Jechać taki kawał do domu i zadzwonić ze swojego telefonu? Nie. Wróciła do automatu. Odebrała lepką słuchawkę młodej kobiecie, przeprosiła i wrzuciła do automatu monety. Kobieta poszła szukać sklepowego ochroniarza.

Clarice zadzwoniła do Sekcji Operacyjnej biura terenowego FBI w Waszyngtonie w Buzzard's Point.

Dobrze znali tam Starling. Służyła w grupach operacyjnych FBI przez wiele lat. Szybko połączono ją z biurem Clinta Pearsalla. Starling grzebała w kieszeniach, szukając kolejnych monet. Próbowwała jednocześnie udobruchać ochroniarza, który domagał się od niej dokumentów.

Wreszcie w słuchawce odezwał się znajomy głos.

- Panie Pearsall, widziałam trzech mężczyzn, może czterech, którzy pięć minut temu uprowadzili Hannibala Lectera na parkingu przed supermarketem „Safeway”. Uszkodzili mi oponę. Nie mogłam ich gonić.

- Czy chodzi o tego fordka z komunikatu policji?

- Nic nie wiem o żadnym fordzie. To była szara furgonetka z inwalidzką rejestracją. - Starling podała numer.

- Skąd wiesz, że porwano Lectera?

- Zostawił mi prezent pod samochodem.

- Rozumiem... - Pearsall zamilkł. Ciszę przerwała Starling.

- Panie Pearsall, pan wie, że za tym stoi Mason Verger. Na pewno. Nikt inny by tego nie zrobił. Jest sadystą. Zamierza zamęczyć doktora na śmierć. Chce się przyglądać, jak Lecter kona. Musimy zatrzymać wszystkie pojazdy Masona i zdobyć od prokuratora nakaz rewizji posiadłości Vergerów.

- Starling... Chryste! Posłuchaj, zadam ci to pytanie tylko jeden raz. Czy na pewno to wszystko widziałaś? Zastanów się przez chwilę. Pomyśl o swoich sukcesach. O złożonej przysiędze. Później nie będziesz miała odwrotu. A więc, co widziałaś?

Co powiedzieć? Że nie jest histeryczką? Histerycy zawsze tak mówią. W jednej chwili zrozumiała, jak szybko straciła zaufanie Pearsalla i na jak słabych fundamentach się ono opiera.

- Widziałam trzech mężczyzn, może czterech, którzy uprowadzili człowieka na parkingu przed „Safewayem”. Na miejscu przestępstwa znalazłam prezent od doktora

Hannibala Lectera: butelkę Château d'Yquem z tego samego roku, w którym się urodziłam i życzenia napisane jego ręką. Zawiadamiam o tym pana, Clinta Pearsalla z biura terenowego w Buzzard's Point.

- Zgłaszam to jako porwanie, Starling.
- Już jadę. Proszę mnie przydzielić do grupy operacyjnej.
- Niestety, nie mogę cię nawet wpuścić do środka.

Starling żałowała, że nie odjechała przed pojawieniem się na parkingu policji z Arlington. Piętnaście minut trwała korekta komunikatu dotyczącego pojazdu porywaczy. Zeznanie Starling spisywała tępawa funkcjonariuszka w ciężkich butach z lakierowanej skóry. Bloczek z mandatami, radio, sprej z gazem, broń i kajdanki sterczały we wszystkie strony przy jej wielkich poślądkach, a kurtka rozłaziła się w szwach. Policjantka nie mogła się zdecydować, czy w rubryce „miejsce pracy” wpisać FBI, czy „nie dotyczy”. Starling wskazała na ślady opon na trawniku. Żaden z policjantów nie miał aparatu fotograficznego. Pożyczyła im swój.

Podczas składania zeznań Starling robiła sobie w myślach wyrzuty: Powinam ich gonić, powinam ich gonić, powinam wyrzucić faceta za frak z tego lincolna i ich gonić.

## ROZDZIAŁ 79

Krendler pierwszy dostał cynk o porwaniu. Wykonał kilka telefonów do swoich informatorów. Dopiero potem zadzwonił do Masona z bezpiecznego telefonu.

- Starling widziała porwanie. Tego się nie spodziewaliśmy. Robi zamieszanie w biurze terenowym w Waszyngtonie. Zasugerowała, żeby przeszukano twój dom.

- Krendler... - Mason czekał na oddech, a może był wyprowadzony z równowagi. Krendler nie potrafił tego stwierdzić. - Zawiadomiłem już władze lokalne, szeryfa i biuro prokuratora, że Starling nie daje mi spokoju, dzwoni po nocach z niedorzecznymi groźbami.

-A dzwoniła?

- Oczywiście, że nie, ale nie może tego udowodnić. Po prostu zmącimy nieco wodę. Teraz nie boję się nakazów rewizji. Ale chcę, żebyś zadzwonił do prokuratora stanowego i przypomniał mu, że ta suka mnie prześladowuje. Miejscowymi sam się zajmę.



## ROZDZIAŁ 80

Starling uwolniła się wreszcie od policji. Wymieniła koło i wróciła do domu, do swojego telefonu i komputera. Straszliwie brakowało jej komórki FBI.

Na sekretarce czekała wiadomość od Mapp: „Starling, przypraw potrawkę i wstaw ją na mały ogień. Nie dodawaj jeszcze warzyw. Pamiętaj, co się stało ostatnim razem. Mam tu przesłuchanie dyscyplinarne. Na pewno potrwa do piątej”.

Starling włączyła laptopa. Próbowwała wejść do pliku Lectera w bazie danych VICAP, ale odmówiono jej wstępu do sieci komputerowej FBI. Każdy wiejski funkcjonariusz policji miał teraz lepszy od niej dostęp do informacji FBI.

Zadzwonił telefon.

ClintPearsall.

- Starling, czy groziłaś Masonowi Vergerowi przez telefon?

- Nigdy, przysięgam.

On twierdzi, że tak. Zaprosił szeryfa do swojej posiadłości, a właściwie nakłonił go, żeby przyjechał. Nie będzie więc rewizji. Po prostu się rozejrzą. Nie mamy żadnego świadka porwania. Oprócz ciebie.

- Był tam biały lincoln z parą starszych ludzi. Panie Pearsall, można przecież sprawdzić, kto płacił w „Safewayu” kartą kredytową przed rym incydem. Na wydrukach kasowych podany jest czas.

- Oczywiście, ale to...

- ...wymaga czasu dokończyła Starling.

- Starling?

- Słucham.

- Tak między nami, będę cię informował o rozwoju wydarzeń. Ale trzymaj się od tego z daleka. Zostałaś zawieszona i nie masz prawa o niczym wiedzieć. Jesteś szarym obywatelem.

- Jasne.

Na co patrzymy, gdy podejmujemy ważne decyzje? Nie żyjemy w społeczeństwie refleksyjnym, nie wznosimy oczu ku wzgórzom. Zwykle o krytycznych rzeczach decydujemy na korytarzach instytucji, wpatrując się w wyłożoną

linoleum podłogę albo szepcząc coś pospiesznie w poczekalni przy roztrajkotanym telewizorze.

Starling przeszła przez kuchnię i zagłębiła się w ciszy i ładzie mieszkania Mapp.

Spojrzała na fotografię zażywej kobiety, wynalazczyni słynnej herbatki. Popatrzyła na oprawioną w ramkę polisę ubezpieczeniową babci. Połowa bliźniaka zajmowana przez Mapp odzwierciedlała charakter lokatorki.

Starling wróciła do swojej części, która wyglądała, jakby nikt tam nie mieszkał. Co powiesiła w ramce na ścianie? Dyplom Akademii FBI. Nie zachowały się żadne zdjęcia matki i ojca. Żyła sama tak długo. Pozostała jej tylko pamięć o rodzicach. Czasem czuła na sobie ich dotyk: w smaku śniadania, w zapachu, w strzępie rozmowy, podsłuchanym powiedzeniu z jej stron. Najmocniej czuła obecność rodziców w swojej zdolności rozróżniania dobra i zła.

Kim, u diabła, była? Kto kiedykolwiek ją poznał?

„Jesteś wojownikiem, Clarice. Możesz być tak silna, jak tego chcesz”.

Starling potrafiła zrozumieć, że Mason pragnie śmierci Hannibala Lectera. Gdyby zabił go sam lub wynajął płatnego mordercę, ścierpiałaby to; Mason miał powody do zemsty.

Ale nie mogła znieść myśli, że doktor Lecter zostanie zamęczony na śmierć; buntowała się przeciwko temu tak jak kiedyś przeciwko rzezi owiec i koni.

„Jesteś wojownikiem, Clarice”.

Brzydziła się zamiarami Masona. Brzydziła się cichym przyzwoleniem na to ludzi, którzy przysięgali strzec prawa. Taki jest ten świat.

Świat nie musi być taki na wyciągnięcie moich ramion.

Zdała sobie sprawę, że stoi na stołku w garderobie i wyciąga do góry rękę.

Zdjęła pudełko, które adwokat Johna Brighamą dostarczył jej jesienią. Wydawało jej się, że od czasu spotkania z prawnikiem upłynęły wieki.

Przekazywanie osobistego rynsztunku pozostałemu przy życiu towarzyszowi broni ma długą tradycję. Jest w tym coś mistycznego. Chodzi o kontynuację wartości, które przekraczają granice ludzkiej śmiertelności.

Człowiek żyjący w bezpiecznych czasach może mieć trudności ze zrozumieniem tego rytuału.

Pudełko, w którym znajdowała się broń Johna Brighamą, było prawdziwym cackiem. Pewnie kupił je na Dalekim Wschodzie, kiedy służył w piechocie morskiej. Mahoniowa skrzyneczka z wiekiem inkrustowaną masą perłową. Pistolety były wysłużone, świetnie utrzymane, nieskazitelnie czyste - cały Brigham. Pistolet M1911A1 colt 45 i skrócona wersja safari arms do noszenia w ukryciu, sztylet z jednym ząbkowanym ostrzem, zwykle chowany w bucie. Starling miała własne futerały. Starą odznakę FBI Johna

Brighamą umocowano na mahoniowej płytce. Odznaka BATF leżała luźno w pudełku.

Starling odczepiła odznakę FBI i schowała ją w kieszeni. Colt trafił do indiańskiej

kabury na biodrze.

Krótki pistolet schowała w futerale przy jednej kostce, a przy drugiej, w bucie, nóż. Wyjęła z ramki dyplom i włożyła go do kieszeni. W ciemnościach ktoś mógłby pomylić go z nakazem rewizji. Kiedy zginała sztywny papier, niezupełnie czuła się sobą. I cieszyła się z tego.

Kolejne trzy minuty przy laptopie. Z Mapquest Web wydrukowała mapę Muskrat Farm i lasów państwowych otaczających posiadłość. Przez chwilę wodziła palcem po granicach mięsnego królestwa Masona.

Spaliny z wielkich rur mustanga przygięły trawę do ziemi, kiedy Starling wyjeżdżała z podjazdu. Zdecydowała się złożyć wizytę Vergerowi.

## ROZDZIAŁ 81

Głusza nad Muskrat Farm przypomina ciszę dawnego szabasu. Mason był niesamowicie dumny, że wreszcie osiągnął cel. Porównywał swój wyczyn z odkryciem radu.

Duża ilustrowana książka do fizyki była jego ulubionym podręcznikiem; jej rozmiary pozwalały mu masturbować się w klasie. Często, kiedy się onanizował, spoglądał na fotografię Marii Skłodowskiej-Curie. Teraz też myślał o niej i o tonach blendy smolistej, którą gotowała, aby uzyskać rad. Moje starania w dużym stopniu przypominają jej wysiłki, pomyślał.

Po żmudnych poszukiwaniach i wielu inwestycjach wreszcie dopadł Lectera.

Oczami wyobraźni widział, jak doktor jarzy się w ciemności niczym fiolka w laboratorium pani Skłodowskiej. Wyobrażał sobie, jak świnię, które pożra Lectera, zasypiają po posiłku w lesie ze świecącymi jak żarówki brzuchami.

Był piątek wieczór, zapadał zmierzch. Personel rozjechał się do domów. Żaden z pracowników nie widział przyjazdu furgonetki. Wjechała główną bramą, lecz do posiadłości dotarła drogą przez las. Szeryf i jego ludzie dokonali pobieżnych oględzin i opuścili królestwo Masona na długo przed pojawieniem się furgonetki przed stodołą. Główna brama była strzeżona, a na terenie pozostała tylko grupka najbardziej zaufanych osób.

Cordell był na stanowisku w pokoju z zabawkami - zmiennik miał przyjechać o północy. Margot i Mogli, który cały czas nosił swą odznakę zastępcy szeryfa, towarzyszyli Masonowi, a zespół zawodowych porywaczy pracował w stodole.

Do niedzieli w nocy będzie już po wszystkim. Dowody zostaną spalone lub ulegną strawieniu w jelitach szesnastu świń. Mason wpadł na pomysł, że poczęstuje murenę jakimś smakołykiem z doktora Lectera - choćby nosem.

I przez następne lata, przyglądając się ósemkom kręconym przez niezmordowaną rybę, będzie wiedział, że ten znak nieskończoności symbolizuje wieczną śmierć Lectera.

Mason zdawał sobie sprawę, że spełnienie jego największego pragnienia może być niebezpieczne. Co mu zostanie po zabiciu doktora Lectera? Będzie mógł nadal rujnować rodziny zastępcze i dręczyć małe dzieci. Albo popijać martini z domieszką dziecięcych łez. Ale z czego będzie czerpał prawdziwą perwersyjną rozkosz?

Co za głupota, żeby tak szczęśliwy dzień psuć sobie obawami o przyszłość. Poczekał, aż wzrok wyklaruje mu się po spryskaniu gałki ocznej maleńkim obłoczkiem wilgoci, i dmuchnął w jedną z rurek. W każdej chwili mógł włączyć monitor i ujrzyć swoje trofeum...

## ROZDZIAŁ 82

Zapach płonących węgla w magazynie ze sprzętem jeździeckim w stodole Masona, zapachy zwierząt i ludzi. Światło ognia na długiej czaszce konia wyścigowego, pustej jak opatrność, spoglądającej na wszystko zza końskich okularów.

Czerwone węgle w kowalskim piecu buchają płomieniem i rozjaśniają się przy podmuchach syczących miechów. Carlo podgrzewa sztabę żelaza, już rozgrzaną do koloru wiśni.

Doktor Lecter wisi na ścianie pod czaszką konia niczym rzeźba nad ołtarzem. Jego ramiona są rozpostarte po obu stronach i mocno przywiązane sznurem do orczyka, grubej dębowej poprzeczki z końskiej uprzęży. Orczyk biegnie wzdłuż pleców doktora jak kabłąk i jest przytwierdzony do ściany klamrą wykonaną przez Carla. Nogi doktora nie sięgają ziemi. Są związane wieloma zwojami sznura, każdy z nich zakończony jest supłem. Nie założono ani łańcucha, ani kajdanek - nic metalowego, co mogłoby uszkodzić świńskie zęby lub zniechęcić zwierzęta do posiłku.

Żelazo w piecu rozgrzewa się do białości. Carlo przenosi je szczypcami do kowadła i uderza młotkiem. Z jasnej kłody powstaje nowa klamra. Czerwone iskry fruwać w półmroku, odbijają się od torsu Sardynczyka i spadają na wiszącą postać doktora Hannibala Lectera.

Telewizyjna kamera Masona wygląda dziwnie wśród starych narzędzi. Oko obiektywu spogląda na doktora Lectera z pająkowatego metalowego stojaka. Na stole warsztatowym stoi monitor, jeszcze ciemny.

Carlo znów podgrzewa klamrę i pospiesznie wynosi na zewnątrz. Chce przymocować ją do podnośnika, gdy jest jeszcze czerwona i elastyczna. Stukanie młotem odbija się echem w wysokiej stodole. Uderzenie i echo, bum-bum, bum-bum.

Na poddaszu rozlega się skrzypiący szczebiot, gdy Piero znajduje na falach krótkich relację z meczu piłkarskiego. Drużyna z Cagliari gra w Rzymie ze zniechęconym Juventusem.

Tommaso siedzi w trzcinowym fotelu. Strzelba ze środkiem usypiającym stoi obok oparta o ścianę. Włoch nie spuszcza ciemnych oczu z twarzy doktora Lectera.

Nagle dostrzega subtelną zmianę w bezruchu związanego: przejście od nieświadomości do nienaturalnej samokontroli, być może zasygnalizowane tylko różnicą brzmienia oddechu ofiary.

Tommaso wstaje z fotela i woła za siebie.

- Si sta svegliando.

Carlo wraca do magazynu. Cały czas żuje świński ząb, który co chwila pojawia się między wargami. Sardynczyk niesie spodnie wypchane owocami, warzywami, mięsem kurczaków. Pociera spodniami o ciało doktora Lectera.

Przezornie trzyma rękę z dala od twarzy doktora. Chwyta wiszącego za włosy i podnosi jego głowę.

- Buona sera, Dottore.

Trzask z głośnika na telewizyjnym monitorze. Monitor włącza się i ukazuje twarz Masona...

- Zapalić światło nad kamerą - zażądał Mason. - Dobry wieczór, doktorze Lecter.

Doktor po raz pierwszy podniósł powieki.

Carlo miał wrażenie, że w oczach potwora rozbłysły iskry, ale to pewnie odbijał się w nich ogień. Przeżegnał się, aby odpędzić złe moce.

- Mason - zwrócił się do kamery doktor. Za Vergerem dostrzegł sylwetkę kobiety, ciemną na tle akwarium. - Dobry wieczór, Margot - dodał kurtuazyjnym tonem. - Cieszę się, że znów cię widzę. - Mówił wyraźnie, widocznie obudził się już dawno.

- Doktorze Lecter - rozległ się chrapliwy głos Margot. Tommaso włączył reflektor nad kamerą. Ostre światło na chwilę oślepiło wszystkich.

- Doktorze mówił Mason głębokim radiowym głosem - za jakieś dwadzieścia minut planujemy podać naszym świniom pierwsze danie. Pańskie stopy. Wtedy pan i ja urządzimy sobie małe przyjęcie. Nie będzie się już pan musiał martwić o obuwie. Cordell utrzyma pana przy życiu przez dłuższy czas...

Mówił dalej, a Margot pochylała się, żeby lepiej widzieć, co się dzieje w stodole.

Doktor Lecter spojrział w monitor. Chciał się upewnić, czy Margot go ogląda.

- Twój brat, Matteo, musi teraz śmierdzieć gorzej od ciebie. Zesrał się, kiedy go ciąłem - szepnął Carlowi metalicznym głosem.

Sardynczyk sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął elektryczny przyrząd do porażania bydła prądem. W jasnym świetle reflektora uderzył nim doktora w głowę. Jedną ręką przytrzymał ofiarę za włosy, drugą przycisnął przycisk na ręczce. Przybliżył paralizator do twarzy Lectera - między elektrodami popłynął prąd o wysokim napięciu.

- Pieprzę twoją matkę - powiedział i dźgnął doktora paralizatorem w oko.

Lecter nie wydał z siebie żadnego dźwięku, za to z głośnika popłynął donośny krzyk. Mason ryczał tak głośno, na ile pozwalał mu dawkowany oddech. Tommaso próbował odciągnąć Carla. Z poddasza na pomoc przyszedł mu Piero. Posadzili Sardynczyka w trzcinowym fotelu.

- Oślepiż go i nie dostaniemy pieniędzy! - wrzeszczeli z obu stron jeden przez drugiego.

Doktor Lecter przysłonił stopy w swoim pałacu pamięci, żeby uchronić się przed potwornym blaskiem. Ach. Przytknął policzek do chłodnego marmurowego boku Wenus.

Doktor Lecter zwrócił twarz ku kamerze.

- Nie chcę czekolady, Masonie - wycedził.

- Sukinsyn zwariował. Zresztą zawsze był szalony - stwierdził zastępca szeryfa Mogli.

- Carlo też dostał świra.

- Idź tam i ich uspokój - zażądał Mason.

- Na pewno nie są uzbrojeni? - zapytał Mogli.

- Nie po to ci płacę, żebyś trząś portkami. Nie są. Mają tylko strzelbę ze środkiem usypiającym.

- Ja się tym zajmę - oznajmiła Margot. - Nie pozwolę na te samcze wygłupy. Włosi szanują swoje matki. A poza tym Carlo wie, że ja trzymam pieniądze.

- Wyprowadź kamerę i pokaż mi świnię - poinstruował ją Mason. - Kolacja o ósmej!

- Nie wezmę w niej udziału - oznajmiła Margot.

- Wręcz przeciwnie - oznajmił Mason.

## ROZDZIAŁ 83

Przed stodołą Margot zrobiła głęboki wdech. Jeśli przyzwala na jego śmierć, powinna być w stanie na niego patrzeć. Zanim otworzyła drzwi do magazynu, czuła już smród Carla. Piero i Tommaso stali po obu stronach doktora Lectera. Przed nimi w fotelu siedział Sardyńczyk.

- *Buona sera, signori* - pozdrowiła wszystkich Margot. - Twoi przyjaciele mają rację, Carlo. Jeśli coś mu teraz zrobisz, nie dostaniesz pieniędzy. Zaszedłeś już tak daleko i świetnie się dotąd sprawowałeś.

Carlo nie spuszczał oczu z twarzy doktora Lectera.

Margot wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. Wybrała numer na podświetlonej klawiaturze i wyciągnęła rękę do Carla.

- Proszę. - Trzymała telefon na wysokości jego oczu. - Przeczytaj. Na wyświetlaczu widniała nazwa BANCO STEUBEN.

- To twój bank w Cagliari, *signore* Deogracias. Jutro rano, już po wszystkim, kiedy zemścisz się za śmierć swego dzielnego brata, zadzwonię pod ten numer, podam hasło i powiem: „Proszę wypłacić *signorowi* Deograciasowi pozostałą część pieniędzy”. Twój bankier potwierdzi transakcję przez telefon. A wieczorem odleć do domu jako bogaty człowiek. Rodzina Mattea też będzie bogata. Na pocieszenie możesz zawieźć im w foliowym woreczku jądra doktora. Ale jeśli Lecter nie będzie się przyglądał własnej śmierci, jeśli nie zobaczy świń, które zjadają mu twarz, nic nie dostaniesz. Bądź mężczyzną, Carlo. Idź do świń. Ja posiedzę z tym skurwysynem. Za pół godziny usłyszysz jego wrzaski, gdy świnię dobiorą mu się do nóg.

Carlo odrzucił głowę do tyłu i wziął głęboki wdech.

- Piero, andiamo! Tu, Tommaso, rimani.

Tommaso zajął miejsce w trzcinowym fotelu przy drzwiach.

- Wszystko jest pod kontrolą, Masonie - powiedziała do kamery Margot.

- Będę chciał zabrać do domu nos Lectera. Powiedz to Carlowi - poprosił Mason. Ekran zgasł. Przetransportowanie Vergera z pokoju kosztowało jego ludzi wiele wysiłku. Wymagało przełączenia licznych rurek do pojemników na ruchomym łóżku i podłączenia respiratora do przenośnego źródła prądu.

Margot spojrzała w twarz doktora Lectera.

Porażone oko było zamknięte i spuchnięte między czarnymi śladami, pozostawionymi przez elektrody po obu stronach brwi.



Doktor Lecter otworzył zdrowe oko. Nadal czuł na twarzy chłód marmuru z posągu Wenus.

- Podoba mi się zapach tej maści. Ma rzeński, cytrynowy aromat - powiedział. - Dziękuję, że przyszłaś, Margot.

- Powiedział pan dokładnie to samo pierwszego dnia, kiedy pielęgniarka wprowadziła mnie do pańskiego gabinetu.

- Naprawdę? - spytał ze zdziwieniem, choć właśnie powrócił z pałacu pamięci, gdzie przejrzał swoje rozmowy z Margot, i wiedział o tym doskonale.

- Tak. Płakałam wtedy. Przerazała mnie myśl, że mam opowiedzieć o sobie i Masonie. Nie poprosił mnie pan, żebym usiadła. Wiedział pan, że miałam szwy, prawda? Spacerowaliśmy po ogrodzie. Pamięta pan, co mi wtedy powiedział?

- Nie można cię winić za to, co się stało, tak jak...

- ...nie można winić kogoś za to, że ugryzł go w tyłek zły pies. Wtedy sprawił pan, że poczułam się lepiej. Podobnie było podczas następnych wizyt. Czulałam wdzięczność przez jakiś czas.

- Co jeszcze ci powiedziałem?

- Że jest pan dużo bardziej zakrecony ode mnie - przypomniała. - I że nie ma w tym nic złego.

- Jeśli się postarasz, przypomnisz sobie wszystko, o czym mówiliśmy. Pamiętasz...

- Proszę mnie o nic nie błagać - wyrwało jej się niespodziewanie. Doktor Lecter poruszył się lekko. Sznury zatrzęszczały. Tommaso wstał i podszedł do niego, żeby sprawdzić węzły.

- *Attenzione alla bocca, signorina*. Niech pani uważa na jego gębę. Nie wiedziała, czy Tommaso ma na myśli zęby, czy słowa doktora.

- Margot, minęło tyle lat, odkąd się u mnie leczyłaś. Chciałbym porozmawiać o stanie twojego zdrowia. Tylko przez chwilę. Na osobności. - Strzelił zdrowym okiem w stronę Tommasa.

Margot zastanowiła się.

- Tommaso, zostaw nas na moment samych.

- Przykro mi, *signorina*, to niemożliwe. Stanę na zewnątrz przy otwartych drzwiach. - Tommaso wyszedł ze strzelbą ze stodoły i obserwował doktora Lectera z oddali.

- Nie zamierzam stawiać cię w krępującej sytuacji moimi prośbami o litość, Margot. Jestem jednak ciekaw, dlaczego to robisz. Powiesz mi? Czy zaczęłaś przyjmować czekoladę, jak to ujmuje Mason, po tak długiej walce z nim? Nie musimy udawać, że chodzi ci o zemstę

za twarz Masona.

Wyjaśniła wszystko. Opowiedziała o Judy, o chęci posiadania dziecka. Zajęło jej to niespełna trzy minuty; była zdziwiona, jak łatwo może podsumować swoje problemy.

Odległy dźwięk, pisk i urwany krzyk. Za stodołą, pod wzniesionym przez siebie ogrodzeniem Carlo manipulował przy magnetofonie. Za pomocą różnych krzyków przerażenia przygotowywał się do wezwania z pastwiska świń.

Doktor Lecter nie pokazał po sobie, czy coś usłyszał.

- Margot, myślisz, że Mason dotrzyma słowa? Odpowie na twoje błagania? Ale czy błagania odniosły skutek, kiedy się do ciebie dobierał? Zupełnie jakbyś przyjmowała od niego czekoladę i ulegała mu całkowicie. Ale on będzie zmuszał Judy do świństw, do których nie jest przyzwyczajona.

Margot zacisnęła szczękę.

- Wiesz, co by się stało, gdybyś zamiast się skradać do Masona, połaskotała jego gruczoł krokowy paralizatorem Carla? Popatrz, leży tam na stole. Margot zaczęła wstawać.

- Posłuchaj - syknął doktor. - Mason nie pójdzie ci na rękę. Będziesz musiała go zabić. Wiesz o tym od dwudziestu lat, odkąd kazał ci wbić zęby w poduszkę i nie robić tyle hałasu.

- A więc zrobiłby pan to dla mnie? Nie mogłabym panu zaufać.

- Nie, oczywiście, że nie. Przysięgam jednak, że nigdy bym się nie wyparł tego czynu. Zabicie Masona przez ciebie będzie miało doskonały efekt terapeutyczny. Pamiętasz, zalecałem ci to samo, gdy byłaś dzieckiem.

- „Poczekaj na dogodny moment”, powiedział pan. Znajdowałam w tym pewną pociechę.

- To rodzaj *katharsis*. Jako lekarz musiałem ci polecić tę terapię. Teraz dojrzałaś do czynu. Jaką różnicę sprawi mi kolejne oskarżenie o morderstwo? Wiesz, że musisz go zabić. A kiedy to zrobisz, pieniądze legalnie dostaną się tobie i dziecku. Margot, tylko na mnie możesz zrzucić całą winę. Jeśli zginę przed Masonem, na kogo padnie podejrzenie? Możesz to zrobić, kiedy zechcesz. Ja napiszę list, w którym będę się chwalił, jak wielką przyjemność sprawiło mi zabicie Masona.

- Nie, doktorze Lecter. Przykro mi. Jest już za późno. Wszystko przygotowałam. - Spojrzała mu w twarz błękitnymi oczyma rzeźnika. Zabicie Masona nie zakłóci mi snu, wie pan o tym.

- Owszem. Zawsze podobała mi się w tobie ta cecha. Jesteś dużo bardziej interesująca, dużo... zdolniejsza od brata. Wstała, żeby odejść.

- Przepraszam, doktorze, jeśli moje przeprosiny mają dla pana wartość. Zanim dotarła

do drzwi, usłyszała głos Lectera.

- Margot, kiedy Judy ma następną owulację?

- Co? Chyba za dwa dni.

- Masz wszystko, czego ci trzeba? Preparaty, sprzęt do szybkiego zamrażania?

Przytaknęła.

- Zaopatruje nas klinika.

- Zrób coś dla mnie.

- Tak?

- Przeknij mnie i wyrwij mi trochę włosów, najlepiej z czubka głowy. Z kawałkiem skóry. Trzymaj je w dłoni, wracając do domu. Pomyśl o włożeniu ich do ręki Masona. Kiedy już nie będzie żył. - Zamilkł na chwilę. - W domu poprosisz Masona o to, czego potrzebujesz. Zobaczysz, co powie, jak zareaguje. Dostarczyłaś mnie, wywiązałaś się ze swojej części umowy. Kiedy roześmieje ci się w twarz, wróc do mnie. Będziesz musiała wziąć strzelbę ze środkiem usypiającym i strzelić do tego za tobą. Albo uderzyć go młotkiem. Ma przy sobie nóż. Przetniesz mi tylko pęta na jednej ręce i dasz nóż. Potem będziesz mogła wyjechać. Ja zrobię resztę.

- Nie.

- Margot?

Położyła rękę na drzwiach, zdecydowana nie poddawać się.

- Nadal potrafisz rozłupać orzecha w dłoni?

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła dwa orzechy. Mięśnie przedramienia napięły się i skorupki trzasnęły.

Doktor zachichotał.

- Wspaniale. Co za siła! Orzechy. Możesz je dać Judy, żeby mogła zabić smak Masona.

Margot wróciła do niego z zaciśniętymi zębami. Splunęła Lecterowi w twarz i wyrwała mu kosmyk włosów z czubka głowy. Trudno powiedzieć, dlaczego to zrobiła.

Wychodząc ze stodoły, słyszała, że doktor coś nuci.

Szła w stronę oświetlonego domu z małym zakrwawionym kawałkiem skóry przyklejonym do dłoni. Nie musiała zaciskać palców wokół włosów.

Minął ją Cordell w meleksie załadowanym sprzętem medycznym. Jechał przygotować pacjenta.

## ROZDZIAŁ 84

Z estakady przy wyjeździe z autostrady numer trzydzieści Starling dostrzegła w odległości około kilometra oświetloną stróżówkę, forpocztę Muskrat Farm. Po drodze do Marylandu podjęła decyzję: wjedzie od tyłu. Gdyby pojawiła się przy głównej bramie bez odpowiednich dokumentów i bez nakazu, zostałaby pod eskortą wywieziona z okręgu lub wylądowałaby w areszcie. I zanim wyszłaby na wolność, byłoby już po wszystkim.

Mniejsza o pozwolenie. Dojechała do wyjazdu numer dwadzieścia dziewięć, sporo za Muskrat Farm, i wróciła drogą lokalną. Asfaltowa trasa wydawała się bardzo ciemna w porównaniu z jasno oświetloną autostradą, która teraz była po prawej stronie. Po lewej ciągnął się rów, a za nim było wysokie siatkowe ogrodzenie oddzielające drogę od posępnej czerni lasu. Starling znalazła na mapie oddalone o niespełna dwa kilometry miejsce, gdzie asfaltówkę miała przeciąć żwirowa droga. Tam właśnie przez pomyłkę zatrzymała się podczas pierwszej wizyty. Według mapy żwirówka biegła przez las aż do Muskrat Farm, poza polem widzenia strażników. Spoglądała na licznik kilometrów. Mustang wydawał się głośniejszy niż zwykle. Choć silnik pracował na niskich obrotach, jego warkot odbijał się od drzew.

Światła samochodu wyłowiły z mroku ciężką, metalową bramę uwieńczoną na górze drutem kolczastym. Tabliczka z napisem WJAZD SŁUŻBOWY, którą widziała podczas wcześniejszego pobytu, zniknęła. Przed bramą i na przejeździe wyrosły chwasty.

W światłach reflektorów dostrzegła, że rośliny niedawno przygnieciono. Tam, gdzie drobny żwir został podmyty, a zamiast niego leżała warstwa piasku, zobaczyła ślady opon. Czy były takie same, jak ślady furgonetki na pasie zieleni przy supermarkecie? Nie mogła tego stwierdzić na pewno, ale nie wykluczała takiej możliwości.

Bramę zabezpieczono chromową kłódką i łańcuchem. Starling rozejrzała się. Nikt nie nadjeżdżał. Małe włamanko. Czuła się jak przestępca. Sprawdziła, czy na słupkach nie ma przewodów od czujników. Nie. Za pomocą dwóch spinek, z małą latarką w zębach, w niecałe piętnaście sekund otworzyła kłódkę. Wjechała na teren posiadłości, zatrzymała się daleko między drzewami i wróciła zamknąć bramę. Z powrotem założyła łańcuch, z kłódką na zewnątrz. Luźno wiszące końce łańcucha zostawiła po wewnętrznej stronie, żeby móc w razie konieczności staranować bramę samochodem.

Kciukiem odmierzała odległość na mapie i obliczyła, że od centrum farmy dzielą ją trzy kilometry drogą przez las. Ruszyła ciemnym tunelem. Spomiędzy tworzących sklepienie gałęzi czasem przebijało nocne niebo. Wrzuciła drugi bieg i jechała na wolnych obrotach na

światłach postojowych. Starła się robić jak najmniej hałasu. Chwasty ocierały się o podwozie. Kiedy licznik pokazał dwa i pół kilometra, zatrzymała wóz i wyłączyła silnik. Usłyszała krzyk wrony w ciemności. Wronę coś zdenerwowało. Starling modliła się, żeby to była wrona.

## ROZDZIAŁ 85

Cordell wszedł do magazynu w stodole dziarskim krokiem niczym kat. Pod pachami niósł kroplówki ze zwisającymi rurkami.

- Doktor Hannibal Lecter we własnej osobie! - powiedział na powitanie. - Bardzo chciałem mieć pańską maskę w naszym klubie w Baltimore. Razem z moją dziewczyną prowadzimy lokal, coś w stylu zamkowych lochów. Obowiązują skórzane stroje.

Położył przyniesione rzeczy na podstawce do kowadła i wetknął do ognia pogrzebacz.

- Mam dobrą i złą wiadomość - oświadczył pogodnym, pielęgniarским głosem z lekkim szwajcarskim akcentem. - Mason zaznajomił pana z programem spotkania? Plan przedstawia się następująco: za chwilę sprowadzę na dół Masona. Potem świnie skonsumują pańskie stopy. Przeczeka pan noc i jutro Carlo razem z braćmi wystawią przez kraty pańską głowę, żeby świnie mogły najpierw zjeść twarz, tak jak psy zjadły twarz Masona. Do samego końca utrzymam pana przy życiu dzięki kroplówkom i opaskom uciskowym. Sytuacja wygląda naprawdę poważnie. I to była zła wiadomość.

Cordell zerknął na monitor telewizyjny, żeby się upewnić, czy jest wyłączony.

- A teraz dobra wiadomość. Nie musi boleć bardziej niż podczas wizyty u dentysty. Proszę popatrzeć, doktorze. - Cordell podetknął Lecterowi pod nos strzykawkę z drugą igłą. - Pomówmy jak dwaj przedstawiciele profesji medycznej. Istnieje możliwość zastosowania znieczulenia rdzeniowego. Nic pan nie poczuje w nogach. Mógłby pan zamknąć oczy i próbować nie słuchać.

Będzie pan tylko czuł szarpnięcia. Kiedy Mason napatrzy się. i wróci do domu, podam panu coś, co zatrzyma pracę serca. Chce pan zobaczyć? - Cordell przysunął fiolkę do otwartego oka Lectera, ale na tyle daleko, żeby doktor go nie ugryzł.

Światło ognia drgało na chciwej twarzy Cordella. Majordomus miał błyszczące, szczęśliwe oczy.

- Jest pan bardzo bogaty, doktorze Lecter. Wszyscy to mówią. Ja umiem dbać o własne interesy, obracam pieniędzmi. Niech pan ruszy forszę, coś z nią zrobi. Ja mogę dokonywać transakcji telefonicznie i założę się, że pan też może.

Cordell wyjął z kieszeni komórkę.

- Zadzwonimy do pańskiego banku, poda pan kod, dostanę potwierdzenie i wtedy zaopiekuję się panem. - Podniósł strzykawkę. - Trysk, trysk. A więc...

Doktor Lecter wymamrotał coś z pochyloną głową. „Walizka” i „skrytka” - tylko tyle zdołał usłyszeć Cordell.

- No, panie doktorze. Będzie pan mógł po prostu zasnąć.

- Nie oznaczone banknoty studolarowe... - wymamrotał Lecter i jego głos zamarł.

Majordomus pochylił się niżej. Doktor Lecter wyciągnął jak najdalej szyję, chwycił swoimi małymi ostrymi ząbkami brew Cordella i wyrwał spory kawałek, kiedy pielęgniarz odskoczył. Doktor Lecter wypluł brew jak skórkę winogrona w twarz Cordella.

Cordell przemył ranę i nałożył na nią plaster.

Schował strzykawkę.

- Niewdzięcznik - mruknął. - Przed świtem inaczej na to spojrzysz. Mam tutaj środki pobudzające, które zapewnią ci niesamowite doznania. Pocierpisz trochę, już moja w tym głowa.

Wyjął pogrzebacz z ognia.

- Teraz cię podłączę - zapowiedział. - Jeśli będziesz stawiał opór, zostaniesz poparzony. Oto, co się wtedy czuje.

Rozpalonym koniuszkiem pogrzebacza przypiekł przez koszulę sutek doktora Lectera.

Lecter nie wydał żadnego dźwięku.

Do magazynu na wózku widłowym wjechał Carlo. Kiedy Piero i Carlo podnosili doktora, Tommaso czuwał w pobliżu. Miał naszykowaną strzelbę ze środkiem usypiającym. Przenieśli swoją ofiarę na widły wózka. Usadowili doktora na widłach podnośnika z ramionami przywiązanymi do orczyka i rozstawionymi nogami - każdą przymocowali do jednego zęba wideł.

Majordomus wbił igły w żyły na rękach doktora Lectera. Musiał stanąć na beli siana, żeby zawiesić kroplówki na maszynie z obu stron. Po chwili odsunął się, aby ocenić efekty swojej pracy. Doktor wyglądał dziwnie, rozciągnięty na wózku, podłączony do kroplówek, jak parodia czegoś, choć

Cordell nie pamiętał czego. Tuż nad kolanami doktora umocował opaski uciskowe z pętlami, które można było zaciskać zza ogrodzenia, żeby nie dopuścić do wykrwawienia się. Teraz nie mógł pociągnąć za sznurki. Mason byłby wściekły, gdyby stopy Lectera zdrętwiały.

Czas sprowadzić Masona na dół i wnieść go do furgonetki. W zaparkowanym za stodołą wozie było zimno. Sardyńcy zostawili tam jedzenie. Cordell zaklął i wyrzucił ich lodówkę na ziemię. Będzie musiał odkurzyć tę pieprzoną furgonetkę. I przewietrzyć. Ci cholerni Sardyńcy palili tam papierosy pomimo wyraźnego zakazu. Zapalniczkę zamontowali na dawnym miejscu. Przewód z monitora urządzenia lokacyjnego zwisał z tablicy rozdzielczej.

## ROZDZIAŁ 86

Starling wyłączyła światło w samochodzie i zanim otworzyła drzwi, odblokowała zamek pokrywy bagażnika.

Jeśli na farmie jest doktor Lecter, jeśli uda jej się go przechwycić, może zdoła założyć mu kajdanki, wpakować do bagażnika i wywieźć do więzienia okręgowego. Miała cztery pary kajdanek i tyle liny, żeby dokładnie związać Lectera i uniemożliwić mu wierzganie. Wołała nie myśleć o jego sile.

Wystawiła z samochodu nogę i zauważyła, że żwir pokryty jest lekką sadzią. Stary samochód zaskrzypiał, kiedy wstała z siedzenia.

- Musisz jęczeć, ty stara gadzino? - syknęła cicho. Nagle przypomniała sobie swoje rozmowy z Hannah, klaczą, na której odjechała w noc, jak najdalej od rzezi owiec. Przymknęła drzwi samochodu. Kluczyki powędrowały do ciasnej kieszeni w spodniach, żeby nie brzęczały.

Pod kwadrą księżycy noc była jasna. Dopóki Starling miała nad sobą otwarte nocne niebo, mogła poruszać się bez latarki. Próbowwała iść poboczem żwirówki, ale okazało się grząskie i wyboiste. Robiła mniej hałasu, posuwając się po ubitych śladach kół ciężarówki. Z lekko odwróconą głową spoglądała kątem oka do przodu, sprawdzając, jak dalej biegnie droga. Brnęła przez strumień ciemności.

Najgorszy moment przyszedł w chwili, gdy straciła z oczu mustanga.

Poczuła, że jest trzydziestotrzyletnią kobietą ze złamaną karierą, bez własnej broni, sama w ciemnym lesie. Zobaczyła siebie bardzo wyraźnie: zmarszczki zaczęły się zaznaczać w kącikach oczu. Gwałtownie zapragnęła wrócić do samochodu. Zwolniła, zatrzymała się. Słyszała swój oddech.

Zakrakąła wrona, wiatr poruszył gołymi gałęziami. Wtem noc rozdarł krzyk: potworny, rozpaczliwy, wzmagający się i cichnący, zakończony błaganiami o śmierć. *Uccidimi!* I znów krzyk.

Starling znieruchomiała, lecz drugi krzyk pchnął ją do przodu. Zaczęła biec. Brnęła przez ciemność z pistoletem w kaburze, z wyłączoną latarką, z dłonią wyciągniętą przed siebie. Mason, nie rób tego! Nie rób tego! Szybciej. Szybciej.

Słuchała odgłosu swoich kroków i wyczuwała luźny żwir po obu stronach. Pozostawała na ubitym pasie drogi. Szeroka ścieżka skręciła i zaczęła prowadzić wzdłuż ogrodzenia. Solidnego, metalowego, wysokiego prawie na dwa metry.

Dobiegły ją szloch, błaganie o litość i wzmagający się krzyk. Za ogrodzeniem coś



poruszyło się w krzakach - trucht lżejszy od uderzeń końskich kopyt, o szybszym rytmie. Usłyszała znajome chrząkania.

Rozdzierające krzyki, najwyraźniej ludzkie, rozbrzmiewały coraz bliżej. Były zniekształcone. Przez sekundę dołączył do nich gwizd interferencyjny. Starling zrozumiała, że to nagranie albo głos wzmocniony przez mikrofon. Zauważyła światło wśród drzew, zza których wylaniała się stodoła. Przycisnęła głowę do zimnego żelaza. Popatrzyła przez ogrodzenie. Przemykające długie cienie sięgały jej do bioder. Czterdzieści metrów otwartej przestrzeni dzieliło ją od stodoły z szeroko otwartymi drzwiami. Wzdłuż stodoły biegła barierka. Nad furtką zawieszono ozdobne lustro, które odbijało światło ze stodoły, rzucając na ziemię jasną plamę. W zagrodzie stał krępy mężczyzna w kapeluszu z przenośnym magnetofonem. Jedną ręką zakrywał ucho, gdy z urządzenia wydobywały się jęki i szlochy.

Z zarośli wyłoniły się dzikie świny. Rozjuszony, szybkie jak wilki, długonogie, o silnych karkach, kudłate, z nastroszoną szarą szczecina.

Carlo pędem przebiegł przez furtkę. Zamknął ją, kiedy od zwierząt dzieliło go jeszcze trzydzieści metrów. Zatrzymały się w półkolu, wyczekując: wielkie zakrzywione kły nadawały ryjom wieczny wyraz niezadowolenia. Jak piłkarze czekający na rzut różny ruszały do przodu, stawały, rozpychały się, chrząkając i zgrzytając zębami.

Starling знаła zwierzęta hodowlane, ale nigdy nie widziała czegoś podobnego: te świny wyróżniały się przerażającym pięknem, wdziękiem i szybkością. Obserwowały furtkę, rozpychały się, wysuwały do przodu, cofały, cały czas zwrócone przodem do bariery przy stodole.

Carlo powiedział coś przez ramię i zniknął w stodole.

W otwartych wierzejach pokazała się maska furgonetki. Starling natychmiast rozpoznała szary wóz. Z kabiny wysiadł Cordell i otworzył przesuwane boczne drzwi. Zanim zgasił górne światło, Starling dostrzegła w środku podłączonego do respiratora Masona. Siedział wsparty na poduszkach. Na klatce piersiowej widniał zwój włosów. Nad wierzejami stodoły rozbłysły reflektory.

Carlo podniósł z ziemi coś, czego Starling początkowo nie rozpoznała. Wyglądało jak czyjeś nogi lub dolna połowa ciała. Gdyby tak było, Carlo musiałby być bardzo silny. Przez chwilę Starling przestraszyła się, że widzi szczątki doktora Lectera, lecz kończyny były powyginane jakoś dziwnie.

To mogą być nogi Lectera, połamane i powykręcane, pomyślała ze zgrozą. Carlo zawołał coś za siebie. Starling usłyszała warkot silnika.

W polu widzenia pojawił się kierowany przez Piera wózek widłowy z wysoko

podniesionym Lecterem. Doktor miał ramiona rozpostarte na orczyku, nad nim kołysały się kropłówki. Z góry Lecter widział wygłodniałą trzodę. Widział, co go czeka.

Wózek poruszał się wolno jak na procesji. Obok szedł Carlo, a z drugiej strony uzbrojony Johnny Mogli.

Starling przez chwilę zatrzymała wzrok na odznace Mogliego. Gwiazda: nie jest tutejszy. Siwe włosy, biała koszula jak u kierowcy furgonetki porywaczy.

Z samochodu dobiegł głęboki głos Masona. Zanucił *Pomp and Circumstance* i zachichotał.

Podniecone hałasem świnie nie bały się maszyny. Sprawiały wrażenie, jakby na nią czekały.

Wózek zatrzymał się przy barierce. Mason powiedział do doktora Lectera coś, czego Starling nie usłyszała. Lecter nie poruszył głową ani w żaden inny sposób nie zareagował na słowa Vergera. Znajdował się wyżej nawet od Piera kierującego wózkiem. Czyżby patrzył w stronę Starling? Nie wiedziała. Biegła szybko wzdłuż ogrodzenia. Dotarła do stodoły i znalazła podwójne drzwi, przez które wjechała furgonetka.

Carlo cisnął wypchane spodnie do zagrody. Wszystkie świnie skoczyły do przodu. Przepychały się, bo przy każdej nodze starczyło miejsca tylko dla dwóch. Szarpały, kwiczały, ciągnęły i pruły. Kręciły łbami. Rozdzierały na kawałki martwe kurczaki, wnętrzności fruwały dookoła. Kłębowisko miotających się, porośniętych szczecią grzbietów.

Carlo poczęstował zwierzęta bardzo lekką przystawką, ledwie trzema kurczakami i małą sałatką. Po chwili spodnie zamieniły się w strzępy, a zaślinione świnie spoglądały łakomie ku barierce.

Piero opuścił widły tuż nad ziemię. Górna część furtki miała chronić przed świniami wszystkie narządy doktora Lectera prócz stóp. Carlo zdjął doktorowi buty i skarpety.

- Ta mała świnka przez całą drogę do domu kwiczała iii, iii, iii - zawołał z furgonetki Mason.

Starling podeszła ich od tyłu. Wszyscy patrzyli w drugą stronę, na świnie. Przeszła przez drzwi magazynu i stanęła na środku stodoły.

- Nie pozwólcie mu się wykrwawić! - krzyknął z samochodu Cordell. - Bądźcie gotowi, kiedy każę wam zacisnąć pętle w opaskach uciskowych. - Czyścił okular Masona ściereczką.

- Ma pan coś do powiedzenia, doktorze Lecter? - zabrzmiał głęboki głos Masona.

Ze stodoły dobiegł huk wystrzału i głos Starling.

- Ręce do góry! Nie ruszać się! Wyłączyć silnik! Piero nie zrozumiał.

- *Fermate il motore* - odpowiedział mu życzliwie doktor Lecter.

Niecierpliwe popiskiwanie świń.

Spostrzegła broń na biodrze siwowłosego mężczyzny z gwiazdzistą odznaką. Kabura z otworem na kciuk. Musi kazać im się położyć.

Cordell błyskawicznie wślizgnął się za kierownicę i furgonetka z wrzeszczącym na majordomusa Masonem odjechała. Starling obróciła się za samochodem. Kątem oka dostrzegła ruch siwowłosego. Zrobiła szybki zwrot. Mogli zawołał „Policja!” i wyciągał broń. Starling dwa razy trafiła go w klatkę piersiową.

Strzelił jeszcze ze swojego magnum w ziemię, pół metra przed sobą. Cofnął się trochę, osunął na kolana i spojrzał w dół: gruby nabój przebił odznakę i bokiem przeszedł przez serce.

Mogli upadł na plecy i znieruchomiał.

W magazynie strzały usłyszał Tommaso. Chwycił karabin pneumatyczny, wspiął się na poddasze i na kolanach zakradł do miejsca, z którego miał widok na stodołę.

- Teraz wy - odezwała się Starling głosem, którego nie rozpoznała. Szybko, póki są pod wrażeniem śmierci siwowłosego. - Na ziemię! Ty twarzą do ściany. A ty odwróć głowę w drugą stronę. W drugą stronę.

- *Girati dall' altra parte* - wyjaśnił z wózka doktor Lecter.

Carlo spojrzał na Starling. Przekonał się, że go zabije, więc pozostał nieruchomy na miejscu. Jedną ręką założyła im szybko kajdanki. Nadgarstki Carla połączyła z kostkami Piera. Cały czas trzymała przy uchu jednego z mężczyzn odbezpieczony pistolet.

Wyciągnęła z buta nóż i podeszła do doktora przytroczonego do wózka.

- Dobry wieczór, Clarice - powiedział.

- Może pan chodzić?

- Tak.

- Dobrze pan widzi?

- Tak.

- Zamierzam pana uwolnić. Ale z całym szacunkiem, doktorze, jeśli zechce mi pan wyciąć jakiś numer, zastrzelę pana, tu i teraz. Jasne?

- Oczywiście.

- Proszę być posłusznym, a nic się panu nie stanie.

- Przemawia przez panią prawdziwa protestantka. Starling działała szybko. Nóż był ostry, a na śliskim nowym sznurze ząb-kowane ostrze sprawdzało się najlepiej. Oswobodziła prawe ramię doktora.

- Mogę dokończyć sam, jeśli dasz mi nóż.

Zawahala się. Zrobiła duży krok do tyłu i podała mu krótki nóż.

- Mój samochód stoi kilkaset metrów stąd, na zwirowej drodze. - Musiała teraz obserwować i doktora, i mężczyzn na ziemi.

Miał już wolną jedną nogę. Zajął się drugą. Przecinał oddzielnie każdy węzeł. Doktor Lecter nie mógł spojrzeć do tyłu, gdzie leżeli twarzami do ziemi Carlo i Piero.

- Tylko potem niech pan nie próbuje uciekać. Nie dobiegnie pan do drzwi. Dam panu dwie pary kajdanek - powiedziała Starling. - Z tyłu, na ziemi, jest dwóch skutych facetów. Niech pan każe im podczołgać się do wózka. Trzeba podczepić ich do widłaka, żeby nie mogli dostać się do telefonu. Potem proszę samemu założyć sobie kajdanki.

- Dwóch? - zapytał. - Uwaga, powinno ich być trzech.

Powietrze przecięła srebrna w świetle reflektorów smuga. Nabój usypiający ze strzelby Tommasa utkwiał w plecach Starling. Odwróciła się oszołomiona. Próbowwała namierzyć cel, choć pociemniało jej w oczach. Zauważyła lufę pod dachem. Strzeliła, raz, drugi, trzeci, czwarty. Tommaso przeturlał się w głąb poddasza, atakowany przez grad ostrych drzazg. Niebieski dym z pistoletu unosił się do światła. Zawodził ją wzrok, ale strzeliła ponownie. Sięgnęła za biodro po magazynek, mimo że ugięły się pod nią kolana.

Hałasy jeszcze bardziej podnieciły świnię. Widząc ludzi w zachęcającej pozycji na ziemi, włochate bestie piszczały, chrząkały i napierały na barierkę.

Starling padła na twarz. Pusty pistolet wysunął się jej z ręki. Carlo i Piero podnieśli głowy i zaczęli czołgać się niezdarnie jak nietoperze w stronę ciała Mogliego. Chcieli dostać się do jego pistoletu i kluczyków od kajdanek. Odgłos pompowania broni pneumatycznej na poddaszu. Tommaso miał jeszcze jeden nabój usypiający. Podniósł się i wrócił na swoje stanowisko. Spojrzał znad lufy w stronę wózka, gdzie spodziewał się zobaczyć doktora Lectera.

Przed usadowionym na poddaszu Sardyńczykiem nie można się było ukryć.

Doktor Lecter wziął Starling na ręce i cofnął się szybko w stronę furtki. Cały czas pilnował, aby wózek znajdował się między nim a ostrożnie przesuającym się na poddaszu Tommasem. Padł strzał. Nabój przeznaczony dla doktora Lectera trafił w piszczel Starling. Lecter pociągnął za rygle przy furtce.

Oszalały ze strachu Piero chwycił łańcuszek z kluczami Mogliego. Carlo próbował doczołgać się do pistoletu policjanta. Świnię ruszyły pędem do posiłku, który usiłował podnieść się z ziemi. Carlowi udało się strzelić z magnum tylko raz. Jedno zwierzę dostało, lecz pozostałe przetoczyły się przez nie. Dopadły do Carla, Piera i ciała Mogliego. Niektóre

pomknęły dalej, przebiegły przez stodołę i wtopiły się w noc.

Doktor Lecter był za furtką, kiedy przebiegły przez nią świnie.

Z poddasza Tommaso zobaczył w kłębowisku świń twarz brata. Po chwili została z niej krwawa miazga. Rzucił strzelbę w siano. Doktor Lecter, wyprostowany niczym baletmistrz, ze Starling na rękach, przeszedł boso między świniami. Stapał przez morze miotających się ciał i krwawy pył. Kilka wielkich świń stanęło do niego przodem i pochyliło łby, szykując się do ataku.

Kiedy jednak nie wyczuły strachu, wróciły do łatwego łupu na ziemi.

Doktor Lecter zobaczył, że z domu nie nadchodzą posiłki. Gdy znalazł się pod drzewami na żwirowej drodze, zatrzymał się, żeby wyciągnąć naboje z ciała Starling i wyssać z ran anestetyk.

Przez pobliskie zarośla z trzaskiem przewaliły się świnie.

Doktor Lecter zdjął buty Starling i wcisnął je sobie na bose stopy. Pozostawił pistolet w kaburze na kostce Starling, żeby móc w każdej chwili sięgnąć po broń.

Dziesięć minut później strażnik przy głównej bramie spojrzął znad gazety w stronę odległego dźwięku przypominającego ryk myśliwca z silnikiem tłokowym. Przez estakadę autostrady przejeżdżał pięciolitrowy mustang. Silnik osiągał pięć tysięcy osiemset obrotów na minutę.

## ROZDZIAŁ 87

Mason jęczał i zawodził, żeby zabrać go z powrotem do pokoju. Płakał tak samo, jak wtedy, kiedy młodsze dzieci na obozie stawiały mu opór. Zanim przygniótł je swoim ciężarem, zdążył oberwać kilka kuksańców.

Margot i Cordell zawieźli Masona windą na górę, ułożyli go w łóżku i podłączyli do stałych źródeł prądu.

Margot nigdy nie widziała tak bardzo rozwścieczonego Masona - naczynka krwionośne pulsowały na wyeksponowanych kościach jego twarzy.

- Chyba podam mu coś na uspokojenie - zaproponował Cordell, gdy wyszli do pokoju z zabawkami.

- Jeszcze nie. Musi trochę pomyśleć. Daj mi kluczyki do swojej hondy.

- Po co?

- Trzeba zobaczyć, czy ktoś przeżył. Chcesz iść?

- Nie, ale...

- Wjadę twoim samochodem do magazynu, furgonetka nie zmieści się przez drzwi. Dawaj te cholerne klucze.

Na dole Margot zauważyła z podjazdu Tommasa. Biegł od strony lasu przez pole. Co chwila oglądał się za siebie. Zastanów się, Margot. Spojrzała na zegarek. Dwudziesta dwadzieścia. O północy przyjdzie zmiennik Cordella. Jest czas, żeby sprowadzić helikopterem ludzi z Waszyngtonu i zrobić porządek. Podjechała po trawie do Tommasa.

- Próbowałem ich dogonić, zaatakowała mnie świnia. On... - Tommaso pokazał na migi, jak doktor Lecter niósł na rękach Starling - tę kobietę. Odjechali głośnym samochodem. Ona ma *due* - pokazał dwa palce - *freccette*. - Wskazał na plecy i nogę. - *Freccette. Dardi*. Wbite. Bam. *Due freccette*.

-Kule -podpowiedziała Margot.

- Kule, może za dużo *narcotico*. Może nie żyje.

- Wsiadaj - rozkazała Margot. - Musimy zobaczyć.

Margot wjechała przez podwójne boczne drzwi, przez które wcześniej dostała się do stodoły Starling. Piski, chrząkania i kłębiące się pokryte szczecina ciała. Ruszyła dalej. Hałas klaksonu rozproszył zwierzęta. Margot dostrzegła nierozpoznawalne szczątki trzech mężczyzn.

Wjechała do magazynu. Zamknęli za sobą drzwi.

Margot pomyślała, że Tommaso jest jedynym pozostałym przy życiu świadkiem, nie

licząc Cordella.

Myśl ta zapewne przemknęła również przez głowę Tommasa. Stał w bezpiecznej odległości od Margot. Nie spuszczał z jej twarzy ciemnych inteligentnych oczu. Miał łyzy na policzkach.

Zastanów się, Margot. Nie chcesz, żeby Sardyńczycy popsuli ci szyki. Wiedzą przecież, że ty dysponujesz pieniędzmi. Wydadzą cię bez zastanowienia.

Tommaso śledził jej rękę, która sięgnęła do kieszeni.

Telefon komórkowy. Wybrała numer na Sardinie, do domu bankiera z banku Steuben. Zamieniła z nim kilka słów i podała telefon Tommasowi. Kiwnął głową, odpowiedział, znów kiwnął głową i oddał komórkę Margot. Pieniądze należały do niego. Wdrapał się na poddasze, zabrał swój plecak, a także płaszcz doktora Lectera i jego kapelusz. Kiedy zbierał rzeczy, Margot wzięła paralizator, sprawdziła, czy działa, i schowała go do rękawa. Zabrała też kowalski młotek.

## ROZDZIAŁ 88

Tommaso wysadził Margot przy domu. Miał zostawić hondę na parkingu przy międzynarodowym lotnisku Dullesa. Margot obiecała, że dołoży starań, by pochować szczątki Piera i Carla.

Czuł, że musi jej coś powiedzieć. Zebrał się w sobie i postarał się wyrazić to jak najlepiej po angielsku.

- *Signorina*, świnię pomogły *Dottore*. Odstąpiły od niego. Zabiły mojego brata, zabiły Carla, ale nie tknęły doktora Lectera. Myślę, że one oddają mu cześć. - Tommaso przeżegnał się. - Nie powinna go pani gonić.

I przez całe swoje długie życie na Sardynii Tommaso opowiadał tę historię. Gdy dobiegł sześćdziesiątki, twierdził, że doktor Lecter z kobietą na rękach opuścił stodołę niesiony na świńskich grzbietach.

Kiedy samochód oddalił się zwirową drogą, Margot stała przez kilka minut. Spoglądała na oświetlone okna pokoju Masona. Widziała cień krzątającego się Cordella. Pielęgniarz podłączał monitory śledzące oddech i puls jej brata.

Wsunęła rączkę młotka z tyłu do spodni i przykryła wystającą główkę połami kurtki.

Kiedy Margot wyszła z windy, Cordell wynosił z pokoju Masona poduszki.

- Cordell, nalej mu martini.

- Nie wiem...

- Ale ja wiem. Rób, co każę.

Cordell odłożył poduszki na kanapę i przyklęknął przy lodówce.

- Jest tam jakiś sok? - zapytała Margot, stając tuż za majordomusem. Zamachnęła się młotkiem i uderzyła go mocno w podstawę czaszki. Trzask miazdzonej kości. Głowa Cordella walnęła o lodówkę i odskoczyła do tyłu. Mężczyzna upadł na plecy z otwartymi oczami wpatrzonymi w sufit. Jedna źrenica rozszerzyła się, druga nie. Margot obróciła bezwładną głowę na bok i zadała drugi cios młotkiem. W skroni zrobiło się dwucentymetrowe wgłębienie. Z uszu popłynęła gęsta krew.

Nie czuła zupełnie nic.

Mason usłyszał ciche skrzypnięcie otwieranych drzwi. Zwrócił ku nim swoje wylupiaste oko. Zdrzemnął się na chwilę przy przygaszonym świetle. Murena też spała w skalnym ukryciu.

Potężna kobieca sylwetka wypełniała przestrzeń między framugami. Margot zamknęła za sobą drzwi.



- Cześć, Mason.

- Co się stało tam na dole? Dlaczego, cholera, nie było cię tyle czasu?

- Wszyscy zginęli, Masonie. - Margot podeszła do łóżka i odczepiła kabel od telefonu.

Rzuciła przewód na podłogę. - Piero, Carlo i Johnny Mogli nie żyją. Doktor Lecter uciekł i uprowadził Starling.

Między zębami Masona pojawiła się piana, kiedy przeklinał.

- Wysłałam Tommasa do domu z pieniędzmi.

- Co takiego? Ty głupia pieprzona suko! Posłuchaj, trzeba wszystko uprzątnąć i zacząć od początku. Mamy cały weekend. Nie musimy się martwić tym, co widziała Starling. Jeśli jest w rękach Lectera, to tak, jakby nie żyła.

Margot wzruszyła ramionami.

- Mnie nie widziała.

- Dzwon do Waszyngtonu i sprowadź czwórkę z tej bandy kretyńców. Wyślij po nich helikopter. Pokaż im wózek widłowy, pokaż im ... Cordell! Chodź tutaj. -Mason dmuchnął w jedną z piszczałek. Margot odsunęła rurki i pochyliła się nad Masonem, żeby widział jej twarz.

- Cordell nie przyjdzie. Nie żyje.

- Co?

- Zabiłam go w pokoju z zabawkami. A teraz wezmę od ciebie to, co mi obiecałeś. - Podniosła boczne poręcze przy łóżku, uniosła wielki zwój włosów i ściągnęła kołdrę. Nogi Masona nie były grubsze od wałków do ciasta.

Jego ręka, jedyna kończyna, którą mógł poruszać, zatrzepotała przy telefonie. Respirator nadymał się i opadał regularnym rytmem.

Margot wyjęła z kieszeni prezerwatywę bez środka plemnikobójczego i podniosła tak, żeby mógł ją zobaczyć. Z rękawa dobiła paralizator.

- Pamiętasz, Masonie, jak spluwałeś na swojego kutasa, żeby lepiej wchodził? Sądziś, że i teraz mógłbyś użyć mi trochę śliny? Nie? Może ja to zrobię.

Kiedy pozwalał mu na to oddech, Mason wydawał z siebie dźwięki podobne do ryków osła, lecz gdy minęło pół minuty, było już po wszystkim. Żniwo wydawało się zaskakująco obfite.

- Już nie żyjesz, Margot. - Jej imię brzmiało bardziej jak „Nargot”.

- Ależ, Masonie, przecież my wszyscy jesteśmy martwi. Nie wiedziałeś? Natomiast one, wręcz przeciwnie - powiedziała, chowając pod bluzę ciepły pojemnik. -Wijają się. Pokażę ci, jak. Zorganizuję małą prezentację.

Margot podniosła leżące przy akwarium kolczaste rękawice do chwytania ryb.

- Mógłbym zaadoptować Judy - zaproponował Mason. - Uczyniłbym ją swoją spadkobierczynią. Założylibyśmy trust.

- Pewnie - Margot wyjęła z pojemnika karpia. Stała na krześle i zdjęła z wielkiego akwarium wieko. - Ale nie zrobimy tego.

Pochyliła się nad akwarium i zanurzyła muskularne ramiona w wodzie. Trzymała karpia za ogon, blisko skalnej grotki. Kiedy murena się wychyliła, chwyciła ją mocno za łeb i sprawnie wyciągnęła z wody. Potężna ryba wyrwała się, sięgała Margot do stóp. Kobieta chwyciła murenę drugą ręką, zaciskając wokół niej kolczaste rękawice.

Podeszła do Masona. Ostrożnie niosła prężącą się murenę. Zakrzywione do wewnątrz zęby drapieżnika, z których nie wyrwała się żadna zdobycz, kłapały jak telegraficzny klawisz. Margot rzuciła murenę na tors Masona, na respirator. Jedną ręką przytrzymała rybę, drugą okręcała wokół niej włosy Masona.

- Patrz, jak się wije - powiedziała.

Prawą dłonią trzymała murenę, a lewą napierała całym ciężarem na szczękę brata, który bronił się resztkami sił. Wreszcie otworzył usta ze skrzypiącym, trzeszczącym dźwiękiem.

- Powinieneś przyjąć czekoladę powiedziała Margot i wpełnęła Masonowi do ust paszczę mureny. Drapieżnik uczeplił się języka i nie puszczał. Nigdy nie puszczał. Młócił swoim ciałem zaplątany we włosy. Przez szparę nosową Masona buchnęła krew. Tonął.

Margot zostawiła ich samych - brata i murenę - a tymczasem karp samotnie krążył w akwarium. Uspokoiła się przy biurku Cordella i obserwowała monitory, aż krzywe Masona zamieniły się w linie proste.

Murena wciąż się poruszała, kiedy wróciła do pokoju brata. Respirator nadymał się i opadał. Rytmicznie nadmuchiwał pęcherz powietrzny ryby

i pompował z płuc Masona krwawą pianę. Margot opłukała w akwarium paralizator i schowała go do kieszeni.

Wyjęła z kieszeni plastikową torebkę z kawałkiem skóry doktora Lectera i pasmem jego włosów. Paznokciami Masona zeskrobała krew ze skalpu. Nie było to łatwe zadanie, bo murena wciąż się poruszała. Margot owinęła włosy doktora Lectera wokół sztywnych palców. Na koniec w jednej z rękawiczek do chwytania ryb zostawiła pojedynczy włos doktora.

Wyszła z domu, nie oglądając się na martwego Cordella, i pojechała do Judy ze schowanym w ciepłym miejscu trofeum.

# CZEŚĆ VI

## DŁUGA ŁYŻKA

Zatem wypada wziąć pełną długą łyżkę,  
Która będzie jadła z diabłem.

Geoffrey Chaucer

Opowieści kanterberyjskie, „Opowieść kupca”

## ROZDZIAŁ 89

Clarice Starling śpi w dużym łóżku pod lnianą kołdrą i kocem. Ukryte w rękawach jedwabnej piżamy ramiona leżą na kołdrze - są skrepowane jedwabnymi szarfami tak, żeby nie mogła sięgnąć twarzy i odłączyć kroplówki.

W pokoju widać trzy świetliste punkty: niska lampa z kloszem i czerwone punkciki w źrenicach obserwującego ją doktora Lectera.

Doktor Lecter siedzi w fotelu z dłońmi pod brodą złożonymi na kształt daszka. Po pewnym czasie wstaje i mierzy Starling ciśnienie. Małą latarką bada źrenice. Sięga pod kołdrę i znajduje stopę. Wyciągają spod przykrycia, uważnie obserwując Starling. Stymuluje podszwę koniuszkiem klucza. Stoi tak przez chwilę, najwyraźniej zatopiony w myślach. Stopę trzyma delikatnie, jak gdyby miał w ręku małe zwierzątko.

Od producenta nabojów usypiających dowiedział się o ich składzie. Drugi nabój trafił Starling w kość piszczelową, doktor ma więc nadzieję, że nie dostała pełnej podwójnej dawki. Ze szczególną troską podaje antidotum.

Kiedy nie pielęgnuje Starling, siedzi w fotelu z grubym notatnikiem i liczy. Strony wypełnione są symbolami z astrofizyki i fizyki cząstek elementarnych. Doktor posługuje się również symbolami teorii kwarkowej. Nieliczni matematycy, którzy potrafiliby ocenić próby Lectera, mogliby powiedzieć, że jego równania zaczynają się wspaniale, lecz później marnieją, zniweczone myśleniem życzeniowym. Doktor Lecter pragnie, żeby czas się cofnął: rosnąca entropia nie powinna już wyznaczać kierunku czasu. Pragnie, by kierunek był wyznaczany przez rosnący porządek. Chce, żeby mleczne zęby Miszy wydostały się z kloaki. Za tymi rozpaczliwymi obliczeniami kryje się gorące pragnienie znalezienia dla Miszy miejsca na świecie. Być może jest to miejsce zajmowane teraz przez Clarice Starling.

## ROZDZIAŁ 90

Jest rano, do pokoju z zabawkami na Muskrat Farm wpada żółte słoneczne światło. Wielkie maskotki spoglądają plastikowymi oczami na zakryte ciało Cordella.

Nawet w środku zimy znalazła się mucha, która chodzi po płótnie poznaczonym plamami krwi.

Gdyby Margot Verger wiedziała, z jak nieznośnym stresem wiązać się będzie wysiłek ukrycia prawdy w tak bardzo śledzonej przez media zbrodni, być może nie wepchnęłaby mureny do gardła brata.

Postąpiła mądrze, że nie próbowała sprzątnąć pobojowiska na Muskrat Farm i zdecydowała się przeczekać burzę. Nikt żywy nie widział jej na farmie w chwili śmierci Masona i pozostałych.

Miała swoją wersję wydarzeń: w domu, który dzieliła z Judy, obudził ją telefon od przerażonego zmiennika Cordella. Kiedy przyjechała na miejsce zbrodni, zastała już tam ludzi szeryfa.

Główny oficer śledczy, detektyw Clarence Franks, był dość młodym mężczyzną o oczach osadzonych nieco zbyt blisko siebie. Ku rozczerowaniu Margot okazał się całkiem niegłupim facetem.

- Każdy może wjechać na górę tą windą, ale trzeba mieć klucz, tak? - zapytał ją Franks. Detektyw i Margot siedzieli jak na szpilkach obok siebie na kanapie.

- Tak, jeśli ci ludzie tędy się tu dostali.

- „Ludzie”? Sądzi pani, że morderców mogło być więcej?

- Nie mam pojęcia.

Wcześniej widziała przykryte prześcieradłem nieruchome ciało brata. Było wciąż zespolone z mureną. Ktoś wyłączył respirator. Funkcjonariusze z policji kryminalnej pobierali próbki wody z akwarium i krwi z podłogi. Widziała w dłoni Masona pasmo włosów Lectera. Jeszcze nie znaleźli doktora. Funkcjonariusze wydawali się Margot bliźniaczo podobni do siebie.

Detektyw Franks z zapamiętaniem gryzmołił coś w notesie.

- Wiadomo już, kim są tamte ofiary? - zapytała Margot.

- Jeszcze ustalamy tożsamość - odparł Franks. - Znalaziono trzy sztuki broni. W rzeczywistości ludzie szeryfa nie byli pewni, ile osób zginęło w stodole, bo świnie zniknęły w lesie, zabierając ze sobą na później ogołocone resztki.

- W trakcie śledztwa być może poprosimy panią i pani... przyjaciółkę o poddanie się

badaniu wariograficznemu. Wyraziłaby pani na to zgodę?

- Zrobię wszystko, żeby schwytać morderców. Jesteśmy z Judy do pańskiej dyspozycji. Może powinnam skontaktować się z rodzinnym prawnikiem?

- Nie, jeśli nie ma pani niczego do ukrycia.

- Do ukrycia? - Margot udało się uronić kilka łez.

- Przepraszam, ale wypełniam tylko swój obowiązek. - Franks chciał położyć dłoń na jej potężnym ramieniu, ale zaraz się rozmyślił.

## ROZDZIAŁ 91

Starling obudziła się w pachnącym świeżością półmroku. W jakiś pierwotny sposób wyczuwała bliskość morza. Poruszyła się lekko na łóżku. Wszystko ją bolało. Znow osunęła się w niepamięć. Kiedy się ocknęła, ktoś cichym głosem proponował ciepły napój. Smak naparu był podobny do herbatki ziołowej, którą przysyłała Mapp jej babcia.

Dzień i znow wieczór. Zapach świeżych kwiatów w domu. Słabe ukłucie igła. Pozostałości strachu i bólu majaczyły na horyzoncie jak głuche odgłosy i trzaski zimnych ogni, ale daleko, nigdy blisko. Była w ogrodzie oka cyklonu.

- Budzisz się, budzisz się, spokojnie. Budzisz się w przyjemnym pokoju - mówił do niej ktoś szeptem. W oddali słyszała dźwięki muzyki kameralnej.

Czuła się bardzo czysta, a jej skóra pachniała miętą, jakąś maścią, która dawała głębokie, kojące ciepło.

Starling otworzyła szeroko oczy.

W pewnej odległości stał doktor Lecter - nieruchomo jak w celi, gdzie zobaczyła go po raz pierwszy. Teraz jesteśmy przyzwyczajeni do widoku doktora bez więzów. Nie szokuje już oglądanie Lectera na otwartej przestrzeni przy innej śmiertelnej istocie.

- Dobry wieczór, Clarice.

Dobry wieczór, doktorze Lecter - odpowiedziała odruchowo. Nie miała pojęcia, jaka jest pora dnia czy nocy.

- Jeśli kiepsko się czujesz, to przez siniaki, które nabiłaś sobie przy upadku. Wszystko będzie dobrze. Chciałbym jednak coś sprawdzić. Mogłabyś spojrzeć na światło? - Zbliżył się do niej z małą latarką. Pachniał popeliną.

Zmuszała się, żeby nie zamykać powiek, kiedy badał źrenice. Znow się odsunął.

- Dziękuję. Tam jest bardzo wygodna łazienka. Chcesz wstać? Przy łóżku są kapcie. Musiałem pożyczyć od ciebie buty.

Przebywała na jawie, chociaż niezupełnie. Łazienka rzeczywiście okazała się bardzo wygodna, niczego w niej nie brakowało. Przez następne dni zażywała tam długich kąpieli. Nie przejmowała się swoim odbiciem w lustrze, do tego stopnia nie była sobą.

## ROZDZIAŁ 92

Dni wypełnione rozmową. Czasem słuchała samej siebie i zastanawiała się, kim jest ta osoba tak dobrze znająca jej myśli. Dni wypełnione snem, bulionem i omletami.

- Clarice, na pewno masz już dość tych koszul nocnych i piżam - stwierdził pewnego dnia doktor Lecter. - W garderobie jest trochę ubrań, które mogą ci się spodobać. Chciałabyś je założyć? -I dalej tym samym tonem: - Twoje osobiste rzeczy, torebkę, broń i portfel, schowałem w górnej szufladzie komody.

- Dziękuję, doktorze Lecter.

W garderobie znalazła sukienki, garsonki i długą połyskującą wieczorową suknię z koralikową górą. Spodobały jej się kaszmirowe spodnie i swetry. Wybrała brązowy kaszmir i mokasyny.

W szufladzie leżał jej pas. Była tam też indiańska kabura, pusta po straconym pistolecie. Przy torebce leżał jednak drugi futerał, a w nim skrócony colt 45. Magazynek był pełen nabożów, komora świeciła pustką jak wtedy, gdy Starling nosiła pistolet przy kostce. Znalazła też swój nóż schowany do pochwy. W torebce znajdowały się kluczyki do samochodu.

Starling była i jednocześnie nie była sobą. Kiedy myślała o tym, co się wydarzyło, widziała wszystko jakby z boku, samą siebie oglądała z oddali.

Kiedy doktor Lecter zabrał ją do garażu, ucieszyła się na widok mustanga. Spojrzała na wycieraczki i postanowiła je wymienić.

- Clarice, w jaki sposób ludzie Masona wysłedzili nas w supermarkecie?

Podniosła oczy i przez chwilę się zastanawiała.

W niespełna dwie minuty znalazła przewód antenowy biegnący między tylnym siedzeniem a półką z tyłu. Przewód zaprowadził ją do ukrytego pod podwoziem urządzenia lokacyjnego.

Wyłączyła je, chwyciła za antenę i zaniósła do domu. Wyglądało, jakby trzymała szczura za ogon.

- Zmyślne urządzenie - oceniła. - Coś nowego. Porządnie zainstalowane, trzeba przyznać. Jestem pewna, że są na nim odciski pana Krendlera. Poproszę plastikową torbę.

- Mogą namierzyć lokalizator z powietrza?

- Jest teraz wyłączony. Poza tym nie wyślą samolotów. Chyba że Krendler się przyzna, że podłączył urządzenie. Wiadomo, że tego nie zrobi.

- Mason nie żyje.



- Hmm - mruknęła Starling. - Zagra pan coś dla mnie?

## ROZDZIAŁ 93

Przez pierwsze dni po masakrze Paul Krendler miotał się między napadami zmęczenia i paniki. Zażądał, aby przesyłano mu bezpośrednie raporty z biura terenowego FBI w Marylandzie.

Nie obawiał się kontroli ksiąg rachunkowych Vergerów, starannie zakamuflowano przelewy na jego konto na Kajmanach. Po śmierci Masona nadal

miał wielkie plany, choć stracił patrona. Margot Verger wiedziała o pieniądzach, które dostał. Wiedziała również, że zdradził tajne informacje FBI dotyczące Lectera. Margot nie mogła się wygadać.

Martwił się monitorem do urzędu lokacyjnego. Wykrał go z Sekcji Technicznej w Quantico, a jego podpis widniał w rejestrze osób, które tego dnia odwiedziły sekcję.

Doktor Doemling i ten wielki pielęgniarz, Barney, widzieli go na Muskrat Farm. Nie robił jednak nic niezgodnego z prawem: rozmawiał tylko z Masonem Vergerem o sposobach schwytania Hannibala Lectera.

Wszyscy poczuli wielką ulgę, gdy czwartego dnia po masakrze Margot Verger odtworzyła detektywom świeżo nagrany wiadomość ze swojej automatycznej sekretarki.

Policjanci stali jak zahipnotyzowani w sypialni. Gapili się na łóżko, które Margot dzieliła z Judy, i wsłuchiwali się w głos potwora. Doktor Lecter chępił się śmiercią Masona. Zapewniał Margot, że konanie było bardzo bolesne i długie. Załkała i ukryła twarz w dłoniach. Judy podtrzymała przyjaciółkę. Wreszcie Franks wyprowadził Margot z pokoju.

- Nie musi pani tego znowu słuchać - powiedział jej.

Krendler ponaglał, aby taśmę z automatycznej sekretarki jak najszybciej przesłano do Waszyngtonu. Tam badania potwierdziły, że głos należał do doktora Lectera.

Lecz największą ulgę przyniosła Krendlerowi rozmowa telefoniczna czwartego dnia wieczorem.

Dzwonił kongresmen Yellmore z Illinois.

Krendler rozmawiał już z nim kilkakrotnie, lecz znał jego głos głównie z telewizji. Sam fakt, że kongresmen do niego dzwonił, był znaczący. Yellmore należał do podkomisji sądowniczej Kongresu i był wielkim oportunistą. Gdyby Krendler znalazł się w tarapatach, Yellmore trzymałby się od niego z daleka.

- Panie Krendler, wiem, że dobrze znał pan Masona Vergera.

- Tak, panie kongresmenie.

- Co za tragedia! Ten sadystyczny sukinsyn zniszczył Masonowi życie. Okaleczył go,

po czym wrócił, żeby zabić. Nie wiem, czy zdaje pan sobie z tego sprawę, ale jednym z zamordowanych podczas tej jatki jest człowiek z mojego okręgu. Johnny Mogli służył obywatelom stanu Illinois przez wiele lat w siłach porządkowych.

- Nie, panie kongresmenie, nie wiedziałem o tym. Bardzo mi przykro.

- Nie wolno się poddawać. Dzieło Vergerów, ich działalność filantropijna i żywe zainteresowanie sprawami publicznymi nie może się skończyć. Śmierć jednego człowieka nie przekreśli wszystkiego. Rozmawiałem z kilkoma osobami z dwudziestego siódmego okręgu i z ludźmi Vergera. Margot Verger dała mi do zrozumienia, że interesuje się pan służbą publiczną. Niesamowita kobieta. Ma zmysł praktyczny. Niedługo się spotkamy, zupełnie

nieoficjalnie, bez rozgłosu. Porozmawiamy o planach na listopad. Chcemy przyjąć pana na pokład. Myśli pan, że znajdzie czas na wspólną debatę?

- Tak, panie kongresmenie. Jak najbardziej.

- Margot w najbliższym czasie zadzwoni i przekaże panu szczegóły. Krendler odłożył słuchawkę. Ogarnęło go wielkie uczucie ulgi.

Znalezienie w stodole colta kaliber 45 zarejestrowanego na nieżyjącego Johna Brighamę, a teraz należącego do Clarice Starling, wywołało w FBI sporą konsternację.

Starling uznano za zaginioną, lecz jej sprawy nie zakwalifikowano jako porwanie. Nikt nie widział, aby została uprowadzona. Nie traktowano jej nawet jako agentki zaginionej na służbie. Starling była po prostu na urlopie w nieznanym miejscu. Rozpoczęto poszukiwania mustanga. Podano w komunikacie numer identyfikacyjny i numer tablicy rejestracyjnej, lecz bez podkreślania, do kogo wóz należał.

Porwanie angażuje organy ścigania w dużo większym stopniu niż przypadek zaginięcia. Zaklasyfikowanie Starling do grona osób zaginionych, a nie porwanych tak rozgniewało Ardelię Mapp, że napisała podanie o zwolnienie z FBI. Ostatecznie doszła jednak do wniosku, że będzie lepiej, jeśli poczeka i spróbuje coś zdziałać od środka. Co jakiś czas bezwiednie przechodziła do części bliźniaka Starling, żeby tam jej poszukać.

Na stronach Lectera w bazie danych VICAP i Państwowego Centrum Informacji Kryminalnej panowała irytująca stagnacja. Dodawano tylko trywialne informacje: włoska policja wreszcie odnalazła komputer doktora Lectera. Karabinierzy grali na nim w Super Mario w sali rekreacyjnej. Maszyna automatycznie wykasowała wszystkie dane w chwili, gdy funkcjonariusze wcisnęli pierwszy klawisz.

Od zniknięcia Starling Mapp nie dawała spokoju nikomu w FBI, kto miał jakiegokolwiek znaczenie.

Ponawiane telefony do domu Jacka Crawforda pozostawały bez odpowiedzi.

Zadzwońiła do Sekcji Behawioralnej. Usłyszała, że Crawford pozostał w szpitalu imienia Jeffersona, bo skarżył się na bóle w klatce piersiowej.

Nie dzwoniła do szpitala. W FBI Ardelia Mapp była ostatnim aniołem Starling.

## ROZDZIAŁ 94

Starling nie odczuwała upływu czasu. Dni i noce schodziły jej na rozmowach. Całymi minutami przysłuchiwała się własnemu głosowi.

Śmiała się z siebie, gdy słyszała szczerze wynurzenia, które kiedyś by ją zawstydziły. Często dziwiły ją historie opowiadane doktorowi Lecterowi. I choć osobie o przeciętnej wrażliwości czasem mogłyby wydawać się przykre, nigdy nie kłamała. Doktor Lecter też mówił. Niskim, jednostajnym głosem. Nie okazywał zdziwienia czy oburzenia. Starling czuła jego zainteresowanie i wsparcie.

Opowiedział jej o swoim dzieciństwie, o Miszy.

Czasem wpatrywali się w ten sam błyszczący przedmiot, kiedy zaczynali snuć opowieści. Prawie zawsze w pokoju znajdowało się tylko jedno źródło światła. Błyszczące przedmioty zmieniały się każdego dnia.

Dzisiaj rozpoczęli od refleksu światła na czajniczku od herbaty, lecz gdy rozmowa nabrała rumieńców, doktor Lecter wyczuł, że dotarli do nie zbadanej galerii w umyśle Starling. Być może usłyszał trolle walczące po drugiej stronie ściany. Zamienił czajniczek na srebrną klamrę od paska.

- Mojego taty - rzekła Starling. Klasnęła w dłonie jak mała dziewczynka.

- Tak - przyznał doktor Lecter. - Clarice, chciałabyś porozmawiać ze swoim ojcem?

On jest tutaj.

- Tata? Tutaj? Naprawdę? Wspaniale!

Doktor Lecter przyłożył dłonie do jej głowy, w okolicy płatów skroniowych; stąd jej ojciec mógł przybyć taki, jakim go chciała widzieć. Zajrzał Starling głęboko w oczy.

- Wiem, że będziesz chciała porozmawiać z nim sam na sam. Pójdę już sobie. Popatrz na klamrę, a za kilka minut usłyszysz pukanie. Dobrze?

-Tak! Świetnie!

- Musisz tylko poczekać kilka minut.

Delikatne ukłucie maleńkiej igły - Starling nawet nie spojrzała w tę stronę - i doktor Lecter wyszedł z pokoju.

Utkwiła wzrok w klamrze. Wreszcie rozległy się dwa mocne puknięcia. Wszedł jej ojciec, wysoki, z kapeluszem w ręku, z włosami zmoczonymi deszczem. Taki kiedyś zjawiał się na kolację.

- Hej, mała! O której tu się podaje kolację?

Tak dawno jej nie przytulał, ale kiedy przycisnął ją do siebie, poczuła na klatce

piersiowej znajomy ucisk zatrząsków jego koszuli, mocny zapach mydła i tytoniu. Wyczuła silne bicie ojcowskiego serca.

- Hej, mała. Upadłaś? - Tak samo przytulił ją do siebie na podwórzu, kiedy próbowała ujeździć wielką kozę. - Radziłaś sobie całkiem nieźle, dopóki nie zaczęła tak szybko wierzgać. Chodź do kuchni, może coś tam znajdziemy.

Dwie rzeczy na stole w kuchni z jej dzieciństwa: kokosanki w celofanowym opakowaniu i paczka pomarańczy.

Ojciec otworzył scyzoryk ze złamanym ostrzem i obrał kilka owoców. Skórki piętrzyły się na ceracie. Siedzieli na drewnianych krzesłach, a on dzielił pomarańcze na ćwiartki i jedną zjadał sam, a następną podawał Starling. Wypluwała do ręki pestki i trzymała je na kolanach. Wydawał się wysoki, kiedy siedział, jak John Brigham.

Ojciec żuł bardziej jedną stroną twarzy. Dolny siekacz został uzupełniony srebrnym metalem: znak firmowy wojskowych dentystów z lat czterdziestych. Metal połyskiwał, kiedy ojciec się śmiał. Zjedli dwie pomarańcze i po jednej kokosance. Potem zaczęli opowiadać sobie dowcipy. Starling nie pamiętała smaku ciastek. Kuchnia rozpląnęła się i rozmawiali teraz jak dorośli ludzie.

- Jak ci leci, mała? - Pytanie było poważne.

- Zawzięli się na mnie w pracy.

- Wiem. To jedna klika, złotko. Najbardziej żalosni ludzie... na ziemi. Nigdy nie zastrzeliłaś nikogo bez powodu.

- Tak sędzę. Jest jeszcze coś.

- Nigdy nie skłamałaś, mówiąc o tym.

- Nie, ojcze.

- Uratowałaś dziecko.

- Wyszło z tego cało.

- Byłem z ciebie naprawdę dumny.

- Dziękuję.

- Muszę już lecieć, złotko. Jeszcze porozmawiamy.

- Nie możesz zostać? Położył dłoń na jej głowie.

- Nigdy nie możemy zostać, kochanie. Nie możemy zostać, choćbyśmy tego bardzo chcieli.

Pocałował ją w czoło i wyszedł z pokoju. Kiedy machał do niej z progu, spostrzegła dziurę po kuli w jego kapeluszu.

## ROZDZIAŁ 95

Starling, rzecz jasna, bardzo kochała swojego ojca. W każdej chwili stawiałaby czoło każdemu, kto próbowałby go oczerniać. A mimo to podczas rozmowy z doktorem Lecterem, pod wpływem silnego środka nasennego w głębokiej hipnozie, nie mówiła o nim dobrze.

- Jestem na niego naprawdę wściekła. Jak on znalazł się w środku nocy za tym cholernym sklepem? Dał się zabić tym dwóm ścierwom. Zablokowała mu się strzelba. Nie wiedział, co robi. Nigdy niczego się nie nauczył.

Spoliczkowałyaby każdego, kto mówiłby tak o jej ojcu.

Potwór poruszył się odrobinę w fotelu. Nareszcie. Te dziewczęce wspomnienia zaczynały być już nużące.

Starling próbowała jak dziecko zadyndać nogami pod krzesłem, ale miała zbyt długie nogi.

- Wykonywał obowiązki. Robił, co mu kazali. Patrolował okolicę z tym cholernym zegarem. Aż w końcu go zabili. Mama zmyła krew z kapelusza, żeby go włożyć do trumny. Kto nam pomógł? Nikt. Bardzo rzadko jadłam później kokosanki. Razem z mamą sprzątałyśmy motelowe pokoje. Na szafkach nocnych zostawiali zużyte prezerwatywy. Dał się zabić i zostawił nas, bo był cholernie głupi. Powinien powiedzieć tym draniom z miasta, żeby wypchali się z taką robotą.

Rzeczy, których nigdy by nie powiedziała; obrazy wymazane z płytszych warstw świadomości.

Od początku ich znajomości doktor Lecter kpił z jej ojca. Nazywał go „nocnym stróżem”. Teraz stał się obrońcą pamięci o nim.

- Clarice, on tylko chciał, żebyś była szczęśliwa i żyła w dostatku.

- Chęci w jednej ręce, a gówno w drugiej: sprawdź, która ręka ma ciężiej - powiedziała Starling. Te słowa rodem z domu dziecka powinny wywołać niesmak; zwłaszcza że wypowiadała je tak ładna kobieta. Doktor Lecter wydawał się jednak zadowolony, a nawet ośmielony.

- Clarice, poproszę cię, żebyś poszła ze mną do innego pokoju - oznajmił. - Postarałam się, aby twój ojciec cię odwiedził. Ale choć bardzo pragnęłam zatrzymać go przy sobie, nie mógł zostać. Teraz przyszła pora, żebyś ty odwiedziła jego.

Ruszyli korytarzem do gościnnej sypialni. Drzwi były zamknięte.

- Chwileczkę, Clarice. - Lecter wszedł do środka.

Stała na korytarzu z ręką na klamce. Usłyszała trzask zapalki.

Doktor Lecter otworzył drzwi.

- Clarice, wiesz, że twój ojciec nie żyje.

-Tak.

- Wejdz i spójrz na niego.

Szkielet jej ojca był ułożony na łóżku, prześcieradło przykrywało długie kości i żebra. Uwypuklone pod białym płótnem szczątki przypominały dziecięce płaskorzeźby w śniegu.

Czaszka, oczyszczona przez małe owady z plaży doktora Lectera nad oceanem, wysuszona i wybielona, spoczywała na poduszce.

- Co się stało z jego gwiazdą, Clarice?

- Zabrał ją burmistrz. Powiedzieli, że kosztowała siedem dolarów.

- Oto, czym teraz jest, co po nim zostało. Oto, do czego zdegradował go upływ czasu.

Starling spojrzała na kości. Odwróciła się i szybko wyszła z pokoju. Doktor Lecter nie poszedł za nią, wiedział, że ona wróci. Czekał w półmroku. Nie bał się, lecz nasłuchiwał jej kroków uważnie. W dłoni Starling błysnęło coś metalowego. Odznaka należąca kiedyś do Johna Brigham. Położyła ją na prześcieradle.

- Jakie znaczenie może dla ciebie mieć odznaka, Clarice? Tam w stodole twoja kula zrobiła w jednej z nich dziurę.

- Dla niego była wszystkim. Tak myślał. - Ostatnie słowo zostało zniekształcone. Wygięła usta w podkówkę. Podniosła czaszkę ojca i usiadła na drugim łóżku. W oczach stanęły jej gorące łzy, które spłynęły po policzkach.

Jak niemowlę przycisnęła do twarzy rąbek swetra i płakała. Gorzkie łzy skapywały z głuchym odgłosem na kopułę ojcowskiej czaszki z błyszczącą metalową plombą.

- Kocham tatę. Był dla mnie dobry. Starał się, jak mógł. To były dla mnie najszczęśliwsze lata. - Mówiła prawdę, tak samo jak wtedy, kiedy wykrzykiwała swój gniew.

Gdy doktor Lecter podał jej chusteczkę, po prostu zacisnęła wokół niej palce. Sam musiał wytrzeć jej twarz.

- Clarice, zostawię cię teraz z tymi szczątkami. Wykrzycz mu swoją krzywdę w oczodoły, a nic nie usłyszysz w odpowiedzi. - Położył dłonie na jej skroniach. Wszystko, czego potrzebujesz od swojego ojca, znajduje się tutaj, w twojej głowie, i podlega twojemu osądowi, nie jego. Odchodzę. Chcesz świecę?

- Tak, proszę.

- Po wszystkim zabierz tylko to, czego potrzebujesz.

Czekał w salonie przed kominkiem. Grał na thereminie: poruszał rękami w polu elektronicznym, żeby wydobyć z instrumentu dźwięki. Wyglądało to tak, jakby zapraszał



muzykę do siebie. Zanim skończył utwór, zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu stoi za nim Starling.

Kiedy się do niej odwrócił, uśmiechała się łagodnie i smutno. Jej ręce były puste.

Doktor Lecter we wszystkim doszukiwał się porządku.

Wiedział, że jak każda czująca istota, Starling na podstawie swoich wczesnych doświadczeń stworzyła matryce, szablony, przez które postrzegała późniejsze wydarzenia.

Kiedy rozmawiał z nią przez szpitalne kraty wiele lat temu, odkrył, że rzeź owiec i koni na farmie kuzynów była dla niej ważnym doświadczeniem. Los tych zwierząt głęboko przejął Starling.

Prowadziła obsesyjne polowanie na Jame'a Gumba, bo wstrząsnął nią los ofiary mordercy.

Z tego samego powodu ocalała jego, Hannibala Lectera, przed torturami.

Doskonale. Jej zachowanie podlegało pewnej regule.

Doszukując się we wszystkim prawidłowości, doktor Lecter uważał, że Starling dostrzegała w Johnie Brighamie dobre cechy swojego ojca, a co za tym idzie nieszczęsny Brigham stanowił dla niej kazirodcze tabu. Brigham i prawdopodobnie Crawforda obdarzyła zaletami ojca. A co ze złymi cechami?

Doktor Lecter rozpoczął poszukiwania drugiej części złamanej matrycy. Za pomocą środków usypiających i zmodyfikowanych przez siebie metod hipnotycznych znajdował w osobowości Clarice Starling twarde, odporne węzły jak sęki w kawałku drewna, i stare urazy, wciąż łatwopalne jak żywica.

Natykał się na obrazy o bezlitosnej wyrazistości, wieloletnie, lecz dobrze utrzymane i szczegółowe, które iskrzyły gniewem w mózgu Starling, niczym błyskawice w burzowej chmurze.

Większość z nich miała związek z Paulem Krendlerem. Gniew z powodu doznanych od niego krzywd, nasączony był wściekłością na własnego ojca. Złością, do której nigdy by się nie przyznała. Nie mogła wybaczyć ojcu, że umarł. Zostawił rodzinę, nie obierał już pomarańczy w kuchni. Skazał matkę na czyszczenie ubikacji. Przestał przytulać Starling, która czuła wtedy bicie jego potężnego serca, dudniącego jak serce klaczy Hannah, kiedy odjeżdżały w ciemną noc.

Krendler stał się dla niej uosobieniem porażki i frustracji. Można było obarczyć go winą. Ale czy można było mu się przeciwstawić? I czy Krendler, tak jak każda władza i każde tabu, był w stanie zamknąć Starling w ciasnym - zdaniem doktora Lectera - pudełku jej życia?

Doktor Lecter dostrzegł jeden optymistyczny znak: choć odznaka tyle dla niej

znaczyła, potrafiła ją przestrzelić i zabić tego, który nosił błyszczącą gwiazdę. Dlaczego? Ponieważ zobowiązała się do działania, zidentyfikowała przestępcę i dokonała szybko oceny, nie zważając na wyryty w świadomości symbol. Potencjalna elastyczność. Kora mózgowa górą. Czy to oznaczało, że miejsce dla Miszy mieści się w Starling? A może była to kolejna zaleta miejsca, które Starling musi zwolnić?

## ROZDZIAŁ 96

Barney, znów w Baltimore, ponownie w kieracie pracy w szpitalu Misericordia. Kończył tego dnia zmianę o jedenastej. W drodze do domu wstąpił do baru na miskę zupy. Kiedy otwierał drzwi do swojego mieszkania i włączył światło, była już prawie pomoc.

Przy kuchennym stole siedziała Ardelia Mapp. Mierzyła czarnym samopowtarzalnym pistoletem w sam środek jego twarzy. Z rozmiaru wylotu lufy Barney oszacował, że to czterdziestka.

- Siadaj, pielęgniarzyno - rozkazała Mapp. Miała zachrypnięty głos, a wokół ciemnych źrenic jej oczy były pomarańczowe. - Postaw krzesło pod ścianą.

Bardziej niż wielka spluwa przeraził go drugi pistolet leżący przed kobietą na serwetce. Colt woodsman kaliber 22 z plastikową butelką przytwierdzoną do lufy jako tłumik.

Krzesło zaskrzypiało pod ciężarem Barneya.

- Jeśli nogi się złamią, nie strzelaj, to nie moja wina - poprosił.

- Wiesz coś o Clarice Starling?

- Nie.

Mapp podniosła mniejszy pistolet.

- Nie zamierzam się z tobą cackać, Barney. Gdy tylko dojdę do wniosku, że kłamiesz, pielęgniarzyno, podziurawię ci wnętrzności. Zrozumiano?

- Tak. - Barney wiedział, że kobieta nie blefuje.

- Więc znów cię zapytam. Czy wiesz o czymś, co pomoże mi znaleźć Clarice Starling? Dowiedziałam się na pocztce, że przez miesiąc przesyłano twoją korespondencję do posiadłości Masona Vergera.

- Pracowałem tam. Opiekowałem się panem Vergerem. Wypytywał mnie o doktora Lectera. Nie podobało mi się i odszedłem. Mason był niezłym draniem.

- Starling zniknęła.

- Wiem.

- Może dostał ją Lecter, a może pożarły świnię. Jeśli to on, co by z nią zrobił?

- Jestem z panią szczerzy: nie mam pojęcia. Pomógłbym Starling, gdybym mógł. Właściwie ją lubiłem. Obiecała, że wyczyści mi akta. Proszę zajrzeć do jej papierów, notatek...

- Już to zrobiłam. Chcę, żebyś coś zrozumiał, Barney. Ta oferta już się nie powtórzy. Jeśli coś wiesz, lepiej powiedz mi teraz. Bo jeżeli kiedykolwiek się dowiem, że ukryłeś przede mną jakąś przydatną informację, wrócę tu i przestrzelę ci tę wielką paskudną dupę.

Jasne?

- Tak.

- A więc wiesz coś?

- Nie. - Zapadło najdłuższe milczenie w jego życiu.

- Siedź, dopóki nie wyjdę.

Zaśniecie zajęło Barneyowi półtorej godziny. Leżał w łóżku wpatrzony w sufit, a jego szerokie jak u delfina czoło było to mokre od potu, to suche. Zanim wyłączył światło, poszedł do łazienki i wyjął z apteczki lusterko do golenia z nierdzewnej stali, pamiątkę z wojska.

Począł do kuchni, otworzył ścienną skrzynkę z bezpiecznikami i przykleił lusterko do drzwiczek od wewnątrz.

Nic innego nie był w stanie zrobić. Podczas snu wstrząsały nim drgawki.

Po następnej zmianie przyniósł do domu ze szpitala zestaw do zbierania dowodów gwałtu.

## ROZDZIAŁ 97

W wynajętym domu doktor Lecter mógł tylko zastosować ozdoby w postaci kwiatów i parawanów. Kolor ciekawie prezentował się na tle

masywnych mebli i ciemności; tworzył prastary, zniewalający kontrast, niczym motyl oświetlony na opancerzonej pięści.

Nieobecny gospodarz najwyraźniej miał obsesję na punkcie Ledy i łabędzia. Międzygatunkową kopulację przedstawiały aż cztery brązowe rzeźby o zróżnicowanej wartości. Najlepsza była reprodukcja dzieła Donatella. Podobną tematykę ukazywało także osiem obrazów. Jeden z nich szczególnie przypadł do gustu doktorowi Lecterowi: dzieło Anne Shingleton - genialna anatomiczna precyzja i prawdziwy ogień w przedstawionym stosunku płciowym. Pozostałe obrazy zasłonił. Zakrył również należącą do gospodarza potworną kolekcję rzeźb o tematyce myśliwskiej.

Wcześniej rano doktor starannie nakrył do stołu dla trzech osób. Potem przyglądał się rezultatowi z różnych punktów pokoju z koniuszkiem palca przy nosie. Dwukrotnie przestawił świeczniki i zamienił adamaszkowe serwety na obrus, żeby zredukować owalny stół do bardziej praktycznych rozmiarów.

Ciemny i ponury kredens przestał tak bardzo przypominać lotniskowiec, zastawiony teraz srebrnymi tacami i miedzianymi podgrzewaczami. Doktor Lecter wysunął nawet kilka szuflad i włożył w nie różnobarwne rośliny, żeby uzyskać efekt wiszących ogrodów.

Uznał, że w pomieszczeniu jest za dużo kwiatów. Musiał dodać jeszcze trochę. Za dużo, to za dużo, ale jeśli definitywnie za dużo, to znaczy, że w sam raz. Zdecydował się na dwie kompozycje kwiatowe na stole: niewielki bukiet peonii o barwie kokosanek w srebrnym naczyniu oraz wysoka, gęsta kompozycja z dzwonków, holenderskich irysów, orchidei i tulipanów, które zasłaniały duże połacie blatu i tworzyły intymną przestrzeń.

Przed talerzami wykreował kryształową burzę lodu, a srebrne sztucce czekały w podgrzewaczu i miały trafić na stół w ostatniej chwili.

Pierwsze danie zamierzał przyrządzić przy stole. Przygotował więc palniki na alkohol, miedziane *fait-tout*, garnek i patelnię, a także przyprawy oraz piłę sekcyjną.

Mógł przynieść więcej kwiatów. Clarice Starling nie zaniepokoiła się, kiedy jej powiedział, że wychodzi. Zasugerował, że może zechciałaby się zdrzemnąć.

## ROZDZIAŁ 98

Po południu, piątego dnia po masakrze na Muskrat Farm, Barney właśnie skończył się golić i wklepywał alkohol w policzki, kiedy usłyszał kroki na schodach. Zaraz powinien wyjść do pracy.

Mocne pukanie. W drzwiach stanęła Margot Verger. Miała ze sobą dużą torbę i mały plecak.

- Cześć, Barney. - Wyglądała na zmęczoną.

- Cześć, Margot. Wejdz.

Zaproponował, żeby usiadła przy kuchennym stole.

- Chcesz coli? - Przypomniał sobie, że głowa Cordella została rozbita o lodówkę i natychmiast pożałował swoich słów.

- Nie, dzięki - odparła.

Usiadł po drugiej stronie stołu. Oceniała jego ramiona jak rywalizujący kulturysta i znów spojrzała mu w twarz.

- Wszystko gra, Margot?

- Tak myślę - odpowiedziała.

- Z tego, co czytam w gazetach, wynika, że nie masz żadnych zmartwień.

- Czasem wracam myślami do naszych rozmów, Barney. Przyszło mi do głowy, że możesz się kiedyś do mnie odezwać.

Zastanawiał się, czy młotek trzyma w torbie, czy w plecaku.

- Owszem, ale tylko po to, żeby zapytać, co u ciebie słychać. Nic innego nie chcę wiedzieć.

- Ale sam wiesz, człowiek często myśli o nie dokończonych sprawach. Nie, żebym miała coś do ukrycia.

Wiedział już, że zdobyła nasienie Masona. Dopiero gdyby udało się zapłodnić Judy, zaczęłyby się martwić starym kumplem.

- Jego śmierć spadła nam jak z nieba, wcale tego nie ukrywam. - Margot mówiła coraz szybciej, nabierała rozpędu. - Może jednak napiję się coli - stwierdziła.

- Zanim cię poczęstuj ę, chciałbym, żebyś coś obejrzała. Wierz mi, uspokoisz się i nic nie będzie cię to kosztowało. Poczekaj chwileczkę.

Staął bokiem do Margot i wyjął śrubokręt z pudełka, które znajdowało się na blacie.

Na ścianie w kuchni wisiały dwie skrzynki na bezpieczniki. W rzeczywistości tylko jednej używano, druga stanowiła pozostałość po starej instalacji.

Przy skrzynkach Barney musiał odwrócić się plecami do Margot. Szybko otworzył drzwiczki z lewej strony. Teraz mógł obserwować ją w lusterku przyklejonym po wewnętrznej stronie. Włożyła rękę do torby i nie wyjmowała.

Odkręcił cztery śruby, mógł wyjąć ze skrzynki tablicę, za którą w pustej ścianie znajdowała się skrytka.

Sięgnął ostrożnie do środka i wydobyl plastikową torbę.

Kiedy wyjął przedmiot w niej ukryty, usłyszał, że Margot wstrzymała oddech. Trzymał słynny atrybut potwora - maskę, którą nakładano doktorowi Lecterowi w Stanowym Szpitalu dla Psychicznie Chorych Przeszpców w Baltimore, żeby uniemożliwić mu kąsanie. Ostatni i najcenniejszy przedmiot z ukrytej przez Barneya kolekcji pamiątek po Lecterze.

- Rany! - powiedziała Margot.

Barney położył maskę twarzą do dołu na stole, na kawałku woskowanego papieru pod jasną kuchenną lampą. Wiedział, że doktorowi nigdy nie pozwolono umyć maski. Zaschnięta ślina zaskorupiła się przy otworze na usta. W klamry pasków mocujących zaplątały się trzy włosy doktora wyrwane z cebulkami.

Rzut okiem na Margot podpowiedział mu, że jest zadowolona.

Barney wyjął z szafki zestaw do pobierania próbek. Małe plastikowe pudełko zawierało waciki, wyjałowioną wodę, gazę i puste buteleczki.

Niezwykle starannie zebrał płatki śliny wilgotnym wacikiem, po czym zamknął go w buteleczce. Usunięte z maski włosy schował do drugiej.

Dotknął kciukiem kleistej strony dwóch kawałków plastra, robiąc na każdym wyraźny odcisk, zakleił korki butelek. Podał Margot obydwie pojemniczki zapakowane w foliową torebkę.

- Powiedzmy, że wpakuję się w kłopoty, stracę głowę i będę próbował cię wydać. Założmy, że opowiem policji jakąś historię o tobie, żeby złagodzili mi karę. Masz tutaj dowód, że byłem przynajmniej współsprawcą śmierci Masona Vergera. A może nawet sam wszystko zrobiłem? W każdym razie dostarczyłem ci DNA.

- Zanim cokolwiek wygadasz, będziesz chroniony.

- Być może przed zarzutami o znowę, ale nie za współudział w tak nagłośnionym morderstwie. Kiedy się domyśla, że pomagałem w zbrodni, udupią mnie. Będę miał przesrane do końca życia. Wszystko w twoich rękach.

Barney nie był całkiem pewien swojej argumentacji, ale brzmiała niezłe.

Margot mogła przecież podłożyć DNA Lectera na zwłoki Barneya, jeśli zaszłaby taka konieczność.

Patrzyła na niego swoimi błękitnymi oczyma rzeźnika. Trwało to - według Barneya - bardzo długo.

Położyła na stole plecak.

- Mam tu mnóstwo pieniędzy - odezwała się w końcu. - Wystarczy, żeby zobaczyć wszystkie obrazy Vermeera na całym świecie. Raz. - Sprawiała wrażenie niefrasobliwej, dziwnie szczęśliwej. - Muszę uciekać. W samochodzie czeka na mnie kot Franklina. Franklin, jego przybrana matka, siostra Shirley, jakiś facet o nazwisku Stringbean i Bóg wie kto jeszcze przyjeżdżają na Muskrat Farm, kiedy Franklin wyjdzie ze szpitala. Ten cholerny kocur kosztował mnie pięćdziesiąt dolarów. Ukrywał się u dawnych sąsiadów Franklina.

Nie włożyła plastikowego woreczka do torby. Trzymała go w wolnej ręce. Barney pomyślał, że Margot nie chce, żeby zobaczył, jaką miała dla niego alternatywę.

- Dostanę buziaka? - zapytał w drzwiach.

Stała na palcach i cmoknęła go szybko w usta.

- Tym będziesz musiał się zadowolić - oznajmiła afektowanym tonem. Schody trzeszczały pod jej ciężarem.

Barney zamknął drzwi i przez wiele minut stał oparty czołem o chłodną lodówkę.



## ROZDZIAŁ 99

Starling obudziły dalekie dźwięki muzyki kameralnej i apetyczne zapachy. Czowała się cudownie wypoczęta i bardzo głodna. Ciche pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł doktor Lecter w ciemnych spodniach, białej koszuli i z halsztukiem pod brodą. Przyniósł jej ubranie w długim pokrowcu i gorące cappuccino. Dobrze spałaś?

-Doskonale, dziękuję.

- Kucharz twierdzi, że będziemy jeść za półtorej godziny. Koktajle za pół godziny. Pomyślałem, że chciałabyś założyć coś takiego... zobacz, czy ci się podoba. - Powiesił pokrowiec w garderobie i bezszelestnie opuścił pokój.

Do garderoby zajrzała dopiero po długiej kąpieli, lecz kiedy to wreszcie zrobiła, ucieszyła się. Znalazła tam długą wieczorową suknię z kremowego jedwabiu z wąskim, lecz głębokim dekoltem pod przepięknym bolerkim z koralików.

Na toaletce leżała para kolczyków ze szmaragdowymi kaboszonami. Mocno iskrzyły jak na nefasetowane kamienie.

Z włosami Starling nigdy nie miała problemów. Czowała się bardzo swobodnie w nowej kreacji. Choć nie nawykła do noszenia tak wytwornych toalet, nie przyglądała się sobie długo w lustrze. Zerknęła tylko, czy wszystko jest na miejscu.

Niemiecki właściciel domu wybudował kominki o zbyt monumentalnych rozmiarach. W salonie płonąła wielka szczapa. Starling podeszła do ciepłego paleniska ze szmerem jedwabiu.

Z rogu pokoju płynęła muzyka klawesynowa. Przy instrumencie siedział doktor Lecter w wieczorowym stroju.

Podniósł wzrok, a wtedy oddech uwiązł mu w gardle. Ręce znieruchomiały nad klawiaturą. Dźwięki klawesynu ucichły. W nagłej ciszy obydwój usłyszeli, jak doktor bierze kolejny oddech.

Przed kominkiem stały dwa koktajle. Lillet z plasterkiem pomarańczy. Doktor Lecter podał jeden napój Clarice Starling.

- Gdybym widział cię codziennie do końca świata, zapamiętałbym, jak wyglądałaś dzisiaj. - Ciemne oczy pochłaniały ją całą.

- Ile razy przyglądał mi się pan, gdy o tym nie wiedziałam?

- Tylko trzy.

- Ale tutaj...

- W tym miejscu czas się nie liczy. A to, co widzę, kiedy się tobą opiekuję, nie narusza

twojej prywatności. Jest bezpiecznie zamknięte razem z wynikami badań. Wyznam, że lubię patrzeć na ciebie, kiedy śpisz. Jesteś całkiem ładna, Clarice.

- Wygląd to kwestia przypadku, doktorze Lecter.

- Ale jeśli na urodę trzeba by było sobie zasłużyć, ty pozostałabyś piękna.

- Dzięki.

- Nie mów „dzięki”. - Minimalny ruch głowy wystarczył, by cisnąć z oczu błyskawice gniewu.

- Mówię, co myślę - odparła Starling. - Wolałby pan, żebym powiedziała: „Cieszę się, że tak pan uważa”. Brzmiałoby trochę bardziej elegancko i równie prawdziwie.

Podniosła kieliszek tuż poniżej poziomu swoich bezkresnych oczu.

Doktor pomyślał, że, choć poznał dobrze Starling, nigdy nie mógł całkowicie przewidzieć jej zachowań czyjej posiać. Karmił gąsienicę, opiekował się poczwarką, ale motyl, który się wykluł, postępował zgodnie z głosem swojego serca i nie podlegał jego kontroli. Doktor Lecter zastanawiał się, czy pod suknią Starling nie trzyma pistoletu.

Clarice uśmiechnęła się do niego. W kabozonach odbiło się światło ognia i potwora znów ogarnęło samozadowolenie: płał się w zachwycie nad swoim wybornym gustem i sprytem.

- Clarice, jedzenie działa na zmysły smaku i powonienia. To najstarsze zmysły, najbliższe środka umysłu. Smak i węch są umiejscowione w tych częściach mózgu, które poprzedzają litość, a na to uczucie nie ma miejsca przy moim stole. Jednocześnie w kopule kory mózgowej, jak freski na oświetlonym sklepieniu kościoła, płasają widoki i rozmowy związane z jedzeniem. To może być dużo bardziej zajmujące niż teatr. - Przybliżył do niej twarz. Czytał w oczach Starling. - Chcę, żebyś zrozumiała, jak bardzo wzbogacasz tę ceremonię, Clarice, i jakie masz uprawnienia. Czy ostatnio przyglądałaś się swojemu odbiciu w lustrze? Chyba nie. Wątpię, czy kiedykolwiek to robisz. Wyjdźmy na korytarz i stańmy przed wielkim zwierciadłem.

Doktor Lecter wziął z półki nad kominkiem kandelabr.

Wysokie lustro należało do kolekcji osiemnastowiecznych antyków. Było lekko przydymione i porysowane. Pochodziło z Château Vaux-le-Vicomte i Bóg wie, co widziało.

- Spójrz, Clarice. Ta śliczna postać to ty. Dziś wieczorem przez chwilę popatrzysz na siebie z oddalenia. Zobaczysz, co jest sprawiedliwe. Powiesz, co jest prawdą. Nigdy nie brakowało ci odwagi, żeby mówić, co myślisz, lecz paraliżowały cię zahamowania. Powtórzę, że przy tym stole nie ma miejsca na litość. Jeśli padną jakieś uwagi, które w danej chwili wydadzą ci się nieprzyjemne, przekonasz się, że kontekst może uczynić je zabawnymi, a

nawet nieodparcie śmiesznymi. Jeśli wypowiedziane zostaną słowa bolesnej prawdy, okaże się, że prawda jest nietrwała i ulega zmianom. - Pociągnął łyk. - Jeśli poczujesz, że zakwita w tobie ból, kwiat nagle stanie się ulgą. Rozumiesz?

- Nie, doktorze, ale pamiętam pańskie słowa. Do diabła z samodoskonaleniem. Mam ochotę na przyjemną kolację.

- To ci obiecuję. - Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu: widok, który wielu przeraża.

Żadne z nich nie patrzyło teraz na odbicie w zamglonym lustrze; spoglądali na siebie przez płonące ramiona świecznika, a zwierciadło obserwowało ich dwoje.

- Posłuchaj, Clarice.

Przyglądała się czerwonym iskierkom wirującym jak sztuczne ognie głęboko w jego oczach. Poczła podniecenie dziecka, które wybiera się do wesołego miasteczka.

Doktor Lecter wyjął z kieszeni strzykawkę. Nie patrząc, lecz kierując się dotykiem, wbił cienką jak włos igłę w ramię Starling. Małeńka ranka nawet nie krwawiła po zastrzyku.

- Co pan grał, kiedy tu weszłam? - zapytała.

- If Love Now Reigned.

- To stary utwór?

- Skomponowany przez Henryka VIII około tysiąc pięćset dziesiątego roku.

- Zagra pan dla mnie? - zapytała. - Dokończy pan teraz?

## ROZDZIAŁ 100

Przeciąg, który powstał, kiedy wchodzili do jadalni, poruszył płomień świec i podgrzewaczy. Starling do tej pory widziała jadalnię tylko przelotnie. Cudownie było przekonać się, jak wielkiej transformacji uległo to pomieszczenie. Jasne, kuszące. W wysokich kryształach nad kremowymi serwetami odbijały się płomień świec, a parawan z kwiatów zasłaniał resztę stołu i tworzył przytulny zakątek.

Doktor Lecter w ostatniej chwili wyjął srebrne sztucze z podgrzewacza i kiedy Starling podziwiała nakrycie przed sobą, poczuła w uchwycie noża niemal parzące ukłucie.

Doktor Lecter nalał wino i na początek zaserwował tylko maleńkie *amu-se-gueule*: jedną ostrygę i kasek kielbasy. Potem usiadł z kieliszkiem w dłoni i napawał się widokiem Starling przy nakrytym stole.

Wysokość świeczników była idealna. Płomień oświetlały wypukłości dekoltu. Nie zagrażały też rękawom.

- Co będziemy jedli? Uniósł palec do ust.

- Nie wolno pytać, nie można psuć niespodzianki.

Rozmawiali o przycinaniu wronich piór i ich wpływie na dźwięk klawesynu. Na chwilę przypomniała sobie o wronie, która ukradła coś z wózka z jedzeniem na motelowym balkonie dawno temu. Teraz uznała, że wspomnienie nie ma żadnego związku z obecną chwilą i z rozmysłem je zignorowała.

- Głodna?

- Tak!

- Więc przystąpmy do pierwszego dania.

Doktor Lecter postawił obok siebie tacę z kredensu i przysunął stolik na kółkach. Miał tam naczynia, palniki i przyprawy w kryształowych miseczkach.

Zapalił palniki i zaczął od okazałej bryły masła Charante, którą umieścił w miedzianym *fait-tout*. Obracał topiącą się masę i przypiekał ją na *beurre-noisette*. Kiedy tłuszcz przybrał kolor orzecha laskowego, odstawił naczynie na podstawkę.

Uśmiechnął się do Starling, ukazując bardzo białe zęby.

- Clarice, pamiętasz, co ci powiedziałem o przyjemnych i nieprzyjemnych uwagach i o tym, jak mogą być śmieszne w odpowiednim kontekście?

- To masło pachnie wspaniale. Tak, pamiętam.

-I pamiętasz, kogo zobaczyłaś w zwierciadle? Jak cudownie wyglądała ta osoba?

- Doktorze Lecter, proszę mi wybaczyć, ale nie jestem dzieckiem. Doskonale

wszystko pamiętam.

- Świetnie. Pan Krendler zje z nami pierwsze danie.

Doktor Lecter przeniósł wielką aranżację kwiatową ze stołu na kredens.

Zastępca inspektora generalnego we własnej osobie siedział przy stole w solidnym dębowym fotelu. Krendler otworzył szeroko oczy i rozejrzał się. Na głowie miał sportową opaskę. Resztę ubrania stanowił piękny pogrzebowy smoking z wszytą koszulą i krawatem. Smoking był rozcięty z tyłu, doktor Lecter mógł więc go nasunąć na Krendlera przytwierdzonego do fotela metrami taśmy klejącej.

Starling odrobinę zmrużyła oczy i zacisnęła usta, jak czasem robiła na strzelnicy.

Doktor Lecter wziął z kredensu parę srebrnych szczypiec i odkleił taśmę zakrywającą usta Krendlera.

- Jeszcze raz dobry wieczór, panie Krendler.

- Dobry wieczór. - Krendler sprawiał wrażenie, jakby niezupełnie był sobą. Przed nim stała mała waza.

- Chciałby pan przywitać się z panną Starling?

- Witaj, Starling. - Twarz Krendlera jakby pojaśniała. - Zawsze chciałem popatrzeć, jak jesz.

Clarice otaksowała go wzrokiem z oddali, jak gdyby była starym zwierciadłem na ścianie.

- Witam, panie Krendler. - Odwróciła twarz do krzątającego się przy naczyniach doktora Lectera. - Jak się panu udało go złapać?

- Jest w drodze na spotkanie ważne dla jego przyszłej kariery politycznej - wyjaśnił Lecter. - Margot Verger oddała mi tę przysługę i zaprosiła zastępcę inspektora generalnego. Takie małe *qui pro quo*. Pan Krendler pobiegł na polanę w Rock Creek Park, żeby tam wsiąść do helikoptera Vergerów. Ale zamiast helikopterem, odbył podróż moim samochodem. Chciałby pan odmówić modlitwę przed jedzeniem, panie Krendler? Panie Krendler?

- Modlitwę? Ach tak. - Krendler zamknął oczy. - Pobłogosław Panie Boże te dary, które z Twej świętej szczodroblewości spożywać mamy. Starling jest za duża, żeby się pieprzyć ze swoim tatusiem, nawet jeśli pochodzi z Południa. Opuść jej ten grzech i oddaj ją mojej szczodroblewości. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, amen.

Starling zauważyła, że do końca modlitwy doktor Lecter miał pobożnie zamknięte oczy.

Czuła się jednocześnie dotknięta i spokojna.

- Paul, muszę ci coś powiedzieć. Jesteś nie gorszy od swojego imiennika, apostoła

Pawła. On też nienawidził kobiet. Powinien się nazywać apostoł Pedał.

- Tym razem przesadziłaś, Starling. Nigdy nie przyjmą cię z powrotem.

- Czyżbyś wplótł do modlitwy ofertę pracy? Co za niespotykany takt.

- Zamierzam zasiąść w Kongresie. - Krendler uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Zajrzyj do mojego sztabu wyborczego, znajdę ci jakąś robotę. Mogłabyś pracować w biurze. Potrafisz pisać na maszynie?

- Oczywiście.

- A pisać ze słuchu?

- Używam do tego sprzętu nagrywającego - oznajmiła Starling. Mówiła dalej wyważonym tonem. - Proszę mi wybaczyć, że poruszam takie tematy przy stole, ale nie jesteś wystarczająco bystry, żeby trafić do Kongresu. Nie można matactwami zatuszować braku inteligencji. Bardziej nadajesz się na złodziejskiego gońca.

- Proszę na nas nie czekać, panie Krendler - nakłaniał go doktor Lecter. - Niech pan skosztuje zupy, póki gorąca. - Podniósł zakryty *potager* do ust skrepowanego mężczyzny.

Krendler skrzywił się.

-Nie smakuje mi.

- Bo to napar z natki i tymianku - wyjaśnił doktor. - Zresztą wypijając go, oddaje pan większą przysługę nam niż sobie. Jeszcze kilka łyków, niech się wchłonie.

Starling najwidoczniej ważyła coś w myślach. Dłonie zamieniła w szale wagi sprawiedliwości.

- Wiesz co, Krendler? Zawsze kiedy ze mnie kpiłeś, nie dawało mi spokoju podejrzenie, że może zasłużyłam sobie na takie traktowanie. - Poruszała dłońmi do dołu i do góry, - Ale nie zasłużyłam sobie. Za każdym razem, kiedy wpisywałeś jakąś negatywną opinią do moich akt, czułam się dotknięta, ale nie przestawałam analizować swojego postępowania. Przez chwilę ogarniało mnie zwątpienie. Próbowalam podrapać to maleńkie swędzące miejsce, które mówiło, że tata wie najlepiej. Ale ty, Krendler, nie wiesz najlepiej. Właściwie nic nie wiesz. - Starling pociągnęła łyk wspaniałego białego burgunda. -Smakuje cudownie - zwróciła się do doktora Lectera. - Ale chyba powinniśmy wyjąć butelkę z lodu. - Odwróciła się znowu niczym troskliwa gospodyni do swego gościa. - Na zawsze pozostaniesz... głupkiem, na którego nie warto zwracać uwagi - powiedziała słodkim głosem. - Ale wystarczy już rozmowy o tobie przy tej cudownej kolacji. Jesteś gościem doktora Lectera. Mam nadzieję, że jedzenie ci smakuje.

- A kim ty jesteś? - zapytał Krendler. - Bo na pewno nie Clarice Starling. Masz znamię na policzku, ale nie jesteś Starling.

Doktor Lecter dodał szalotki do gorącego przyrumienionego masła. Natychmiast rozniósł się ich aromat. Dorzucił zmielone kapary. Zdjął garnek z ognia i postawił na palniku patelnię. Z kredensu wyjął kryształową miskę lodowatej wody i srebrną tacę. Ustawił naczynia przy Krendlerze.

- Wiązałem pewne plany z tą wygadaną szczekaczką - powiedział Krendler. - Teraz już cię nie zatrudnię, Starling. Nigdy. A w ogóle kto dał ci pracę?

- Nie oczekuję, że całkowicie zmieni pan swoje poglądy, tak jak apostoł Paweł - odezwał się doktor Lecter. - Nie odbywa pan podróży do Damaszku czy nawet do posiadłości Vergerów.

Doktor Lecter zdjął opaskę z głowy Krendlera, tak jak zdejmuje się gumkę ze słoika kawioru.

- Pragniemy tylko, żeby miał pan otwarty umysł. - Ostrożnie, używając do tego obydwu rąk, doktor Lecter uniósł czubek głowy Krendlera, położył go na tacy i schował do kredensu. Z czystego nacięcia nie spłynęła ani jedna kropla krwi, główne naczynia krwionośne zostały związane, a inne starannie zabezpieczone działającym miejscowo anestetykiem. Czaszkę przepiłował w kuchni pół godziny przed posiłkiem.

Metoda zastosowana przez doktora Lectera przy odsłanianiu mózgu Krendlera była stara jak egipska medycyna, ale miał do dyspozycji przyrządy do trepanacji czaszki i lepsze środki znieczulające. Sam mózg nie czuje bólu.

Różowoszara kopuła mózgu Krendlera unosiła się nad ściętą czaszką.

Stojąc nad Krendlerem z czymś, co przypominało łyżeczkę do usuwania migdałków, doktor Lecter odkroił plaster płatu przedczołowego, potem drugi, aż miał ich cztery. Oczy Krendlera zwróciły się ku górze, jak gdyby śledził poczynania doktora. Doktor Lecter umieścił plasterki w misce z lodowatą wodą, zakwaszoną sokiem z cytryny, aby nadać im jędrności.

- „Chcesz się pohuścić na gwiazdy oczku - wybuchnął nagle śpiewem Krendler. - Światło księżycy zaniknąć w breloczku”.

W tradycyjnej kuchni mózdzki moczy się, a następnie ściska i schładza na noc, żeby były jędrne. Mając do czynienia z całkowicie świeżym materiałem, wyzwaniem dla kucharza jest uniknięcie zamiany produktu w garść grudkowatej galarety.

Z niesamowitą zwinnością doktor wyłożył usztywnione plastry na talerz, obsypał je lekko przyprawioną mąką i świeżo startą bułką.

Dodał do sosu plasterki czarnych truflii, a na koniec wcisnął sok z cytryny.

Szybko podsmażył plastry, aż przyrumieniły się z obu stron.

- Pachnie wspaniale! - ocenił Krendler.

Doktor Lecter wyłożył podsmażone trufle na szerokie grzanki leżące na gorących talerzach i polał je sosem z kawałkami grzybów. Całości dopełnił garnirunek z natki, kaparów z łyżkami i pojedynczy kwiat nasturcji na rukwi wodnej.

- No i co? - zapytał Krendler z za kwiatów. Mówił nieumiarkowanie głośno. Typowe dla ludzi z leukotomią.

- Prawdziwe delicje - odpowiedziała Starling. - Nigdy jeszcze nie jadłam kaparów.

Lśnienie maślanego sosu na jej wardze poruszyło doktora Lectera do głębi.

Zza bukietu dochodziły śpiewy Krendlera, którego repertuar ograniczał się do piosenek przedszkolnych. Zapytał nawet współbiedników, czy nie mają jakichś życzeń.

Zupełnie ignorując gościa, Lecter i Starling rozmawiali o Miszy. Starling poznała los siostry doktora, kiedy rozważali kwestię straty. Teraz jednak doktor optymistycznie spoglądał w przyszłość. Tego wieczora powrót Miszy nie wydawał się czymś nierealnym.

Starling wyraziła nadzieję, że spotka Misze.

- Nigdy bym ci nie pozwolił odbierać telefonów w moim biurze. Masz głos jak czerstwa wiejska pipa - Krendler wydzierał się z za liści.

- Zobaczysz, jak brzmi mój głos, kiedy poproszę o dokładkę - odparła Starling. Doktor Lecter nie potrafił opanować wesołości.

Przy dokładce skonsumowali prawie cały płat czołowy Krendlera, niemal do zakrętu przyśrodkowego mózgu. Krendler był teraz w stanie już tylko bełkotać coś od rzeczy o przedmiotach z najbliższego otoczenia i recytować za kwiatami długi sprośny wiersz.

Nie przeszkadzał zaabsorbowanej rozmową parze bardziej, niż gdyby ktoś w restauracji przy sąsiednim stoliku śpiewał *Sto lat*. Jednak gdy wrzaski Krendlera stały się nieznośne, doktor Lecter sięgnął po stojącą w kącie kuszę.

- Chciałbym, żebyś posłuchała brzmienia tego instrumentu strunowego, Clarice.

Począł, aż Krendler się uciszy, i wypuścił strzałę, która przeleciała nad stołem i wbiła się w kwiaty.

- Gdybyś kiedykolwiek usłyszała tę właśnie częstotliwość dźwięku, będzie ona oznaczała całkowitą wolność, spokój i niezależność - powiedział doktor Lecter.

Pióra i część trzonka strzały zostały po widocznej stronie aranżacji kwiatowej. Poruszały się mniej więcej jak batuta dyrygująca sercem. Głos Krendlera umilkł natychmiast. Po kilku ruchach zatrzymała się też batuta.

- Jakby „d” pod środkowym „c”? - zapytała Starling.

- Właśnie.



Chwilę później zza kwiatów dobiegł bulgoczący dźwięk. Był to tylko spazm gardła wywołany rosnącą kwasowością krwi świeżego nieboszczyka.

- Skosztujmy następnego dania - zaproponował doktor. - Sorbet, który odświeży nam podniebienia przed przepiórkami. Nie, nie, nie wstawaj. Pan Krendler pomoże mi sprzątnąć, jeśli mu pozwolisz.

Szybko się uwinął. Za kwiatową zasłoną doktor Lecter wrzucił resztki z talerzy do górnej części czaszki Krendlera i nałożył ją z powrotem na dolny fragment. Podniósł sznurek przywiązany do kółek pod krzesłem, po czym odholował zwłoki do kuchni.

Tam naciągnął kuszę. Na szczęście mógł skorzystać z tego samego kompletu baterii, który napędzał piłę sekcyjną.

Skórki przepiórek były chrupiące i wypełnione farszem z *foie gras*. Doktor Lecter opowiadał o Henryku VIII i jego kompozycjach. Starling wyjawiała tajniki komputerowej obróbki dźwięków pozwalającej na powtarzanie ulubionych częstotliwości.

Deser miał być podany w salonie.

## ROZDZIAŁ 101

Suflet i wino Château d'Yquem przed kominkiem, kawa na stoliku przy łokciu Starling.

Ogień igra w złocistym winie, którego aromat roznosi się przy ciężkiej woni płonącej szczapy.

Rozmawiali o filiżankach, czasie i regule chaosu.

- I w ten sposób doszedłem do wniosku - mówił doktor Lecter że na świecie musi istnieć godne miejsce dla Miszy. Powinno być zwolnione specjalnie dla mojej siostry. Pomyślałem sobie, Clarice, że tym najlepszym miejscem na świecie byłoby twoje.

Światło ognia nie penetrowało głębi jej dekoltu tak skutecznie jak światło świec, lecz wspaniale migotało na twarzy.

Zamyśliła się przez chwilę.

- Chciałabym o coś pana zapytać, doktorze. Jeśli Misza potrzebuje na świecie godziwego miejsca, czemu nie zaproponuje pan swojego? Jest dobrze utrzymane

i wiem, że nigdy by jej pan niczego nie odmówił. Mogłybyśmy być jak siostry. I skoro, według pana, jest we mnie miejsce dla mojego ojca, czemu w panu nie ma miejsca dla Miszy?

Doktor Lecter sprawiał wrażenie zadowolonego. Czy z pomysłu Starling, czy z jej inwencji, nie wiadomo. Może nieco się zaniepokoił, że uczeń przerasta mistrza.

Kiedy odstawiała kieliszek, strąciła ze stolika filiżankę. Porcelana roztrzaskała się na kawałki. Clarice nie spojrzała w dół.

Doktor Lecter wpatrywał się w nieruchome skorupki. Pozostały nieruchome.

- Nie musi pan podejmować decyzji już w tej chwili - powiedziała Starling. Jej oczy lśniły w świetle ognia. Westchnięcie płomienia, ciepło paleniska przebijające przez suknię... Z pamięci Starling wyłoniło się nagle wspomnienie - dawno temu doktor Lecter zapytał senator Martin, czy karmiła córkę piersią. Ozdobiony szlachetnymi kamieniami ruch w nienaturalnym bezruchu Starling: przez chwilę liczne okna w jej umyśle ustawiły się w szeregu i wzrok sięgnął dalej niż doświadczenia.

- Hannibalu Lecterze, czy pańska matka karmiła pana piersią? - zapytała.

-Tak.

- Czy kiedykolwiek czuł pan, że musi zwolnić miejsce przy piersi dla Miszy? Że to pana obowiązek?

Minęła chwila. Nie przypominam sobie, Clarice. Ale jeśli tak, zrobiłem to chętnie.

Clarice Starling zanurzyła dłoń w głębokim dekolcie sukni i wydobyla pierś.

- Z tej piersi nie musi pan rezygnować - powiedziała. Cały czas patrząc mu w oczy, zanurzyła palec wskazujący w ustach pełnych ciepłego wina. Gruba słodka kropla zawisała na sutku niczym złocisty kaboszon. Drżała z każdym oddechem.

Doktor Lecter błyskawicznie znalazł się przy fotelu, klęknął i w świetle ognia pochylił do koralowej i kremowej Starling swoją ciemną gładką głowę.

## ROZDZIAŁ 102

Buenos Aires, Argentyna, trzy lata później. Wczesnym wieczorem Barney i Lillian Hersh spacerują niedaleko Obelisku na Avinda 9 de Julio. Panna Hersh jest wykładowcą na Uniwersytecie Londyńskim i przebywa na urlopie. Poznała Barneya w muzeum antropologicznym w Mexico City. Przypadli sobie do gustu i od dwóch tygodni razem podróżują. Zdecydowali się na to z dnia na dzień i coraz lepiej bawią się w swoim towarzystwie. Nie męczą się sobą.

Do Buenos Aires dotarli zbyt późno, żeby tego samego dnia wejść do Museo Nacional, gdzie wystawiano wypożyczone dzieła Vermeera. Misja Barneya, który postanowił zobaczyć wszystkie płótna mistrza na całym świecie, śmieszyła Lillian Hersh, lecz nie psuła im dobrej zabawy. Widział już jedną czwartą obrazów i miał jeszcze mnóstwo innych do obejrzenia.

Szukali jakiejś sympatycznej kawiarni, gdzie mogliby zjeść coś na świeżym powietrzu.

Przy Teatro Colón, imponującej operze, czekały w kolejce limuzyny. Zatrzymali się, żeby popatrzeć na wchodzących do gmachu miłośników opery.

Grano *Tamerlana* z doskonałą obsadą. Premiera w Buenos Aires przyciągnęła interesujący tłum.

- Barney, lubisz operę? Myślę, że masz ochotę tam wejść. Jeśli tak, to wyskoczę z kasy.

Bawiło go, kiedy używała amerykańskiego slangu.

- Jeśli mnie wprowadzisz do środka, to ja wyskoczę z kasy - powiedział Barney. - Sądziś, że nas wpuszczą?

Na chodnik wjechał z szumem błękosrebrny mercedes maybach. Portier pospieszył, żeby otworzyć drzwi.

Z samochodu wysiadł drobny, elegancki mężczyzna w wieczorowym stroju i podał rękę partnerce. Pojawienie się kobiety wywołało szmer podziwu wśród osób zgromadzonych przy wejściu. Jej włosy tworzyły kształtny platynowy hełm. Miała na sobie długą koralową suknię oszronioną tiulową peleryną. Na smukłej szyi lśniły zielone szmaragdy. Barney widział tę damę bardzo krótko między głowami ludzi. Para zaraz zniknęła w środku gmachu.

Barney zdążył lepiej się przyjrzeć elegantowi. Miał włosy gładkie niczym futro wydry i rzymski nos jak Peron. Postawa mężczyzny sprawiała, że wydawał się wyższy niż w rzeczywistości.

- Barney? Ach, Barney - mówiła Lillian - jak się obudzisz, powiedz, czy miałbyś ochotę pójść do opery. Jeśli wpuszczą nas w tych hajdawerach. No proszę, udało mi się, choć niezupełnie pasuje: zawsze chciałam powiedzieć, że jestem w hajdawerach.

Kiedy Barney nie zapytał, co to są hajdawery, zerknęła na niego podejrzliwie. Zawsze był bardzo dociekliwy.

- Tak - odparł z roztargnieniem. - Wyskoczę z kasy. - Barney miał z czego wyskakiwać. Wydawał pieniądze ostrożnie, ale nie był skąpy. Poza tym mogli tylko dostać tanie bilety na galerię.

Wypożyczył lornetkę w szatni.

Ogromny teatr stanowił mieszaninę różnych stylów: antyku włoskiego renesansu, francuskiego baroku, z bogactwem mosiądzu, złota i czerwonego pluszu. Na widowni migotała biżuteria niczym flesze na stadionie.

Przed rozpoczęciem uwertury Lillian szeptem streściła Barneyowi libretto.

Zanim na sali zgasły światła, Barney lustrował całą widownię od najtańszych miejsc. W końcu ich wypatrzył: platynową blondynką i jej towarzysza. Przeszli właśnie przez złote zasłony do bogato zdobionej łoży przy scenie. Kiedy zajmowała miejsce, zaślniły szmaragdy na jej szyi.

Gdy wchodziła do opery, Barneyowi udało się tylko w przelocie ujrzeć prawy profil kobiety. Teraz widział lewy.

Miejscowi studenci, weterani teatralnych galerii, przynieśli ze sobą cały arsenał przyrządów optycznych. Jeden z młodych miłośników opery miał długą lunetę. Barney pożyczył instrument, żeby przyjrzeć się odległej łoży. Trudno mu było ją zlokalizować w ograniczonym polu widzenia lunety, ale wreszcie trafił: para wydawała się niepokojąco blisko.

Kobieta miała na policzku pieprzyk - w miejscu, które Francuzi nazywają *courage*. Wodziła wzrokiem po sali, lecz tylko przelotnie popatrzyła na sektor Barneya. Sprawiała wrażenie ożywionej. Pochyliła się do swego towarzysza i powiedziała coś, po czym oboje się roześmieli. Położyła dłoń na dłoni mężczyzny i ścisnęła jego kciuk.

- Starling - mruknął pod nosem Barney.

- Co? - szepnęła Lillian.

Barney nie mógł skupić się podczas pierwszego aktu opery. Gdy tylko rozblęsnęły światła, znów skierował lunetę na łożę. Elegancik wziął z tacy kieliszek szampana, podał go kobiecie i sięgnął po kieliszek dla siebie. Barney skoncentrował się na profilu mężczyzny, kształcie uszu.

Prześledził długość ramion kobiety. Były obnażone i nie miały żadnych znamion, ale oko znawcy dostrzegło jędrne mięśnie.

Nagle mężczyzna obrócił nieco głowę, jakby usłyszał coś w oddali. Podniósł lornetkę do oczu. Barney mógł przysiąc, że lornetka była wymierzona w niego. Zasłonił twarz programem i zgarbił się, żeby nie wyróżniać się wzrostem.

- Lillian - szepnął. - Mam do ciebie wielką prośbę.

- Chciałabym ją usłyszeć, jeśli jest taka, jak inne - odparła.

- Kiedy zgasną światła, wychodzimy. Poleć dzisiaj ze mną do Rio. Nie zadawaj żadnych pytań.

Barney obejrzał wszystkie obrazy Vermeera. Oprócz płócien z Buenos Aires.

## ROZDZIAŁ 103

Ruszmy w ślad za elegancką parą z opery? Dobrze, ale bardzo ostrożnie...

W nowym tysiącleciu miastem Buenos Aires owładnęło tango. Noc pulsuje jego rytmem. Z opuszczonymi szybami, żeby pozwolić muzyce z klubów

wypełnić wnętrze samochodu, mercedes przejeżdża cicho przez dzielnicę Recoleta do Avenida Alvear. Znika na dziedzińcu wspaniałego budynku Beaux Arts, niedaleko ambasady francuskiej.

Jest ciepło. Późną kolację podano na tarasie na najwyższym piętrze. Służących nie widać.

Wśród służby w rym domu panuje wysokie morale i żelazna dyscyplina. Nie wolno im wchodzić na ostatnie piętro rezydencji przed południem. Ani też po podaniu pierwszego dania przy obiedzie.

Doktor Lecter i Starling często rozmawiają przy stole w językach innych niż angielski. Clarice musiała pogłębić znajomość francuskiego i hiszpańskiego, których podstawy poznała w szkole. Zorientowała się przy tym, że ma dobre ucho do języków. Często podczas posiłków mówią po włosku; Clarice odkrywa ciekawą swobodę w wizualnych niuansach tego języka.

Czasem podczas kolacji nasza para tańczy. Czasem nie kończą posiłku.

Ich związek w znacznym stopniu opiera się na penetracji Starling. Clarice przyjmuje to z wielkim entuzjazmem i wręcz do tego zachęca. Hannibal Lecter natomiast podróżuje daleko poza granice swojego doświadczenia. Możliwe, że Clarice Starling napawa go strachem. Seks jest wspaniałą strukturą, którą udoskonalają każdego dnia.

Rozbudowuje się również pałac pamięci Clarice Starling. Kilka pomieszczeń dzieli z pałacem pamięci doktora Lectera. Zastał ją tam kilkakrotnie, lecz jej własny pałac pamięci rośnie samodzielnie. Wypełniają go coraz to nowe elementy. Może odwiedzać swojego ojca. Pasię tam Hannah. Pochylony nad biurkiem siedzi również Jack Crawford, kiedy Clarice postanawia go odwiedzić. Miesiąc po powrocie Crawforda ze szpitala bóle w klatce piersiowej wróciły pewnej nocy. Zamiast zadzwonić na pogotowie i ponownie przejść całą kurację, przesunął się tylko na drugą stronę łóżka, gdzie kiedyś leżała jego żona. Szukał pocieszenia.

Starling dowiedziała się o śmierci Crawforda podczas jednej z regularnych wizyt doktora Lectera na stronie FBI w Internecie. Doktor Lecter zaglądał tam, żeby nacieszyć się swoją podobizną wśród dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców. Zdjęcie zamieszczane przez FBI, na szczęście, przedstawia jego twarz przed dwoma zabiegami

plastycznymi.

Kiedy Starling przeczytała nekrolog Crawforda, wybrała się na prawie całodniowy spacer. Wieczorem z radością wróciła do domu.

Rok wcześniej zamówiła pierścionek ze szmaragdem i kazała wygrawerować po wewnętrznej stronie inicjały A.M.- C.S. Ardelia Mapp otrzymała pierścionek w grubej kopercie z liścikiem.

Droga Ardelio, ze mną wszystko w porządku, a nawet jeszcze lepiej. Nie szukaj mnie. Kocham cię. Przepraszam, że cię nastraszyłam. Spal to. Starling.

Mapp zabrała cenny podarunek nad rzekę Shenandoah, gdzie Starling lubiła biegać. Długo szła z pierścionkiem zaciśniętym w dłoni, rozgniewana, z rozpalonymi oczami, gotowa w każdej chwili wrzucić go do wody. Wyobrażała sobie, jak drogocenny kamień pobłyskuje w powietrzu, po czym rozlega się cichy plusk. W końcu założyła pierścionek na palec i wepchnęła pięść do kieszeni. Mapp nie jest skora do płaczu. Spacerowała tak długo, aż się uspokoiła. Kiedy wróciła do samochodu, było już ciemno.

Trudno powiedzieć, co Starling pamięta ze swojego dawnego życia, co postanowiła zatrzymać. Narkotyki, które towarzyszyły jej w pierwszych dniach nowej egzystencji, od dawna są nieobecne w ich życiu. Tak jak długie rozmowy przy jednym źródle światła w pokoju.

Co jakiś czas, celowo, doktor Lecter upuszcza filiżankę, żeby roztrzaskała się na podłodze. Jest zadowolony, kiedy kawałki nie łączą się na nowo. Od wielu miesięcy nie widział w snach Miszy.

Któregoś dnia, być może, rozbita porcelana znów utworzy całość. Lub Starling usłyszy gdzieś strunę kuszy i wbrew swojej woli zostanie wyrwana ze snu, jeśli w ogóle śpi.

Odejdziemy teraz, kiedy tańczą na tarasie. Przezorny Barney już wyjechał z miasta, a my musimy pójść za jego przykładem. Gdyby któreś z nich nas zauważyło, bylibyśmy zgubieni.

Możemy dowiedzieć się tylko tyle i żyć dalej.

Podziękowania

W próbach zrozumienia pałacu pamięci doktora Lectera posłużyłem się niezwykle książką Frances A. Yates *The Art of Memory*, a także *The Memory Palace of Matteo Ricci* Jonathana D. Spence'a.

Z przyjemnością korzystałem z przekładu „Piekła” Dantego pióra Roberta Pinsky'ego, a także z przypisów Nicole Pinsky. Wyrażenie *festive skin* pochodzi z angielskiego przekładu Pinsky'ego.



Słowa „w ogrodzie oka cyklonu” zaczerpnąłem z wiersza Johna Ciardiego o takim właśnie tytule.

Wersy wiersza, które Clarice Starling przypomina sobie w szpitalu psychiatrycznym, są fragmentem utworu z wiersza *Burnt Norton* T. S. Eliot z zbioru *Cztery kwartety*.

Dziękuję Pace Barnes za słowa zachęty, wsparcie i mądre rady.

Książkę tę uczyniła lepszą Carole Baron, mój wydawca, edytorka i przyjaciółka.

Athena Varounis i Bill Tribble ze Stanów Zjednoczonych oraz Ruggero Perugini z Włoch pokazali mi najlepsze i najjaśniejsze strony organów ścigania. *Żadna* z postaci w tej książce nie jest wzorowana ani na nich, ani na innych żyjących osobach. Niegodziwość opisana w powieści znajduje źródło wyłącznie w moim umyśle.

Niccolo Capponi podzielił się ze mną głęboką wiedzą na temat Florencji i sztuki florenckiej. Pozwolił też doktorowi Lecterowi zamieszkać w jego rodzinnym *palazzo*. Podziękowania kieruję również do Roberta Helda za jego wiedzę i do Caroline Michahelles za doskonałą znajomość Florencji.

Pracownicy Carnegie Public Library w Coahoma County w stanie Missisipi pomagają mi od lat. Dziękuję wam.

Wiele zawdzięczam Marguerite Schmitt: jednym białym truflem, magią swego serca i ręką zaraziła mnie urodą Florencji. Podziękowania dla Marguerite są spóźnione; w tej chwili spełnienia chciałbym wymienić jej imię.